

David Baldacci

AUTOR **NYBESTSELLERÓW** KOLOR PRAWDY I WYGRANA

PIERWSZA DAMA

Ponura przeszłość wystawia rachunek wielkim tego świata

 **Fabryka
sensacji**

David Baldacci

Pierwsza dama

The First Family

Przełożył Zbigniew Kościuk

Kiedy dwunastoletnia bratanica pierwszej damy Stanów Zjednoczonych, wraca z urodzinowego przyjęcia, w jej rodzinnym domu dochodzi do tragedii. Dziewczynka zostaje porwana, a jej matka ginie z rąk napastników.

Na osobistą prośbę małżonki prezydenta dyskretne śledztwo rozpoczynają byli agenci Secret Service, Sean King i jego partnerka, Michelle Maxwell. Brutalne porwanie odsłania ciąg ponurych zdarzeń sięgających w daleką przeszłość prezydenta i jego małżonki, a także głęboko skrywaną tajemnicę pierwszej damy.



*Mamie,
bratu i siostrze
z wyrazami miłości*

Prolog

Szła wolno w dół ulicy. Najpierw w lewo, później dwie przecznice prosto i lekko w prawo. Przystanąła na chwilę na pierwszym skrzyżowaniu i nieco dłużej na kolejnym. Z nawyku. Nie zauważyła żadnego zagrożenia, więc ruszyła dalej. Mimo późnej pory na ulicy nadal byli ludzie. Przechodzili obok, nie zwracając na nią uwagi. Poruszała się swobodnie niczym wiatr, jak on wyczuwana, ale niewidoczna.

Trzypiętrowy dom z pustaków stał tam, gdzie zawsze – wsunięty pomiędzy wzgórze z lewej i betonowy budynek z prawej strony. Oczywiście miał zabezpieczenia, tyle że standardowe. Wyłączenie typowego alarmu zajęłoby jej kilka minut, ale pokonanie naprawdę profesjonalnych zabezpieczeń trwałoby sporo dłużej.

Wybrała okno w tylnej części budynku, zamiast włamywać się frontowymi drzwiami. Tylne wejścia rzadko podłączano do systemu alarmowego. Przekręciła obrotową zasuwkę, uniosła okno i wgramoliła się do środka. Bez trudu poradziła sobie z czujnikiem ruchu. Nuciała pod nosem, kiedy go wyłączała, choć w jej głosie dało się wyczuć nerwowość. Była blisko. Blisko tego, po co przyszła.

Bała się jak diabli, choć nie miałyby problemu, żeby się do tego przyznać.

Szafka z dokumentami była zamknięta. Uśmiechnęła

się do siebie.

Zmuszasz mnie, żebym zakasała rękawy, Horatio.

Pięć sekund później szuflada została otwarta. Przesunęła palcami po zakładkach. Teczki ułożono w kolejności alfabetycznej. Cmoknęła z zadowoleniem. Przestała przesuwając palcami po dokumentach, zaciskając je na jednej z teczek. Wyciągnęła dokumenty i spojrzała na kserokopiarkę stojącą na biurku. Teczka była gruba. Nie była tym zaskoczona. Jej przypadku nie można było opisać na marnych dziesięciu stronach.

W porządku, znalazłam to.

Horatio Barnes był jej psychoanalitykiem, istnym guru terapeutów. To on ją namówił, żeby rozpoczęła leczenie w szpitalu psychiatrycznym jakiś czas temu. Okazało się, że pobyt na oddziale szpitalnym nie usunął żadnego z jej problemów. Później poczciwy Horatio ją zahipnotyzował, przenosząc Michelle do czasów dzieciństwa, jak każdy psychoanalityk wart swojej ceny. Najwyraźniej tamta sesja ujawniła wiele rzeczy. Sęk w tym, że Horatio z jakiegoś powodu postanowił zataić to, co mu powiedziała. Przyszła do jego biura, żeby naprawić to drobne przeoczenie.

Wsunęła strony do podajnika kserokopiarki i wcisnęła przycisk. Kartki z historią jej życia zaczęły się przesuwając we wnętrzu xeroxa. Z każdą czystą kartką wciągana do środka jej serce uderzało coraz szybciej.

Kiedy skończyła, odłożyła teczkę do segregatora, opięła skopiowane strony gumką i ujęła w obie dłonie.

Choć papier dużo nie ważył, miała wrażenie, że wgniata ją w podłogę. Chyba dlatego jej buty tak głośno uderzały o asfalt. Wróciła spokojnie do swojego SUV-a, jak wcześniej niewidzialna niczym powiew wiatru. Choć wokół toczyło się nocne życie, nikt jej nie dostrzegł.

Usiadła za kierownicą i przekręciła kluczyk, gotowa do drogi. Przesunęła dłonie na kółku. Chciała pomknąć przed siebie, bo lubiła wycisnąć całą moc z ośmiu cylindrów samochodu, pędząc nieznaną drogą nie wiadomo dokąd. Teraz jednak, gdy spoglądała przez przednią szybę, nie pragnęła odmiany, lecz tego, by wszystko pozostało jak dawniej.

Spojrzała na teczkę i przeczytała nazwisko na pierwszej stronie.

Michelle Maxwell.

W pierwszej chwili nie pomyślała, że chodzi o nią. Na tych kartkach opisano życie kogoś innego. Jego sekrety i udreki. Problemy. To słowo budziło trwogę, choć wydawało się tak niewinne. Problemy. Wszyscy ludzie mieli problemy, ale tych osiem liter definiowało ją jakby od zawsze. Sprowadzało do prostego wzoru, którego dotąd nikomu nie udało się zrozumieć.

Samochód cicho mruczał, wyrzucając dwutlenek węgla do atmosfery, która i tak była go pełna. Kilka kropli deszczu kapnęło na przednią szybę. Przechodnie przyspieszyli kroku, czując nadciągającą ulewę. Minutę później rozpadało się na dobre. Podmuch wiatru zakołysał ciężkim SUV-em. Po błyskawicy zadudnił grom. Siła

burzy wskazywała na jej przelotny charakter. Tak gwałtowna ulewa nie mogła trwać długo. Zbyt szybko zużywała całą swoją energię.

Nie mogła się powstrzymać. Wyłączyła silnik, sięgnęła po plik kartek, zdjęła gumkę i zaczęła czytać. Najpierw informacje ogólne. Data urodzenia, płeć, wykształcenie i miejsce zatrudnienia. Sięgnęła po kolejne kartki. Nie znalazła niczego, o czym by nie wiedziała. Nie było w tym nic niezwykłego, w końcu to jejteczka.

Przy piątej stronie ręce zaczęły dygotać. Odczytała nagłówek „Dzieciństwo w Tennessee”. Przełknęła ślinę raz i drugi, nie mogąc się pozbyć wrażenia suchości w gardle. Odchrząknęła i zakaszła, co tylko pogorszyło sprawę. Ślina w gardle zamieniła się w grudę, jak wtedy, gdy omal się nie zabiła, wiosłując po srebrny medal olimpijski, który z każdym dniem miał dla niej coraz mniejsze znaczenie.

Sięgnęła po butelkę gatorade i wlała sobie napój do gardła, plamiąc przy okazji odrobinę fotel i rozrzucone kartki. Zaklęła i wytarła papier, próbując go osuszyć. Kiedy przedarła kartkę, nie wiedzieć czemu poczuła łzy w oczach. Przysunęła rozdarty papier blisko do twarzy. Chociaż miała idealny wzrok, nie potrafiła odczytać pisma. Spojrzała przez okno i też niczego nie ujrzała, bo miała przed sobą ścianę ulewy. Ulice opustoszały, a ludzie rozbiegli się po pierwszym uderzeniu nawałnicy. Niesione wiatrem krople uderzały niemal poziomo.

Ponownie przesunęła wzrok na kartki, ale te również

wydawały się puste. Słowa, które się na nich znajdowały, były przekleństwem, ale ona nie mogła ich zobaczyć.

– Możesz to zrobić, Maxwell. Dasz radę – powiedziała niskim, głuchym i pełnym napięcia głosem.

Skupiła wzrok.

– Dzieciństwo w Tennessee – zaczęła ponownie. Znowu miała sześć lat. Mieszkała w Tennessee z matką i ojcem. Jej tata robił karierę w policji, a mama... cóż, była jej mamą. Czterej starsi bracia dorośli i wyprowadzili się. W domu została tylko mała Michelle. Z rodzicami.

Zapanowała nad emocjami. Słowa stały się wyraźne, a wspomnienia nabrały kształtu, gdy zaczęła wkraczać w wyblakły fragment własnej historii. Kiedy odwróciła kartkę i spojrzała na umieszczoną u góry datę, poczuła się tak, jakby piorun, który rąbnął gdzieś w pobliżu, przeszył także ją. Poczowała miliardy woltów bólu, krzyk cierpienia tak silny, że można było niemal zobaczyć i poczuć, jak ją przebił.

Wyjrzała przez okno. Ulice nadal były puste, ale nie wiedziała dlaczego. Krople deszczu bębniły o ziemię jak biliony paciorków nanizanych na nitkę.

Jednak gdy wyteżyła wzrok i spojrzała przez ulewę, okazało się, że ulice nie były puste. W oddali stał wysoki mężczyzna. Nie miał parasola ani płaszcza. Wydawał się przemoknięty do suchej nitki. Koszula i spodnie przylgnęły mu do skóry. Spoglądał na nią, a ona na niego. W jego spojrzeniu nie było lęku, nienawiści ani współczucia, gdy obserwował ją przez ścianę wody. W

końcu doszła do wniosku, że w jego oczach krył się smutek dorównujący jej rozpacz.

Przekręciła kluczyk, wrzuciła bieg i dodała gazu. Kiedy przemknęła obok, spojrzała na niego. W tej samej chwili błyskawica rozświetliła noc i stało się jasno jak w dzień. Choć mężczyzna stał nieruchomo, z włosami przyklejonymi do twarzy, jego oczy były jak zawsze ogromne i przenikliwe. Przeraziły ją. Spoglądały, jakby chciały wyrwać jej duszę.

Chwilę później zniknął, gdy skręciła na najbliższym skrzyżowaniu i zwolniła. Opuściła szybę, a plik kartek wyleciał na zewnątrz, lądując w kontenerze na śmieci.

Sekundę później jej SUV zniknął w kolejnym karzącym uderzeniu nawałnicy.

1

Urodzinowe baloniki i pistolety maszynowe. Eleganckie sztucce wbijane w kremowe pyszności i mocne palce oplatające metalową osłonę spustu. Radosny śmiech towarzyszący rozpakowywaniu prezentów szybował w powietrzu, mieszając się z groźnym dudnieniem płatów nadlatującego helikoptera.

Choć Departament Obrony oficjalnie określał ten kompleks mianem Naval Support Facility Thurmont₁, większość Amerykanów znała go jako Camp David. Bez względu na nazwę, trudno było uznać to miejsce za właściwe na urodzinowe przyjęcie dla dwunastolatki. Dawny ośrodek wypoczynkowy zbudowany przez WPA₂ w czasach wielkiego kryzysu został zamieniony w rezydencję prezydenta Stanów Zjednoczonych i nazwany USS „Shangri-La” przez Franklina Roosevelta, któremu zastąpił prezydencki jacht. Swoją obecną znacznie mniej egzotyczną nazwę zawdzięczał Dwightowi Eisenhowerowi, który ochrzcił go imieniem swojego wnuka.

Położona na stu trzydziestu akrach ziemi rezydencja miała wiejski charakter i wiele obiektów na wolnym powietrzu, m.in. korty tenisowe, szlaki turystyczne i jedno pole golfowe dla prezydentów uprawiających tę dyscyplinę. Urodzinowe przyjęcie zorganizowano w kręgielni. Zaproszono kilkanaścioro dzieci wraz z opiekunami. To zrozumiałe, że wszyscy byli

podeksycytowani faktem przebywania na uświęconej ziemi, po której stąpali ludzie formatu Kennedy'ego i Reagana.

Główną opiekunką i pomysłodawczynią imprezy była Jane Cox. Przyzwyczaiła się do tej roli, bo była żoną Dana Coxa, nazywanego „Wolfmanem”, Człowiekiem-Wilkiem, który uczynił ją pierwszą damą Ameryki. Wykonywała swoją rolę z wdziękiem, godnością oraz koniecznym poczuciem humoru i przebiegłością. Chociaż prezydent Stanów Zjednoczonych był najpotężniejszym przywódcą na świecie, pierwsza dama zgodnie z tradycją nieźle sobie radziła w jego gabinecie.

Nawiasem mówiąc, zdobyła dziewięćdziesiąt siedem punktów bez podniesienia band, mając na nogach patriotyczne czerwono-biało-niebieskie buty do kręgli. Związała w kucyk włosy sięgające ramion i osobiście podawała ciasto. Na koniec poprowadziła odśpiewanie *Happy Birthday* swojej bratanicy, Willi Dutton. Czarnowłosa Willa wydawała się mała jak na swój wiek. Była trochę nieśmiała, ale niezwykle inteligentna i cudownie ujmująca, kiedy się ją lepiej poznało. Chociaż Jane nigdy by tego publicznie nie powiedziała, Willa była jej ulubioną bratanicą.

Pierwsza dama nie jadła ciasta. Musiała dbać o figurę, podobnie jak cała reszta tego kraju i świata. Przytyła kilka funtów, od kiedy wprowadziła się do Białego Domu. I kilka następnych po „samolotowym piekle”, jak nazywali

kampanię o reelekcję, w której uczestniczył obecnie jej mąż. Miała pięć stóp osiem cali w butach na płaskim obcasie – wystarczająco dużo, by ciuchy dobrze na niej leżały. Coxowi brakowało cala do sześciu stóp, więc nigdy nie nosiła szpilek, bo prezydent wydawałby się niższy od niej. Sposób postrzegania miał znaczenie, a wyborcy woleli, żeby ich przywódcy byli wyżsi i silniejsi od innych ludzi.

Mam ładną twarz, pomyślała, spoglądając ukradkiem w lustro. Chociaż odcisnęło na niej piętno kilka porodów i wiele politycznych wyścigów. Po czymś takim u każdego pozostałby ślad. Rywale byli gotowi zna leżać najdrobniejszy słaby punkt i wepchnąć w niego łom, a następnie wydłubać każdy kawałeczek, który się do czegoś przyda. Dziennikarze nadal nazywali ją atrakcyjną. Niektórzy prześcigali kolegów, twierdząc, że przypomina gwiazdę filmową. Może kiedyś tak było, ale teraz to już historia. Z pewnością była „aktorką charakterystyczną” obsadzoną w roli matrony robiącej karierę. A jednak pokonała długą drogę od czasu, gdy kształtne kości policzkowe i jeszcze kształtniejsza pupa plasowały się wysoko na liście jej priorytetów.

Podczas przyjęcia Jane spoglądała ukradkiem na poważnych marines, patrolujących okolicę z bronią gotową do strzału. Oczywiście towarzyszyli jej agenci Secret Service, ale za bezpieczeństwo Camp David odpowiadała marynarka. Zgodnie z tą zasadą cały personel, od cieśli po ogrodników, stanowili marynarze, a

większość obowiązków związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa spadła na barki żołnierzy piechoty morskiej, którzy tu stacjonowali. Prawdę mówiąc, Camp David był lepiej strzeżony niż Biały Dom przy Pennsylvania Avenue 1600, choć niewielu przyznałoby to na piśmie.

Bezpieczeństwo nie było główną rzeczą, o której myślała z zadowoleniem, obserwując radość, z jaką Willa zdmuchuje świece na dwupiętrowym torcie, a następnie częstuje nim gości. Podeszła i przytuliła Pam Dutton, matkę Willi – wysoką, szczupłą kobietę o kręconych rudych włosach.

– Wygląda na szczęśliwą, prawda? – spytała Pam.

– Zawsze jest szczęśliwa, gdy przebywa ze swoją ciotką, Jane – odparła Pam, czule poklepując bratową. Kiedy odeszły na stronę, Pam powiedziała: – Nie wiem, jak ci dziękować, że zgodziłaś się urządzić tu przyjęcie. Wiem, że... nie jest to normą, kiedy w Camp David nie ma Dana... prezydenta.

Ponieważ nie byli ze sobą spokrewnieni, Pam unikała zwracania się do prezydenta po imieniu, choć jego krewni i Jane mówili mu Danny.

– Zgodnie z prawem wszystkie składniki majątku federalnego stanowią wspólną własność prezydenta i pierwszej damy – odparła z uśmiechem Jane. – Jak wiesz, nadal pilnuję rodzinnych finansów. Danny nie ma głowy do liczb.

– Mimo to okazałaś nam wiele życzliwości –

zauważyła Pam, spoglądając na córkę. – Za rok będzie nastolatką. Moja najstarsza córka nastolatką! Trudno w to uwierzyć!

Pam miała trójkę dzieci. Willę, dziesięcioletniego Johna i siedmioletnią Colleen. Jane też miała trójkę, ale wszyscy byli starsi. Najmłodszy, dziewiętnastoletni syn, wyjechał do college'u, a córka pracowała jako pielęgniarka w szpitalu w Atlancie. Środkowy nadal poszukiwał swojej drogi w życiu.

Coxowie wcześniej zdecydowali się na dzieci. Jane miała teraz zaledwie czterdzieści osiem lat, a jej mąż niedawno świętował pięćdziesiąte urodziny.

– Z doświadczenia wiem, że chłopcy potrafią zamieszać w sercu, a dziewczynki w głowie.

– Nie jestem pewna, czy moja głowa jest na to gotowa.

– Rozmawiaj z nią. Staraj się poznać jej przyjaciół. Delikatnie ingeruj we wszystko, co się dzieje wokół niej, ale rozważnie wybieraj bitwy. Czasami sama się wycofa. Takie zachowanie jest naturalne, a kiedy wprowadzisz podstawowe zasady, wszystko będzie okej. Willa jest bardzo inteligentna. Szybko się połapie. Będzie szczęśliwa, że się nią zajmujesz.

– Dzięki za mądrą radę, Jane. Zawsze mogę na ciebie liczyć.

– Szkoda, że Tuck nie mógł przyjechać.

– Ma wrócić jutro. Znasz swojego brata.

Spojrzała niespokojnie na Pam.

– Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi.

– W porządku, jasne – odpowiedziała cicho, spoglądając na rozbawioną Willę.

Kiedy Pam odeszła, Jane skupiła wzrok na dwunastolatce. Mała reprezentowała dziwną mieszalinę dorosłych i dzieciennych cech. Potrafiła pisać lepiej od niejednego dorosłego i rozprawiać o sprawach, które wprawiłyby w zakłopotanie wiele starszych dzieci. Przejawiała zainteresowanie sprawami, które nie ograniczały się do kręgu typowego dla jej grupy wiekowej. Chichotała i ciągle powtarzała słowa w rodzaju „lubie” i „wow”. Zaczęła zwracać uwagę na chłopców, odnosząc się do nich jednocześnie z odrazą i zaciekawieniem typowym dla dziewczynki stojącej u progu okresu dojrzewania. Jane wiedziała, że taka reakcja na osoby przeciwnej płci ulegnie zmianie, kiedy Willa stanie się dorosłą kobietą.

Gdy przyjęcie dobiegło końca i goście wyszli, Jane Cox wsiadła na pokład helikoptera. Nie był to Marine One, bo maszyną nie leciał prezydent. Jane wiedziała, że tego dnia będzie jej towarzyszył Zespół B. Nie miała nic przeciwko temu. Prywatnie uważali się z mężem za równych, ale publicznie szła obowiązkowe dwa kroki za nim.

Zapięła pasy, a umundurowany marine zamknął i zablokował drzwi. Podczas lotu ochraniało ją czterech agentów Secret Service o stoickim wyrazie twarzy. Maszyna wystartowała i po kilku chwilach Jane ujrzała z

lotu ptaka rezydencję Camp David – „Klatkę dla ptaków”, jak nazywali rezydencję funkcjonariusze Secret Service – przycupniętą w parku góry Cotocin. Helikopter wykonał zwrot na południe i po trzydziestu minutach wylądował bezpiecznie na trawniku przed Białym Domem.

Jane trzymała w ręku liścik, który Willa dała jej na pożegnanie. Kartkę z podziękowaniami. Uśmiechnęła się. Nie była zaskoczona, że Willa ją napisała. Podziękowania sformułowano w poważnym tonie, ze wszystkimi wymaganymi elementami. Szczerze powiedziawszy, niektórzy z pracowników Jane mogliby się niejednego nauczyć z podręcznika etykiety jej małej bratanicy.

Złożyła kartkę. Pozostała część dnia i nocy nie zapowiadały się nawet w połowie tak przyjemnie. Wzywały ją oficjalne obowiązki. Bardzo szybko odkryła, że życie pierwszej damy przypomina szaleńczą gonitwę przerywaną napadami znużenia.

Płozy helikoptera dotknęły trawnika. Ponieważ na pokładzie maszyny nie było prezydenta, weszła do Białego Domu bez większych fanfar. Jej mąż pracował w gabinecie przylegającym do Gabinetu Ovalnego. Postawiła mu kilka warunków, zanim zgodziła się stanąć u jego boku podczas ubiegania się o najwyższy urząd w kraju. Jednym z nich było prawo wejścia do tego pomieszczenia bez zapowiedzi, bez wpisywania się na listę oficjalnych gości.

– Nie jestem gościem – powiedziała mu wówczas. – Jestem twoją żoną.

Podeszła do osobistego ochroniarza oficjalnie nazywanego specjalnym asystentem prezydenta. Mężczyzna zaglądał przez wizjer do Gabinetu Owального przed wejściem do środka i przerwaniem spotkania, które toczyło się za drzwiami. Był odpowiedzialny za to, żeby jej mąż trzymał się rozkładu i efektywnie funkcjonował. Robił to, wstając przed świtem i poświęcając każdą chwilę swego przytomnego życia na robienie tego, czego chciał szef, często uprzedzając jego życzenia. Jane pomyślała, że w każdym miejscu oprócz Białego Domu asystenta specjalnego można by nazwać po prostu żoną.

– Zabierz ich stamtąd, Jay! Wchodzę! – oznajmiła. Ruszył energicznie, by wykonać polecenie. Nigdy z nią nie zadarł. Nie zrobi tego, jeśli chce zachować tę robotę.

Spędziła kilka minut z prezydentem, opowiadając mu o urodzinowym przyjęciu, a później udała się do prywatnych pokoi, żeby się odświeżyć i przebrać przed przyjęciem, które wydawała. Gdy kilka godzin później zapadł zmrok, wróciła do swojego „oficjalnego” domu, zdjęła buty i wypła filiżankę herbaty, której tak bardzo potrzebowała.

Dwadzieścia mil dalej, świeża dwunastolatka, Willa Dutton krzyknęła ze strachu.

Sean popatrzył na Michelle, gdy ruszyli. Rzucił jej krótkie, taksujące spojrzenie. Nie skomentowała tego faktu, nawet jeśli poczuła na sobie jego wzrok. Patrzyła przed siebie.

– Kiedy ich poznałeś? – zapytała.

– Gdy pracowałem w ochronie. Później utrzymywałem z nimi kontakt. To naprawdę miła rodzina.

– W porządku – powiedziała nieobecny głosem, wyglądając przez szybę.

– Widziałaś się ostatnio z Horatio?

Michelle zacisnęła palce na kubku z kawą ze Starbucksa.

– Czemu mnie śledziłeś, kiedy poszłam do jego biura?

– Bo wiedziałem, co zamierzasz.

– Niby co?

– Włamać się, żeby ustalić, co mu powiedziałaś, kiedy cię zahipnotyzował.

Michelle nie odpowiedziała.

– Dowiedziałaś się?

– To nieco późna pora na wizytę.

– Michelle, musimy o tym porozmawiać...

– Nie powinieneś się w to mieszać.

Sean spojrzął w zapadającą za oknem noc, która zdawała się zaciskać wokół niego.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – zauważyła.

– Ty również – odpowiedział zirytowanym tonem.
– Czemu jedziemy do ich domu o tak późnej porze?
– Nie prosiłem o to spotkanie.
– Sądziłam, że chcesz przekazać prezent urodzinowy.
– Kupiłem go, kiedy do mnie zadzwoniła. Nagle przypomniałem sobie, że ma dziś urodziny.

– Czemu nas wezwała?
– Może ma dla nas robotę.
– Czyżby ta naprawdę miła rodzina potrzebowała usług prywatnego detektywa?

– Nie chciała z tym czekać.

Skrećili w krętą wiejską drogę, wjeżdżając na długi podjazd między drzewami.

– Głucha wieś – mruknęła Michelle.

– Spokojna okolica – poprawił ją Sean.

– Rezydencję zbudowano na rządowe zamówienie. Federalni zaczęli obsypywać ludzi forszą.

– Wow, a to mi niespodzianka. Nie widzę świateł. Jesteś pewny, że dobrze zapisałeś datę?

Sean zwolnił i zatrzymał samochód przed wejściem.

Michelle odstawiła kubek z kawą i wyciągnęła pistolet z kabury.

– Słyszałam krzyk kobiety.

– Zaczekaj. Nie rób niczego pochopnie – powiedział, kładąc jej dłoń na ramieniu. Łomot dochodzący z wnętrza domu skłonił go do sięgnięcia do schowka po własną broń. – Sprawdźmy, co się tam dzieje, zanim wezwiemy gliny.

– Wchodzisz od tyłu. Ja pójdę od frontu.

Wysiadł i pobiegł w kierunku tylnej części kolonialnego domu z cegły, mijając wewnętrzny garaż i przystając na chwilę, żeby sprawdzić okolicę. Minutę później, po przeprowadzeniu rekonesansu, Michelle stanęła przed drzwiami frontowymi.

Żadnych krzyków ani odgłosów uderzeń. Żadnych pojazdów w zasięgu wzroku. Mogłaby zawołać, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ale wówczas ostrzegłaby złych facetów. Nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. Coś kazało jej cofnąć rękę. Choć nie była pewna co, szybko poczuła zadowolenie, że to zrobiła.

Kula przeszła drzwi, posyłając w powietrze kawałki malowanego drewna. Pociski utkwily w wozie Seana.

Zeskoczyła z werandy i poturlała się po trawie, później skoczyła na równe nogi i puściła się biegiem. Wsunęła dłoń do kieszeni, wystukując palcami dziewięćset jedenaście. Usłyszała głos dyspozytora. Kiedy zamierzała się odezwać, drzwi garażu pękły z trzaskiem. Furgonetka wykonała ostry skręty i ruszyła prosto na nią. Odwróciła się, strzelając w opony, a później w przednią szybę. Telefon wypadł jej z ręki, gdy uskoczyła w bok i potoczyła się w dół nasypu. Wylądowała wśród liści i błota na dnie rowu odpływowego. Usiadła i podniosła głowę.

Strzeliła.

Wycelowała pewnie i nieomylnie jak zawsze. Kula trafiła tamtego w klatkę piersiową. Wszystko byłoby w

porządku, gdyby jej pełnopłaszczowy pocisk kalibru 9 milimetrów powalił faceta. Mężczyzna zachwiał się, ale wyciągnął broń, wycelował i strzelił.

Michelle Maxwell ocalała, ponieważ odgadła, że napastnik ma na sobie kamizelkę kuloodporną. Szybko przeturlała się za olbrzymi dąb, zanim posłał w jej stronę serię z MP5. Kilkanaście pocisków utkwilo w pniu drzewa, odrywając korę i kawałki gałęzi. Drzewo takiej grubości zawsze zwycięża w starciu z kulą, nawet jeśli pociski z broni maszynowej uderzają falami.

Nie zatrzymała się, bo wiedziała, że wyćwiczona dłoń potrzebuje zaledwie paru sekund, by zmienić magazynek w MP. Skoczyła na równe nogi, zaciskając obie dłonie na rękojeści pistoletu. Tym razem będzie celowała w głowę i załatwi faceta.

Sęk w tym, że nie miała do kogo strzelać.

Facet z pistoletem maszynowym przygwoździł ją do ziemi i uciekł.

Ostrożnie wyszła z rowu, trzymając broń przed sobą. Słyszając, że samochód odjeżdża z piskiem opon, przyspieszyła, chwytając korzenie, gałęzie i pnącze. Gdy znalazła się na podjeździe, furgonetka już zniknęła. Zaczęła biec w kierunku wozu Seana, sądząc, że podejmie pościg, ale zamarła na widok pary wydobywającej się spod maski. Przesunęła wzrok na otwory po pociskach w karoserii. Wiedziała, że już nigdzie nie pojedą.

Oni?

– Sean! – krzyknęła. – Sean!

– Tutaj!

Wbiegła po stopniach, otwierając kopnięciem to, co zostało z roztrzaskanych frontowych drzwi. Wpadła do salonu, omiatając pomieszczenie lufą pistoletu.

Sean klęczał na podłodze, pochylając się nad ciałem kobiety. Leżała na plecach w takiej pozycji, jakby wykonywała pajacyki – z rozrzuconymi na boki nogami i rękami. Otwarte oczy były pozbawione wyrazu, bo już nie żyła. Rude włosy sięgały ramion. Nie było wątpliwości, co ją zabiło. Ktoś poderżnął jej gardło.

– Kto to?

– Pam Dutton, kobieta, z którą mieliśmy się spotkać.

Michelle zauważyła, że na obnażonych ramionach denatki wypisano jakieś znaki.

– Co to?

– Nie jestem pewny. Wygląda na jakieś litery. – Pochylił się bliżej. – Chyba użyli czarnego markera.

– Czy w domu jest ktoś oprócz niej?

– Sprawdźmy.

– Nie możemy zacierać śladów na miejscu zbrodni.

– Nie możemy również pozwolić, by zginął ktoś, kogo można było ocalić – przypomniał.

Sprawdzenie domu zajęło im zaledwie kilka minut. Na piętrze były cztery sypialnie, po dwie na każdym końcu korytarza. W pierwszej leżała dziewczynka. Była nieprzytomna, ale nie miała żadnych widocznych obrażeń. Oddech był równy, a tętno słabe, lecz stabilne.

– Colleen Dutton – powiedział Sean.

– Uśpili ją? – zapytała Michelle, spoglądając na małą. Sean uniósł jej powiekę i zauważył rozszerzoną źrenicę.

– Na to wygląda.

W sypialni obok leżał chłopiec, znajdujący się w podobnym stanie jak dziewczynka.

– To John Dutton – powiedział Sean, sprawdzając tętno i źrenice dziecka. – Jego też uśpili.

Trzecia sypialnia była pusta, choć nie można było tego powiedzieć o ostatniej, największej w całym domu.

Na podłodze leżało ciało mężczyzny. Miał na sobie spodnie i podkoszulek, ale był bosy. Jedna strona twarzy była opuchnięta i potwornie posiniaczona.

– To Tuck Dutton, mąż Pam. – Sean sprawdził tętno. – Nieprzytomny, ale oddycha. Wygląda, jakby porządnie mu przyłożyli.

– Musimy wezwać gliny. – Michelle sięgnęła po telefon stojący na nocnym stoliku. – Głuchy. Musieli szperać w zewnętrznej skrzynce.

– Zadzwoń z komórki.

– Zgubiłam ją, kiedy próbowali mnie przejechać.

– Jacy oni?

– Kierowca i facet z pistoletem maszynowym. Nie widziałeś nikogo, gdy wszedłeś?

Potrząsnął głową.

– Usłyszałem strzały i wszedłem tylnymi drzwiami. Później doleciał mnie kolejny głośny hałas.

– Staranowali drzwi garażu.

– Pam nie żyje. Tuck jest nieprzytomny. John i Colleen zostali uśpieni.

– Powiedziałeś, że mają trójkę dzieci.

– To prawda. Willa zniknęła. Jej sypialnia jest pusta.

– Myślisz, że była w furgonetce? Porwali ją?

– Nie wiem. Co widziałaś?

– Ciemnoniebieską toyotę tundrę. Nie zauważyłam rejestracji, bo próbowałam nie dać się zabić. Facet przyjął bez problemu kulę z mojego siga. Na głowie miał czarną kominiarkę, więc trudno będzie ustalić tożsamość.

– Nie widziałaś dwunastoletniej dziewczynki w pikapie?

– Nie, pewnie ją też uśpili.

Sean sięgnął po swoją komórkę, żeby zadzwonić pod dziewięćset jedenastcie. Kiedy przekazał wszystkie informacje, wsunął telefon do kieszeni i rozejrzał się wokół.

– Co to takiego?

Michelle przeszła na drugą stronę pokoju, żeby sprawdzić walizkę wystającą z szafy.

– Duża walizka na kółkach, uchylone wieko. – Pochyliła się i zajrzała do środka. – Ma przywieszkę. United Airlines, rejs pięćset sześćdziesiąt siedem, lotnisko Dullesa. Dzisiejsza data. – Przyniosła z łazienki ręcznik, żeby odsunąć nieco zamek błyskawiczny, uchylić wieko i zajrzeć do środka. – Męskie ubrania. Pewnie Tucka.

Sean spojrział na bose stopy nieprzytomnego mężczyzny i jego podkoszulek.

– Facet wrócił do domu, przywitał się z Pam, wszedł na górę, żeby rozpakować walizkę, zaczął się przebierać i bum.

– Coś nie daje mi spokoju. Chodzi o tundrę, która wyjechała z garażu. Albo należała do Duttonów, albo źli faceci przyjechali własnym wozem.

– Mogli to zrobić, żeby nikt nie widział, jak pakują do niego Willę.

– Na takim odludziu? O tej porze? Zauważyłeś jakieś domy w okolicy? Nie jestem pewna, czy w pobliżu w ogóle są jakieś domy.

– Czemu zabrali akurat Willę?

– I czemu zabili jej matkę, a pozostałych zostawili przy życiu?

Sean spróbował ocucić Tucka, ale mu się nie udało.

– Lepiej daj mu spokój. Może mieć obrażenia wewnętrzne.

Kiedy zeszli na dół schodami, Sean poszedł do kuchni, aby przejść do garażu. Garaż miał potrójne drzwi. Na jednym z miejsc stał najnowszy model czterodrzwiowego mercedesa, na drugim minivan chrysler. Trzecie miejsce było puste.

Michelle wskazała roztrzaskane drzwi.

– Pikap stał tutaj. Czy Duttonowie mieli ciemnoniebieską tundrę?

– Nie mam pojęcia, ale to możliwe.

– Bo miejsce parkingowe jest puste?

– Tak. Prawie każdy garaż jest pełen rupieci, czasami

nawet wówczas, gdy stoi w nim samochód. Z tego, że jedno miejsce jest puste, wynika, że mieli trzy wozy, w przeciwnym razie na wolnym miejscu leżałyby różne rupiecie.

– Wow, jest pan bardzo przenikliwy, detektywie.

Sean położył dłoń na masce mercedesa.

– Ciepła.

Michelle przesunęła palcami po jednej z opon samochodu.

– Bieżnik jest mokry. Dziś wieczorem padało. Pewnie Tuck wrócił nim z lotniska.

Poszli do salonu, żeby obejrzyć Pam Dutton. Sean wcisnął łokciem jeden z włączników, żeby zapalić światło, a następnie wyjął notes i zapisał litery widniejące na ramieniu denatki.

Michelle pochyliła się nad ciałem i obejrzała dłonie Pam.

– Ma pod paznokciami trochę krwi i naskórka. Pewnie się broniła.

– Też to zauważyłem. Miejmy nadzieję, że znajdą coś w bazie DNA.

– Czy nie powinno być więcej krwi? – zapytała Michelle.

Sean uważnie obejrzał ciało.

– Masz rację. Dywan powinien być nią przesiąknięty. Najwyraźniej przecięli jej tętnicę szyjną. Musiała się szybko wykrwawić.

Michelle pierwsza dostrzegła plastikową rurkę

wystającą poniżej łokcia kobiety.

– Czy dobrze myślę? Sean skinął głową.

– Pusta fiolka. – Spojrzał na Michelle. – Pobrali jej krew?

U Talbota była wyprzedaż. Diane Wohl wyszła z pracy przed czwartą, żeby z niej skorzystać. Chciała kupić sukienkę, kilka bluzek, może parę spodni i apaszkę. Niedawno dostała podwyżkę i miała zamiar zrobić dobry użytek z pieniędzy. W dogadzaniu sobie co jakiś czas nie było nic złego. Zaparkowała wóz w garażu centrum handlowego i pokonała pieszo czterysta stóp dzielących ją od sklepu. Wyszła dwie godziny później, przymierzywszy kilka rzeczy i kupiwszy dwie torby ciuchów. Wykonała swój obywatelski obowiązek, pobudzając tkwiącą w zastoju gospodarkę.

Wsiadła do samochodu i rzuciła torby na fotel pasażera. Była głodna, więc w drodze do domu zamierzała kupić chińskie jedzenie na wynos. Wsunęła kluczyk do stacyjki, gdy poczuła na potylicy małe metalowe kółko. Przykra woń kazała jej zapomnieć o kurczaku kung pao i zupie pomidorowej po chińsku z białym mięsem. Pomyślała, że zapach był połączeniem woni papierosów i oliwy do konserwacji broni.

– Jedź – powiedział cichy, ale stanowczy głos. – Jedź, bo będziesz trupem.

Ruszyła.

Godzinę później wyjechali za miasto. Jedyłą rzeczą, którą widziała, był asfalt z liniami pasów, sierp księżyca i ściany drzew. Diane Wohl była zupełnie sama z potworem siedzącym na tylnym siedzeniu jej hondy.

– Skręć tutaj – usłyszała.

Czuła ucisk w żołądku, a jego treść podeszła jej do gardła.

Wóz podskakiwał kilka minut na gruntowej drodze. Miała wrażenie, że drzewa przytłaczają jej samochód.

– Stój.

Diane przestawiła dźwignię zmiany biegów w pozycję „parkowanie”. Zdejmując dłoń z dźwigni, rzuciła okiem na torebkę. Miała tam komórkę. Może zdoła ją włączyć? Mogłaby sięgnąć po pęk kluczy. Wyciągnąć je i dźgnąć tamtego w oczy, jak w telewizji. Była jednak tak przerażona, że nie zdołała tego uczynić. Jej ciało dygotało, jakby cierpiała na chorobę Parkinsona.

– Wsiadaj – warknął małowówny potwór.

Nie poruszyła się.

– Jeśli chcesz samochód i pieniądze, możesz je zabrać, tylko nie rób mi krzywdy – wyjąkała, choć w gardle jej zaschło na wiór. – Błagam.

Bezduśny potwór nie dał się przekonać.

– Wsiadka. – Przycisnął lufę do jej potylicy. Pęk włosów, który zaplątał się w muszkę, wyszedł razem z cebulkami. Po jej policzkach spłynęły łzy, bo zrozumiała, że to ostatnie minuty jej życia. Czuła, jakby wszystkie zmysły wołały: Rozejrzyj się wokół. Bądź czujna. To potrwa zaledwie sekundę.

Ze sklepu Talbota prosto na śmierć na jakimś odludziu.

Otworzył drzwi i zaczęła wysiadać, przyciskając

torebkę do tułowia. Wydała stłumiony okrzyk, gdy dłoń w rękawiczce chwyciła jej torebkę. Krzyknęła i puściła, kiedy zacisnął palce wokół jej nadgarstka.

– Nie będzie ci potrzebna.

Zamknęła za sobą drzwi.

Straciła wszelką nadzieję, gdy stanął obok niej. Modliła się, żeby usiadł z przodu i zabrał jej honde zamiast życie.

Był starszy od niej, o gęstych, długich siwych włosach wyglądających na przetłuszczone i brudne. Jego twarz sprawiała wrażenie wykutej z kawałka skały, ze strumykami wyżłobionymi na całej powierzchni. Był starszy, ale potężnie zbudowany – wysoki, o szerokich barkach i ogromnych żylastych łapskach. Wydawał się przytłaczać drobną Wohl. Nawet gdyby był bezbronny, nie miałaby żadnych szans. Mierzył z pistoletu w jej głowę. Przeraziło ją, że nie miał maski na twarzy. Widziała go wyraźnie.

Ma to gdzieś, pomyślała. Nie obchodzi go, że wiem, jak wygląda. Zabije mnie. Zgwałci i zabije. I tu zostawi. Zaczęła szlochać.

– Błagam, nie rób mi krzywdy – wyszeptała, robiąc krok do tyłu, gdy ruszył naprzód.

Nie zauważyła drugiego, który stanął za jej plecami. Kiedy dotknął jej ramienia, krzyknęła i odwróciła się. Był mniejszy i żylasty, o wyraźnych latynoskich rysach twarzy. Nie zdążyła tego jednak zauważyć, bo uniósł pojemnik i jej twarz owionęła gęsta mgiełka.

Diane zakrztusiła się, wciągając powietrze, by oczyścić płuca. Nie podziałało. Straciła przytomność. Wrzucili jej ciało na tył wypożyczonej zaparkowanej w pobliżu furgonetki i odjechali.

Sean i Michelle obserwowali ze skraju pokrytego sosnowym igliwem podwórka, jak gliniarze, kryminaliści i faceci w garniturach rozbiegają się całą chmarą po ponurej rezydencji Duttonów niczym mrówki na padlinie. Pod pewnymi istotnymi względami analogia wydawała się niezwykle trafna.

Później przyjechały karetki i zabrały ocalałych członków rodziny do szpitala. Pani Dutton pozostała w środku. Jedyne lekarz, który ją później zobaczy, potnie ją jeszcze bardziej.

Mundurowi trzykrotnie przesłuchali Seana i Michelle, a później zajęli się nimi detektywi wydziału zabójstw w garniturach i krawatach. Na ich pytania udzielali szczegółowych odpowiedzi, a notatniki tamtych zapełniały się opisem strasznych wydarzeń ostatniej nocy.

Michelle spojrzała na dwa czarne sedany wjeżdżające na podjazd. Wysiedli z nich mężczyzna i kobieta.

– Co tu robi FBI? – spytała Michelle partnera.

– Czyżbym zapomniał o tym wspomnieć? Tuck Dutton jest bratem pierwszej damy.

– Pierwszej damy? Masz na myśli Jane Cox, żonę prezydenta Coxa?

Sean odpowiedział jej wymownym spojrzeniem.

– Zamordowano jej bratową i wprowadzono bratanicę?

– W każdej chwili mogą nadjechać telewizyjne wozy

transmisyjne – powiedział. – W odpowiedzi usłyszą: „Bez komentarza”.

– Chciała nas wynająć Pam Dutton? Domyślasz się dlaczego?

– Nie.

Patrzyli, jak federalni rozmawiają z miejscowymi detektywami, a następnie wchodzi do domu. Dziesięć minut później wyszli i ruszyli w stronę Seana i Michelle.

– Nie wyglądają na zbyt uszczęśliwionych naszą obecnością – zauważyła Michelle.

Faktycznie nie byli. Od pierwszej chwili stało się jasne, że federalnym trudno było uwierzyć, że zaprosiła ich Pam Dutton, a oni nie wiedzieli z jakiego powodu.

– Powiedziałem już, że byłem przyjacielem rodziny – powtórzył czwarty raz z rzędu Sean. – Pani Dutton zadzwoniła, mówiąc, że chce się z nami spotkać. Nie miałem pojęcia dlaczego. Przyjechaliśmy tu dziś wieczorem, żeby się dowiedzieć.

– O tak późnej porze?

– To ona wyznaczyła czas spotkania.

– Skoro tak dobrze pan ich zna, może domyśla się pan, kto to zrobił? – spytał jeden z agentów. Facet był średniego wzrostu, o wąskiej twarzy, potężnych barach i skrzywionej minie. Michelle pomyślała, że cierpi na wrzody żołądka albo nadwrażliwość jelit.

– Gdyby przyszło mi coś do głowy, powiedziałbym miejscowym, kiedy mnie przesłuchiwali. Czy znaleziono samochód? Moja partnerka władowała w przednią szybę

cały magazynek.

– Czemu pańska partnerka nosi broń? – spytał Skrzywiona Gęba.

Sean sięgnął powoli od kieszeni i wyciągnął dokumenty. Michelle zrobiła to samo, okazując pozwolenie.

– Prywatni detektywi? – Skrzywiona Gęba wymówił to słowo jak „pedofile”, oddając im dokumenty.

– Wcześniej pracowaliśmy w Secret Service – dodała Michelle. – Oboje.

– Macie szczęście – prychnął Skrzywiona Gęba, wskazując głową dom. – Oberwą za to, co tu się stało.

– Dlaczego? – zapytał Sean. – Rodzina pierwszej damy nie kwalifikuje się do ochrony, jeśli nie istnieje konkretne zagrożenie. Nie mogą pilnować każdego.

– Nie rozumiesz? Chodzi o odbiór społeczny. Zaszlachtowana mama, porwany dzieciak. I to zaraz po przyjęciu urodzinowym w Camp David. Pierwsza rodzina wraca bezpiecznie do domu, a ostatnia zostaje zaatakowana przez jakichś oprychów. Byłby z tego niezbyt sympatyczny nagłówek.

– Przyjęcie w Camp David? – zaciekała się Michelle.

– Ja tu zadaję pytania – odparł.

Przez kolejną godzinę Sean i Michelle z najdrobniejszymi szczegółami powtarzali to, co wcześniej widzieli i robili. Musieli przyznać, że Skrzywiona Gęba był niezwykle dokładny, chociaż ich irytował.

Na koniec wrócili do domu, by jeszcze raz obejrzyć ciało Pam Dutton. Jeden z kryminalistów fotografował z bliska plamy krwi, rany i ślady pod paznokciami Pam. Inny zapisywał na laptopie ciąg znaków wypisanych markerem na ramionach zmarłej.

– Czy ktoś wie, co oznaczają te litery? – spytała Michelle, wskazując napis. – To w jakimś obcym języku?

Jeden z mężczyzn pokręcił głową.

– W żadnym z języków, które znam.

– Może to przypadkowe litery – zasugerował Sean.

– Broniła się, pod paznokciami są ślady tkanki i krwi.

– Wskazała Michelle. – Wygląda, jakby zdołała dosięgnąć zabójcę.

– Zauważyliśmy – skwitował kwaśno Skrzywiona Gęba.

– Jaki jest stan Tucka i dzieci? – zapytał Sean.

– Wiozą ich do szpitala na obserwację.

– Jeśli ogłuszyli go, bo stawiał opór, facet mógł coś zauważyć – powiedział jeden z agentów.

– Taak. Z drugiej strony, jeśli coś widział, czemu nie potraktowali go tak samo jak żony – powiedziała Michelle. – Dzieci odurzono, pewnie niczego nie widziały, ale czemu pozostawili przy życiu naocznego świadka?

Skrzywiona Gęba zachował kamienną twarz.

– Jeśli zechcę z wami pomówić, z pewnością to zrobię. Mam nadzieję, że znajdę was pod podanym adresem.

– Bez problemu – zapewnił go Sean.

– Świetnie – skwitował Skrzywiona Gęba, opuszczając miejsce zbrodni ze swoim zespołem.

– Wracajmy do miasta – powiedział Sean.

– Jak? Ostrzelali twój wóz. Nie zauważyłeś?

Sean wyszedł przed dom i spojrzał na swojego zniszczonego lexusa, by chwilę później odwrócić się i posłać jej gniewne spojrzenie.

– Słuchaj, mogłaś powiedzieć mi o tym wcześniej.

– Faktycznie, miałam przecież mnóstwo czasu.

– Zadzwoń do AAA³, co ty na to?

Kiedy czekali na pomoc, powiedziała:

– Zostawimy to tak?

– Jak?

Wskazała dom Duttonów.

– Jeden z tych drani próbował mnie zabić. Nie wiem jak ty, ale ja odbieram takie rzeczy bardzo osobiście. Poza tym Pam chciała nas wynająć. Myślę, że jesteśmy jej winni zajęcie się tą sprawą i doprowadzenie jej do końca.

– Michelle, nie wiemy, czy powód, dla którego nas wezwała, miał cokolwiek wspólnego z jej śmiercią.

– Jeśli tak, uznałabym to za zdumiewający przypadek.

– Zgoda, tylko co możemy zrobić? Policja i FBI prowadzą śledztwo. Niewiele nam pozostało.

– Nie zauważyłam, żeby cię to wcześniej powstrzymało – odparła zadziornie.

– Tym razem jest inaczej.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział.

– Sean?

– Słyszałem!

– Czemu tym razem jest inaczej?

– Bo w sprawę są zamieszani inni ludzie.

– Kto? Duttonowie?

– Nie. Pierwsza dama.

– Dlaczego? Jaki ona ma z tym związek?

– Duży, Michelle. Ta babka po prostu się liczy.

– Mówisz, jakbyś ją znał.

– Bo znam.

– Skąd?

Ruszył przed siebie.

– Nie zaczekasz na AAA?! – zawołała za nim, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Sam Quarry kochał swoją posiadłość, a właściwie to, co z niej zostało. Plantacja Atlee należała do jego rodziny od ponad dwustu lat. Kiedyś na ogromnych połaciach ziemi mozoliły się setki niewolników. Dziś na marnych dwustu akrach pracowali meksykańscy robotnicy najemni. Dom na plantacji miał już za sobą czasy świetności, choć nadal pozostał rozległy i nadawał się do zamieszkania, jeśli komuś nie przeszkadzał dziurawy dach, przeciągi i myszy smyrgające po zmurszałych drewnianych podłogach. Stare deski pamiętały buciory konfederackich generałów, a nawet samego Jeffersona Daviesa, który zabawił tu przelotnie podczas nadciągającej klęski. Quarry doskonale znał tę historię, ale nigdy się nią nie upajał. Człowiek nie wybiera sobie rodziny ani przeszłości.

Miał sześćdziesiąt dwa lata i gęste siwe włosy, które na tle skóry ogorzałej od słońca sprawiały wrażenie równo pobielonych. Długie kości, mocna budowa ciała i rozkazujący głos czyniły go człowiekiem otwartych przestrzeni z konieczności i wyboru. Żył z ziemi, choć równą radość sprawiało mu zajęcie myśliwego, rybaka i ogrodnika-amatora. Lubił się nazywać człowiekiem ziemi.

Siedział za zagraconym, porysowanym biurkiem w bibliotece. Za tym samym biurkiem pokolenia mężczyzn z rodu Quarrych garbiły plecy, podejmując ważne decyzje wpływające na życie innych ludzi. W przeciwieństwie do

niektórych przodków, którzy sprawowali niedbały nadzór nad majątkiem, Sam Quarry poważnie traktował swoje obowiązki. Z trudem zapewniał utrzymanie sobie i ludziom, których zatrudniał. Jednak tak naprawdę chodziło o coś więcej. Atlee było wszystkim, co mu pozostało.

Przeciągnął się i położył szerokie, pokryte odciskami i poczerwieniałe od słońca dłonie na płaskim brzuchu. Spoglądając na kiepskie por tetry i ziarniste czarno-białe fotografie męskich przodków wiszące na ścianie, zaczął analizować swoje położenie. Należał do ludzi, którzy dawali sobie czas na dogłębne przemyślenie sprawy. Prawie nikt już tak nie postępował, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych czy baronowie Wall Street, nie wspominając o zwyczajnych mężczyznach i kobietach. Liczyła się szybkość. Wszyscy chcieli mieć wszystko na wczoraj. Z powodu zniecierpliwienia odpowiedzi, których udzielali, zwykle okazywały się błędne.

Choć nie poruszył się od trzydziestu minut, jego umysł pracował nieprzerwanie.

W końcu pochylił się naprzód, włożył rękawiczki i pod czujnym okiem dziadka i swojego imiennika, Samuela W. Quarry'ego, który stał na czele ruchu obrony praw obywatelskich w Alabamie, a teraz łąpał na niego z ram portretu, zaczął uderzać w wyblakłe klawisze starej maszyny do pisania IBM selectric. Wiedział, jak posługiwać się komputerem, ale nigdy go nie kupił, choć zaopatrzył się w komórkę. Słyszał, że można wykraść

dokumenty z komputera, nawet jeśli człowiek przebywał w innym kraju. Kiedy chciał z niego skorzystać, udawał się do miejscowej biblioteki. Aby wyciągnąć jego myśli z IBM selectric, musieliby urządzić najście na Atlee, a poważnie wątpił, by wówczas zdołaliby ujść z życiem.

Skończył wystukiwać pismo dwoma palcami i wyciągnął kartkę. Ponownie przeczytał zwięzłą wiadomość, a następnie wsunął ją do koperty, używając do zaklejenia odrobiny wody ze szklanki stojącej na biurku zamiast śliny. Nie zamierzał dostarczać im śladów, po których mogliby go odnaleźć – DNA w ślinie ani żadnych innych.

Wsunął kopertę do szuflady biurka i zamknął niemal stuletnim kluczem, który nadal znakomicie się sprawował. Wstał i ruszył do drzwi, na dwór, żeby skontrolować swoje małe popadające w ruinę królestwo. Minął Gabriela, chuderlawego jedenastoletniego czarnucha, którego matka, Ruth Ann, pracowała u niego jako gosposia. Poklepał chłopaka po głowie i wetknął w garść zwinięty banknot oraz stary znaczek do jego kolekcji. Gabriel był bystrym młodzieńcem, który mógłby podjąć naukę w college'u, a Quarry postanowił, że spróbuje mu w tym pomóc. Nie podzielał uprzedzeń społecznych swojego dziadka i ojca, który czcił George'a Wallace'a, a przynajmniej George'a Wallace'a niepokornego, polityka wielkiego formatu, który „wiedział, jak utrzymać w ryzach kolorowych”.

Sam Quarry uważał, że wszyscy ludzie mają zalety i

wady, i że fakt ten nie ma nic wspólnego z kolorem skóry. Jedna z jego z córek wyszła nawet za kolorowego, a Sam oddał mu ją bez żalu. Obecnie byli rozwiedzeni, a Quarry nie widział ani jej, ani jego od lat. O rozpad związku nie obwiniał barwy skóry zięcia. Z jego najmłodszą córką faktycznie cholernie trudno było wytrzymać.

Przez dwie godziny objeżdżał posiadłość sfatygowaną zardzewiałą furgonetką dodge o imponującym przebiegu dwustu tysięcy mil. Na koniec zajechał przed nadszarpniętą zębem czasu przyczepę kempingową airstream z postrzępioną markizą. W przyczepie znajdowała się mała łazienka z toaletą, kuchenka na propan, obudowana lodóweczka, podgrzewacz wody, mała sypialnia i klimatyzacja. Quarry nabył przyczepę drogą handlu wymiennego od hurtownika płodów rolnych, któremu podczas zbiorów skończyła się gotówka. Doprowadził do niej podziemny kabel od skrzynki przyłączonej na wielkiej stodole, więc miał w niej prąd.

Pod markizą siedzieli trzej mężczyźni z plemienia Koasati. Quarry doskonale znał dzieje rdzennych Amerykanów zamieszkujących Alabamę. Koasati żyli przez wieki w północnej części Alabamy, sąsiadując od wschodu z Muskogee, Krikami i Czirokezami oraz od zachodu z Czikasawami i Czoktawami. Po wielkim przesiedleniu Indian w dziewiętnastym wieku większość rdzennych Amerykanów wypędzono z Alabamy, przenosząc ich siłą do rezerwatów w Oklahomie i

Teksasie. Niemal wszyscy posługujący się językiem plemienia Koasati mieszkali dziś w Luizjanie, choć niektórym udało się powrócić do stanu dzięcioła różowoszyjnego.

Jeden z nich wrócił tu kilka lat temu, długo po tym, gdy Quarry odziedziczył Atlee po ojcu. Quarry dał mu na dom przyczepę kempingową. Dwaj pozostali byli tu około sześciu miesięcy. Quarry nie wiedział, czy mają zamiar zabawić dłużej. Lubił ich, a oni zdawali się go tolerować. Z zasady nie ufali białym, ale pozwalali mu wpadać z wizytą i przebywać w swoim towarzystwie. Formalnie rzecz biorąc, ziemia należała do niego, choć Indianie Koasati mieszkali na niej, zanim pierwszy Quarry czy jakikolwiek biały postawił swoją stopę w Alabamie.

Usiadł na pustaku przykrytym gumową matą grubości cala, pił piwo, palił skręty i dzielił się opowieściami. Ten, któremu Quarry podarował przyczepę, nazywał się Fred. Fred był przynajmniej dziesięć lat starszy od Quarry'ego lub coś koło tego. Był drobny i przygarbiony, o prostych siwych włosach i twarzy przypominającej oblicze rzeźby Remingtona. Mówił i pił najwięcej ze wszystkich. Był wykształconym człowiekiem, ale Quarry niewiele wiedział o jego przeszłości.

Rozmawiał z tamtymi w ich języku, choć jego znajomość narzecza Koasati była ograniczona. Mogliby zrobić wyjątek, dostosowując się do niego i rozmawiając po angielsku. Z drugiej strony nie miał pretensji, że tego nie zrobili. Biały człowiek paskudnie przysłużył się

Indianom. Quarry zachował ten pogląd dla siebie, bo tamci nie lubili współczucia. Mogliby zabić z tego powodu.

Fred zabawiał się snuciem opowieści o tym, skąd Koasati wzięli swoją nazwę.

– Koasati znaczy zaginione plemię. Dawno temu nasz lud opuścił to miejsce w dwóch grupach. Pierwsza zostawiała ślady, którymi miała podążać druga, ale nad brzegiem Missisipi wszystkie ślady zniknęły. Druga grupa kontynuowała wędrówkę i napotkała ludzi, którzy nie posługiwali się naszym językiem. Nasi powiedzieli im, że się zgubili. W naszym języku *koasai* znaczy „zgubiliśmy się”, więc tamci doszli do wniosku, że nasi to Koasati, zaginione plemię.

– Wiesz, Fred, tak po prawdzie wszyscy w jakimś sensie się zgubiliśmy – zauważył Quarry, który słyszał tę historię ze dwanaście razy.

Godzinę później, kiedy promienie słońca sprawiły, że pod markizą zrobiło się gorąco jak w piecu, Quarry wstał, otrzepał spodnie i uchylił kapelusza, obiecując, że wkrótce znowu do nich zajrzy. Zajrzy i przyniesie butelczynę czegoś mocniejszego, kolby kukurydzy i koszyk jabłek. A do tego papierosy. Woleli sklepowe papierosy od skrętów, ale nie mogli sobie na nie pozwolić.

Fred podniósł głowę i spojrzał na niego. Jego twarz była jeszcze bardziej szorstka i pomarszczona od twarzy Quarry'ego. Wyciągnął skręta z ust, podszedł i po dłuższym ataku kaszlu poprosił:

– Przywieź te bez filtra. Lepiej smakują.

Quarry wyruszył w długą podróż gruntowymi drogami, które były tak zryte koleinami, że chygotały starą furgonetką z boku na bok. Quarry ledwie zwracał na to uwagę. Tak już tu było.

Po pewnym czasie droga się skończyła.

Zajechał przed mały dom.

Właściwie nie był to dom. Nikt w nim nie mieszkał, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Nawet gdyby mieszkał, nie było to miejsce, w którym dałoby się przeżyć dłuższy okres, bo była to w istocie jedna izba z dachem i drzwiami.

Quarry rozejrzał się wokół, ale nie zauważył niczego oprócz ziemi i drzew. Drzew i kawałka błękitnego nieba Alabamy, piękniejszego od każdego nieba, jakie Quarry oglądał w życiu. Z pewnością piękniejszego do nieba w Azji Południowo-Wschodniej, ale tam na horyzoncie zawsze widać było ogień dział przeciwlotniczych wycelowanych w niego i jego phantoma F-4 amerykańskich sił powietrznych.

Podszedł do domku i wspiął się na werandę. Sam zbudował ten przybytek. Dom nie znajdował się na terenie posiadłości Atlee, ale stał kilka mil dalej, na działce, którą jego dziadek kupił, nie wiadomo po co, siedemdziesiąt lat temu i na której nigdy nic nie zrobił. Działka znajdowała się na zadupiu, co idealnie odpowiadało zamiarom Quarry'ego. Dziadek musiał być pijany, kiedy kupował ten skrawek piaszczystej ziemi, ale akurat to zdarzało mu

się często.

Dom miał powierzchnię marnych dwustu dwudziestu pięciu stóp kwadratowych, ale był wystarczająco duży dla celów Quarry'ego. Jedyne pozbawione paneli drzwi miały typową szerokość trzech stóp i osadzono je na prostych mosiężnych zawiasach. Włożył klucz i otworzył, ale nie wszedł od razu do środka.

Cztery ściany były o dwa i ćwierć cala grubsze od normalnych, choć trzeba by bystrego oka, żeby to zauważyć. Za zewnętrznymi ścianami mur pokrywały grube stalowe płyty, co nadawało małemu domkowi niewiarygodną wytrzymałość. Quarry zespawał je palnikiem acetylenowo-tlenowym. Każdy spaw był istnym dziełem sztuki. Pewnie wytrzymałyby frontalne uderzenie tornada, może nawet nie poradziłby sobie z nimi sam młot Boga.

Zanim wszedł, wpuścił do środka świeże powietrze. Kiedyś popełnił błąd i tego nie zrobił. Niemal stracił wtedy przytomność, przechodząc ze środowiska wypełnionego tlenem do tego, które było go właściwie pozbawione. W domku nie było okien. Podłogę wykonano z drewnianych desek grubości dwóch cali. Wygładził je papierem ściernym, więc nie było na nich ani jednej drzazgi. Zamiast drzazg między każdą z desek była szpara szerokości ósmej części cala, ledwie dostrzegalna gołym okiem.

Niezwykłe było także to, co znajdowało się pod podłogą. Quarry był przekonany, że żaden amerykański

dom nie miał takiego fundamentu. Od wewnątrz ściany pokrywał tynk nakładany ręcznie na gęstą siatkę. Dach przytwierdzono do ścian tak mocno, jakby był częścią tankowca. Quarry użył niezwykle wytrzymałych śrub i łącz, aby zapewnić mu właściwą siłę i zapobiec wszelkim przesunięciom. Dom miał betonowy fundament, pod którym biegł niski korytarz wysokości szesnastu cali. Choć wszystko się podniosło o tę wysokość, weranda to skutecznie maskowała.

W środku znajdowały się proste sprzęty: łóżko, krzesło i prądnica akumulatorowa oraz trochę sprzętu ustawionego przy jednej ze ścian. Quarry zszedł z werandy, żeby nasycić oczy swoim dziełem. Każde połączenie kątowe w ścianach było idealne, choć zwykle pracował w świetle żarówek zasilanych z prądnicy, wyrównując słupki i belki stropowe na kozłach, ze wzrokiem utkwionym w linii cięcia. Pracował mozolnie w upale, ale jego ręce i umysł umacniały dwie najsilniejsze ludzkie emocje.

Nienawiść i miłość.

Skinął głową z zadowoleniem. Odwalił kawał dobrej roboty. Konstrukcja była solidna, tak doskonała, jak zamierzał. Dom wyglądał niepozornie, ale był niezwykłym dziełem inżynierii. Nieźle jak na chłopaka z głębokiego Południa, który nigdy nie był w college'u.

Spojrzał na zachód, gdzie w drzewie chroniącym przed promieniami słońca i ciekawskimi oczami znajdowała się kamera. Zaprojektował i zbudował także

ją, bo rzeczy, na które było go stać, nie były wystarczająco dobre i niezawodne. Ukryta między liśćmi i gałęziami kamera miała idealny widok na tę część terenu, którą należało obserwować.

Quarry wyźłobił otwór i długie wycięcie w tylnej części pnia, puszczając nim kabel kamery, a następnie przykleił klejem kawałki kory, tak że stał się zupełnie niewidoczny. Wkopał kabel w ziemię i poprowadził go kilkaset stóp do naturalnego nasypu, który podobnie jak drzewo nie nosił żadnych śladów ludzkiej działalności.

Spod nasypu wychodził kolejny podziemny przewód biegnący pod małym domkiem w środku rury z polichlorku winylu, którą Quarry położył przed wylaniem fundamentów. Kabel miał na końcu podwójny rozdzielacz sygnałów. Wszystko zostało ukryte za ołowianą powłoką, którą pokrył metalowe płyty na ścianach.

Zamknął drzwi domku i wsiadł do swojego starego dodge'a. Musiał się jeszcze gdzieś udać, ale nie mógł tego zrobić furgonetką.

Spojrzał na piękne niebo Alabamy. Ładny dzień na przejażdżkę samolotem.

Godzinę później stara czteromiejscowa cessna ruszyła krótkim pasem startowym i wzbiła się w powietrze. Quarry spojrział w dół na granice swojej ziemi, które zbliżały się ku niemu w szybkim tempie. Choć dwieście akrów wydawało się sporym kawałkiem ziemi, w istocie nie było to wiele.

Leciał nisko, czujnie wypatrując ptaków, innych samolotów i helikopterów. Nie zawracał sobie głowy sporządzaniem planu lotu, więc czujna obserwacja była podstawą.

Godzinę później obniżył pułap i wylądował na prywatnym pasie startowym, by osobiście zatankować maszynę. Nie było tam imponujących korporacyjnych odrzutowców, lecz blaszane otwarte hangary, wąski pas startowy, rękaw lotniskowy i samolot podobny do jego maszyny – stary i połatany, ale otoczony miłością i szacunkiem. I równie tani, jak cessna, którą Quarry kupił wiele lat temu od drugiego właściciela, choć obecnie nie byłoby go na nią stać.

Latał od czasu, gdy wstąpił do amerykańskich sił powietrznych. Wówczas na potężnym phantomie F-4 nad ryżowymi poletkami i podmokłą dżunglą Wietnamu. Potem latał nad Laosem i Kambodżą, zrzucając bomby i zabijając ludzi, bo taki dostał rozkaz w fazie wojny, która, jak się później okazało, nie została nawet oficjalnie wypowiedziana. Było mu to obojętne. Żołnierze wykonują

rozkazy. Nie bawił się w domysły, kiedy pruł wysoko, ostrzeliwany przez żołtków.

Wspiał się do małej cessny, otworzył przepustnicę i ponownie poszybował w niebo. Leciał przed siebie, wbijając się w łagodny przeciwny wiatr wiejący z prędkością nieprzekraczającą pięciu węzłów na godzinę.

Kilka minut później przymknął przepustnicę, pchnął drążek sterowy do przodu i położył maszynę na zstępujących prądach termicznych. Wy lądowanie na terenie jego drugiej posiadłości nie było łatwe, bo znajdowała się w górach i nie miała pasa, a jedynie długi kawał trawy, który osobiście wyrównywał i kosił. Teren był twardy i płaski, ale boczne podmuchy i uskoki wiatru powodowały, że manewr lądowania mógł stanowić nie lada wyzwanie. Wydał policzki i zacisnął mocne dłonie na drążku, schodząc w dół, całkowicie otworzywszy klapy. Koła dotknęły ziemi, odbiły się i dotknęły ponownie, powodując, że słabe podwozie maszyny zadrżało. Wreszcie za trzecim razem nie odbiły się od ziemi. Quarry z całej siły nacisnął pedały, zapierając się piętami i uruchamiając hamulec w przednim kole. Hamulce i klapy zatrzymały maszynę tuż przed końcem prowizorycznego trawiastego pasa.

Quarry wcisnął pedały, poruszając wewnętrznymi klapami i kierując samolotem. Kiedy odwrócił maszynę i wyłączył silnik, wygramolił się z kabiny, chwyciwszy plecak i związane sznurkiem trójkątne klocki do blokowania kół, które trzymał w kabinie. Wsunął je pod

koła lekkiej cessay, żeby ją unieruchomić, i ruszył długimi krokami na usiane skałami zbocze. Wyciągnął pęk kluczy z kieszeni kurtki i poszukał właściwego, a następnie otworzył grube drewniane drzwi wstawione w zbocze góry. Drzwi były właściwie niewidoczne za głazami, które zsunął z pobliskiej skalnej wychodni i solidnie umocował.

Przez dziesiątki lat jego dziadek eksploatował złoża węgla ukryte we wnętrzu góry, a właściwie robili to jego lichy opłacani robotnicy. Jako dziecko Quarry przyjechał tu razem z nim. Przybyli drogą, która była przejezdna jeszcze do wczoraj, kiedy Quarry ją zablokował. Właśnie tą drogą wywrotki wywoziły węgiel, kiedy kopalnia działała. Tędy też przywiózł rzeczy, których miał wkrótce potrzebować, bo nie zmieściłyby się do małego samolotu.

Ten fragment góry nie zawsze był kopalnią. Podziemne rzeki i inne siły geologiczne wyłobiły w jej wnętrzu potężne jaskinie. Na długo przedtem, zanim zaczęto wydobywać tu węgiel, podczas wojny secesyjnej konali w nich powolną śmiercią więźci do niewoli żołnierze Unii. Dożywali ostatnich dni bez słońca i świeżego powietrza. Ciało odpadało od kości, pozostawiając jedynie szkielety.

W szybach założono oświetlenie, ale Quarry nie używał go bez wyraźnej potrzeby. Energia pochodziła z prądnicy, a paliwo było drogie. Quarry oświetlał sobie drogę starą latarką. Tą samą, której jego ojciec używał do tropienia „hardych” czarnuchów na mokradłach Alabamy.

Jako dziecko Quarry podpatrywał, jak staruszek wracał nocą do domu podekscytowany dziełem nienawiści, którego dokonał razem z kamratami. Czasami widział na jego rękawach i dłoniach krew ofiar. Ojciec paplał, żłopiając whisky, podczas upiornego świętowania męźnych czynów, za jakie uważał zabijanie ludzi wyglądających inaczej niż on.

– Stary nienawistny drań – mruknął przez zaciśnięte zęby Quarry. Gardził nim za cierpienie, którego przysporzył innym, nie na tyle jednak, by wyrzucić zupełnie dobrą latarkę, która po nim została. Kiedy masz niewiele, dbasz o to.

Otworzył kolejne drzwi w kamiennej ścianie jednego z głównych szybów. Sięgnął po lampę akumulatorową stojącą na półce. Włączył ją i umieścił na stole pośrodku izby. Rozejrzał się wokół, podziwiając swoje dzieło. Wykuł to solidne pomieszczenie i sam założył gipsowe płyty. Każda ściana była idealnie pionowa i pomalowana jasnoniebieską farbą o terapeutycznych właściwościach. Dostał wszystkie materiały darmo od zaprzyjaźnionego przedsiębiorcy budowlanego, któremu zostały z różnych placów budów i których nie miał gdzie trzymać. Za ścianami była skała, ale gdyby ktoś rozejrzał się wokół, pomyślałby, że jest w jakimś domu. I właśnie o to chodziło.

Podszedł do kąta i spojrzał na kobietę, która siedziała bezwładnie na krześle. Spała z głową opartą na ramieniu. Trącił ją w ramię, ale nie zareagowała. Miał dość

czekania.

Podwinął jej rękaw, wyciągnął z plecaka sterylną igłę i wbił ją w ramię. To ją obudzi. Otworzyła powieki i powoli skupiła na nim wzrok. Kiedy go ujrzała, otworzyła usta do krzyku, ale taśma na ustach stłumiła głos.

Uśmiechnął się do niej, sprawnie napełniając krwią dwie fiołki. Spojrzała z przerażeniem na to, co robi, ale była mocno przywiązana do krzesła.

– Wiem, że uzna to pani za dziwne, ale proszę uwierzyć, że robię to w słusznej sprawie. Nie chcę wyrządzić krzywdy pani ani nikomu innemu. Zrozumiała pani?

Wyciągnął igłę. Przyłożył do skóry wacik ze spirytusem, a następnie starannie nakleił plaster.

– Zrozumiała pani? – powtórzył, uśmiechając się zachęcająco.

W końcu przytaknęła.

– Dobrze. Przykro mi, że musiałem pobrać trochę pani krwi, ale jest mi naprawdę potrzebna. Teraz panią nakarmimy i umyjemy. Nie będzie pani związana. Będzie pani miała nieco swobody. Chyba pani rozumie, dlaczego było to konieczne. Mam namyśli skrepowanie. Tak?

Spojrzała mu w oczy i ponownie skinęła głową mimo przerażenia.

– Dobrze. Proszę się nie bać. Wszystko się dobrze skończy. Nie będzie żadnych numerów. Jest pani kobietą i tak dalej. Rozumie pani? Przyrzekam. – Delikatnie uścisnął jej ramię.

Poczuła, że kąciki jej ust podnoszą się w uśmiechu.

Włożył fiolki do plecaka i odwrócił się plecami.

Przez chwilę myślała, że nagle się odwróci i ze śmiechem maniaka wpakuje jej kulkę w głowę lub poderżnie gardło.

Ale on po prostu wyszedł z pomieszczenia.

Diane Wohl rozejrzała się wokół, nie mając pojęcia, gdzie jest, dlaczego się tu znalazła i czemu człowiek, który ją porwał, przed chwilą pobrał jej krew. Pojechała na zakupy do Talbota i znalazła go w swoim samochodzie z pistoletem, a teraz była tutaj, czyli nie wiadomo gdzie.

Zaczęła szlochać.

Sean King siedział w ciemności. Światło sprawiło, że zasłonił oczy i spojrzał na intruza, mrużąc powieki.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że tu jesteś – powiedziała Michelle, choć jej głos wcale nie brzmiał przepraszająco.

– Zdrzemnąłem się – wyjaśnił.

Przysiadła na krawędzi biurka.

– Będiesz się dąsał? Nie odpowiadał na pytania? Spał w biurze? Siedział w ciemności? Czyżbym dostrzegła w tym znajomy schemat?

Przysunął jej gazetę.

– Czytałaś?

– W Internecie. Większość faktów przedstawiono zgodnie z prawdą. Na zdjęciu wyglądasz na zamyślonego, i dobrze.

– To fotografia z czasów, gdy pracowałem w Secret Service.

– Tak pomyślałam, że wyglądasz dziwnie młodo.

– Reporterzy wydzwanają bez przerwy. Odkładam słuchawkę.

– Nie poprzestają na dzwonieniu. Zaparkowali wozy przed naszym biurem. Weszłam od tyłu. Myślę, że któryś mnie zauważył, więc pewnie obstawili i te drzwi.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju, stawiając długie kroki.

– Chcesz pogadać? – zapytała.

Zatrzymał się i wyprostował zmarszczkę na dywanie czubkiem mokasy na.

– O czym? O kobiecie z podejrzanym gardłem i porwanym dzieciaku? A może o czymś, co rozgrywa się w twojej głowie?

Zaczął ponownie chodzić, pochylając głowę i dotykając brodą piersi.

– Powiedziałeś, że znasz pierwszą damę. Skąd? Odszedłeś z Secret Service, zanim Coxowie wprowadzili się do Białego Domu. Daj spokój, powiedz prawdę.

Otworzył usta, by odpowiedzieć, kiedy zadzwonił telefon. Odwrócił, ale Michelle sięgnęła po słuchawkę.

– King i Maxwell. Węszenie to nasza specjalność, więc nie musisz tego robić. – Nagle przerwała. – Przepraszam! Ja... tak, oczywiście. Jest u siebie.

Podawała mu telefon.

– Nie chcę z nikim gadać.

– Tej osobie nie odmówisz.

– Kto dzwoni?

– Jane Cox – wyszeptała.

Sean przyłożył słuchawkę do ucha.

– Pani Cox? – Zaczął słuchać, rzucając Michelle zakłopotane spojrzenie. – W porządku, Jane.

Michelle uniosła brwi, przypatrując się uważnie współnikowi.

– Wiem. To straszne. Willa, tak. Oczywiście. Tak. To prawda. Dobrze zrozumiałaś. Rozmawiałaś z Tuckiem? Rozumiem. Oczywiście. Rozumiem. Co? – Spojrzał na

zegarek. – Oczywiście, zdążymy. – Spojrzał na Michelle.
– Jest moją współpracowniczką. Pracujemy razem, ale...
Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Michelle.

– Jeśli zamkniesz się w sobie i zaczniesz znowu łązić
po pokoju, przysięgam na Boga, że walnę cię kolbą! –
prychnęła. – Co powiedziała?

– Chce się z nami spotkać.

– Spotkać? Gdzie?

– W Białym Domu.

– Dlaczego? Czego od nas chce? Żebyśmy jej
opowiedzieli, co widzieliśmy ostatniej nocy?

– Niezupełnie.

– W takim razie o co chodzi?

– Chyba chce nas wynająć, żebyśmy ustalili, kto to
zrobił.

– Chce nas wynająć pierwsza dama? Czemu? Ma na
swoje usługi całe pieprzone FBI.

– Najwyraźniej nie chce skorzystać z ich usług. Chce
nas.

– Nie jestem głucha. Tak naprawdę chce ciebie.

– Myślisz, że damy radę zgubić reporterów?
Wolałbym nie ciągnąć ich za sobą na Pennsylvania
Avenue.

Michelle wstała i sięgnęła po kluczyki.

– Takie pytanie jest dla mnie obraźliwe.

Sam Quarry uchylił drzwi i zajrzał do środka. Mała siedziała przy stole, pochylona nad talerzem płatków śniadaniowych. Odwróciła raptownie głowę i skoczyła na równe nogi, cofając się pod ścianę.

Wszedł do środka, nie zamykając za sobą drzwi.

– Nie bój się, Willa.

– Nie jestem głupia. Boję się wszystkiego, a najbardziej ciebie!

Jej policzki zadrżały, a w kącikach oczu błysnęły łzy strachu.

Quarry sięgnął po krzesło i usiadł.

– Chyba ja też powinienem się bać, ale nie zrobię ci krzywdy. Rozumiesz?

– Możesz mówić, co chcesz. Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? Jesteś przestępcą, a przestępcy kłamią cały czas. Dlatego są przestępcami.

Quarry skinął głową.

– Myślisz, że jestem przestępcą?

– Tak. Porwałeś mnie. Za coś takiego idzie się do więzienia.

Ponownie skinął głową i spojrzał na talerz.

– Płatki nie są zbyt rozmiękle? Przepraszam, ale mamy tu tylko mleko w proszku.

Nadal stała pod ścianą.

– Czemu to zrobiłeś?

– Co? Czemu cię tu przywiozłem?

– A o co innego mogłoby mi chodzić w takich okolicznościach?

Logiczność jej rozumowania sprawiła, że się uśmiechnął.

– Słyszałem, że jesteś bystra.

– Gdzie jest moja rodzina? Pytałam tego drugiego, ale nie odpowiedział. Mruknął tylko coś pod nosem.

Quarry wyciągnął chusteczkę i otarł twarz, próbując ukryć głęboką odrazę.

– Czemu nosisz lateksowe rękawiczki? – zapytała, patrząc na jego dłonie.

– Słyszałaś o egzemie?

– Tak.

– Jestem chory i nie chcę nikogo zarazić.

– Zapytałam cię o rodzinę – powiedziała poważnym głosem. – Czy są cali? Odpowiedz mi!

– Mają się dobrze, ale jestem przestępcą, więc pewnie kłamię.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła.

– Nie mogę mieć o to pretensji.

– Zrobiłeś to z powodu ciotki? – spytała nagle.

– Twojej ciotki? – odpowiedział niewinnym głosem.

– Nie traktuj mnie jak idiotki. Moją ciotką jest Jane Cox, a wuj jest prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Racja. Masz całkowitą rację.

– Chodzi o niego?

– Przepraszam, ale nie odpowiem na to pytanie.

Willa uniosła rękaw bluzki, odsłaniając plaster w

okolicy zgięcia łokcia.

– Czemu to mam?

– Musiałaś się skaleczyć.

– Oglądałam. Wygląda na ślad po igle.

Spojrzał ponownie na talerz i łyżkę.

– Skończyłaś?

– Chodzi o mego wuja?! – prychnęła.

– Wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy, Willa. Nie chcę zrobić ci krzywdy. To prawda, że złamałem prawo i przywiozłem cię tutaj, choć wolałbym, abyś stąd wyszła i wróciła do domu. Skoro jednak tu jesteś, myślę, że powinniśmy jakoś ułożyć nasze relacje. Wiem, że to trudne, ale tak już musi być. Tak będzie lepiej dla mnie... – spojrzał na nią przenikliwie – i dla ciebie.

Sięgnął po łyżkę i talerz, a następnie ruszył w kierunku drzwi, przyciskając je do piersi.

– Powiesz mojej mamie i tacie, że nic mi nie jest? – spytała nieco łagodniejszym tonem.

Odwrócił się w jej stronę.

– Z pewnością.

Ostatnie słowa sprawiły, że jego gniew niedostrzegalnie wzrósł.

Kiedy odszedł, Willa usiadła na pryczy w rogu pokoju i powoli rozejrzała się dookoła. Choć rozmawiała z nim buńczucznie, nie przepelniała jej szczególna odwaga. Była przerażona i chciała zobaczyć rodzinę. Gdy zaczęła analizować różne straszne scenariusze, po policzkach zaczęły spływać łzy. Później zaczęła się

modlić i głośno rozmawiać z mamą i tatą. Powiedziała swojemu bratu i siostrze, że ich kocha, chociaż wchodzą do jej pokoju bez pukania i robią bałagan.

Otarła łzy, próbując skupić myśli. Nie wierzyła w to, co powiedział o rękawiczkach, egzemie i śladzie na jej ręce. Była przekonana, że to, co się stało, ma związek z jej ciotką i wujem. Czy mógł być inny powód? Pod innymi względami byli całkiem zwyczajną rodziną. Zaczęła chodzić po pokoju, cicho nucąc pod nosem. Robiła tak zawsze, gdy była zmartwiona lub przerażona.

– Będzie dobrze – powtarzała sobie, gdy nie mogła dłużej śpiewać. Położyła się na pryczy i przykryła kocem, ale zanim zgasiła światło, spojrzała w stronę drzwi. Wstała, przeszła przez pokój i przyjrzała się im.

Dopiero teraz dostrzegła solidny zamek z zasuwą. Miejsce lęku zajęła słaba iskierka nadziei.

Quarry schodził górniczym szybem, przesuając dłonią po czarnej skale tam, gdzie widać było resztki starego bitumicznego węgla. Otworzył drzwi prowadzące do innego pomieszczenia. Gdy znalazł się w środku, usiadł przy stole i wyjął z plecaka fiolki z krwią, oznaczając je etykietkami opatrzonymi numerami. Z półki wiszącej na ścianie zdjął pudełko i je otworzył. W środku leżały inne fiolki. W jednych była krew Pam Dutton, której ciało spoczywało teraz w kostnicy w Wirginii. W innych znajdowała się krew Willi, którą pobrał, gdy była nieprzytomna.

Oznaczył fiolki Pam i Willi Dutton numerami, a następnie umieścił w chłodnym pojemniku wypełnionym paczkami z lodem. Następnie wsunął talerz i łyżkę Willi do plastikowej torby i włożył do innego pojemnika.

W porządku, po robocie. Teraz musiał się zająć przykrym obowiązkiem.

Wstał i otworzył metalową szafę z bronią, którą przywiózł tu furgonetką. W środku były automatyczne i półautomatyczne pistolety, strzelby powtarzalne, karabiny, celowniki optyczne, dwa MP5 oraz kilka kałasznikowów z zapasową amunicją. Szafa stanowiła ucieleśnienie gorącego entuzjazmu, którym kilka pokoleń mężczyzn z jego rodziny darzyło drugą poprawkę do konstytucji. Przyjrzał się uważnie kolekcji, zatrzymując wzrok na pistolecie Cobra .45 wyprodukowanym przez

Cobra Enterprises Patriot. Zaciśnął dłoń na pokrytej polimerem ręczce, wsuwając wystający magazynek na siedem standardowych pocisków. Była to lekka, a jednocześnie potężna broń. Pociągnięcie spustu wymagało nacisku dwunastu funtów. Z powodu kiepskiego wyważenia pistoletu i pocisków kalibru .45 nie była to broń najprzyjemniejsza w użyciu, choć wygodna, bo lekka i skuteczna na małą odległość.

Zgrabny, niewielki pistolet do obrony osobistej, jednak Quarry zamierzał go użyć w innym celu. Dłoń zaciśnięta na rękojeści zaczęła się pocić.

W magazynku było siedem pocisków, ale wiedział, że będzie potrzebował tylko dwóch. Nie sprawi mu to przyjemności. Ani odrobiny.

Ruszył wydrążonym w skale korytarzem, przygotowując się do tego, co miał zrobić. Jego ojciec i dziadek polowali na ludzi, choć wiedział, że nie zaliczali czarnych w poczet istot ludzkich. Pewnie zabijali ich bez większego zastanowienia, jak mokasyna błotnego lub uprzykrzonego kreta. Między innymi dlatego odwrócił się od swoich męskich przodków. Zrobi, co trzeba, chociaż wiedział, że w jego sercu pozostaną głębokie blizny i że będzie wspominał ten moment do końca życia.

Dotarł na miejsce i skierował snop latarki za więzienne kraty wstawione w dużą wnękę w skalnej ścianie. Za tymi samymi kratami siedzieli żołnierze Unii, choć Quarry odnowił zardzewiały metal i ponownie wstawił kraty w skałę.

Dwaj mężczyźni przycupnęli przy ścianie. Mieli na sobie wojskowe stroje z kamuflażem i skute za plecami ręce. Quarry spojrzął na niskiego żylastego faceta, który stał obok niego po drugiej stronie krat.

– Załatwmy to, Carlos.

Mężczyzna nerwowo oblizał wargi.

– Panie Sam... – zaczął. – Z całym szacunkiem, nie musimy tego robić.

Quarry odwrócił się ku niemu, górując nad cherlakiem.

– Mamy tylko jednego pieprzonego przywódcę, Carlos, i to ja nim jestem. Masz własnych podkomendnych i tak już musi zostać. Byłeś żołnierzem, wiesz, że to prawda, synu. Uwierz, że mnie to boli bardziej niż ciebie. Utrudniasz mi tylko tę cholerną robotę.

Wystraszony mężczyzna spuścił głowę, otworzył drzwi i niepewnie skinął tamtym, żeby wstali. Ponieważ skuli im nogi, niezgrabnie pokuśtykali do przodu. Kiedy stanęli w kręgu światła latarki Carlosa, Quarry dostrzegł pot na ich twarzach.

– Jezu, przepraszam pana. Bardzo mi przykro – wyjącał jeden z nich.

– Mnie również, Daryl. Nie sprawi mi to najmniejszej przyjemności. Absolutnie żadnej.

Daryl był krępy, a facet, który za nim stał, wysoki i chudy. Grdyka mu drżała z przerażenia.

– Nie chcieliśmy tego zrobić, panie Quarry. Kiedy

ogłuszyliśmy dzieciaka, weszła do pokoju, zaczęła się drzeć i szamotać. Niech pan spojrzy na twarz Daryla. Rozorała ją paznokciami. Broniliśmy się. Próbowaliśmy ją ogłuszyć i zrobić zastrzyk, ale babka wpadła w szal.

– A co miała zrobić matka, widząc, jak zabierają jej dziecko? Omawialiśmy to setki razy. Powtarzałem wam, co macie zrobić w każdej pieprzonej sytuacji. Morderstwo było wykluczone. Teraz mała już nigdy nie ujrzy matki. Chcieliśmy tego uniknąć.

– Ojciec wrócił do domu – przypomniał błagalnym tonem Daryl. – Nie powinno go tam być.

– To bez znaczenia. Przewidzieliśmy tę sytuację.

– Podrapała mnie paznokciami, wetknęła mi palec w oko – nie poddawał się Daryl. – Wpadłem w szal. Straciłem głowę. Odruchowo sięgnąłem po nóż i poderznąłem jej gardło. Nie chciałem. Zmarła, choć próbowaliśmy ją ratować. Nie mogliśmy nic poradzić. Przepraszam.

– Już to mówiłeś. Nie bylibyśmy tu teraz, gdyby to robiło jakąś różnicę.

Daryl spojrzał niespokojnie na pistolet.

– Nigdy ci nie odmówiliśmy. Sam wiesz. Przywieźliśmy małą. Bez jednego siniaka.

– Jeden wyjątek przeczy regule. Kiedy zapytałem, czy zechcecie mi pomóc, wyjaśniłem, że zasad będzie niewiele, ale złamaliście najważniejszą. Złożyliście przysięgę, a ja ją przyjąłem. No i jest, jak jest.

Skinął głową Carlosowi, który z ociąganiem złapał

mężczyzn za nadgarstki i rzucił na kolana.

Quarry stanął między nimi.

– Porozmawiajcie z Bogiem, jeśli w Niego wierzycie.

Dam wam na to czas.

Daryl zaczął mamrotać coś przypominającego modlitwę, a chudzielec zalał się łzami.

Sześćdziesiąt sekund później Quarry odezwał się ponownie:

– Załatwione? W porządku.

Przyłożył cokrę do potylicy Daryla.

– Jezu, słodki Jezu! – zawył Daryl.

– Błagam, nie! – krzyknął drugi.

Palec Quarry'ego ześlizgnął się z osłony na język spustowy, ale po chwili cofnął broń. Nie wiedział dlaczego, ale to zrobił.

– Wstawaj!

Daryl spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Co?

– Powiedziałem: wstawaj!

Daryl stanął na drżących nogach. Quarry spojrzał na jego podrapaną twarz i zaczerwienione prawe oko, a następnie rozsunął poły koszuli. Na piersi widniał duży purpurowy siniak.

– Powiedziałeś, że postrzeliła cię kobieta?

– Tak, proszę pana. Było ciemno, ale widziałem, że to dziewczyna.

– Bardzo dobrze strzela jak na dziewczynę. Powinieneś już nie żyć.

– Miałem kamizelkę kuloodporną, jak pan kazał – wysapał Daryl. – Przykro mi, że matka małej zginęła. Nie chciałem tego. Przepraszam.

– Powiedziałeś, że zostawiłeś fiolkę?

– Tylko jedną. Kiedy poderżnąłem jej gardło, zapanował chaos. Później zjawili się tamci. Policzyliśmy fiolki, gdy byliśmy w drodze. Pewnie i tak się domyślą, że zabraliśmy jej krew. Zrobią sekcję i....

Quarry spojrzał na niego niepewnie.

– Zejdź mi z oczu.

– Co?

Quarry skinął Carlosowi, który szybko zdjął kajdanki Darylowi. Mężczyzna potarł nadgarstki i spojrzał na chudzielca, który nadal klęczał na kolanach.

– A Kurt?

Quarry wycelował lufę w pierś Daryla.

– Dość gadania. Spadaj, zanim się rozmyślę. Co cię obchodzi Kurt?

Daryl potknął się i upadł, ale podniósł się szybko i zniknął chwiejnym krokiem w ciemności.

Quarry odwrócił się do Kurta.

– Błagam, panie Quarry – wymamrotał.

– Przykro mi Kurt, ale znasz zasady. Oko za oko, chłopcze.

– Przecież to Daryl ją zabił, proszę pana.

– Jest moim synem. Niewiele mi zostało, ale mam jeszcze jego.

Wycelował pistolet w głowę Kurta.

– Był pan dla mnie jak ojciec, panie Quarry – wybełkotał ze łzami ciekącymi po policzkach.

– Dlatego to takie cholernie trudne.

– To jakiś obłąd, panie Quarry. Pan zwariował! – wrzasnął.

– Masz cholera rację, odbiło mi! – odkrzyknął Quarry. – Odbiło mi jak szalonemu kapelusznikowi! Mam to we krwi! Nie mogę się od tego uwolnić!

Kurt rzucił się rozpaczliwie w bok, wzbijając węglowy pył lichymi butami. Jego krzyk poniósł się szybem, jak wołania żołnierzy Unii.

– Przysuń to cholerne światło, Carlos! – polecił Quarry. – Nie chcę, żeby cierpiał ani sekundę dłużej niż to konieczne.

Cobra wypaliła, a Kurt zaprzestał wszelkich prób ucieczki.

Quarry opuścił broń, zwieszając rękę wzdłuż tułowia. Mruknął coś niezrozumiałego pod nosem, a Carlos się przeżegnał.

– Zdajesz sobie sprawę, jak to mnie wkurza? – spytał Quarry. – Czy rozumiesz, jak silny gniew i rozczarowanie odczuwam?

– Tak, proszę pana – odparł Carlos.

Quarry szturchnął butem ciało Kurta i wsunął rozgrzaną cobrę za pasek.

Odwrócił się i odszedł szybem. Na światło dnia.

Miał dość ciemności.

Pragnął latać.

Michelle zostawiła pistolet w zamykanej skrytce SUV-a. Nie miała zamiaru spędzić kilku następnych lat w więzieniu federalnym, rozmyślając o błędzie, jakim było wejście do Białego Domu z naładowaną bronią.

Zgubili reporterów czających się na ulicy przed biurem, chociaż Michelle musiała zedrzeć trochę gumy z opon swojego wozu, a podczas krótkiego pościgu jeden z samochodów reporterów walnął w zaparkowaną furgonetkę. Nie zatrzymała się, by udzielić pomocy poszkodowanym.

Weszli bramką dla gości. Spodziewali się, że zaprowadzą ich do Białego Domu, ale po sprawdzeniu ręcznym wykrywaczem metalu i dokładnej rewizji jeden z agentów mruknął:

– Za mną.

Wsadzili ich do town cara czekającego przed wejściem. Wóz ruszył z piskiem opon, gdy tylko zamknęli drzwi.

– Dokąd nas wieziecie? – spytał kierowcę Sean.

Facet nie odpowiedział. Gość siedzący obok niego nawet się nie odwrócił.

– Pracownicy Secret Service nie wyglądają ostatnio na zbyt szczęśliwych – szepnęła Michelle.

– Zabawa się zaczęła. Jedni zaczęli zwać winę na drugich – odparł cicho Sean. – Może wiedzą, czemu pierwsza dama nas wezwała. Nie są zachwyceni, że obcy

będą tu węszyć.

– Kiedyś byliśmy jednymi z nich.

Wzruszył ramionami.

– Nie rozstałem się z Secret Service w zbyt miłych okolicznościach. Ty również.

– Nienawidzi nas FBI i dawni koledzy. Słuchaj, przydałby się nam jakiś związek zawodowy.

– Przydałoby się wiedzieć, dokąd nas wiozą. – Już miał zamiar powtórzyć pytanie, kiedy samochód zwolnił i zatrzymał się.

– To tutaj. W kościele – powiedział kierowca.

– Co?

– Ruszcie tyłki. Pierwsza dama czeka w kościele.

Kiedy wysiedli z samochodu, zdali sobie sprawę, że podróż była bardzo krótka. Znajdowali się po drugiej stronie parku Lafayette, naprzeciw Białego Domu. Drzwi kościoła pod wezwaniem Świętego Jana były otwarte na oścież. Kiedy weszli do środka, town car odjechał.

Jane Cox siedziała w pierwszej ławce. Sean i Michelle raczej wyczuli, niż zobaczyli ochronę ukrytą w budynku. Kiedy Sean usiadł obok Jane Cox, nie był pewny, czy płakała. Podejrzewał, że uroniła łezkę, choć wiedział, iż nie należała do kobiet skłonnych do okazywania emocji. Może nie zdradzała ich nawet przed własnym mężem. Tylko raz był świadkiem, jak się wzruszyła, i nie spodziewał się, że ujrzy to ponownie.

Pod czarnym płaszczem miała sięgającą kolan granatową sukienkę, do tego zgrabne czółenka i nieco

bizuterii. Jej przykryte chustką włosy, zaczesane w charakterystyczny sposób do góry, były porównywane przez pochlebców do fryzury Jackie Kennedy. Seana wiedział, że babka nigdy nie szpanowała, a jedynie miała klasę. Była elegancka. Nigdy nie udawała kogoś, kim nie była. No, może nie do końca. Pierwsza dama musiała się wcielać w wiele postaci dla wielu ludzi, a nie istniała osobowość mogąca sprostać tak różnorodnym oczekiwaniom. Pewna dawka udawania była zatem konieczna.

– To Michelle Maxwell, pani... Jane.

Jane uśmiechnęła się uprzejmie do Michelle, a później odwróciła do Seana.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechałeś.

– Sądziłem, że spotkamy się w Białym Domu.

– Ja również, ale później zmieniłam zdanie. W kościele jest nieco bardziej prywatna... spokojniejsza atmosfera.

Sean pochylił się w ławce i przyjrzał ołtarzowi, zanim spytał:

– Co możemy dla ciebie zrobić?

– Naprawdę byliście w domu Duttonów, gdy to się stało?

– Tak. Przywiozłem prezent dla Willi. – Sean opisał dokładnie wydarzenia tamtej nocy, pomijając bardziej drastyczne szczegóły.

– Tuck niewiele pamięta – powiedziała. – Lekarze twierdzą, że nic mu nie będzie. Żadnego krwotoku ani

obrażeń wewnętrznych, choć wygląda na to, że została upośledzona pamięć krótkoterminowa.

– To częsty skutek uderzenia w głowę – wtrąciła Michelle. – Na pewno ją odzyska...

– Agenci Secret Service objęli ochroną... członków dalszej rodziny – wyjaśniła.

– Mądre posunięcie – skwitował Sean.

– W końcu odkryli piętę Achillesową – zauważyła cicho Jane.

– FBI prowadzi śledztwo. Nie wiem, czy możemy zrobić coś, czego oni nie byłiby w stanie.

– Wydałam przyjęcie dla Willi w Camp David. Wśród gości była Pam, przyjaciele Willi oraz jej brat i siostra. To był szczególny dzień w życiu bardzo szczególnej dziewczyny... – Nagle przerwała i spojrzała na Seana. – Chcę, żebyś ją odnalazł. Ją i ludzi odpowiedzialnych za to, co się stało.

Nerwowo przełknął ślinę.

– To śledztwo federalne. Nie możemy się mieszać. Schrupią nas na lunch.

– Już raz mi pomogłeś, Sean. Nigdy tego nie zapomnę. Wiem, że nie mam prawa prosić, ale rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy.

– A FBI?

Machnęła ręką.

– Wiem, że są dobrzy. Nie muszę chyba dodawać, że z powodu związku, który łączy mnie z Willą, sprawa szybko nabierze politycznego charakteru.

– W jaki sposób zamordowanie matki i porwanie córki może stać się sprawą polityczną? – zapytała Michelle.

Jane posłała jej uśmiech bliski grymasowi wyższości.

– Jesteśmy w samym środku kampanii prezydenckiej, a mój mąż ubiega się o reelekcję. To miasto specjalizuje się w nadawaniu politycznego charakteru wszystkiemu, co jest go pozbawione, Michelle. Nie ma granicy, której nie przekroczą.

– Sądzisz, że może mieć to wpływ na śledztwo FBI? – zapytał Sean.

– Nie chcę ryzykować usłyszenia twierdzącej odpowiedzi. Chcę ludzi, którzy będą mieli tylko jeden cel. Ujawnić prawdę. Bez tuszowania. Bez kręcenia. A to oznacza, że chcę ciebie.

– Domyśla się pani, czemu ktoś mógłby to zrobić, pani Cox? – spytała Michelle.

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

– A typowi podejrzani? Grupy terrorystyczne? Pierwsza rodzina jest tak dobrze chroniona, że mogli sobie obrać łatwiejszy cel.

– Jeśli tak jest, niebawem ktoś się do tego przyzna albo zgłosi żądania – dodała Michelle.

– Może wkrótce tak się stanie. Co sądzi prezydent? – zapytał Sean.

– Jest zmartwiony i zatroskany podobnie jak ja.

– Chodziło mi o to, czy ma jakieś podejrzenia.

– Nie sądzę.

– Czy wie, że się z nami spotkałaś? – spytał delikatnie Sean.

– Nie widzę powodu, żeby mu o tym mówić, a przynajmniej nie teraz.

– Z całym szacunkiem, pani ochrona wie o naszym spotkaniu – przypomniała Michelle.

– Myślę, że mogę liczyć na ich dyskrecję.

Michelle i Sean wymienili nerwowe spojrzenia. Nie znali agenta Secret Service, który celowo ukryłby coś przed prezydentem. Oznaczałoby to koniec kariery, do diabła z dyskrecją.

– W porządku. – Sean westchnął. – Jeśli się zaangażujemy, kiedyś wyjdzie to na jaw.

– Jeśli do tego dojdzie, będziemy udawać, że to robimy, bo Sean jest przyjacielem rodziny i był na miejscu, gdy doszło do porwania – wtrąciła Michelle. – Ci ludzie próbowali mnie zabić, więc także dlatego nie mogliśmy odpuścić.

Sean skinął głową i spojrzał na Jane.

– Możemy tak to rozegrać.

– Doskonale.

– Będziemy musieli porozmawiać z Tuckiem, Johnem i Colleen.

– Zaaranżuję spotkanie. Tuck nadal przebywa w szpitalu. Dzieci są w domu siostry Pam w Bethesdzie.

– Potrzebne nam prawo wstępu na miejsce popełnienia przestępstwa.

– FBI dysponuje wszystkimi dowodami. Musimy się

z nimi zapoznać, jeśli mamy osiągnąć jakieś rezultaty – dodała Michelle.

– Zobaczę, co da się zrobić. W końcu chodzi o moją rodzinę.

– W porządku – wycedził Sean, obserwując ją uważnie.

– Podejmiesz się tej sprawy? – spytała, kładąc dłoń na dłoni Seana.

Spojrzał na Michelle, a ta lekko skinęła głową. – Tak, podejmiemy się.

Kiedy wyszli z kościoła, town car odjechał.

– Pewnie nie zapłaciliśmy za podróż w obie strony – mruknęła Michelle.

Zaczęli iść przez park Lafayette, gdy nagle Sean powiedział:

– Uważaj. To oni.

W ich stronę maszerowało dwóch mężczyzn, których napędzał wspólny cel. Jednym z nich był Skrzywiona Gęba, agent FBI. Sean i Michelle doskonale znali drugiego. Był to niejaki Aaron Betack, wyższy funkcjonariusz Secret Service. Błyskotliwe sukcesy, które odnosił, sprawiły, że wspinał się szybko po szczeblach kariery. Sean zauważył, że zmierza ku nim sprężystym krokiem.

Obaj zastąpili drogę Seanowi i Michelle.

Sean udał zaskoczenie.

– Cześć, chłopaki! Też wybraliście się na spacer? Tacy geniusze i ważniacy?

– Wiemy, gdzie byliście i z kim gadaliście – zakomunikował Skrzywiona Gęba. – Przyszliśmy, żeby na samym wstępie położyć temu kres. Para kowbojów to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy... – Przerwał, łypiąc chytrze na Michelle. – Przepraszam, kowbojka zepsuła mi dowcip.

– Nie zapamiętałem twojego nazwiska – zagaił uprzejmie Sean.

- Agent specjalny FBI Chuck Waters.
- Dobrze wiedzieć – wtrąciła Michelle – bo nazywałam cię kretynem.
- Odrobinę szacunku, Maxwell – prychnął Betack.
- Pokaż kogoś, kto na niego zasługuje, a będę pełna uszanowania – odparła.

Waters podszedł bliżej i podetknął jej palec pod nos.

- Wyluzuj, mała.
- Jeśli ja jestem mała, ty jesteś karłem – odburknęła Michelle, bo była niemal cztery cale wyższa od Watersa.
- Słuchaj, Chuck, ta mała może skopać wam tyłki bez mrugnięcia okiem. Odpuście – powiedział Sean.

Barczysty Betack, który był tego samego wzrostu co mający sześć stóp dwa cale wzrostu King, odchrząknął i spojrzał ostrożnie na kolegę z FBI, a następnie pokręcił głową. Twarz Watersa poczerwieniała, ale się nie cofnął.

– Posłuchaj, Sean. Ty i Maxwell nie będziecie prowadzili śledztwa w tej sprawie. Koniec kropka.

– Gdy ostatni raz sprawdzałem pasek z wynagrodzeniem, nie było na nim Wuja Sama.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Mieliśmy spotkanie z potencjalnym klientem. Zgodziliśmy się go reprezentować. Ameryka to wolny kraj. Wybaczcie, ale mamy sprawę, nad którą musimy popracować.

– Pożałujesz tego, King – warknął Waters.

– Żałowałem wielu rzeczy w życiu, a jednak tu jestem.

Odsunął ich i odszedł, a Michelle ruszyła za nim, trącając łokciem bark Watersa.

Kiedy wsiedli do SUV-a, powiedziała:

– Byłam z ciebie naprawdę dumna.
– Nie ma powodu. Właśnie zyskaliśmy wrogów w dwóch najpotężniejszych agencjach na świecie.

– Graj o wielką stawkę albo wracaj do domu.

– Mówiłem poważnie, Michelle.

Włączyła bieg.

– To oznacza, że musimy szybko rozwiązać tę sprawę.

– Myślisz, że to w ogóle możliwe?

– Zdołaliśmy rozwikłać kilka trudnych spraw.

– Taak, ale zawsze trochę to trwało.

– Pozwól, że zachowam ostrożny pesymizm. Od czego zaczniemy? Od Tucka?

– Nie, najpierw pogadamy z dziećmi.

– Co sądzisz o historyjce Jane Cox? – zapytała, gdy już jechali.

– Wydaje mi się całkiem szczerą.

– Naprawdę?

– Jesteś odmiennego zdania?

– Nigdy mi nie mówiłeś, jak poznałeś pierwszą damę.

– Czy można poznać drugiego człowieka?

– Daj spokój z tymi egzystencjalnymi bredniami. Chcę wiedzieć, jak ją poznałeś.

– Czy to ważne?

– Tak, jeśli ma to wpływ na trzeźwość twojego

osądu...

– Kto powiedział, że mam osłabioną zdolność oceny?

– Daj spokój. Widziałam, jak położyła swoją dłoń na twojej. Mieliście romans?

– Myślisz, że bzykałem żonę prezydenta Stanów Zjednoczonych? Daj spokój!

– Może nie była pierwszą damą, kiedy ją poznałeś – odpowiedziała spokojnie Michelle. – Nie wiem tego, bo nie chcesz mi odpowiedzieć, mnie, swojej współpracownicy. Tylko nie narzekaj, jeśli ci czegoś nie powiem. Nadstawiałam dla ciebie karku, więc oczekuję odrobiny wzajemności.

– Dobrze, dobrze. – Zamilkł i jakiś czas patrzył przez okno.

– Co dobrze?

– Nie miałem romansu z Jane Cox.

– A miałeś na to ochotę?

Rzucił jej krótkie spojrzenie.

– Obchodzi cię to?

Uśmiechnięta twarz Michelle poczerwieniała.

– Nie! Nie obchodzi mnie, na kogo masz chrapkę. To twoja sprawa.

– Miło to słyszeć, bo potrzebuję odrobiny prywatności.

W samochodzie zapadło niezręczne milczenie.

Michelle zaczęła gorączkowo szukać innego pytania i odetchnęła, gdy je znalazła.

– Odszedłeś ze służby, zanim jej mąż wprowadził się

do Gabinetu Owального.

– Wcześniej był senatorem.

– Jaki to ma związek z Secret Service? Może nie ma żadnego?

– Ma i nie ma.

– Wspaniale. Dzięki, że mnie oświeciłeś.

Nie odpowiedział.

– Daj spokój, Sean! – Uderzyła w kierownicę, wyraźnie sfrustrowana.

– Nikt prócz ciebie nie może się o tym dowiedzieć, Michelle.

– Tak, wielka ze mnie plotkara.

– Nikomu o tym nie mówiłem. Naprawdę nikomu.

Spojrzała na Seana i zauważyła, że jego twarz posmutniała.

– Zgoda.

Przekreślił się w fotelu.

– Wiele lat temu pracowałem w Georgii, w zespole zabezpieczającym przejazd prezydenta. Wyszedłem, żeby zjeść spóźniony posiłek z innym agentem. On wrócił na swoją zmianę, a ja miałem wolną noc. Poszedłem na przechadzkę, żeby jeszcze raz się rozejrzeć. Chciałem obejrzeć niebezpieczne miejsca na trasie przejazdu prezydenckiej kawalkady. Łaziłem po okolicy jakąś godzinę. Dochodziła dwudziesta trzecia trzydzieści. Wtedy go zobaczyłem.

– Kogo?

– Dana Coxa.

– Prezydenta?

– Nie był wtedy prezydentem. Wybrano go do senatu. Pewnie pamiętasz, że spędził tam półtorej kadencji, zanim zaczął się ubiegać o najwyższy urząd.

– W porządku. Widziałeś go i co z tego?

– Siedział w samochodzie zaparkowanym w alei, spity w trupa, z jakąś cizią na kolanach.

– Chrzanisz.

– Myślisz, że zmyślam?

– Co się stało?

– Rozpoznałem go. Był na odprawie dla lokalnych urzędników, którą zorganizowaliśmy przed wizytą prezydenta.

– Co robił w alejce z kobietą, która nie była jego żoną?

– Wtedy nie wiedziałem, że babka nie jest jego żoną, ale ta sytuacja wydała mi się nieco podejrzana. Cox należał do tej samej partii co prezydent i nie chciałem, żeby sprawa się rozniosła, kiedy pierwszy przyjedzie do miasta. Zapukałem w szybę samochodu i pokazałem odznakę. Laska zeskoczyła z niego tak szybko, że mało brakowało, a wyleciałaby przez dach. Cox był pijany i nie miał pojęcia, co się dzieje.

– Co zrobiłeś?

– Powiedziałem damulce, żeby wysiadła z samochodu.

– Była prostytutką?

– Nie sędzę. Była młoda, ale nie ubierała się jak one.

Pamiętam, że omal nie wypadła z samochodu, próbując naciągnąć majtki. Poprosiłem ją o dokument tożsamości.

– Dlaczego?

– Na wszelki wypadek. Chciałem mieć dane, żeby móc ją odnaleźć, gdyby to zdarzenie wyszło na jaw.

– Pokazała ci prawo jazdy?

– Ociągała się, ale powiedziałem, że nie ma wyboru. Zacząłem blefować. Straszylem ją, że wezwę policję, jeśli tego nie zrobi. W końcu po kazała mi prawo jazdy. Spisałem nazwisko i adres. Mieszkała w tym mieście.

– Co się później stało?

– Chciałem wezwać jej taksówkę, ale uciekła. Pobieglem za nią, ale Cox zaczął hałasować. Wróciłem do samochodu, zapiąłem mu spodnie, przesadziłem na sąsiedni fotel i wyciągnąłem prawo jazdy, żeby odszukać jego adres i odwieźć faceta do domu.

– Wtedy poznałeś Jane Cox?

– Tak.

– Kurczę, niezłe wejście. Powiedziałeś jej, co się stało?

Sean otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał.

– Dyskrecja jest lepszą stroną odwagi?

– Coś w tym stylu – przytaknął. – Powiedziałem, że znalazłem go wstawionego w samochodzie. Mogła wyczuć zapach perfum i zobaczyć ślady szminki na koszuli. Zaniósłem go do domu i położyłem do łóżka. Niezręczna sytuacja. Na szczęście dzieciaki już spały.

Pokazałem jej legitymację, kiedy zapukałem do drzwi. Była mi bardzo wdzięczna. Powiedziała, że nigdy nie zapomni tego, co dla niej zrobiłem. I dla niego. Później... załamała się i zaczęła płakać. Przytuliłem ją czy coś w tym rodzaju i próbowałem uspokoić.

– Przytuliłeś czy coś w tym rodzaju?

– W porządku, objąłem ją ramieniem. A co, u licha, miałem zrobić? Starąłem się pocieszyć kobietę.

– Czy właśnie wtedy nabrałeś na nią chrapkę?

– Michelle! – przerwał jej ostro.

– Przepraszam. W porządku. Przytuliłeś ją. Co potem?

– Kiedy przestała płakać i doszła trochę do siebie, podziękowała mi ponownie. zaproponowała, że odwiezie mnie do miasta, ale nie uznałem tego za szczególnie dobry pomysł. Oddaliłem się kawaleczek i złapałem taksówkę.

– To wszystko?

– Nie, na tym nie koniec. Zadzwoiła do mnie. Nie wiem, jak to ująć, ale poznaliśmy się lepiej i zaprzyjaźniliśmy. Sądziłem, że była mi wdzięczna za to, co zrobiłem. Gdyby znalazł go ktoś inny, pewnie nie byłby prezydentem.

– Nie przesadzaj z tą pewnością. Politycy nie słyną z nieskazitelnej moralności.

– W każdym razie znałem miasto na wylot, a ona chciała dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Myślę, że zna Waszyngton lepiej od męża.

– Jak poznałeś Tucka i jego rodzinę?

– Jane zaprosiła mnie na kilka uroczystości. Nie sądzę, żeby Dan Cox zapamiętał mnie albo wydarzenia tamtej nocy. Nie wiem, jak wyjaśniła mu moją obecność, ale nigdy nie zadawał pytań. Kiedy został prezydentem, z wiadomych powodów przestałem u ich bywać. Tacy goście jak ja nie obracają się w wysokich kręgach. Poza tym odszedłem z Secret Service i wyprowadziłem się z Waszyngtonu. Chociaż wyjechałem, zawsze przysyła mi kartkę na Boże Narodzenie, a ja pozostawałem w kontakcie z Tuckiem i jego rodziną. Kiedy się tu przeprowadziliśmy, byli jednymi z pierwszych, którzy powitali mnie z powrotem.

Michelle zrobiła zaskoczoną minę.

– Czemu nigdy mi ich nie przedstawiłeś?

Na twarzy Seana pojawił się uśmiech.

– Nie chciałem ich przestraszyć.

– A później zjawiłeś się ponownie, by jeszcze raz wybawić damę z oparów.

– Nazywają to *déjà vu*.

– Taak? Cóż, miejmy nadzieję, że zdołamy przeżyć. Mało brakowało, a ostatniej nocy by mnie dopadli. W twoim towarzystwie w zastraszającym tempie wykorzystuję swoich dziewięć żywotów.

– Ale nie możesz narzekać na nudę.

– Fakt, nigdy się nie nudzę.

Sam Quarry wrócił do Atlee szosą zrytą głębokimi koleinami. Patriot, z którego zabił Kurta, leżał na siedzeniu obok niego. Kiedy zajechał przed rezydencję wzniesioną z miejscowego kamienia i cegieł ulepionych przed wybuchem wojny secesyjnej, domostwo majaczące w pyle Alabamy wzbitym kołami furgonetki przypominało raczej lśniący miraż niż osiągnięcie budowlane głębokiego Południa. Długi czas siedział bez ruchu, z dłońmi na kierownicy, spoglądając na ważącego dwadzieścia uncji patriota z blokadą spustu. W końcu przesunął kciukiem po rękojeści, próbując zapomnieć o tym, co zrobił.

W drodze powrotnej omal nie rozbił cessay. Zaraz po starcie zaczął dygotać jak galareta. Na wysokości zaledwie dwustu stóp uskok wiatru sprawił, że skrzydła ustawiły się niemal pionowo. Później uświadomił sobie, że zaledwie kilka sekund dzieliło go od utraty siły nośnej. Na szczęście zdołał odzyskać panowanie nad samolotem i poszybował w górę, a maszyna znów leciała jak należy.

Zawsze trzymał przy sobie dorastającego syna. Kochał go, chociaż wiedział, że chłopak nie jest zbyt inteligentny. Może nie należał do najbystrzejszych, ale był mu bez reszty oddany. Robił wszystko, co kazał tata. Intelktualne braki nadrabiał uporczywą determinacją i drobiazgowością – cechami, które odziedziczył po ojcu. Te przymioty przydały mu się w armii. Razem z Kurtem i

Carlosem zaciągnęli się do wojska, a później pojechali do Iraku i Afganistanu. Łącznie dostali osiem medali i przeżyli najbardziej podstępne ataki wroga, w tym kilkanaście bomb pułapek.

Kłopoty zaczęły się dopiero później. Pewnego ranka Quarry zastał całą trójkę jedzącą śniadanie w Atlee.

– Co tu robicie, chłopaki? – zapytał. – Sądziłem, że otrzymaliście rozkaz powrotu na Bliski Wschód.

– Zatęskniliśmy za domem – mruknął Daryl z ustami pełnymi kaszy kukurydzianej i tłustego bekonu. Kurt jedynie skinął głową, przełykając mocną kawę zaparzoną przez Ruth Ann. Carlos, jak zwykle małomówny, utkwił niespokojny wzrok w talerzu, dziobiąc jedzenie widelcem.

Quarry usiadł wolno na krześle naprzeciw nich.

– Pozwólcie, że zadam głupie pytanie. Czy armia o tym wie?

Wymienili spojrzenia, a po chwili Daryl zachichotał i odpowiedział:

– Sądzymy, że niedługo się dowiedzą.

– Jesteście na samowolce, chłopaki?

– Mamy dość walki – odparł Kurt.

– W Iraku jest goręcej niż w Alabamie, a później robi się chłodniej niż w zimową księżycową noc – dodał Daryl. – Byliśmy na czterech turach. Odstrzeliliśmy całą zgraję talibów i gnojków z Al-Kaidy.

– Pieprzone czubki – dodał Carlos, podnosząc kubek.

– Ciągłe wracają – powiedział Kurt. – Jak w tej grze Whac-A-Mole. Sprzątniesz jednego, a natychmiast

pojawia się kolejny.

– Dzieciaki przychodzą, żeby poprosić o cukierka, a później wysadzają się w powietrze – wtrącił Daryl.

– To parszywa wojna, panie Quarry – dorzucił swoje trzy grosze Kurt. – Mieliśmy dość. Taka jest prawda.

Daryl odłożył widelec i otarł usta wierzchem potężnego łapska.

– Zdecydowaliśmy, że czas wracać do Alabamy.

– *Sweet home Alabama* – zanucił Kurt z chytrym uśmiechem.

Żandarmeria zjawiała się następnego dnia.

– Nie widziałem ich – oznajmił Quarry żołnierzom o surowych twarzach. Rozmawiali z Ruth Ann, Gabrielem, a nawet z Indianinem Fredem. Nic im nie powiedzieli. Członkowie rodziny muszą dbać o siebie. Nie powiedzieli żandarmom o starej kopalni, gdzie ukryli się Kurt, Carlos i Daryl. Przetransportował ich tam samolotem poprzedniej nocy.

– Ukrywanie żołnierzy na samowolce jest przestępstwem federalnym – poinformował Quarry'ego niski sierżant Latynos.

– Służyłem ojczyźnie w Wietnamie, sierżancie. Zabiłem więcej wrogów, niż się panu przyśni. Odznaczono mnie kilkoma Purpurowymi Sercami, ale nie dostałem nawet kartki z podziękowaniem od Wuja Sama za cały swój trud. Kiedy wróciłem do domu, dali mi kopa w dupę. Żadnych defilad dla walczących w Wietnamie. Jeśli zobaczę syna, zrobię, jak mi nakazuje obowiązek. –

Quarry lekko zasalutował, a następnie zatrzasnął im drzwi przed nosem.

Było to trzy lata temu. Żandarmeria jeszcze dwukrotnie wpadła do nich z wizytą, ale dróg w okolicy było raptem kilka, a Quarry zawsze wiedział, że żandarmi nadjeżdżają długo przedtem, zanim dotarli do Atlee. Najwyraźniej mieli poważniejsze zmartwienia od trzech chłopaków z Alabamy, którzy zmęczeni się zabijaniem Arabów siedem tysięcy mil od domu, pomyślał.

Kurt był dla niego jak syn, niemal tak jak Daryl. Znał chłopaka, od kiedy ten się urodził. Wziął go do siebie, gdy jego rodzina straciła dom w pożarze. On i Daryl mieli wiele wspólnego.

Carlos stanął na jego progu pewnego ranka, kilkanaście lat temu. Chłopak był wówczas w wieku Gabriela, bez rodziny i pieniędzy. W spodniach i jednej koszuli na plecach. Brakowało mu butów, ale za to miał twardy grzbiet i chęć do pracy. Quarry czasem odnosił wrażenie, że całe życie upłynęło mu na zbieraniu zabłąkanych duszyczek.

– Co pan tam robi, panie Sam?

Otrząsnął się zadumy i wyjrzał przez okno. Gabriel spoglądał na niego z frontowych schodów. Bosy chłopak miał na sobie wypłowiałe wranglery i biały podkoszulek. Na głowę zatknął starą czapkę Atlanta Falcons, którą Quarry podarował mu dawno temu. Nosił ją daszkiem do tyłu, żeby osłonić szyję przed słońcem albo coś w tym rodzaju, a przynajmniej tak powiedział, gdy Quarry

kiedyś go o to spytał.

- Rozmyślałam sobie, Gabrielu.
- Dużo pan rozmyśla, panie Sam.
- Dorośli tak już mają, dlatego nie dorośnij za szybko. Bycie dzieckiem jest znacznie zabawniejsze.
- Skoro pan tak mówi...
- Jak ci idzie w szkole?
- Lubię przyrodę, ale najbardziej książki.
- Może będziesz pisał książki fantastycznonaukowe, jak Ray Bradbury czy Isaac Asimov.
- Kto?
- Pomóż matce. Zawsze się skarży, że ma za dużo roboty i za mało rąk do pracy.

– Dobrze. Dziękuję za znaczek. Nie miałem takiego.

– Wiem. Nie dostałbyś go, gdyby było inaczej, synu.

Gabriel odszedł, a Quarry wrzucił bieg i wjechał do stodoły. Wsiadł z samochodu, wetknął patriotę za pasek, a następnie wdrapał się po drabinie tam, gdzie trzymali siano. Jego buty ślizgały się po wąskich szczeblach, gdy podciągał się na rękach. Otworzył drzwi składu na siano i spojrzał na to, co pozostało z majątku Atlee. Przychodził tu kilka razy dziennie, jakby Atlee mogło zniknąć, gdyby tego nie zrobił.

Oparł się o drewnianą framugę, zapalił papierosa i patrzył, jak po zachodniej stronie pracują nielegalni robotnicy. Spojrzał na wschód, gdzie Gabriel pomagał swojej matce, Ruth Ann, pielnić przydomowy ogródek, z którego pochodziła coraz większa część ich żywności.

Wiejska Alabama znajdowała się w „ekologicznej” awangardzie Ameryki. Z konieczności.

Kiedy ludzie zgubią się w krainie obfitości, robią wszystko, żeby przeżyć.

Quarry ostrożnie zgasił papierosa, aby nie zaproszyć ognia w suchym sianie, zszedł po drabinie, wziął szpadel ze stojaka i pomaszerował pół mili na południe. Później stanął i z trudem wykopał głęboki dół, bo ziemia w tym miejscu była twarda. Quarry przywykł do ciężkiej pracy, a szpadel z każdym ruchem wbijał się coraz głębiej. Wrzucił patriota do dziury i zasypał, umieszczając duży kamień na poruszonej glebie.

Było mu ciężko, jakby kogoś pochował, ale nie odmówił modlitwy. Nie będzie się modlił za pistolet. Za nic nie będzie się modlił. Już nie.

Jego matka nie byłaby zadowolona. Całe życie chodziła do Kościoła zielonoświątkowego i bez najmniejszej zachęty mówiła językami⁴. Zabierała Quarry'ego na niedzielne nabożeństwa od czasu, gdy jego mózg zaczął gromadzić wspomnienia. Kiedy umierała tamtej nocy w samym środku ulewy, krzyczała w językach do swego Pana. Quarry miał wtedy zaledwie czternaście lat i był przerażony jak diabli. Nie z powodu języków, bo do nich zdążył przywyknąć, ale umierania połączonego z krzykami w języku, którego nigdy nie potrafił pojąć. Jakby matka wiedziała, że rozstaje się z życiem i chciała, żeby Pan wiedział, że nadchodzi. Jakby myślała, że jest głuchy i musi to z siebie wykrzyczeć. Bał

się, że Jezus może w każdej chwili wpaść do sypialni matki, aby uciszyć biedaczkę.

Nie odzywała się do niego w ostatnich godzinach, choć siedział przy jej łóżku z załzawioną twarzą, powtarzając, jak bardzo ją kocha, i czekając rozpaczliwie, żeby spojrzała na niego i powiedziała coś w rodzaju „kocham cię, Sammy” lub przynajmniej „żegnaj, syneczku”. Nie był pewny, czy nie wykrzyczała tego w językach, bo nigdy ich się nie nauczył. Później wydała ostatni okrzyk, przestała oddychać i było po wszystkim. Bez żadnych fanfar. Quarry zdumiał się, że śmierć przychodzi tak łatwo. Że tak proste jest obserwowanie umierania drugiego człowieka.

Odczekał chwilę, by upewnić się, że nie żyje, zamiast odpoczywać między kolejnymi okrzykami do Pana, a później zamknął jej powieki i złożył ręce na piersi tak, jak to robili na filmach.

Kiedy odchodziła, ojca nie było w domu. Quarry znalazł go pijanego w łóżku żony jednego z robotników rolnych, który został odwieziony do szpitala po tym, jak żniwiarka poharatała mu nogę. Wyniósł go na ramieniu i zawiózł do Atlee. Chociaż Quarry miał wtedy zaledwie czternaście lat, do sześciu stóp wzrostu brakowało mu jedynie dwóch cali i był silny, jak na farmera przystało. Samochód prowadził, od kiedy skończył trzynaście lat, a przynajmniej robił to na bocznych drogach wiejskiej Alabamy lat sześćdziesiątych.

Zaparkował starą furgonetkę w stodole, wyłączył

silnik i chwycił za łopatę. Wykopał grób dla ojca niedaleko miejsca, w którym ukrył patriota. Później wrócił do stodoły, zastanawiając się, jak sprzątnąć staruszka. Miał dostęp do całej broni w Atlee, a było tego sporo. Potrafił się posługiwać każdą, ale wykombinował sobie, że cios w głowę będzie znacznie cichszy od strzału. Pewnie, że chciał zamordować starego cudzołożnika, ale był wystarczająco bystry, by nie poświęcać życia za tę przyjemność.

Wywlókł starego z samochodu i położył twarzą do ziemi na klepisku pokrytym słomą. Wymyślił, że zada śmiertelny cios w podstawę czaszki, jakby chciał ubić jakieś zwierzę. Chwycił dwuręczny młot, szykując się do uderzenia, gdy ojciec nagle usiadł.

– Co ty wyrabiasz, junior? – wybełkotał, spoglądając na syna pijackimi oczami nabiegłymi krwią.

– Nic takiego – odburknął Quarry, nagle tracąc odwagę. Mógł sobie być wysoki jak dorosły mężczyzna, ale nadal pozostawał chłopcem. Przypomniało mu o tym jedno spojrzenie tatusia.

– Głodny jestem jak cholera – mruknął ojciec.

Quarry odłożył młot i pomógł staruszkowi się podnieść, a później pokuśtykał z nim do domu. Nakarmił ojca i niemal wniósł na górę. Rozebrał staruszka i położył do łóżka, nie zapalając światła w sypialni.

Kiedy następnego dnia obudził się obok zimnej małżonki, przeraźliwy krzyk dotarł aż do obory, gdzie Quarry z całej siły ciągnął krowie cycki. Śmiał się tak

mocno, że aż zaczął płakać.

Po zakopaniu pistoletu wrócił do Atlee. Był piękny wieczór. Słońce kończyło swój bieg, oświetlając wspaniałym blaskiem zbocza płaskowyżu Sand Mountain rozciągającego się na południowym wielkim paluchu Appalachów. Pomyślał, że Alabama to najpiękniejsze miejsce na ziemi, a Atlee jest najwspanialszą częścią tego stanu.

Poszedł do gabinetu i rozpałił ogień w kominku, choć dzień był gorący i zapowiadała się parna noc z żarłocznymi komarami żądnymi krwi.

Krew. Miał jej dużo w pojemnikach z lodem. Zamknął je w wielkim sejfie, w którym dziadek przechowywał ważne dokumenty. Sejf stał w piwnicy obok starego pieca, którego rzadko używano w tej części kraju, i miał zamek szyfrowy. Jako dziecko obracał kołem z całych sił, mając nadzieję, że zatrzyma się na właściwej kombinacji i odsłoni skrywaną w środku tajemnicę. Niestety nigdy tak się nie stało. Później poznał właściwą kombinację cyfr dzięki testamentowi ojca, ale wówczas już nie czuł tego dreszczyku.

Kiedy polana zajęły się ogniem, wsunął pogrzebacz w płomienie, żeby się rozgrzał. Usiadł w fotelu, podwinął rękaw i przytknął czerwone rozżarzone żelazo do skóry. Nie krzyknął, a jedynie przygryzł dolną wargę. Odrzucił pogrzebacz i spojrzał na dygoczące ramię. Dysząc z bólu, spojrzał na ślad pozostawiony przez rozgrzany metal. Wypalił nim długą kreskę, ale pozostały jeszcze trzy.

Odkorkował trzymaną w biurku butelkę dżinu i pociągnął łyk, a następnie wylał odrobinę na ranę. Pokryta pęcherzami skóra nabrzmiała pod wpływem alkoholu. Przypominała maleńkie górskie pasmo, które uformowało się miliony lat temu po czkawce, która wstrząsnęła wnętrznościami ziemi. Dżin był tani, bo tylko taki teraz pijał. Z pszenicy zmieszanej z jakimś gównem. Butelkowany w okolicy, bo wszystko, co ostatnio robił, ograniczało się do najbliższej okolicy.

Nie okłamał tego nieszczęśnika Kurta. W jego rodzinie zdarzały się przypadki obłądu. Ojciec był stuknięty, podobnie jak dziadek. Obaj skończyli w stanowym szpitalu psychiatrycznym, gdzie dokonali żywota, gładząc o rzeczach, których nikt nie chciał słuchać. Ostatni razem, gdy widział ojca, ten siedział na brudnej podłodze. Cuchnął gorzej niż wychodek w sierpniu i paplał bez końca o tym cholernym zdrajcy Lyndonie Johnsonie oraz kolorowych, choć używał nieco bardziej dosadnych określeń.

Właśnie wtedy Quarry zdecydował, że ojciec nie był stuknięty, ale po prostu zły.

Wyprostował się w fotelu, obserwując tańczące z sykiem płomienie.

Może i jestem żalonym wsiakiem z zabitego dechami Południa, ale dopnę swego. Przykro mi, Kurt. Naprawdę mi przykro, synu. Jedno mogę ci obiecać, nie zginąłeś na próżno. Żaden z nas nie musi na próżno umierać.

Pojechali do szwagierki Tucka w Bethesdzie, w stanie Maryland, gdzie przebywały dzieci. John i Colleen nadal byli w szoku i niewiele pamiętali. Michelle usiadła z siedmioletnią Colleen, próbując wyciągnąć coś z dziewczynki, ale wszystko na próżno. Tamtej nocy była w łóżku w swoim pokoju. Drzwi się otworzyły, ale zanim zdążyła podnieść głowę, ktoś ją złapał, a później poczuła coś na twarzy.

– Dłoń czy materiał? – spytała Michelle.

– Jedno i drugie – odrzekła Colleen. Powiedziała to ze łzami w oczach, więc Michelle postanowiła jej więcej nie męczyć. Dzieciom podano środek uspokajający, ale było oczywiste, że nadal tkwią w szponach otepiającego bólu.

Dziesięcioletni John Dutton też spał w swoim pokoju. Obudził się, gdy poczuł coś obok siebie. Więcej nie pamiętał.

– Zapach? Dźwięk? – podsuwał mu Sean.

Chłopak pokręcił głową.

Żadne nie wiedziało, gdzie była w tym czasie Willa. John sądził, że jest z matką na dole. Jego mała siostrzyczka utrzymywała, że słyszała kroki Willi na piętrze kilka minut przed napaścią.

Sean pokazał im znaki pozostawione na ciele matki, ale żadne nie wiedziało, co oznaczają.

Niczego nie dały typowe pytania o obcych węszących

po okolicy, dziwne listy w skrzynce pocztowej i głuche telefony.

– Wiecie, z jakiego powodu wasza mama mnie wezwała? Rozmawiała o tym z wami?

Pokręcili głowami.

– A tata? Czy któreś z was widziało go ostatniej nocy?

– Tata wyjechał z miasta – powiedziała Colleen.

– Przecież wrócił wczoraj w nocy – przypomniała Michelle.

– Nie widzieliśmy go – odparli chórem.

Mała dziewczynka dopytywała się rozpaczliwie, czy odnajdą Willę.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – przyrzekła Michelle – a jesteśmy całkiem dobrzy w tej robocie.

– Co teraz? – spytała Michelle, gdy rozstali się z pogrążoną w smutku rodziną.

– Dostałem wiadomość od Jane. Tuck chce się z nami spotkać.

– Możemy rozmawiać ze wszystkimi, ale jeśli nie uzyskamy wstępu na miejsce popełnienia przestępstwa i nie zapoznamy się z dowodami, nie będziemy mieli do czego strzelać.

– Co się stało z moim pogodnym promyczkiem?

Michelle spojrzała w lusterko wsteczne.

– Wypalił się w tym domu. Dzieciaki są zdruzgotane.

– To zrozumiałe, ale będą jeszcze bardziej zdruzgotane, jeśli nie odnajdziemy Willi.

Na zewnątrz szpitalnego pokoju Tucka siedziało dwóch agentów Secret Service, ale uprzedzono ich o wizycie Seana i Michelle, więc szybko wpuścili detektywów do środka. Tuck siedział na łóżku i sprawiał wrażenie zamroczonego. Obok stał stojak do kroplówek z kilkoma pojemnikami połączonymi rurkami z ręką pacjenta.

Sean przedstawił Michelle, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Przykro mi z powodu Pam – powiedział.

Po policzku Tucka spłynęły łzy.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że odeszła.

– Widzieliśmy się z Johnem i Colleen.

– Jak się czują? – Tuck drgnął zaniepokojony.

– Najlepiej, jak można w takich okolicznościach – odparł dyplomatycznie Sean.

– A Willa? Są jakieś wieści?

Sean spojrzał na Michelle, przysunął sobie krzesło i usiadł obok łóżka.

– Nie. Co możesz nam powiedzieć o tamtej nocy?

Michelle przysunęła się bliżej.

– Powoli, nie spiesz się.

Okazało się, że było tego niewiele. Znajdował się w sypialni, kiedy rozległ się krzyk. Podbiegł do drzwi i wtedy coś uderzyło go mocno w głowę.

– Lekarze mówią, że to typowe wstrząśnienie mózgu,

ale nie ma trwałych uszkodzeń.

– Kiedy to się stało?

– Poszedłem na górę, żeby się przebrać. Pojechałem na spotkanie, nie było mnie w mieście. Wróciłem późno do domu.

– Jak późno?

– Po dwudziestej trzeciej.

– Przyjechaliśmy o dwudziestej trzeciej trzydzieści – powiedział Sean.

Tuck spojrział na niego ze zdumieniem.

– Byliście tam?

Sean wyjaśnił mu wszystko w minutę.

– Skąd wróciłeś?

– Z Jacksonville.

– Wróciłeś do domu mercedesem?

– Tak. Skąd wiesz?

– Prosto do domu? Bez żadnych postojów?

– Tak, dlaczego o to pytasz?

– Gdyby ktoś cię śledził, mógłbyś się zorientować na postoju.

– Czemu ktoś miałby mnie śledzić?

– Sean uważa, że ten, kto zaatakował waszą rodzinę, mógł za tobą jechać.

– Chcecie powiedzieć, że to był przypadek?

– Zobaczyli faceta w najnowszym modelu mercedesa... takie rzeczy się zdarzają.

Tuck zasłonił twarz dłonią.

– Jezu, nie mogę w to uwierzyć.

– Mógłbym spytać, czego dotyczyło spotkanie?

Tuck wolno opuścił rękę.

– Niczego szczególnie interesującego. Działam w branży obronnej. Mamy małe biuro w Jacksonville. Moja firma uczestniczy w tworzeniu systemów biodefensywnych dla Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Dopracowywaliśmy szczegóły...

– I wróciłeś w samą porę, by oberwać w głowę? – dodała Michelle.

– Powiedzieli mi o Pam – wycedził. – O tym, jak zginęła.

– Kto? Policja?

– Faceci w garniturach. FBI. Chyba tak się przedstawili. Nadal szumi mi w głowie. Przepraszam.

Zadali mu te same pytania co dzieciom i uzyskali równie nieprzydatne odpowiedzi.

– To miał być wielki dzień Willi. – Uśmiechnął się słabo. – Pojechała do Camp David na przyjęcie urodzinowe. Ile dzieci może przeżyć coś takiego?

– Niewiele – przytaknęła Michelle. – Szkoda, że ominęła cię impreza.

– Pierwszy raz opuściłem jej urodziny. Nigdy wcześniej nie byłem w Camp David.

– To wiejska posiadłość – powiedział Sean. – Czy pierwsza dama zajmowała ważne miejsce w życiu Willi?

– Taak. Oczywiście na ile pozwalał jej czas. Nadal nie mogę uwierzyć, że poślubiła prezydenta. Do licha, nie mogę uwierzyć, że jestem jego szwagrem.

– Zawsze byliście ze sobą blisko, prawda?
– Taak. Lubię Dana. Nawet na niego głosowałem. –
Uśmiechnął się słabo, powstrzymując łzy. – Nie potrafię
zrozumieć, czemu ktoś miałby to zrobić.

– Przecież to oczywiste, Tuck – odpowiedział Sean.
– Sądziś, że ta sprawa ma związek z Danem i Jane?
– Ludzie wiedzą, że jesteście rodziną. Stanowiliście
znacznie łatwiejszy cel.

– Jeśli to prawda, o co im chodzi? Przecież prezydent
nie może ot tak sięgnąć do państwowej kiesy i zapłacić
okup.

Sean i Michelle wymienili spojrzenia, gdy Tuck
przesuwał wzrok z jednego na drugie.

– Chyba to niemożliwe, nie?
– Skoncentrujmy się na faktach, Tuck. Będziemy
mieli dość czasu na spekulacje.

– Nie mamy czasu, Sean. Co z Willą? Oni mają
Willę. Może być... – Usiadł ze wzburzenia.

Sean pchnął go delikatnie na łóżko.

– Posłuchaj, Tuck, FBI prowadzi śledztwo. My też
robimy, co w naszej mocy. Najważniejsze, żeby wszyscy
zachowali spokój i powiedzieli nam, co wiedzą.

Sean wyciągnął kartkę ze znakami wypisanymi na
ramionach Pam.

- Rozpoznajesz to?
- Nie? Czemu pytasz?
- Ci z FBI nie pytali?
- Nie. Co to jest u licha?

– Wypisali to czarnym markerem na ramionach Pam.
– Boże. Czy to robota jakiejś sekty? Tak? – Tuck spojrział na nich z przerażeniem, które zajęło miejsce gniewu. – Myślicie, że Willę porwał jakiś Charlie Manson, mający żal do rządu?

Do pokoju weszła pielęgniarzka.

– Proszę wyjść. Państwo denerwują pacjenta.

Michelle otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Sean odparł:

– Ma pani rację. Przepraszam. – Uścisnął ramię Tucka. – Postaraj się jak najszybciej wyzdrowieć. John i Colleen naprawdę cię potrzebują. Dobrze?

Tuck szybko skinął głową i opadł na łóżko.

Kilka minut później Sean i Michelle wsiedli do jej SUV-a.

– Mam jedno pytanie – powiedziała Michelle.

– Tylko jedno? Jestem pod wrażeniem.

– Czemu Tuck wyjechał z miasta na spotkanie, kiedy jego córka miała przyjęcie urodzinowe w Camp David? No wiesz, czy dogranie szczegółów w Jacksonville nie mogło poczekać? Nie mogli urządzić wideokonferencji? Odniosłam wrażenie, że facet chciał się dowiedzieć, czy prezydent może wypłacić okup z państwowej kiesy.

– Trochę za szybko wyskoczył z tą sektą. Dlatego nie spytałem, czemu Pam chciała się z nami zobaczyć. Może chodziło o niego.

– Podejrzewasz Tucka?

– Podejrzewam każdego, dlatego nie wspomniałem o

tym Jane Cox.

– Zgrabnie wyciągnąłeś od niego, że wrócił prosto do domu. Naprawdę sądzisz, że chodzi o okup?

– Nie.

– Myślisz, że ta sprawa ma związek z rodziną prezydenta?

– Myślałem tak, dopóki Tuck o czymś nie wspomniał.

– O czym?

– Że jego firma na zlecenie rządu uczestniczy w pracach nad systemem biodefensywnym.

Wieczorem przejeżdżali obok domu Duttonów, ale nie skręcili na podjazd, bo zagradały go przenośne blokady. Przed barierkami stały w poprzek policyjne radiowozy i SUV-y FBI. Podjazd za prowizoryczną zaporą nadal wypełniały policyjne i sądowe furgonetki.

Za odgrodzoną strefą roiło się od przejętych reporterów biegających po okolicy z dużymi mikrofonami w asyście drepczących z tyłu kamerzystów. Wzdłuż drogi stały telewizyjne wozy transmisyjne z antenami wycelowanymi w niebo. Nie brakowało również gapiów próbujących ustalić, co się dzieje i padających ofiarą dziennikarzy, którym nie pozostało nic innego, jak słuchać niedorzecznych komentarzy, skoro władze nabrały wody w usta.

– No to zapoznaliśmy się z dowodami – mruknęła Michelle.

Sean jej nie słuchał. Wpatrywał się w kartkę papieru, na której zanotował litery znalezione na ramionach Pam Dutton. Próbował pogrupować je w taki sposób, by nabrały sensu.

– Chaffakan. *Hatka* i *Tayyi*?

– Chaffakan? Jak Chaka Khan? Czyżby zabójstwa dokonali fani piosenkarzy pop o egzotycznych nazwiskach?

– Możesz być odrobinę poważniejsza?

– Zgoda. *Tayyi* ma chińskie lub japońskie brzmienie.

Może to wschodnia sztuka walki albo technika relaksacyjna.

– Może to jakiś szyfr?

– W takim razie nie znamy klucza.

Sean wyciągnął komórkę i spojrzał na wyświetlacz.

– Co robisz?

– To, co wszyscy, wpisuję je do wyszukiwarki Google.

Po chwili oczekiwania zaczął przeglądać odpowiedzi.

– Hatka to nazwisko aktorki lub firmy działającej w show-biznesie. A *tayyi* ma coś wspólnego z Arabami z szóstego wieku. Może to jakaś grupa plemienna.

– Myślisz, że porwanie ma związek z terrorystami?

– Nic na to nie wskazuje. Muszę ułożyć z tych liter inne wyrazy. – Wprowadził kolejne układy i otrzymał więcej rezultatów, aż któryś z nich zwrócił jego uwagę.

– Yi.

– Gdyby napisać *Yi* zamiast *Tayyi*, wynik byłby następujący. – Sean odczytał tekst widniejący na ekranie. – „Pismo yi zaginęło w otchłani czasu, choć sądzi się, że wywarło wpływ na chińskie pismo. Każdy znak oznacza jedną sylabę. Posługiwano się nim głównie w pismach religijnych i tajemnych. Dziś używają go miliony ludzi w chińskich prowincjach Junnan i Syczuan”.

– Czyżby sprawcami byli członkowie chińskiej sekty religijnej posługujący się jakimś dziwacznym językiem? – zapytała sceptycznie Michelle. – Przecież litery pochodzą z angielskiego, a nie chińskiego alfabetu.

– Nie mam pojęcia. Po prostu badam trop. – Kiedy Michelle zaczęła coś mówić, wprowadził numer i przytknął aparat do ucha.

– Cześć, Phil. Tu Sean King. Taak, upłynęło dużo czasu. Wiem. Posłuchaj, wróciłem do Waszyngtonu. Mam pewne pytanie dotyczące języka. Tak. Nie, nie chcę się go nauczyć. Chcę ustalić, czy ciąg znaków tworzy komunikat w jakimś języku. Taak, domyślam się, że gadam bez sensu. Słuchaj, czy znasz kogoś w Georgetown, kto zna język yi? Tak, z Chin.

Michelle bębniła palcami w kierownicę, kiedy mówił.

– Tak, wiem, że nie jest to jeden z głównych języków. Możesz popytać na swoim wydziale? Może ktoś go zna. Dzięki za przysługę. – Podał Philowi swój numer i zakończył rozmowę.

Kiedy Michelle spojrzała na niego pytająco, odpowiedział:

– Mam kumpla, który wykłada na wydziale lingwistyki w Georgetown. Rozejrzy się i oddzwoni.

– Yi-tam!

Rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Masz lepszy pomysł?

Chciała odpowiedzieć, ale jego telefon zadzwonił.

– Taak? – Wyprostował się i spojrzał przez okno. – Teraz? W porządku. Zgoda.

Rozłączył się i spojrzał na nią zdumiony.

– Kto dzwonił?

– Agent specjalny Waters. Zostaliśmy oficjalnie

zaproszeni do udziału w śledztwie.

Michelle przesunęła dźwignię zmiany biegów.

– Wow, Jane Cox zasłużyła na swoją reputację.

Waters powitał ich w drzwiach. Było jasne, że agent FBI biegnie na krótkiej smyczy z ciasną obrozą i nie jest uradowany tym faktem. Kazał im włożyć obuwie ochronne i pouczył, by stąpali tam, gdzie on. Silił się na uprzejmość, choć nie udało mu się wydobyć z siebie niczego prócz powarkiwania.

– Miło mieć wysoko postawionych przyjaciół – zauważył z przekąsem, gdy szli schodami do sypialni, mijając obrys ciała Pam Dutton na dywanie w salonie.

– Możesz sam się o tym przekonać, tylko nie narzekaj, że „wtrącają się” do śledztwa – prychnęła Michelle. Sean trącił ją w bok, gdy stanęli w drzwiach jednej z sypialni. Waters otworzył, a Sean i Michelle rozejrzeli się z progu.

Pokój Willi był pusty, gdy tamtej nocy przeszukali dom. W środku panował idealny porządek. Półki ugięły się od książek, a na biurku stał płaski srebrny komputer Mac. Na jednej ze ścian wypisano czarnym węglem „Terytorium Willi”.

– John Dutton twierdzi, że w chwili napaści Willa była na dole z matką, a Colleen sądzi, że słyszała Willę na schodach – powiedział Sean.

– Nam powiedzieli to samo – przytaknął grzecznie Waters.

– Wiesz, która wersja jest prawdziwa?

– Nie znaleźliśmy żadnych śladów wskazujących, że

Willa została zaatakowana na schodach, ale mogła usłyszeć porywaczy, kiedy na nich stała.

– Czy znaleziono ślady wskazujące, że wtargnęli do środka siłą?

– Uważamy, że weszli tylnymi drzwiami. Nie były zamknięte. Na piętro prowadzą tylne schody. – Wskazał na lewo. – Wychodzą na ten korytarz.

– Sądzicie, że napastnicy dostali się do środka przez otwarte tylne drzwi i szli przez dom, z pokoju do pokoju? Od tyłu w kierunku frontu? – spytała Michelle.

– Odurzyli Colleen, a później Johna. Następnie ogłuszyli Tucka, zamordowali Pam i porwali Willę? – dokończył Sean.

– To jedna z teorii – powiedział Waters.

– Czemu nie odurzyli także Tucka? Powiedział nam, że otworzył drzwi do sypialni i wtedy coś go uderzyło.

– To duży mężczyzna, nie dziecko. Może nie chcieli ryzykować z substancją odurzającą. Cios w głowę jest pewniejszy.

– Jakiego środka odurzającego użyto?

– Lekarze pobrali próbki z twarzy dzieci. Wygląda na płynną formę ogólnego anestetyku.

– Czy sądzą, że sprawcy od początku zamierzali porwać Willę? – zapytał Sean.

– Niekoniecznie. Może napatoczyła się pierwsza i dlatego ją schwytali. Pam Dutton weszła do pokoju, zobaczyła, co się dzieje, i zaczęła bronić córki. To naturalna reakcja. Zabili ją i porwali dziecko.

Sean pokręcił głową.

– Przecież salon znajduje się w przedniej części domu. Jeśli weszli od tyłu, jak sugerujecie, i zaczęli iść z pokoju do pokoju, najpierw natknęliby się na Tucka, a następnie na Johna. Później zajrzeliby do pokoju Willi, a na końcu do Colleen. Dopiero wtedy znaleźliby się we frontowej części domu. Gdyby Willa była w swojej sypialni, zabraliby ją przed zajrzeniem do Colleen. Nie sądzę, żeby najpierw zabili Pam, a później ogłuszyli Tucka i odurzyli pozostałe dzieci.

– Kiedy zajechaliśmy przed dom, usłyszeliśmy krzyk. Pewnie był to krzyk umierającej Pam. Tamci byli już wówczas w salonie. Tuck i pozostałe dzieci leżeli nieprzytomni – dodała Michelle.

– Zatem wszystko wskazuje, że w tym czasie Willa nie była w swoim pokoju – powiedział Sean. – Może znajdowała się w salonie. Była najstarsza. Świątowała rocznicę swoich urodzin. Mama pozwoliła jej zostać dłużej, a może wstała, kiedy tata przyjechał do domu, żeby mógł jej złożyć życzenia urodzinowe.

Michelle podjęła myśl:

– Mama wychodzi z pokoju. Może poszła po coś do kuchni. Tuck idzie na górę, żeby się przebrać. Może inne dzieci były już odurzone. Ogłuszają Tucka, pędzą do salonu, chwytają Willę. Wtedy wraca mama. Widzi, co się dzieje, walczy i przypłaca to życiem.

– Ich celem musiała być Willa – dodał Sean – bo mieli wcześniej dostęp do innych dzieci.

Z wyrazu twarzy Watersa wynikało, że jeszcze nie rozstrzygnął tej kwestii.

– Za wcześnie, żeby przesądzać sprawę – odrzekł z całym przekonaniem, na jakie potrafił się zdobyć.

Na twarzy Michelle pojawiła się mina wyrażająca jej prywatną opinię. *Kiepska wymówka.*

– Czy lekarze sądowi powiedzieli, ile krwi brakuje Pam Dutton?

– Więcej, niż uzasadniałoby krwawienie z rany i ślady znalezione na dywanie.

– Kto jest lekarzem sądowym przydzielonym do sprawy?

– Lori Magoulas. Znasz ją?

– Nazwisko brzmi znajomo. Domyślcie się, dlaczego zabrali jej krew?

– Może są wampirami?

– A ślady pod paznokciami?

– Badamy je – uciął krótko Waters.

– Jakież odciski palców? Fiolki?

– Używali rękawiczek. Byli dobrzy.

– Niekoniecznie – powiedział Sean. – Stracili kontrolę nad Pam i musieli ją zabić, a przynajmniej na to wygląda.

– Może tak, a może nie – odparł wymijająco Waters.

– Odnaleźliście tundrę?

– Jest zarejestrowana na Duttonów. Znaleźliśmy ją w lesie jakąś milę stąd. Wjechali wozem do rowu. Pewnie chcieli go ukryć.

– Wiadomo, dokąd pojechali?

– Nadal badamy ślady. Musieli mieć w pobliżu inny wóz, ale nie znaleźliśmy jeszcze żadnych śladów. Wypyujemy ludzi, może ktoś coś zobaczył. Do tej pory bez rezultatu. – Spojrzał na Michelle. – Jesteś pewna, że było ich dwóch?

– Facet z pistoletem maszynowym i kierowca. Widziałam kierowcę przez szybę. Wysoki. Na pewno facet.

Sean spojrzął na zegarek.

– Biorąc pod uwagę czas porwania i prędkość, z jaką się poruszali, otrzymamy obszar o powierzchni wielu tysięcy mil.

– Jeśli dysponowali prywatnym odrzutowcem, mogli się dostać w dowolne miejsce na świecie – dodała Michelle.

– Jak rozumiem, nie przesłali jeszcze żądania okupu?

Waters odwrócił się do Seana. Z wyrazu jego twarzy jasno wynikało, że krótka smycz wyrwała się z rąk.

– Słuchaj, dowiedziałem się o tobie tego i owego. Pewnie nadal cię boli, że odszedłeś z Secret Service za błąd, który ktoś przypłacił życiem. Niełatwo sobie poradzić z takim gównem. Zastanawiałeś się, czy nie palnąć sobie w łeb z tego powodu? Wiesz, byłoby to całkiem zrozumiałe.

– Agencie Waters, wiem, że znaleźliśmy się w niezręcznej sytuacji. Że wygląda, jakby wepchnęli nas wam do gardła...

– Żadnego wygląda, wepchnęli i już – oznajmił bez ogródek.

– W porządku. Zawrzyjmy układ. Jeśli coś znajdziemy lub wpadniemy na jakiś trop, powiadomimy was. Nie zależy mi na nagłówkach. Chcę jedynie odnaleźć Willę.

Po chwili zastanowienia Waters wyciągnął dłoń do Seana, ale cofnął ją, gdy ten chciał ją uścisnąć.

– Nie musicie mi niczego przekazywać. Czemu mam niańczyć ciebie i twoją partnerkę?

– Człowieku, co z twoim mózgiem? – prychnęła Michelle. – Ciagle masz go w dupie?

– Ta pieprzona rywalizacja nie przybliży nas do odnalezienia Willi – przypomniał Sean.

– Racja – przytaknął Waters. – Im dłużej będę musiał z wami przebywać, tym mniej będę miał czasu na pracę.

– W takim razie nie będziemy go marnowali – skwitował Sean.

– Piękne dzięki.

– Czy przed odejściem możemy się rozejrzeć? – Kiedy Waters spojrzał takim wzrokiem, jakby miał zamiar odmówić, Sean dodał: – Chciał bym się upewnić, że raport, który złożę prezydentowi Coxowi, będzie wyczerpujący. Z pewnością poinformuję go, jaki byłeś pomocny.

Gdyby Waters pobladał jeszcze bardziej, kryminaliści mogliby umieścić go w worku.

– Zaczekaj, King, momencik – powiedział nerwowo.

Ale Sean zaczął się oddalać w kierunku schodów.

Michelle go dopędziła.

– Dzięki takim facetom czuję się dumna z tego, że jestem Amerykanką.

– Zapomnij o nim. Pamiętasz bagaż Tucka, ten z naklejką linii lotniczych?

– Dużą walizkę na kółkach? Granatową? Z lekkiego poliestru? Nieco sfatygowaną? Czemu pytasz?

– Nie była bagażem podręcznym, bo miała przywieszkę linii lotniczych.

– Co z tego?

Sean wyciągnął telefon i wprowadził numer. Zaczekał, aż strona się załaduje, a następnie przejrzał kilka następnych.

– Rejs United Airlines numer pięćset sześćdziesiąt siedem z Jacksonville na lotnisko Dullesa?

– Tak.

Spojrzał na mały ekran.

– Samolot przylatuje o dwudziestej pierwszej trzydzięci. Facet wysiada, odbiera bagaż, idzie do samochodu i wraca do domu. Ile czasu mogło mu to zająć?

– To zależy, przy którym terminalu wylądował, czy musiał używać ruchomego chodnika, aby dostać się do hali głównej. Z terminalu A mógł tam po prostu przejść.

Sean wykonał jeden szybki telefon. Rozłączył się i powiedział:

– Pasażerowie wysiedli w terminalu A.

– Zatem nie musiał korzystać z ruchomych chodników. Powiedziałabym, że dotarcie do domu zajęłoby mu nie więcej niż trzydzieści minut.

– Jeśli samolot nie miał opóźnienia, a odebranie bagażu zajęło piętnaście minut, dotarłby do samochodu, wyjechał z lotniska i wrócił do domu o dwudziestej drugiej piętnaście. Dla pewności zaokrąglimy do dwudziestej drugiej trzydzieści.

– Jeśli samolot wylądował o czasie.

– Trzeba to sprawdzić. Jeśli tak się faktycznie stało i Tuck Dutton dotarł do domu około dwudziestej trzeciej, facet nie potrafi się wytłumaczyć z trzydziestu minut.

– Wierzysz w to?

– Tak, bo kiedy go znaleźliśmy, krew na twarzy zdążyła zakrzepnąć.

– Ciekawe, co robił.

Sam Quarry pojechał do najbliższego punktu UPS i nadał paczkę zawierającą oznaczone fiolki z krwią. Wysłał je na adres laboratorium w Chicago, które znalazł, korzystając z Internetu w miejscowej bibliotece. W środku znajdowała się opłacona koperta zwrotna.

Następnie pojechał sto mil na wschód, przejeżdżając na teren Georgii. Zjechał z autostrady na parking dla ciężarówek. Miał ze sobą sześć paczek, ale liczyła się tylko jedna. Zaparkował i ruszył przez parking do skrzynki na listy. Upewniwszy się, że nie filmują go żadne kamery, wrzucił wszystkie do skrzynki. Najważniejsza paczka została wysłana na adres w Marylandzie. Były w niej talerz i łyżka, której używała Willa, oraz list napisany na maszynie. Nie miał pojęcia, czy władze zdołają ustalić, skąd ją nadano, ale musiał się z tym liczyć. Inne paczki nadał, by nikt nie mógł zeznać, że widział człowieka wrzucającego do skrzynki jedną paczkę. Uznają, że to nie on. Wyglądał jak jeden z kierowców jeżdżących na długich trasach, wysyłający kilka paczek do domu.

Później wrócił do Alabamy, zatrzymując się tylko raz, żeby coś przegryźć. Kiedy dotarł do Atlee, paliło się jedynie światło w pokoju Gabriela.

Quarry cicho zapukał do drzwi.

– Gabrielu?

Mały chłopak otworzył drzwi.

- Słucham, panie Sam?
- Co robisz tak późno?
- Czytam.
- Co?
- To. – Gabriel pokazał mu książkę. Quarry wziął ją i spojrzał na tytuł.
 - *Absolutnie prawdziwy dziennik Indianina na pół etatu.*
 - *Jest* bardzo ciekawa. Można się śmiać i płakać. Lubię ją, choć miejscami jest napisana językiem dla dorosłych.
 - Przecież nie jesteś Indianinem.
 - To nie jest książka dla Indian, panie Sam. To książka dla wszystkich. Powiedziała mi o niej pani w bibliotece. Chciałbym napisać kiedyś książkę.
 - Cóż, Bóg wie, że masz w głowie dość słów, bo czasami przychodzą ci szybciej, niż potrafię usłyszeć. – Quarry zwrócił mu książkę. – Twoja mama tu była?
 - Godzinę temu. Zastanawialiśmy się, dokąd pan pojechał.
 - Miałem sprawę do załatwienia. – Quarry oparł się o framugę, potarł zapałkę o drewno i zapalił papierosa. – Widziałeś Kurta?
 - Nie, proszę pana.
- Spojrzał na Gabriela spod krzaczastych brwi.
- Pewnie się wyniósł.
- Gabriel zrobił zaskoczoną minę.
- Czemu miałby się wynieść? Dokąd miałby pójść?

Quarry stuknął papierosem o framugę, strząsając popiół na podłogę.

– Każdy ma jakieś miejsce. Niektórzy potrzebują tylko trochę więcej czasu, żeby je odnaleźć.

– Ma pan rację.

– Jeśli ktoś o niego spyta, tak mu odpowiemy. Przykra sprawa. Traktowałem go jak członka rodziny. Nie odchodź w taki sposób. Najpierw ze mną pogadaj, dobrze?

Gabriel znieruchomiał na samą myśl o tym.

– Jeśli kiedykolwiek zechcę odejść, będzie pan drugą osobą, której o tym powiem. Zaraz po mamie.

– Dobry z ciebie chłopak. Czytaj dalej, Gabrielu. Świat da ci szansę, ale nie spodziewaj się niczego więcej. Reszta należy od ciebie. Jeśli zmarnujesz okazję, sam będziesz sobie winien.

– Tyle razy pan to powtarza, że nauczyłem się tego na pamięć.

– Dobra rada jest warta powtórzenia.

Quarry podreptał do swojego pokoju. Znajdująca się na ostatnim piętrze sypialnia należała kiedyś do jego ojca i matki. Quarry nigdy nie miał szczególnego zamiłowania do porządku, choć Ruth Ann i Gabriel wyłazili ze skóry, żeby sterty rozrzuconych przedmiotów zachowały choć pozory ładu.

Żona Quarry'ego, Cameron, nie żyła od ponad trzech lat. Była to największa strata, jakiej w życiu doświadczył, choć przeżył ich kilka. Od czasu gdy odeszła, Quarry nie

sypiał w ich łóżku. Korzystał z długiej, sfatygowanej, stuletniej kanapy stojącej przy jednej ze ścian. W łazience było wiele rzeczy należących do żony, a Ruth Ann sumiennie je odkurzała, choć nigdy więcej nie zostaną użyte.

Mógł i być może powinien był sprzedać Atlee dawno temu, ale to nie wchodziło w rachubę. Cameron kochała to miejsce, dlatego rozstanie z posiadłością oznaczałoby dla Quarry'ego ostateczne pożegnanie z żoną. Nie mógłby tego zrobić, podobnie jak nie mógłby zabić własnego syna, choć z przerażeniem stwierdził, jak niewiele go od tego dzieliło. Do głosu doszedł obłąd trapiący jego ród. Dzień po dniu, rok po roku, szaleństwo stawało się coraz silniejsze, zaciskając się wokół mózgu jak mordercze macki raka.

Ułożył się na kanapie i sięgnął po butelkę dżinu. Zanim jednak pociągnął łyk, zmienił zdanie, wstał, włożył buty i sięgnął po kluczyki do samochodu leżące na koślawym stoliku.

Dwie minuty później był już na drodze, wpatrując się w niebo usiane tyłoma gwiazdami, że noc niemal przypominała dzień. Opuścił okno, włączył radio i łyknął dżinu. Poczłł na twarzy żar nocy Południa. Nienawidził klimatyzacji. Atlee nigdy jej nie miało, nie wspominając o samochodach, którymi jeździł. Człowiek powinien się spocic. Uciekanie od potu przypominało unikanie tego, co czyniło nas ludźmi.

Stara furgonetka pokonała dwadzieścia mil,

zjeżdżając z drogi gruntowej na żwirowaną, a następnie na makadam, by ponownie zakoleysać się na asfalcie rozgrzanym w upalny dzień.

Dotarł na miejsce. Bywał tu tysiące razy. Choć każda wizyta była inna, wydawała się dziwnie taka sama.

Znał tu każdego po imieniu. Chociaż pora składania wizyt dawno minęła, tamtym było wszystko jedno. To Sam Quarry. Wszyscy znali Sama Quarry'ego, bo wszyscy znali Tippi Quarry. Nazwali ją tak na cześć tej aktorki, Tippi Hedren. Cameron Quarry uwielbiała film *Ptaki* z tymi wszystkimi zwariowanymi skrzydlatymi potworami. Ich najmłodsza córka, Suzie, ta, która rozwiodła się z czarnoskórym facetem, mieszkała teraz w Kalifornii i coś tam robiła, choć Quarry nie wiedział do końca co. Był niemal pewny, że gdyby wiedział, nie zaaprobowałby tego. A Daryl był wiecznym dzieckiem.

Moje cholerne dziecko zamordowało matkę trójki dzieci.

Jednak żadne z nich nie skończyło jak Tippi. Miesiąc temu obchodziła trzydzieste szóste urodziny. Przebywała tu od trzynastu lat, ośmiu miesięcy i siedemnastu dni. Quarry zaznaczał upływ czasu w wewnętrznym kalendarzu, skreślając dni, które pozostały jej na ziemi. W pewnym sensie skreślał także własne. Tippi nigdy nie opuściła tego domu z pustaków. Nie opuściła i nie opuści.

Długie nogi Quarry'ego skierowały się machinalnie do pokoju najstarszego dziecka. Otworzył drzwi tak, jak to robił wiele razy wcześniej. W pokoju panował mrok.

Podszedł do krzesła, na którym siadywał tyle razy, że wytarł farbę. Z szyi Tippi wystawała rurka tracheostomijna, taka, jaką zakładali, gdy wiedzieli, że trzeba będzie jej długo używać, bo łatwiej było utrzymać ją w czystości niż znajdującą się w gardle. Wentylator pompował powietrze, nadymając płuca. Z oddali dochodził szmer monitora, na którym można było śledzić główne funkcje organizmu. Do żyły Tippi podłączono kroplówkę z komputerową regulacją, dostarczającą leki i substancje odżywcze do centralnego otworu wyciętego w skórze w okolicy obojczyka.

Quarry miał własny mały rytuał. Pogładził włosy leżące na jej szyi i przesunął je na ramię. Ileż to razy zawijał je na palec, kiedy Tippi była mała? Później dotykał jej czoła – czoła, które marszczyło się kiedyś, dawno temu. Następnie całował ją w policzek. Kiedy była dzieckiem, skóra i znajdująca się pod nią kość były gładkie i przyjemne w dotyku. Teraz przedwcześnie przywiedła i stwardniała.

Kiedy dopełnił rytuału, ujął jej dłoń w swoją, usiadł i zaczął do niej mówić. Gdy to robił, jego umysł przywoływał określenia, których użyli lekarze, opisując jemu i Cameron, co się stało.

Znaczna utrata krwi.

Niedotlenienie mózgu.

Śpiączka.

I na koniec: nieodwracalne uszkodzenie mózgu.

Żaden rodzic nie chciałby czegoś takiego usłyszeć.

Tippi nie umarła, choć była tak bliska śmierci, jak to tylko możliwe: oddychała za pomocą aparatu i utrzymywała się przy życiu dzięki drogim lekom. Wyciągnął książkę z kieszeni kurtki i zaczął czytać przy słabym świetle lampy stojącej na nocnym stoliku.

Czytał jej *Dumę i uprzedzenie*. Najbardziej znana powieść Jane Austen była ulubioną książką córki od czasu, gdy ściągnęła ją z półki biblioteki w Atlee jako pełna życia nastolatka. Jej głęboki entuzjazm zaraził Quarry'ego, który sam postanowił ją przeczytać. Właściwie zrobił to kilka razy. Zanim Tippi tu skończyła, Quarry wyobrażał sobie córkę jako rzeczywistą odpowiedniczkę Elizabeth Bennet z powieści Austen. Elizabeth była główną bohaterką, inteligentną, żywą i porywczą w sądach. Jednak kiedy Tippi się tu znalazła, Quarry dokonał ponownej oceny *alter ego* córki i zdecydował, że bardziej przypomina najstarszą, Jane Bennet. Urocza i nieśmiała, wrażliwa, ale nie tak bystra jak Elizabeth.

Godzinę później wstał i powiedział to, co zawsze:

– Odpoczywaj w spokoju, kochanie. Tata niebawem wróci. Kocham cię, maleńka.

Wrócił do Atlee. Gdy położył się na kanapie z butelką dżinu; ostatnim ulotnym obrazem, który ujrzał przed zaśnięciem, była młoda Tippi uśmiechająca się do tatusia.

Samolot United Airlines, na którego pokładzie podróżował Tuck Dutton, nie miał opóźnienia. Właściwie wylądował dwadzieścia minut przed czasem dzięki natychmiastowemu podejściu na lotnisku Dullesa i wczesnemu wylotowi z Jacksonville. Bagaże też dostarczono o czasie.

– Zamiast trzydziestu miał co najmniej pięćdziesiąt minut wolnego – stwierdziła Michelle. – Może nawet ponad godzinę.

Pili poranną kawę w kawiarni w Reston niedaleko biura. Aby uwolnić się od reporterów, Sean wydał oświadczenie, z którego niewiele wynikało, ale dało im trochę czasu na złapanie oddechu. Nie wrócili do biura, lecz zostali w hotelu, na wypadek gdyby reporterzy poczuli chęć przypuszczenia kolejnego ataku.

– To prawda.

– Myślisz, że był w to zamieszany?

– Jeśli tak, czemu nie trzymał się z daleka? Czemu wrócił i dał się ogłuszyć?

– Żeby odsunąć od siebie podejrzenia.

– A motyw?

– Mężowie mordują żony ze zdumiewającą regularnością – zauważyła Michelle. – To mi wystarczy, aby nigdy nie pójść do ołtarza.

– A Willa?

Michelle wzruszyła ramionami.

– Może jej porwanie było częścią intrygi. Porwiemy Wilę, a później odnajdziemy gdzieś całą i bezpieczną.

– To by kosztowało. Musiałoby zostać gdzieś odnotowane.

– Powinniśmy się zapoznać z finansami Tucka.

– Wiem, gdzie ma biuro.

– Pojedziemy tam?

– Po spotkaniu z lekarką sądową. Rozmawiałem z nią. Właśnie skończyła sekcję Pam Dutton.

– Znasz tę panią?

– Przyjaźnię się z wieloma osobami.

– Właśnie to mnie przeraża.

Czterdziestopięcioletnia Lori Magoulas była niska, krepą i miała jasne tlenione włosy związane w kucyk.

Kiedy Sean przedstawił Michelle, Lori Magoulas powiedziała:

– Byłam zaskoczona, kiedy zadzwoniłeś, Sean. Sądziłam, że zagubiłeś się nad tym swoim jeziorem.

– Waszyngton ma wielką siłę przyciągania, Lori.

Magoulas spojrzała na niego sceptycznie.

– No tak, a ja nie mogę się doczekać, żeby stąd czmychnąć i znaleźć własne jezioro.

Poprowadziła ich wyłożonym płytkami korytarzem, gdzie ludzie w obszernych szpitalnych fartuchach pochylali się nad zwłokami. Zatrzymali się przy jednym ze stalowych stołów, na którym leżało ciało Pam Dutton trwale naznaczone rozplatanym gardłem i standardowym nacięciem w kształcie litery Y wykonanym przez

Magoulas.

– Co ustaliłaś?

– Cieszyła się dobrym zdrowiem. Gdyby nie to zdarzenie, miałyby przed sobą długie życie – powiedziała, wskazując rozplataną szyję.

– A co z ilością krwi?

Magoulas zerknęła na ekran laptopa stojącego na biurku obok stalowego łóżka i przestudiowała liczby, które pojawiły się na monitorze.

– Uwzględniając to, co zostało na dywanie i ubraniach, brakuje około jednej pinty.

– Mogli ją zabrać ze sobą?

– Morderca przeciął osłonę tętnicy szyjnej, rozplatał wspólną lewą tętnicę szyjną i lewą żyłę. Wykrwawiłaby się na śmierć w ciągu kilku minut.

– Domyślasz się, jak zginęła? – zapytała Michelle.

– Sądząc po kącie rany i śladach pod paznokciami, powiedziałabym, że sprawca chwycił ją od tyłu i podciął gardło. Mogła sięgnąć do tyłu i rozorać mu twarz. Znaleźliśmy sporo tkanki i krwi pod paznokciami. Musiała porządnie poharatać drania, co pewnie nie poprawiło mu nastroju.

– Jesteś pewna, że to był facet? – spytał Sean, wywołując grymas niezadowolenia na twarzy Michelle.

– Znaleźliśmy fragmenty zarostu razem z krwią i tkanką.

– Chciałem się tylko upewnić – usprawiedliwił się Sean, patrząc na Michelle.

– Jeśli sprawca przeciął lewą żyłę i tętnicę szyjną, przypuszczalnie był praworeczny, skoro zaatakował od tyłu – zauważyła Michelle.

– Słuszna uwaga. – Magoulas sięgnęła po małą plastikową buteleczkę. W środku było kilka nitki ciemnego materiału.

– Znalazłam to pod jej prawym kciukiem i lewym palcem wskazującym. Trochę było też we włosach.

Michelle zmrużyła oczy, przyglądając się dowodowi.

– Wygląda na nylon.

– Z maski? – zasugerował Sean.

– Facet, którego widziałam, miał na twarzy czarną maskę – wyjaśniła Michelle. – Pam sięga do tyłu, chwytając palcami jego twarz. Paznokcie przebijają nylon.

– Widziałaś coś jeszcze? – spytała Magoulas.

– Nie. Jestem spostrzegawcza, ale facet strzelał do mnie z MP5. Mało brakowało, a byłby mnie trafił zamiast drzewo. Uznałam, że mądrzej będzie pozostać przy życiu, niż próbować ustalić jego tożsamość.

Lori Magoulas spojrzała na nią wytrzeszczonymi oczami.

– Mnie to przekonuje.

– A znaki na ramionach? – zapytał Sean, wskazując denatkę. Były teraz trudniejsze do odczytania z powodu zmiany barwy rozkładającej się skóry. Martwe ciało wydawało się pochłaniać tusz. Zamiast liter widzieli znaki przypominające jakąś chorobę skóry albo symbole jakiegoś obłąkanego katalogowania.

– Jestem patologiem, a nie lingwistą. To czarny tusz, przypuszczalnie pozostawiony przez marker o szerokim końcu. W rodzaju sharpie. Drukowane litery. Moim skromnym zdaniem człowiek, który je napisał, nie był wyjątkowym kaligrafem. Znam hiszpański, więc mogę was zapewnić, że to nie w tym języku. Nie jest to również żaden z języków romańskich, chiński czy rosyjski. To inne znaki.

– Może to jakiś afrykański język plemienny? – podsunął Sean.

– To nie są znaki z angielskiego alfabetu. Nie są też chińskie ani rosyjskie. Może to jakiś bełkot, który ma nas wyprowadzić w pole.

– W porządku. Zauważyłaś coś ciekawego? – zapytał Sean.

– Taak. Kobieta miała rude włosy. Widziałam mnóstwo rudych włosów, ale te przechodzą ludzkie pojęcie. Mało brakowało, a musiałabym użyć okularów przeciwsłonecznych, żeby wykonać sekcję.

– Czy to ma jakieś znacznie dla śledztwa? – spytała Michelle.

– Nie pytał o znaczące fakty, tylko o ciekawe. – Po chwili dodała z uśmiechem: – Słuchajcie, nawet lekarz sądowy musi czasem zażartować. W przeciwnym razie panowałaby tu bardzo depresyjna atmosfera.

– W porządku – odparł Sean. – Zadam inne pytanie. Zauważyłaś coś znaczącego?

– Miała dzieci.

– Wiemy.

– I dwa cesarskie cięcia. – Wskazała stare szwy na brzuchu Pam biegnące równolegle do nacięcia w kształcie litery Y. Przypominały wyblakły zamek błyskawiczny.

– Trzeci poród był pochwowy – dodał Sean.

– To niemożliwe – odparła Magoulas. – Oględziny wykazały nietypowy kształt kości miednicy powodujący, że kanał rodny miał nienaturalną szerokość. Zdjęcia rentgenowskie potwierdziły to przypuszczenie. Chociaż trudno to rozstrzygnąć podczas autopsji, wydaje się, że cierpiała na zaburzenie czynności stawu krzyżowo-biodrowego. Pewnie to wada wrodzona. Wniosek, żaden położnik nie zgodził się na poród pochwowy, chyba że chciałby stracić ubezpieczenie za poważny błąd w sztuce. To zbyt ryzykowne. Urodziła przez cesarskie cięcie.

Spojrzała na Sean i Michelle, którzy utkwili wzrok w poranionym brzuchu Pam Dutton, jakby szukali w nim odpowiedzi.

– Czy to ważne? – zapytała Magoulas, spoglądając na nich badawczo.

W końcu Sean odwrócił wzrok od starych szwów, kierując go na ostatnie nacięcie.

– Mogłabyś to uznać za ciekawe.

Godzinę później zajechali na parking przed dwupiętrowym biurowcem w hrabstwie Loudon.

– Skąd wiedziałeś, gdzie pracuje? – zapytała Michelle.

– Jestem przyjacielem rodziny. – Po chwili dodał: – Podwędziłem wizytówkę z sypialni Tucka.

– Zatem jedno z dzieci nie było jej naturalnym dzieckiem. Ciekawe które?

– Pam ma rude włosy, a Tuck jest blondynem. Willa ma ciemne włosy. Pozostała dwójka to blondyni.

– Chociaż chodzi o gen recesywny, może rude włosy są faktem znaczącym.

– I ciekawym.

Sean i Michelle weszli do środka i podeszli do biurka recepcjonistki.

– Nazywam się Sean King, a to moja partnerka, Michelle Maxwell. Reprezentujemy Tucka Duttona w sprawie związanej z tragedią, która dotknęła jego rodzinę.

Recepcjonistka, młoda kobieta o krótkich brązowych włosach i dużych smutnych oczach, westchnęła.

– Boże, wiem. Słyszeliśmy, co się stało. To potworne. Jak on się czuje?

– Szczerze mówiąc, nieszczególnie. Poprosił, żebyśmy zajrzeli do jego biura i przynieśli mu kilka rzeczy.

– Mam nadzieję, że w takiej chwili nie myśli o pracy.

Sean pochylił się bliżej.

– Myślę, że to jedyna rzecz, która trzyma go przy życiu. Przyjechaliśmy ze szpitala.

– Powiedział pan, że państwo go reprezentujecie? – zapytała wolno kobieta. – Jesteście prawnikami?

– Prywatnymi detektywami. – Sean pokazał jej legitymację. – Staramy się ustalić sprawców i odnaleźć Willę.

– Boże, życzę wam szczęścia. Willa była tu kilka razy. To wspaniała dziewczynka.

– Bez dwóch zdań – przytaknęła Michelle. – Przy porwaniu czas odgrywa decydującą rolę. Właśnie dlatego Tuck chciał, żebyśmy przejrzyli dokumenty, które mogą mieć związek z tą sprawą.

Recepcjonistka nie wyglądała na przekonaną.

– Proszę państwa, pan Dutton zajmował się tajnymi projektami. To informacje zastrzeżone.

Sean spojrział na nią z uśmiechem.

– Doskonale panią rozumiem. Uprzedził nas o tym. Może jest tu ktoś, kto mógłby nam pomóc?

Kobieta uśmiechnęła się z ulgą, zadowolona, że może przekazać sprawę komuś innemu.

– Tak, zadzwonię po pana Hilala.

Podniosła słuchawkę i po kilku minutach w recepcji zjawił się wysoki, szczupły czterdziestokilkuletni mężczyzna.

– Jestem David Hilal. Czym mogę państwu służyć?

Sean wyjaśnił cel ich wizyty.

– Rozumiem. – Hilal potarł brodę. – Proszę do mnie. Porozmawiamy w moim gabinecie.

Ruszyli w ślad za nim, a kiedy znaleźli się w pokoju, zamknął drzwi i usiadł naprzeciw nich.

– Jak się czuje Tuck?

– Fizycznie całkiem nieźle, ale psychicznie nie najlepiej – odpowiedział Sean.

– To potworne. Nie mogłem uwierzyć, gdy usłyszałem, co się stało.

– Wiem, że wasza firma uczestniczy w tajnym projekcie związanym z systemami biodefensywnymi. Tuck powiedział nam, że jest w trakcie podpisywania dużego kontraktu rządowego.

– To prawda. Jesteśmy podwykonawcą. Jeśli otrzymamy ten kontrakt, będzie to dla nas wielki sukces. Zdobędziemy środki na kilka lat. Tuck poświęcał tej sprawie wiele czasu. Jak my wszyscy...

– Czy właśnie dlatego poleciał do Jacksonville w dniu porwania?

– No... to prawda – odparł z wahaniem Hilal.

– Tak czy nie? – zapytała Michelle.

Hilal poruszył się niespokojnie.

– Firma jest własnością Tucka. Jestem jego współnikiem.

– Współpracujemy z Tuckiem – wyjaśnił Sean. – Chcemy jedynie ustalić prawdę. Chcemy ustalić, kto zamordował Pam Dutton i odnaleźć Willę. Zakładam, że Tuck też tego pragnie.

– Czuję się trochę niezręcznie – powiedział Hilal. –
Wiecie, to nie jest moja firma.

Michelle pochyliła się do przodu i stuknęła palcem w blat biurka.

– Chodzi o życie małej dziewczynki.

Hilal opadł na fotel.

– W porządku, myślę, że Tuck spotkał się z kimś w Jacksonville.

– Z kimś? Powiedział, że pojechał do waszej filii, żeby dopracować szczegóły projektu. Czy się mylę?

– Nie, faktycznie mamy filię w Jacksonville. Zatrudniona tam jest tylko jedna osoba – kobieta.

Sean i Michelle wymienili spojrzenia.

– Czy ta kobieta ma jakieś imię? – zapytał.

– Cassandra. Cassandra Mallory. Pracuje nad tym projektem. Zatrudniliśmy ją pół roku temu. Ma doskonałe kontakty w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. Wielu ludzi o nią zabiegało.

– Bo mogła pomóc w załatwieniu kontraktu?

– Agencje rządowe działają tak jak inne firmy. Otrzymanie kontraktu zależy od wzajemnych relacji i zaufania. Federalni cenią wygodę i zażyłość. Zatrudnienie Cassandry bardzo nam pomogło.

– Tuck pojechał, żeby się z nią spotkać. Sugeruje pan, że mogło chodzić o coś innego niż sprawy zawodowe?

– To bardzo atrakcyjna kobieta. Niezwykle inteligentna. Opalona blondynka lubiąca minispódniczki – dodał z zakłopotaniem Hilal. – Przypadli sobie z Tuckiem

do gustu. Nie znała się na sprawach technicznych, ale była specjalistką od sprzedaży. Jest w tym naprawdę świetna. Mogłaby sprzedać dosłownie wszystko.

Sean nachylił się bliżej.

– Czy Tuck miał z nią romans?

– Jeśli pytacie, czy mam dowody, zaprzeczę. Same drobiazgi. Często tam jeździł, słyszałem różne rzeczy.

– Ale nic konkretnego? – spytała Michelle.

– Miesiąc temu dostaliśmy obciążenia kart kredytowych. Jestem tu kimś w rodzaju dyrektora finansowego. Sprawdzam rachunki, podpisuję чеки.

– O jakie obciążenia chodziło?

– W wydatkach Tucka w Jacksonville było coś dziwnego.

– Kupował kwiaty, czekoladki albo bieliznę dla pięknej Cassandry? – spytała Michelle.

– Nie, źle mnie pani zrozumiała. Nie chodziło o koszty, które poniósł, ale o te, których nie ponosił.

– Nie łapię – wtrącił się Sean.

– Nie opłacił hotelu kartą firmową.

Sean i Michelle wymienili kolejne spojrzenie.

– Może posłużył się inną kartą – zasugerowała Michelle.

– Zawsze używa firmowej karty kredytowej. Firmy podpisujące kontrakty rządowe muszą bardzo skrupulatnie rozliczać się z wydatków. W sprawach służbowych używaliśmy tylko jednej karty. Dodam, że Tuck gromadzi na niej wszystkie punkty. Płaci nią za bilety lotnicze i

wyższy standard usług, jak my wszyscy. – Po chwili dodał: – Zawsze nocował w tym samym miejscu. W sympatycznym, choć niezbyt drogim hotelu. Dostawał od ich sieci różne punkty premiowe. Tym razem wyjechał na trzy noce, ale jego karta kredytowa nie została obciążona należnością za hotel.

– Czy Cassandra mieszka w Jacksonville?

– Ma apartament w domu nad wodą. Słyszałem, że bardzo ładny – dodał pośpiesznie.

– Czy Tuck nie mógł się zatrzymać u kogoś innego?

– Nie zna tam nikogo. Otworzyliśmy filię w Jacksonville tylko dlatego, że Cassandra tam mieszkała. Nie chciała przeprowadzić się tutaj i nie mogła pracować w domu. Myślę, że uniemożliwiały to warunki, które zaakceptowała przed zakupem mieszkania. Oprócz tego Jacksonville jest dużym ośrodkiem przemysłu obronnego, a my chcieliśmy szukać tam kolejnych kontraktów. Stworzenie przyczółka w Jacksonville wydawało się sensowne.

Sean rozparł się w fotelu.

– Co pan pomyślał, kiedy usłyszał o napaści na jego rodzinę? – zapytał. – Tak szczerze.

Hilal westchnął przeciągle.

– Nie było tajemnicą, że on i Pam nie byli najbardziej szczęśliwą parą na świecie. On pracował, a ona prowadziła dom i zajmowała się dziećmi. Ale zamordowanie żony i porwanie własnej córki? Wicie państwo, Tuck nie jest świętym, ale nie wyobrażam sobie,

żeby był do tego zdolny.

– Myśli pan, że Pam coś podejrzewała?

– Powiem szczerze, nie wiem. Słabo ją znałem.

– Jeśli chciał się od niej uwolnić, istniały łatwiejsze sposoby – dodała Michelle.

– Właśnie. Czemu nie zażądał rozwodu? – zapytał Sean.

Hilal zabębnił palcami o biurko.

– To mogłoby być trudne.

– Trudne?

– Wspomniałem, że zatrudnił Cassandrę pół roku temu. Wcześniej pracowała w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego, w dziale zakupów. W tej samej agencji, z którą chciał podpisać kontrakt. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że miała świetne kontakty.

– Gdyby Tuck rozwiódł się z Pam, ich romans przestałby być tajemnicą?

– W świecie zamówień rządowych federalni nie lubią nawet cienia konfliktu interesów. Gdyby główny wykonawca dowiedział się o romansie Tucka z byłą pracownicą DHS⁵, mogłoby to stanowić poważny problem. Może nie na tyle, by w normalnych okolicznościach uśmiercić znajomość, ale okoliczności nie były normalne.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Sean.

– Tuck jest szwagrem prezydenta, dlatego ludzie odnoszą się podejrzliwie do wszelkich potencjalnych przejawów faworyzowania. Władze mogłyby uznać, że

zaczęli romansować, zanim Cassandra opuściła agencję, i zacząć sprawdzać poprzednie kontrakty, które z nami zawarto. Sprawy mogłyby się poważnie skomplikować. Trudno wygrać przetarg, więc druga strona jest gotowa wykorzystać każdą gafę.

– Przedstawił pan bardzo przekonujący scenariusz, że Tuck to wszystko ukartował – zauważył Sean.

– Mimo to nie mogę uwierzyć, żeby zrobił coś takiego własnej rodzinie.

Sean spojrzał znacząco na Michelle. Zrozumiała natychmiast.

– Mamy do pana więcej pytań, panie Hilal. Czy macie tu kawiarnię? Chciałabym napić się kawy. Moglibyśmy porozmawiać.

Hilal wstał.

– Jasne. – Spojrzał na Seana. – Pan też ma ochotę?

– Nie, ale chętnie skorzystam z ubikacji.

Hilal poprowadził ich korytarzem i wskazał Seanowi łazienkę, podczas gdy on i Michelle udali się do świetlicy.

Zamiast pójść do toalety, Sean wrócił tam, skąd przyszli, i zajrzał do pokoju, który minęli po drodze. Był to gabinet Tucka Duttona, o czym informowało nazwisko wypisane szablonem na drzwiach.

Pomieszczenie było duże, ale zagracone i wskazujące, że lokator próbował robić wiele rzeczy naraz. Sean nie tracił czasu, ale podszedł prosto do komputera stojącego na biurku. Wyciągnął z kieszeni małą pamięć USB.

Znajdował się na niej specjalny program używany przez funkcjonariuszy ochrony porządku publicznego, służący do zdobywania dowodów sądowych bez wyłączania urządzenia i rekwirowania go. Sean dostał go od jednego z kumpli z FBI.

Włożył pamięć do gniazda, wykonał kilka ruchów myszką i na ekranie wyświetlił się program. Oczywiście baza danych Tucka była zabezpieczona hasłem. Program na USB miał algorytmy pozwalające je obejść, ale wymagało to czasu, więc Sean postanowił pójść na skróty. Podjął kilka nieudanych prób, zanim go olśniło.

Wpisał imię „Cassandra” Nic. Podziałało „Cassandra1”.

Bramy cyfrowej zapory otworzyły się szeroko i program Seana zaczął kopiować wybrane fragmenty twardego dysku Tucka Duttona na przenośną pamięć.

Kiedy młody agent Secret Service wyjmował przesyłki ze skrzynki na listy, zwrócił uwagę na paczkę. Nie było na niej adresu nadawcy, a adres napisano drukowanymi literami. Wspomniał o tym przełożonym i trzydzieści minut później na ulicy zaklekotał samochód ekipy saperów.

Specjaliści od materiałów wybuchowych zaczęli odprawiać swoją magię i szczęśliwym trafem okolica nie zniknęła w atomowej kuli ognia. Mimo to zawartość paczki okazała się niezwykła.

Mały talerz z zaschniętymi płatkami i mlekiem na dnie.

Łyżka z podobnymi śladami.

I zaklejona koperta z listem napisanym na maszynie.

Kiedy kryminaliści doszli do wniosku, że na pudełku, kopercie i liście nie ma żadnych odcisków palców i innych przydatnych śladów, agenci zwrócili uwagę na treść wiadomości.

Sprawdźcie odciski palców na talerzu i łyżce. Przekonacie się, że należą do Willi Dutton. Mamy ją. Jest bezpieczna. Wkrótce się z wami skontaktujemy.

Paczkę wysłano na adres siostry Pam Dutton w Bethesdzie, gdzie pod ochroną Secret Service przebywali John i Colleen Dutton.

Pobrano odciski palców i porównano je z odciskami znalezionymi w sypialni Willi. Pasowały jak ulał.

Skontaktowali się niezwłocznie z pocztą, żeby ustalić, skąd nadano przesyłkę. Sprawie nadano najwyższy priorytet. Udało się zawęzić rejon poszukiwań do Dalton, miasta w północnej Georgii. Przynajmniej tam odprawiono paczkę.

Późnym popołudniem zadzwoniono do Seana i Michelle, kazać im przyjechać do Departamentu Skarbu, który znajdował się na wschód od Białego Domu, z posągiem Alexandra Hamiltona przed frontowymi drzwiami. Zaprowadzono ich pod eskortą do podziemnych zakamarków masywnego gmazyska, gdzie weszli do długiego tunelu, który biegł na zachód i łączył się z sąsiednim Białym Domem. Kiedy mijali zamknięte drzwi biegnące wzdłuż długiego korytarza, Sean szepnął do Michelle:

– Znam parę historii o tym, co się działo za niektórymi z nich.

– Widzę Londyn, widzę Francję – mruknęła Michelle.

Pierwsza dama przyjęła ich w swoim gabinecie we wschodnim skrzydle. Miała czarne spodnie, jasnoniebieski sweter i czarne czółenka. Wyglądała na znacznie bardziej zmęczoną niż ostatnim razem.

Sean ze zdumieniem spostrzegł, że w cieniu czeka Aaron Betack. Nie, właściwie nie czekał, a dygotał. Facet wyglądał tak, jakby przebywanie w tym miejscu nie sprawiało mu najmniejszej przyjemności. Najwyraźniej pierwsza dama dostawała wszystko, na co miała ochotę.

– Czasami żałuję, że rzuciłam palenie – powiedziała

Jane, wskazując fotele naprzeciw siebie.

– Czy nie brałaś udziału w kampanii prezydenckiej w Connecticut? – zapytał Sean.

Skinęła głową w zamyśleniu.

– Przyleciałam wcześniej, kiedy powiedzieli mi o przesyłce. Poprosiłam agenta Betacka, aby tu przyszedł i odpowiedział na wszelkie pytania, które możecie mieć do Secret Service.

Sean i Michelle spojrzeli na Betacka, który wyglądał tak, jakby nie zamierzał im powiedzieć, która godzina. Mimo to skinął głową ze sztucznym uśmiechem, jakby miał gazy.

– Słyszałam, że FBI nie okazywało szczególnej ochoty do współpracy z wami – podjęła Jane. – Mam nadzieję, że ten problem został rozwiązany i że nie spotkacie się z wrogością ze strony innej agencji.

W sprawę była zaangażowana tylko jedna „inna” agencja reprezentowana przez rosłego mężczyznę stojącego za jej plecami, który lekko poczerwieniał.

– Wszyscy byli niezwykle serdeczni – pospieszył z odpowiedzią Sean. – Szczególnie Secret Service. To trudny okres dla nas wszystkich, ale byli gotowi służyć nam pomocą.

– Znakomicie – skwitowała Jane.

Betack rzucił Seanowi przeciągłe spojrzenie, a później lekko skinął głową, milcząco dziękując za wsparcie.

Jane Cox usiadła za biurkiem i w kilka minut

wyjaśniła, co się stało. Betack uzupełnił jej relację garścią technicznych szczegółów dotyczących przesyłki oraz jej zawartości.

– Ktoś ją ma – powiedziała Michelle. – Twierdzi, że jest bezpieczna i skontaktuje się w późniejszym terminie...

– Nie wiemy, czy naprawdę jest bezpieczna – przerwała jej ostro Jane. – Może już nie żyje.

– Martwi mnie to, że wiedzieli, na jaki adres wysłać przesyłkę – zauważył Sean.

Betack skinął głową.

– Mogli przeprowadzić rekonesans i ustalić, że ciotka była miejscowa. Nawet gdyby dzieci Duttonów znajdowały się gdzie indziej, przesyłka i tak by do nas trafiła.

– Może porywacze mieli swojego informatora – powiedział Sean, rzucając przenikliwe spojrzenie Betackowi. – Nie sugeruję, że to ktoś z Secret Service, ale mogło dojść do przecieku.

– Racja – przytaknął Betack. – Zbadamy to.

– Co robimy? – spytała Jane.

– Czy można ustalić, skąd nadano przesyłkę? – zapytał Sean.

– Z Dalton w Georgii – odpowiedziała pierwsza dama. – Przynajmniej tak powiedział mi dyrektor FBI.

Betack potwierdził to skinieniem głowy.

– W porządku. To już coś. Jeśli znalazła się w konkretnym centrum przesyłkowym, nadano ją w określonym promieniu. To zawęży obszar poszukiwań.

Możemy się rozejrzeć w okolicy, choć będzie to wymagało wielu ludzi.

– FBI już się tym zajęło – wtrącił Betack.

– Gdybym była porywaczem i chciała nadać przesyłkę, pojechałabym kawał drogi od miejsca przetrzymywania Willi.

– Dalton jest w północnej Georgii. Niedaleko Tennessee i Alabamy, Karoliny Północnej i Południowej – dodał Sean.

– To utrudnia zadanie, ale nie czyni go niemożliwym – zauważył Betack. – Mamy niewiele tropów.

Sean podniósł głowę i zauważył, że Jane patrzy na trzymaną w rękach fotografię. Odwróciła ją, żeby mogli zobaczyć. Było to zdjęcie przedstawiające Willę na koniu.

– Skończyła sześć lat. Oczywiście chciała kucyka. Dan był wtedy w Senacie. Zabraliśmy ją na małą farmę niedaleko Purcellville w Wirginii. Natychmiast wskoczyła na siodło i ledwie udało nam się ją ściągnąć. Większość dzieciaków byłaby śmiertelnie przerażona.

Wolno odłożyła fotografię.

– Dzielna dziewczyna – powiedział cicho Sean.

– Jest odważna i inteligentna, ale to małe dziecko. – Jane westchnęła znacząco.

– Czy FBI domyśla się motywów?

– O ile wiem, nie.

Spojrzała na Betacka, który potrząsnął głową.

– Rozmawialiśmy z Tuckiem i odwiedziliśmy jego biuro.

– Dowiedzieliście się czegoś ważnego?

Sean zakręcił się na krześle i spojrzał nerwowo na Betacka.

– To osobista sprawa.

Betack popatrzył na pierwszą damę.

– Mogę wyjść, pani Cox.

Zastanowiła się chwilę.

– Dobrze. Dziękuję, agencji Betack. Oboje z prezydentem chcemy, by informowano nas na bieżąco o postępach śledztwa.

Kiedy Betack zamknął za sobą drzwi, powiedziała:

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że to osobista sprawa?

– Czy Pam rozmawiała z tobą o swoich małżeńskich problemach?

– Czemu pytasz? – spytała ostro Jane.

– Musimy sprawdzić każdy trop – wyjaśnił. – Mieli problemy?

Jane odsunęła się z fotelem, zrobiła piramidkę z palców, a następnie wolno skinęła głową.

– Przyjęcie urodzinowe Willi odbyło się w Camp David. Rozmawialiśmy o tym, czemu Tuck się nie pojawił. Twierdziła, że wyjechał w interesach i planuje wrócić następnego dnia, ale...

– Ale co?

– Odniosłam wrażenie, że chciała mi coś powiedzieć, ale tego nie zrobiła. Rzuciła na marginesie, że Tuck to Tuck i że wróci następnego dnia. – Popatrzyła na nas. – O co chodzi?

Sean i Michelle pochyłili się do przodu w fotelach.

– Tuck miał wrócić dzień po porwaniu? – zapytał Sean.

Jane spojrzała na nich niepewnie.

– Tak. Mam wrażenie, że tak właśnie powiedziała, ale zjawił się w domu tamtej nocy. – Pierwsza dama także pochyliła się w ich stronę. – Co się stało?

Sean popatrzył na Michelle.

– Tuck mógł mieć romans.

Jane wstała.

– Co?!

– O niczym nie wiedziałaś?

– Pewnie, że nie. To nieprawda. Mój brat nigdy by się tak nie zachował. Macie dowody?

– Wystarczające, żebyś chciała, abyśmy dokładniej to zbadali.

Jane opadła na fotel.

– To... to niewiarygodne. – Podniosła głowę. – Jeśli miał romans... chyba nie sugerujecie, że...

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, Jane, jeszcze nie teraz. Dowiedzieliśmy się o tym całkiem niedawno. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

– Naszym priorytetem jest uwolnienie Willi – dodała Michelle.

– To oczywiste, dlatego poprosiłam was o pomoc. – Jane położyła drżącą dłoń na czole.

Sean bez trudu odgadł jej myśli.

– Kiedy rozpoczynasz śledztwo, nigdy nie wiesz,

dokąd cię doprowadzi. Czasami prawda bywa bolesna, Jane. Jesteś na to przygotowana?

Pierwsza dama zmierzyła go surowym, chłodnym spojrzeniem.

– Prawda jest taka, że już nic mnie nie zaskoczy. Odnajdźcie Willę i nie martwcie się o nic więcej.

Odwrócili głowy, słysząc dźwięk otwieranych drzwi. Sean i Michelle odruchowo zerwali się na równe na nogi, gdy do pokoju wszedł prezydent Dan Cox w otoczeniu dwóch starszych agentów Secret Service. Uśmiechnął się do nich i wyciągnął dłoń.

Cox był wzrostu Michelle, kilka cali niższy od Seana, ale miał szerokie ramiona, a twarz, mimo pięćdziesiątki, sprawiała wrażenie znacznie młodszej. Można by to uznać za zaskakujące, zważywszy na długie lata, kiedy to cały świat na niego spoglądał.

Sean i Michelle uścisnęli mu dłoń.

– Jestem zdumiona, że cię widzę – powiedziała Jane.

– Odwołałem spotkania, które zaplanowano na dzisiaj. Moi ludzie nie byli tym uszczęśliwieni, ale prezydent ma kilka przywilejów. Kiedy osiągasz przewagę dwudziestu pięciu punktów w sondażach, a twój rywal częściej się z tobą zgadza, niż oponuje, można sobie czasem wziąć dzień wolnego. Bezpieczeństwo Willi jest najważniejsze, nawet gdybym biegł na końcu stawki.

Jane uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Wiedziałam, że będziesz tego zdania.

Cox podszedł i cmoknął żonę w policzek. Czule

pogładził jej ramię, a następnie spojrzął na dwóch agentów Secret Service. Jego wzrok przesunął się niedostrzegalnie w kierunku drzwi. Chwilę później obaj zniknęli.

Ileż to razy prezydent mrugał do mnie, pomyślał Sean, przypatrując się subtelnej wymianie sygnałów.

– Jane powiedziała mi, czym się zajmujecie – zaczął Cox. – Cenię wasze doświadczenie i wkład. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby odnaleźć Willę i sprowadzić ją bezpiecznie do domu.

– Tak, panie prezydencie – odpowiedział odruchowo Sean.

Cox przysiadł na krawędzi biurka żony, wskazując, żeby zajęli swoje miejsca.

– Złożono mi sprawozdanie podczas lotu. Modlę się, żeby ten trop do czegoś doprowadził. – Przerwał na chwilę. – Nie trzeba w to mieszać polityki. Zrobię wszystko, żeby do tego nie dopuścić, choć to opozycja rządu Kongresem, więc nie mam całkowitej władzy. – Spojrzął na żonę i uśmiechnął się czule. – Nie sprawuję jej nawet we własnym domu. To dobrze, bo moja lepsza połowa jest mądrzejsza ode mnie. – Jego swobodny uśmiech zniknął. – Oficjalnie śledztwo prowadzi FBI. Niektórzy z moich doradców uważają, że nie powinienem nikogo faworyzować w tej sprawie, ale powiedziałem dyrektorowi FBI, Munsonowi, że to dochodzenie musi mieć najwyższy priorytet. Politycznymi konsekwencjami zajmę się później. Chociaż będziecie mieli dostęp do

informacji uzyskanych w trakcie śledztwa, pamiętajcie, że występujecie w roli prywatnych doradców. To przedstawienie FBI.

– Rozumiemy, panie prezydencie.

– FBI okazało się niezwykle pomocne – dodała Michelle bez śladu szyderczego uśmiechu, który w innych okolicznościach pewnie pojawiłby się na jej twarzy.

– Dobrze. Są jakieś postępy?

Sean spojrział na Jane Cox. Jej twarz wydawała się nieprzenikniona, a jednak Sean potrafił wyczytać z niej przesłanie.

– Jeszcze na to za wcześnie, panie prezydencie, ale pracujemy z całych sił. Wydaje się, że paczka oznacza pewien przełom. Miejmy nadzieję, że doprowadzi do innego śladu, jak pan powiedział. Często tak się zdarza. Żli faceci podejmują próbę kontaktu i popełniają błąd.

– W porządku. – Cox wstał, a Sean i Michelle poszli za jego przykładem.

– Porozmawiamy później, kochanie – powiedział prezydent.

Po chwili zniknął w otoczeniu milczących ochroniarzy.

Poza Białym Domem obszar kilku stóp kwadratowych wokół prezydenta był ściśle chroniony. Niektórzy agenci określali go mianem czerwonej strefy, co w terminologii futbolowej oznaczało, że obrona nie pozwoli, by przeciwnik zdobył tam jakikolwiek punkt. To z kolei wiązało się z szeregiem murów obronnych

otaczających prezydenta niczym kolejne warstwy cebuli. Żeby przeniknąć głębiej, napastnik musiał pokonać warstwę zewnętrzną. Czerwona strefa była ostatnim bastionem, który trzeba było sforsować, aby zadać cios przywódcy wolnego świata. Tworzyli go najlepsi agenci, którzy przeszli niezwykle drobiazgową weryfikację. Każdy z nich był gotów podjąć walkę na śmierć i życie i bez mrugnięcia okiem przyjąć kulę przeznaczoną dla prezydenta. Tworzyli ostatnią warstwę ochrony, więc nie można było ich pokonać.

Nawet w Białym Domu funkcjonariusze Secret Service znajdowali się w odległości jednej stopy od prezydenta z wyjątkiem jednego miejsca – prywatnych pokojów pierwszej rodziny. Agenci pracujący w ochronie prezydenta Stanów Zjednoczonych nie mogli zakładać, że wiedzą, gdzie jest nieprzyjaciel, a raczej, że przyjaciele są prawdziwymi przyjaciółmi.

Kilka minut później Sean i Michelle ruszyli tunelem w kierunku gmachu Departamentu Skarbu za umundurowanym marine, który wskazywał im drogę.

– Zawsze chciałam poznać prezydenta – powiedziała Seanowi Michelle.

– Facet robi wrażenie, ale...

Głos Michelle przerodził się w szept:

– Ale zawsze będziesz go widział z tą kobietą w samochodzie zaparkowanym w alei?

Skrzywił się, ale nie odpowiedział.

– Czemu nie zapytałeś Jane o dwa cesarskie cięcia i

trójkę dzieci?

– Bo instynkt podpowiedział mi, żeby tego nie robić.

Sean ziewnął, dopił kawę i wstał, żeby dolać sobie więcej, a Michelle z zapartym tchem wpatrywała się w ekran komputera. Byli w jej mieszkaniu niedaleko Fairfax Corner. Przez modną ekskluzywną dzielnicę handlową za oknami przesuwały się samochody i pieszki, a oni siedzieli w zagraconym domowym gabinecie Michelle, gapiąc się w ciekłokrystaliczny ekran jej maca. Sean wrócił i podał jej kolejny kubek. Przejrzenie plików komputerowych Tucka Duttona zajęło im dużo czasu, choć zdobyli kilka interesujących informacji.

Facet miał wrócić do domu następnego ranka po porwaniu. Wśród informacji kontaktowych znajdował się numer komórki Cassandry Mallory. Sean go wykręcił i rozłączył się, gdy odebrała kobieta. Jej adres był również w książce adresowej Tucka.

– Może będziemy musieli złożyć jej wizytę – mruknęła Michelle.

– Jeśli nadal jest w pobliżu.

– Myślisz, że była w to zamieszana?

– Trudno powiedzieć. Nie mam wątpliwości, że ze sobą kręcili. Nie używa się imienia współpracownicy jako hasła. Nie wiem jednak, czy o tym wiedziała, czy Tuck faktycznie był w to zamieszany... – Wzruszył ramionami.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

– Nie sądziłam, że kwestia zaangażowania Tucka

pozostaje otwarta. Jeśli nie był zamieszany w sprawę zabójstwa i porwania, to naprawdę diabelski splot okoliczności. Nie uważasz?

– Rzuciliśmy okiem na jego rachunek. Brak przepływów gotówki, który by to potwierdzał. Sądysz, że zrobili to darmo?

– Może ma inny rachunek. Facet realizuje zamówienia rządowe. Chcesz mi powiedzieć, że tacy goście nie mają lewej kasy?

– Jeśli postanowił zjawić się w domu, musiał działać pod wpływem impulsu. Sprawdziłem w biurze linii lotniczych. Zamiany rezerwacji dokonano dosłownie w ostatniej chwili.

– Już o tym rozmawialiśmy. Mógł dojść do wniosku, że będzie miał lepsze alibi, niż gdyby pozostał w Jacksonville.

Sean wyjrzał przez okno.

– Odnoszę wrażenie, że kręcimy się w kółko. Może ślady znalezione za paznokciami Pam pokryją się z danymi w jakiejś bazie danych.

– Słuchaj, a jeśli zapłatą miał być okup? – spytała z podnieceniem Michelle. – W ten sposób Tuck nie musiałby wybulić ani centa, nie pozostałby też żaden ślad, który naprowadziłby FBI na ich trop.

– Sądysz, że zrobili to z myślą o przyszłym zysku? Przecież wiesz, że porwanie to kiepski interes. Zapłata jest zawsze problematyczna. Nawet dokonanie elektronicznego przelewu pozostawia ślad. Dostajesz

forse, a chwilę później FBI puka do twoich drzwi. – Sean wziął głęboki oddech. – Oprócz tego nadal nie wiemy, czemu pobrali krew Pam Dutton.

– Jak rozegramy to z Tuckiem?

– Wypytamy go, ale nie zdradzimy, co chowamy w zanadrzu.

– Jego kumpel Hilal może to zrobić zamiast nas. Wiesz, dać cynk Tuckowi.

– Nie sądzę. Zależy mu głównie na tym, żeby nie stracić kontraktu. Lęka się, że Tuck może okazać się winny, i nie chce być w to zamieszany. Myślę, że będzie trzymał się od niego z daleka.

– Jeśli Pam nie była naturalną matką Willi, kto mógł nią być?

– To może nie mieć żadnego znaczenia.

– Powiedziałeś, że twoim zdaniem adoptowali Willę i że ten fakt może mieć jakiś związek ze sprawą.

– Willa ma dwanaście lat. Jeśli porwanie ma z tym jakiś związek, sprawcy długo zwlekali.

– Czy przypominasz sobie, by rozmawiali o tym, że Willa została adoptowana?

– Nie. Zawsze sądziłem, że cała trójka jest ich naturalnym potomstwem.

– W porządku. A Jane Cox?

– O co ci chodzi?

– Wie o naszych podejrzeniach. Czy może uprzedzić brata?

Zanim Sean zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon

Michelle.

– Słucham?

– Cześć, Bill. Co? – Michelle pobladła. – Mój Boże.

Kiedy? Jak to się stało?

Słuchała w milczeniu przez minutę, oddychając coraz szybciej.

– Dobrze. Przylecę najbliższym samolotem – powiedziała i zakończyła rozmowę.

– Co się stało, Michelle?

– Moja mama nie żyje.

Solidne koła cessny uderzyły w ubitą ziemię porośniętą zeschlą trawą. Maszyna zwolniła i stanęła. Sam Quarry zaczął kołować na prowizorycznym pasie startowym, posługując się pedałami i po mistrzowsku zawracając samolot. Wysiadł z kabiny i zarzucił plecak na ramię. Po wsunięciu klocków pod koła otworzył drzwi prowadzące do starej kopalni i zszedł tunelem w przyćmionym górnym świetle, oświetlając sobie drogę latarką.

Kilka minut później spotkał się z Carlosem i Darylem.

– Zajęliście się ciałem Kurta? – spytał poważnym tonem.

Daryl spojrzał na Carlosa.

– Pochowaliśmy go w południowym szybie – powiedział. – Zmówiliśmy modlitwę i tak dalej. Z pełnym szacunkiem.

– Dobrze. – Quarry spojrzał na syna. – Wyciągnąłeś z tego jakąś naukę, chłopcze?

Daryl sztywno skinął głową.

– Nigdy nie wolno tracić zimnej krwi. – Ton jego głosu świadczył, że faktycznie się czegoś nauczył. Quarry pomyślał, że przypadek Daryla nie jest beznadziejny.

Klepnął syna po plecach, a następnie chwycił go mocno.

– Gdy będziesz czuł, że za chwilę puszcza ci nerwy,

pomyśl o cenie, którą zapłacił Kurt. Dobrze się zastanów, bo mało brakowało, a znalazłbyś się na jego miejscu. Wtedy on i Carlos zmówiliby Ojciec Nasz nad twoim grobem. Słyszałeś, co powiedziałem?

– Słyszałem, tato. Słyszałem, co powiedziałeś.

– Razem z Kurtem umarła częśćka mnie. Może nie taka mała. Trafie do piekła za to, co zrobiłem. Nad tym też się zastanów.

– Sądziłem, że nie wierzysz w Boga – mruknął cicho Daryl. Carlos zachowywał kamienne milczenie, pocierając medalik ze świętym Krzysztofem zawieszony na szyi.

– Może i nie wierzę w Boga, ale na pewno wierzę w diabła.

– W porządku, tato.

– Ustaliłem niewiele zasad i żądam, żeby ich przestrzegano. Inaczej nam się nie uda. Jasne?

– Tak, proszę pana – wybełkotał Carlos, przestając gładzić medalik i wsuwając go za koszulę.

Quarry zostawił ich i ruszył dalej. Minutę później siedział naprzeciw Willi ubranej w sztruksowe spodnie i wełnianą bluzkę, które jej przyniósł.

– Niczego ci nie brak? – zapytał.

– Chciałabym trochę książek – powiedziała Willa. – Nie mam co robić, więc chciałabym poczytać.

Quarry uśmiechnął się i otworzył plecak.

– Dzieła wybitnych umysłów, co? – Wyciągnął pięć książek i podał małej. Uważnie przejrzała tytuły.

– Lubisz Jane Austen? – zapytał.

Skinęła głową.

– Nie jest moją ulubioną autorką, ale czytałam tylko *Dumę i uprzedzenie*.

– *To* była ulubiona książka mojej córki.

– Była?

Quarry lekko zeszywniał.

– Już nie czyta.

– Umarła? – spytała Willa z zuchwałością typową dla dziecka.

– Niektórzy tak by to nazwali. – Wskazał inne książki. – Wiem, że jesteś bystra, więc nie przyniosłem ci pierdół, które pewnie i tak zaliczyłaś. Powiedz mi, co lubisz, a czego nie. Mam dużą bibliotekę.

Willa odłożyła książki i spojrzała na niego uważnie.

– Mogę dostać papier i długopis? Lubię pisać. Miałabym zająć czymś umysł.

– Zgoda, nie ma problemu.

– Rozmawiałeś z moimi rodzicami? Powiedziałeś, że to zrobisz.

– Tak, przesłałem im wiadomość. Napisałem, że nic ci nie jest.

– Zabijesz mnie?

Quarry wzdrygnął się, jakby otrzymał nieoczekiwany cios. Zresztą może i tak było. Po chwili odzyskał mowę.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Czasami porywacze nie wypuszczają uprowadzonych osób, tylko je zabijają. – Nie odrywała od

niego wielkich oczu. Nie zamierzała zrezygnować z uzyskania odpowiedzi.

Quarry potarł szczękę zniszczoną, pokrytą odciskami dłonią, a później spojrzął na swoje łapsko, jakby widział je pierwszy raz. Ta sama dłoń zakończyła żywot Kurta, więc może pytanie dziewczynki nie było pozbawione sensu. W końcu jestem mordercą, pomyślał.

– Doceniam, że zadałaś to pytanie. Rozumiem, skąd się wzięło, ale gdybym planował cię zabić, mógłbym przecież skłamać i powiedzieć, że nie mam takiego zamiaru. Czy to ważne, co powiem?

Była przygotowana na ten pojedynek na argumenty.

– Gdybyś powiedział, że zamierzasz mnie zabić, pewnie byłoby to prawdą, bo czemu miałbyś kłamać w takiej sprawie?

– Do licha, założę się, że ludzie uważają cię za przemądrzałą, prawda?

Dolna warga Willi lekko zadrżała, gdy z Einsteina zamieniła się w przerażoną dziewczynkę.

– Chcę wrócić do domu. Chcę zobaczyć mamę i tatę, brata i siostrę. Nie zrobiłam nic złego. – W jej oczach błysnęły łzy. – Nie zrobiłam nic złego, nie rozumiem, czemu mi to robisz! Po prostu nie rozumiem!

Quarry spuścił wzrok, nie potrafiąc spojrzeć w wielkie zapłakane i pełne przerażenia oczy.

– Nie chodziło mi o ciebie, Willo. Naprawdę. Widzisz... nie można było inaczej tego zrobić. Przeanalizowałem różne sposoby i tylko ten miał sens.

Nie miałem wyboru. Nie mam nic innego w zanadrzu.

– Na kogo jesteś wściekły? Komu chcesz odpłacić?

Wstał.

– Daj mi znać, jeśli będziesz chciała więcej książek.

Uciekł z pokoju, zostawiając płaczącą Willę. Nigdy nie czuł się bardziej zawstydzony.

Kilka minut później spoglądał na Diane Wohl siedzącą w kucki w drugim końcu celi. Jej też powinien był współczuć, ale nie czuł niczego. Willa była dzieckiem. Nie miała możliwości dokonywania własnych wyborów. I popełniania własnych błędów. Wohl miała jedno i drugie.

– Mogę cię o coś spytać? – wybełkotała drżącym głosem.

Quarry siedział przy małym stole na środku pokoju.

– Wał śmiało – powiedział, choć nadal myślał o Willi.

– Mogę zadzwonić do matki z komórki? Powiedzieć, że nic mi nie jest?

– To niemożliwe. Podaj mi adres.

Podsunał jej ołówek i papier. Zmarszczyła brwi, zapisując numer i oddając mu kartkę.

– Czemu pobrałeś mi krew? – zapytała.

– Była mi potrzebna.

– Co?

Quarry rozejrzał się dookoła. Nie był to pokój w luksusowym hotelu, ale Quarry'emu zdarzało się kwaterować w gorszych warunkach. Starał się, by w pomieszczeniu było wszystko, czego może potrzebować

kobieta.

Nie jestem zły, powiedział sobie. Gdyby zaczął tak myśleć, może by nawet w to uwierzył.

– Mogę cię o coś spytać?

Wydawała się zdumiona, ale skinęła głową.

– Masz dzieci?

– Co? Nie, nigdy nie miałam. Czemu zapytałeś?

– Tak sobie.

Przysunęła się bliżej. Podobnie jak Willa przebrała się w czyste ubranie. Quarry przyniósł jej rzeczy, które kupiła u Talbota. Ładnie leżały.

– Wypuścisz mnie?

– To zależy.

– Od czego?

– Od rozwoju sytuacji. Mogę ci tylko powiedzieć, że z natury nie mam skłonności do przemocy, ale nie umiem przepowiadać przyszłości.

Usiadła przy stole naprzeciw niego i splotła dłonie.

– Nie przychodzi mi do głowy żadna rzecz, którą zasłużyłabym sobie na to, co mi zrobiłeś. Nie wiem nawet, kim jesteś. Czym zawiniłam? Co, u licha, zrobiłam, żeby na to zasłużyć?

– Zrobiłaś jedną rzecz – powiedział Quarry.

Spojrzała mu w oczy.

– Co? Powiedz mi!

– Pozwolę, żebyś sama znalazła odpowiedź. Będiesz miała na to dość czasu.

Był wczesny ranek, gdy mały samolot zakołysał się nad wierzchołkami szarych chmur rozświetlonych niedawną burzą, która przeszła nad Smoky Mountains. Chwilę później maszyna zaczęła schodzić do lądowania na lotnisku w Nashville, ale Michelle nadal robiła to, co przez cały lot: patrzyła na swoje dłonie.

Kiedy otworzono drzwi, wyciągnęła walizkę na kółkach, wsiadła do wypożyczonego samochodu i ruszyła w dalszą drogę dwadzieścia minut po podkołowaniu samolotu do bramy terminalu. Nie wciskała gazu do dechy, jak to zwykle robiła, ale jechała z dostojną prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę. Nie spieszyła się zobaczyć, co na nią czekało.

Według relacji jej brata, Billa, matka obudziła się w kiepskim nastroju, zjadła talerz płatków śniadaniowych, a następnie pracowała jakiś czas w ogrodzie. Później zaliczyła dziewięć dołków na pobliskim polu golfowym, wzięła prysznic, ubrała się, podgrzała mężowi potrawkę, obejrzała nagrany wcześniej program i ruszyła do drzwi, by pojechać do przyjaciół, z którymi umówiła się na obiad. Kiedy nieoczekiwanie upadła w garażu, Frank Maxwell był w łazience. Zajrzał na dół chwilę później i znalazł żonę rozciągniętą na podłodze. Najwyraźniej uwierzył Sally, która twierdziła, że była martwa, zanim jej ciało uderzyło o beton.

Nie byli nawet pewni, co ją zabiło – udar, atak serca

czy tętniak – ale była martwa. Michelle mijala drzewa pędzące po obu stronach drogi, ale jej myśli wirowały jeszcze szybciej – przechodziły od najdawniejszych wspomnień związanych z matką do kilku ostatnich spotkań, które w żaden szczególny sposób nie zapisały się w jej pamięci.

Godzinę później rozmawiała już z czterema braćmi, z których dwaj mieszkali niedaleko rodziców, a jeden, Bobby, miał dom w tym samym mieście. Czwarty, mieszkający na Florydzie Bill Maxwell, wybrał się w odwiedziny do rodziców. Otrzymał wiadomość godzinę po wyruszeniu w drogę. Michelle zjawiała się ostatnia. Spędziła kilka godzin z ojcem, który milczał i spoglądał w dal, by nagle dźwignąć się z apatii i zająć przygotowaniami do pogrzebu.

Frank Maxwell był gliniarzem przez większą część swego życia, kończąc karierę jako szef miejscowej policji. Nadal wyglądał tak, jakby mógł wyskoczyć z radiowozu, ruszyć w pogoń za przestępcą i powalić go na ziemię. To po nim Michelle odziedziczyła sprawność fizyczną, dążenie do sukcesu i niemożność uśmiechania się dłużej niż sekundę. Jednak gdy przypatrywała się ojcu z dystansu, przyłapała go na kilku momentach słabości. Zrozumiała, że starzejący się mężczyzna stracił wszystko i nie ma pojęcia, co zrobić z czasem, który mu pozostał.

Kiedy już miała dosyć, wycofała się na podwórko z tyłu i usiadła na starej ławce obok jabłoni z konarami wygiętymi od owoców. Zamknęła oczy i wyobraziła

sobie, że matka nadal żyje. Cofnęła się do czasów dzieciństwa. Nie było to łatwe, bo Michelle Maxwell usunęła z pamięci pewne fragmenty własnej młodości z powodów, które były bardziej zrozumiałe dla psychiatry niż dla niej samej.

Zadzwoiła do Seana, aby mu powiedzieć, że bezpiecznie dotarła na miejsce. Powiedział wszystko co należy, był opiekuńczy i delikatny, a jednak gdy zakończyła rozmowę, czuła się tak samotna, jak nigdy dotąd. Bracia dołączali do niej jeden po drugim. Na przemian rozmawiali i płakali. Zauważyła, że najbardziej płakał Bill, największy i najstarszy z braci – twardy glina z przedmieść Miami, które przypominały strefę działań wojennych.

Przylapała się na tym, że matkuje starszym braciom, choć z natury nie była skłonna do takich opiekuńczych zachowań. Po pewnym czasie bliskość pogrążonego w smutku rodzeństwa zaczęła ją dusić. W końcu wróciła do domu. Ojciec był na górze. Słyszała, jak rozmawia z kimś przez telefon. Spojrzała na drzwi prowadzące z kuchni do garażu. Pomyślała, że jeszcze tam nie była. Szczerze mówiąc, nie chciała oglądać miejsca, w którym umarła jej matka.

Z drugiej strony należała do osób, które dzielnie stawiają czoło własnym lękom. Przekreśliła gałkę, otworzyła drzwi i spojrzała w dół na trzy stopnie ze sklejki prowadzące do dwumiejscowego garażu. W najbliższej zatoczce stała jasnoniebieska toyota camry

rodziców. Garaż wyglądał jak każdy inny. Z jedną różnicą.

Na betonowej posadzce widniała duża plama krwi. Podeszła bliżej.

Plama na betonowej posadzce?

Czy mama spadła ze schodów? Uderzyła się w głowę? Spojrzała na drzwi camry. Ani śladu upadku. Rzuciła okiem na przestrzeń dzielącą surowe stopnie od samochodu. Jej matka była wysoką kobietą. Gdyby potknęła się na schodach, musiałyby uderzyć w wóz. Nie mogła przewrócić się na bok, bo schody miały po bokach murek sięgający pasa. Musiałyby się osunąć na stopnie. A jeśli potknęła się z powodu wylewu? Mogła się odbić od samochodu i uderzyć głową o podłogę. To tłumaczyłoby tak dużą ilość krwi.

Tak, to tłumaczyłoby krew.

Odwróciła się i omal nie krzyknęła.

Jej ojciec tam stał.

Frank Maxwell był wysoki, chociaż upływ lat i grawitacja zrobiły swoje. Miał krępe, umięśnione ciało człowieka, który całe życie pracował fizycznie. Spojrzał w przerażone oczy córki, starając się wyczytać, co się za nimi kryło, by po chwili przesunąć wzrok na ślady krwi na podłodze. Spojrzał na nią, jakby czerwona plama kryła w sobie zaszyfrowaną wiadomość, którą próbował odczytać.

– Skarżyła się na bóle głowy – powiedział. – Mówiłem, żeby poszła do lekarza.

Michelle wolno skinęła głową, myśląc, że to osobliwy sposób rozpoczęcia rozmowy.

– Mogła mieć wylew.

– Albo tętniaka. Mąż sąsiadki miał tętniaka. Omal go nie zabił.

– Cóż, przynajmniej nie cierpiała – odparła Michelle, próbując go nieporadnie pocieszyć.

– Tak, chyba tak.

– Bill powiedział, że byłeś wtedy w łazience.

Skinął głową.

– Brałem prysznic. Kiedy sobie pomyślę, że brałem prysznic, gdy ona tu leżała...

Oparła dłoń na jego ramieniu i lekko zacisnęła. Przerazał ją widok ojca w takim stanie. Był na krawędzi załamania, choć zawsze nad sobą panował.

– Nie mogłeś niczego zrobić, tato. Takie rzeczy się zdarzają. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale tak już jest.

– Wczoraj przytrafiło się to właśnie mnie. – Westchnął z rezygnacją.

Michelle cofnęła dłoń i rozejrzała się po garażu. Dziecinne rzeczy dawno stąd zniknęły. Rowerki, brodziki i czapeczki baseballowe nie zagracały domu, w którym zamieszkali po przejściu na emeryturę. Pomieszczenie było czyste i surowe, jakby wymazano z niego całą historię ich rodziny. Wzrok Michelle powrócił na plamę krwi, jakby była przynętą, a ona głodną rybą.

– Chciała przywitać przyjaciół, z którymi miała wyjść na obiad?

Zamrugał. Początkowo sądziła, że zrobił to, aby ukryć łzy, ale nagle przypomniała sobie, że jej ojciec bardzo rzadko płakał. Kiedy o tym pomyślała, przeszedł ją zimny dreszcz.

Widziałam, jak płacze, ale nie pamiętam kiedy.

– Coś w tym stylu.

Ogólnikowa odpowiedź sprawiła, że zaschło jej w ustach, a skóra zapiekła, jakby przed chwilą coś ją oparzyło.

Bez słowa przeszła obok ojca i sięgnęła po kluczyki wypożyczonego samochodu, które leżały na kuchennym blacie. Zanim odjechała, jeszcze raz spojrzała na dom. Ojciec obserwował ją przez panoramiczne okno w salonie. Patrzył na nią z miną, której nie tylko nie potrafiła, ale nie chciała rozszyfrować.

Z kubkiem kawy kupionym w Dunkin' Donuts ruszyła ulicami przedmieść Nashville, gdzie po przejściu na emeryturę rodzice zbudowali wymarzony dom z finansową pomocą piątki dzieci. Michelle jako jedyna nie wzięła ślubu i nie miała dzieci, więc jej wkład był nieproporcjonalnie duży, choć nigdy tego nie żałowała. Utrzymanie sporej rodziny z policyjnej pensji nie było łatwe, a rodzice zrezygnowali dla nich z wielu rzeczy. Nie miała problemu ze zwrotem zaciągniętego długu.

Wyciągnęła telefon i zadzwoniła do najstarszego brata. Spytała bez ogródek, nie pozwalając mu się przywitać:

– Bill, czemu, do cholery, nie powiedziałeś mi o

plamie krwi w garażu?

– Co?

– O krwi na tej pieprzonej posadzce!

– Uderzyła głową o beton, kiedy upadła.

– W co?

– Chyba w samochód.

– Jesteś pewny? Nie zauważyłam żadnego śladu uderzenia.

– Mik, co ty sugerujesz?

– Przeprowadzą sekcję?

– Co?!

– Sekcję zwłok!

– Wiesz... nie mam pewności. Pewnie mogą... – dodał wyraźnie skrepowany.

– Dlaczego mi o tym nie wspomniałeś?

– W jakim celu miałbym to robić? Przeprowadzą autopsję i okaże się, że miała wylew, atak serca albo coś w tym rodzaju. Po prostu upadła i uderzyła się w głowę.

– Taak, w głowę. Czy przyjechała policja?

– Oczywiście, radiowóz i karetka. Byli tam, kiedy przyjechałem.

– Który z waszej czwórki zjawił się pierwszy?

Michelle pomyślała, że zna odpowiedź. Jej brat, Bobby, był sierżantem policji w mieście, gdzie mieszkali rodzice. Słyszała stłumione odgłosy rozmowy, gdy Bill konsultował się z braćmi.

Po chwili wrócił na linię.

– Tata zadzwonił do Bobby'ego. Przyjechał w ciągu

dziesięciu minut, chociaż mieszka po drugiej stronie miasta.

– Super! Daj go do telefonu!

– Jezu, co cię tak wkurzyło?

– Dawaj go do telefonu, Bill!

Po chwili usłyszała głos Bobby'ego.

– Mik, co się z tobą dzieje? – zaczął surowo.

– Przyjechałeś zaraz po telefonie ojca? Byłeś na służbie?

– Nie. Wczoraj miałem wolne. Byłem w domu i pomagałem Joanie z obiadem.

– Co tata ci powiedział?

Bobby podniósł głos:

– Co mi powiedział?! Powiedział, że nasza matka nie żyje! Do cholery, właśnie to mi powiedział!

– Czy policja była na miejscu, kiedy przyjechałeś?

– Taak, tata zadzwonił na komendę. Zjawili się pięć minut przede mną.

– Co dokładnie im powiedział?

– Że brał prysznic i nie wie dokładnie, co się stało. Znalazł mamę i zadzwonił pod dziewięćset jednaście, a później skontaktował się ze mną.

– Co powiedzieli gliniarze, kiedy zorientowali się w sytuacji?

– Że wygląda, jakby spadła ze schodów i uderzyła się w głowę.

– Ale nie wiedzieli, dlaczego upadła.

– A niby skąd mieliby wiedzieć? Mogła się potknąć

na schodach i uderzyć w głowę, ale jeśli ktoś ją pchnął i spowodował upadek, ustalą to lekarze sądowi. – Po chwili dodał wściekłym tonem: – Robi mi się niedobrze na myśl, że potną mamę.

– Widziałeś krew na drzwiach camry, kiedy wszedłeś do garażu?

– Dlaczego pytasz?

– Bo musiałbyś ją widzieć, gdyby uderzyła w coś głową.

– Już powiedziałem, że mogła się potknąć na schodach, odbić od samochodu i walnąć głową o beton. Albo w murek obok stopni. Ma ostrą krawędź. Wystarczy, że uderzysz i po krzyku. Sama wiesz, jak to jest.

Michelle próbowała sobie wyobrazić, jak matka stawia obcas na nierównym stopniu – na wystającej główce gwoźdźca – potyka się, uderza w samochód, nie robiąc żadnego śladu, a następnie grzmoci głową w betonową posadzkę, zostawiając na niej plamę krwi. A jeśli autopsja wykaże inną przyczynę zgonu?

– Mik? Jesteś tam?

– Taak – odburknęła.

– Słuchaj, nie wiemy, czemu zadajesz te wszystkie pytania, ale...

– Ja też, Bobby. Ja też tego nie wiem. – Rozłączyła się, zaparkowała samochód obok małego parku, wyskoczyła i zaczęła biec.

Ogarnęły ją przerażające myśli. Starła się je prześcignąć, prześcignąć obraz ojca obserwującego ją

przez okno z miną, która nie wiedzieć czemu przynagliła ją do jeszcze szybszego biegu.

Kiedy jego partnerka była w Tennessee, próbując stawić czoło rodzinnym demonom, Sean kończył w biurze włoskie jedzenie na wynos, przeglądając ryzy wydruków komputerowych. Miał nadzieję, że znajdzie w nich wskazówkę, która wyjaśni, czy z jakiegoś nieznanego powodu Tuck Dutton kazał zabić żonę i porwać własną córkę.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. W słuchawce rozległ się głos Jane Cox.

– Chciałabym, żebyśmy się spotkali w szpitalu. Tuck chce z tobą pomówić.

– O czym? – spytał znużonym głosem.

– Myślę, że wiesz.

Włożył kurtkę i zszedł do wypożyczonego samochodu. Jego wóz był w warsztacie. Zniszczenia oszacowano na osiem tysięcy dolarów, a firma ubezpieczeniowa oświadczyła, że polisa nie obejmuje szkód powstałych w wyniku strzelaniny.

– Dlaczego? – zapytał.

– Bo uważamy to za akt terroryzmu, a pan nie wykupił na to polisy – odburknęła agentka, radośnie przekazawszy odmowną decyzję.

– To nie był akt terroryzmu, ale czyn przestępczy, a ja padłem jego ofiarą.

– W pańskim samochodzie znaleziono trzydzieści siedem otworów po kulach, panie King. Zgodnie z

warunkami naszej polisy nie jest to akt przestępczy, ale terroryzm.

– Określcie to na podstawie liczby dziur po pociskach? Jaki to ma sens, droga pani?

– Zawsze może się pan odwołać od decyzji.

– Naprawdę? Co wasze wytyczne mówią o szansie skutecznego odwołania? Że jest mniejsza niż zero?

Panna Radosna podziękowała mu za telefon i odłożyła słuchawkę.

Wsiadł do wozu i właśnie zamierzał ruszyć, gdy coś stuknęło w szybę. Rozejrzał się wokół. Obok niego stała trzydziestoletnia kobieta, zgrabna blondynka z dużą ilością czerwonej szminki na ustach i o suchej skórze kogoś, kto musi codziennie nakładać podkład, zanim stanie przed kamerą wysokiej rozdzielczości. Babka trzymała mikrofon z wbudowanym dyktafonem cyfrowym niczym odbezpieczony granat, który zamierza rzucić.

Spojrzał dalej i zauważył telewizyjny wóz transmisyjny zajeżdżający na podjazd i blokujący mu drogę.

Jasny szlag!

Opuścił szybę.

– Czym mogę pani służyć?

– Sean King?

– Tak. Przekazałem jednemu z reporterów oświadczenie dla prasy. Może je pani od niego wyciągnąć.

– Ostatnie wydarzenia każą spojrzeć na sprawę pod nowym kątem.

– Jakie wydarzenia?

– Czy wykradł pan poufne dane z biurowego komputera Tucka Duttona?

Sean poczuł, że jego żołądek się zaciska, a kawałek cielejących eskalopek podchodzi do gardła.

– Nie wiem, o czym pani mówi. Kto pani to powiedział?

– Zaprzecza pan, że był w jego biurze?

– Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam.

– Firma Tucka Duttona realizuje tajny kontrakt rządowy dla DHS.

– Jest pani reporterką czy rzeczniczką firmy? Nie rozumiem.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że kradzież cudzej własności jest przestępstwem? Że jeśli wykradł pan tajne informacje w celach szpiegowskich, mogą panu postawić zarzut zdrady?

– Teraz przemawia pani jak niewydarzony prawnik. Tak się składa, że skończyłem prawo. Jeśli nie powie pani koledze, żeby zabrał stąd wóz, przekonamy się, jak daleko zdołam go zepchnąć. Później wywlokę pani kumpla na ulicę i dojdzie do naruszenia nietykalności osobistej. Przedstawię to jako działanie w samoobronie. To wykroczenie lżejszego kalibru.

– Pan nam grozi?

– Za chwilę wezwę policję i wytoczę wam sprawę o bezprawne ograniczenie wolności, napastowanie i pomówienie. Proszę sprawdzić te terminy w *Słowniku*

terminologii prawniczej Blacka, kiedy będzie pani zdawała test kwalifikacyjny na prawo.

Sean uruchomił silnik i wrzucił wsteczny bieg.

Reporterka odskoczyła, a kierowca wozu transmisyjnego w samą porę dodał gazu, by uniknąć staranowania.

Pół godziny później Sean szedł korytarzem w kierunku szpitalnego pokoju Tucka, a jego nastrój z każdym krokiem stawał się coraz bardziej posepny. Nie wykradł informacji dlatego, że był szpiegiem. Chciał jedynie ustalić, czy Tuck był zamieszany w zabójstwo żony. Naraziło go to na zarzuty prawne, ale nie pierwszy raz przekraczał granicę. Nie dlatego był zdenerwowany. Ktoś zastawił na niego pułapkę. Musiał ustalić kto i dlaczego.

Pokazał swoją legitymację jednemu z licznych agentów Secret Service czekających przed pokojem. Ponieważ w środku była pierwsza dama, starannie go zrewidowali i obszukali ręcznym wykrywaczem metalu, a następnie wprowadzili do środka. Tuck siedział na krześle obok łóżka, a Jane Cox stała obok, z dłonią wspartą opiekuńczo na ramieniu brata.

Dwaj agenci czekali oparci o ścianę, dopóki Jane nie powiedziała, żeby zaczekali na zewnątrz. Jeden z osiłków przeszył Seana wzrokiem, a jego partner ruszył w kierunku drzwi.

– Będziemy na zewnątrz, proszę pani – zapewnił, zamykając za sobą drzwi. Sean odwrócił się do siostry i

brata.

– Dziękuję, że przyjechałeś – powiedziała Jane.

– Odniosłem wrażenie, że to ważne. Mam nadzieję, że tak jest.

Szorstki ton jego głosu ją zaskoczył. Zanim zdążyła zareagować, Sean skierował swoją uwagę na Tucka.

– Wyglądasz znacznie lepiej. Wstrząśnienie mózgu się cofa?

– Nadal łeb mi pęka – odparł usprawiedliwiającym tonem.

Sean sięgnął po krzesło i usiadł naprzeciw rodzeństwa.

– Dostało mi się od telewizyjnej reporterki, która wyruszyła zapolować na czarownice. – Spojrzał na Jane. – Wiesz coś o tym?

– Pewnie, że nie. Skąd miałabym wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. – Ponownie przesunął wzrok na Tucka. – W porządku, Tuck, liczy się czas, więc powiedz mi, czemu kręcisz. Z powodu Cassandry Mallory?

– O co ci chodzi?

– Kim ona jest dla ciebie?

– Pracuje w mojej firmie.

– To wszystko?

– Oczywiście.

– Twój wspólnik jest odmiennego zdania.

– Myli się.

Sean wstał i wyjrzał przez okno. Na ulicy stała kawalkada pojazdów czekających, aż pierwsza dama

skończy wizytę. Życie w szklanej bańce. Sean doskonale to znał. Każdy ruch wymagał czujności, wyciskał z ciebie ostatni oddech. Mimo to niektórzy wydali setki milionów dolarów i poświęcili wiele lat życia, aby się w niej znaleźć. Czy za zapewnieniami o służbie publicznej krył się obłęd i narcyzm, czy jedno i drugie?

Odwrócił się ku nim, gorączkowo myśląc. Gdyby oznajmił, że hasłem na komputerze Tucka była Cassandra, przyznałby się do włamania do jego bazy danych. Zamiast tego zapytał:

– Czy jesteś gotów poddać się badaniu na wykrywaczu kłamstw?

Tuck zaczął coś bełkotać, ale palce pierwszej damy zacisnęły się na ramieniu brata, zanim zdołał wydobyć z siebie słowo.

– Czemu to robisz, Sean? – zaczęła.

– Prosiłaś, żebym zbadał tę sprawę. Właśnie to robię. Nie mam wpływu na to, dokąd prowadzą ślady, nawet jeśli ci się to nie podoba. Powiedziałaś, żebym to zrobił, kiedy rozmawialiśmy w Białym Domu. Wiem, że pamiętasz. Spotkaliśmy się niedawno temu. Zapamiętałem nawet słowa, jakich użyłaś: „Nie przejmuj się niczym”.

– Pamiętam, że poprosiłam cię również o odnalezienie Willi.

– Cóż, może mi się to nie udać, jeśli nie ustalę, kto i dlaczego ją porwał, po drodze zabijając Pam. – Rzucił gniewne spojrzenie Tuckowi, wypowiadając ostatnie zdanie.

– Nie mam z tym nic wspólnego – warknął Tuck.
– Poddasz się badaniu na wykrywaczu kłamstw?
– Nie możesz mnie zmusić – odburknął.
– To prawda, ale jeśli pójdę do FBI i powiem, czego się dowiedziałem, zaczną węszyć tam, gdzie nie chcesz. Jeśli zgodzisz się na zbadanie wariografem, nie zrobię tego. To moja propozycja.

– Rozmawiałeś z jego współnikiem? Davidem Hilalem? – zapytała spokojnie Jane.

– Nie sądziłem, że tak dużo wiesz o pracy brata...

Nie pozwoliła sobie przerwać.

– Czy Hilal powiedział ci, że stara się wykupić udziały Tucka? Że chce przejąć firmę?

Sean spojrzał na Tucka.

– Czy to prawda?

– Tak, absolutnie. Nie kłamię. Miałem problemy finansowe. David wiedział, że potrzebuję pieniędzy. Chciał odkupić moje udziały, ale nie zaproponował ceny odzwierciedlającej wartość kontraktu z DHS, nad którym obecnie pracujemy.

– Jak widzisz, Hilal jest zainteresowany umoczeniem Tucka. Jeśli mój brat trafi do pułki, kupi firmę za bezcen.

– Niekoniecznie – odrzekł Sean.

– Musiałbym sprzedać swoje udziały choćby po to, żeby zapłacić prawnikowi – przypomniał Tuck. – Hilal kupiłby firmę za marne grosze, chociaż to ja ją stworzyłem.

– Sean, czy nie powinienesz zapomnieć o Tucku i

skupić uwagi na bardziej prawdopodobnym podejrzanym?

Sean pomyślał chwilę.

– Sugerujesz, że Hilal zaaranżował porwanie i morderstwo, aby obciążyć winą Tucka i przejąć jego firmę? To odrobinę naciągane, nie sądzisz? Czemu miałyby porywać Willę?

Jane obeszała krzesło i przysiadła na krawędzi szpitalnego łóżka.

– Nie silę się na zrozumienie sposobu myślenia psychopaty. Równie naciągane jest sugerowanie, że mój brat kazał zamordować własną żonę i porwać ukochaną córkę, następnie oberwał w głowę, co mogło go zabić, a wszystko przez to, że rzekomo miał romans.

Sean ponownie wyjrzał przez okno, wsuwając ręce do kieszeni. To, co powiedziała, miało pewien sens. Może zbyt pośpiesznie wyciągnął wnioski ze słów Hilala? A hasło komputerowe? Coś sobie przypomniał. Może ktoś zmienił hasło na „Cassandra1”? Może zrobił to Hilal, wiedząc, że Sean będzie próbował się włamać do komputera Tucka? Żeby zasugerować mu, że wspomniana dama i Tuck mieli romans?

W końcu doszedł do wniosku, że jest to również prawdopodobne jak to, że firma ubezpieczeniowa zapłaci za naprawę jego uszkodzonego przez „terrorystów” samochodu.

Odwrócił się.

– Tuck, jakie masz hasło na komputerze służbowym?
– Sean pstryknął palcami, żeby skłonić go do odpowiedzi.

– Możesz mi powiedzieć?

Tuck zawahał się chwilę.

– Carmichael.

– To panięskie nazwisko Pam, prawda? – spytała szybko Jane.

Tuck skinął głową, a następnie uniósł dłoń i otarł łzę w kąciuku oka.

Oboje mnie okłamujecie. Odkryliście, że włamałem się do jego komputera, a później nastaliście tę reporterkę, żeby mnie przestraszyć.

Wykręcanie się Tucka od odpowiedzi nie było zaskakujące, ale to, że pierwsza dama mu sekundowała, wydało się Seanowi bardzo dziwne. Czekало go dużo roboty.

– W porządku, sprawdzę Hilala.

– Doskonale. – Jane wstała, cmoknęła Tucka w policzek i przytuliła.

– Będę wdzięczna za dalszą współpracę – powiedziała, idąc w kierunku Seana.

– Zgoda. – Zignorował jej wyciągniętą dłoń i wyszedł z pokoju.

Sam Quarry otarł krople potu z czoła i wyprostował zboląły grzbiet. Usłyszał przyjemne chrupnięcie, gdy przepracowany kręgosłup odetchnął. Lustrował swoją posiadłość z najwyższego punktu Atlee – nieregularnego skalnego wzgórza wznoszącego się na wysokość pięćdziesięciu stóp. Na wierzchołek prowadziły kamienne stopnie wygładzone butami jego przodków. Jak daleko sięgał pamięcią, nazywano je Anielską Skałą. Wzgórze przypominało miejsce wniebowstąpienia, gdzie pozornie czekało lepsze życie, którego pokolenia Quarrych nie zaznały na tej ziemi. Chociaż nie miał duszy hazardzisty, postawiłby kilka dolców, że niemal żaden z jego męskich przodków nie zakończył szczęśliwie swojej ziemskiej wędrówki.

Mimo historycznego znaczenia Atlee pozostało działającą farmą. Jediną rzeczą, która się zmieniła w ciągu ostatnich dwustu lat, było to, co na niej uprawiano oraz sposób, w jaki to robiono. Zniknęły muły i pługi zastąpione przez traktory, a zamiast bawełny i tytoniu pojawiły się inne płody. Quarry nie przysięgał dozgonnej wierności żadnej konkretnej uprawie i był gotów spróbować czegoś nowego, pod warunkiem że przyniesie to zysk. Jak większość dobrych farmerów, Quarry przywiązywał ogromną wagę do szczegółów – do składu gleby, poziomu opadów i dokładnej daty rozpoczęcia zniw, przewidywanego nadejścia mrozów oraz plonów z

jednego akra w odniesieniu do spodziewanych cen rynkowych, a także dokładnej liczby rąk potrzebnych do zbiorów, traktorów niezbędnych do holowania maszyn i bankierów udzielających kredytu.

Był zbyt mocno związany z północną Alabamą, żeby uprawiać owoce kiwi, ale zaryzykował wysianie rzepaku, bo w okolicy otwarto przetwórnię, która produkowała uszlachetniony olej rzepakowy. Rzepak był dobrą uprawą ozimą i dawał większy zysk z akra niż pszenica ozima. Na farmie rosły też bardziej tradycyjne płody, jak kapusta, fasola, kukurydza, okra, kabaczki, dynie, pomidory, rzepak i arbuzy.

Część zbiorów służyła wykarmieniu ludzi, którzy mieszkali w Atlee, ale większość sprzedawano miejscowym przetwórniom i sklepom w zamian za tak potrzebną gotówkę. Quarry hodował również dwadzieścia świń i dwa tuziny karmionych paszą krów. Znalazł odbiorców w Atlancie i Chicago, którzy z jego wołowiny robili *churrasco*, zostawiając trochę mięsa na własny użytek.

Działalność rolnicza była ryzykowna. Chociaż robotnicy rolni zrobili wszystko jak należy, mogła nadejść susza albo wczesne przymrozki i zniszczyć całe uprawy. Matka natura nigdy nie przepraszała za swoje boskie, choć czasem katastrofalne kaprysy. Quarry miał za sobą dobre i złe lata. Chociaż wiedział, że nigdy nie wzbogaci się na rolnictwie, pieniądze nie były najważniejsze. Płacił rachunki, chodził z dumnie podniesionym czołem i był

pewien, że człowiek nie powinien oczekiwać więcej od życia, chyba że jest zepsutym lub nadmiernie ambitnym sukinsynem. Albo jedno i drugie.

Pracował kilka godzin w polu razem z wynajętymi robotnikami. Robił to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, lubił uprawiać ziemię. Robił to od czasu, gdy był chłopcem, i nie widział powodu, żeby zrezygnować tylko dlatego, że się zestarzał. Po drugie, robotnicy zawsze bardziej się przykładali, gdy *el jefe* był w pobliżu.

Gabriel przyłączył się do niego wieczorem, pokonawszy milę od przystanku autobusowego. Chłopak był silny i skupiony, trzymał narzędzia i obsługiwał maszyny pewną, wyćwiczoną ręką. Podczas kolacji Quarry pozwolił mu zmówić modlitwę w obecności jego matki Ruth Ann i Daryla. Później zjedli prosty posiłek. Niemal wszystko przyrządzono z weków i zeszłorocznych zbiorów. W trakcie kolacji Quarry słuchał, czego Gabriel nauczył się w szkole.

– To bystry chłopak, Ruth Ann – powiedział, spoglądając z podziwem na jego matkę. – Chłonie wszystko jak gąbka.

Ruth Ann uśmiechnęła się z wdzięcznością. Całe życie była strasznie chuda z powodu dolegliwości jelitowych, bo nie miała pieniędzy na odpowiednie leczenie. Quarry pomyślał, że ta choroba za dziesięć lat ją zabije.

– Po mnie tego nie ma – powiedziała. – W głowie mi tylko sprzątanie i gotowanie.

– Świetnie sprzątasz i gotujesz – pochwalił ją siedzący naprzeciw Gabriela Daryl, biorąc do ust pajdę chleba z mąki kukurydzianej i popijając potężnym łykiem letniej wody.

– Gdzie jest Carlos? – zapytał Gabriel. – Chyba nie odszedł jak Kurt?

Daryl spojrzał nerwowo na ojca, ale Quarry spokojnie dokończył sos pomidorowy i wytarł talerz skórką chleba, zanim odpowiedział.

– Pojechał do miasta, żeby coś dla mnie załatwić. Niebawem wróci.

Po kolacji Quarry poszedł na strych i usiadł wśród zasnutych pajęczyną rodzinnych pamiątek, głównie mebli i ubrań, książek i dokumentów. Nie znalazł się tam jednak z powodu nostalgii. Rozłożył mapy na starym stoliku należącym do jego prababki ze strony matki, która zastrzeliła męża z dubeltówki, a przynajmniej tak głosiła legenda krążąca w rodzinie. Prababka była nadobną damą o wyrafinowanych manierach i bardzo ciemnej skórze.

Quarry analizował drogi, położenie budynków, wejścia i newralgiczne obszary zaznaczone na planach. Później zwrócił uwagę na szkice nieco bardziej technicznej natury. Zdobył stypendium w college'u i zamierzał studiować mechanikę, ale wojna w Wietnamie pokrzyżowała jego plany, bo ojciec zażądał, by się zaciągnął i pomógł w zwalczaniu komunistycznej zarazy. Kiedy wiele lat później wrócił do domu, jego stary już nie żył, Atlee przeszło na niego i podjęcie studiów nie było

mu już pisane.

Mimo to Quarry potrafił naprawić wszystko, od silnika po przekładnię. Wnętrznosci każdej maszyny, nieważne jak skomplikowanej, ze zdumiewającą łatwością odsłaniały przed nim swoje tajniki. Było to niezwykle przydatne w Atlee, bo gdy inni farmerzy musieli wzywać drogą pomoc, Quarry sam wszystko naprawiał, leżąc na plecach z wielkim kluczem francuskim w dłoni.

Wpatrywał się w plany i szkice okiem eksperta, zastanawiając się, co można usprawnić i jak uniknąć katastrofy. Później zszedł na dół i odnalazł Daryla czyszczącego karabiny w małym pomieszczeniu na broń przy kuchni.

– Nic tak nie pachnie jak smar do broni! – Daryl westchnął, podnosząc głowę i spoglądając na ojca, gdy ten wszedł do małej klatki.

– Skoro tak mówisz.

Nagle uśmiech Daryla przygasł, może z powodu wspomnienia pistoletu przyłożonego do potylicy przez człowieka, który stał teraz w odległości kilku stóp od niego w pokoju pełnym narzędzi wojny.

– Omówiłem to z Carlosem, ale chcę, żebyś wiedział. Na wszelki wypadek.

– Wiem – odparł syn, wycierając lufę ulubionej strzelby na jelenie.

Quarry rozłożył papiery.

– To ważne, Daryl. Nie można niczego spieprzyć. Uważaj, co powiem.

Pół godziny później wstał zadowolony i zwinął plany.

– Mało brakowało, a rozbiłbym cholerny samolot, taki byłem przybity tym, co spotkało Kurta – powiedział, wsuwając je do długiej tuby.

– Wiem – odrzekł Daryl z lekkim drzeniem w głosie, bo wiedział, że jego stary bywa nieprzewidywalny.

– Gdybyś znalazł się na jego miejscu, pewnie bym płakał. Chciałem, żebyś o tym wiedział.

– Dobry z ciebie gość, tato.

– Nie uważam się za dobrego – odpowiedział Quarry, wychodząc z pomieszczenia.

Poszedł do pokoju Gabriela i zawołał przez drzwi:

– Chcesz pójść ze mną do Tippi? Po drodze wstąpimy do Freda.

– Tak, proszę pana. – Gabriel odłożył książkę, włożył tenisówki i naciągnął baseballówkę tył na przód.

Kilkanaście minut później stary dodge Quarry'ego zajechał przed przyczepę kempingową Freda. Na siedzeniu między nimi stało pudło z kilkoma butelkami jima beama i trzema kartonami cameli bez filtra. Po postawieniu pudła na drewnianych stopniach airstreama Quarry i Gabriel ściągnęli dwie skrzynki z warzywnymi wekami, dziesięcioma kolbami kukurydzy i dwudziestoma jabłkami.

Quarry zakołatał do drzwi starej sfatygowanej przyczepy, a zwinny jak kot Gabriel pogonił jaszczurkę, która zniknęła pod podwoziem airstreama.

Drzwi otworzył stary pomarszczony mężczyzna,

który pomógł Quarry'emu i Gabrielowi wnieść towar do środka.

– Dziękuję – powiedział w rdzennym języku Indian, spoglądając na skrzynki.

– Przywiozłem więcej niż potrzeba, Fred.

Kiedy Indianin przybył na jego ziemię, nie powiedział, jak się nazywa. Po kilku niezręcznych miesiącach Quarry zaczął mówić mu Fred, a gość nigdy się temu nie sprzeciwił. Nie miał pojęcia, jak go nazywają jego indiańscy przyjaciele, ale uważał, że to ich sprawa.

W środku byli dwaj inni. Jeden spał na przetartej kanapie pozbawionej nóg i sprężyn, dotykając niemal podłogi. Głośne chrapanie wskazywało, że w niczym mu to nie przeszkadzało. Drugi Indianin oglądał serial komediowy na ekranie starego piętnastocalowego telewizora, który Quarry podarował Fredowi kilka lat temu.

Otworzyli flaszkę jima beama, zapalili papierosy i ucieli sobie krótką pogawędkę. Gabriel popijał otrzymaną od Freda colę i bawił się ze starym kundlem, który zaprzyjaźnił się z Fredem i zagnieździł w jego airstreamie.

Kiedy Quarry usłyszał jakieś niezrozumiałe słowo w języku koasati, Gabriel podnosił głowę i błyskawicznie tłumaczył jego znaczenie. Fred zanosił się śmiechem i w nagrodę proponował chłopakowi łyk whiskey.

Quarry za każdym razem powstrzymywał jego dłoń.

– Kiedy dorosnie, będzie mógł pić, ale teraz nie pozwalam. Na dłuższą metę więcej z tego złego niż

dobrego.

– Przecież pan pije, panie Sam – zauważył Gabriel. –
Dużo.

– Nie bierz ze mnie przykładu, synu. Mierz wyżej.

Później pojechali zobaczyć się z Tippi. Quarry
pozwolił nawet Gabrielowi przeczytać fragment *Dumy i
uprzedzenia*.

– To nudne – zawyrokował chłopak, gdy skończył
dłuższy kawałek.

Quarry odebrał mu książkę i wsunął ją do tylnej
kieszeni.

– Ona jest odmiennego zdania.

Gabriel spojrział na Tippi.

– Nigdy mi pan nie powiedział, co jej się stało, panie
Sam.

– Faktycznie, nigdy tego nie zrobiłem.

Sean odbył kolejną rozmowę z Davidem Hilalem, gdy ten wyszedł na parking. Wspólnik Tucka miał niewiele do dodania poza tym, co już powiedział. Opierając się o samochód, spokojnie odpowiadał na pytania, jednocześnie odczytując i wpisując wiadomości na swoim blackberry.

Kiedy Sean poruszył kwestię wykupu firmy, ton głosu Hilala uległ zmianie. Wsunął aparat do kieszeni, założył ręce na piersiach i spojrzał gniewnie na Seana.

– A niby za co miałbym od niego kupić? Zainwestowałem w tę firmę wszystkie oszczędności. Zapożyczyłem się po uszy. Nie dostałbym nawet kredytu na samochód.

– Tuck powiedział, że złożył mu pan celowo zaniżoną ofertę.

– Faktycznie, rozmawialiśmy o tym, ale było akurat na odwrót.

– To on chciał wykupić pana udziały?

– Dokładnie. Za zaniżoną cenę.

Aha. W takim razie kto mówi prawdę?

– *Czemu* któryś z was miałby sprzedać swoje udziały przed podpisaniem dużego kontraktu? Tuck twierdzi, że jego podpisanie zwiększyłoby wartość firmy o wiele milionów dolarów.

– Bez dwóch zdań. Gdybyśmy wygrali przetarg, ale to nie było pewne. Mamy opatentowaną technologię,

moim zdaniem najlepszą na rynku. Właśnie dlatego główny wykonawca zwrócił się do nas. Z drugiej strony musimy rywalizować z poważnymi graczami, którzy mają produkty o porównywalnych właściwościach i niezawodności. W świecie zamówień rządowych nie walczy się na równych zasadach. Dużi faceci obchodzą przepisy, hojnie sypią forszą. Ponieważ mają uprzywilejowaną pozycję, podkupują najzdolniejszych, a małym firmom pozostają resztki. Nie chcę sprzedać udziałów, ale kończą mi się pieniądze. Jeśli nie dostaniemy tego kontraktu, firma będzie warta mniej, niż mi za nią proponował. Może teraz mamy uprzywilejowaną pozycję, ale jak panu wcześniej powiedziałem, romans szwagra prezydenta Stanów Zjednoczonych z Cassandrą nie poprawi sytuacji. Jeśli sprawa się wyda, będziemy mieli problem.

– Powiedział, że nic go z nią nie łączy.

– Naprawdę? Proszę zapytać, u kogo zanocewał, kiedy był tam ostatnio. Jestem pewny, że znajdzie jakąś wymówkę.

– Powiedział pan, że nie wierzy, aby Tuck zabił żonę, choć mam wrażenie, że pan za nim nie przepada.

– To prawda.

– Wcześniej pan o tym nie wspomniał.

– Czyżby?

– Mam doskonałą pamięć. Nie zrobił pan tego.

– Nie mam w zwyczaju rzucać współnika na pastwę nieznajomych, choć przyznam, że trudno było się

powstrzymać.

- Dlaczego?
- Powiem oględnie, facet załazł mi za skórę.
- Mógłby pan być bardziej konkretny?
- Ciekawe, czy pan uwierzy, jeśli powiem.
- Mam bardzo otwarty umysł.

Hilal odwrócił wzrok, by po chwili ponownie spojrzeć na Seana.

- To delikatna sprawa.
- Potrafię zachować dyskrecję.

Hilal zaczął energiczniej żuć gumę i szybko mówić, jakby zgniatanie jej w zębach i zgrzytanie dodawało mu odwagi.

– Rok temu poszliśmy na przyjęcie z okazji świąt Bożego Narodzenia. Podpisaliśmy smakowity mały kontrakt. Nic, czym można by się szczególnie chlubić, ale to wydarzenie podniosło nasze morale. Była gorzała, zespół muzyczny, wystawny bufet i prywatna sala w Ritzu-Carltonie. Wydaliśmy za dużo, ale nie było w tym nic złego.

– W porządku. Co dalej?

– Tuck się upił i zaczął przystawiać do mojej żony.

– Przystawiać? Jak?

– Powiedziała, że chwycił ją za tyłek i próbował wsadzić jej język do gardła.

- Widział to pan?
- Nie, ale wierzę żonie.

Sean przesunął ciężar ciała na prawą nogę i spojrzał

na Hilala sceptycznie.

– Jeśli wierzy pan żonie, czemu nadal jesteście współnikami?

Hilal wbił wzrok w ziemię, wyraźnie zakłopotany.

– Miałem ochotę skopać mu tyłek i odejść, nie żartuję, ale żona by na to nie pozwoliła.

– Nie pozwoliłaby panu?

– Mamy czworo dzieci. Żona nie pracuje. Wspomniałem już, że zainwestowałem w tę firmę wszystkie oszczędności. Mam pakiet mniejszościowy. Gdybym próbował się wycofać, Tuck mógłby mnie okantować, zostawić bez centa. Stracilibyśmy wszystko. Nie zdołalibyśmy tego przeżyć, dlatego postanowiliśmy przełknąć zniewagę. Już nigdy nie pozwoliłem, żeby żona została z nim sama w pokoju. Nie pozwoliłem i nie pozwolę. Może pan z nią pogadać, jeśli chce. Proszę to zrobić teraz. Powie panu to samo co ja.

– Czy Pam była na tym przyjęciu?

Hilal spojrział na niego ze zdumieniem, by po chwili skinąć głową.

– Rozumiem, do czego pan zmierza. Taak, była. Przebrana za małżonkę Świętego Mikołaja, jeśli da pan wiarę. Szczupła babka o jasnych rudych włosach. Myślę, że niektórzy nie śmiali się razem z nią, ale z niej.

– Myśli pan, że widziała, jak Tuck przystawia się do pana żony?

– Sala nie była szczególnie duża. Myślę, że wielu ludzi to widziało.

– Nie zareagowała?

– Wyszli oddzielnie. Sam widziałem. – Przerwał na chwilę. – Coś jeszcze? Muszę jechać do domu.

Sean wrócił do swojego samochodu. Uwierzył Hilalowi z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że hasłem na komputerze Tucka była „Cassandra1”. Po drugie, z powodu twierdzenia Duttona, że miał problemy finansowe i Hilal próbował to wykorzystać. Po spotkaniu z Jane i Tuckiem Sean przyjrzał się uważniej dokumentom finansowym znalezionym na jego twardym dysku. Facet miał pakiet akcji i obligacji o wartości kilkudziesięciu milionów, a także gotówkę wartości jednej czwartej papierów, co wskazywało, że kłamał, mówiąc o kłopotach. Z drugiej strony, jeśli wiedzieli, że Tuck włamał się na jego twardy dysk, musieli zdawać sobie sprawę, że to odkryje. Mimo to siostra i brat próbowali zagrać mu na nosie. Sean odłożył ten wątek na bok i sięgnął po kolejne pytanie.

Czemu w takim razie wróciłeś wcześniej, Tuck? I co robiłeś przez niemal godzinę od czasu opuszczenia lotniska do przyjazdu do domu?

W drodze do biura zadzwonił do Michelle. Nie odebrała. Zostawił wiadomość. Martwił się o nią. Często to robił. Chociaż na zewnątrz sprawiała wrażenie twardej jak skała, wiedział, że gdyby się dokładniej przyjrzeć, można by znaleźć kilka pęknięć na powierzchni.

Pojechał do domu, spakował rzeczy na jeden dzień i pognął na lotnisko, gdzie zapłacił niebotyczną cenę za

bilet na samolot, który za godzinę odlatywał do Jacksonville.

Musiał pogadać z Cassandrą Mallory. Osobiście.

W drodze na lotnisko Dullesa w Waszyngtonie dostał telefon. Od Phila, zaprzyjaźnionego lingwisty z Uniwersytetu Georgetown.

– Znalazłem babkę, która zna język yi. Jeśli chcesz, możesz przesłać mi próbkę tekstu, o którym wspomniałeś. Przekażę go dalej.

– Prześlę ci e-mailem – powiedział Sean. Kiedy dotarł na lotnisko Dullesa, wysłał wiadomość, a następnie przeszedł przez bramkę bezpieczeństwa, modląc się, aby litery na ramionach doprowadziły go do czegoś, ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej słabła jego wiara. Michelle słusznie zauważyła, że nie napisano tego nawet po chińsku.

Spojrzał na zdjęcie Cassandry Mallory, którą David Hilal przesłał e-mailem. Nie było wątpliwości, że babka posiada wszelkie atrybuty niezbędne do uwiedzenia faceta.

Kiedy pięćdziesięciomiejscowy odrzutowiec wzbijał się w nocne niebo, Sean miał nadzieję, że ta podróż nie oddali go od odnalezienia Willi.

Każdy dzień opóźnienia zwiększał prawdopodobieństwo, że zamiast żywej dziewczynki odnajdą zwłoki.

Jane Cox wyjrzała przez okno prezydenckiego salonu. Choć gmach przy Pennsylvania Avenue 1600 znajdował się w samym sercu stolicy, ci, którzy nazywali go domem, mogliby równie dobrze pochodzić z innego układu słonecznego. Życia Jane nie zdołałby pojąć nikt z wyjątkiem rodzin, które mieszkały w Białym Domu, wiążąc swój los z urzędującym prezydentem. Choć i tu sytuacja znacznie się zmieniła. Jeszcze Harry Truman mógł wyjść na miasto w towarzystwie jednego agenta. Dziś było to nie do pomyślenia. Nigdy też nie sprawdzano tak drobiazgowo każdego szczegółu, słowa i gestu.

Rozumiała, czemu niektóre pierwsze damy uzależniły się od narkotyków i alkoholu lub popadły w depresję. Jane trzymała się od tego z daleka. Czasami wypijała lampkę wina lub kufelek piwa podczas kampanii prezydenckiej, dla kamer. Jej jedynym narkotykiem od czasu, gdy studiowała w college'u i wciągała kokę podczas wypadu na Karaiby po uzyskaniu dyplomu, pozostała marihuana. Dzięki Bogu nie zostało to wówczas zauważone, więc nigdy nie wyciągnięto tego faktu, kiedy wyruszyła w długą podróż od wyzwolonej studentki do pierwszej damy.

Zadzwoiła do siostry Pam Dutton i zamieniła słówko z Johnem i Colleen, starając się pocieszyć dzieci. Czowała ich lęk i żałowała, że może im jedynie powiedzieć, iż ma nadzieję i modli się, aby Willa wkrótce wróciła do

domu. Później zadzwoniła do brata, który nadal przebywał w szpitalu na obserwacji, choć była nadzieja, że niebawem zostanie wypisany. Dzieciaki odwiedziły go w szpitalu.

Zjadła samotnie obiad przyniesiony przez personel Białego Domu. Tego dnia otrzymała kilka zaproszeń na kolację na mieście, ale wszystkie odrzuciła. Większość pochodziła od ludzi pragnących podnieść swoją pozycję przez łamanie chleba z pierwszą damą i pstryknąć fotkę, aby przekazać ją wnukom. Woląca zostać sama. Tak sama, jak to możliwe w domu, gdzie pracowało ponad dziewięćdziesiąt osób i którego pilnowało tylu agentów, że nie dałoby się ich zliczyć.

Postanowiła pójść na przechadzkę, oczywiście w towarzystwie asystentów i funkcjonariuszy Secret Service. Usiadła na chwilę w Ogrodzie Dziecięcym, cienistym miejscu urządzonym przez lady Bird Johnson. Jane uwielbiała spoglądać na zbrązowiałe płyty z odcisniętymi śladami stóp i dłoni prezydenckich wnuków. Miała nadzieję, że jej dzieci w końcu przejmą pałeczkę, i doczeka się wnuków.

Minęła rabatki tulipanów w Ogrodzie Róż, gdzie wiosną rozkwitają tysiące kwiatów, nadając okolicy olśniewającą barwę, a następnie skierowała się do oszklonej werandy, którą zbudowano na prośbę Grace Coolidge. Było to najmniej oficjalne pomieszczenie w całej rezydencji, z którego, zdaniem Jane, rozciągał się najpiękniejszy widok. Pierwsze damy często brały na

swoje barki ciężar modernizowania Białego Domu dla przyszłych prezydentów i ich rodzin, a także po to, by uczynić to miejsce własnym. W ciągu ostatnich trzech lat także Jane zrobiła coś w tej dziedzinie, chociaż daleko jej było do osiągnięć Jackie Kennedy.

Wróciła do prywatnej części rezydencji, wspominając dzień, w którym przybyli do Białego Domu ponad trzy lata temu. Poprzednia pierwsza rodzina wymeldowała się o dziesiątej rano, a Coxowie zjawili się o czwartej po południu. Chociaż przypominało to przeprowadzkę do wynajętego mieszkania, gdy weszli do środka, w szafach były ich ubrania, na ścianach wisiały ich obrazy, w lodówce były ich ulubione przekąski, a w łazience stały osobiste przybory toaletowe i kosmetyki. Do dziś nie wiedziała, jak zdołali tego dokonać w ciągu sześciu godzin.

Pijąc kawę, zaczęła rozmyślać o rozmowie z Seanem Kingiem. Mogła na niego liczyć. Był dobrym przyjacielem i uratował karierę polityczną jej męża. Czuła, że King był na nią wściekły, ale wiedziała, że to minie. Bardziej denerwował ją brat. Opiekowała się nim przez większą część życia, bo ich matka zmarła, gdy Jane miała zaledwie jedenaście lat. Tuck był pięć lat młodszy od niej. Niektórzy powiedzieliby raczej, że go rozpieszczała. Teraz musiała przyznać, że jej instynkt opiekuńczy przyniósł więcej złego niż dobrego. Mimo to nie mogła się od niego odwrócić w takiej chwili.

Podeszła do okna, obserwując przechodniów

stojących przed Białym Domem. Jej domem. Przynajmniej na kolejne cztery lata, jeśli wierzyć sondażom. Jednak ostateczną decyzję podejmie sto trzydzieści milionów Amerykanów, którzy zagłosują „tak” lub „nie” za drugą kadencją jej męża.

Kiedy oparła policzek o kuloodporną szybę, jej myśli powróciły do Willi jak kotwica opadająca na morskie dno. Dziewczynka była przetrzymywana przez ludzi, którzy zamordowali jej matkę. Chcieli czegoś, a ona nie wiedziała czego.

Szykowała się na ewentualność, że dziecko może do nich nie wrócić. Że małej więcej nie zobaczy. Może już nie żyła. Nauczyła się nie okazywać emocji, a przynajmniej nie robić tego publicznie, chyba że wymagała tego sytuacja polityczna. Nie była pozbawiona uczuć, ale wiedziała, ile politycznych karier zostało zaprzepaszczone przez nieroztropne okazanie gniewu, braku powagi lub fałszywej szczerości, co wyborcy odczytali za przejaw wewnętrznej nieuczciwości. Nikt nie chciał, żeby brudne, drżące paluchy manipulowały przy kodach pocisków jądrowych. Opinia publiczna marszczyła brwi także wówczas, gdy fuszerkę odwaliała małżonka faceta mającego dostęp do kodów.

Od dwudziestu lat Jane Cox pilnowała każdego wypowiedzianego słowa, kalkulowała każdy krok, wyobrażała sobie każde działanie, które zamierzała podjąć. Jediną ceną, którą musiała za to zapłacić, było porzucenie nadziei, że zdoła zachować człowieczeństwo.

Dzisiejszy rozkład dnia przewidywał dziesięciminutową lukę na telefon do męża, który był na wiecu i zbieraniu funduszków w Pensylwanii. Zadzwoiła i wygłosiła zaplanowaną mowę, gratulując mu najnowszych wyników sondaży oraz ostatnich wystąpień w telewizji, w których zaprezentował się iście prezydencko.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał.

– Wszystko z wyjątkiem Willi – odpowiedziała tonem nieco dosadniejszym, niż chciała.

Chociaż nawet przeciwnicy uważali, że polityczne umiejętności jej męża są znakomite, jego wyczucie nastrojów i humorów żony nigdy nie osiągnęło zadowalającego poziomu.

– Rozumiem, rozumiem – powiedział w tle toczącej się na drugim planie rozmowy. – Robimy wszystko, co w naszej mocy. Powinniśmy myśleć pozytywnie i nie tracić nadziei, Jane.

– Wiem.

– Kocham cię – powiedział.

– Wiem – powtórzyła. – Życzę ci powodzenia dziś wieczorem. – Odłożyła słuchawkę, gdy jej dziesięć minut dobiegło końca.

Pół godziny później włączyła CNN, chociaż zwykle nie oglądała wiadomości i programów politycznych w roku wyborów prezydenckich, w których uczestniczył jej mąż. Czas drugoplanowego wykonawcy dobiegł końca i za chwilę siedemdziesiąt pięć tysięcy widzów miało

ujrzeć osobę, którą przyszły oglądać.

Prezydent Dan Cox wszedł na scenę przy akompaniamencie ogłuszającej muzyki. Jane pamiętała czasy, kiedy wystąpienia polityczne nie przypominały koncertów rockowych z rozgrzewającymi hałaśliwymi przebojami i tłumem skandującym śmieszne slogany. Kiedyś wiece odbywały się w bardziej godnej i autentycznej atmosferze. Tak, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Dawne wiece były bardziej autentyczne i szczerze. Teraz wszystko wydawało się zainscenizowane. Gdy jej mąż stanął na mównicy i spojrzał na bliźniacze niewidzialne telepromptery, w niebo wystrzeliły sztuczne ognie. Wiedziała, że kiedyś politycy potrafili przemawiać z pamięci lub ograniczać się do sporadycznego zerkania w notatki. Czytała, że politycy z okresu wojny o niepodległość i wojny secesyjnej zapamiętywali mowy liczące setki stron i wygłaszali je bez jednego zająknięcia.

Wiedziała, że żaden ze współczesnych przywódców politycznych – także jej mąż – nie byłby zdolny do takiego wyczynu. Z drugiej strony błędy popełniane w czasach Lincolna nie rozchodziły się błyskawicznie po całym świecie, jak to działo się obecnie. Jednak gdy obserwowała męża czytającego mowę z ekranu i uderzającego pięścią w mównicę, gdy podnoszono i opuszczano znaki ukryte przed okiem kamer, sygnalizując zebrany, kiedy mają bić brawo, wiwatować, tupać i śpiewać, zatęskniła za dawnymi czasami. Za czasami,

kiedy ona i Dan przyjeżdżali samotnie na wiece, wyciągali z bagażnika nalepki na zderzaki i znaczki, aby rozdawać je nielicznym widzom. Za czasami, kiedy mogła obserwować, jak Dan stoi pośrodku zgromadzenia, jak przemawia z serca i głowy, wymieniając uściski dłoni, całując dzieci i prosząc ludzi, żeby na niego głosowali w nadchodzących wyborach.

Dziś, gdy prezydent się dokądś udawał, można było odnieść wrażenie, że wraz z nim wyrusza małe miasteczko. Podróż wymagała zaangażowania niemal tysiąca ludzi, samolotów transportowych i takiej ilości sprzętu telekomunikacyjnego, że można by założyć własną firmę telefoniczną, aby jej mąż mógł podnieść słuchawkę w dowolnym hotelu na świecie i połączyć się z amerykańską siecią telefoniczną. Przywódcy wolnego świata nie mogli być spontaniczni. Niestety dotyczyło to również ich małżonek.

Nie przestawała go obserwować. Dan był przystojnym mężczyzną, co nigdy nie przeszkadzało w karierze, także politycznej. Wiedział, jak postępować z tłumem. Miał ten dar od zawsze. Umiał nawiązać kontakt z ludźmi, znaleźć wspólny język z milionerami i robotnikami, czarnymi i białymi, poważnymi i żartownisiami. Dlatego zaszedł tak wysoko. Ludzie go kochali i wierzyli, że naprawdę się o nich troszczy. Bo tak było, a przynajmniej Jane szczerze w to wierzyła. Poza tym żaden prezydent nie zdobyłby najwyższego urzędu, gdyby nie był oddany „drugiej połowie”.

Słuchała, jak wygłasza swoją przygotowaną dwudziestosiedmiominutową mowę. Tego wieczoru mówił o gospodarce i miejscach pracy dla związkowców, przemyśle stalowym i kopalniach węgla, bo był w Pensylwanii. Przyłapała się na tym, że mówi razem z nim. Że robi przerwę tam, gdzie on, na jedną, dwie, trzy sekundy przed wygłoszeniem puenty lub dowcipu wymyślonego przez któregoś z autorów mów z Ivy League, przedłużając ją znacznie bardziej niż powinien.

Zdjęła ubranie i wślizgnęła do łóżka. Zanim zgasła światło, poczuła, że ogarnia ją mrok.

Rano pokojówka w Białym Domem znajdzie poduszkę pierwszej damy wilgotną od łez.

Willa odłożyła *Rozważną i romantyczną*. Zaraz po uwięzieniu opukała każdą ze ścian i wyczuła, że kryje się za nimi coś twardego. Nasłuchiwała kroków i korzystając z zegarka, obliczyła, że co godzinę ktoś patrolował korytarz. Przyrządzała sobie posiłki z mięsa z warzywami w puszcze. Jadła je na zimno lub pałaszowała pakowane gotowe racje żywnościowe, które wyglądały na wojskowe. Nie było to jedzenie, do jakiego przywykła, ale jej żołądkowi było wszystko jedno. Piła wodę z butelki, pogryzała krakersy, próbowała nie zmarznąć i sporadycznie używała lampy akumulatorowej, gasząc ją, kiedy odpoczywała, i starając się nie myśleć o tym, kto może po nią przyjść w ciemności.

Nasłuchiwała kroków mężczyzny, wysokiego, starszego mężczyzny. Nauczyła się rozpoznawać jego chód. Lubiła go bardziej od pozostałych, którzy przynosili jej wodę, puszki i czyste ubranie oraz nowe baterie do lampy. Bała się ich, choć się nie odzywali i nie patrzyli jej w oczy. Lękała się, że miejsce milczenia może zająć nagły gniew.

Początkowo próbowała z nimi rozmawiać, ale przestała. Gdy przychodzili, starała się być niewidzialna, a kiedy odchodzili i zamykali za sobą drzwi, oddychała z ulgą.

Spojrzała na zegarek. Ktoś przeszedł korytarzem. Miała dwie godziny. Chwyciła lampę, podeszła do drzwi i

cicho zastukała. Odczekała chwilę i zapukała ponownie.

– Halo? – zapytała po krótkiej przerwie. – Pomyślałam, że stało się coś złego...

Żadnej odpowiedzi.

Odstawiła lampę i wyciągnęła długopis otrzymany od Quarry'ego, a właściwie nie długopis, lecz uchwyt, który tkwił w jego obudowie, z końcem wygiętym pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Następnie sięgnęła po długi kawałek metalu z trójkątnym zakończeniem. Zrobiła go z pokrywki puszki. Wzięła okrągły kawałek metalu i starannie przecięła na pół, używając ciężkiej lampy, aby przycisnąć go do blatu, i posługując się krawędzią drugiego wieczka jak nożem. Następnie zwinęła blaszkę jak dywan, nadając jej długi cylindryczny kształt i odpowiednie zakończenie.

Przyjrzała się zamkowi, próbując sobie przypomnieć, jak się go otwiera. Dwa lata temu odwiedzili pierwszą rodzinę w dwustuletnim domu nad brzegiem morza, w Karolinie Południowej, który zamożni przyjaciele wypożyczyli prezydentowi na dwutygodniowe letnie wakacje. Colleen Dutton, która miała wówczas pięć lat, zatrzasnęła się w łazience. Przerazona dziewczynka zaczęła krzyczeć i walić piąstkami w stare drzwi zamknięte na staroświecki zamek, ale wszystko na próżno. Na szczęście agent Secret Service przybył z pomocą i w dziesięć sekund oswobodził Colleen, używając spinacza do papieru.

Po tym epizodzie Willa całymi godzinami tuliła

niepocieszoną siostrę. Obawiając się, że Colleen przypadkiem zatrzaśnie się w łazience, kiedy wróca do domu, poprosiła mężczyznę, aby pokazał jej, jak otworzyć zamek. Zrobił to, a także wyjaśnił różnicę między zwykłym zamkiem i zamkiem ryglowym. Zamki z rygłem były trudniejsze do otworzenia, wymagały większych umiejętności i dwóch różnych narzędzi. Właśnie takie miała teraz przed sobą.

Zawiesiwszy lampę na gałce drzwi, żeby oświetlić miejsce pracy, Willa wsunęła uchwyt długopisu, pełniący funkcję narzędzia napinającego, w dolną część otworu, a następnie przekreśliła nim jak kluczem, wywierając taki nacisk, by wkładki nie wróciły na miejsce. Później włożyła wytrych w górną część zamka i nacisnęła tak mocno, że mimo chłodu panującego w celi na czole wystąpiła kropla potu. Nacisnęła, starając się umieścić wkładki pionowo, ale ręka jej drgnęła i wytrych się przesunął.

Wsunęła narzędzia ponownie i podjęła kolejną próbę. Choć wielokrotnie ćwiczyła to w domu, nie potrafiła przewidzieć, ile czasu to zajmie. Nie była ekspertem i nie miała dobrego wyczucia. Otworzenie zamka mogło trwać kilka minut albo godzin. Modliła się, żeby tym razem były to minuty.

Zamarła, słysząc zbliżające się kroki. Odwróciła nadgarstek i spojrzała na zegarek. Minęło zaledwie dwadzieścia minut. Czyżby chciał się z nią zobaczyć? Chociaż starszy mężczyzna mówił cichym głosem,

wyczuwała zagrożenie i drzemiący w nim gniew. Nie, nie był gniewny z natury, jak jeden z pozostałych. Wyciągnęła wytrych i narzędzie napinające, cofając się w stronę łóżka. Nagle kroki ucichły. Odczekała chwilę, żeby się upewnić.

Wsunęła narzędzia do zamka i zaczęła pracować ze zdwojoną uwagą. Czuła wkładki na końcu wytrycha. Ustawiała je pionowo, tak silnie naciskając narzędziem napinającym, że zaczęło ją boleć ramię.

Kiedy ostatnia wkładka znalazła się na miejscu, wyciągnęła wytrych i przekreśliła narzędzie napinające niczym klucz. Rygiel zniknął w drzwiach. Willa wzięła oddech i zmówiła modlitwę. Przykryła lampę, wyteńczyła słuch i otworzyła drzwi.

Odczekała chwilę, a następnie ruszyła wolno ciemnym korytarzem.

Sean sączył kawę, obserwując bramę kompleksu mieszkalnego przez teleobiektyw aparatu. W Jacksonville było ponad dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, więc zdjął marynarkę, położył ją na fotelu pasażera samochodu, który wypożyczył w Avisie, i podkreślił klimatyzację. Za metalowym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym rozciągał się parking.

Minutę później wyprostował się i uruchomił silnik. Cassandra Mallory wyszła przez rozsuwane szklane drzwi i założyła okulary przeciwsłoneczne marki Maui Jim. Zauważył, że była uzbrojona po zęby – miała plisowaną minispódniczkę, szpilki, nagie opalone nogi i bezrękawnik z tak głębokim dekoltem, że przeciętny facet mógłby się w nim bez trudu zgubić.

Wycelowała breloczkiem, poczekała na sygnał wozu i wsiadła do środka. Niskie zawieszenie kabrioletu mercedes i podstępny wiatr sprawiły, że spódniczka uniosła się, odsłaniając białe figi i opalone uda. Wcisnęła przycisk na desce rozdzielczej, składając metalowy dach.

Samochód minął automatyczną bramę i przyspieszył w podmuchach wiatru, który rozwiął jej włosy. Widok w sam raz do filmu reklamowego dla niemieckiej klienteli. Sean ruszył w ślad za nią.

Zatrzymała się dwukrotnie, żeby wstąpić do pralni i apteki. Może kupiła środki antykoncepcyjne, pomyślał Sean, obserwując ją z przeciwległego chodnika.

Uśmiechnął się mimowolnie, widząc, jak babka wykorzystuje swoje atuty. Faceci wodzili za nią głowami, gdziekolwiek się udała, a poruszała się cudownie. Wsiadała do samochodu i wysiadała w zwolnionym tempie, przez długą chwilę pokazując cuda, które sprawiają, że mężczyźni pocą się w nocy i fantazjują na jawie. Gdy zwalniała, mężczyźni zdawali się zwalniać razem z nią, by w końcu całkowicie znieruchomieć, aż opalone nogi, tyłek i rozpalający wyobraźnię rowek między piersiami znikną w eksplozji mocy mercedesa-benza.

Kolejny przystanek w luksusowej dzielnicy mieszkalnej był bardziej obiecujący. Sean obserwował, jak zajeżdża na podjazd domu z czerwoną dachówką, ozdobionego wspaniałymi stiukami i otoczonego palmami. Dzięki teleobiektywowi zobaczył człowieka, który otworzył jej drzwi. Facet był wysoki, dystyngowany, o gęstych siwiejących włosach. Miał na sobie spodnie, koszulkę polo i granatową marynarkę.

Sean zrobił im kilka zdjęć, zanim weszli do środka.

Później na ulicy pojawił się samochód pocztowy. Kiedy listonosz umieścił przesyłki w skrzynce przed domem i odjechał, Sean otworzył klapkę i przejrzał znajdujące się w środku listy.

– Greg Dawson – odczytał nazwisko widniejące na jednej z kopert. Przejrzał plik korespondencji, zwracając uwagę na jeden z listów, najwyraźniej ofertę przesłaną osobie, która w bazie danych teleadresowych była

związana z firmą. „Greg Dawson, wiceprezes, Science Matters, Ltd.”.

Pomyślał, że zaczyna się robić coraz ciekawiej.

Wsunął listy do skrzynki, pojechał na koniec ulicy i zrobił szybki rekonesans. Dostrzegł okazję, pustą działkę porośniętą drzewami i oddaloną dwa numery od posesji Grega Dawsona. Wysiadł z samochodu z aparatem w dłoni, minął pusty teren, przesadził niski murek i przebiegł tylne podwórko domu przylegającego do domu Dawsona, by wyrzeć za ozdobiony sztukaterią mur oddzielający obie nieruchomości. Upewniwszy się, że nikogo nie ma, wspiął się na mur, zeskoczył po drugiej stronie i przykucnął za krzakami.

Zadbany tylny ogród był porośnięty bujną roślinnością. Sean rzucił okiem na dużą sadzawkę, wodospad i basen wykonany z tych samych materiałów co główny budynek. Nie było wątpliwości, że Dawson ma pieniądze. Obok basenu stał stolik z dzbankiem lemoniady i dwoma talerzami. Ustawił ostrość i czekał. Po chwili z domu wyszła latynoska służąca, niosąc tacę z jedzeniem. Położyła ją na stole i wyszła.

Dawson i Cassandra zjawili się kilka minut później. Cassandra rozejrzała się z uśmiechem po luksusowym otoczeniu. Sean bez trudu odgadł, o czym myśli. Mogłaby szybko przywyknąć do takiego stylu życia.

Sean zdążył zrobić zdjęcie, kiedy Dawson wyciągnął kopertę z kieszeni marynarki i podsunął ją Cassandrze. Otworzyła i spojrzała na plik banknotów. Uwiecznił także

ten moment.

Chwilę później Cassandra zrzuciła jedną ze swoich szpilek i wyciągnęła nogę, śmiało kładąc stopę w pachwinie gospodarza. Sean pomyślał, że dama nie należała do najbardziej subtelnych. Mężczyzna rzucił jej gniewne spojrzenie i coś powiedział. Sean nie zdołał niczego usłyszeć, ale dama sprawiała wrażenie surowo zganionej, bo pospiesznie wsunęła stopę w but.

Nie znał Dawsona, ale spodobało mu się, że potrafił odmówić Cassandrze królowej zdzir.

Po lunchu Cassandra wróciła do domu. Kiedy dotarła do swojego mieszkania, Sean przestał ją śledzić i zadzwonił do Davida Hilala. Nie mówiąc, czego się dowiedział, spytał o Science Matters, Ltd.

– To jeden z naszych konkurentów ubiegających się o kontrakt.

– Zna pan Grega Dawsona?

– Zajmuje się u nich systemami biodefensywnymi. Gość jest cholernie sprytny, nie zawaha się przed niczym, żeby dostać kontrakt.

– Mam pewną teorię. Wspomniał pan, że dzięki kontaktom Cassandry w DHS otrzymacie umowę?

– Cóż, uważamy, że nasza oferta przewyższa to, co ma do zaproponowania zespół Dawsona, ale Cassandra jest naprawdę pomocna. Doskonale zna temat, głównych graczy i stronę rządową. Jeśli pozostałe elementy będą zbliżone i wszystko będzie zależało od rzutu monetą, pewnie kontrakt powędruje do nas.

– Czy inni nie starali się jej pozyskać? Mam na myśli Science Matters, Ltd.? Przecież są znacznie większą firmą od waszej, prawda?

– Tak. Wiem, że zaproponowali jej dużo korzyści dodatkowych i wyższe wynagrodzenie, ale Tuck zdołał ją przekonać, aby przeszła do nas.

Sean skinął głową w zamyśleniu.

– Domyśla się pan, czym ją przekonał?

– Przychodzi mi coś do głowy.

– Mógłbym spytać co?

– Pewnie zaproponował jej część swoich udziałów. Wiem, że otrzymuje wynagrodzenie, bo wykonuję przelewy, ale przekazanie części udziałów mogli załatwić bez mojego pośrednictwa.

– Chociaż jest pan współnikiem?

– Wspólnikiem mniejszościowym, już panu powiedziałem. Zasadniczo oznacza to, że muszę zjeść swój kleik i grzecznie poprosić o więcej.

– A jeśli Tuck i Cassandra mają romans i sprawa się wyda?

– Nasza sytuacja nie będzie należała do najprzyjemniejszych.

– Czy Cassandra może mieć powód, aby ta sprawa wyszła na jaw? – zapytał Sean.

– Nie dostrzegam żadnego. Jeśli otrzymała część udziałów, też na tym ucierpi, prawda?

– Chyba że ma plan B, który opłaci się jej jeszcze bardziej, Dave.

Dwie godziny później Sean wjechał na parking za innym samochodem, zanim automatyczna bramka się zamknęła. Zaparkował na miejscu dla gości, sięgnął po wąskie pudełko leżące na przednim siedzeniu i ruszył w kierunku holu.

Portier, żyłasty łysiejący mężczyzna w obszernej niebieskiej marynarce, podniósł głowę znad gazety.

– Czym mogę służyć?

Sean klepnął pudełko.

– Mam kwiaty dla panny Cassandry Mallory.

– W porządku, może je pan tu zostawić.

– To niemożliwe. Mam dostarczyć osobiście. Musi podpisać.

– Zrobię to za nią. Nie lubimy, żeby dostawcy korzystali z wind.

– Zmiłuj się pan. Płacą mi tyle, że niewiele zostaje po zapłaceniu za benzynę. Żyję z napiwków. Pan mi go nie da, prawda?

– Te cholerne kwiaty nie są dla mnie, więc nie zapłacę.

– Niech pan posłucha, jestem prostym facetem, który próbuje zarobić na życie. Mam w tym pudełku tuzin kwiatów, a do ósmej wieczór muszę dostarczyć jeszcze piętnaście przesyłek. Zasuвам za marne grosze.

– Wygląda pan trochę za staro jak na doręczyciela kwiatów.

– Kiedyś miałem własną firmę, załatwialiśmy kredyty hipoteczne.

Facet spojrział na niego znacząco.

– Och!

– Może pan do niej zadzwonić i powiedzieć, że jestem na dole? Jeśli nie będzie ich chciała, nie ma sprawy.

Portier z wahaniem sięgnął po słuchawkę.

– Panna Mallory? Mówi Carl z portierni. Mam dla pani dostawę kwiatów. – Przerwał. – Uhm. Nie wiem. Proszę chwilkę poczekać. – Spojrział na Seana. – Od kogo te kwiaty?

Sean zaczął gmerać w kieszeni koszuli i sprawdził na pustej kartce papieru.

– Od Grega Dawsona.

Carl powtórzył nazwisko.

– W porządku, pani tu rządzi.

Odłożył słuchawkę i spojrział na Seana.

– Masz szczęśliwy dzień. Mieszkanie siedemset pięćdziesiąt sześć. Tam jest winda.

– Super. Mam nadzieję, że ta pani nie jest skąpa.

– Przystojny z ciebie gość, więc może zamiast napiwku dostaniesz coś innego.

Sean udał zdziwienie.

– Niezła laska?

– Coś ci powiem, koleś. Kiedy idzie tym holem, czuję się jak w jakiejś pieprzonej fantazji rodem z „Playboya”. To jedyny powód, dla którego wykonuję tę parszywą

robotę.

Sean wjechał szklaną windą na górę, podziwiając wspaniały widok wybrzeża. Cassandra musiała czekać w drzwiach, bo natychmiast otworzyła. Była bosa i miała na sobie frotowy szlafrok sięgający do pól uda. Włosy miała wilgotne, jakby przed chwilą była na basenie lub brała prysznic.

– Kwiaty? – spytała.

– Tak, od pana Dawsona.

– Jestem zaskoczona.

Sean rzucił na nią okiem.

– Musi pani otrzymywać wiele kwiatów od dżentelmenów.

Uśmiechnęła się.

– Uroczy jesteś.

– Mogłaby pani tu podpisać. – Podał jej podkładkę i długopis. Kiedy składała podpis, wyjął z pudełka dwanaście długich róż, które kupił od ulicznego sprzedawcy za cztery dolce.

Powąchała jeden z kwiatów.

– Piękne.

– Ma pani wazon? Byłoby dobrze, gdyby od razu znalazły się w wodzie.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się jeszcze bardziej.

Widząc jego szczupłą postać oraz przystojną twarz, powiedziała chrapliwym głosem, który sprawił, że Sean ogarnęły nieczyste myśli:

– Jak ci na imię?

- Sean.
- Nie widziałam cię tu wcześniej, Sean.
- Jestem tu pierwszy raz. Moja strata.
- Mógłbyś wnieść kwiaty do środka, poszukam wazonu?

Odwróciła się, ocierając biustem o jego przedramię. Zrobiła to tak dobrze, że Sean doszedł do wniosku, że doskonaliła ten ruch przez długie lata. Wszedł do środka i zamknął drzwi. Rygiel automatycznie się zatrzasnął.

Mieszkanie było luksusowo urządzone. Sean zauważył, że wszędzie leżały kosztowne drobiazgi. Właścicielka znała się na malarstwie, meblach i wschodnich dywanach. Weszła do kuchni, otworzyła kredens i pochyliła się. Sean zarumienił się na ten widok. Białe figi zastąpiły czarne, ale reszta należała w całości do Cassandry.

Odwróciła się do niego, w dalszym ciągu pochyłona. Udała zdumienie, podążając za jego wzrokiem.

- Przepraszam.
- Uśmiechnął się.
- Nie ma za co. Kobiece ciało jest piękne, po co je ukrywać?

Od wzajemniła uśmiech.

- Twoja postawa mi się podoba.
- Tak długo wyjmowała wazon, że mógłby zidentyfikować jej zwłoki na podstawie pośladków. W końcu się wyprostowała i odwróciła do niego.

Przestała się uśmiechać.

Spojrzała na ekran aparatu, na którym widniało zdjęcie Grega Dawsona wręczającego jej kopertę.

– Co to ma znaczyć? Kim, do diabła, jesteś?

Sean usiadł na jednym ze stołków barowych stojących obok granitowego kuchennego blatu.

– Skąd masz to zdjęcie? – spytała oskarżycielsko.

– Najpierw się ubierz. Ten striptiz zaczął mnie nudzić.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Czemu miałabym nie zadzwonić na policję?

W odpowiedzi podniósł aparat.

– Zrób to, a ta piękna fotka z tobą i Gregiem trafi do DHS. Jeśli nie zdołasz im wytłumaczyć, czemu gość, który prowadzi firmę konkurującą z firmą Tucka Duttona, wręcza ci kopertę podczas milutkiego lunchu w swoim domu, Science Matters, Ltd. będą mogli się pożegnać ze smakowitym kontraktem. Mam rację czy nie, Cassandro? A teraz włóż coś na siebie!

Wyszła sztywnym krokiem, żeby się przebrać. Kiedy wróciła, miała na sobie fioletoworóżowy dres z weluru.

Skinął głową z aprobatą.

– Tak jest znacznie lepiej. Mogę zacząć cię traktować jak dorosłą osobę. – Usiadł na kanapie w salonie, z którego rozciągał się piękny widok na wodę. Zajęła miejsce naprzeciw niego, wsuwając pod siebie bose stopy.

– Kwiaty nie były od Grega? – spytała ironicznie.

– Nie. Nieźle cię spławił podczas lunchu. Może miał już kontakt z takimi laskami i wie, jak to jest.

– Coś za jeden i czego ode mnie chcesz? – zapytała. –
Im szybciej stąd wyjdiesz, tym lepiej.

– Wyjaśnię ci jedną podstawową zasadę. To ja zadaję
pytania.

– Dlaczego...

Pokazał zdjęcie, a Cassandra natychmiast zamknęła
usta.

– Wiem o tobie i Tucku Duttonie.

Przewróciła oczami.

– O to ci chodzi? Daj spokój!

– Masz z nim romans.

– Udowodnij to.

– Nie muszę. Zostawię to FBI.

– FBI? O czym ty mówisz, do cholery?

– Żona Tucka została zamordowana, a ich najstarsza
córka została porwana. Nie mów mi, że o tym nie wiesz.

– Pewnie, że wiem. Pisali o tym we wszystkich
gazetach. Jego siostra jest pierwszą damą.

– Bzykanie się z pierwszym szwagrem sprawia ci
frajdę?

– Idź do diabła!

– Na twoim miejscu też bym się tym martwił.

– Co to ma znaczyć? – spytała, udając znużenie.

– Jedną z najstarszych porad opisywanych w
podręcznikach dla mężów uganiających się za
spódniczkami jest sprzątnięcie żony, by poślubić
kochankę.

– Nie łączył nas taki związek.

– A jaki? Możesz powiedzieć mnie albo FBI. Agent prowadzący sprawę nie jest nawet w połowie taki miły jak ja.

– Czuł do mnie pociąg.

– Taak, to mogę zrozumieć. Jeśli schyliłaś się i robiłaś takie pozy jak przed chwilą, trudno go winić. Właściwie mogę go winić, bo jest małym, słabym draniem. Czemu zaczęłaś dla niego pracować, chociaż otrzymałaś lepsze propozycje od większych firm?

– Widzę, że sporo o mnie wiesz.

– Zawsze byłem ciekawski. Będziesz mówić czy nie?

– Powiedział, że jeśli podpisze ten kontrakt, będzie dla mnie naprawdę dobry.

– Zatem nie chodziło wyłącznie o wynagrodzenie? Zaproponował ci część udziałów?

– Coś w tym rodzaju.

– Nie interesuje mnie „coś w tym rodzaju”. Chcę faktów.

– Dwadzieścia procent zysku z podpisanej umowy – odpowiedziała pośpiesznie. – Oprócz wynagrodzenia i premii.

– Ale później otrzymałaś lepszą propozycję, choć dopiero po podpisaniu umowy z Tuckiem.

– Nie wiem, co masz na myśli – odrzekła z wahaniem.

– Wiesz. Miałaś romansik z Tuckiem. Dawson nasłuchiwał i dowiedział się. Kto wie, może sam podsunął ci ten pomysł. Teraz ma dowód, który może pokazać

DHS. Przeleciałaś szwagra prezydenta. Kiedy się o tym dowiedzą, Dawson dostanie kontrakt, a ty otrzymasz dyskretną zapłatę na boku. Może dziś przekazał ci jej część. – Podniósł aparat. – Tylko że teraz mam coś na ciebie i Grega. Jeśli przekażę to DHS, pogrzebię wasze marzenia. Interesujący zwrot sytuacji, nie sądzisz? Czemu zapłacił ci w gotówce?

– Powiedział, że oni potrafią wyśledzić transfery. Przelewy elektroniczne na rachunek w banku szwajcarskim, wszystko. Gotówka była rodzajem zaliczki.

– Rozumiem.

– Słuchaj, może się jakoś dogadamy.

– Nie czekam na pieniądze w kopercie.

– Wynagrodzenie nie musi być w pieniądzach. – Spojrzała na niego niespokojnie. – Wiem, że masz mnie za dziwkę, ale nie jestem taka. Moglibyśmy mieć razem dużo frajdy. Naprawdę dużo.

– Dziękuję, ale nie interesują mnie kobiety, które pokazują tyłek każdemu dostawcy, który zapuka do drzwi. Nie chciałbym być nadmiernie zuchwały, ale kiedy ostatnio robiłaś badanie na choroby przenoszone drogą płciową?

Chciała wymierzyć mu policzek, ale chwycił ją za nadgarstek.

– Nie wywiniesz się z tego przez łóżko. Nie chodzi o jakiś chałowy rządowy kontrakt i zdobycie przez łóżko ładnego mieszkania nad wodą. Jeśli nie będziesz współpracowała, możesz zostać oskarżona o współudział

w porwaniu i morderstwie. W Wirginii, gdzie popełniono te przestępstwa, dają za to karę śmierci. Może śmierć w wyniku wstrzyknięcia trucizny jest bezbolesna, ale mimo to skończysz martwa.

W oczach Cassandry błysnęły łzy.

– Nie mam z tym nic wspólnego, przysięgam na Boga.

Sean wyciągnął cyfrowy dyktafon i postawił na stole.

– Siadaj.

Usiadła.

– Proponuję następujący układ. Jeśli nie powiesz mi całej prawdy, a wiem dość, żeby się tego domyślić, sprawa trafi do federalnych, zrozumiałaś?

Skinęła głową, ocierając oczy.

– Wspaniale. – Sean włączył dyktafon i powiedział: – Na dzień przed śmiercią żony Tuck był tu z tobą. Został na noc, prawda?

Przytaknęła.

– Chcę to usłyszeć.

– Tak, był tutaj.

– Spędził u ciebie także poprzednią noc, czy tak?

– Tak.

– Mielście romans?

– Tak.

– Czy jego żona o tym wiedziała?

– Nie wiem. Tuck nie był tego pewny.

– Tuck cię zatrudnił, bo wcześniej pracowałaś w DHS. Sądził, że dzięki twoim kontaktom zdoła podpisać

intratny kontrakt z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego, tak?

– Tak.

– A ty go wystawiłaś Gregowi Dawsonowi z Science Matters, Ltd.?

Cassandra się zawahała, a Sean sięgnął po dyktafon.

– W porządku, sama tego chciałaś.

– Zaczekaj. Tak. Współpracowałam z Gregiem Dawsonem za plecami Tucka. Facet nas śledził. Dowiedział się o romansie. Przyszedł do mnie i zaproponował umowę. Zgodziłam się.

– Tuck Dutton miał wrócić do Wirginii dzień po napaści na jego rodzinę. Wrócił wcześniej. Wiesz czemu?

– Posprzeczałyśmy się.

– O co?

– Myśle... myślę, że zaczął coś podejrzewać.

– Ciebie i Dawsona?

Spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

– Nie, wręcz przeciwnie.

Tym razem to Sean okazał zdumienie.

– Wręcz przeciwnie?

– Sądził, że żona go zdradza. Powiedziałam mu, że to głupie. Jakie jest prawdopodobieństwo, że on i jego żona zaczną się równocześnie zdradzać? Chyba postąpiłam nieco nietaktownie, ale gdy w grę wchodzi cudzołóstwo, mężczyźni postępują jak mali chłopcy. W porządku, nabroiłeś. Nic wielkiego. Zapomnijmy o tym.

– Ale nie posłuchał.

– Nie. Myślałam, że mnie uderzy. Powiedział, że kocha żonę. Siedzieliśmy nago na łóżku, wrzeszcząc na siebie. No i palnęłam coś głupiego: „Śmiesznie to okazujesz”. Wtedy na mnie nawrzeszczał, zabrał swoje rzeczy i wyszedł.

– Czy powiedział, czemu podejrzewa żonę?

– Wspomniał coś o podsłuchanych rozmowach telefonicznych. Powiedział, że któregoś razu śledził Pam i widział, jak pije kawę z jakimś nieznanym facetem.

Sean rozsiadł się wygodnie na kanapie. Nie spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń.

– Opisał tego gościa?

– Nie, nigdy.

– Domyślasz się, co Tuck mógł robić między dwudziestą pierwszą trzydzieści i dwudziestą trzecią? Dzwonił do ciebie w tym czasie?

– Nie, od tego czasu nie odezwał się ani słowem.

Sean spojrział na nią z powątpiewaniem.

– Chcę całej prawdy, Cassandro.

– Przysięgam. Możesz sprawdzić moje telefony. Poszłam do łóżka i z nikim nie rozmawiałam.

Sean wyłączył dyktafon.

– Nie wyjeżdżaj z miasta, może będę musiał z tobą jeszcze pogadać.

– Chcesz to wszystko ujawnić?

– Nie, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Coś ci poradzę. Powiedz Greggemu, żeby zrezygnował z tego kontraktu.

– Będzie wściekły. Sporo zapłacił.

– To wasz problem. Czemu nie spróbujesz starej sztuczki ze skłonem, skoro facet nie reaguje na stopę w kroczu?

Tej samej nocy wrócił do Waszyngtonu. Wiele się dowiedział, choć miał teraz więcej pytań niż wcześniej.

Willa szła przy ścianie, przesuując palcami po nierównej powierzchni. Nasłuchiwała najdrobniejszego szmeru, najlżejszego błysku światła. Przykręciła własną lampę tak mocno, że ledwie widziała. W korytarzu było zimno, a mgiełka oddechu ciągnęła się za nią mroczną ścieżką. Skręciła za rogiem i stanęła.

Czyżby ktoś szedł w jej stronę? Zgasiła lampę i przywarła do skały. Pięć minut później ruszyła ponownie. Tym razem nie zapaliła lampy. Jej dłoń natrafiła na drewno, a później dotknęła metalu. Stanęła i włączyła lampę, nastawiając najśłabsze światło. Spostrzegła metalowy zamek.

Taki sam jak w moich drzwiach.

Zebrała się na odwagę, uniosła dłoń i cicho zapukała. Żadnej odpowiedzi. Zapukała ponownie, tym razem nieco głośniejsze.

– Kto tam? – spytał drżący głos.

Willa rozejrzała się, a następnie przyłożyła twarz do drzwi i wyszeptała:

– Jesteś zamknięta?

Usłyszała kroki, a po chwili głos odpowiedział:

– Kim jesteś?

– Nazywam się Willa. Mnie też zamknęli, ale zdołałam otworzyć zamek. Myślę, że ciebie też uda mi się wydostać. Jak masz na imię?

– Diane.

- Wiesz, czemu cię tu trzymają?
- Nie.
- Ja też nie wiem. Zaczekaj.

Willa wyciągnęła uchwyt długopisu oraz zwinięte wieczko puszki i przystąpiła do pracy. Tym razem było trudniej, bo nie mogła podkręcić światła. Starła się odpowiednio ustawić zapadki, jednocześnie nasłuchując kroków.

Kiedy znalazły się we właściwej pozycji, przekręciła narzędzie naciskowe. Drzwi się otworzyły i stanęła przed nią Diane Wohl.

- Jesteś dzieckiem.
- Wkrótce będę nastolatką – odpowiedziała stanowczo Willa. – Udało mi się wydostać z pokoju. Chodź. Szybko.

Kiedy ruszyły, Diane rozejrzała się wokół.

- Gdzie jesteśmy?
- Mówi ciszej – szepnęła Willa. – W takich miejscach dźwięk daleko się niesie.
- W jakich miejscach? – spytała przyciszonym głosem Wohl.

Willa dotknęła ściany.

- Myślę, że jesteśmy w tunelu albo starej kopalni.
- Boże, jeśli jesteśmy w starej kopalni, lada chwila strop może nam runąć na głowę – wyjęczała Diane.
- Nie sądzę. Stemple wyglądają solidnie. Nie więziliby nas w miejscu, które nie jest bezpieczne.
- Dlaczego?

- Bo sami mogliby zostać ranni.
- Wiesz, jak się stąd wydostać?
- Próbuję... wyczuć ruch powietrza.
- Jeśli będziemy szły, możemy się zgubić. Na dobre.
- Nie zgubimy się. – Oświetliła posypaną ziemią podłogę. – Odcinałam kawałki papieru od puszek z jedzeniem. Rzucam papierki co dziesięć kroków. W ten sposób dowiemy się, skąd przyszłyśmy, jeśli trzeba będzie wrócić.

Szły przed siebie, mijając jeden i drugi zakręt.

Willa spojrzała na zegarek w świetle lampy.

- Zostało jeszcze dwadzieścia minut. Ten drugi może przyjść w każdej chwili. Jest nieprzewidywalny.

- Wysoki mężczyzna o siwych włosach?

- Taak. Nie jest taki zły jak pozostali, ale się go boję.

- Ja boję się wszystkich.

- Skąd jesteś?

- Z Georgii.

- A ja z Wirginii. Mam nadzieję, że mojej rodzinie nic się nie stało. Ten człowiek miał się z nimi skontaktować i powiedzieć, że nic mi nie jest. Masz rodzinę?

- Nie, nie mam – odrzekła szybko Diane. – To znaczy nie mam własnej. Poprosiłam, że zadzwonił do mojej matki i powiedział, że nic mi nie jest. Nie wiem, czy nic mi się nie stanie.

- To kolejny powód, żeby się stąd wydostać – odpowiedziała Willa.

– Co to było? – spytała nerwowo Diane.

Usłyszały krzyk za plecami.

– Odkryli, że uciekłyśmy – powiedziała Willa. W tej samej chwili poczuła powiew wiatru na policzku. Chwyła dłoń Diane. – Tędy.

Zaczęły biec korytarzem.

– Spójrz! – szepnęła Willa.

Korytarz kończył się grubymi drzwiami.

Diane próbowała przekręcić starą klamkę, ale ta ani drgnęła.

Willa wyciągnęła wytrychy. Kiedy Diane trzymała lampę, wsunęła narzędzia i zabrała się do roboty.

– Jak się tego nauczyłaś?

– To przydatne, jeśli twoja młodsza siostra ciągle zatraskuje się w łazience – wyjaśniła Willa, naciskając i manipulując wytrychem, i modląc się, żeby zapadki znalazły się w odpowiednim miejscu.

Diane obejrzała się za siebie.

– Idą! Boże, nadchodzą. Pospiesz się! Szybciej!

– Nie dam rady, jeśli będę się spieszyć, rozumiesz? – odpowiedziała spokojnie Willa.

– Złapią nas.

Ostatni bolec trafił na miejsce. Willa przekręciła narzędzie napinające, a następnie z pomocą Diane otworzyła grube drewniane drzwi. Intensywne światło sprawiło, że obie zasłoniły oczy. Wybiegły na zewnątrz i rozejrzały się wokół, mrużąc powieki.

Chwilę później usłyszały dudnienie kroków.

– Chodź! – krzyknęła Diane.

Chwyliła rękę Willi i zaczęła biec płaskim pasem ziemi, na której wylądował samolot.

– Kto to? – spytała Diane.

Willa odwróciła się i pomyślała, że jedyną drogą wydostania się z tego miejsca jest samolot.

– Nikt, kogo chciałybyśmy spotkać. Tędy, pospiesz się.

Zmieniły kierunek i schowały się za skałą w tej samej chwili, gdy Daryl i Carlos wyskoczyli z szybu i rozbiegli się w różne strony. Willa i Diane wspinały się wąskim, stromym grzbietem, pochylone jak najniżej.

– Może zdołamy dotrzeć na szczyt i zejść z drugiej strony – wysapała Willa.

Diane dyszała tak ciężko, że nie mogła odpowiedzieć. Chwyliła Willę.

– Muszę złapać oddech. Nigdy nie byłam szczególnie wysportowana.

Po minucie podjęły dalszą wspinaczkę. Dotarły na wierzchołek grani, przekroczyły ją i spojrzały na drugą stronę.

– Boże, dopomóż – wyjęczała Diane. Zbocze było strome, niemal pionowe.

– Spróbuję – powiedziała Willa. – Myślisz, że zdołasz znaleźć jakąś kryjówkę? Jeśli uda mi się uciec, sprowadzę pomoc.

Diane rozejrzała się wokół.

– Chyba tak. – Ponownie wyjrzała za krawędź. –

Zabijesz się, Willa. Nie uda ci się.

– Muszę spróbować.

Chwyliła się krawędzi głazu, postawiła stopę na wąskim skalnym występie i zrobiła krok w dół. Półka wytrzymała, choć w dół poleciało trochę piasku i kamieni. Poruszone jej ruchem, ześlizgnęły się ze zbocza i runęły w dół, porwane podmuchem wiatru.

– Błagam, uważaj na siebie – poprosiła Diane.

– Postaram się – odpowiedziała bez tchu. – To naprawdę trudne.

Opuściła się na kolejną półkę i miała wykonać kolejny krok, gdy skała, na której stała, ustąpiła.

– Willa! – krzyknęła Diane.

Próbowała się czegoś chwycić, ale posypały się na nią kamienie i ziemia.

– Ratunku!

Nagle jakaś ręka odepchnęła Diane na bok. Obok niej przebiegł mężczyzna, wyciągnął rękę i w ostatniej chwili chwycił nadgarstek Willi.

Poczuła, jak ciągnie ją w górę niczym wydobywaną z morza rybę, a następnie stawia na płaskiej skale. Spojrzała na niego.

Sam Quarry nie wyglądał na zbyt uszczęśliwionego.

Michelle wpatrywała się w ciało matki. Sekcja dobiegła końca i choć nie otrzymali jeszcze wyników badań toksykologicznych i niektórych testów, było jasne, że Sally Maxwell nie zmarła z przyczyn naturalnych. Zginęła od ciosu w głowę.

Michelle rozmawiała osobiście z lekarzem sądowym hrabstwa. To, że jej brat był sierżantem miejscowej policji, otworzyło przed nią wiele drzwi, które w przeciwnym razie pozostałyby zamknięte. Rodzina zamordowanego otrzymywała zwykle jedynie słowa pociechy i prawo spędzenia czasu ze zmarłym, a nie fakty.

Lekarz sądowy przedstawił zwięzłą opinię niepozostawiającą cienia wątpliwości.

– Twoja matka nie spadła ze schodów i nie uderzyła się w głowę. Rana jest zbyt głęboka. Nie mogłaby jej spowodować betonowa podłoga. Nie znaleziono też żadnych śladów na klamce samochodu lub poręczy schodów. Tak czy owak, krawędzie nie pasują do kształtu rany.

– Jaki ma kształt?

– Przecież wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

– Proszę, ona była moją matką. Będę wdzięczna za każdą pomoc, jeśli złamanie zasad nie spowoduje, że do końca życia będziesz miał wyrzuty sumienia. – Prośba Michelle wyraźnie go zmiękczyła.

– Rana ma niezwykły kształt. Cztery cale długości i

pół cala szerokości. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że zadano ją jakimś metalowym narzędziem. Narzędziem o niezwykłym kształcie, które pozostawiło bardzo nietypowy ślad.

– Zatem ktoś ją zamordował?

Lekarz sądowy spuścił głowę, by spojrzeć na Michelle przez soczewki progresywne.

– Robię w tym od trzydziestu lat, ale jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zabił się uderzeniem tępego narzędzia w głowę, a po śmierci ukrył narzędzie zbrodni tak dobrze, by policja nie zdołała go znaleźć.

Ciało matki zostało przewiezione do miejscowego domu pogrzebowego. Michelle poszła, żeby zobaczyć matkę, zanim jej doczesne szczątki zostaną przygotowane do wystawienia. Ciało było przykryte prześcieradłem zasłaniającym nacięcie w kształcie litery Y wykonane podczas autopsji.

Żaden z braci Michelle nie chciał jej towarzyszyć. Jako funkcjonariusze policji wiedzieli, jak wyglądają zwłoki po autopsji, szczególnie czterdzieści osiem godzin po śmierci. Określenie, że „piękno sięga jedynie na grubość skóry” nigdy nie wydawało się bardziej właściwie. Nie, jej bracia „twardziele” zaczekają, aż w ciało denatki zostanie wtłoczona substancja zapobiegająca rozkładowi, aż ją uczeszą, zrobią makijaż i ubiorą w odpowiedni strój maskujący obrażenia dokonane *post mortem*. Następnie ciało zostanie umieszczone w trumnie za trzy tysiące dolarów, żeby wszyscy mogli je zobaczyć.

Michelle nie chciała zapamiętać matki w takim stanie, ale nie miała wyjścia. Musiała obejrzeć brutalne ślady pozostawione na kobiecie, która ponad trzydzieści lat temu ją urodziła. Korciło ją, żeby przechylić głowę matki i zobaczyć ranę, ale oparła się pokusie. Takie postępowanie wyrażałoby brak szacunku, a skoro lekarz sądowy nie potrafił zidentyfikować narzędzia zbrodni, istniała mała szansa, że jej się to uda.

Wyobraziła sobie ostatnie chwile matki. Czy widziała zabójcę? Czy go znała? Czy wiedziała, dlaczego ją zamordował? Czy odczuwała ból?

Na końcu pojawiła się najbardziej przygnębiająca myśl.

Czy ojciec zabił jej matkę?

Uniosła i pogładziła dłoń zmarłej. Wyznała jej rzeczy, których nie zdołała powiedzieć, gdy matka żyła, a później ogarnęła ją jeszcze większa pustka.

Pięć minut później wyszła na świeże powietrze, wdychając tyle tlenu, ile się da. Wracając do domu, pograżyła się we wspomnieniach. Kiedy zajechała na podjazd i stanęła przed domem, siedziała chwilę nieruchomo, próbując wziąć się w garść.

Ojciec przygotował obiad. Usiadła przy stole, żeby zjeść razem z nim. Bracia wyszli razem, aby podtrzymać męską przyjaźń i dać młodszej siostrze okazję do spędzenia czasu sam na sam z ojcem.

– Dobra zupa – powiedziała.

Frank wziął do ust łyżkę rosółu z kawałkami

kurczaka.

– Przyrządziłem ją z tego, co było w domu. Wraz z upływem lat coraz częściej gotowałem – dodał z lekką nutką niechęci w głosie. – Skąd miałabyś wiedzieć.

Rozsiadła się na krześle, odłamała kawałek bułki i zaczęła wolno ją przeżuwać, zastanawiając się, jak zareagować. Z jednej strony odpowiedź była zbędna. Faktycznie rzadko bywała w Nashville, więc nie mogła wiedzieć. Z drugiej zastanawiała się, czemu ją za to wini.

– Mama była zajęta?

– Miała swoich przyjaciół. Zawsze była bardziej towarzyska ode mnie. Ja z powodu roboty musiałem zachowywać pewien dystans. Ona nigdy nie miała takich zahamowań.

Jest rozgoryczony?

– Ty musiałeś zachować dystans, bo przecież jedna z jej przyjaciółek mogłaby złamać prawo? – Wypowiadając te słowa, miała ochotę wcisnąć je z powrotem do gardła.

Pomyślał dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– Coś w tym rodzaju.

– Masz na myśli kogoś konkretnego? Jednego z jej przyjaciół?

– Przyjaciółek – poprawił. – Spotykała się z Rhondą, Nancy, Emily i Donną.

– Co robiły?

– Grały w karty. Chodziły na zakupy. Jeździły na pole golfowe. Umawiały się na lunch, plotkowały. Różne rzeczy, które robią kobiety na emeryturze.

- Nigdy z nimi nie chodziłeś?
- Czasami, ale nie interesowały mnie babskie sprawy.
- Z kim miała się spotkać tamtego wieczoru?

Odpowiedział po dłuższym namyśle. Była pewna, że gdyby matka była hazardzistką, nie powiedziałby jej o tym.

– Z Donna. Tak mi się przynajmniej zdaje. Wspomniała coś o obiedzie. Nie jestem pewny. Rzuciła to mimochodem.

- Czy ta Donna ma jakieś nazwisko?

Tym razem odpowiedział bez zastanowienia.

- Dlaczego?

- Dlaczego co?

- Po co ci nazwisko Donny?

– Czy ktoś do niej zadzwonił i powiedział, że mama nie przyjedzie na obiad, bo nie żyje?

- Twój ton nie robi na mnie wrażenia, mała.

- Od ponad dwudziestu lat nie jestem mała, tatusiu.

Odłożył łyżkę.

– Ja to zrobiłem. Zadzwoniłem do niej. To małe miasto. Już wiedziała.

- Zatem mama miała spotkać się z Donna?

Przez chwilę sprawiał wrażenie zagubionego, pozbawionego pewności siebie.

- Co? Tak, tak sędzę.

Michelle poczuła przejmujący ból w piersiach. Wstała, rzuciła jakąś głupią wymówkę i wyszła z domu. Kiedy znalazła się na zewnątrz, zadzwoniła do jedynej

osoby, której ufała.

Sean King właśnie wylądował na lotnisku Dullesa w Waszyngtonie.

– Jesteś mi potrzebny – powiedziała, wyjaśniając mu, co się stało.

Sean zaczął szukać najbliższego lotu do Nashville.

- Mogłaś się zabić – burknął Quarry, siadając naprzeciw Willi w jej celi.

– Jestem więźniem, a więźniowie podejmują próby ucieczki – odpowiedziała. – Na tym polega ich rola. Przecież wszyscy to wiedzą.

Quarry zabębnił długimi grubymi paluchami o blat stołu. Zabrał jej narzędzia do otwierania zamków i kazał wynieść wszystkie puszkę. Poleciał też Daryłowi i Carlosowi zamontować dodatkowe zabezpieczenia w drzwiach.

– Kim jest Diane? – spytała Willa.

– Panią, którą poznałaś – odrzekł szorstko Quarry.

– To już wiem. Czemu tu jest?

– Nie twój interes.

Podniósł się, żeby wyjść.

– Dziękuję ci.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Za co?

– Uratowałaś mi życie. Gdyby nie ty, leżałabym na dnie wąwozu.

– Proszę bardzo, ale więcej tego nie próbuj.

– Czy zobaczę jeszcze Diane?

– Może.

– Kiedy?

– Nie mam pojęcia.

– Dlaczego, przecież to prosta sprawa?

– Czemu zadajesz tyle pytań, skoro nie udzielam na nie odpowiedzi? – zapytał Quarry, sfrustrowany i zarazem zaintrygowany jej nieustępliwością.

– Bo nadal mam nadzieję, że kiedyś zaczniesz to robić – odpowiedziała inteligentnie.

– Nigdy nie spotkałem takiej dziewczynki jak ty. Nie, jednak kogoś mi przypominasz.

– Kogo?

– Kogoś.

Zamknął za sobą drzwi i założył grubą sztabę na zewnątrz. Nawet gdyby Willa zdołała jakimś cudem ponownie sforsować zamek, nie otworzyłaby drzwi.

Po drodze wyciągnął z kieszeni kartki papieru. To z ich powodu tu przyleciał. Dotarł do drzwi i zapukał.

– Kto tam? – spytała drżącym głosem Diane.

– Muszę z tobą pomówić – powiedział przez drzwi. – Jesteś ubrana? Doprowadziłaś się do porządku po waszej małej wyprawie na zewnątrz?

– Tak.

Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Podobnie jak w pokoju Willi była tam prycza, mały stół, lampa, toaleta kempingowa, woda i mydło do mycia, jedzenie w puszcze i dzbanek z wodą oraz trochę ubrań. Diane zdjęła brudne rzeczy, które miała na sobie podczas próby ucieczki, zastępując je spodniami i białą bluzką.

Quarry zamknął za sobą drzwi.

– Przed chwilą rozmawiałem z Willą.

– Proszę, nie karz jej za to, co zrobiła.

– Nie mam takiego zamiaru. – Po chwili dodał ponurym tonem: – Chyba że obie znowu coś wymyślicie. Nie uciekniecie stąd, nawet jeśli zdołacie opuścić kopalnię.

– Czemu to robisz?

Usiadł przy stole i uniósł kartki.

– Dlatego. – Wskazał jej drugie krzesło. – Usiądziesz?

– Chcę wrócić do domu.

– Musisz to zobaczyć.

Wohl zebrała się na odwagę i podeszła w jego stronę.

– Wypuścisz mnie, jeśli to zrobię? – spytała błagalnym tonem z oczami pełnymi łez, jakby rozpaczliwie pragnęła usłyszeć zapewnienie, że odzyska wolność.

– Nie zamierzam trzymać cię tu dłużej niż to konieczne.

– Czemu mnie tu przywiozłeś? Czemu porwałś Willę?

– Potrzebuję was obu – odparł Quarry. – Bez waszej pomocy nie zdołam zrobić tego, co muszę. – Podniósł kartki. – Przesłałem twoją krew do laboratorium, gdzie przeprowadzono kilka badań. Testów DNA. Mogłem pobrać wymaz z ust, ale badanie krwi daje równie dobre, a nawet lepsze wyniki. Nie chciałem popełnić błędu.

– DNA?

– Taak. To jak odciski palców, tylko lepsze. Wykonują je, aby wypuścić z celi śmierci niewinnych

skazańców.

– Nie popełniłam żadnego przestępstwa.

– Nigdy tego nie twierdziłem. – Spojrzał na kartki, ponownie odczytując rezultaty. – Ale dwanaście lat temu urodziłaś dziewczynkę. Urodziłaś, a później porzuciłaś. Czy jej ujrzenie sprawiło ci radość?

Diane pobladła.

– O czym ty mówisz?

– Willa jest twoją córką. Dzisiaj nazywa się Willa Dutton. Niedawno obchodziła dwunaste urodziny. Jej obecna mama to Pam Dutton. Oczywiście, przybrana. Wykonałem także badanie pani Dutton, na wypadek gdyby twoja krew nie pasowała, ale wszystko się zgadza. Kazałem też zbadać krew Willi. Ponad wszelką wątpliwość jesteś jej matką.

– To niemożliwe – powiedziała z przygnębieniem.

– Zaszłaś w ciążę, urodziłaś dziecko, a Duttonowie je adoptowali. – Machnął kartkami w powietrzu. – Wyniki badań DNA nie kłamią, droga pani.

– Czemu to robisz? – spytała cicho wyleknionym głosem.

– Mam swoje powody. – Wstał. – Chcesz ponownie zobaczyć córkę?

Wohl oparła dłoń na stole, żeby się nie przewrócić.

– Co? – wybełkotała.

– Wiem, że niedawno się poznałyście, ale pomyślałem, że możesz chcieć zobaczyć ją ponownie, skoro się dowiedziałaś.

Spojrzała na kartki.

– Nie wierzę ci.

Podał jej wydruki.

– Poprosiłem, żeby napisali to takim językiem, by prości ludzie jak ja mogli zrozumieć. Na górze jest wynik testu Willi. Pod nimi znajdziesz własny. Przeczytaj wynik.

Wzięła kartki i wolno przeczytała.

– Zgodność dla matki i dziecka dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt dziewięć setnych procent – wydukała tępym głosem.

Rzuciła papiery na stół i krzyknęła:

– Kim ty jesteś, do cholery?!

– To długa historia, a ja nie mam ochoty jej opowiadać. Chcesz zobaczyć małą czy nie?

Wohl zaczęła kiwać głową.

Quarry spojrzał na nią z dziwną mieszaniną współczucia i odrazy.

– Mogłaś zatrzymać dziecko. Chyba rozumiem, czemu tego nie zrobiłaś, ale to nie oznacza, że się z tobą zgadzam. Dzieci to skarb. Nie wolno wypuszczać ich z rąk. Nauczyłem się tego w potwornie bolesny sposób.

Wohl się wyprostowała.

– Nie wiem, kim jesteś, ale nie masz prawa mnie osądzać.

– Gdybym chciał cię osądzać, już byś nie żyła.

Jego słowa sprawiły, że Wohl padła na kolana, zwinęła się w kłębek i zaczęła szlochać.

Quarry pochylił się, zebrał kartki z wynikami testów

DNA i wstał, bacznie ją obserwując.

Minęła minuta.

– Czy ona... czy ona musi mnie widzieć? – spytała w końcu Wohl.

– Przecież się poznałyście.

– Ale nie wiedziałam, że jest moją córką... – odparła Wohl, by po chwili dodać spokojnie: – Sama nie wiem... byłam jej matką.

– W porządku, mogę to zrozumieć.

Nagle Diane przyszło coś do głowy.

– Boże, czy ona wie, że jestem jej matką?

– Nie. Nie widziałem powodu, aby jej o tym powiedzieć, bo nie ty ją wychowałaś.

– Znasz tę Pam Dutton?

– Nigdy jej nie spotkałem.

– Czy była dobra dla Willi?

– Chcesz mi powiedzieć, że nie poznałaś jej przed oddaniem dziecka?

– To nie tak. Naprawdę nie miałam wyboru.

– Każdy ma wybór.

– Czy mogę ją zobaczyć tak, by mnie nie widziała?

– Jeśli chcesz, mogę to załatwić.

Wohl podniosła się niepewnie.

– Chciałabym ją zobaczyć – wyjąkała, jakby przyznała się do winy.

– Potrzebuję kilku minut.

Diane podbiegła i chwyciła go za ramię.

– Nie zrobisz jej krzywdy, prawda?

Quarry zabrał jej dłoń z rękawa.

– Wrócę za chwilę.

Wrócił po pięciu minutach i otworzył jej drzwi. Spojrzała na niego z lękiem, jakby po ich przekroczeniu miała nigdy nie wrócić.

Quarry to wyczuł.

– Daję słowo, że cię odprowadzę, gdy zobaczysz dziewczynę.

– Co będzie wtedy?

– Zobaczymy. Niczego więcej nie mogę ci obiecać.

Quarry zdjął sztabę z metalowych zaczepów wstawionych w ścianę, otworzył drzwi i zaprosił Wohl do środka.

– Gdzie ona jest?

Wskazał w lewo.

– Tam.

Wohl odwróciła się i spojrzała na małą postać zwiniętą pod kocem na pryczy przy ścianie. Quarry uniósł koc, pod którym leżała śpiąca Willa.

Wohl przysunęła się bliżej.

– A jeśli się zbudzi?

– Dałem jej środek nasenny. Mamy godzinę. Jest do ciebie podobna – powiedział cicho Quarry. – Spójrz na nos i brodę. Nie możesz zobaczyć jej oczu, ale mają tę samą barwę co twoje.

Wohl mimowolnie skinęła głową. Ona też dostrzegła podobieństwo.

– Willa Dutton. Ładnie.

– Nie dałaś jej imienia?

– Nie. Wiedziałam, że ją oddam, więc nie chciałam... to znaczy nie mogłam.

Wohl pogładziła ciemne włosy dziewczynki i spojrzała na Quarry'ego.

– Nie skrzywdzisz jej, prawda?

– Nic nie zawiniła, podobnie jak ty.

– Ale powiedziałaś...

- Wina ma różne stopnie.
- O kogo chodzi...
- Chciałaś ją oddać?
- Powiedziałam ci, że nie miałam wyjścia.
- Ludzie zawsze mają wybór.
- Mogę ją przytulić?
- Proszę.

Wohl objęła Willę ramionami. Dotknęła jej twarzy, przytuliła policzek do policzka dziewczynki i na koniec pocałowała ją w czoło.

- Pamiętasz adopcję?
- Słabo. Miałam wtedy dwadzieścia lat.
- A ojciec?
- Nie twój interes.
- Tak po prostu ją oddałaś?
- Tak. – Spojrzała na niego. – Nie miałam pieniędzy.

Studiowałam w college'u. Nie mogłam się nią opiekować.

– Wzięli ją od ciebie i twoje życie ułożyło się pomyślnie – powiedział w zamyśleniu Quarry. – Skończyłaś studia, dostałaś pracę. Później wyszłaś za mąż i rozwiodłaś się. Nie miałaś więcej dzieci.

- Skąd to wszystko wiesz?
- Nie jestem szczególnie inteligentny, ale pracowity.

Musiałem uzyskać te informacje, więc się postarałem.

- Dlaczego to robisz?
- Nie twoja sprawa.

Wohl odwróciła się do Willi, gdy dziewczynka cicho jęknęła. – Budzi się? – spytała z lękiem w głosie.

– Coś jej się przyśniło, ale lepiej wyjdźmy.

Kiedy wrócili do jej pokoju, Wohl zapytała: – Długo będziesz mnie tu trzymał?

– Powiedziałbym ci, gdybym znał odpowiedź.

– A Willę? – Tak samo.

– Wspomniałeś, że jej przybrana matka ma na imię Pam. – Tak.

– Musi być strasznie zasmucona. – Nie sędzę – odparł Quarry.

– Czemu? – Bo nie żyje.

Sean zdążył złapać nocny samolot do Nashville, a Michelle wyjechała po niego na lotnisko. W drodze do domu Maxwellów powiedział jej o Tucku i Cassandrze Mallory.

– Czuję, że z przyjemnością skopałabym jej tyłek – prychnęła Michelle.

– Nie byłoby to trudne, bo często go wypina.

– Kim był facet, który spotkał się z Pam? Ten, którego Tuck podejrzewał o romans z żoną?

– Nie miałem okazji tego ustalić.

Po kilku minutach milczenia zapytał:

– Naprawdę sądzisz, że ojciec zabił twoją matkę?

– Sama nie wiem, co myśleć. Wiem jedynie, że ktoś to zrobił, a on zachowuje się jak główny podejrzany.

– Policja jest podobnego zdania?

– Ojciec był szefem miejscowej policji, a mój brat Bobby nadal tam pracuje. Gliny kryją swoich.

– Jeśli dowody są jednoznaczne, będą musieli podjąć działania.

– Wiem – odrzekła z napięciem.

– Rozmawiałaś z Donna osobiście? Z kobietą, która była umówiona z mamą na obiad?

– Jeszcze nie. Miałam nadzieję, że zrobimy to oboje.

Ścisnął jej ramię.

– Wiem, że ci ciężko, Michelle. Wspólnie przez to przebrniemy.

– Sprawa Duttonów zajmuje cały twój czas. Pierwsza dama i tak dalej. Czuję się winna, że cię od niej odciągam.

Sean uśmiechnął się zachęcająco.

– Potrafię robić kilka rzeczy równocześnie. Myślałem, że wiesz.

– Mimo to dziękuję, że przyjechałeś.

– Wypyтали ludzi w sąsiedztwie? Widzieli coś?

– W sąsiednim domu było przyjęcie przy basenie. Szesnastka wnuczki właściciela. Goście zatarasowali samochodami całą ulicę. Zachowywali się bardzo hałaśliwie. Głośna muzyka i żadnych naocznych świadków.

– Może ktoś się znajdzie – powiedział, żeby dodać jej otuchy.

W domu Maxwellów nie było wolnego miejsca, więc Michelle zarezerwowała Seanowi pokój w pobliskim hotelu. Zostawił bagaż i pojechali do niej. Kiedy Sean przekazał wszystkim kondolencje, Michelle zaprowadziła go na tylne podwórko, aby mogli swobodnie pogadać.

– Jutro pogrzeb – wyjaśniła.

– Pewnie twoi bracia zastanawiają się, co tu robisz.

– Niech się zastanawiają.

– Podejrzewają ojca?

– Nawet jeśli podejrzewają, nigdy się do tego nie przyznają.

– Ale ty nie masz z tym problemu.

– Po której jesteś stronie?

– Jak zawsze po twojej. Od czego chcesz zacząć?

– Podwędziłam notes z adresami mamy. Odszukałam adres Donny Rothwell. Jest tam tylko jedna Donna, więc musi chodzić o nią. Wiem, że jest późno, ale pomyślałam, że moglibyśmy do niej zadzwonić i wpaść na chwilę.

– Pod jakim pretekstem?

– Że chcę poznać przyjaciółki mamy? Że chcę, aby mi o niej opowiedziały. Podzieliły się wspomnieniami, które mogą mnie naprowadzić na ślad zabójcy.

– A jeśli zabójcą okaże się twój ojciec?

– W takich sprawach nie robię wyjątków. Jeśli to on, trudno.

Donna Rothwell zgodziła się na spotkanie mimo później pory. Niedawno skończyła sześćdziesiąt lat, była dość wysoka, krępa i atletycznie zbudowana. Miała staranną fryzurę i makijaż. Wydawała się niezwykle serdeczna, a nawet żywiołowa. Jej dom znajdował się w odległości około czterech mil od domu Maxwellów. Był duży, bogato urządzone i nieskazitelnie czysty. Drzwi otworzyła pokojówka w uniformie. Widać było, że pani domu ma pieniądze, a z licznych fotografii i pamiątek ustawionych na półkach i stolikach można było wywnioskować, że zjeździła kawał świata.

– Marty, mój zmarły mąż, był dyrektorem naczelnym dużej firmy komputerowej. Wcześniej przeszedł na emeryturę. Mieliśmy dobre życie.

– Kiedy zmarł pani mąż? – zapytał Sean.

– Rok temu. Na atak serca.

– Nie wyszła pani powtórnie za mąż?

– Marty i ja chodziliśmy ze sobą już w college'u. Wątpię, czy znalazłabym kogoś takiego jak on, ale chodzę na randki. Właściwie umawiam się cały czas. Wiem, że to brzmi, jakbym była w ogólniaku, ale tak to już jest w życiu.

– Była pani blisko zaprzyjaźniona z moją mamą?

– Robiliśmy razem wiele rzeczy. Twoja mama była super. Chociaż to, co się stało, jest potwornie smutne i dołujące. Pamiętaj, że twoja mama umiała się bawić.

– A ojciec?

Donna sięgnęła po koktajl i wypła łyk, zanim udzieliła odpowiedzi.

– Nie wychodził tak często jak ona. Lubił czytać, tak przynajmniej powiedziała mi Sally. Był policjantem, prawda? Wiele lat oglądał mroczną stronę życia. Coś takiego odciska na człowieku piętno, sprawia, że nie potrafi się bawić. Tak sobie myślę... – dodała szybko, widząc skwaszoną minę Michelle – twój tata jest sympatycznym mężczyzną. Bardzo przystojnym, wiele kobiet w okolicy uważało twoją mamę za szczęściarę.

– Nie wątpię. Czy mama miała panią odwiedzić w dniu swojej śmierci?

Donna odstawiła szklanekę.

– Kto ci to powiedział?

– Czy to ma znaczenie?

– Chyba nie.

– Miałyście się spotkać?

– Gadałyśmy o tym. – Przerwała na chwilę, jakby

próbowała zebrać myśli. – Chyba coś planowałyśmy. Miałyśmy zamiar iść na obiad albo do kina. Wychodziłyśmy razem co tydzień.

– To świeża sprawa. Nie przypomina pani sobie? – zdziwił się Sean. – Policja z pewnością o to zapyta.

Donna ponownie sięgnęła po drinka.

– Policja?!

– Mama nie zginęła śmiercią naturalną, Donno. Policja prowadzi śledztwo.

– Sądziłam, że miała atak serca, uderzyła się w głowę czy coś w tym rodzaju.

– Było inaczej.

– Jak? – Kiedy żadne nie odpowiedziało, podjęła: – Chcecie mi powiedzieć, że ktoś ją zamordował?

– Czemu tak pomyślałaś?

– O cóż innego mogłoby chodzić, skoro jej serce nie przestało pracować, nie wyrznęła w nic głową, a policja prowadzi śledztwo?

– Jak wyglądało jej życie? Z kim się przyjaźniła? Co robiła?

Donna wybałuszyła oczy i poruszyła ustami, choć nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Czy morderca grasuje na wolności...? – wyjąkała w końcu.

– Nikt tego nie powiedział. Wróćmy do mojej mamy.

Donna dopiła drinka i wyjaśniła pośpiesznie:

– Sally miała wielu przyjaciół. O ile wiem, wyłącznie kobiety. Robiłyśmy razem wiele rzeczy. Bawiłyśmy się.

To wszystko.

– Mogę spytać, jak się nazywały?

– Po co?

– Bo chcę z nimi pomówić, tak jak z panią.

– Prowadzisz dochodzenie? – zapytała, spoglądając nerwowo na Michelle. – Sally powiedziała mi, że pracowałaś w Secret Service i jesteś prywatnym detektywem.

– To prawda, choć teraz jestem córką, której zamordowano matkę. Mogę spytać o ich nazwiska?

Donna przekazała wszystkie wraz z adresami i numerami telefonów.

Kiedy wrócili do samochodu, zadzwonił telefon Michelle. Odebrała, wysłuchała wiadomości i rozłączyła się.

– Cholera!

– Co się stało?

– Dzwonił Bill. Gliniarze zabrali ojca na przesłuchanie.

Pojechali na posterunek razem z Billem Maxwellem, ale mimo kontaktów Bobby'ego niewiele się dowiedzieli i musieli czekać w holu, pijąc kiepską kawę z automatu. Dwie godziny przed świtem w korytarzu pojawił się blady i zmęczony Frank Maxwell. Wydawał się zdumiony, że ich widzi.

Bill natychmiast objął ojca ramieniem.

– Wszystko w porządku, tato? Nie mogę uwierzyć, że to zrobili.

– Wykonują swoją robotę, Billy. Tak jak ty.

– Czego chcieli? – spytała Michelle.

– Stara śpiewka. Gdzie, co, dlaczego? – odparł swobodnie, nie patrząc córce w oczy.

– Co im powiedziałaś? – zapytała.

Spojrzał na nią twardym wzrokiem.

– Prawdę.

– To znaczy? – Michelle przysunęła się bliżej ojca.

Bill stanął między nimi, kładąc rękę na ramieniu siostry.

– Daj spokój. Na Boga, dziś wieczorem jest pogrzeb mamy.

– Wiem – odparowała, strząsając rękę brata. – Co im powiedziałaś, tato?

– To pozostanie między nimi i mną. I moim prawnikiem.

– Prawnikiem?! – wydał stłumiony okrzyk Bill.

– Prowadzą śledztwo w mojej sprawie. Potrzebuję prawnika.

– Przecież niczego nie zrobiłeś.

– Nie bądź głupcem, Billy. Niewinni też trafiają do pudła, obaj to wiemy. Mam prawo do pomocy prawnej jak każdy.

Wrócili razem do domu, z Frankiem i Billem Maxwellami na tylnym siedzeniu. Żaden nie odezwał się ani słowem przez całą drogę.

Kiedy Sean opuszczał dom Maxwellów, aby pojechać do hotelu, zaproponował:

– Może dotrzymasz towarzystwa ojcu, a ja wezmę listę przyjaciół twojej mamy i skontaktuję się z niektórymi przed pogrzebem?

– Nie, pojedę z tobą. Możemy zrobić to później.

– Ale twoja rodzina...

– Mam czterech braci. Wątpię, czy będzie za mną tęsknił. Nie układa się między nami najlepiej.

– Zgoda. Spróbuję się przespać kilka godzin.

– Ja też – odpowiedziała.

Wróciwszy do hotelu, Sean opróżnił barek w pokoju, zdrzemnął się cztery godziny, a następnie wykonał kilka telefonów. Tuck Dutton został wypisany ze szpitala. Zadzwoił do siostry Pam Dutton w Bethesdzie. Tuck dotarł na miejsce, zabrał dzieci i pojechał do wynajętego domu, o którym mu powiedziała. Sean miał numer komórki Tucka, więc postanowił spróbować.

Ktoś odebrał po drugim sygnale, ale nie był to Tuck.

- Jane?
 - Cześć, Sean.
 - Słyszałem, że Tuck zamieszkał z dziećmiakami w wynajętym domu.
 - Tak, pomagam im w przeprowadzce.
 - Gdzie?
 - W Wirginii. To jednorodzinny dom niedaleko stacji metra Vienna. FBI lokuje tam przyjezdnych agentów. Oczywiście jest z nami Secret Service.
 - Jak się miewa Tuck i dzieciaki?
 - Nieszczególnie. Dokonaliście jakichś postępów?
 - Tak, mógłbym pogadać z Tuckiem?
 - Nie możesz powiedzieć tego mnie?
 - Naprawdę muszę pomówić z Tuckiem.
- Wydała pomruk wskazujący, że nie jest z tego zadowolona, ale po chwili usłyszał głos Tucka.
- O co chodzi?
 - Czy Jane stoi obok?
 - Taak, czemu pytasz?
 - Będziesz potrzebował odrobiny prywatności, żeby wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia. Spróbuj znaleźć jakiś wolny kąt.
 - Ale...
 - Zrób, co powiedziałem.
 - Ach! Zaczekaj!

Sean usłyszał, że mamrocze coś do siostry. Później doleciały go inne odgłosy wskazujące, że Tuck dokądś idzie i zamyka drzwi. W końcu zgłosił się ponownie.

- W porządku. O co chodzi?
- Byłem w Jacksonville.
- Po cholere?! – warknął Tuck.
- Chciałem się trochę opalić.
- Sean...
- Wiem wszystko. Właściwie wiem więcej od ciebie.
- Przecież powiedziałem...
- Spędziłem całe popołudnie w towarzystwie Cassandry Ekshibicjonistki, kiedy Greg Dawson jej zapłacił.
- Greg Dawson?! – krzyknął Tuck.
- Mów nieco ciszej, Tuck, bo i tak robię się coraz bardziej głuchy. Sprawa wygląda następująco. Dawson dowiedział się o tobie i Cassandrze. Panna Mallory pracuje obecnie dla niego. Zabiega o to, by duży rządowy kontrakt przeszedł ci koło nosa. Jestem pewny, że mają w zanadrzu wasze zdjęcia i są gotowi dostarczyć rozrywki DHS.
- Ten dupek? To dziwka!
- Taak. Nawiasem mówiąc, to dobra lekcja, która tłumaczy, czemu warto dochowywać wierności małżeńskiej.
- Chyba nie powiedziałaś Jane...
- Sean mu przerwał.
- To nie moje zadanie. Według mnie człowiek, który wykręcił taki numer żonie i matce swoich dzieci, jest skończonym gnojkiem, ale kogo obchodzi, co myślę.
- Usidliła mnie, Sean, przysięgam. Uwiodła...

– Kiedy wreszcie dorośniesz, Tuck? Intrygantki w rodzaju Cassandry zawsze wysysały soki z takich durniów jak ty. Tak już jest. Obowiązkiem szczęśliwie żonatego mężczyzny było powiedzenie, żeby sobie poszła do diabła. Jej tyłek zrobił wrażenie nawet na mnie, a jestem kawalerem! Mogłem ją przelecieć bez problemów. Całe szczęście ocalił mnie dobry smak, ale nie jestem terapeutą małżeńskim czy jak ich tam zwa.

– Skoro tak, czemu zadzwoniłeś? – spytał nerwowo Tuck.

– Cassandra wyznała mi, że posprzeczaliście się o rzekomy romans Pam. Czy to prawda?

– No...

– Albo zaczniesz mówić prawdę, albo sam będziesz szukał Willi.

– Tak, to prawda.

– Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym wcześniej, Tuck – zauważył Sean.

– Czułem... czułem się zagubiony, poza tym oberwałem w głowę.

– Cassandra powiedziała, że podsłuchałeś jakieś rozmowy i na własne oczy widziałeś Pam z tym facetem.

– To prawda. Nie mogłem uwierzyć, że mnie oszukuje.

– Taak, czy dałbyś wiarę, że kobiety są do tego zdolne? W porządku, zadam ci kolejne pytanie. Wiem, że twój samolot wcześniej wylądował. Skoro nie zatrzymałeś się po drodze, gdzie spędziłeś godzinę między

opuszczeniem lotniska i dotarciem do domu?

– Skąd...

Sean przerwał mu niecierpliwie.

– Jestem śledczym, Tuck, to moja robota. Tracimy czas, a twoje dziecko siedzi gdzieś z niebezpiecznymi ludźmi. Gdzie byłeś? Jeśli wy czuję, że mnie okłamałeś, przyjadę i to z ciebie wycisnę, nawet jeśli masz ochronę Secret Service.

– Obserwowałem dom – odpowiedział pospiesznie.

– Własny dom?

– Taak. Pomyślałem, że skoro Pam jest przekonana, że nadal bawię w Jacksonville, może się spotkać ze swoim przyjacielem. Chciałem ich przyłapać na gorącym uczynku, ale nikt się nie pokazał, więc zaparkowałem wóz w garażu i wszedłem do środka.

– Co zamierzałeś zrobić, gdyby facet się pokazał?

– Nie jestem pewny. Pewnie skopałbym mu tyłek.

– A później przyznałbyś się Pam do niewierności i pozwolił, żeby dla odmiany to ona skopała ci dupę?

– Spytałeś, więc odpowiedziałem. Nie potrzebuję kazań, rozumiesz?

W jego wyjaśnieniach było coś budzącego wątpliwości.

– Twój dom stoi na końcu długiego podjazdu porośniętego drzewami. Skąd go obserwowałeś?

– Podjazd ma zakręt. Po wschodniej stronie posiadłości jest przerwa między drzewami. Widać stamtąd frontowe drzwi i garaże.

- Była noc, ciemno.
- Miałem w wozie lornetkę.
- Tak się szczęśliwie złożyło?
- Dobra, kupiłem ją specjalnie w tym celu.
- Czy obserwując własny dom, zauważyłeś kogoś, kto nie powinien się tam znajdować?
- Nie, nikogo.
- Słusznie, Tuck. Nie było ich w domu, bo usłyszałbyś krzyki. Musieli obserwować okolice, zanim uderzyli. Dostrzegli cię, a następnie zaczekali, aż wejdziesz, i wdarli się do środka.
- Nie widziałem ich, Sean.
- Nie mogłeś. Znali się na swoim fachu, a ty jesteś zielony – dodał.
- Jasny szlag – mruknął Tuck.
- Co udało ci się podsłuchać? Postaraj się być konkretny.
- Dzwonił dwa razy. Raz podniosłem słuchawkę jednocześnie z Pam. Usłyszałem jego głos. Powiedział coś w rodzaju: „Chcę się spotkać. Jak najszybciej”. Pam wolała odłożyć spotkanie. Później zdenerwowałem się i odłożyłem słuchawkę.
- A za drugim razem?
- Przechodziłem obok sypialni. Sądziła, że wyjechałem, ale zapomniałem teczki i wróciłem po nią z garażu. Mówiła przyciszonym głosem, ale usłyszałem, jak tłumaczy, że za dwa dni wyjadę z miasta i wtedy będą mogli się spotkać.

- Co się później stało?
- Udałem, że wyjeżdżam z miasta, zmieniłem rezerwację na samolot i ruszyłem za nią. Pojechała do kawiarni oddalonej pół godziny drogi od domu.
- Widziałeś faceta?
- Taak.
- Kolor włosów, budowa ciała, rasa, wiek?
- Rosły gość mniej więcej twojego wzrostu. Wiem, bo stał, kiedy weszła. Biały, o krótkich ciemnych włosach lekko przyprószonych siwizną. Około pięćdziesiątki.
- Co zrobiłeś?
- Siedziałem w wozie jakieś pół godziny, później Pam wyszła i odjechałem.
- Czemu nie poczekałeś na faceta i nie doprowadziłeś do konfrontacji?
- Powiedziałem, że z był z niego kawał chłopa.
- Tylko dlatego?
- Milczenie.
- Powiedz coś, Tuck!
- Dobrze, dobrze. Miał na sobie garnitur. Przeglądali jakieś papiery. Zero czułości. Pomyślałem sobie...
- Co? Że facet nie jest jej kochankiem? Że jest prawnikiem? Że Pam zastanawia się nad rozwodem?
- Albo że jest prywatnym detektywem jak ty, a ona go wynajęła, żeby mnie sprawdzić.
- Pewnie tego chciała ode mnie Pam.*
- Chwileczkę, jeśli tak pomyślałeś, czemu wróciłeś wcześniej z Florydy tamtej nocy, gdy zamordowano Pam?

Powiedziałeś, że chciałeś ich przyłapać na gorącym uczynku, skopać facetowi tyłek. Teraz mówisz, że odjechałeś, bo facet był potężnie zbudowany. Zacząłeś podejrzewać, że nie był jej kochankiem, ale jakimś prywatnym detektywem. Tak przed chwilą powiedziałeś. Przestań wciskać mi kit. Chcę prawdy.

– To kłopotliwa sprawa, Sean.

– Chcesz odzyskać Willę, Tuck?

– Oczywiście!

– W takim razie zapomnij o wstydzie i mów prawdę.

– Pomyślałem, że jeśli przyłapię gościa na tym, jak wychodzi z mojego domu, będę mógł go przekupić.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu, dla którego Dawson zrobił to, co zrobił. Gdyby Pam dowiedziała się o romansie i go ujawniła, byłoby po kontrakcie. Nie mogłem do tego dopuścić, Sean. Podwinałem ogon pod siebie. Ten kontrakt był dla mnie najważniejszy.

Sean miał ochotę wyciągnąć rękę i przywalić Tuckowi Duttonowi przez efemeryczną mgiełkę sygnałów komórkowych.

– Cóż, kontrakt był dla ciebie ważniejszy od małżeństwa. A ta historyjka, którą wspólnie z Jane zaserwowaliście mi w szpitalu? O wspólniku próbującym zmusić cię do sprzedaży firmy, bo potrzebujesz pieniędzy? Totalny kit!

– Fakt, nie było to do końca prawdą.

– Czy Jane o tym wiedziała?

– Próbowwała mnie chronić, Sean. Zawsze mnie chroniła, a ja ciągle ją zawodziłem.

– Słuchaj, czy Pam mogła zanotować coś, co doprowadziłoby nas do tego faceta? Może miała jego wizytówkę, jeśli był prawnikiem lub prywatnym detektywem?

– Dlaczego miałyby zapisać jego dane? Facet nie był związany z Willą i tym, co spotkało Pam. Łączę to raczej z moim romanssem z Cassandrą.

– Tuck, czy możesz na chwilę przestać myśleć fiutem i użyć mózgu? To, że gość miał związek z Cassandrą, to tylko jedna z hipotez, do tego całkiem nieprzekonująca. Zastanów się! Dlaczego ktoś z powodu kontraktu rządowego miałby zamordować ci żonę i porwać Willę? Dawson już miał na ciebie haka, więc czemu miałby to robić? Czy mieliście innych konkurentów, którzy zaryzykowaliby karę śmierci, by zdobyć kontrakt?

– Nie, nie sędzę. Konkurencja w naszej branży jest brutalna, ale nie aż tak.

– Wspaniale, dzięki za szczyptę logiki. W drugiej hipotezie facet miał coś wspólnego ze zniknięciem Willi i śmiercią Pam, i nie wiedział o bałaganie panującym w twoim prywatnym życiu.

– Jak to możliwe? Czemu miałby dzwonić do Pam, a później się z nią spotykać, jeśli zamierzał zrobić coś takiego?

– Nigdy nie słyszałeś o spotkaniu pod fałszywym pretekstem w celu przeprowadzenia rozpoznania?

Sądziłem, że goście od kontraktów rządowych podnieśli to zajęcie do rangi sztuki.

– Taak, chyba rozumiem, o co ci chodzi – wycedził wolno Tuck.

– Powiedziałeś o tym FBI? O Cassandrze i gościu, którego widziałeś z Pam?

– Pewnie, że nie. Słuchaj, czy muszę to zrobić?

– Mnie nie pytaj. Poradź się swojego adwokata. Kiedy wrócę, obaj będziemy musieli wyjaśnić pewne sprawy z twoją siostrą.

– Kiedy przyjedziesz? Skąd dzwonisz?

– Jestem w Tennessee.

– Dlaczego?

– Pojechałem na pogrzeb.

– Jezu, przypomniałem sobie! W piątek chowamy Pam. Jane wzięła na siebie wszystkie przygotowania.

– Nie wątpię.

– Wrócisz do tego czasu?

– Tak. Coś ci powiem, Tuck...

– Co?

– Przyjadę dla Pam, nie dla ciebie! Skoro zrobiłeś się taki prawdomówny, powiedz, czy to prawda, że Willa jest adoptowana?

– Co?! – Sprawiał wrażenie zaszokowanego.

– Sekcja wykazała, że Pam miała tylko dwa cesarskie cięcia i nie mogła rodzić siłami natury. Macie trójkę dzieci, więc jedno adoptowaliście. Willę?

Tuck odłożył słuchawkę.

– Dzięki za odpowiedź – mruknął do siebie Sean.

Quarry wyciągnął duży pęk kluczy, odnalazł właściwy i otworzył drzwi grubości czterech cali wykonane niemal dwieście lat temu. Rezydencja Atlee łączyła w sobie wiele wpływów – południową okazałość, tandetny gust białych plantatorów i elementy amerykańskiej historii. Dowodem tego ostatniego był pokój, do którego wszedł. Pomieszczenie znajdowało się pod domem, wkopane tak głęboko w ziemię, że nigdy nie udało się stąd usunąć chorobliwej słodkiej woni zawilgoconej stwardniałej czerwonej gliny. Przodkowie Quarry'ego trzymali tu krnąbrnych niewolników, aby nie podburzali reszty „zniewolonej” populacji. Quarry usunął ze ściany łańcuchy z kajdanami na nogi i ręce, a także drewniane deski oddzielające cele niewolników, aby nie dodawali sobie otuchy. Mógłby się obyć bez tej części rodzinnych dziejów.

W pomieszczeniu pod ziemią umierali ludzie. Quarry wiedział, że to prawda ze skrupulatnych zapisków przodków, którzy korzystali z niewolniczej pracy. Ginęli tu mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Czasami, gdy schodził tu nocą, czuł ich wszystkich – miał wrażenie, że słyszy ich jęki, ostatnie oddechy, ledwie słyszalne pożegnania.

Zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz. Spojrzał na długie, głębokie rysy wyżłobione w grubych klocach ręcznie ciętej dębiny – na ślady pozostawione przez

paznokcie więźniów próbujących wydostać się z potrzasku. Gdyby przyjrzeć się im bliżej, można by dostrzec ciemne ślady krwi. Z zapisków, które czytał, wynikało, że nikomu nie udało się uciec.

Ściany były teraz pokryte malowaną sklejką. Quarry wbił kołki i osadził ramy, do których przytwierdził płyty ze sklejki grubości pół cala i długości ośmiu stóp, posługując się dużym młotkiem i mocnymi rękami. Była to ciężka robota, ale Quarry lubił się spocić. Zawsze chętnie podejmował się zadań, które sprawiały, że pod wieczór czuł się zmęczony.

Na ścianach obitych malowaną sklejką znajdował się owoc wielu lat jego życia. Wisiały tam czarne tablice, które ocalił z opuszczonych szkół, oraz tablice do pisaków marki Magic Marker, które nabył od firm zwijających działalność. Ich powierzchnie pokrywały notatki – uwagi sporządzone schludnym szkolnym pochyłym pismem Quarry'ego. Poszczególne zapiski i fakty łączyły linie. Wszędzie widać było czerwone, niebieskie i zielone główki pinesek połączone nitkami. Całość przypominała matematyczne lub fizyczne dzieło sztuki. Czasami miał wrażenie, że jest Johnem Nashem tej zapadłej dziury w Alabamie. Że jest podobny do niego, oczywiście, z wyjątkiem paranoidalno-schizofrenicznych rysów. Jedną z wyraźnych różnic pomiędzy dziełem Quarry'ego i notatkami laureata Nagrody Nobla był brak skomplikowanych wzorów i cyfr oprócz tych, które tworzyły zapisane na ścianach daty. Głównym elementem

prezentacji Quarry'ego były słowa opowiadające zawiłą historię.

Quarry sklecał ją długimi nocami. Odkąd pamiętał, jego umysł pracował w niespokojnych poruszeniach i przyptywach. Kiedy rozebrał pierwszy silnik, miał wrażenie, że widzi miejsce, w którym pierwsza iskra doprowadza do zapłonu paliwa, a później kolejne zdarzenia, gdy wewnątrz maszyny ożywa własną magią. Dla Quarry'ego najbardziej skomplikowane schematy i plany urządzeń, które dla większości stanowiły nieodgadnioną łamigłówkę, wydawały tak proste, jak woda płynąca z kranu.

Podobnie było ze wszystkim innym – samolotami, bronią i urządzeniami rolniczymi złożonymi z tylu ruchomych części, że wykwalifikowani mechanicy musieli zalać się w trupa, aby znaleźć rozwiązanie wśród miliona możliwości. Quarry'emu zawsze udawało się odgadnąć. Był przekonany, że odziedziczył ten dar po swojej mówiącej językami matce, bo ojciec, cudzołożnik i rasista, nie potrafił nawet uruchomić samochodu na pych. Quarry był przedstawicielem szybko wymierającego gatunku Amerykanów, którzy umieją samodzielnie coś zbudować lub naprawić.

Podziwiając dzieło swojego życia, pomyślał, że wskazuje wyraźnie określony czas, miejsce i okazję. Że jest swoistą mapą skarbów, która pokieruje go tam, dokąd ma się udać. Dzięki niemu wykona swój obowiązek i doprowadzi sprawę do końca. W niedalekiej przyszłości.

Na frontowej ścianie stały stare zniszczone drewniane szafy z dokumentami, które pomogły mu wypełnić luki w wykresach. Odwiedził wiele miejsc, rozmawiał z licznymi ludźmi i sporządził setki stron notatek, które znajdowały się w środku, choć końcowe wyniki śledztwa przedstawiono na ścianach.

Spojrzał na jeden z końców „mozaiki” stanowiący początek opowieści, a następnie podążył wzrokiem ku drugiemu, gdzie wszystko się kończyło. Jeden i drugi koniec. Wreszcie połączył je kropkami. Wiedział, że niektórzy ludzie nazwaliby ten pokój świątynią chorego umysłu. Quarry mógłby nawet przyznać im rację, ale była to dla niego jedyna droga do zrealizowania najbardziej ulotnego celu na świecie.

Nie tylko prawdy, ale sprawiedliwości. Prawda i sprawiedliwość nie musiały się ze sobą pokrywać, ale Quarry odkrył, że niezmiernie trudno zagnać je razem do zagrody. Chociaż nigdy nie poniósł porażki, czasami nachodziła go myśl, że tym razem mu się nie uda.

Ruszył w kierunku odległego kąta, w którym znajdowała się mała odgrodzona przestrzeń. Spojrzał za drewnianą ściankę, na ciężkie metalowe cylindry i rury, wskaźniki i przewody. Na drewnianym stole roboczym wałały się ścinki ołowiu. Poklepał jeden ze zbiorników, uderzając słubną obrączką o metalowe poszycie.

To jego as w rękawie.

Zamknął drzwi, poszedł do biblioteki i włożył rękawiczki. Następnie wsunął kartkę papieru do maszyny

i zaczął pisać. Kiedy na papierze pojawiły się słowa, ich brzmienie nie było dla niego niespodzianką ani objawieniem. Sformułował je bardzo dawno temu. Skończywszy pisać, złożył kartkę, wyjął z kieszeni klucz, włożył go do zaadresowanej koperty razem z listem, zakleił i odjechał swoją starą furgonetką. Dwieście mil dalej, w stanie Kentucky, wrzucił list do skrzynki pocztowej.

Do Atlee wrócił rano. Nie był zmęczony, chociaż jechał całą noc. Miał wrażenie, jakby po zrealizowaniu każdego zamierzonego kroku jego energia się odnawiała. Zjadł śniadanie z Gabrielem i Darylem, a następnie pomógł Ruth Ann pozmywać naczynia w kuchni. Sześć godzin pracy w polu u boku syna sprawiło, że porządnie się spocił. Pomyślał, że jego list za dzień lub dwa dotrze do adresata. Wyobraził sobie ich reakcję i narastającą panikę.

Ta myśl sprawiła, że uśmiechnął się do siebie.

Po obiedzie pojechał konno do przyczepy kempingowej Freda. Zeskoczył z wierzchowca i usiadł na kawałku betonu przed airstreamem, częstując swoich przyjaciół Koasati papierosami, wręczając im butelkę jima beama i puszki red bulla, które tak lubili. Wysłuchał kilku opowieści Freda o jego młodości w Oklahomie, spędzonej w rezerwacie u boku rzekomego syna Geronima.

– Przecież gość był z plemienia Czirokezów, nie? – zauważył leniwie Quarry, obserwując, jak kundel Freda lize sobie genitalia, a później tarza się w piasku, próbując

pozbyć się paru natrętnych pcheł. – Geronimo to Apacz.

Fred spojrział na niego z mieszaniną rozbawienia i powagi na kamiennej twarzy.

– Sądzisz, że tacy jak ty potrafią odróżnić od siebie takich jak ja?

Pozostali Indianie zarechotali, a Quarry się do nich przyłączył, kiwając głową i śmiejąc do rozpuku.

– Czemu wróciłeś? Nigdy cię o to nie spytałem.

Fred rozłożył krótkie ramiona.

– To ziemia Koasati. Wróciłem do domu.

Quarry nie zamierzał mu tłumaczyć, że ta ziemia nie należała do ich plemienia, że była dobrą amerykańską ziemią jego rodziny. Mimo to go lubił. Lubił go odwiedzać, przywozić papierosy i jima beama i słuchać opowieści.

– Za powrót do domu! – powiedział, wznosząc toast puszką piwa.

– Za powrót do domu! – odkrzyknęli chórem.

Kilka minut później schronili się przed komarami w środku przyczepy, wznosząc kolejne nedorzeczne toasty. Jeden z Kosati włączył telewizor i pokręcił gałką, rozjaśniając obraz. Nadawano wiadomości. Sącząc drinka, Quarry przesunął wzrok na ekran i przestał słuchać głośzenia Freda.

Główną wiadomością było porwanie Willi Dutton. Nadawano najnowsze przełomowe doniesienia. W wyniku przecieku dziennikarze zdobyli informacje dotyczące miejsca zbrodni, których nie ujawniono opinii publicznej.

Quarry wstał, kiedy prowadzący program wyjaśnił, o co chodzi. Na ramionach denatki widniały dziwne znaki. Litery wydawały się nie mieć żadnego sensu, ale policja wpadła na jakiś trop.

Quarry zeskoczył z górnego stopnia przyczepy, strasząc starego psa tak, że biedak zaczął skomleć i zwinął się w kulkę. Kiedy Fred stanął w drzwiach, Quarry dosiadł konia i ruszył w kierunku Atlee. Indianin pokręcił głową, mrucząc coś o zwariowanych białych i zamknął drzwi airstreama.

Quarry znalazł Daryla w stodole. Młody mężczyzna ze zdumieniem spojrział na starego, który pędził na niego niczym szarżujący wspomagający. Quarry rzucił nim o ścianę i przygwoździł gardło przedramieniem.

- Napisałeś coś na jej ramionach?! – ryknął.
- Co?! – wysapał Daryl.
- Napisałeś coś na jej ramionach! Co to ma znaczyć, do licha?!
- Daj mi odetchnąć, to ci powiem.

Quarry cofnął się o krok, popychając go mocno na ścianę. Daryl opowiedział ojcu, co zrobił, ciężko dysząc.

- Dlaczego to zrobiłeś?
- Kiedy zginęła, przestraszyłem się. Pomyślałem, że w ten sposób ich zmylę.
- Głupio postąpiłeś, chłopcze.
- Przykro mi, tato.
- Widzę, przykro ci, jak cholera.
- Nie zdołają tego odczytać.

– Powiedz mi dokładnie, co napisałeś.

Daryl wydarł stronę ze starego katalogu nasion leżącego na stole roboczym i narysował znaki długopisem bic.

Quarry sięgnął po kartkę i przeczytał.

– Widzisz, tato. Uznają to nieskładny bełkot, nie? Wiesz, co to znaczy, prawda?

– Pewnie, że wiem – prychnął. Wyszedł na dwór i spojrzał w niebo. Było jeszcze jasne, choć zachodzące słońce zabarwiło obłoki czerwienią, tak że przypominały rozżarzone kawałki węgla. Nie zauważył, że Daryl za nim poszedł i teraz wpatruje się w jego twarz, czekając na pochwałę za wymyślenie chytrego fortelu. Ponieważ na niego nie spojrzał, nie dowiedział się, że Daryl patrzył na niego takim samym wzrokiem, jakim Quarry wpatrywał się w umierającą matkę.

Potał zapalkę i podpalił kartę, która zamieniła się w czarny obłok. Obserwował odlatujący popiół, poruszany lekkim podmuchem, aż kilka stóp dalej zmieszał się z ziemią.

– W porządku, tato? – zapytał niespokojnie Daryl.

Quarry wskazał czarny popiół.

– To twoja druga wpadka, chłopcze. Jeszcze jedna i będzie po tobie, syn czy nie syn.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

Rodzina Maxwellów, Sean King i duża grupa przybyłych słuchali słów kaznodziei. Duchowny odczytał namaszczone głosem fragmenty Pisma, a następnie odstał na bok, żeby zgromadzeni mogli podejść, dotknąć ozdobionej kwiatami trumny i pożegnać się ze zmarłą. Bracia Michelle podeszli razem, a ich śladem podążyli inni. Później, gdy tłum zaczął się rozchodzić, Frank Maxwell oparł dłonie na trumnie żony i skłonił głowę.

Michelle stała obok Seana, bacznie obserwując ojca. W końcu dotknął oczu dłonią i ze spuszczoną głową przeszedł obok nich, kierując się do samochodu. Michelle poruszyła się, żeby dotknąć jego ramienia, ale w ostatniej sekundzie się powstrzymała.

– Podejdiesz? – zapytał Sean.

– Dokąd?

– Do trumny, żeby się pożegnać.

Michelle spojrzała na mahoniową skrzynię, w której znajdowało się ciało matki. W oddali dostrzegła grabarzy czekających, by opuścić ją pod ziemię. Wkrótce mogło zacząć padać, więc chcieli przystąpić do pracy. Tego dnia zaplanowano także inne pogrzeby. Grzebanie zmarłych wydawało się pełnoetatowym zajęciem.

Michelle Maxwell obawiała się kilku rzeczy i teraz patrzyła na jedną z nich.

– Pójdiesz ze mną?

Sean ujął ją za ramię i ruszyli naprzód. Michelle

oparła dłoń na wieku trumny, dotykając palcami płatków kwiatów.

– Nigdy nie lubiła lilii – wyszeptała.

– Co?

Michelle wskazała kwiaty leżące na wieku.

– Wolą róże. – Kiedy wypowiedziała te słowa, cofnęła palce, jakby coś ją ukłuło.

– Nic ci nie jest?

Spojrzała na swoją dłoń. Nie było na niej żadnego śladu. Nic jej nie ugryzło ani się nie ukłuła. Lilie nie mają kolców.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Nic ci nie jest, Michelle? – zapytał ponownie.

– Sama nie wiem... – Po chwili dodała bardziej stanowczym tonem: – Chodźmy stąd.

W domu było mnóstwo jedzenia. Zjawili się przyjaciele. Poważne rozmowy co jakiś czas przerywały żarty i wybuchu śmiechu. Pośrodku tego wszystkiego znajdował się Frank Maxwell. Siedział na kanapie i patrzył przed siebie. Ludzie, którzy podchodzili, żeby złożyć mu kondolencje, szybko odchodzili, bo mężczyzna zdawał się nie dostrzegać ich obecności.

Sean obserwował Michelle, a ta obserwowała ojca. Kiedy do pokoju weszła grupka ludzi, Frank Maxwell drgnął. Przybrał gniewną minę. Michelle i Sean odwrócili się, żeby zobaczyć, na kogo patrzy. W drzwiach pokoju stali czterej mężczyźni i dwie kobiety. Nieśli półmiski z jedzeniem i rozmawiali. Michelle rozpoznała kilku z

nabożeństwa żałobnego. Odwróciła się w stronę ojca i zaniemówiła.

Frank Maxwell zniknął.

Wymienili spojrzenia z Seanem, który wskazał korytarz prowadzący do głównej sypialni. Później pokazał na siebie i skinął głową w kierunku grupki gości. Michelle mrugnęła porozumiewawczo i ruszyła w kierunku sypialni.

Zapukała do drzwi.

– Czego?!

Ojciec był rozgniewany.

– To ja, tato.

– Wyszedłem na minutkę – odpowiedział nieco spokojniejszym głosem, choć nadal można było wyczuć ukrytą furję.

– Mogę wejść?

Trzydzieści sekund milczenia.

Zapukała ponownie.

– Tato? – zapytała.

– W porządku. Na Boga, wejdź już.

Otworzyła drzwi i zamknęła za sobą. Ojciec siedział na skraju łóżka, trzymając coś na kolanach. Usiadła obok niego i spojrzała w dół.

Ojciec patrzył na ślubne zdjęcie. Rodzice pobrali się jak należy. Huczny kościelny ślub, mama rozpromieniona, w powłóczystej białej sukni, ojciec ostrzyżony na jeża, we fraku, pod krawatem. Zaledwie dwudziestojednoletni, tuż po powrocie z Wietnamu. Był wysoki, opalony i

przystojny, uśmiechnięty i pewny siebie. Sally Maxwell była piękna, nie miała jeszcze dwudziestu lat. Michelle bardzo przypominała matkę, choć w okresie dorastania nie zwracała na to uwagi. Czuła się bliżej związana z ojcem, typowa chłopczyca pragnąca zrobić wrażenie na potężnym, silnym i twardym tacie.

Odebrała mu zdjęcie i odstawiła na nocny stolik.

– Czegoś ci potrzeba?

– Mam dość ludzi, Michelle. Już tam nie wrócę.

– Nie musisz. Ja się tym zajmę. Może powinieneś się zdrzemnąć.

– Taak, racja – odparł lekceważąco.

– Czy twój prawnik się odezwał?

Rzucił jej ostre spojrzenie.

– Co?

– Powiedziałaś, że masz prawnika. Byłam ciekawa, czy już z nim rozmawiałaś.

Potrząsnął głową i spojrzał w dół.

Zaczekała kolejną minutę, ale nic nie odpowiedział. W końcu objęła go i wstała, żeby odejść.

Kiedy ruszyła do drzwi, ojciec coś mruknął. Jego słowa sprawiły, że zamarła z ręką na gałce.

– Myślisz, że ją zabiłem, prawda?

Odwróciła się powoli. Zauważyła, że ponownie trzyma ramkę ze ślubnym zdjęciem, choć nie patrzył na szczęśliwą młodą parę utrwaloną na wieki.

– Myślisz, że ją zabiłem. – Podniósł fotografię, jakby była dowodem przestępstwa.

– Nigdy tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś – prychnął.

– Tato...

Przerwał jej ostro.

– Zjeżdżaj stąd! Ale już!

Uciekła z pokoju.

W końcu goście wyszli, sprzątnięto jedzenie ze stołów i wypłakano wszystkie łzy. Bracia Maxwellowie zebrali się na tylnym podwórku, rozmawiali cicho przy piwie. Frank Maxwell nadal przebywał w sypialni.

Sean i Michelle siedzieli w salonie, obserwując, jak zmierzch stopniowo zamienia się w noc.

– Oskarżył cię, że podejrzewasz go o zamordowanie żony?

Michelle wolno skinęła głową, jakby próbowała objąć tę myśl ramionami.

– Nie mogę mieć o to żalu – powiedziała. – Kto raz był gliną, pozostanie nim do końca życia. Dobrze wie, jak jest. W normalnych okolicznościach byłby podejrzany.

– To prawda. Kiedy żona ginie gwałtowną śmiercią, zwykle winowajcą jest mąż.

– Nie sędzę, aby się kochali.

Sean odstawił puszkę z napojem i spojrzał na nią uważnie.

– Dlaczego?

– Nic głębszego ich nie łączyło, nic oprócz piątki dzieci. Tata zawsze pracował, a mama zawsze była w domu. Kiedy przeszedł na emeryturę, odkryli, że prawie się nie znają. Pamiętasz, jak pojechali na Hawaje, żeby uczcić rocznicę ślubu? Skończyło się na tym, że wrócili przed czasem. Później rozmawiałam o tym z Billem. Tata powiedział mu, że po jednym dniu wyczerpali wszystkie

tematy rozmowy. Nie mieli żadnych wspólnych zainteresowań. Po prostu oddalili się od siebie.

– Czy myśleli o rozwodzie?

– Nie wiem. Nigdy o tym nie wspominali.

– Nie czułaś się bliższa matce, prawda?

– Byłam bliżej związana z tatą, ale wraz z upływem czasu i to osłabło.

– Dlaczego?

– Nie jestem w nastroju do psychoanalizy.

– W porządku, tylko zapytałem.

– Kim byli ludzie, którzy przyszli na chwilę przed ucieczką taty do sypialni?

– Nie znasz żadnego z nich? – zapytał Sean.

– Nie znam przyjaciół rodziców.

– Popytałem tu i tam. To głównie przyjaciele twojej mamy. Grali razem w golfa i karty, chodzili na zakupy. Udzielali się społecznie.

– Nic niezwykłego? Odniosłam wrażenie, że tata nie chciał ich widzieć.

– Nic nie zwróciło mojej uwagi. Wydawali się szczerze zasmuceni jej śmiercią.

Odwrócili się, słysząc dźwięk otwieranych drzwi.

Frank Maxwell przeszedł obok nich i wypadł na dwór, zanim zdążyli się podnieść z kanapy.

Michelle podbiegła do drzwi w samą porę, by zobaczyć, jak jej ojciec wsiada do samochodu i rusza z piskiem opon.

– Co to miało znaczyć, u licha? – zapytał Sean, stając

obok niej.

Michelle tylko pokręciła głową. Spojrzała w stronę korytarza prowadzącego do sypialni.

– Chodź.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyła, było to, że fotografia ślubna nie znajdowała się na swoim miejscu.

Sean spojrział w róg pokoju. Pochylił się i wziął ją do rąk.

– Czemu wyrzucił ślubne zdjęcie do kosza na śmieci?

– Mam bardzo złe przeczucie.

Sean spojrział na zdjęcie.

– Twoja mama nie żyje, a on w dzień pogrzebu wrzuca fotografię ślubną do kosza na śmieci? Co mogło go do tego skłonić?

– Myślisz, że Pam Dutton też wyrzuciła swoje zdjęcie ślubne do kosza?

– Bo Tuck ją zdradzał? Sądzisz, że twoja mama... – Nie potrafił dokończyć zdania w jej obecności.

– Ja tylko... sama nie wiem.

– Jesteś pewna, że chcesz to wyjaśnić?

– Chcę poznać prawdę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Zwykle są jakieś ślady. – Po chwili dodał: – Inne niż zdjęcie ślubne w koszu na śmieci.

Michelle otworzyła szuflady komody, a Sean zaczął sprawdzać w szafie. Kilka minut później Michelle znalazła seksowną bieliznę z metkami, a Sean wyciągnął z szafy trzy nowe ubrania i parę butów z czubkami.

Spojrzeni na siebie, pozostawiając fakty bez komentarza.

Odłożyli rzeczy na miejsce, a Michelle zaprowadziła go do małego gabinetu po drugiej stronie jadalni. W rogu pokoju stało biurko. Zaczęła przeglądać zawartość szuflad. Wyjęła książeczkę czekową i podała Seanowi.

– Mama zajmowała się rachunkami.

Kiedy Sean przeglądał czeki, Michelle metodycznie analizowała obciążenia karty kredytowej.

Kilka minut później podniosła głowę.

– Znalazłam rachunki za męskie ubrania zakupione w czterech firmach internetowych. Na czterysta dolarów. Nie widziałam żadnego w szafie w sypialni.

Sean podniósł książeczkę czekową.

– Mam czek, którym uregulowano należność za bilety na turniej golfa. Czy twój tata grywał w golfa?

– Nie, ale mama grała. Nie ma w tym nic dziwnego.

Sean podniósł kartkę, którą wyjął z biurka.

– To formularz zgłoszeniowy. Bilet kosztował pięćdziesiąt dolarów, ale czek wystawiono na sto.

– Zatem kupiła dwa.

– Michelle, z formularza wynika, że to turniej dla par. Michelle wyrwała mu kartkę, spojrzała i odłożyła na bok.

Sean popatrzył na nią niespokojnie.

– Czy twój ojciec nie mógł się tego dowiedzieć? My odkryliśmy to w ciągu dziesięciu minut.

– Mama wcale się z tym nie kryła. Może było jej to

obojętne? Może jego też to nie obchodziło?

– Twój ojciec nie jest człowiekiem, który dałby się oszukiwać.

– Nie znasz mojego ojca, Sean. – Spojrzała na swoje dłonie. – Może ja też go nie znam.

– Co się tu dzieje?

Podnieśli głowy. Do pokoju wszedł Bill Maxwell. Spojrzał na książeczkę czekową i druk z obciążeniami karty kredytowej.

– Co robisz, Mik?

– Przeglądam rachunki. Wiem, że mama się tym zajmowała. Nie chciałam, żeby tata coś pomieszał.

Wetknęła papiery do szuflady i wstała.

– Tata wyszedł.

– Dokąd pojechał?

– Nie wiem. Nie zapytał mnie o zgodę.

Spojrzała na puszkę piwa w jego dłoni.

– Czy tylko to wam w głowie? Żeby napić się piwa i pogadać?

– Przestań, Mik. Kilka godzin temu pochowaliśmy matkę. Odczep się.

– Jestem pewien, że nie miała tego na myśli, Bill.

– A właśnie, że tak! – odparowała Michelle.

Chwyciła kluczyki i ruszyła w kierunku drzwi. Sean spojrział przepaszająco na Billa i pobiegł za nią.

Dopędził Michelle, kiedy wsiadała do swojego SUV-a.

– Dokąd jedziesz?

- Muszę jeszcze raz pogadać z Donna Rothwell.
- Dlaczego?
- Jeśli mama miała romans, pewnie wie z kim.

Shirley Meyers patrzyła na list, nie wiedząc, co powinna z nim zrobić. Odebrała przesyłki wcześniej, ale dopiero teraz je otworzyła. Przygotowując się do pracy, poświęciła chwilę, by przejrzeć mały plik.

Na kopercie, którą trzymała w ręku, nie było adresu zwrotnego. Kiedy zmrużyła powieki i spojrzała na znaczek, pokręciła głową ze zdumienia. Nie знаła nikogo w Kentucky. Odwróciła kopertę na drugą stronę. Przesyłka nie pochodziła od firmy, nie była też ofertą handlową. Ot, zwykła biała koperta, lekko wybrzuszona na środku. Widać znajdowało się w niej coś oprócz kartki.

Otworzyła kopertę, podważając skrzydełko małym palcem. W środku była kartka papieru i niewielki klucz. Po obejrzeniu klucza, na którym wygrawerowano jakieś cyfry, rozłożyła papier. Napisana na maszynie wiadomość nie była adresowana do niej. Przeczytała, a następnie szybko włożyła ją do koperty razem z kluczem. Przez dłuższą chwilę stała bez ruchu. Tego typu rzeczy nie powinny się zdarzać takim ludziom jak ona.

Nie mogła jednak stać bez końca. Nałożyła płaszcz i wyszła ze swojego małego domu. Pojechała do miasta. Po dotarciu na miejsce spojrzała na zegarek, dumna ze swojej punktualności. Shirley jeszcze nigdy nie spóźniła się do pracy. Tego dnia nie miała ochoty iść do roboty, nie z takim listem w kieszeni. Z drzeniem weszła do środka, mijając bramkę bezpieczeństwa i pozdrawiając skinieniem

głowy mijanych znajomych.

Weszła do kuchni, zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku. Umyła ręce i przystąpiła do przygotowywania jedzenia, bo na tym polegała jej praca. Ukradkiem zerknęła na zegarek, obserwując wchodzących i wychodzących ludzi. Starła się na nich nie patrzeć i pozdrawiała ich skinieniem głowy tylko wtedy, gdy powiedzieli „cześć”. Nie wiedziała, co robić. Każda myśl, która jej przeszła przez głowę, była gorsza od poprzedniej. Czy mogli ją wsadzić do więzienia? Przecież tylko otworzyła list. Tylko czy jej uwierzą? Pomyślała o innej przerażającej możliwości. A jeśli pomyśla, że go ukradła? Nie, nie mogliby, powiedziała sobie. Na kopercie był jej adres, a nie ten, który umieszczono w środku.

Była tak zdenerwowana, że w końcu szef zapytał, co się stało. Początkowo wzbraniała się przed powiedzeniem mu prawdy, ale w końcu stało się jasne, że jeśli komuś o tym nie powie, to się załamie.

Wyciągnęła list z kieszeni i pokazała szefowi. Przeczytał, spojrzał na klucz, a potem zmierzył ją przenikliwym wzrokiem.

– Jasny szlag – wyjęczał.

– List jest zaadresowany do niej – powiedziała Shirley.

– Przecież wiesz, że wszystkie listy, które przychodzą na ten adres, muszą zostać sprawdzone – powiedział karcącym tonem.

– Przecież nie dostarczono go na ten adres, prawda? –

odparła Shirley. – Przyszedł do mojego domu. Żadne prawo nie zabrania mi otwierania własnej korespondencji – dodała buntowniczo.

– Skąd wiedzieli, że powinni przesłać go tobie?

– Nie mam pojęcia! Nie mogę powstrzymać kogoś, kto chce mi coś przesłać.

Mężczyzna nad czymś się zamyślił.

– Czy w kopercie nie było białego proszku?

– Myślisz, że byśmy wtedy ze sobą rozmawiali? Nie jestem głupia, Steve. To zwykły list. List i klucz.

– Mogłaś zatrzeć odciski palców i inne ślady.

– Skąd miałam wiedzieć, co jest w środku? Nie wiedziałam, dopóki nie otworzyłam koperty.

Steve potarł brodę.

– Jest adresowany do niej.

– List, ale nie koperta. Nie mogę go jej dostarczyć. Nie wolno mi. Przecież wiesz, prawda?

– Wiem, wiem – odparł niecierpliwie.

– Co mam z tym zrobić?

Zawahał się, by po chwili zasugerować:

– Iść na policję?

– Przeczytałeś list. Chcesz, żeby ona umarła?

– Cholera! Czemu się w to wplątałem? – Steve westchnął, ścisząc głos, bo do kuchni weszli inni pracownicy. Wyglądał tak, jakby miał ochotę zajrzeć do piwniczki z winami w Białym Domu, aby dodać sobie animuszu. Gdyby to zrobił, miałby ograniczony wybór. Od czasu administracji Forda były tam jedynie

amerykańskie białe wina.

– Trzeba coś z tym zrobić – szepnęła. – Jeśli ktoś się dowie, że dostałam list i nic nie zrobiłam... Nie chcę mieć krwi na rękach. Przenigdy! Teraz ty też wiesz. Musisz coś z tym zrobić.

– Uspokój się. – Steve zastanowił się chwilę. – Zadzwoń – powiedział, wciskając jej kopertę do rąk.

Kilka minut później do kuchni weszła kobieta w czarnej garsonce i poprosiła Shirley, żeby za nią poszła. Weszły do części budynku, w której Shirley nie była nigdy wcześniej. Zaszło jej w ustach na widok ludzi pędzących w różne strony, mężczyzn i kobiet stojących na baczność przy drzwiach oraz facetów w wojskowych mundurach i eleganckich garniturach, biegających z grubymi segregatorami. Wiele razy oglądała ich w telewizji. Ważniacy. Chciała uciec do kuchni i skończyć przygotowywanie półmiska z owocami i serami.

Kiedy dotarli do gabinetu, kobieta odwróciła się do Shirley i powiedziała surowym głosem:

– To bardzo nieodpowiednie.

– Nie widziałam, co robić. Czy Steve pani powiedział? – spytała nerwowo Shirley.

– Tak. Gdzie ten list?

Shirley wyciągnęła kopertę z kieszeni i podała tamtej.

– Niech pani sama przeczyta, proszę pani. Co miałam zrobić? – zapytała.

Kobieta w garsonce położyła kluczyk na biurku i rozłożyła kartkę. Kiedy ją przeczytała, wybałuszyła oczy.

Szybko wsunęła list i klucz do koperty.

– Wróć do pracy i zapomnij, że to widziałaś.

– Tak, proszę pani. Czy pani jej to przekaże?

Kobieta podniosła słuchawkę.

– Nie musisz się tym niepokoić.

Kiedy Shirley wyszła z pokoju, kobieta wprowadziła numer i zaczęła coś cicho mówić. Kilka minut później zjawił się mężczyzna o jeszcze bardziej surowym wzroku. Przyszedł i zabrał kopertę.

Wbiegł szybko po schodach, minął szeroki hol i skręcił w kolejny, by w końcu stanąć u drzwi. Cicho zapukał. Drzwi otworzyła kobieta. Odebrała list i zamknęła, nie zamieniając z nim ani słowa.

Minutę później list znalazł się na jej biurku. Zamknęła drzwi i usiadła samotnie, wpatrując się w białą kopertę.

Jane Cox wyjęła list i przeczytała. Autor wyrażał się zwięźle. Jeśli Jane chce odzyskać Willę Dutton całą i zdrową, nie może nikomu pokazać następnego listu. Jeśli przekaże go policji, nadawca na pewno się o tym dowie. Utrzymawał, że jeśli jego treść stanie się publicznie znana, skutecznie uniemożliwi reelekcję. Oprócz tego będzie to oznaczało wyrok śmierci dla Willi Dutton.

Kilkakrotnie przeczytała najważniejszą część. „Nie chcę zabić dziewczynki, ale zrobię to, jeśli będę musiał. Następny list wyjaśni wiele faktów. W pewnym sensie ujawni wszystko. Jeśli opinia publiczna się o nim dowie, straciecie wszystko. Domyśla się pani, o co mi chodzi. Jeśli

wykona pani polecenia, Willa wróci cała i zdrowa. Jeśli pani tego nie zrobi, dziewczynka zginie, a wszystko będzie stracone. Nie ma innej możliwości”.

Autor informował, że kolejny list zostanie przesłany na wskazaną skrytkę pocztową w Waszyngtonie. W kopercie był klucz, żeby mogła ją otworzyć.

Jane opadła na fotel. Fala lęku, która przeszła jej ciało, niemal ją sparaliżowała. Podniosła słuchawkę, by po chwili odłożyć ją na miejsce.

Nie, nie zadzwoni. Jeszcze nie teraz. Zamknęła list w szufladzie biurka i wsunęła klucz do kieszeni garsonki.

Za dziesięć minut miała przyjąć delegację kobiet pełniących urząd gubernatora i innych pań działających w polityce, które przyjechały do miasta na zamknięte zebranie ścisłego kierownictwa partii w sprawie reformy służby zdrowia. Jane Cox miała wygłosić krótkie przemówienie, starannie przepisane na maszynie i czekające na nią na mównicy we Wschodniej Sali. Robiła takie rzeczy setki razy, prawie zawsze bezbłędnie. Miała w tym dużo doświadczenia. W Białym Domu przyjmowano co tydzień tysiące gości.

Tym razem wiedziała, że będzie potrzebowała całej siły woli, by stanąć na mównicy, otworzyć notatnik i przeczytać kilka słów, które ktoś dla niej przygotował. Kiedy kilka minut później szła korytarzem, otoczona ochroną i pracownikami personelu, nie myślała o reformie lecznictwa. Nie myślała nawet o treści listu.

Gdy bez litości przyparła brata do muru, ten w końcu

wygadał, o co Sean zapytał go przez telefon.

Czy Willa była adoptowanym dzieckiem?

Agent Secret Service chwycił ją za rękę, kiedy potknęła się lekko zamyślona.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

– Tak. Nic mi nie jest. Dziękuję.

Pomaszerowała dalej z godnością przystającą pierwszej damie.

Straszna myśli przeniknęła twardą jak skała zbroję, jakby była z papieru.

Czyżby w końcu dopadła ich przeszłość?

Quarry prowadził, Gabriel siedział w środku, a Daryl z drugiej strony. Furgonetka podskakiwała na wybojach, kołysała się i dudniła, dopóki nie dotarli do twardego asfaltu. Spędzili w polu większą część dnia i byli wykończeni, ale odwołanie wizyty nie wchodziło w grę. Wyruszyli zaraz po obiedzie.

Gabriel wyjrzał przez okno.

– Panie Sam, myślę, że miał pan rację w sprawie Kurta. Musiał się wynieść. Nie zostało po nim ani śladu.

Daryl spojrział na ojca, ale nic nie powiedział.

Quarry też się nie odezwał. Trzymał jedną rękę na kierownicy i patrzył przed siebie, a z czubka jego winstona unosiła się kręta tasiemka dymu. Zajechali na parking szpitala. Kiedy wysiadali, Quarry sięgnął po magnetofon kasetowy leżący na desce rozdzielczej, a następnie zgasił papierosa na chodniku. Ruszyli razem.

Na korytarzu Quarry powiedział:

– Minał szmat czasu, od kiedy ostatnio widziałeś siostrę, Daryl.

Daryl się skrzywił.

– Nie lubię jej oglądać w takim stanie. Nie chcę jej takiej zapamiętać, tato.

– Nie dano jej wyboru w tej sprawie.

– Wiem.

– Może na zewnątrz się zmieniła, ale wewnątrz pozostała twoją siostrą.

Otworzył drzwi i weszli do środka.

Pielegniarki odwróciły Tippi na prawy bok, więc Quarry przysunął krzesła w tamtą stronę. Wyjął z kieszeni książkę Jane Austen i podał Daryłowi.

– Słabo czytam. – Darył westchnął. – Szczególnie takie starocie, tato.

– Postaraj się. To nie konkurs dykcji.

Darył ciężko odetchnął, wziął książkę, usiadł i zaczął czytać. Dukał niepewnie i powoli, ale starał się. Po czterech stronach Quarry mu podziękował i oddał książkę Gabrielowi.

Mały chłopak radził sobie lepiej z czytaniem i przeczytał cały rozdział, starając się oddać charakter postaci poprzez intonację.

– Widzę, że tym razem nie byłeś znudzony, młody człowieku – powiedział Quarry, kiedy mały skończył.

Gabriel spojrzał na niego wyraźnie zmieszany.

– Przeczytałem tę książkę w Atlee. Pomyślałem, że skoro pan i pani Tippi tak ją lubicie, powinienem dać jej jeszcze jedną szansę.

– Jaki jest twój werdykt? – zapytał Quarry z uśmiechem na twarzy.

– Okazała się lepsza, niż sądziłem, ale nadal nie należy do moich ulubionych.

Quarry postawił magnetofon na nocnym stoliku i włączył urządzenie. Podniósł dłoń Tippi i uścisnął, kiedy w pokoju rozległ się głos jego zmarłej żony, matki Tippi. Zwracała się bezpośrednio do córki, okazując jej miłość i

zachętę, mówiąc o swoich nadziejach i uczuciach, którymi ją darzyła.

Pod koniec jej głos osłabł, bo były to ostatnie słowa umierającej Cameron Quarry. Nalegała, żeby Sam nagrał jej słowa, kiedy powoli umierała na swoim łóżku w Atlee.

Jej pożegnalne słowa brzmiały: „Kocham cię, najdroższa Tippi. Mamusia kocha cię z całego serca. Nie mogę się doczekać, kiedy cię ponownie przytulę, maleńka. W ramionach Jezusa staniemy się obie zdrowe i piękne”.

Quarry powtarzał milcząco ostatnie słowa żony, kończąc razem z nią. Wyłączył magnetofon. Kiedy wypowiedziała „Jezus”, wydała ostatnie tchnienie i umarła. Quarry uważał, że była to odpowiednia śmierć dla pobożnej niewiasty. Zamknął jej powieki i złożył dłonie na piersi.

Daryl i Gabriel mieli łzy w oczach. Otarli je, starając się nie patrzeć na siebie.

– Mama była najlepszą z kobiet, jakie żyły na ziemi – powiedział w końcu Daryl przyciszonym głosem, a Quarry przytaknął skinieniem głowy.

Dotknął policzka Tippi.

– A Tippi jest zaraz po niej.

– Amen. – Gabriel skinął głową. – Czy jej stan może się poprawić, panie Sam?

– Nie, synu.

– Chce pan zmówić za nią modlitwę? – Gabriel złożył dłonie, szykując się do ukłęknięcia.

– Jeśli chcesz, możesz się pomodlić, Gabrielu, ale ja tego nie zrobię.

– Mama mówi, że nie wierzy pan w Boga. Dlaczego?

– Bo on przestał wierzyć we mnie, synu.

Wstał i włożył mały magnetofon do kieszeni kurtki.

– Pójdę zapalić. Będę na zewnątrz, w furgonetce.

Quarry siedział w rozklekotanym wozie ze zgaszonym papierosem w suchych ustach. Mimo dziewiątej wieczór żar Alabamy objawił się w całej chwale. Quarry otarł z nosa strużkę potu, słysząc bzyczenie komara obok prawego ucha.

Owad zbytnio mu nie przeszkadzał. Siedział, podziwiając ogon meteoru na niebie i Wielką Niedźwiedzicę stanowiącą tło tego niebiańskiego przedstawienia. Kiedy dobiegło końca, przesunął wzrok na niski budynek z pustaków, który był teraz domem jego córki. Tippi nie miała męża, dzieci ani wnuków. Pozostał jej jedynie obumarły mózg, zmaltretowane ciało i rurka, przez którą ją karmili.

– Schrzańeś robotę, Boże. Nie powinieneś był tego robić. Znam brednie o twoich „niezbadanych wyrokach”. Znam pieprzenie, że „wszystko ma jakiś cel”. Źle to zrobiłeś. Nie jesteś nieomylny. Powinieneś był zostawić w spokoju moją małą dziewczynkę. Nigdy ci tego nie wybaczę. Mam gdzieś, że nie przebaczysz mi tego, co muszę zrobić... – Mówił urywanym, drżącym głosem, by w końcu przerwać. Chciał zapłakać, choćby po to, żeby zmniejszyć wewnętrzne napięcie, by zmniejszyć napięcie

umysłu i duszy, ale łzy nie płynęły z jego oczu. Dusza Sama Quarry'ego najwyraźniej wyschła na wiór, nie pozostała w niej ani jedna kropla wody, którą mógłby z siebie wypłakać.

Kiedy Daryl i Gabriel wsiedli do furgonetki, Quarry wyrzucił przez okno zgaszonego papierosa i w milczeniu ruszył do Atlee.

Po powrocie do domu udał się do biblioteki, usiadł za biurkiem, wzmocnił się łykiem czterdziestodzieścioprocentowej whiskey Old Grand Dad, rozpalił ogień w kominku i wsunął pogrzebacz w płomień. Następnie podwinął rękaw i przytknął żelazo do skóry, robiąc kolejny prostopadły znak na końcu wypalanej linii. Dziesięć sekund później pogrzebacz upadł na dywan, wypalając w nim dziurę, a Quarry osunął się na fotel.

Ciężko dyszał, wpatrując się w usmolony sufit, na którym pozostały ślady jego przodków, przychodzących i odchodzących w ciągu minionych stuleci. Patrzył w sufit i mówił. Większość słów wydawała się pozbawiona sensu, choć dla niego były jasne jak kryształ. Zaczął od wyznania, że żałuje. Gdy wymieniał imiona, jego głos narastał i opadał w dziwnych odstępach. Pociągnął długi łyk grand dad prosto z butelki.

Z jego wnętrza popłynęły kolejne słowa. Całe serce Quarry'ego poszybowało w kierunku sufitu, gdzie Cameron i Tippi trzymały się w ramionach. Widział każdą tak wyraźnie, że chciał wznieść się ku nim i obie

przytulić. Pozwolić im odpłynąć w lepsze miejsce z żałosnego rejonu, w którym się obecnie znajdowały.

Czasami zastanawiał się, co robi. Jeden prosty, pozbawiony wykształcenia człowiek miałby stanąć przeciw całemu światu? Zuchwałe, niewiarygodne i głupie. Wszystko razem. Bez dwóch zdań. Tylko że nie mógł się już zatrzymać. Nie dlatego, że zabrnął za daleko, by zrezygnować. Po prostu nie miał innego wyjścia.

Kiedy zamknął oczy i otworzył je ponownie, żona i córka zniknęły. Ogień w kominku przygasł. Quarry rozpałił tylko tyle, by rozgrzać pogrzebacz. Ponownie spojrzął na ramię i przecinające się linie. Herkules miał swoje prace. Izmael – ogromnego wieloryba. Jezus musiał dźwigać krzyż, a na jego znużonych ramionach spoczywało życie wszystkich.

Sam Quarry miał własny krzyż, który musiał nieść. Bez dwóch zdań. Nie chodziło o akry ziemi Quarrych, które z upływem czasu tak bardzo się skurczyły, czy rozpadający się dom, który nie ujrzy lepszych dni. Nie chodziło jedynie o martwą żonę i nieuleczalnie chorą córkę. Nie chodziło również o historię rodu Quarrych, która była tak obłąkana, że każdy trzeźwo myślący potomek uznałby ją za wstydlivy spadek.

Sam Quarry nie był już taki, jak kiedyś. Nie rozpoznawał samego siebie. Nie tylko z powodu blizn na ramieniu, ale też diabelskiego piętna wypalonego w duszy. Okłamał Gabriela. Może okłamał również samego siebie. Wcale nie był niewierzący. Lękał się Boga. Bał się

go z całego serca i duszy, bo wiedział, że to, co zamierza zrobić, spowoduje, iż nie połączy się z ukochaną żoną i piękną zmartwychwstałą córką, kiedy przyjdzie czas. Ceną za wymierzenie sprawiedliwości będzie wieczne rozdzielanie. To dlatego ciągle na nowo słuchał słów umierającej żony. Dlatego tak często odwiedzał Tippi. Robił to, bo kiedy wszystko się skończy, skończy się naprawdę.

Spojrzał ponownie w sufit i powiedział tak cicho, że ledwie usłyszał własne słowa przez trzask płomieni:

– Wieczność to pieprzone nieskończone trwanie.

Gabriel czmychnął spod zamkniętych drzwi. Przyszedł po kolejną książkę i usłyszał znacznie więcej, niż pragnął. Znacznie więcej, niż mały chłopiec, nawet tak inteligentny jak on, zdołałby pojąć.

Zawsze podziwiał pana Sama. Nie spotkał człowieka, który traktowałby go lepiej niż obecna głowa rodu Quarrych. Mimo to Gabriel uciekł w popłochu do swojego pokoju, zamknął drzwi i wślizgnął się pod kołdrę.

Tej nocy nie zmrużył oka. Miał wrażenie, jakby jęki Sama Quarry'ego przenikały każdy cal kwadratowy Atlee. Czuł, że nie zdoła się od nich uwolnić, że nigdzie nie będzie bezpieczny.

Donna Rothwell powiedziała im, że nie sądzi, aby Sally Maxwell miała z kimś romans. Siedzieli w jej rozległym salonie.

– Uważam, że kalasz pamięć matki, sugerując coś takiego – rzekła ostrym tonem, spoglądając gniewnie na Michelle.

– Ktoś ją zabił – przypomniał Sean.

– Codziennie dochodzi do morderstw. Może zabił ją włamywacz? Może doszło do rabunku?

– Nic nie zginęło.

Donna Rothwell machnęła lekceważąco ręką.

– Pewnie przestraszył się i uciekł.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, obawiała się pani, że morderca grasuje na wolności. Teraz akceptuje to pani bez mrugnięcia okiem – zauważyła Michelle głosem pełnym powątpiewania.

– To miła okolica, ale wszędzie dochodzi do przestępstw. Pewnie, że się bałam, ale to nie oznacza, że nie jestem realistką. Mam dobry alarm. Mieszkają ze mną dwie pokojówki. No i mam Douga.

– Douga?

– To mój przyjaciel. Uważam, że jesteś bardzo niesprawiedliwa wobec matki, oskarżając ją o coś takiego. Szczególnie gdy nie może się bronić.

Sean położył dłoń na ramieniu Michelle. Czuł, że partnerka lada chwila rzuci się na Donnę, a nie byłaby to

wyrównana walka. W tej samej chwili do salonu wszedł mężczyzna z małą torbą precelków.

Był wysportowany i dość wysoki. Miał siwe włosy telewizyjnego prezentera i głęboką opaleniznę. Jednym słowem, przystojny sześćdziesięciolatek.

– To mój przyjaciel, Doug Reagan. Wspomniałam wam o nim – oznajmiła dumnie Donna. – Założył świetnie prosperującą firmę informatyczną. Sprzedał ją cztery lata temu i obecnie wiezie przyjemne życie. Razem ze mną.

– Cóż, istny amerykański sen – powiedziała ironicznie Michelle.

Doug uścisnął im dłonie.

– Przykro mi z powodu Sally – rzekł. – Była piękną kobietą i dobrą przyjaciółką Donny.

– Dziękuję – odparła Michelle.

Doug spojrzał na Donnę i ujął jej dłoń.

– Będzie nam brakowało jej uśmiechniętej twarzy, prawda?

Donna zgmiotła w dłoni chusteczkę i skinęła głową.

– Michelle sądzi, że Sally mogła mieć romans.

– Co?! – Doug spojrzał na nich zaskoczony. – To czysty absurd!

– Skąd ta pewność? – zapytał Sean.

Doug otworzył usta, by natychmiast je zamknąć.

– Co? Ja... – Spojrzał na swoją przyjaciółkę. – Donna by o tym wiedziała. Znałem Sally, ale nie tak dobrze jak Donna. Żyjemy w małej społeczności. Ktoś by przecież wiedział, prawda?

– Właśnie staramy się to ustalić, ale nie zdołamy tego zrobić, jeśli ludzie nie będą mówili prawdy.

– Mówię prawdę! – prychnęła Donna. – Twoja matka nie miała romansu z żadnym mężczyzną, którego bym знаła. Doug wspomniał, że to małe środowisko.

– Mama kupiła bilety na turniej golfa dla par. Ojciec nie gra w golfa.

– Boże drogi! Grała z Dougiem – powiedziała Donna. Sean i Michelle spojrzeli na Douga, który wsunął do ust kawałek precelka.

– Poprosiłaś, żebym z nią zagrał, pamiętasz? Nie miała partnera.

– Tak, przypominam sobie.

– Czemu nie zagrała z tobą? – spytała Michelle. – Przecież grasz w golfa.

– Turniej zorganizowano w celach charytatywnych, ale walka musiała być wyrównana. Mój handicap był zbyt wysoki, żebym mogła się zakwalifikować. Twoja mama świetnie grała w golfa, podobnie jak Doug.

– Nie robię nic więcej – wyznał z uśmiechem Doug. – Uderzam tylko małą piłeczkę tak, by wpadła do małego dołka – dodał szybko. – Gram w golfa i spędzam czas z Donna.

– To mój przyjaciel – powtórzyła tytułem wyjaśnienia Donna.

– Wygląda, że wszyscy powinni marzyć o przejściu na emeryturę – rzuciła z przekąsem Michelle, spoglądając gniewnie na Donnę.

– Słuchaj, jeśli przyszłaś tu, żeby nas obrażać... – zaczęła Rothwell, ale Sean jej przerwał, zanim zdążyła dokończyć.

– To dla wszystkich bardzo stresujący okres. Jesteśmy wdzięczni za pani spostrzeżenia. Musimy już iść.

Zanim Michelle zdążyła zaprotestować, Sean ujął ją pod ramię i wyprowadził na dwór.

Dopiero po chwili zorientowali się, że Doug wyszedł za nimi.

– Naprawdę mi przykro z powodu twojej matki. Bardzo lubiłem Sally. Jak wszyscy.

– Jedna osoba jej nie lubiła – odburknęła Michelle.

– Co! No tak, oczywiście... – Stali na werandzie, między kolumnami w stylu korynckim. Michelle pomyślała, że przypominają ozdobne kraty eleganckiej klatki.

– Czy chciałby nam pan coś powiedzieć? – zapytał Sean.

– To bardzo niezręczna sytuacja – odrzekł Doug.

– Fakt – przytaknęła Michelle. Sean spojrzał na nią znacząco.

– Nie poznałem twojego ojca, ale Sally czasami rozmawiała o nim ze mną i Donna.

– Chce mi pan powiedzieć, że nie byli szczęśliwi? Że moja matka myślała o rozwodzie?

– Nie, absolutnie. Myślę, że Sally była... umiarkowanie szczęśliwa z twoim ojcem. Widzisz...

– Proszę to po prostu powiedzieć.
– Nie sędzę, żeby twój ojciec był z nią szczęśliwy.
Coraz bardziej oddalali się od siebie. Przynajmniej ona tak to ujęła.

Michelle spochmurniała.

Doug spojrział na nią uważnie.

– Też tak sobie pomyślałaś?

– To, co myślę, nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, kto zamordował moją mamę.

– Nie wspominała nam o nikim, kto by ją niepokoił albo prześladował. Prowadziła całkiem normalne życie. Przyjaciele, golf, ogród. Nie słyszałem, żeby w okolicy grasowali jacyś psychopaci.

– Z psychopatami tak już jest. Tych najbardziej pokreconych dostrzegasz dopiero wtedy, gdy wbiją ci nóż w serce – powiedziała Michelle.

Doug wybąkał pospieszne pożegnanie i czmychnął do domu. Sean i Michelle usłyszeli, jak rygluje za sobą zamek.

Kiedy ruszyli do SUV-a, Michelle powiedziała:

– Myślisz, że był to nieudany napad rabunkowy?

– Być może.

Wsiedli do wozu.

– Jesteś głodny? – zapytała. – Znam fajne miejsce w okolicy.

Dziesięć minut później usiedli w małej restauracji i zamówili jedzenie.

– Gliniarze sprawdzili garaż i nie znaleźli żadnego

śladu – powiedział Sean. – Wrota garażu były zamknięte, podobnie jak boczne drzwi prowadzące na podwórko, a jednak morderca zdołał wejść do środka. Zamek był nieskomplikowany.

– Każdy mógł wejść, poczekać na mamę, a następnie zabić i uciec. Ziemia była sucha, nie zostały żadne ślady.

– Z boku garażu jest ogrodzenie zasłaniające podwórko przed spojrzzeniami ciekawskich. Mógł się za nim ukryć.

– Lekarz sądowy powiedział, że do zgonu doszło pomiędzy dwudziestą i dwudziestą pierwszą. Sądziś, że ktoś mógł coś zobaczyć? Może usłyszano krzyk, kiedy mama została zaatakowana?

Sean się zamyślił.

– Hałas dochodzący z przyjęcia nad basenem stłumiłby takie odgłosy. – Po chwili dodał: – Zakładam, że wszyscy zostali przesłuchani? Mam na myśli gości obecnych na przyjęciu.

– Tak mi się wydaje. – Spojrzała na niego uważnie. – Czemu spytałeś? O czym myślisz?

– Gdybym chciał ją zamordować, postarałbym się o zaproszenie na przyjęcie, a później wyślizgnął się niepostrzeżenie, zabił i wrócił.

– Też tak pomyślałam, ale sprawca musiałby wiedzieć, że mama zamierza wyjść i będzie o tej porze w garażu.

– Niekoniecznie. Mógł wejść bocznymi drzwiami do garażu, planując dostać się do domu. Twoja mama zeszła i

oszczędziła mu kłopotu.

– To byłoby ryzykowne, Sean. W domu znajdował się ojciec. Był emerytowanym policjantem, trzymał w sypialni pistolet. Donna wspomniała, że to mała społeczność. Ludzie z pewnością o tym wiedzieli.

Sean rozsiadł się na krześle, pogrążony w zadumie. Kiedy na stoliku pojawiły się potrawy, zaczęli jeść w milczeniu.

– Mogę cię poprosić o przysługę? – zapytała, gdy wychodzili.

– Prosić zawsze można – odparł z uśmiechem.

Następne słowa sprawiły, że z jego twarzy zniknął uśmiech.

– Kiedy byłam małą dziewczynką, mieszkaliśmy dwie godziny na południe stąd, w małej wiejskiej miejscinie w Tennessee. Chcę tam zajrzeć. Muszę tam natychmiast pojechać.

Opony SUV-a zgrzytnęły na żwirze, gdy zjechali z głównej drogi. Sean prowadził, słuchając precyzyjnych wskazówek Michelle.

– Kiedy tu ostatnio byłaś? – zapytał.

Patrzyła przed siebie. Oprócz reflektorów drogę oświetlał jedynie sierp księżyca.

– Jako dziecko.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Skoro byłaś tu tak dawno, jak to możliwe, że pamiętasz drogę? Sprawdziłaś?

– Nie... po prostu wiem. Nie mam pojęcia w jaki sposób.

Przyjrzał się jej uważnie, marszcząc brwi. Na twarzy Michelle pojawiła się dziwna mieszanka emocji. Wiedział, że dużo sobie obiecuje po tej wizycie i boi się, a lęk nie był dla niej typowy.

Jechali mroczną ulicą, mijając domy, które były nowe sześćdziesiąt lat temu. Dziś zaczynały się rozpadać, przednie werandy odchylały się od pionu, a ogrody zamieniły się w chaotyczną plątaninę chwastów, chorych drzew i zarośli.

– Bywało tu lepiej – zauważyła.

– Na to wygląda – odpowiedział cicho. – Który to?

Wskazała przed siebie.

– Tamten. Stary farmerski dom, jedyny na tej ulicy. Stoi w pewnym oddaleniu od innych.

Sean skręcił i stanął przed drzwiami.

– Nie wygląda na zamieszkanie – stwierdził.

Nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby wysiąść.

– Co teraz? – spytał w końcu.

– Nie wiem.

– Chcesz wysiąść i rozejrzeć się? Przejechaliśmy kawał drogi.

Zawahała się.

– Chyba tak.

Ruszyli zaniedbaną ścieżką. Dom znajdował się w znacznej odległości od ulicy. Zauważyli starą oponę na końcu zbutwiałej liny przywiązanej do konaru usychającego dębu. Stary pozbawiony kół samochód stał na betonowych ceglach z boku podwórka. Drzwi z siatką na owady leżały na zapadniętej werandzie.

W pewnej chwili Michelle stanęła i spojrzała na resztki jakiegoś krzewu. Przycięto go tak mocno, że pozostały jedynie kikuty. Za nim ciągnął się cały szereg podobnych.

– Tutaj rósł żywopłot – wyjaśniła Michelle. – Zapomniałam już jaki. Pewnego dnia obudziliśmy się i odkryliśmy, że żywopłot zniknął. Tata zasadził go na którąś rocznicę ślubu. Kiedy go przycięto, nigdy nie odrósł. Myślę, że sprawca połał krzaki środkiem chwastobójczym albo czymś w tym rodzaju.

– Dowiedzieliście się, kto to zrobił?

Pokręciła głową, nie zatrzymując się. Przystąpili do drzwi z siatką na owady, a Michelle przekręciła gałkę i

pchnęła drzwi frontowe, otworzyły się bez trudu.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– Przejechaliśmy kawał drogi. Wątpię, czy kiedykolwiek tu wrócę.

Weszli do środka. Dom był pusty i brudny.

Sean zabrał latarkę z SUV-a i omiółł wnętrze snopem światła. Ujrzeni stare koce, opakowania po żywności, puste puszki piwa i kilkanaście zużytych prezerwatyw.

– Nie jest to widok z pamiętnika – mruknęła, rozglądając się dookoła.

– Tak to już bywa z podrózkami szlakiem wspomnień. Rzeczywistość rzadko im dorównuje.

Spojrzała w kierunku schodów.

Podążył za jej wzrokiem.

– Gdzie była twoja sypialnia?

– Druga z prawej.

– Chcesz zajrzeć?

– Może później.

Obeszli pomieszczenia na parterze, natrafiając na kolejne śmieci i zbutwiałe szczątki. Sean zauważył, że Michelle nie zwróciła uwagi na żaden szczegół. Pchnęła tylne drzwi i wyszła na zewnątrz. Ujrzeni kolejne śmieci i wrak samochodu na bocznym podwórku. Przechylony garaż na jeden samochód z uniesionymi drzwiami odsłaniał znajdującą się w środku stertę śmieci.

Wszystko razem wyglądało przygnębiająco. Sean, który ledwie mógł wytrzymać tak ponurą atmosferę, nie miał pojęcia, czemu Michelle nie uciekła z głośnym

krzykiem.

– Czego szukamy? – zapytał.

Michelle usiadła na tylnej werandzie. Sean stanął obok niej.

– Czy zdarzyło ci się wrócić do miejsca, w którym dorastałeś?

– Raz – odpowiedział.

– I?

– Bez wielkich objawień. Zauważyłem, że wszystko było znacznie mniejsze, niż zapamiętałem, co ma sens, bo teraz jestem większy. Rzuciłem okiem na dom i pojechałem dalej.

– Chciałabym móc to zrobić. Zobaczyć dom i pojechać dalej.

– W takim razie jedźmy. – Sięgnął do kieszeni, wyjmując kluczyki SUV-a i rzucając Michelle. – Możesz prowadzić.

Kiedy wracali korytarzem, stanęła przy schodach.

– Michelle, nie musisz się tym katować.

Ruszyła w górę po stopniach.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – spytał.

– Nie – odpowiedziała, idąc dalej.

Weszli na szeroki podest i stanęli. Na piętrze było czworo drzwi, po dwoje z każdej strony.

– Drugie z prawej były twoje? – spytał, wskazując głową.

Przytaknęła.

Sean ruszył naprzód, by otworzyć drzwi, ale go

powstrzymała.

– Nie!

Cofnął się, spoglądając na nią zdumiony.

– Może powinniśmy stąd odejść.

Skinęła głową, ale gdy zaczął schodzić, odwróciła się gwałtownie, chwyciła gałkę drugich drzwi i otworzyła.

Krzyknęła, widząc wpatrującego się w nią mężczyznę.

Odepchnął Michelle, przebiegł obok Seana, tupiąc na schodach, i wypadł na zewnątrz.

Michelle dygotała tak gwałtownie, że Sean zrezygnował z gonienia faceta. Podbiegł do przyjaciółki i ją przytulił. Kiedy się uspokoiła, odsunął ją od siebie. Spojrzeli sobie w oczy z tym samym milczącym pytaniem.

Sean wypowiedział je pierwszy:

– Co tu, u licha, robił twój ojciec?

Air Force One zadudnił kołami na pasie lotniska bazy sił powietrznych Andrews. Silniki boeinga 747 przestawiono na ciąg wsteczny. Prezydent siedział w przedniej części maszyny, w apartamencie, gdzie znajdowały się dwie kozetki, łazienka i trener eliptyczny. Chwilę później zgodnie ze standardową procedurą nadleciał helikopter Marine One. Tuż przed północą koła prezydenckiego helikoptera dotknęły trawnika przed Białym Domem.

Dan Cox zszedł energicznie po stopniach maszyny, gotów rozpocząć nowy dzień, zamiast go zakończyć. Podczas kampanii tak już bywało. Wielokrotnie pozbawiał tchu znacznie młodszych współpracowników, dyszących ze zmęczenia i pochłaniających ogromne ilości kawy, kiedy latali ze stanu do stanu. Dreszczyk emocji związany z rywalizacją dostarczał mu takiej ilości adrenaliny, że mógł pracować bez końca. Oprócz tego pełnieniu urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych towarzyszyło uczucie euforii, którego nie mogło zapewnić żadne inne zajęcie na świecie. To tak jakby być jednocześnie gwiazdą rocka, sławnym aktorem i ikoną sportu – doznanie najbliższe byciu bogiem na ziemi.

Tej nocy prezydent poruszał się jak zawsze w ochronnej bańce, którą agenci Secret Service nazywali „paczką”, złożonej z pracowników personelu wysokiego szczebla, osobistej ochrony i kilku nielicznych

szczęściarzy z mediów. Kiedy zbliżył się do rezydencji, współpracownicy i reporterzy zostali w tyle, a przy Coksie pozostała tylko jedna wyższa urzędniczka jego administracji i jeden agent ochrony.

Przed przywódcą wolnego świata otwierały się wszystkie drzwi, gdy wchodził do Białego Domu, jakby był jego właścicielem, co nieoficjalnie miało miejsce. Chociaż rezydencję finansowali amerykańscy podatnicy, był to jego dom, jego helikopter i jego jumbo jet. Nikt nie mógł mu złożyć wizyty ani wyruszyć w podróż, jeśli nie wyraził na to zgody.

Asystentka udała się do swojego biura, a prezydent ruszył w kierunku prywatnych pokoiów pierwszej rodziny, pozostawiając za sobą obstawę Secret Service. Był tu w prawdziwej bańce ochronnej, otoczony bezpiecznymi murami rezydencji przy Pennsylvania Avenue 1600. Gdyby Secret Service mogła postawić na swoim, prezydent nigdy nie opuściłby tego domu – do czasu, aż jego kadencja wygaśnie albo wyborcy przekażą urząd komuś innemu. Ponieważ Cox był prezydentem wybranym przez naród, musiał się bratać z obywatelami, choć jego ochrona dostawała od tego wrzodów żołądka.

Dan Cox zdjął marynarkę, wcisnął mały guzik na stole i po chwili pojawił się steward. Cox wydał dyspozycję i minutę później dostał szklanekę z dżinem, tonikiem, kostkami lodu i dwoma plasterkami limonki. Miły przywilej płynący z wykonywania tej roboty. Prezydent mógł otrzymać wszystko, czego sobie zażyczył,

o każdej porze dnia i nocy. Kiedy steward odszedł, Cox podreptał do swojej małżonki, która siedziała na kanapie, przeglądając jakiś magazyn i udając zrelaksowaną.

– Widziałaś ostatnie sondaże? – zapytał triumfalnie.

Skinęła głową.

– Czeka nas jeszcze długa droga. Wyniki sondażowe mają skłonność do spadków.

– Wiem, że jeszcze za wcześnie na świętowanie, ale bądźmy szczerzy, mój rywal zostaje daleko w tyle.

– Nie bądź nadmiernie pewny siebie – zganiała męża Jane.

Podniósł kieliszek z ciętego kryształu.

– Masz ochotę na drinka?

– Nie, dziękuję.

Wsunął do ust kilka migdałów.

– Czy pamiętasz, abym kiedyś był zbyt pewny siebie lub przegrał wybory?

Pocałowała go w policzek.

– Kiedyś zawsze jest pierwszy raz.

– Chcą jeszcze trzech debat. Osobiście skłaniam się do dwóch.

– Powinieneś wystąpić tylko w jednej.

– Dlaczego? Graham nie należy do najmocniejszych oponentów.

– Wyraziłeś się zbyt oględnie, Danny. Graham jest nie tylko marnym dyskutantem, facet jest przeciętny w każdej dziedzinie. Amerykanom wystarczy jedna debata, aby się zorientować, jaki jest beznadziejny. Po co miałbyś

marnować czas? Nie musisz dawać mu trzech okazji, by wyborcy zmienili zdanie albo by wzniósł się na twój poziom. Spójrzmy prawdzie w oczy, kochanie. Wszyscy jesteśmy ludźmi, a ludzie popełniają błędy. Czemu miałbyś się narażać na taką presję? Dzięki tej strategii Graham może tylko zyskać, a ty tylko stracić. Opozycja wie, że będzie miała okazję za cztery lata, kiedy twoja kadencja dobiegnie końca. Liczą, że do tego czasu uda im się znaleźć młodego łebskiego byczka z prawdziwymi pomysłami i że powiększą podstawowy elektorat, aby móc sięgnąć po Biały Dom. Graham to tymczasowy zapchajdziura.

Uśmiechnął się i podniósł drinka z wyrazem uznania.

– Wiesz, czemu nie mam zespołu do opracowania strategii kampanii? Bo go nie potrzebuję. Wystarczy, że zapytam cię o zdanie.

– Przeżyłeś wiele bojów i wiele się nauczyłeś.

– Słuchaj, kiedy moja kadencja dobiegnie końca, mogłabyś wystartować w wyborach – zauważył żartobliwie. – Dzięki tobie Coxowie mogliby pozostać w Białym Domu kolejnych osiem lat.

– Biały Dom to przyjemne miejsce, ale szczerze mówiąc, nie chciałabym tu mieszkać.

Dan Cox zrobił taką minę, jakby coś sobie przypomniał. Odstawił drinka i objął ją ramieniem.

– Coś nowego w sprawie Willi? – spytał.

– Nie.

– Słynne FBI prowadzi sprawę i nic? Pogonię

Munsona jutro z samego rana. To niedopuszczalne.

– Dziwię się, że ktoś porwał Willę.

Przytulił ją mocniej.

– Jesteś bardzo inteligentna, więc z pewnością o tym pomyślałaś. Porwanie Willi może mieć związek z nami. Będą próbowali nas zranić, wyrządzić krzywdę temu krajowi, wykorzystując do tego celu małą dziewczynkę.

Ujęła jego ramię.

– A jeśli czegoś zażądają? Jeśli będą chcieli coś w zamian za jej uwolnienie?

Dan Cox puścił żonę, wstał i zaczął chodzić po pokoju. Nadal był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Gdy obserwowała, jak przemierza salon tam i z powrotem, zwróciła uwagę na mocne ramiona, piękne włosy, kształtną brodę, kości policzkowe i błysk w oczach. Pod względem fizycznym przypominał połączenie JFK i Reagana, z domieszką onieśmielającej ocieężałości przysadzistego Theodore'a Roosevelta.

Zakochała się w Danie, gdy ujrzała go na kampusie college'u w piękny jesienny dzień. Był na przedostatnim roku, a ona dopiero rozpoczynała studia. Tamte czasy wydawały się odległe o milion lat i pod wieloma względami faktycznie takie były. Studenckie życie dawno minęło. Z najwyższym trudem mogłaby uznać tamte wczesne lata za część własnej historii, bo później tak wiele się wydarzyło.

– To zależy, czego będą chcieli, Jane. Kodów do pocisków jądrowych? Nie mogę tego zrobić. Jednego z

dokumentów założycielskich Stanów Zjednoczonych? Tego też nie dostaną. Szczerze mówiąc, prezydent nie może ulegać żadnemu szantażowi. Stworzyłby przez to precedens dla przyszłych administracji, a to osłabiłoby urząd.

– Chcesz powiedzieć, że już nigdy nie ujrzymy Willi? Usiadł obok, kładąc dłoń na jej kolanie.

– Chcę powiedzieć, że zrobimy wszystko, aby Willa wróciła do nas cała i zdrowa. Trzeba myśleć pozytywnie. Mamy za sobą całą potęgę Stanów Zjednoczonych. To nie byle co.

– Będziesz jutro na pogrzebie?

Skinął głową.

– Oczywiście. Mam wiec w Michigan, ale zdążę wrócić. Air Force One nie musi na nikogo czekać. W takich chwilach rodzina powinna trzymać się razem. Nie będę prostacki, ale pozwolę, by ludzie dowiedzieli się, że w chwilach kryzysu Coxowie stawiają rodzinę na pierwszym miejscu. Zresztą taka jest prawda.

Odłożyła magazyn.

– Widzę, że nadal funkcjonujesz w trybie wyborczym. Jest późno, ale nie chce mi się spać. Może obejrzymy jakiś film? Warner Brothers przesłali jedną z ostatnich produkcji. Chyba jeszcze nie trafił na ekrany kin.

Dopił drinka, wstał i wyciągnął dłonie.

– Nie mam ochoty na film. Stęskniłem się za tobą, kochanie.

Posłał Jane ten sam zapierający dech w piersi uśmiech, jaki podarował jej ponad dwadzieścia lat temu, gdy była studentką pierwszego roku college'u. Wstała posłusznie i poszła za nim do sypialni. Zamknął za nimi drzwi. Zdjął krawat, buty i ściągnął spodnie. Jane zdjęła sukienkę i rozpięła stanik. Położyła się na łóżku, a on na niej. Później nastąpiła intymna chwila niezwykle rzadka w życiu pierwszej rodziny. Kiedy się na niej poruszał, a ona jęczała mu do ucha, przyszło jej do głowy, że kochanie się z mężem było jedyną prywatną rzeczą, która jej pozostała.

Gdy skończył, opadł zmęczony obok niej, pocałował ją na dobranoc i zasnął. Air Force One miał czekać jutro z samego rana, bo nawet nieustrudzony Dan Cox potrzebował kilku godzin odpoczynku, zanim ponownie wyruszy w drogę.

Kiedy kochali się w tym łóżku pierwszy raz, Jane zaczęła chichotać. Świeżo zaprzysiężony prezydent pomyślał, że wesołość żony była spowodowana jego brakami w sztuce miłosnej. Kiedy mu jednak wyjaśniła, co ją rozbawiło, zaczął chichotać razem z nią.

– Nie mogę uwierzyć, że dmucha mnie prezydent Stanów Zjednoczonych.

Jane poleżała pół godziny, a następnie wstała, wzięła prysznic, ubrała się i zaskoczyła agentów Secret Service pojawieniem się na tylnych schodach. Otworzyła drzwi gabinetu, zamknęła za sobą, otworzyła szufladę biurka, a następnie wyjęła list i klucz.

Kiedy otrzyma kolejny? Co w nim będzie? I co

wówczas zrobi?

Spojrzała na zegarek. Późno, ale była przecież pierwszą damą.

Zadzwoiła i obudziła go.

– Jane? – spytał zaspanym głosem Sean King.

– Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze. Będiesz na pogrzebie? – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Jak na ironię niedawno byłem na pogrzebie.

– Co?

– To długa historia. Taak, planuję przyjechać.

– Tuck powiedział mi, że dzwoniłeś.

– Czy wspomniał ci również, o czym rozmawialiśmy?

– Popełniłam błąd, Sean. Przepraszam. Powinniśmy od początku być z tobą szczerzy.

– To prawda.

– Martwiłam się, że...

– Że twój brat zdradza żonę? – podsunął uczynnie.

– To rzuciłoby złe światło na mojego męża, który ubiega się o reelekcję.

– A na to nie mogliśmy sobie pozwolić, prawda?

– Proszę, nie bądź cyniczny. Nie jest nam to potrzebne.

– Twoja troska okazała się usprawiedliwiona, ale musiałem wykonać zbędny objazd. Nie stać nas na marnowanie czasu.

– Sądzisz, że nie ma to żadnego związku ze

zniknięciem Willi?

– Czy mam absolutną pewność? Nie, choć instynkt zawodowy podpowiada mi, że go nie ma.

– Co dalej?

– Opowiedz mi o Willi.

– To znaczy?

– Pam urodziła tylko dwójkę dzieci, za każdym razem przez cesarskie cięcie.

Jane poczuła, że jej krew zamienia się w lód.

– Pam miała troje dzieci, przecież wiesz.

– W porządku, ale nie urodziła trojga. Potwierdziła to sekcja zwłok. Powiedziałem o tym Tuckowi. Sądziłem, że ci powtórzył.

Oczywiście, że Tuck jej powiedział, ale nie miała zamiaru ujawniać tego faktu Seanowi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jedno z dzieci nie było naturalnym dzieckiem Pam.

Czy Tuck miał je z inną kobietą? Czy jest nim Willa?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie mogę czy nie odpowiem?

– Jakie to ma znaczenie?

Sean usiadł na hotelowym łóżku.

– Pytasz serio? Tak, ma znaczenie, bo jeśli Willa nie jest naturalną córką Pam, jej prawdziwa mama albo tata mogą stać za porwaniem.

– Willa ma dwanaście lat. Czemu mieliby czekać tak długo?

– Też nad tym myślałem, ale nie znalazłem

odpowiedzi, a muszę ją poznać, jeśli mamy rozwikłać tę zagadkę i odnaleźć Willę. Możesz mi pomóc?

– Nic o tym nie wiem.

– Cóż, jeśli Willa jest córką Pam, kilkanaście lat temu musiała być z nią w ciąży. Była?

– Ja... ona... Teraz sobie przypominam. Tuck i Pam nie mieszkali wtedy w Stanach. Przeprowadzili się do Włoch. Z powodu pracy Tucka. Tak, wrócili do kraju wkrótce po urodzeniu Willi.

Sean oparł się o wezglowie.

– Wygodny zbieg okoliczności. Zatem nie wiesz, czy była w ciąży? Nie widziałaś zdjęć? Mamy i niemowlęcia w szpitalu? Nie było prezentów dla nowego dziecka? Nie odwiedziliście ich we Włoszech?

– Znowu jesteś cyniczny – stwierdziła chłodno.

– Nie, tylko taktownie sonduję sytuację.

– W porządku, przyznaję, nie mogę twierdzić z całą pewnością, że Willa jest córką Pam. Zawsze byłam przekonana, że tak jest. Pozwól, że tak to ujmę: nigdy nie miałam najmniejszego powodu, by w to wątpić.

– Jeśli coś przede mną ukrywasz, prędzej czy później się dowiem, a rezultaty mogą ci się nie podobać.

– Czy to groźba?

– Przecież wiesz, że grożenie członkom pierwszej rodziny jest ciężkim przestępstwem. Jestem jednym z dobrych facetów. Do zobaczenia na pogrzebie, pani Cox.

Odłożył słuchawkę.

Jane zamknęła list i klucz w szufladzie biurka, a

następnie wróciła do prywatnych pokoi. Rozebrała się i wślizgnęła do łóżka, słysząc ciche chrapanie małżonka. Dan nigdy nie miał problemu z zaśnięciem. Nawet jeśli pracował przy telefonie do wczesnych godzin rannych, dyskutując o otepiających sprawach wagi państwowej. Kiedy odłożył słuchawkę i umył zęby, potrafił zasnąć w pięć minut. Jej zajmowało to wiele godzin, jeśli w ogóle się udawało.

Położyła się na boku, spojrzała na ścianę i wyobraziła sobie Willę. Dziecko wzywało ją do siebie. Błagało.

Pomóż mi, ciociu Jane. Uratuj mnie. Potrzebuję cię.

- Co się stało, Gabrielu? Kiepsko wyglądasz.

Quarry spojrział na chłopca siedzącego po drugiej stronie stołu kuchennego.

– Od kilku dni źle sypiam, panie Samie – odpowiedział żałośnie.

– Dzieci zwykle dobrze sypiają. Coś cię gnębi?

– To nic ważnego – odpowiedział chłopak, nie patrząc mu w oczy. – Wszystko będzie dobrze.

– Idziesz dziś do szkoły? – zapytał Quarry, przyglądając się uważnie Gabrielowi. – Bo jeśli masz zamiar pójść, to za chwilę przegapisz autobus.

– Nie. Dziś jest dzień nauczyciela. Pomogę mamie, popracuję w polu, a później trochę poczytam.

– Muszę pomówić z twoją mamą, kiedy wrócę z miasta.

– O czym?

– To osobista sprawa.

Gabriel spochmurniał.

– Nie zrobiłem nic złego, prawda?

Quarry uśmiechnął się do niego.

– Myślisz, że cały świat kręci się wokół ciebie? Nie, chodzi o sprawy zawodowe. Będę rad, jeśli znajdziesz czas na sprzątnięcie stołu roboczego w stodole. Wyrzucić wszystko, co zardzewiało, a dam ci kolejny znaczek.

Gabriel uśmiechnął się.

– Dziękuję, panie Sam. Dzięki panu będę miał

wspaniały zbiór. Sprawdziłem jeden z pana znaczków w szkolnym komputerze. Na eBayu.

– A cóż to takiego?

– Taka strona, na której można kupować i sprzedawać różne rzeczy. Jak sklep internetowy.

Quarry spojrzał na niego z lekkim zaciekawieniem.

– Mów dalej.

– Jeden ze znaczków, które pan mi dał, jest wart czterdzieści dolarów!

– Jasny gwint! Zamierzasz go sprzedać?

Gabriel sprawiał wrażenie zaszokowanego.

– Panie Sam, nie sprzedam niczego, co od pana dostałem.

– Udzielę ci drobnej rady, młodzieńcze. Kolekcja znaczków pomoże ci sfinansować studia. Jak sądzisz, czemu ci je podarowałem? Albo stare monety?

Gabriel spojrzał na niego zdumionym wzrokiem.

– Nigdy o tym nie pomyślałem.

– Widzisz, twój mózg nie jest taki wielki, jak ci się zdawało.

– Chyba tak. – Kiedy coś zjedli, chłopak zauważył: – Często pan lata do starej kopalni.

Sam uśmiechnął się do niego.

– Szukam diamentów.

– W kopalni? – zapytał przenikliwie Gabriel. – Sądziłem, że wszystkie kopalnie diamentów są w Afryce.

– Może mamy trochę diamentów tutaj, w Alabamie.

– Mógłby pan zabrać mnie kiedyś z sobą?

– Synku, przecież już tam ze mną byłeś. Nie ma tam nic prócz wielkiej dziury w ziemi.

– Chodziło mi o przejażdżkę samolotem. Zawsze jeździliśmy samochodem.

– Bo nie chciałeś latać. Do licha, za każdym razem, gdy widziałeś, jak startuję, ze strachu chowałeś się w mysią dziurę.

Gabriel uśmiechnął się słabo.

– Muszę przewyciężyć strach. Jeśli chcę zobaczyć świat, wytknąć nos poza Alabamę, muszę przywyknąć do samolotów, prawda?

Quarry uśmiechnął się, słysząc logiczną argumentację chłopca.

– Taak, całkiem słuszna obserwacja.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy będzie pan leciał. Teraz wezmę się do roboty.

– Dobrze.

Gabriel umieścił talerze w zlewie i czmychnął z kuchni.

Idąc do stodoły, gorączkowo myślał. Myślał o tym, co usłyszał ostatniej nocy, kiedy pan Sam siedział pijany w bibliotece. Usłyszał jakieś imię, Willow, czy coś w tym rodzaju. Słyszał też, jak pan Sam mówił „węgiel”, a przynajmniej tak mu się zdawało. Skojarzył je z kopalnią.

Nie zapytał pana Sama wprost, bo wydałoby się, że podsłuchiwał, choć zaszedł tylko po nową książkę. Pan Sam musiał być smutny z jakiegoś powodu, tłumaczył sobie Gabriel, sprzątając stół roboczy w stodole. Któregoś

dnia, gdy Quarry podwinął rękawy, by pomóc w zmywaniu naczyń, Gabriel dostrzegł dziwne blizny po oparzeniach na przedramieniu. To również go zdziwiło.

Kiedy indziej podsłuchał rozmowę Daryla i Carlosa, gdy pewnej nocy czyścili karabiny w pomieszczeniu z bronią. Ich słowa nie miały większego sensu. Gadali o Kurcie. Kiedy Gabriel wszedł do pokoju, natychmiast zamilkli, a później pokazali mu, jak w pięćdziesiąt sekund rozłożyć i złożyć pistolet. Czemu codziennie jeździli do kopalni? I czemu Carlos, a czasami Daryl zostawali tam na noc? Co się działo w kopalni? Gabriel nie sądził, żeby chodziło o diamenty.

Parę razy wstał na tyle wcześnie, by zobaczyć, jak pan Sam schodzi do piwnicy z dużym pękiem kluczy. Raz poszedł za nim na sam dół. Serce waliło mu tak głośno, że był pewny, że pan Sam je usłyszy. Obserwował, jak mężczyzna otwiera drzwi do długiego korytarza zalatującego stęchlizną. Mama powiedziała mu, że przodkowie Quarry'ego trzymali tam krnąbrnych niewolników. Początkowo chłopak w to nie uwierzył i spytał pana Sama. Quarry potwierdził słowa jego matki.

– Czy pana rodzina miała niewolników, panie Sam? – spytał go któregoś dnia, gdy szli polami.

– W dawnych czasach wszyscy w tej okolicy mieli niewolników. Atlee było plantacją bawełny. Trzeba było ludzi, żeby ją uprawiać. Dużo ludzi.

– Dlaczego zwyczajnie im nie płacili? Przecież nie musieli ich traktować jak niewolników.

– Chyba robili to z chciwości. Można zarobić znacznie więcej, jeśli nie trzeba płacić robotnikom. Oprócz tego uważali się za członków wyższej rasy.

Gabriel wetknął dłonie do kieszeni i powiedział:

– To wstyd!

– Zbyt wielu ludzi sądziło, że mogą robić, co im się podoba, że mogą bezkarnie krzywdzić bliźnich.

Nie tłumaczyło to jednak, czemu pan Sam chodził do cuchnącej piwnicy, gdzie kiedyś trzymano niewolników. Nie było wątpliwości, że w Atlee działy się dziwne rzeczy. Z drugiej strony ta posiadłość była domem Gabriela. On i jego mama nie mieli innego, więc nie był to jego interes. Jednak ciągle do tego wracał, bo ciekawość nie dawała mu spokoju. Ogromna ciekawość. Bo Gabriel taki już był.

Quarry zatrzymał furgonetkę przed przyczepą Freda i zatrąbił. Po chwili Indianin ukazał się w drzwiach z kupnym papierosem w jednej i papierową torbą w drugiej dłoni. Na głowę zatknął stary słomkowy kapelusz poplamiony potem. Na grzbiet narzucił sztruksową kurtkę. Oprócz tego miał na sobie wypłowiałe dzinsy i buty zniszczone przez słońce i deszcz. Jego czyste lśniące białe włosy sięgały ramion.

– Wzięłeś dokumenty? – spytał Quarry, wychylając się przez okno.

Fred wsiadł do samochodu i wyciągnął portfel, a właściwie dwa kawałki skóry połączone gumowymi opaskami, by pokazać dowód tożsamości.

– Biały człowiek ma oko na prawdziwych Amerykanów.

Twarz Quarry'ego wykrzywiła się w uśmiechu.

– Mam dla ciebie nowinę, kowboju. Poczciwy Wuj Sam nie ogranicza się do obserwowania takich gości jak ty. Ma na oku nas wszystkich. Prawdziwych Amerykanów jak ty i gości, którzy tylko dzierżawią tę ziemię, jak ja.

Fred wyciągnął butelkę piwa z papierowej torby.

– Cholera, nie mogłeś z tym poczekać, aż załatwimy sprawę? – spytał Quarry. – Wolałbym nie oglądać twojej zmarnowanej wątroby – dodał.

– Moja matka żyła dziewięćdziesiąt osiem lat – odparł Fred, pociągając duży łyk i wsuwając flaszkę do

torby.

– Taak? Gwarantuję ci, że nie dożyjesz tego wieku. Nie masz ubezpieczenia zdrowotnego. Ja też nie. Mówią, że szpitale muszą leczyć wszystkich, ale nie dodają kiedy. Kilka razy leżałem w poczekalni szpitala hrabstwa z tak wysoką gorączką, napadami dreszczy i mdłości, że mało nie wyzionąłem ducha. Po dwóch dniach zjawił się jakiś dzieciak w białym fartuchu i kazał mi pokazać język. Później spytał, co mnie boli, choć żołądek omal nie wyszedł mi dupą. Jakoś przeżyłem, ale nie zawadziłaby odrobina pieprzonych lekarstw.

– Nigdy nie pójde do szpitala – powiedział Fred, a później zaczął paplać w swoim ojczystym języku.

Quarry mu przerwał.

– Słuchaj, nie zabrałem Gabriela, więc gdy zaczynasz paplać w narzeczu muskoge, nie rozumiem, o co ci chodzi.

Fred powtórzył wszystko po angielsku.

– Teraz gadasz jak należy. W Ameryce mówimy po angielsku. Nawet nie próbuj iść do szpitala bez karty ubezpieczalni. Mam gdzieś, jakim językiem się posługujesz, bo i tak zostaniesz okantowany.

Furgonetka podskakiwała na wybojach. Fred wskazał dom stojący w oddali. Mały dom, który zbudował Quarry.

– Dobra robota. Przyglądałem się, jak pracujesz.

– Dzięki.

– Po co go zbudowałeś?

– Dla kogoś wyjątkowego.

– Kogo?

– Dla siebie. To mój wakacyjny dom.

Przejechali obok.

Quarry wyciągnął z kurtki okazałą kopertę i wręczył Fredowi. Kiedy Indianin ją otworzył, dłonie mu zadrżały. Spojrzał zdumiony na Quarry'ego, który obserwował go spod krzaczastych brwi.

– To tysiąc dolarów.

– Na co? – zapytał Fred, spluwając przez okno.

– Na powrót do domu – odparł z uśmiechem Quarry.

– I na coś jeszcze.

– Na co?

– Właśnie po to będzie ci potrzebny dowód tożsamości.

– Po cholere? Nigdy tego nie wyjaśniłeś.

– Wystąpisz w roli świadka. Świadka ważnego wydarzenia.

– Za dużo forsy jak dla świadka – zauważył Fred.

– Nie chcesz pieniędzy?

– Tego nie powiedziałem – odparł mężczyzna, a zmarszczki na jego twarzy się pogłębiły.

Quarry dla żartu trącił go łokciem w ramię.

– To dobrze, bo nie obdarowuję Indian.

Trzydzieści minut później dotarli do małego miasteczka. Fred ciągle zaglądał do koperty pełnej dwudziestek.

– Chyba tego nie ukradłeś, co?

– W życiu niczego nie ukradłem. – Quarry spojrzał na

Freda. – Nie licząc ludzi. Paru ludzi sobie ukradłem. – Po dłuższej chwili Quarry się roześmiał, a Fred poszedł za jego przykładem.

– Sprzedałem trochę starych obligacji po ojcu – wyjaśnił Quarry.

Zajechali przed miejscowy oddziału banku, jednopiętrowy budynek z cegły o szklanych drzwiach.

– Chodźmy.

Quarry ruszył do wejścia, a Fred w ślad za nim.

– Nigdy nie byłem w banku – bąknął Fred.

– Jak to?

– Nie miałem pieniędzy.

– Ja również, ale mimo to bywałem w banku.

– Po co?

– Do licha, Fred, bo w banku jest cała forsa.

Quarry przywołał znajomego bankiera i wyjaśnił, o co chodzi. Następnie wyciągnął dokument.

– Przyprowadziłem mojego przyjaciela, prawdziwego Amerykanina, aby zaświadczył.

Korpulentny bankier w okularach spojrzał na zaniedbanego Freda i wykrzywił twarz w sztucznym uśmiechu.

– W porządku, Sam.

– Też tak sędzę – odparł Fred, poklepując kieszeń kurtki, w której znajdowała się koperta z pieniędzmi. On i Quarry wymienili szybki uśmiech.

Bankier zaprowadził obu do swego gabinetu. Sprowadzono jeszcze jednego świadka oraz notariusza.

Quarry podpisał testament w obecności Freda, drugiego świadka i prawniczki. Później podpisy złożyli dwaj pozostali, a notariusz dopełnił formalności. Gdy wszystko było gotowe, bankier sporządził kopię testamentu. Quarry złożył oryginał i wsunął papiery do kieszeni kurtki.

– Proszę umieścić dokument w bezpiecznym miejscu – doradził bankier. – Na podstawie kopii nie można sporządzić uwierzytelnionego odpisu. Może chce pan wynająć skrytkę depozytową w naszym banku?

– Niech się pan nie martwi – powiedział Quarry. – Jeśli ktokolwiek spróbuje się włamać do mojego domu, odstrzelę mu łeb.

– Nie wątpię – mruknął lekko podenerwowany bankier.

Przed wyruszeniem w powrotną drogę Fred i Quarry wstąpili do baru na drinka.

– Czy teraz mogę się napić, Sam? – zapytał Fred, przykładając kufel do ust.

Quarry zamówił szklaneczkę bourbona.

– Minęło południe, prawda? Przypominam ci jedynie o kilku mądrych zasadach.

Wrócili do Atlee, a po drodze Quarry wysadził Freda przy airstreamie.

Staruszek ruszył wolno betonowymi stopniami, by po chwili odwrócić się do Quarry'ego, który spoglądał na niego ze starej furgonetki.

– Dzięki za forszę.

– A ja dziękuję za poświadczenie testamentu.

– Spodziewasz się niedługo umrzeć?

Quarry uśmiechnął się szeroko.

– Gdybym się spodziewał, pewnie pojechałbym na Hawaje, żeby popływać w oceanie i posmakować kalmarów, zamiast tłuc się zardzewiałą furgonetką po zadupiu w Alabamie, wożąc takich gości jak ty, Fred.

– Nawiasem mówiąc, nie nazywam się Fred.

– Wiem. Sam cię tak nazwałem. Jak ci na imię? Tak naprawdę? Nie przyglądałem się twojemu dokumentowi ani podpisowi, który złożyłeś pod testamentem.

– Eugene.

– To indiańskie imię?

– Nie, ale tak nazwała mnie matka.

– Jak to?

– Była biała.

– Naprawdę dożyła dziewięćdziesięciu ośmiu lat?

– Nie. Zmarła po pięćdziesiątce. Za dużo gorzały.

Piła więcej ode mnie.

– Mogę nadal mówić ci Fred?

– Jasne. Wolę to imię od Eugene'a.

– Powiedz mi prawdę, Fred. Długo jeszcze pożyjesz?

– Jakiś rok, jeśli szczęście dopisze.

– Przykro to słyszeć.

– Mnie również. Skąd wiedziałeś?

– W życiu dość napatrzyłem się na śmierć. Masz charakterystyczny kaszel, zimne dłonie i bladą skórę pod oczami.

– Bystry z ciebie gość.

– Słuchaj, pewnego dnia wszyscy odejdziemy, ale teraz możesz się cieszyć czasem, który ci pozostał, tysiąc razy bardziej niż jeszcze kilka godzin temu. – Wskazał palcem przyjaciela. – Nic mi nie zostawiaj, Fred. Nie będę potrzebował.

Po tych słowach odjechał w tumanie kurzu.

Kiedy dojeżdżał do Atlee, spadły pierwsze ciężkie krople deszczu przyniesionego przez front atmosferyczny. Ruszył do kuchni, słysząc, że Ruth Ann tam jest. Murzynka szorowała duży garnek, kiedy wszedł Quarry. Odwróciła się i uśmiechnęła.

– Gabriel pana szukał.

– Powiedziałem mu, że pojechałem z Fredem do miasta.

– Po co był pan w mieście? – spytała Ruth Ann, nie przerywając pracy.

Quarry usiadł i wyciągnął dokument z kieszeni kurtki, rozkładając go na stole.

– Właśnie o tym chciałem z tobą pomówić – oznajmił, unosząc kartkę. – To moja ostatnia wola i testament. Dzisiaj go podpisałem. To oficjalny dokument.

Ruth Ann odstawiła garnek i otarła dłonie ścierką do naczyń.

Zmarszczyła brwi.

– Testament? Jest pan chory?

– Nie, a przynajmniej nie mam o tym pojęcia. Tylko głupcy czekają z testamentem, aż źle się poczują. Podejdz tu i popatrz.

Ruth Ann wykonała niepewny krok, a następnie szybko przeszła przez pokój i usiadła. Odebrała kartkę z rąk Quarry'ego, wyciągnęła z kieszeni okulary do czytania kupione w sklepie i włożyła na nos.

– Słabo czytam – powiedziała, lekko zakłopotana. – Zwykle proszę o to Gabriela.

Quarry wskazał palcem akapit.

– To prawnicze gładzenie, zwróć uwagę tylko na to, Ruth Ann.

Odczytała wskazany fragment, powoli poruszając wargami. Później spojrzała na niego, trzymając kartkę w drżących dłoniach.

– Panie Sam, to nie jest w porządku.

– A co w tym złego?

– Zostawia pan wszystko mnie i Gabrielowi?

– Tak, to moja własność. Mogę ją dać, komu zechcę, do cholery, wybaczyć to wyrażenie.

– Przecież ma pan rodzinę. Pana Daryla i Tippi. Jest też druga córka.

– Ufam, że zaopiekujesz się Darylem, jeśli tu zostanie. Że zajmiesz się Tippi i Suzie, choć wątpię, żeby cokolwiek ode mnie przyjęła, skoro nie odzywa się od czterech lat. Ty i Gabriel też jesteście moją rodziną. Chcę się o was zatroszczyć. Właśnie w taki sposób to robię.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie.

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

– Dobry z pana człowiek, panie Sam. Pewnie

wszystkich nas pan przeżyje, ale dziękuję za to, co pan zrobił dla mnie i Gabriela. Zatroszczę się o wszystkich, panie Sam. Obiecuję. Tak jak pan.

– Ruth Ann, możesz zrobić z tym majątkiem, co zechcesz. Możesz sprzedać Atlee, jeśli będziesz potrzebowała pieniędzy.

Wydawała się przerażona tą myślą.

– Nigdy nie sprzedam Atlee, panie Sam. To mój dom.

Doleciał ich szmer w drzwiach, więc podnieśli głowy i spostrzegli, że w progu stoi Gabriel.

– Witaj, chłopcze – powiedział Quarry. – Omawiamy z twoją mamą pewne sprawy.

– Jakie sprawy, panie Sam? – Gabriel spojrzał na matkę i dostrzegł łzy spływające po jej bladych, zapadniętych policzkach. – Wszystko w porządku? – spytał powoli.

– Podejdź do mnie – powiedziała Ruth Ann, przywołując go do siebie. Chłopak podbiegł do matki, która go objęła. Quarry poklepał Gabriela po głowie, złożył testament, wsunął go do kieszeni i wyszedł z kuchni.

Miał do napisania jeszcze jeden list.

Później będzie musiał odwiedzić Tippi.

Następnie zamierzał polecieć do kopalni.

Do końca było coraz bliżej.

P o raz drugi w ciągu ostatnich dni Sean i Michelle słuchali kaznodziei mówiącego o bliskiej osobie, która odeszła na zawsze. Było deszczowe, wietrzne popołudnie. Ludzie chronili się przed żywiołem pod czarnymi parasolami, gdy Pam Dutton składano do grobu na cmentarzu oddalonym pięć mil od miejsca, w którym mieszkała. Dzieci i ojciec siedzieli w pierwszym rzędzie pod daszkiem. Tuck miał zabandażowaną głowę i wyglądał jak facet, który wypił kilka drinków i połknął garść tabletek przeciwbólowych. Jego siostra, pierwsza dama, siedziała obok, obejmując go opiekuńczo ramieniem. Colleen Dutton przycupnęła na kolanach Jane, a John przytulił się do ojca. U boku Jane siedział jej mąż w czarnym ubraniu, wyglądający uroczyście i prezydencko.

Miejsce pochówku otoczyli agenci Secret Service z zespołu A. Ulice sąsiadujące z cmentarzem zostały opróżnione z samochodów i zamknięte dla ruchu, a każda studzienka na drodze porządnie zaspawana.

Na cmentarz mogli wejść jedynie członkowie pograżonej w smutku rodziny i zaproszeni przyjaciele. Gromada telewizyjnych reporterów i ekip wozów transmisyjnych czekała za bramą cmentarza, mając nadzieję sfilmować prezydenta i pograżoną w żałobie pierwszą damę, gdy będą wychodzić.

Michelle szturchnęła Seana i wskazała głową na

prawo. Agent Waters z FBI stał w pobliżu, nie odrywając od nich wzroku.

– Nie wygląda na szczęśliwego – powiedziała.

– Założę się, że ten facet nigdy w życiu nie był szczęśliwy.

Przylecieli porannym samolotem z Tennessee. Podczas lotu rozmawiali o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy.

Kiedy wrócili do domu Franka Maxwella, ojca Michelle jeszcze nie było. Już mieli zadzwonić na policję, kiedy wszedł do środka drzwiami od garażu.

– Tato?

Przeszedł obok niej, skręcił do sypialni i zamknął drzwi. Kiedy próbowała je otworzyć, okazało się, że je zaryglował.

– Tato?! – zawołała. – Tato! – Zaczęła walić do drzwi, aż chwyciła ją czyjaś dłoń. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Sean stoi obok niej.

– Daj mu spokój.

– Ale...

– Dzieje się tu coś, czego nie rozumiemy. Nie naciskaj go.

Sean przespał noc na kanapie, a Michelle w jednej z wolnych sypialni. Bracia zanoceowali w domu Bobby'ego.

Kiedy się obudzili następnego ranka, Frank Maxwell już się ubrał i wyszedł. Tym razem Michelle nawet nie próbowała zadzwonić na jego komórkę.

– Nie odbierze – powiedziała, pijąc kawę na lotnisku.

- Co robił w waszym starym domu?
- Może pojechał tam z tego samego powodu co ja.
- To znaczy?
- Nie wiem – odrzekła żałośnie.
- Chcesz tu zostać? Sam mogę pojechać na pogrzeb.
- Nie, nie sędzę, abym tu coś zdziałała.

Obserwowanie kolejnego pogrzebu będzie mniej przygnębiające od pozostania na miejscu i przyglądania się rozpadowi własnej rodziny.

Gdy nabożeństwo żałobne w intencji Pam Dutton dobiegło końca i zaproszeni goście zaczęli się rozchodzić, Sean zauważył, że ludzie zabiegają o uściśnięcie dłoni prezydenta, a ten stara się spełnić ich życzenie.

– Nie może zmarnować szansy zjednania sobie potencjalnego wyborcy – zauważyła sarkastycznie Michelle.

Jane odeszła w towarzystwie brata i dzieci. Otoczyło ich kilku agentów, ale większość pozostała z prezydentem. Obserwując tę scenę, Sean pomyślał, że życie prezydenta przebija wszystkie inne niczym karta atutowa. Chociaż pierwsza dama była bardzo ważną osobą dla agentów Secret Service, prezydent tak bardzo przewyższał ją znaczeniem, że gdyby musieli wybrać, komu uratować życie, nie zawahaliby się ani chwili.

Michelle najwyraźniej odgadła, o czym myśli, bo zapytała:

– Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, co byś zrobił?

Odwrócił się do niej.

– O co ci chodzi?

– Gdybyś miał wybrać między prezydentem i jego żoną, które byś ratował?

– Michelle, przecież znasz pierwszą zasadę wpajaną agentom Secret Service. Trzeba za wszelką cenę uratować tego jednego. Nie można pozwolić, aby ktoś przerwał życie prezydenta.

– A jeśli popełni przestępstwo albo mu odbije i zaatakuje pierwszą damę? Jeśli będzie chciał ją zabić? Jak byś się wówczas zachował? Sprzątnąłbyś prezydenta czy pozwolił, żeby zginęła?

– Na co ta bezsensowna rozmowa? Czy pogrzeb nie jest wystarczająco przygnębiającym wydarzeniem?

– Tak się tylko zastanawiałam.

– Zastanawiałaś się? Wolę nie myśleć o takich sprawach.

– To czysto hipotetyczna sytuacja.

– Mam dość kłopotów z rzeczywistością.

– Spotkamy się z pierwszą damą?

– Po naszej ostatniej rozmowie telefonicznej nie jestem tego pewien.

– Dlaczego?

Sean westchnął głęboko.

– Gadam bez sensu. – Spojrzał na mężczyznę idącego w ich kierunku. – Robi się coraz ciekawiej.

Michelle podniosła głowę i ujrzała zbliżającego się agenta Watersa.

– Poprosiłem was, żebyście nie wyjeżdżali z miasta – warknął ostrym tonem.

– Nic podobnego. Jeśli dobrze pamiętam, poprosiłeś, żebyśmy byli do waszej dyspozycji – odparła Michelle. – Jesteśmy. Cały czas jesteśmy dostępni i tak dalej.

– Gdzie byliście? – zapytał.

– W Tennessee.

– A konkretnie? – zapytał agresywnie. – Nie podzieliliście się z nami nowym tropem?

– Nie. Byliśmy na pogrzebie.

– Czyim?

– Mojej matki.

Waters przeszył ją wzrokiem, jakby starał się odgadnąć, czy Michelle robi go w konia. Najwyraźniej to, co zobaczył, go usatysfakcjonowało.

– Przykro mi. Zmarła nieoczekiwanie?

– Morderstwo bywa zwykle nieoczekiwane – odparła Michelle i ruszyła w kierunku rzędu zaparkowanych samochodów.

Waters rzucił okiem na Seana.

– To prawda?

– Obawiam się, że tak.

– Cholera.

– Możemy jakoś pomóc?

– Nie, to znaczy nie w tej chwili.

– Dobrze. Odezwę się.

Dopędził Michelle i już mieli wsiąść do SUV-a, gdy usłyszeli kogoś za plecami. Facet ciężko dyszał.

Tuck Dutton wyglądał, jakby przebiegł milę. Miał zaczerwienioną twarz i z trudem oddychał.

– Co się stało, Tuck? – zapytał Sean, chwytając go za ramię. – Oszczędzaj się, człowieku. Niedawno wyszedłeś ze szpitala. Nie powinieneś uprawiać sprintu.

Tuck zaczerpnął oddechu i oparł dłoń na samochodzie, a następnie skinął głową w kierunku prezydenckiej limuzyny. Jane Cox właśnie wsiadała do środka w towarzystwie męża otoczonego gromadką agentów.

– Facet, którego widziałem z Pam... – zaczął bez tchu.

– Co z nim? – zapytała Michelle.

– On tu jest.

– Co?! Gdzie?! – zawołał Sean, rozglądając się dookoła.

– Tam!

Tuck wskazał limuzynę.

– Który to?

– Ten wielki facet obok prezydenta.

Sean spojrział we wskazanym kierunku, a następnie przesunął wzrok na Tucka, by na koniec rzucić spojrzenie Michelle.

– Aaron Betack? – spytał Sean. W tej samej chwili zaczął padać deszcz.

Wydano przyjęcie dla gości uczestniczących w pogrzebie. Nie w Białym Domu, ale w Blair House, po drugiej stronie ulicy. Właściwie były to cztery połączone domy o powierzchni siedemdziesięciu tysięcy stóp kwadratowych, większe do prezydenckiej rezydencji. Zwykle w Blair House goszczono głowy obcych państw i innych ważniaków. W latach pięćdziesiątych XX wieku mieszkał tam nawet Harry Truman z rodziną, kiedy Biały Dom został rozebrany do szkieletu i całkowicie przebudowany. Dzisiejszego dnia miał być miejscem, w którym zgromadzą się najbliżsi krewni i znajomi Pam Dutton, żeby ją powspominać, wypić kilka drinków i skubnąć jedzenia przygotowanego przez znakomitych szefów kuchni z Białego Domu.

Sean i Michelle minęli bramkę z wykrywaczem metalu, przedfilowali pod długą markizą, a następnie zostali ponownie przeszukani ręcznymi wykrywaczami metalu przed drzwiami i weszli do środka. Oboje byli tu wcześniej, gdy ochraniali dygnitarzy podczas długich lat służby w Secret Service. Jednak pierwszy raz znaleźli się w Blair House poza godzinami pracy. Poczęstowali się drinkami podanymi przez kelnera, a następnie stanęli w kacie, obserwując i czekając. Prezydent przybył razem z Jane, a tuż za nimi zjawił się Tuck i dzieciaki.

– Jest – szepnęła Michelle.

Sean skinął głową, gdy Aaron Betack wszedł do sali i

instynktownie rozejrzał się wokół jak każdy agent Secret Service, emerytowany lub na służbie. Takiego nawyku się nie zapomina albo po prostu nie można go przewyciężyć.

– Jak chcesz to rozegrać? – spytała Michelle.

– Chyba nie zacznie do nas strzelać, jeśli zadamy kilka pytań?

– Czy powinniśmy się zdradzić z tym, że wiemy o jego spotkaniu z Pam?

– Trudno powiedzieć. Zadamy kilka ogólnikowych pytań i zobaczymy.

Zaczekali, aż Betack odłączył się od gości i przeszedł do sąsiedniej sali.

– Cześć, Aaron – powiedział Sean, stając za jego plecami razem z Michelle.

Betack skinął głową, nie odpowiadając ani słowa.

Sean spojrział na szklanke, którą trzymał w ręku.

– Nie masz dziś służby?

– Przyszedłem złożyć kondolencje.

– Smutny dzień – zauważyła Michelle.

Betack zaklekotał kostkami lodu w szklance, skinął głową i skubnął krakersa.

– Cały dzień do dupy.

– Masz inne zmartwienia oprócz pogrzebu? – zapytał Sean.

– Nie zdołaliśmy dokonać przełomu w sprawie tej porwanej dziewczynki. Pierwsza dama jest niezadowolona.

– Przecież FBI bada różne wątki. Przed chwilą

rozmawialiśmy z Watersem. Nie wygląda na faceta, który łatwo rezygnuje.

Betack przysunął się bliżej.

– Nawet najlepszy detektyw musi mieć jakiś trop.

– Trudno zaprzeczyć.

– Porywacze więcej się nie odezwali? – spytała Michelle.

– Nie, od czasu gdy przesłali nam talerz i łyżkę.

– Dziwna sprawa – zauważył Sean.

– Wszystko w tej pieprzonej sprawie jest dziwne – odrzekł zagadkowo Betack.

– Bardzo dobrze to zaplanowali. Gdybyśmy nie pojawili się nieoczekiwanie z Michelle, wiedzielibyśmy jeszcze mniej. Sądziłeś, że będą się z nami regularnie kontaktować?

Betack wzruszył ramionami.

– Jest, jak jest.

– A znaki na rękach Pam?

– Nie słyszałem, aby udało się coś ustalić.

Sean spojrzał na Michelle.

– Pamiętam, kiedy pierwszy raz spotkałem panią Dutton. Była naprawdę wspaniała. Idealna mama. Miałeś okazję ją poznać?

Sean powiedział to od niechcenia, ale uważnie obserwował rozmówcę.

– Nigdy nie miałem tej przyjemności – odparł rzeczowo Betack. – Przyszedłem złożyć kondolencje pierwszej damie.

Sean spojrział w stronę drzwi, w których ukazała się Jane Cox w otoczeniu grona współpracowników.

– Jest wyjątkowa.

– Trafiliście na jakiś ślad?

– Gdyby tak było, powiadomilibyśmy Watersa – odpowiedziała Michelle.

– Najważniejsze to uwolnić Wille, chrzanić zasługi – dodał Sean.

– Sympatyczna filozofia – zauważył Betack, dopijając drinka. – Niezwykle rzadka w tym mieście.

– Wymaga, żeby ludzie odsłonili karty, ujawnili wszystko, co wiedzą – rzekła Michelle, zatrzymując wzrok na Betacku.

Zauważył to, spojrział na Seana i ponownie przeniósł wzrok na Michelle.

– Coś sugerujesz?

Sean ściszył głos.

– Tuck Dutton widział, jak spotykasz się z jego żoną, kiedy miało go nie być w mieście.

– Myli się.

– Opisał cię całkiem dokładnie i zidentyfikował na pogrzebie.

– Przypominam wielu facetów. Czemu miałbym się spotkać z Pam Dutton?

– Miałem nadzieję, że nam powiesz.

– Nie mogłem z nią rozmawiać, bo nigdy się nie spotkaliśmy.

Sean patrzył na niego dłuższą chwilę.

– W porządku, Tuck się pomylił – powiedział wreszcie.

– Właśnie. Pomylił się. Wybaczcie, ale muszę was opuścić. Przepraszam – powiedział i odszedł.

Michelle odwróciła się do Seana.

– Kiedy skontaktuje się z tym, dla kogo pracuje?

– Niedługo.

– Poczekamy?

Sean rozejrzał się po sali, a następnie zatrzymał wzrok na przechodzącym obok Tucku.

– Mam dość czekania.

Willa skończyła ostatnią książkę, odłożyła ją na inne, a następnie usiadła na pryczy i spojrzała w kierunku drzwi. Pograżona w lekturze zapomniała, gdzie się znajduje. Kiedy przewróciła ostatnią kartkę, ponownie zdała sobie z tego sprawę.

Była więźniem.

Nigdy więcej nie ujrzy rodziny. Czuła to.

Zamarła, słysząc kroki na zewnątrz. To ten olbrzym. Rozpoznała jego charakterystyczny chód. Kilka sekund później otworzyły się drzwi i mężczyzna wszedł do środka. Zamknął je za sobą i podszedł do niej.

– Jak się miewasz, Willo? – Usiadł przy stole, składając dłonie na kolanach.

– Skończyłam wszystkie książki.

Otworzył plecak i wyciągnął kolejne, układając je na blacie.

– Masz następne.

Rzuciła okiem na okładki.

– Będę tu aż tak długo?

– Nie, nie sędzę, aby to tak długo trwało.

– Wrócę do rodziny?

Odwrócił głowę.

– Czy spodobała ci się pani, którą poznałaś?

Willa utkwiała w nim wzrok.

– Była przerażona jak ja.

– Wszyscy byliśmy.

– Czego miałbyś się obawiać? Nie mogę wyrzucić ci krzywdy.

– Mam nadzieję, że książki ci się podobały.

– Czy w którejś z nich na końcu umiera dziecko? Mogłabym się w ten sposób przygotować!

Wstał.

– Nie jesteś sobą, Willo.

Ona też wstała. Chociaż była ponad dwie stopy niższa od niego, wydawała się dorównywać mu wzrostem.

– Nie znasz mnie. Mogłeś się o mnie dowiedzieć, ale mnie nie znasz. Nie znasz mojej rodziny. Skrzywdziłeś ich? Odpowiedz! – zażądała.

Quarry rozejrzał się po izbie, spoglądając na wszystko z wyjątkiem małej.

– Zdrzemnij się. Wyglądasz, jakbyś potrzebowała snu.

– Po prostu zostaw mnie samą – powiedziała głośno i stanowczo.

Quarry oparł dłoń na drzwiach.

– Chcesz się zobaczyć z tą panią?

– Czemu?

– Miałabyś z kim pomówić, Willo. Z kimś oprócz mnie. Rozumiem, dlaczego mnie nie lubisz. Na twoim miejscu zachowywałbym się podobnie. Nie podoba mi się to, co robię. Gdybyś znała całą prawdę, może byś mnie lepiej zrozumiała.

– Spotkam się z nią – odrzekła niechętnie, odwracając się do niego plecami.

– Dobrze – powiedział cicho Quarry.

Jej następne słowa go zmroziły.

– Czy to wszystko ma jakiś związek z twoją córką?

Tę, która już nie może czytać?

Odwrócił się wolno i spojrzał na nią wzburzony.

– Co powiedziałaś?! – Jego głos stał się twardy i gniewny.

Odpowiedziała równie surowym spojrzeniem.

– Ja też jestem czyjąś córką.

To prawda, pomyślał Quarry. Tylko nie wiesz czyją. Zamknął i zaryglował za sobą drzwi.

Kilka minut później drzwi otworzyły się ponownie. W progu stanęła ta pani, a za jej plecami, Quarry.

– Wrócę za godzinę – powiedział.

Zamknął drzwi, a Diane Wohl ostrożnie podeszła i usiadła przy stole. Willa dołączyła do niej, podkrecając lampę.

– Jak się miewasz? – zapytała delikatnie Willa.

– Tak się boję, że czasem mam trudności z oddychaniem.

– Ja też.

– Wyglądasz na spokojną. Chociaż jestem dorosła, sprawiasz wrażenie znacznie odważniejszej ode mnie.

– Czy z tobą rozmawiał? Ten człowiek?

– Niezupełnie. Powiedział, żebym z nim poszła. Że cię zobaczę.

– Chciałaś?

– Oczywiście, kochanie. To znaczy... to znaczy,

czułam się taka samotna w celi.

Spojrzała na książki. Willa podążyła za jej wzrokiem.

– Chcesz którąś?

– Nigdy nie przepadałam za książkami.

Willa wybrała kilka i podsunęła Wohl.

– To dobra okazja, żeby zacząć.

Diane przesunęła palcami po jednej z okładek.

– Dziwny z niego porywacz.

– Tak – przytaknęła Willa – ale mimo to powinniśmy się go bać.

– To akurat przychodzi mi łatwo.

– Prawie mu uciekłyśmy – rzuciła buntowniczo Willa. – Niewiele brakowało.

– Dzięki tobie. Złapali nas przeze mnie. Nie należę do szczególnie odważnych.

– Chcę tylko wrócić do rodziny.

Diane wyciągnęła dłoń i uścisnęła ramię dziewczynki.

– Willo, jesteś bardzo dzielna i musisz taka pozostać.

– Mam dwanaście lat – zaszlochała. – Jestem jeszcze dzieckiem.

– Wiem, kochanie. Wiem.

Diane przesunęła krzesło na drugą stronę stołu i przytuliła Willę.

Kiedy dziewczynka zaczęła dygotać, Diane mocno ją objęła. Szeptala jej do ucha, że wszystko się dobrze skończy, że jej rodzinę na pewno nie spotkało nic złego, i że niebawem zobaczy bliskich. Wiedziała, że Willa nigdy

nie ujrzy matki, bo ten porywacz powiedział jej, że ona nie żyje. Nie potrafiła tego przekazać udreżonemu małemu dziecku.

Quarry stał za drzwiami. Opierał się o ścianę, pocierając w palcach starą monetę. Zamierzał podarować Gabrielowi Lady Liberty, Panią Wolność. Nie była przeznaczona do sprzedaży na eBayu. Miała pójść na jego naukę w college'u. Jednak Quarry wcale nie myślał o monecie. Słuchał wołania Willi. Płacz małej dziewczynki niósł się szybami kopalni jak niegdyś jęk strudzonych górników, a kilka pokoleń wcześniej krzyki żołnierzy Unii umierających od chorób we wnętrzu góry.

Nie potrafił sobie wyobrazić bardziej bolesnego, ściskającego serce dźwięku. Wsunął monetę do kieszeni.

Złatwił wszystkie sprawy. Zatrzaszczył się o ludzi, na których mu zależało. Wiedział, że później nie będzie miał na to wpływu.

Miał gdzieś, że zostanie potępiony. Znosił znacznie gorsze rzeczy od bliźnich.

Mimo to czułby się szczęśliwy, gdyby już było po wszystkim.

Bo wszystko się niebawem skończy.

Żadne z nich nie zdoła ciągnąć tego dłużej.

Sam Quarry wiedział, że sobie nie poradzi.

Późnym wieczorem pojechał do Tippi. Tym razem sam. Czytał jej i odtworzył taśmę z nagraniem ostatnich słów matki.

Na koniec rozejrzał się po maleńkim pokoju, od tylu lat całym świecie Tippi. Zapamiętał każde urządzenie niezbędne do podtrzymania jej przy życiu, zasypując personel szczegółowymi pytaniami. Nie wiedzieli, czemu jest taki dociekliwy, ale nie miało to większego znaczenia. Wystarczyło, że on wiedział.

Kiedy w końcu utkwiał wzrok w wyniszczonej twarzy córki, jej wychudzonych kończynach i sterczących kościach, poczuł, że jego potężne ciało zaczyna się uginać, jakby grawitacja zaczęła na niego działać ze zdwojoną siłą. Może chciała go ukarać?

Quarry nie miał problemu z karą, pod warunkiem że zostanie wymierzona równo i sprawiedliwie. Sęk w tym, że nigdy tak się nie działo.

Wyszedł z pokoju i udał się do pokoju pielęgniarek. Musiał poczynić pewne ustalenia. Czas najwyższy, żeby Tippi w końcu opuściła to miejsce.

Czas, żeby zabrał swoją małą dziewczynkę do domu.

- Słuchaj, King, wszyscy wykonujemy rozkazy – zakomunikował Seanowi i Michelle agent pełniący służbę.

Stali w drzwiach Blair House. Podjęto decyzję, że przynajmniej na pewien czas Tuck i dzieci zostaną w rezydencji pod pełną ochroną Secret Service.

– Proszę tylko, żebyś przekazał Tuckowi Duttonowi, że tu jesteśmy. Jeśli będzie chciał się z nami widzieć, nic na to nie poradzisz, prawda? Facet nie jest przestępcą. Nie przebywa w areszcie domowym. Jest tu dobrowolnie. Jeśli będzie chciał odejść, nie zdołacie go zatrzymać.

– Będziemy mieli na niego oko – dodała Michelle.

– Oberwę, jeśli szwagrowi prezydenta stanie się coś złego.

– Obawiałbym się raczej pierwszej damy – doradził Sean.

– Nie zawiadomię Duttona. Poproście...

– Sean?

Odwrócili się w kierunku drzwi. Tuck stał w progu, trzymając na ręku Colleen, a w drugiej dłoni kubek z kawą.

– Panie Dutton, proszę odejść od drzwi – rzucił agent.

Tuck postawił Colleen na ziemi i poprosił, żeby poszła do brata. Następnie odstawił kawę i wyszedł na zewnątrz.

– Panie Dutton! – Agent ruszył ku niemu, a dwaj inni

przysunęli się bliżej.

Tuck uniósł dłoń.

– Wiem, wiem. Jesteście tu, żeby mnie chronić. Proponuję, abyście popilnowali moich dzieci. Nic mi nie grozi.

– Panie Dutton! – zaprotestował agent.

– Posłuchaj, kolego, zgodziłem się tu zostać, bo siostra uznała, że tak będzie lepiej. Wspaniale, doceniam to, ale jesteśmy w Ameryce i mogę opuścić to miejsce razem z dziećmi, kiedy mi się spodoba. Nic wam do tego. Proszę popilnować moich dzieci albo wyjść na papierosa, gdy będę rozmawiał z tymi ludźmi. Dobrze?

– Zawiadomię o tym pierwszą damę – warknął agent.

– Proszę to zrobić. Dla pana może być pierwszą damą, ale dla mnie jest starszą siostrą, której majtki pokazywałem kumplom za kilka dolców.

Agent poczerwieniał. Spojrzał gniewnie na Seana i Michelle, a następnie odwrócił się na pięcie i wszedł do domu.

– Nie znałem cię od tej strony, Tuck – powiedział Sean, gdy ruszyli ulicą po drugiej stronie Białego Domu.

Dutton wyciągnął papierosa, osłonił go dłonią i zapalił, wydmuchując mały obłoczek dymu.

– Mam tego dość, rozumiesz?! Nie mam pojęcia, jak Jane i Dan to wytrzymują. Czuję się jak w cholernym kulistym akwarium. Człowiek ma wrażenie, jakby żył obserwowany przez pieprzony teleskop Hubble'a.

– Widać każdą najdrobniejszą skazę – dodała

Michelle, przeczesując wzrokiem okolicę niczym radarem. Mogli znajdować się w najbezpieczniejszym miejscu na ziemi, ale dobrze wiedziała, że sytuacja może ulec zmianie w ciągu jednej chwili.

– Jak tam dzieciaki?

– Przerażone, podenerwowane, niespokojne i przygnębione. Wiedzą, że Pam odeszła. Nie trzeba więcej, żeby się załamać. Na szczęście nie mają pojęcia, jaki los spotkał Willę. Tego byłoby za wiele. To nas wszystkich zabija. Nie zmrużyłem oka od czasu, gdy wyszedłem ze szpitala i przestałem brać leki. Sam nie wiem, jak daję sobie radę.

Michelle spojrzała na papierosa.

– Zostało im tylko jedno z rodziców, Tuck. Wyświadczyć dzieciakom przysługę i rzuć to rakotwórcze paskudztwo.

Dutton cisnął peta na chodnik i zdeptał obcasem.

– Czego chcecie?

– Tylko jednej rzeczy.

Tuck podniósł ręce.

– Słuchajcie, te brednie o adoptowaniu Willi...

– Nie, chcieliśmy zapytać o faceta, którego widziałeś z Pam.

– Rozmawialiście z nim? Co to za jeden?

– To agent Secret Service. Wysokiej rangi – odrzekła Michelle.

– Nazywa się Aaron Betack. Powiedział, że się pomyliłeś. Że nie rozmawiał z Pam.

– Brednie. Widziałem go przez czystą szybę z odległości nie większej niż dziesięć stóp. To on! Przysięgam na Biblię.

– Wierzymy ci, Tuck – powiedziała Michelle.

– Istnieje prostszy sposób od Biblii – dodał Sean.

– Co masz na myśli?

Sean wskazał drugą stronę ulicy.

– Facet tam jest. Widzieliśmy go. Dlatego rozmawiamy.

– Betack?

– Tak – odparł Sean.

– Czego ode mnie chcecie?

– Chcemy, żebyś zadzwonił do siostry i poprosił, aby się z nami spotkała. Kiedy będziemy razem, poprosimy, żeby wezwała Betacka i przeprowadzimy konfrontację. Jeśli chce skłamać w jej obecności, nich to zrobi.

Tuck nagle stracił pewność siebie.

– Pewnie jest zajęta.

Michelle chwyciła go za ramię.

– Tuck, przed chwilą pochowałeś żonę. Twoje najstarsze dziecko zostało porwane. Nie musisz się przejmować tym, że twoja siostra jest zajęta.

Sean spojrział na niego uważnie.

– Kiedy?

Tuck wyciągnął komórkę.

– Za pięć minut?

– W porządku – odpowiedział Sean.

Kiedy Sean King pracował w Secret Service i osłaniał pierwszą osobę w państwie, otrzymał najwyższy certyfikat bezpieczeństwa niezbędny do wstępu do Gabinetu Dowodzenia. Mimo to nigdy nie był w prywatnych pokojach pierwszej rodziny. Teraz postarano się o naprawienie tego niedopatrzenia. Kiedy wjechali windą na górę i zostali wypuszczeni z małej kabiny przez prawdziwego operatora dźwigu, Sean rozejrzał się po pokoju, w którym się znajdowali. Były tam luksusowe meble, ciężkie gzymsy i piękne kompozycje z kwiatów. Po chwili ponownie utkwiał wzrok w kobiecie siedzącej naprzeciw niego z filiżanką herbaty w dłoni. W kominku płonął ciepły ogień. Z parku Lafayette po drugiej stronie ulicy dolatywały słabe odgłosy skandowania protestantów.

Jane najwyraźniej też je słyszała.

– Można by przypuszczać, że w taki dzień sobie darują.

– Dostali pozwolenie – powiedziała Michelle. – Muszą to zrobić, kiedy mają okazję.

– Oczywiście.

Wygląda na zmęczoną, pomyślał Sean. Najwyraźniej nie chodziło tylko o kampanię prezydencką. Drobne zmarszczki na twarzy pierwszej damy pogłębiły się, worki pod oczami stały się wydatniejsze, a włosy nie były uczesane tak starannie jak zwykle. Sean odniósł wrażenie,

że straciła trochę na wadze. Ubranie luźno na niej wisiało.

Michelle obserwowała Tucka. Brat Jane Cox siedział obok siostry, rozglądając się nerwowo po pokoju. W rękę trzymał drinka przyniesionego przez jednego ze służących pracujących w Białym Domu. Ścisnął szklanekę tak mocno, że palce mu zbielewały. Pewnie miał ochotę zapalić, ale w rezydencji prezydenta nie wolno było palić ku rozgoryczeniu wielu zestresowanych facetów, którzy tam pracowali.

– Jak się miewają John i Colleen? – spytała Jane.

– Nieszczególnie.

– Mogą tu zostać, Tuck.

– To bez znaczenia, siostrzyczko. Nie chodzi o miejsce.

– Wiem.

Tuck rozejrzał się po przestronnym pokoju.

– Ten dom nie jest stworzony dla dzieci.

– Mylisz się – odpowiedziała. – Pamiętam, jak Dan junior zorganizował szesnastkę w większej sali jadalnej. Wiesz, że mieszkało tu wiele małych dzieci? Rodzina Teddy'ego Roosevelta i JFK?

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy, siostro.

Jane Cox spojrzała na Seana.

– Dziękuję, że przyjechałeś na pogrzeb.

– Obiecałem.

– Dziwnie zakończyliśmy naszą ostatnią rozmowę.

– Sądziłem, że wyraziłem się jasno.

Zacisnęła usta.

– Chcę to załatwić tak profesjonalnie, jak się da, Sean.

Pochylił się do przodu, a Michelle i Tuck spojrzeli na niego nerwowo.

– Staramy się odnaleźć Willę. Nie obchodzi mnie, czy zrobimy to profesjonalnie, jeśli tylko zdołamy ją odnaleźć. Mam nadzieję, że nie masz z tym problemu. – Spojrzał na Tucka. – Ani ty.

– Chcę tylko, żeby moja córka wróciła cała i zdrowa – odpowiedział szybko Dutton.

– Oczywiście – przytaknęła Jane. – Wszyscy tego pragniemy.

– Dobrze, cieszę się, że przynajmniej w tej sprawie jesteśmy zgodni. – Skinął Tuckowi, żeby dodać mu otuchy.

Dutton otworzył usta.

– Czy... czy Dan jest w pobliżu?

Sean przewrócił oczami i opadł na fotel, a Michelle spojrzała na Duttona takim wzrokiem, jakby był największym nieudacznikiem, którego w życiu widziała.

– Pracuje w swoim gabinecie. Dziś wieczorem leci na Zachodnie Wybrzeże. Jutro miałam do niego dołączyć, ale moje plany nie są jeszcze do końca sprecyzowane. Obecnie wątpię, by tak się stało.

Spojrzała na Seana.

– Masz mi coś do powiedzenia?

– Nie, ale twój brat ma. Dlatego tu jesteśmy.

Popatrzyła na Tucka.

– O co chodzi?

Dutton dopił drinka tak szybko, że niemal się zakrztusił. Doszedł do siebie, ale nadal nie wypowiedział ani słowa.

Wyczerpana Michelle zrobiła to za niego.

– Tuck widział agenta Betacka z Pam miesiąc przed jej śmiercią. Agent Betack wszystkiemu zaprzecza. Chcieliśmy, żeby tu przyszedł. W ten sposób rozwiążemy sprawę raz na zawsze. Wiemy, że przebywa na terenie Białego Domu. Śledziliśmy go.

Tuck zaczął oglądać buty, gdy jego siostra spojrzała na Michelle, a następnie na Seana.

– To nie będzie konieczne.

– Dlaczego? – zapytał Sean.

– Bo agent Betack spotkał się z Pam.

– Skąd wiesz?

– Poprosiłam go o to.

Przez niezręczną minutę słyhać było jedynie trzask ognia i dalekie okrzyki protestujących.

Ku zaskoczeniu wszystkich milczenie przerwał Tuck Dutton.

– Co tu jest grane, siostrze?

Spojrzała na nich po kolei, zatrzymując wzrok na bracie. Było to najdziwniejsze spojrzenie, jakiego Sean był świadkiem, wyrażające jednocześnie dominację i rozpacz. Nie miał pojęcia, jak tego dokonała.

– Nie bądź głupcem, Tuck.

Sean uznał jej ton za nieco szorstki, zważywszy na to,

że Tuck niedawno pochował żonę.

– Czemu moje pytanie jest głupie?

– Pam podejrzewała, że masz romans. Przyszła do mnie po radę. Jak zwykle próbowałam ci pomóc.

– Wiedziałaś, że mam romans?

– Tak. Agent Betack zbadał sprawę na moją prośbę. Śledził cię i zdał mi raport. Potwierdził, że faktycznie ją zdradzasz. – Spojrzała na Seana i Michelle. – Nie pierwszy raz. Mój brat jest dziwnie niezdolny do utrzymania ptaszka w spodniach, chyba że w pobliżu jest żona. Zresztą nie tylko mój brat. Myślę, że wspomniana dolegliwość trapi wszystkich żonatych mężczyzn. Gdy tylko złożą małżeńską przysięgę, jeden z chromosomów informuje ich, że pora zacząć oszukiwać.

Tuck wyglądał tak, jakby jakiś olbrzym zdzielił go w twarz.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie... – zaczął.

– Zamilknij, Tuck. Już to przerabialiśmy.

Nie znałem jej od tej strony i wcale mi się nie podoba, pomyślał Sean.

– Czy Betack rozmawiał z Pam o tym, czego się dowiedział? – spytała Michelle.

– Niezupełnie.

– W takim razie o czym rozmawiali? – dociekał Sean.

– Kazałam agentowi Betackowi powiedzieć Pam, że Tuck jej nie oszukuje.

Nawet Tuck sprawiał wrażenie lekko zde gustowanego, choć kłamstwo Betacka pozwoliło ukryć

jego niewierność. Może sądził, iż jego zmarła żona sama też miała coś na sumieniu.

– Inaczej mówiąc, kazała mu pani ją okłamać? – spytała Michelle.

– Powtórny wybór mojego męża byłby zagrożony, gdyby doszło do jakiejś nieprzewidzianej katastrofy, także natury osobistej.

– Obawiałaś się, że gdyby romans Tucka wyszedł na jaw, Dan miał

by mniejszą szansę na reelekcję? Dlatego kazałaś Betackowi okłamać Pam? – powiedział Sean, nie kryjąc narastającego gniewu.

– Przecież pani ani prezydent nie jesteście stróżami brata – wtrąciła Michelle. – Tuck to dorosły mężczyzna. Mogłoby dojść do skandalu, ale pierwsza rodzina nie byłaby w niego zamieszana.

– Czasami trudno stwierdzić, gdzie się zaczyna i kończy pierwsza rodzina – odparła Jane. – W każdym razie wolałam, żeby opinia publiczna nie uprzedziła się do mego męża z powodu skandalu obyczajowego. Nawet gdyby nie stało się nic innego, opozycja zyskałaby punkt zaczepienia, którego wcześniej nie miała.

Był także inny powód, ale pierwsza dama postanowiła go nie wyjawiać z sobie tylko znanych przyczyn.

– Cóż, nie sądzę, aby Pam uwierzyła Betackowi – zauważył Sean.

– Dlaczego?

– Bo w dniu śmierci poprosiła, abyśmy złożyli jej wizytę. Nie wiedziała, że Tuck wróci tej nocy. Powiedziała, że ma pewną sprawę i chce, abyśmy się nią zajęli. Możesz zgadywać do trzech razy.

– Podczas przyjęcia w Camp David czułam, że nadal się niepokoi – przyznała Jane.

Tuck spojrzał na Seana.

– Kiedy nieoczekiwanie pojawiłem się w domu tamtej nocy, wyglądała na wkurzoną.

Sean skinął głową.

– Mogła próbować odwołać spotkanie, ale miała tylko mój numer biurowy. Nie знаła numeru komórki. Kiedy Tuck wrócił, byliśmy już w drodze.

– Teraz wiecie już wszystko – powiedziała Jane.

– Nie, nie wiecie wszystkiego.

Odwrócili się i ujrzeli agenta Aarona Betacka.

– Ty?

Betack wszedł do pokoju.

– Nie przypominam sobie, abym pana wezwała, agencie Betack – powiedziała ze zdumieniem Jane.

– Nie zrobiła pani tego. Wszedłem... wszedłem sam.
– Starszy agent pobladł.

– Jakim prawem? – zapytała gniewnie pierwsza dama.

Betack spojrzał niepewnie na pozostałych.

– Jedna z kobiet pracujących w kuchni Białego Domu otrzymała list... Shirley Meyers.

Jane wstała.

– Proszę natychmiast stąd wyjść, agencie Betack! W tej chwili!

Sean też wstał.

– Co się tu dzieje?

– Proszę wyjść! – warknęła Jane.

– Jaki list, Aaronie? – zapytała Michelle.

Zanim Betack zdążył odpowiedzieć, Jane sięgnęła po telefon.

– Wystarczy jeden telefon, Betack. Albo natychmiast wyjdiesz, albo twoja kariera będzie skończona.

– Pewnie już jest – odpowiedział Betack. – Ale czym jest kariera w porównaniu z życiem małej dziewczynki? Czy pani o tym pomyślała?

– Jak śmiesz tak się do mnie zwracać!

Tuck wstał.

– Ja się ośmielę! Jeśli ten list może zdecydować o życiu lub śmierci mojej córki, na pewno się ośmielę!

Jane spojrzała na niego, a później na pozostałych. Pod wpływem ich wzroku straciła pewność siebie. W końcu popatrzyła na Seana jak osaczone zwierzę rozpaczliwie pragnące rzucić się do ucieczki.

– Jane, jeśli dostałaś list mający związek z Willą, powinniśmy o tym wiedzieć. My i FBI.

– To niemożliwe.

Tuck chwycił ją za ramię.

– Do licha! Czy to prawda?!

Betack ruszył instynktownie, żeby bronić pierwszej damy, ale Michelle chwyciła ramię Duttona, zmusiła go

do puszczenia ręki siostry i pchnęła na kanapę.

– Uspokój się, Tuck. Wcale nam nie pomagasz. Jane nadal jest pierwszą damą.

– Mam gdzieś, kim jest! Mogłaby być prezydentem! Jeśli wie o czymś, co może nam pomóc w odzyskaniu Willi, muszę to wiedzieć!

Jane świdrowała Betacka wzrokiem.

– Skąd wiedziałaś o liście?

– Secret Service wie o wszystkim, co się dzieje w tym gmachu, pani Cox.

– Czy to list od porywaczy? – zapytał Sean.

Pierwsza dama w końcu odwróciła wzrok od Betacka.

– To możliwe. Nie mogę tego rozstrzygnąć. Nikt nie może.

– Sprawdzono odciski palców? – spytała Michelle.

– Chyba nie, skoro nie został tu przesłany i przeszedł przez wiele rąk, zanim znalazł się w moich – odparła chłodno.

– Gdzie on jest? – zapytał Sean.

– Zniszczyłam go.

Sean spojrzał niepewnie na Betacka.

– Jane, chodzi o śledztwo federalne. Jeśli wyjdzie na jaw, że świadomie zataiłaś lub zniszczyłaś...

– To może uniemożliwić reelekcję pani męża – dodała Michelle.

– Czemu zataiłaś otrzymanie listu? – zdziwił się Sean.

Jane nie spojrzała na niego.

– Byłam zaszokowana, że otrzymałam go w taki sposób. Chciałam dokonać oceny sytuacji, zanim zdecyduję, co robić.

Zaczyna się plątać, pomyślał Sean.

– Myślę, że powinny to ocenić właściwe służby – powiedział Betack. – Proszę, pani Cox, musimy wiedzieć, co się tu dzieje. Musi nam pani powiedzieć, co znajdowało się w tym liście.

– Dobrze, powiem. Napisali, że wkrótce otrzymam kolejny list adresowany na skrytkę pocztową. Przesłali mi jej adres i klucz.

Sean, Michelle i Betack wymienili spojrzenia.

Jane to zauważyła, bo dodała:

– Napisali, że jeśli do skrytki zbliży się ktoś choćby nieznacznie przypominający funkcjonariusza policji lub agenta federalnego, nigdy nie odzyskamy Willi.

– Czy dlatego nie powiedziałaś nam o liście? – zapytał Tuck.

– Oczywiście. Naprawdę sądzisz, że chcę, aby Willę spotkało coś złego? Kocham ją jak własne dzieci.

Sposób, w jaki to powiedziała, wydał się Seanowi nieco dziwny.

– Czy napisali, kiedy nadejdzie następny list?

– Nie. Mam sprawdzać skrytkę regularnie. Do dziś nic nie nadeszło.

– Trzeba powiadomić FBI – powiedział Betack.

Sean i Michelle przytaknęli, ale Jane potrząsnęła głową.

– Jeśli to zrobimy, nigdy nie odzyskamy Willi.
– Jane, federalni są dobrzy w takich sprawach.
– Tak, do tej pory byli wspaniali. Rozwikłali zagadkę? Nie mam pojęcia, czemu nie rozwiązali jej do tej pory.

– To niesprawiedliwe... – zaczęła Michelle.

– Co ty wiesz o sprawiedliwości? – Jane Cox podniosła głos.

– Kiedy otrzyma pani ten list, powinna nam go pani pokazać.

Spojrzała na Seana.

– Powinam?

– Utrudniałaś prowadzenie śledztwa, Jane. Okłamałaś nas, zataiłaś ważne informacje i sprawiłaś, że zmarnowaliśmy cenny czas. Taak, powinnaś była powiadomić nas i FBI. W przeciwnym razie możemy spakować manatki i zakończyć tę sprawę.

– Jane, na Boga, mówimy o życiu Willi – wtrącił Tuck. – Musisz pozwolić, żeby nam pomogli.

– Zastanowię się.

Tuck oniemiał, ale Sean powiedział:

– W porządku. Daj nam znać, kiedy się zdecydujesz.

– Wstał, kiwając Tuckowi i Michelle, żeby wyszli razem z nim.

– Nie zostaniesz z dziećmi? – spytała Jane.

Nawet na nią nie spojrzał.

– Nie.

Dutton wyszedł z pokoju sztywnym krokiem, a Sean i

Michelle ruszyli jego śladem.

Kiedy Betack się odwrócił, by do nich dołączyć, Jane rzuciła:

– Nigdy nie zapomnę tej zdrady, agencie Betack. Nigdy.

Betack oblizał wargi, jakby chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej uznał, że lepiej będzie tego nie robić. Odwrócił się i wyszedł.

Gdy opuszczali Biały Dom, Sean wziął Betacka na stronę.

– Pozwól na słówko, Aaron.

– Czyżbyście potrzebowali wolnego strzelca? Spodziewam się, że najbliższym czasie czeka mnie nieplanowana zmiana pracy.

– Chciałbym, żebyś się trochę rozejrzał.

– To znaczy?

– Chodzi o list, który otrzymała pierwsza dama.

– Powiedziała, że go zniszczyła.

– Skoro niemal wszystko, co powiedziała nam do tej pory, okazało się kłamstwem, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nadal go ma.

– Chcesz, żebym go odnalazł?

– Ja bym spróbował, ale ktoś mógłby zauważyć, że tu wężę. Wiem, jak działa ochrona.

– Zdajesz sobie sprawę, o co prosisz?

– Tak, proszę, żebyś pomógł nam ocalić małą dziewczynkę.

– Chcesz mnie do tego skłonić moralnym szantażem?

– Zrobiłbyś to, gdybym go nie użył?

Betack odwrócił wzrok. Po chwili spojrział na Seana.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Kiedy odprowadzili Tucka do Blair House, zadzwonił telefon Seana. Odebrał, wysłuchał wiadomości i uśmiechnął się.

– Czuję, że sprawy przybierają nieco pomyślniejszy obrót.

– Dlaczego? Z kim rozmawiałeś? – zapytała Michelle.

– Z kumplem z wydziału lingwistyki. Może zdołają nam coś powiedzieć o znakach na ramionach Pam.

- Wyczerpaliśmy niemal wszystkie możliwości – zaczął profesor Phil Jenkins, przyjaciel Seana z Uniwersytetu Georgetown. – Oczywiście nie jest to język yi, jak początkowo sądziłeś. To zupełnie inny alfabet. Na szczęście profesorowie college'u uwielbiają takie wyzwania, więc skontaktowałem się z kolegami z wydziału badań interdyscyplinarnych. To ciekawsze od sprawdzenia pięćdziesięciu egzaminów.

– Nie wątpię – odrzekła Michelle, przysiadając na krawędzi biurka Jenkinsa w jego zagraconym gabinecie. Wolałaby usiąść na krześle, ale na dwóch, które znajdowały się w pokoju, piętrzyły się stosy okazałych książek.

– Czego się dowiedziałeś? – spytał niecierpliwie Sean.

– Słyszałeś o muskogeana?

– O mieście w stanie Wisconsin lub Oklahomie?

– Miasto nazywa się Muskogee. Nie, muskogeana to język Indian, rdzennych mieszkańców Ameryki. Nie wdając się w techniczne szczegóły, dodam, że to cała rodzina języków.

– Znaki, które ci pokazaliśmy, zostały sporządzone w języku muskogeana? – zapytała Michelle.

– Właściwie w języku koasati, szerzej znanym jako coushatta. Narzecze to wywodzi się z języka muskogeana.

– Co oznaczają te znaki? – spytał Sean. – Te, które ci

daliśmy?

Jenkins spojrział na kartkę, na której wypisano indiańskie litery.

– Było to nieco trudne, bo nie zaznaczono akcentów ani znaków interpunkcyjnych. Na przykład, między *chaffa* i *kan* powinien być przecinek. Na dodatek litery nie zostały podzielone na poszczególne słowa. To dodatkowo skomplikowało sprawę.

– Wygląda, że nie chcieli ułatwić nam pracy – zauważył Sean.

– Właśnie – przytaknął Jenkins. – Wydaje się, że treść napisu jest następująca: *chaffakan* to jeden, *hatka* oznacza biały, a *tayyi* – kobietę.

– Jedna biała kobieta? – zapytał Sean.

– Jedna martwa biała kobieta – poprawiła Michelle.

Jenkins spojrział na nią przenikliwie.

– Martwa?

– To długa historia, Phil – wyjaśnił Sean. – Co możesz nam powiedzieć o języku koasati?

– Skonsultowałem się z profesorem, który bada języki rdzennych mieszkańców Ameryki. Właściwie to on rozszyfrował napis. Plemię Koasati wchodziło w skład plemienia Krików mieszkającego na terenie dzisiejszej Alabamy. Gdy na ich ziemie zaczęli napływać biali osadnicy i gdy wzmożyły się ataki rywalizujących plemion, Koasati i Alibamu przenieśli się do Luizjany, a następnie do Teksasu. Obecnie na terenie Alabamy nie ma żadnych członków tego plemienia. Większość ludzi posługujących

się tym językiem, a dodam, że jest ich zaledwie kilkuset, żyje w Allen Parish, na północ od Elton w Luizjanie. Garstka mieszka także w Livingston w Teksasie.

Michelle i Sean spojrzeli na siebie.

– Teksas i Luizjana. Spory obszar – zauważyła Michelle.

– Nawet jeśli ograniczymy go do miast i kilkuset ludzi? – zapytał Sean.

– Czemu wypisali te słowa na ramionach Pam? Dali nam trudną zagadkę, ale możliwą do rozwiązania. – Michelle się zadumała.

– Czy te słowa wypisano na ramionach kobiety? – wtrącił się Jenkins. – Wspomniałaś o martwej kobiecie?

– Nie denerwuj się, Phil. Nie sądzę, żeby zamierzali przekazać to w innym języku. Dzięki za pomoc.

Sean pokręcił głową, wychodząc z gabinetu przyjaciela.

– Mam wrażenie, że ten zabieg miał odwrócić naszą uwagę.

– Odwrócić uwagę i wprawić w osłupienie. Przecież nie musieli tego robić.

– Racja.

– Co teraz?

– Musimy pogadać z Watersem. Powiedzieć mu, czego się dowiedzieliśmy.

– Z tym palantem? Dlaczego?

– Bo obiecaliśmy. Poza tym trzeba jak najszybciej odnaleźć Willę. Federalni będą nam potrzebni.

– Taak. Tylko nie bądź zaskoczony, jeśli zwrócą się przeciwko nam.

Sean zadzwonił do Watersa. Ustalili, że spotkają się w barze oddalonym kilka przecznic od centrali FBI mieszczącej się w gmachu Hoovera.

– Nie spodziewałem się, że zadzwonicie – powiedział, gdy usiedli przy stoliku w bocznej części sali.

– Obiecałem, że zadzwonię, jeśli się czegoś dowiemy.

– Słucham.

– Napis na ramionach Pam Dutton został sporządzony w indiańskim narzeczu koasati.

Waters się wyprostował.

– Wiesz, co oznacza?

– „Jedna biała kobieta” – odpowiedziała Michelle. – Nic nowego.

– To nie ma sensu – zauważył Waters.

– Przypuszczamy, że próbowali nieporadnie wyprowadzić nas w pole, kiedy spieprzyli robotę.

– Spieprzyli? Jak?

– Facet musiał wpaść w panikę i zabił Pam, choć wcale tego nie planowali. Później napisał jej na rękach te znaki, żeby odwrócić naszą uwagę – wyjaśnił Sean. – Nie sądzę, aby ktokolwiek miał umrzeć tamtej nocy. Tuck byłby dla nich najpoważniejszym zagrożeniem, a tylko go ogłuszyli, choć mogli wpakować mu kulkę.

– Rozumiem. Co wiemy o języku koasati?

Sean podzielił się z Watersem informacjami od Phila Jenkinsa o indiańskim plemieniu.

– Być może zawęzi to obszar poszukiwań. – Waters westchnął z powątpiewaniem. – Czy jakieś indiańskie plemię mogło się tak bardzo wkurzyć na prezydenta, żeby porwać mu bratanicę? Mocno naciągane.

– Po drugie – ciągnął dalej Sean – Pam Dutton urodziła tylko dwoje dzieci. Sądzymy, że Willa została adoptowana.

– Wiem. Lekarz sądowy wspomniał o tym w raporcie, kiedy zwróciliście mu na to uwagę.

– Gadaliśmy z Tuckiem. Nie powiedział ani słowa. Stwierdził, że nam odbiło. Pierwsza dama też utrzymuje, że o niczym nie wie. Twierdzi, że Duttonowie mieszkali we Włoszech, kiedy Willa przeszła na świat. Albo kiedy się rzekomo urodziła.

– Może to nie Willa została adoptowana – powiedział w zamyśleniu Waters.

– Pozostała dwójka jest bardzo podobna do rodziców – przypomniała Michelle.

– Lekarz sądowy wspomniał o dwóch porodach, więc niezależnie od tego, które dziecko adoptowali, Tuck kłamie – kontynuował Sean. – Będziecie musieli wywrzeć presję, by wyciągnąć z niego prawdę.

– Wywarcie presji na szwagra prezydenta nie jest łatwe – zauważył nerwowo Waters.

– Muszą być gdzieś jakieś dokumenty potwierdzające, że Willa została adoptowana. W Stanach albo we Włoszech. Jestem pewny, że FBI może się tego dowiedzieć.

– Sądysz, że fakt adopcji może mieć jakiś związek z porwaniem małej?

– Czy może być inaczej?

– Chwileczkę – wtrąciła Michelle. – Co w tym złego, że Willa została adoptowana? Czemu Tuck nie chce nam o tym powiedzieć? Przecież adopcja nie jest nielegalna.

– Może problemem jest nazwisko naturalnej matki – wycedził wolno Sean.

– Albo ojca – dodała Michelle.

Cała trójka pograżyła się w zadumie.

– Pierwsza dama o niczym nie wie? – przemówił w końcu Waters. – Przecież chodzi o jej brata?

– Tak twierdzi – odpowiedział Sean.

Waters zmierzył go przenikliwym spojrzeniem.

– Nie wierzysz jej?

– Tego nie powiedziałem.

– A zatem wierzysz?

– Tego też nie powiedziałem. – Rozsiadł się na krześle i spojrzał na agenta FBI. – A co u was?

Waters przybrał kamienny wyraz twarzy.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że mamy się spotkać, aby wymienić informacje.

– Jeśli będziemy ze sobą współpracować, szansa odnalezienia Willi Dutton żywej może nieco wzrosnąć.

Waters nadal nie był przekonany.

– Słuchaj, powiedziałem już, że nie obchodzi mnie, komu przypadnie zasługa i chwała. Zależy nam wyłącznie na odzyskaniu małej.

- Nie możesz na tym stracić – zauważyła Michelle.
- Waters dopił piwo i spojrzał na nią z zaciekawieniem.
- Czy twoja matka naprawdę została zamordowana?
- Tak.
- Są jakieś tropy?
- Głównym podejrzanym jest mój tata.
- Jezusie!
- Nie, na imię ma Frank.
- Nie powinnaś się skupić na tej sprawie?
- Jestem kobietą.
- Co z tego?
- W przeciwieństwie do mężczyzn mogę się zajmować kilkoma sprawami równocześnie.

Sean klepnął Watersa w ramię.

- No to jak będzie, Chuck?

Waters dał znak kelnerowi, żeby przyniósł drugą kolejkę.

– Na ciele Pam Dutton znaleźliśmy włos należący do kogoś, kto nie był członkiem jej rodziny.

– Nie sądzę, aby DNA odnalazło się w kryminalnej bazie danych – powiedziała Michelle.

– To prawda, ale przeprowadziliśmy inne badania. Zleciliśmy analizę izotopową, aby znaleźć jakieś wskazówki o charakterze geograficznym.

Sean i Michelle wymienili spojrzenia.

- Co ustaliliście?
- Że właściciel włosa przez wiele lat spożywał warzywa i pokarmy bogate w tłuszcze zwierzęce.

- Co z tego wynika? – zapytała Michelle.
- Niewiele, choć obecnie w jadłospisie przeciętnego Amerykanina nie ma zbyt wielu warzyw.
- Czy tłuszcze zwierzęce i warzywa były przetworzone? – kontynuowała Michelle.
- Nie, choć zaobserwowano podwyższony poziom sodu.

Sean spojrział na Watersa.

– Może gość mieszka na farmie? Rolnicy zabijają i zjadają własne zwierzęta. Marynują mięso solą. Zbierają płody rolne. Konserwują je solą i wekują.

– To możliwe – przytaknął Waters. – Wykryto coś jeszcze. – Zawahał się.

– Nie trzymaj nas w napięciu – zażartował Sean.

– Chodzi o wodę, którą pił. Analiza izotopowa coś ujawniła. Analitycy z laboratorium zawęzili obszar do Georgii, Alabamy i Missisipi.

– To pasuje do trójkąta, w którym nadano przesyłki – zauważyła Michelle.

– Trzy sąsiednie stany – powiedział cicho Sean, wpatrując się w szklanekę.

– Najwyraźniej tamtejsza deszczówka i woda pitna ma jakieś charakterystyczne cechy – powiedział Waters. – Prowadzono rozległe badania w tej dziedzinie, więc analitycy mają pewność w tej kwestii.

– Potrafią stwierdzić, czy była to woda z wodociągu, czy studni?

– Nie odnotowano obecności chloru i innych

substancji odkażających – odrzekł Waters.

– Zatem jest pochodzenia wiejskiego?

– To możliwe, choć istnieje wiele rodzajów wód występujących w źródłach na tym terenie. Mieszkałem w jednym z takich miejsc, zanim mnie tu przenieśli.

– A dieta bogata w warzywa i nieprzetworzony tłuszcz zwierzęcy?! – wykrzyknął Sean.

– W porządku, gość może mieszkać na wsi. Mimo to obszar, który trzeba zbadać, jest całkiem spory.

– Ten rejon nie pokrywa się z obszarem, na którym mieszkają ludzie posługujący się narzeczem koasati – zauważyła Michelle. – Z Teksasem i Luizjaną.

– Przecież Koasati wywodzili się z Alabamy – przypomniał Sean.

– Kiedyś tam mieszkali, ale dziś już nie.

– Możecie sprawdzić to pod kątem Koasati? – spytał Watersa.

Chuck Waters skinął głową.

– Natychmiast wyślę agentów. – Przyjrzał się im uważnie. – To wszystko, co wiecie?

Sean dopił napój i wstał.

– To wszystko, czym warto się podzielić.

Zostawili Watersa pochylonego nad drugim kuflem piwa i wrócili do SUV-a. Po drodze zadzwonił telefon Michelle. Spojrzała na ekran.

– Kto to? – zapytał Sean.

– Jakaś Tammy Fitzgerald.

– Co za jedna?

– Nie mam pojęcia.

Schowała telefon i powiedziała:

– Nie wspomniałeś naszemu koledze z FBI o liście, który dostała pierwsza dama.

– Fakt, nie zrobiłem tego.

– Dlaczego?

– Bo chcę, żeby się pozbierała, zanim rzucę ją na pastwę FBI, narażając na zarzut utrudniania śledztwa. Prezydent mógłby się pożegnać z reelekcją, a całkiem nieźle sobie radzi.

– Chyba żartujesz! Kogo obchodzą polityczne skutki dla pierwszej pary? A jeśli Willa zginie? Czy nie zależy ci na tym, żeby ją odzyskać? Wciskałeś Watersowi kit?

Sean zatrzymał się i odwrócił ku niej.

– Michelle, staram się, jak mogę, rozumiesz? To skomplikowana sprawa. Cholernie skomplikowana.

– Sam ją komplikujesz. Osobiście wolę proste rozwiązania. Chcę odnaleźć Willę w każdy możliwy sposób.

Zamierzał coś powiedzieć, ale przerwał i spojrzał w bok.

Michelle odwróciła się i zobaczyła, na kogo patrzy.

Po drugiej stronie ulicy szli dwaj mężczyźni w strojach z wojskowym kamuflażem.

– Psiakrew.

Michelle spojrzała na Seana.

– Co jest?

– Powiedziałaś, że facet, który strzelał do ciebie z

MP5, miał na sobie wojskową kamizelkę kuloodporną.

– Tak.

– No właśnie – odrzekł Sean.

Gabriel starał się oddychać jak najciszej. Trzymał w ręku pęk kluczy i przed zrobieniem każdego kroku bacznie nasłuchiwał dźwięków dolatujących z zakamarków i szczelin Atlee. Dziwił się sobie, bo nie wiedział do końca, czemu to robi. W głębi duszy domyślał się dlaczego – z ciekawości. Sam Quarry często powtarzał Gabrielowi, że ciekawość jest dobrą cechą, bo oznacza, że żyjesz i zastanawiasz się, jak działa świat. Gabriel nie sądził, aby pan Sam pochwalił jego ciekawość akurat w tym momencie, bo schodził do piwnicy w środku nocy, żeby zobaczyć coś, co pan Sam chciał ukryć przed nim i innymi.

Minął stary piec, który w ciemności przypominał przyczajonego żelaznego potwora gotowego pożreć małego chłopca. Później dostrzegł stary sejf z obrotową tarczą. Sejf miał tak wytarte numery i nacięcia, że były prawie niewidoczne. Żeby otworzyć drzwi, trzeba było przekręcić mosiężną rączkę. Gabriel nigdy nie próbował sforsować sejfu, choć często o tym myślał. Jaki żądny przygód chłopiec nie chciałby tego zrobić?

Smyrgnął korytarzem, próbując nie wdychać zatechłego wilgotnego powietrza. Mieszkając w takim miejscu jak Atlee, nie mógł nie nabawić się jakiejś alergii na pleśń, ale mimo to dzielnie posuwał się naprzód.

Dotarł do pierwszych drzwi i spojrzał na pęk kluczy. Sprawdził zamek, próbując odgadnąć, który będzie

pasował. W ten sposób wyeliminował trzy czwarte, a następnie zaczął wkładać kolejno pozostałe. Trzeci okazał się właściwy.

Zamek głośno zgrzytnął, gdy zapadki znalazły się na miejscu. Gabriel zamarł, bo zdawało mu się, że usłyszał ciężkie kroki na schodach. Po minucie wstrzymywania oddechu i modlitw, aby jego myszkowanie po domu nie obudziło pana Sama z twardego snu, wsunął pęk kluczy do kieszeni i uchylił drzwi.

Otworzyły się cicho na naoliwionych zawiasach. Wiedział, że pan Sam dba, aby wszystko działało jak należy. Jednym z powodów, dla których tu zszedł, być może najważniejszym, była chęć zobaczenia miejsca, w którym trzymano niewolników za takie szalone rzeczy jak próba ucieczki, jakby każdy więzień, nieważne biały czy czarny, nie próbował zrobić tego samego.

Kiedy zamknął za sobą drzwi i włączył małą latarkę, ujrzał rząd sfatygowanych szaf z dokumentami. Przesunął snop światła w górę i szczęka mu opadła na widok gęsto zapisanych tablic i pinesek połączonych nitkami, zdjęć przedstawiających ludzi i miejsca oraz kart katalogowych. Podeszedł bliżej, marszcząc młode czoło ze zdumienia i konsternacji. Odwrócił się na pięcie, omiatając promieniem światła pozostałe ściany. Coś ukłuło go w głębi piersi.

Strach.

Jednak ciekawość zwyciężyła i chłopak podeszedł do tablicy, która sądząc po datach, była chyba pierwsza w

kolejności. Pozbawione znaczenia nazwiska, miejsca i daty ożyły. Kiedy śledził opowieść przedstawioną w miejscu, gdzie sto pięćdziesiąt lat temu umierali ludzie jego rasy, strach zaczął ponownie powracać.

Gabriel miał doskonałą pamięć. To dzięki niej był takim dobrym uczniem. Chłonał informacje jak gąbka, ale po chwili nawet jego umysł zaczął pękać od nadmiaru danych. Pomyślał, jaki wspaniały umysł musiał mieć Sam Quarry. Zawsze uważał pana Sama za najmądrzejszego, najbardziej przenikliwego i samodzielnego na świecie. Istniało niewiele problemów, których Quarry nie potrafiłby rozwiązać, jednak to, co Gabriel ujrzał w piwnicy, sprawiło, że zaczął go darzyć nowym szacunkiem, a raczej pełnym bojaźni podziwem.

Jednak podziw nie usunął lęku, który począł zataczać coraz szersze kręgi.

Chłopak był tak pochłonięty opowieścią, że nie usłyszał, jak otwierają się drzwi, i nie zwrócił uwagi na kroki za plecami.

Kiedy poczuł na ramieniu czyjaś dłoń, nogi się pod nim ugięły i mało nie krzyknął.

– Gabrielu!

Odwrócił się i ujrzał matkę w starym szlafroku.

– Co tu robisz?!

– Mama?

Potrząsnęła nim.

– Co tu robisz?! – powtórzyła gniewnie, wystraszona.

– Wszędzie cię szukałam! Myślałam, że coś ci się stało!

Przeraziłeś mnie na śmierć, chłopcze!

– Przepraszam, mamusiu.

– Co tu robisz?! – spytała kolejny raz. – Odpowiadaj!
Oświecił latarką ściany piwnicy.

– Popatrz!

Ruth Ann rozejrzała się wokół, lecz w jej oczach nie było ciekawości. Odwróciła się do syna.

– Nie powinieneś tu wchodzić! Jak tu się dostałeś?

Wyciągnął klucze, a ona wyrwała mu je z ręki.

– Mamusiu, spójrz. Proszę. – Wskazał ściany pokryte notatkami.

– Nic mnie to nie obchodzi! Zależy mi tylko na tym, aby wyekspediować cię do łóżka.

– Spójrz na zdjęcie tej dziewczynki. Kiedy byłem w szkole, pokazywano ją w telewizji.

Wymierzyła mu policzek. Szok na twarzy Gabriela wskazywał, że nie spotkało go to nigdy wcześniej.

– Coś ci powiem – wysapała Ruth Ann. – Pan Sam zapisał nam ten dom w testamencie. Wszystko, co mamy, otrzymaliśmy od niego. Nie waż się powiedzieć na niego złego słowa, bo zdzielę cię jeszcze mocniej.

– Ale mamo...

Cofnął się na widok uniesionej ręki.

– Powiem ci coś jeszcze. Znam Sama Quarry'ego szmat czasu, kiedy nie byłeś większy od mojej pięści. Przyjął nas do siebie, choć nie miał powodu. To dobry człowiek. Jeśli coś tu robi, to jego sprawa. Nie wiem, co to wszystko znaczy, ale wiem, że musi mieć ważny

powód, żeby się tym zajmować. Chodźmy, chłopcze.

Chwyciła go za ramię i wyprowadziła na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Kiedy wchodzili po schodach, Gabriel jeszcze raz spojrział w kierunku piwnicy, a następnie niemal pobiegł do swojego pokoju, przynaglony klapssem wymierzonym przez rozgniewaną matkę.

Jane Cox nie powierzyła zadania codziennego sprawdzania skrytki pocztowej żadnemu ze swoich pracowników. Sęk w tym, że pierwsza dama musiała chodzić niemal wszędzie w towarzystwie licznej świty. Zgodnie z prawem prezydent i pierwsza dama nie mogli podróżować w pojedynkę.

Opuściła prywatną część rezydencji i zeszła na dół. Miała dwie wolne godziny, co zdarzało się niezwykle rzadko, więc poinformowała szefa personelu, że chce się przejechać. Robiła to codziennie od czasu otrzymania listu. Musiała okazać stanowczość. Żadnej kolumny pojazdów. Jedna limuzyna i jeden samochód obstawy. Była kategoryczna w tej kwestii.

Nie pojechali pierwszym cadillakiem, który agenci Secret Service nazywali pieszczotliwie „Bestią” – ważącym niemal dziesięć tysięcy funtów pojazdem zdolnym wytrzymać niemal wybuch atomowy – z którego korzystali prezydent i pierwsza dama. Prawdę mówiąc, Jane nienawidziła podróżowania Bestią. Szyby cadillaca miały grubość książki, a z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki. Jane czuła, że się dusi, jakby znajdowała się pod wodą lub przebywała na innej planecie.

Trzej agenci jechali razem z nią limuzyną, a sześciu innych – w podążającym z tyłu SUV-ie. Nie byli zadowoleni z takiego układu, ale czerpali pewną pociechę z faktu, że nikt nie wiedział, iż w środku jest pierwsza

dama. Mimo to zachowywali nieustanną czujność, mknąc ulicami Waszyngtonu.

Na polecenie Jane samochód zatrzymał się naprzeciw niepozornego punktu Mail Boxes Etc. w południowo-zachodniej części miasta. Z tego miejsca pierwsza dama mogła popatrzeć do środka, na rząd skrytek w jednej ze ścian. Zawiązała chustkę na głowie, włożyła kapelusz i opuściła rondo na czoło. Na nos włożyła okulary przeciwsłoneczne i postawiła kołnierz płaszcza.

– Niech pani tego nie robi, proszę pani – wybąkał szef obstawy. – Nie sprawdziliśmy tego miejsca.

– Nie sprawdziliście go ani razu, od kiedy zaczęłam tu przyjeżdżać – odparła niewzruszenie. – Nie sprawdziliście i nic się nie stało.

– Gdyby coś się stało... – Urwał i spojrzał na nią z napięciem w oczach. Gdyby coś się stało, jego kariera byłaby skończona. Pozostali członkowie obstawy byli równie zaniepokojeni jak on. Żaden nie chciał zaprzepaścić swojej kariery z powodu jakiegoś incydentu.

– Już ci powiedziałam, że wezmę na siebie pełną odpowiedzialność.

– To może być pułapka.

– Powtarzam, że wezmę na siebie pełną odpowiedzialność.

– Nasze zadaniem polega na tym, aby panią chronić.

– A moje na podejmowaniu decyzji w sprawach własnej rodziny. Możecie obserwować punkt z

samochodu, ale pod żadnym pozorem nie wolno wam wychodzić.

– Może pani być pewna, że wysiądę, jeśli zauważę najmniejsze zagrożenie.

– Zgoda. Niech tak będzie.

Wszystkie oczy w dwóch samochodach, w tym cztery pary uzbrojone w silny sprzęt optyczny, zwróciły się w kierunku szyby wystawowej, obserwując pierwszą damę, która przeszła na drugą stronę ulicy i weszła do środka. W środku czekali już czterej agenci, o których Jane Cox nie wiedziała. Niepozornie ubrani przypominali zwykłych klientów. Dwaj inni obstawili tylne wejście. Secret Service była dobrze przygotowana do radzenia sobie z pełnymi temperamentu, trudnymi i niezależnie myślącymi członkami pierwszej rodziny.

Jane podeszła prosto do skrytki pocztowej, otworzyła ją własnym kluczem i nie znalazła niczego w środku. Niecałą minutę później siedziała już w samochodzie.

– Ruszaj – powiedziała kierowcy, pograżając się w skórzanym fotelu.

– Czy mógłbym jakoś pani pomóc? – zapytał szef obstawy.

– Nikt nie może mi pomóc – odrzekła buntowniczo lekko łamiącym się głosem.

Droga powrotna do Białego Domu upłynęła w milczeniu.

W chwili gdy pierwsza dama opuściła rezydencję, Aaron Betack przystąpił do roboty. Pod pretekstem

rutynowego sprawdzenia, czy w korytarzu, przy którym był usytuowany gabinet pierwszej damy, nie ma urządzeń podsłuchowych, wszedł do jej pokoju i poprosił pracowników o wyjście, gdy będzie przeprowadzał sprawdzanie.

Dotarcie do gabinetu pierwszej damy zajęło mu zaledwie minutę. Otworzył szufladę biurka, znalazł list, wykonał kopię i odłożył oryginał na miejsce. Spojrzał na treść pisma, zanim wsunął go do kieszeni garnituru.

Nigdy dotąd tego nie zrobił, mimo długich lat służby. Popęłnił przestępstwo, za które mógłby dostać kilka lat w ciężkim więzieniu federalnym, gdyby został przyłapany.

Jednak to, co znalazł, wydawało się warte każdej minuty kary.

Sean i Michelle spędzili cały wieczór i większą część następnego dnia na odkrywaniu, że w Georgii, Missisipi i Alabamie istnieje kilkanaście baz wojskowych, w których służą setki tysięcy ludzi. Zbyt wielu, aby mogli wykorzystać ten trop w śledztwie. Siedzieli w biurze, kiedy Sean wpadł na pewien pomysł. Zadzwoił do Chucka Watersa i nagrał wiadomość. Kilka minut później agent FBI oddzwonił.

– Przeprowadziliście badanie izotopowe próbki włosów? – zaczął Sean.

– Czemu pytasz?

– Czy badanie wykazało coś jeszcze?

– Na przykład?

– Wiem, że w ten sposób można ustalić, czym się odżywialiśmy w ostatnim okresie, ale czy zauważono jakieś anomalie w łańcuchu?

– Anomalie?

– Przerwę w łańcuchu, na przykład po wprowadzeniu nowej diety.

– Zaczekaj.

Sean usłyszał szelest kartek i skrzyp fotela.

– Nie widzę niczego takiego – powiedział Waters.

– Niczego niezwykłego?

Kolejny szelest papieru.

– Nie jestem naukowcem. Już mówiliśmy o tym, że sprawca mógł pochodzić ze wsi, bo odżywiał się

nieprzetworzonym mięsem i warzywami oraz pił wodę ze studni.

– Taak.

– No właśnie. W pokarmie stwierdzono podwyższoną zawartość soli, co ma sens, bo farmerzy konserwują nią żywność, prawda?

– Prawda. Już o tym gadaliśmy.

– Właśnie. Oprócz podwyższonego poziomu soli odnotowano zwiększony poziom sodu.

– Słuchaj, Chuck, sól to sól. Farmerzy używają jej do konserwowania warzyw i mięsa.

– Drogi Einsteinie, wiem o tym. Naukowcy opracowali nową technologię, która pozwala odróżniać różne rodzaje sodu wykrywane podczas badania izotopowego. Z testu wynika, że sól, który odkryto w podwyższonej ilości, wchodzi w skład specjalistycznego produktu wytwarzanego na skalę przemysłową, ale niedostępnego na rynku.

– Sprzedawanego instytucjom rządowym? Na przykład wojsku? Jak sól używany w wojskowych racjach żywnościowych?

– Jeśli wiesz o wojskowych racjach żywnościowych, czemu marnujesz mój czas? – spytał gniewnie Waters.

– Tylko podejrzewałem. Nie byłem pewny, dopóki mi nie powiedziałeś. Skoro o tym wiedziałeś, byłoby miło, gdybyś nas powiadomił.

– Prowadzę śledztwo, a nie firmę doradczą, King.

– Na rynku można dostać wojskowe racje

żywnościowe. Takie żarcie kupują ludzie wyjeżdżający na obozy przetrwania. Jesteś pewny, że to inny rodzaj sodu?

– Ilość sodu w wojskowych racjach żywnościowych jest wyższa od tej, która występuje w produktach dostępnych na rynku. Co z tego, że gość odżywiał się wojskowym żarciem? To ograniczy obszar poszukiwań do kilku milionów ludzi.

– Może tak, a może nie.

– Jak to?

– Jeśli porywaczami są żołnierze, można sprawdzić DNA w bazie próbek włosów poborowych w kartotekach Pentagonu. Teraz pobierają próbki DNA od wszystkich.

– Próbowałem, ale ich pieprzony system wysiadł. Prowadzenie dwóch wojen równocześnie musiało uszczuplić budżet na utrzymanie sprzętu komputerowego. Zacznie działać dopiero za kilka tygodni.

– Super. – Sean rozłączył się i spojrzał na Michelle.

– Do czego ma nas doprowadzić ten trop? – zapytała.

– Domyślaliśmy się, że sprawcy są wojskowymi. Teraz to potwierdziliśmy. Mimo to trudno będzie ich odnaleźć. Wygląda na to, że w najbliższym czasie nie da rady przeprowadzić porównania DNA.

– Nie mogą nadal służyć w armii?

– Facet miałby dokonać porwania w czasie wolnym od służby? A później wrócić do bazy z podrapaną gębą i siniakiem po kuli na piersi?

– Zatem został zwolniony?

– Przypuszczalnie. Honorowo albo dyscyplinarnie.

Niewielka to pomoc, bo w tym kraju są miliony byłych żołnierzy.

Michelle spojrzała na pierś Seana.

– Poplamilem się kawą? – zapytał.

– Facet miał kamizelkę kuloodporną. Odchodząc ze służby, można zabrać jakieś rzeczy należące do państwa, ale kamizelkę kuloodporną?

– Można ją kupić na ulicy.

– Pewnie i tak, ale można również zabrać ze sobą.

– Byłoby trudno ją ukryć podczas odchodzenia do cywila.

– A jeśli odszedł bez wypisania?

– Zdezzerterował?

– To ograniczyłoby nasze poszukiwania do jakiegoś miliona. Znasz kogoś, kto mógłby poszukać gościa zamiast nas? – zapytała.

Sean podniósł słuchawkę telefonu.

– Tak. Kiedy pracowałem w Secret Service, poznałem dwugwiazdkowego generała. Może zdołam go skusić biletem na mecz Redskinsów?

– Masz go?

– Nie, ale dla godnej sprawy mogę zdobyć.

- To wbrew przepisom, panie Quarry – zaproponował lekarz dyżurny. – Wcale nie – odparował Quarry. – Przyjechałem, żeby zabrać córkę do domu. Nie ma w tym niczego niedozwolonego.

– Tippi jest podłączona do aparatury podtrzymującej życie. Nie może samodzielnie oddychać – wyjaśnił lekarz, jakby tłumaczył dziecku.

Quarry wyciągnął dokumenty.

– Już to przerabiałem z tymi w biurze. Mam pełnomocnictwo do opieki medycznej i tak dalej. Do cholery, mogę ją zabrać, dokąd zechcę, a pan nie może mi w tym przeszkodzić.

Lekarz ponownie przejrzał dokumenty wręczone przez Quarry'ego.

– Umrze, jeśli odłączymy ją od aparatury.

– Nie, o wszystko się zatroszczyłem.

– Co to znaczy, że się pan zatroszczył? – zapytał sceptycznie lekarz.

– Mam aparat oddechowy i wszystkie urządzenia, który wstawiliście do jej pokoju.

– Jak to możliwe? To bardzo drogi sprzęt. Drogi i skomplikowany.

– Rok temu w hurtowni sprzętu medycznego wybuchł pożar. Z powodu przepisów musieli tanio sprzedać mnóstwo urządzeń, które nie zostały zniszczone. Respirator i rurkę tracheostomijną, monitor do śledzenia

funkcji życiowych organizmu, rurkę do karmienia, zestaw do dożylnego podawania leków. Sprawdziłem wszystko. Urządzenia działają jak należy. Założę się, że są w lepszym stanie od gówna, które tu macie. W szpitalu jest stary sprzęt. Wiem, bo przychodzę tu od lat. Nie sądzę, abyście zmienili którekolwiek z urządzeń.

Lekarz nerwowo zachichotał.

– Panie Quarry...

– Niech pan przygotuje pacjentkę. Poproszę, żeby karetka podjechała pod drzwi.

– Ambulans?

– Taak. A co? Mam ją przewieźć do domu furgonetką? Człowieku, rusz tą pieprzoną głową. Wynająłem ambulans. Specjalny, z aparaturą podtrzymującą życie. Czeka na zewnątrz. – Wyrwał mu dokumenty. – Proszę ją przygotować do drogi – rzucił i wyszedł.

– Jakim cudem będzie pan mógł się o nią zatroszczyć?

Quarry odwrócił się na pięcie.

– Znam procedurę lepiej niż pan. Wiem, jak ją karmić i podawać jej lekarstwa. Wiem, jak ją myć, ćwiczyć kończyny i przewracać, żeby nie dostała odleżyn. Znam cały ten kram. Nawiasem mówiąc, czy pan jej kiedykolwiek czytał?

Lekarz spojrział na niego ze zdumieniem.

– Czy jej czytałem? Nie.

– A ja tak. Czytałem przez te wszystkie lata.

Przypuszczalnie tylko to podtrzymywało ją przy życiu. – Wskazał palcem lekarza. – Przygotuj ją pan do drogi, bo moja mała dziewczynka w końcu wraca do domu.

Quarry podpisał stertę papierów zwalniających szpital z wszelkiej odpowiedzialności i Tippi opuściła swoje więzienie, gdy słońce stało jeszcze na niebie. Quarry zmrużył oczy od oślepiającego blasku i patrzył, jak pielęgniarze ładują jego córkę do ambulansu. Następnie wsiadł do starej furgonetki, pokazał środkowy palec i ruszył przodem, prowadząc karetkę do Atlee.

Kiedy zajechali przed dom, wszystko było gotowe. Carlos i Daryl pomogli sanitariuszom przenieść nosze. Zapłakana Ruth Ann i Gabriel obserwowali dziwny korowód. Dorosła córka powróciła do tego samego pokoju, który zajmowała jako młoda dziewczyna. Nic się w nim nie zmieniło. Quarry i jego żona zatrzymali wszystkie sprzęty, kiedy Tippi opuściła rodzinny dom. Najpierw college i staż w firmie marketingowej w Atlancie, a później szpital i aparatura do oddychania, choć nie skończyła jeszcze trzydziestu lat.

Jego piękna dziewczyna wróciła do domu.

Ambulans odjechał dopiero wtedy, gdy pielęgniarzka intensywnej opieki medycznej upewniła się, że sprzęt Quarry'ego jest odpowiedni i został należycie podłączony. Później Quarry zamknął za nimi drzwi, usiadł obok Tippi i ujął jej dłoń w swoje.

– Wróciłaś do Atlee, mała. Tatuś przywiózł cię do domu, Tippi.

Uniósł jej rękę, wskazując różne rzeczy w pokoju.

– To niebieska kokarda, którą dostałaś za wiersz. A to sukienka, którą mama uszyła ci na zakończenie studiów. Cudownie w niej wyglądałaś, Tippi. Nie chciałem wypuścić cię w niej z domu. Nie, nie chciałem, żeby chłopcy cię w niej widzieli. Byłaś taka piękna. – Wskazał fotografię stojącą na małej biblioteczce.

Zdjęcie przedstawiało całą rodzinę. Mamę, tatę i trójkę małych dzieci. Daryl nie był jeszcze barczysty – uroczy chłopak o okrągłej dziecinnej twarzy. Stojąca w środku Suzie spoglądała jak zawsze buntowniczym wzrokiem. Tippi miała na głowie zawadiacko przekrzywiony kapelusz z gazety i paska skóry. Złociste włosy opadały na ramiona. Uśmiechała się cudownie i patrzyła z szelmowskim błyskiem w oku. Chociaż Quarry wypłakał wszystkie łzy, gdy patrzył na zdjęcie Tippi – na Tippi z lśniącościami oczami i w śmiesznym kapeluszu na głowie, która miała przed sobą całe życie i nie przeczuwała tragicznych wydarzeń – jego oczy zwilgotniały.

Delikatnie położył rękę córki na łóżku, a następnie wstał i wyjrzał przez okno. Jego dziewczynka wróciła do domu. Postanowił nacieszyć się tym do syta, a później napisać kolejny list.

Spojrzał na Tippi, wsłuchując się w mechaniczny szum urządzenia, które podtrzymywało pracę jej płuc i serca. Później rzucił okiem na fotografię. Zamykając i otwierając oczy, przeniósł obraz Tippi z fotografii na tę,

która leżała w łóżku. W świetle jego wyobraźni córka jedynie odpoczywała. Za chwilę miała się obudzić, wstać, uściskać tatusia i zacząć dalej żyć.

Quarry usiadł wygodnie w fotelu. Ponownie zamknął oczy i przez chwilę marzył.

Telefon Michelle zadzwonił ponownie. Czekali dwa dni na wiadomość od kolegi Seana z wojska, ale najwyraźniej uzyskanie informacji na temat dezertersów z trzech stanów nie było prostą sprawą.

– Kto to? – zapytał Sean, pochylając się w fotelu.

– To ten sam numer, z którego dzwoniło wcześniej, a ja nie wiedziałam kto.

– Może odbierzesz? Tak czy owak, nic nie robimy.

Michelle wzruszyła ramionami i nacisnęła przycisk.

– Słucham?

– Michelle Maxwell?

– Tak, kto mówi?

– Nazywam się Nancy Drummond. Przesłałaś mi wiadomość w sprawie matki. Byłyśmy zaprzyjaźnione.

– Pani numer kierunkowy nie jest z Nashville, a na ekranie wyświetliło się nazwisko Tammy Fitzgerald.

– Przepraszam, nie pomyślałam o tym. Używam komórki córki. Wyszła za męża i zmieniła nazwisko na Fitzgerald. Mieszka w Memphis, ale przyjechała do nas na kilka dni. Pod numery zamiejskowe taniej dzwonić z komórki. W domu mam tylko telefon stacjonarny.

– Rozumiem. Czemu nie zostawiła mi pani wiadomości?

– Denerwują mnie komórki i ta cała poczta głosowa. Jestem stara – dodała szczerze.

– Mnie też czasem irytują.

– Nie było mnie w mieście, kiedy umarła twoja matka. Przykro mi z jej powodu.

– Dziękuję. Doceniam to. – Michelle usiadła na biurku, a Sean zaczął bazgrać w notatniku. – Zadzwoiłam, bo jak pewnie pani słyszała, mama nie zmarła z przyczyn naturalnych.

– Słyszałam, że ktoś ją zamordował.

– Kto to pani powiedział?

– Donna Rothwell.

– Rozumiem. Proszę posłuchać, pani Drummond...

– Proszę, mów mi Nancy.

– Dobrze, Nancy. Zadzwoiłam, żeby spytać, czy ktoś mógł chcieć ją skrzywdzić. – Michelle spodziewała się kategorycznego zaprzeczenia wypowiedzianego zaszokowanym, pozbawionym tchu głosem, ale go nie usłyszała.

– Kiedy powiedziałam, że jest mi przykro z powodu śmierci twojej matki, to znaczy, że tak jest, Michelle. Lubiłam Sally, ale nie mogę uczciwie powiedzieć, że mnie to zaskoczyło.

Michelle wyprostowała się w fotelu, dając znak Seanowi, żeby przestał bazgrać. Włączyła przycisk komórki, przestawiając aparat w tryb głośnomówiący.

– Nie jesteś zaskoczona, że ktoś zamordował moją matkę?

Sean odłożył długopis, podszedł do biurka Michelle i usiadł na krawędzi.

– Dlaczego?

W pokoju rozległ się melodyjny głos Nancy.

– Jak dobrze znałaś swoją matkę?

– Szczerze mówiąc, słabo.

– Pewnie trudno ci to przyznać, bo jesteś córką i tak dalej.

– Pani... Nancy, nie musisz mnie oszczędzać. Chcę się tylko dowiedzieć, kto to zrobił.

– Nie znałam dobrze twojego ojca. Rzadko wychodzili razem, ale Sally lubiła życie towarzyskie. Bardzo lubiła.

Michelle wyczuła akcent położony na przedostatnim słowie.

– Jak bardzo?

– Nie powinnam tego mówić.

– Posłuchaj, jeśli mama zdradzała ojca, powinnam o tym wiedzieć, Nancy. Wiesz, z kim się spotykała?

– Więcej niż z jednym.

Michelle opadła na fotel.

– Ilu ich było?

– Wiedziałam przynajmniej o trzech. Dwaj się wyprowadzili, ostatni jakiś miesiąc temu.

– Dokąd?

– Jeden do Seattle, drugi za morze.

– A trzeci?

– To poufna wiadomość. Muszę przyznać, że twoja matka była bardzo dyskretna. Na dodatek nie mam pojęcia, czy byli ze sobą... no wiesz, blisko. Może tylko spędzali razem czas? Może byli samotni?

– Kto to? – spytała spokojnie Michelle, chociaż miała ochotę wpackować kulkę w słuchawkę, żeby kobieta nie wymieniła kolejnych zastrzeżeń.

– Doug Reagan.

– Doug Reagan? Przyjaciel Donny Rothwell?

– Ten sam. Znasz go?

– Niezupełnie, ale teraz z pewnością poznamy się lepiej. Jak długo trwał ich romans?

– Cóż, myślę, że do śmierci twojej matki.

– Zaraz, skąd to wszystko wiesz?

– Sally mi się zwierzyła. Byłyśmy bardzo dobrymi przyjaciółkami.

– Nikt nie wie, że ci o tym powiedziała?

– Nie mam pojęcia, ale do dziś z nikim o tym nie rozmawiałam. Sekret to sekret. Teraz, gdy odeszła, pomyślałam, że masz prawo wiedzieć.

Wiedzieć, że moja matka się puszczała. Dziękuję.

– Jesteś tam, kochanie?

– Taak – odburknęła Michelle. – Jestem. Czy będziesz gotowa powtórzyć to policji?

– Muszę?

Sean położył dłoń na ramieniu Michelle i skinął głową.

– Nie – odparła szybko Michelle. – Jeszcze nie teraz.

– Zawahała się chwilę. – Czy... czy mój ojciec o tym wiedział?

– Jak powiedziałam, nie znałam go zbyt dobrze, ale mam wrażenie, że gdyby wiedział, na pewno by

zareagował.

– Też tak sędzę. Dziękuję, Nancy. Siedź cicho i nikomu o tym nie wspominaj, dobrze?

– Dobrze, kochanie. Skoro o to prosisz.

– Naprawdę doceniam twoją szczerłość.

– Mam cztery dorosłe córki. Dwie są rozwiedzione.

Wiem, że w życiu zdarzają się różne rzeczy. Nikt nie jest doskonały. Kiedy twoja matka mi to wyznała, poradziłam jej stanowczo, żeby przestała się spotykać z innymi mężczyznami. Żeby wróciła do twego ojca i popracowała nad ich związkiem. Jak już wspomniałam, nie znałam go zbyt dobrze, ale wiem, że był dobrym człowiekiem. Nie zasługiwał na to, co go spotkało.

– Jesteś prawdziwym skarbem, Nancy.

– Skądże, jestem tylko matką, która już to wszystko widziała.

Michelle zakończyła rozmowę i spojrzała na Seana.

– Teraz pewnie rozumiesz, czemu jestem taka pokręcona?

– Czemu odradziłaś jej rozmowę z policją?

– Sama nie wiem. Nazwijmy to przecuciem.

– Co zrobimy?

– Dopóki nie odezwie się twój dwugwiazdkowy znajomy, mamy niewiele do roboty. Co powiesz na krótki wypad do Nashville, żeby pójść tym tropem?

Szybko znaleźli bezpośrednie połączenie do Nashville. Samolot odlatywał następnego dnia, chyba że zdecydowaliby się na połączenie przez Chicago i Denver,

co oznaczało spędzenie większej części dnia na bagażach lub płycie lotniska.

– Zaczynam kochać podróże lotnicze – powiedział Sean, kończąc rozmowę po wysłuchaniu dostępnych połączeń. – Mam lecieć na północ lub zachód, żeby dostać się na południe.

– Chrzanić ich. Pojedziemy samochodem? – spytała Michelle.

– Z tobą, w każdej chwili.

Kupili kanapki i dwa ogromne kubki kawy, a o dwudziestej wyruszyli w nocną podróż. Po drodze Michelle zadzwoniła do swojego brata Billa i dowiedziała się, że reszta rodzeństwa wróciła do swoich domów, oczywiście z wyjątkiem Bobby'ego, który mieszkał w Nashville.

– Mam dobre wiadomości – oznajmił siostrze Billy.

– Jakie?

– Tata nie jest już podejrzany. A przynajmniej nie jest głównym podejrzanym.

– Dlaczego?

– Lekarz sądowy stwierdził, że sprawca był leworęczny. Tata jest praworęczny.

– Nie wiedzieli tego wcześniej?

– Żarna sprawiedliwości miała powoli, siostrzyczko.

Mimo wszystko to dobra wiadomość.

– Jak to się stało, że zostawiliście ojca?

– To nie my. Wyrzucił nas.

– Co to znaczy?

– Kazał nam spadać do domu, bo chce mu się rzygać na nasz widok. Żałuję, że nie był bardziej bezpośredni. – Michelle niemal wyczuła, że brat się uśmiecha po drugiej strony linii.

– Naprawdę uważasz, że powinniśmy zostawiać go samego?

– Bobby jest na miejscu. Tata to duży chłopiec. Umie o siebie zadbać.

– Nie to mnie niepokoi.

Rozłączyła się, zanim Bill zdążył spytać, co ją dręczy.

– Oczyszczenie z zarzutów to dobra nowina. Zła jest taka, że zabójca jest na wolności i twój ojciec może wziąć sprawy w swoje ręce.

– Moi bracia to świetni gliniarze, ale beznadziejni synowie. Nigdy nie wpadliby na pomysł, że ojciec mógłby zrobić coś takiego. Albo że mama go zdradzała.

– Ale ty mogłabyś to sobie wyobrazić?

Spojrzała na niego, by po chwili odwrócić wzrok.

– Tak, chyba tak.

Michelle prowadziła z charakterystycznym brakiem poszanowania dla wszelkich ograniczeń prędkości. Po dwóch przystankach na toaletę zajechali przed dom jej ojca tuż po piątej rano, przeszło cztery godziny przed bezpośrednim rannym połączeniem lotniczym.

Spojrzała na garaż i pokręciła głową. Camry zniknęła. Otworzyła drzwi własnym kluczem i weszła do domu. Po krótkim sprawdzeniu okazało się, że nikogo nie ma.

– Czy twój tata ma sejf na broń?

– Trzyma pistolet w pudełku. Pewnie w szafie w sypialni.

Sean sprawdził. Znalazł pudełko, ale nie było w nim broni.

Usiedli na rozestłanym łóżku i spojrzeli na siebie.

– Powinniśmy zadzwonić do Bobby'ego? – zapytał Sean.

– Za długo trzeba by mu wszystko tłumaczyć. Może powinniśmy spotkać się z Dougiem Reaganem. Spytać, czemu zapomniał wspomnieć o tym, że dmuchał moją mamę?

– Znasz jego adres?

– Jego odnalezienie nie powinno być trudne. Poza tym zawsze możemy spytać jego stałą partnerkę, Donnę.

– Co powiesz na to, żeby najpierw wziąć prysznic i zmienić ciuchy? Dawno nie spędziłem nocy w samochodzie. Ostatnim razem też byłem z tobą.

– Poszerzam twoje horyzonty. Widać taki już mój los.

Michelle wzięła prysznic w łazience przy pokoju dla gości. Kiedy skończyła, otworzyła drzwi i zawołała w kierunku korytarza:

– Łazienka wolna, King!

Wszedł, kiedy kończyła się owijać ręcznikiem. Trzymał w ręku kubek świeżo zaparzonej kawy.

– Chcesz?

– Zawsze.

Usiadła na łóżku, popijając kawę, kiedy on wszedł do

łazienki.

– A co z przyjęciem obok? – zapytała donośnym głosem. – Może powinniśmy zdobyć listę gości i zacząć od tej strony?

– Albo wyciągnąć ją od twojego brata! – odkrzyknął.
– Mam przeczucie, że była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie zrobiła policja.

Przysunęła się bliżej drzwi, kiedy usłyszała szum wody.

– Wolałabym, żebyśmy zrobili to sami.

– Co?!

– Chcę żebyśmy zrobili to sami! – powtórzyła głośno.

– W porządku, twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

– Zapowiada się niezły dzień. – Westchnęła, ale uśmiechnęła pod nosem.

Poszła do sypialni ojca i rozejrzała się wokół. Zdjęcie matki zniknęło. Sprawdziła kosz na śmieci. Tam go nie było. Instynktownie zajrzała pod łóżko i znalazła. Wyciągnęła ramkę. Szybka pękła. Spojrzała na fotografię. Ostry kawałek szkła przesunął się po twarzach rodziców.

Czy właśnie tak zakończyło się ich trwające niemal pięćdziesiąt lat małżeństwo? Następna myśl była równie miazdząca.

Dokąd zmierza moje życie?

Zaniosła fotografię do pokoju gościnnego, opadła na łóżko i zaczęła dygotać.

– Cholera!

Zakłęła ponownie, wstała i poszła do łazienki. Zawahała się i ponownie zaczęła drzeć. Przełknęła ślinę, otworzyła drzwi i weszła do środka. Nadal się trzęsła. Wstrząsnął nią szloch.

Sean zobaczył ją przez drzwi kabiny.

– Michelle? – Spojrzał na nią pytająco, wpatrując się w oczy, które wyglądały tak, jakby za chwilę miały się rozpląnąć we łzach. – Co ty wyprawiasz?

– Nie wiem! Cholera, nie mam pojęcia, co robię, Sean!

Owinał się ręcznikiem i wyszedł z kabiny. Wyprowadził ją z łazienki i posadził na łóżku. Usiedli na krawędzi, a Michelle oparła głowę na jego piersi.

– Zaczynam pękać – powiedziała.

– Wiele przeszłaś. To naturalne, że czujesz się przytłoczona.

– Rodzice byli ze sobą od zawsze. Mieli piątkę dzieci. Czterech synów i mnie, głupią. Ciągłe powtarzali: rusz tyłek, gamoniu.

– Nie sędzę, żeby ktoś tak o tobie myślał. Z pewnością nie ja.

Spojrzała na niego.

– Jakie uczucia w tobie budzę?

– Michelle...

Podniosła pękniętą ramkę.

– Niemal pięćdziesiąt lat małżeństwa, piątka dzieci i dostajesz coś takiego? To?!

– Michelle, nie wiemy jeszcze, co tu się stało.

– Czuje się tak, jakbym zmarnowała kawał życia.

– Byłaś olimpijką, pracowałaś w Secret Service, a teraz jesteś moją partnerką – Próbował się uśmiechnąć. – Myślę, że wiele kobiet z radością zamieniłoby się z tobą miejscami. Wiesz, żeby zostać moją partnerką.

Nie uśmiechnęła się. Nie zapłakała. Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w usta.

Poczuł jej oddech na uchu.

– Nie chcę więcej tracić czasu, Sean. Ani sekundy.

Pocałowała go ponownie, a on odpowiedział tym samym. Próbowała go objąć, ale odsunął się od niej.

Spojrzeni na siebie.

– Nie pragniesz mnie? – zapytała.

– Nie tak. Nie w ten sposób. Nie...

Zdzielila go w twarz i odwróciła się gwałtownie.

– Michelle...

– Daj mi spokój!

Zaczęła biec, ale po chwili poczuła, jakby uderzyła ją twarda ściana, jednocześnie chłodna i gorąca, rozpalając wewnątrz i mroząc skórę. Kolana się pod nią ugięły i runęła na podłogę. Zwinęła się w kłębek, tak jakby ponownie stała się dzieckiem. Przywarła palcami do podłogi, macając w poszukiwaniu pękniętej ramki ze zdjęciem. Podniosła ją i przytuliła do piersi.

Chwilę później coś dźwignęło ją z podłogi i jej głowa wylądowała na piersi Seana. Przemawiał natarczywie, ale nie odpowiadała.

Położył ją do łóżka, zabrał fotografię, okrył

prześcieradłem i usiadł obok. Wyciągnął dłoń, a ona instynktownie ją chwyciła. Mijały minuty. Słońce wznosiło się coraz wyżej, a jej szlochanie powoli słabło. Kiedy uścisk Michelle zelżał i w końcu zasnęła, wsunął jej dłoń pod prześcieradło.

Położył się obok, gładząc jej wilgotne włosy. Obserwował ją wyczerpany, dopóki nie zamknął oczu i nie zasnął.

Quarry szedł podwórkiem w kierunku małego domu, a Carlos dreptał za jego plecami. Potężny mężczyzna przystanął i wskazał nasyp.

– Obraz z kamery będzie przekazywany do miejsca, w którym się ukryjesz. Monitor jest gotowy. Wszystko sprawdziłem. Będziesz miał tylko obraz z zewnątrz. Nie można ukryć kamery w środku.

– Rozumiem.

Przerabiali to już kilka razy, ale Carlos wiedział, jak wielką wagę Sam Quarry przywiązuje do powtarzania. Jako były pilot wojskowy był święcie przekonany, że stałe powtarzanie tych samych czynności jest jedynym sposobem uniknięcia błędów.

– Kamera jest ustawiona na wprost – dodał Quarry. – Sprawdzę ją jeszcze raz przed akcją.

– Czy mogą ją zauważyć i zniszczyć podczas operacji?

– To mało prawdopodobne, będą mieli niewiele czasu. Gdyby tak się jednak stało, możesz sięgnąć po rozwiązanie awaryjne. – Quarry wyciągnął z plecaka dużą lornetkę i podał Carlosowi. – Po przyzwoite stare szkła i parę dobrych oczu. Znalazłem punkt, z którego nie zdradzisz swojej pozycji. Przesuń dźwignię w otworze bunkra, jak w wieżyczce strzelniczej.

Carlos skinął głową ze zrozumieniem.

– A tamto? – zapytał, spoglądając w kierunku domu,

na linie drzew i newralgiczny obszar znajdujący się między nimi.

Quarry się uśmiechnął.

– Właśnie w tym tkwi całe cholerne piękno tego rozwiązania, Carlos. Wszystko się uaktywni, kiedy naciśniesz jeden guzik. – Uśmiechnął się jak uczeń, który wygrał olimpiadę przedmiotową. – Zajęło mi to trochę czasu. To skomplikowana sprawa, trzeba było zamontować oddzielne zasilanie. Kiedy naciśniesz guzik, nie będzie odwrotu, przyjacielu.

– Jak skontaktuję się z panem w kopalni?

– Po pierwsze, masz nawiązać kontakt niezależnie od sytuacji. Czy pójdzie dobrze, czy wszystko trafi szlag. Zrobisz to za pomocą tego urządzenia. – Quarry podał mu kanciaste pudełko. – To coś w rodzaju telefonu satelitarne – wyjaśnił. – Sygnał dotrze do mnie, nawet jeśli będę w kopalni. Sprawdziłem. Szczelina w bunkrze musi być otwarta, żebyś mógł nawiązać łączność z satelitą. Do wykonania telefonu potrzeba zaledwie kilku sekund. Żadnych długich meldunków. Wystarczy proste „tak” lub „nie”.

Carlos podniósł telefon.

– Skąd pan to wytrzasnął?

– Zmontowałem z części zapasowych.

– A sygnał z satelity?

– Podpiąłem się pod istniejącą platformę. Poszedłem do biblioteki i znalazłem informacje w Internecie. To łatwiejsze, niż sądzisz, jeśli masz głowę na karku. Do

licha, Carlos, to wszystko pryszcz w porównaniu z tym, co musieliśmy kombinować w Wietnamie. Dzięki temu zaoszczędziłem kupę forsy, a wiesz, że nie mam jej za wiele.

Carlos spojrział na niego z nieskrywanym podziwem.

– Czy jest coś, czego nie potrafi pan zrobić?

– Nie potrafię wielu rzeczy. Bardzo ważnych. Jestem prostym człowiekiem.

– Kiedy to będzie?

– Zawiadomię cię. Wkrótce.

Carlos ponownie spojrział na pagórek. Quarry obserwował go badawczo.

– Będiesz ukryty, a jednocześnie odsłonięty – powiedział Quarry. – To blisko.

– Wiem – odrzekł Carlos, spoglądając na myszołowa zataczającego leniwe kręgi na niebie.

– Będzie problem tylko wtedy, gdy od razu się połapią. W przeciwnym razie odejdziesz bez przeszkód.

Carlos skinął głową, nie odrywając wzroku od ptaka.

– Jeśli chcesz się ze mną zamienić, nie ma problemu, Carlos. Pamiętaj, że więcej o to nie zapytam.

Żyłasty mężczyzna potrząsnął głową.

– Powiedziałem, że to zrobię, i już.

Godzinę później Quarry wzbił się w niebo swoją cessań. Wiatr na niskim pułapie był silny, maszyna wlokła się po niebie, ale jemu to nie przeszkadzało. Latał już w znacznie gorszych warunkach. Słaba turbulencja go nie zabije, choć mogło tego dokonać wiele innych rzeczy.

Mogło i pewnie tak to wszystko się skończy.

Musiał przemyśleć wiele rzeczy, a myślenie przychodziło mu najlepiej podczas lotu. Kilka tysięcy stóp nad ziemią, wraz ze stopniowym rozrzedzaniem powietrza, jego umysł zdawał się oczyszczać. W tylnej części cessny była skrzynka z kablami i przewodami. Dzięki niej i drugiej skrzyni ukrytej w kopalni przeprowadzi scenariusz zagłady. Zrobi to tylko wówczas, gdy będzie musiał, ale miał nadzieję, że to nie nastąpi.

W trakcie lotu wrócił myślami do ostatnich słów wypowiedzianych przez Tippi. Quarry i jego żona pojechali do Atlanty, kiedy dowiedzieli się, w jak poważnym stanie znajduje się ich córka. Quarry nie chciał, żeby przeprowadziła się do wielkiego miasta, ale dzieci dorastały i trzeba było pozwolić im odejść.

Lekarz w szpitalu powiedział im, co się stało. Żadne nie mogło w to uwierzyć. To nie mogło spotkać ich Tippi. Musiało dojść do jakiejś pomyłki. Niestety nie popełniono błędu. Chociaż Tippi była w stanie śpiączki z powodu utraty krwi, powiedzieli im, że fizyczne objawy nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Cameron wyszła z pokoju, żeby przynieść kawę, a Quarry stał oparty o ścianę, w brudnych dżinsach i koszuli wilgotnej od potu, po długiej jeździe z Alabamy w letnim skwarze samochodem pozbawionym klimatyzacji. Przyjechał prosto z pola, gdy żona przybiegła, wołając o telefonie, który otrzymała. Dla człowieka przywykłego do otwartych przestrzeni powietrze w wielkim szpitalu

wydawało się duszne i cuchnące.

Później zjawiała się policja i Quarry musiał się nimi zająć. W trakcie przesłuchania tak się zdenerwował, że Cameron musiała wyprowadzić go z pokoju – była jedyną osobą na ziemi oprócz Tippi, która mogła go do tego zmusić. Gliniarze skończyli i poszli w swoją stronę. Gdy mijali go na korytarzu, po ich skwaszonych minach wywnioskował, że nie ma co liczyć na sprawiedliwość.

W końcu w pokoju został tylko Quarry i jego mała dziewczynka. Aparaty szumiały, pompy tłoczyły tlen. Monitor wydawał słabe piski, które Quarry'emu wydawały się armatnimi wystrzałami. Nawet przeraźliwe eksplozje działek przeciwlotniczych walących do jego phantoma nad Wietnamem nie przeraziły go tak, jak jęk tej cholernej maszyny, która sumiennie rejestrowała rozpaczliwy stan, w jakim znajdowało się jego maleństwo.

Lekarze uprzedzili ich, że pewnie nigdy nie odzyska zdrowia. Pewien odpychający medyk w białym fartuchu był szczególnie pesymistyczny.

– Za duży upływ krwi. Doszło do nieodwracalnego uszkodzenia mózgu. Część jej mózgu już obumarła. – Jakby tego było mało, po chwili dodał: – Jeśli to was pocieszy, nie czuje żadnego bólu. Nie jest już waszą córką. Właściwie już odeszła.

Jego słowa najwyraźniej nie pocieszyły Quarry'ego, bo wybił lekarzowi przednie zęby i omal nie został wyrzucony ze szpitala.

Później, kiedy stał nad łóżkiem Tippi, ta otworzyła oczy i spojrzała na niego. Tak po prostu. Dokładnie zapamiętał tę chwilę. Przypomniawszy ją sobie teraz, gdy leciał cessażą przez prądy termiczne.

Był tak zaszokowany, że w pierwszej chwili nie wiedział, co robić. Zamrugał oczami, sądząc, że coś mu się stało ze wzrokiem albo że widzi to, czego pragnie, zamiast rzeczywistości.

– Tatusiu?

W jednej chwili znalazł się przy łóżku, trzymając jej dłoń, z twarzą oddaloną kilka cali od niej.

– Tippi? Maleńka. Tatuś tu jest. Przy tobie.

Zacząła kołysać głową z boku na bok, a monitor zapiszczał jak nigdy dotąd.

Przeląkł się, że ponownie pograży się w mroku tej części mózgu, która już obumarła.

Uścisnął jej dłoń i delikatnie przytrzymał brodę, powstrzymując ją przed kołysaniem, aby mogła skupić na nim wzrok.

– Tippi, jestem tutaj. Mama wróci za chwilę. Nie odchodź. Tippi! Nie odchodź!

Kiedy zamknęła oczy, ogarnął go strach. Rozejrzał się wokół, żeby kogoś zawołać. Żeby sprowadzić pomoc. Żeby zatrzymali przy nich córkę.

– Tatusiu?

Drgnął.

– Jestem przy tobie, kochanie. – Chociaż próbował się opanować, po jego poranej zmarszczkami twarzy

spłynęły łzy. Po twarzy, która podczas ostatniego dnia postarzała się bardziej niż w ciągu dziesięciu lat.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham, maleńka. – Położył dłoń na piersi, jakby chciał powstrzymać serce przed wyskoczeniem z klatki. – Tippi, musisz mi powiedzieć, co się stało. Powiedz mi, kto ci to zrobił.

Spojrzała na niego nieprzytomnie i zamknęła oczy. Zaczął rozpaczliwie szukać czegoś, co zwróci jej uwagę.

– „Powszechnie znana prawda głosi, że majątny kawaler potrzebuje do szczęścia tylko żony”⁶ – powiedział.

Było to pierwsze zdanie z *Dumy i uprzedzenia*.

W przeszłości wielokrotnie czytali sobie tę książkę.

Tippi otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Quarry westchnął głęboko, bo pomyślał, że Bóg zwrócił mu jego małą córeczkę wbrew temu, co orzekli faceci w białych fartuchach.

– Powiedz mi, kto ci to zrobił, Tippi. Powiedz, maleńka – poprosił tak stanowczo, jak umiał.

Wypowiedziała tylko cztery słowa, ale wystarczyło. Zrozumiał.

– Dziękuję, kochanie. Boże, tak bardzo cię kocham.

Podniósł wzrok w kierunku sufitu.

– Dzięki ci, Jezu.

Drzwi się otworzyły. Quarry odwrócił głowę. Cameron wróciła z dwoma kubkami kawy. Przeskoczył pokój jednym susem i chwycił ją tak gwałtownie, że

wylała kawę. Przyciągnął żonę do łóżka.

– Nasza mała dziewczynka się obudziła, Cam. Wróciła.

Cameron Quarry uśmiechnęła się szeroko i zrobiła wielkie oczy. Quarry nie miał pojęcia, jak zdołały się zmieścić na jej twarzy. Chwilę później zwróciły się ku łóżku i zmalowały, a uśmiech zniknął.

Quarry podążył za jej wzrokiem. Oczy Tippi były zamknięte. Uśmiech zgasł. Miała już nigdy się nie obudzić, a Quarry miał już nigdy nie usłyszeć jej głosu.

Z powodu tego uśmiechu, ostatniego uśmiechu jego córki, Quarry czytał jej książkę Austen przez te wszystkie lata. Chciał podziękować autorce za to, co mu dała. Za kilka drogocennych ostatnich chwil z córką.

Cztery słowa, które wówczas wypowiedziała, wyryły się na zawsze w umyśle Quarry'ego, choć nie podjął wówczas żadnych działań, bo nikogo wyraźnie nie wskazywały. Jeszcze bardziej nieznośne było to, że lekarz, któremu Quarry opowiedział o przebudzeniu Tippi, wyraźnie mu nie uwierzył.

– Nie przebudziła się – zaprzeczył. – To jakaś anomalia.

Quarry ledwie się powstrzymał przed wybiciem zębów także jemu.

Wtedy nie zrobił niczego w sprawie, o której się dowiedział, ale po śmierci Cameron nic go już nie powstrzymywało. Właśnie wtedy rozpoczął długą podróż do prawdy. Teraz miała nadejść sprawiedliwość dla niego

i Tippi.

Podczas lotu przyszło mu do głowy, że jest tylko jedna rzecz gorsza od umierania w samotności – umieranie ze świadomością, że nie dokonało się swojego dzieła.

Nie odejdzie w taki sposób.

– Przepraszam.

Ubrana Michelle siedziała na łóżku w pokoju gościnnym. Sean przed chwilą zaczął się budzić, owinięty w pasie ręcznikiem, z poduszką wilgotną od mokrych włosów.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– Nie masz za co przepraszać. Byłaś w piekle i wróciłaś. Każdy by się załamał.

– Ale nie ty.

Usiadł, wtykając poduszkę pod plecy.

– Byłabyś zaskoczona. – Wyjrzał przez okno. Zapadał zmrok. Spojrzał na nią ze zdumieniem. – Która godzina?

– Dochodzi siódma wieczór.

– Przespałem cały dzień? Czemu mnie nie obudziłaś?

– Przed chwilą sama wstałam. – Opuściła głowę. – Czy coś powiedziałam, Sean? Kiedy nie byłam sobą?

Pogładził jej ramię.

– Michelle, nie możesz być cały czas doskonała. Tłumisz w sobie emocje i w końcu wybuchasz. Powinnaś z tym skończyć.

Wstała i wyjrzała przez okno.

– Skoro o tym mowa, zmarnowaliśmy cały dzień. – Odwróciła się na pięcie. – A jeśli w sprawie Willi nastąpił przełom?

Najwyraźniej nie zamierzała rozpamiętywać tego, co

między nimi zaszło.

Wyczuwając jej emocje, Sean sięgnął po telefon leżący na nocnym stoliku. Przejrzał wiadomości i pocztę elektroniczną.

– Nic. Przejdziemy w tryb oczekiwania, dopóki jeden z tropów się nie potwierdzi. Albo dopóki nie wymyślisz czegoś nowego.

Usiadła ponownie na łóżku i pokręciła głową.

– Szkoda, że Tuck i Jane Cox od początku nas okłamywali.

– Szkoda, ale teraz jesteśmy w Nashville, więc może uda nam się rozwikłać zagadkę śmierci twojej mamy. Przyciśniemy Douga Reagana?

– W porządku.

W tej samej chwili zadzwonił telefon stacjonarny. Zgłosił się jej brat Bobby.

– Co robicie u ojca? – zapytał.

– Przyjechaliśmy dziś rano, żeby... żeby sprawdzić, co u niego słychać.

– Jak się miewa?

– Nie zastaliśmy go. – Michelle nagle zamarła. Czy jej tata tu był? Czy pomyślał, że ona i Sean poszli razem do łóżka, w ich domu, kilka dni po śmierci mamy? – Zaczekaj chwilę, Bobby. – Odłożyła słuchawkę i wybiegła z pokoju. Wróciła minutę później i podjęła rozmowę.

– Nie, nie ma go tutaj. Samochód zniknął. Co się stało?

- Jestem w klubie golfowym za miastem.
- Jesteś członkiem?
- Nie. Gliniarze nie zarabiają tyle forsy. Czasami wpadam na partyjkę.
- Trochę za ciemno na golfa.
- Jest tu pewna pani, z którą chciałem porozmawiać.
- Co za pani?
- Wyprowadzała psa tamtego wieczoru, gdy zamordowano mamę. Nie mieszka w sąsiedztwie, więc policja jej nie przesłuchała.
- Widziała coś? Jeśli tak, czemu nie poszła na policję?
- Była przerażona.
- Dlaczego zmieniła zdanie?
- Z powodu przyjaciół. Nancy Drummond powiedziała jej, żeby się zgłosiła. Zadzwoiła do mnie.
- Rozmawiałam z Nancy.
- Tak mi powiedziała. Właśnie dlatego zadzwoniłem do ojca.
- Czyżbyś mnie szukał?
- Taak.
- Czemu nie zadzwoniłeś na komórkę?
- Próbowałem, sześć razy w ciągu ostatnich godzin. Zostawiłem cztery wiadomości.

Michelle spojrzała na nocny stolik, na którym leżał jej aparat. Podniosła go i przejrzała listę nieodebranych połączeń.

- Musiałam przypadkowo włączyć tryb cichy.

Przepraszam.

– Pomyślałem, że tata wie, gdzie jesteście. Widzę, że udało mi się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– To znaczy?

– Ta pani zgodziła się ze mną pomówić wyłącznie w twojej obecności. Wygląda, że zrobiłaś dobre wrażenie na jej przyjaciółce, Nancy. Nancy powiedziała, że może ci zaufać.

– To ty jesteś policjantem, Bobby. Powinna pogadać z tobą.

– Uparła się. Jest babcią i ma dwanaścioro wnucząt. Nie sądzę, żebym zdołał ją złamać. Wybrałem prostsze rozwiązanie. Powie wszystko tobie w mojej obecności. Później dorwiemy tego drania, który zabił mamę.

– Jest w klubie?

– Tak.

Michelle zaburczało w brzuchu.

– Można tam zjeść obiad?

– Mam go przed sobą.

– Będziemy za dwadzieścia minut.

Z pomocą Daryla Quarry rozciągnął kable w korytarzach kopalni, prowadząc je do strategicznych punktów i kończąc niedaleko wyjścia.

– Wyglądasz na szczęśliwego – zauważył Daryl, kiedy pracowali.

– Tippi wróciła do domu, czemu miałbym się smucić?

– Ona nie wróciła do domu, tato. Tippi...

Przerwał w pół zdania, czując przedramię ojca na tchawicy.

Uderzył go kwaśny oddech starego mężczyzny.

– Czemu nie zastanowisz się nad tym, co mówisz, chłopcze? Czemu nie zamkniesz tej cholernejadaczki?!

Quarry pchnął syna, ale Daryl odbił się od twardej ściany. Zamiast potulnie się odsunąć, natarł na ojca, rzucając go o skałę. Quarry wsunął ramię pod gruby kark syna i odepchnął go od siebie, wykorzystując kamienną ścianę jako dźwignię. Zaczęli się szamotać na nierównej ziemi, ciężko dysząc i próbując zdobyć przewagę. Mimo chłodu pod ich pachami pojawiły się plamy potu.

Daryl potknął się i runął w tył, ale po chwili odzyskał równowagę. Zaatakował ponownie, oplatając ojca ramieniem, podnosząc i rzucając o ścianę.

Z płuc Quarry'ego uszło powietrze, a zęby przebiły dolną wargę. Jednak kiedy Daryl go pchnął, znalazł w sobie dość siły, by kopnąć syna w pachwinę kolaniem, a

następnie wymierzyć potężny cios w twarz, wykorzystując całą masę ciała. Daryl runął na siedzenie z rozciętym policzkiem i krwawiącymi ustami.

Quarry niemal upadł z powodu impetu uderzenia. Wykonał półobrót i przykucnął na ziemi, kaszląc i plując krwią.

– Nie zdołałbyś mi dokopać, nawet gdybym siedział na pieprzonym wózku inwalidzkim i żarł owsiankę! – ryknął.

Daryl spojrział na laskę dynamitu połączoną z długim przewodem ułożonym na posadzce kopalni.

– Mnie też chcesz wysadzić, staruszkę?

– Niech to szlag! Jeśli będę musiał, wysadzę nas wszystkich!

– Nie zamierzam cię słuchać całe życie.

– Gdyby nie ja, już byś nie żył. Kto cię uratował, kiedy przyszła żandarmeria? Ja! Później schrzaniłeś robotę i zabiłeś tę babkę. Cały czas coś knocisz. Powinienem być cię wtedy zastrzelić!

– Czemu tego nie zrobiłeś? Czemu?! – krzyknął Daryl, zaciskając pięści. Po policzkach spływały mu łzy zmieszane z krwią.

– Zabiłem Kurta.

– Nie miałeś prawa! To ja zamordowałem Pam Dutton! Ja, nie Kurt!

– Powinienem być zastrzelić ciebie zamiast niego – powtórzył Quarry, wypluwając kawałki rozerwanej wargi.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś, tato?! Dlaczego mnie

nie zabiłeś?!

Quarry nie patrzył na niego. Oparł się ręką o ścianę, oddychając urywanie.

– Dlaczego? Ponieważ cię potrzebuję – powiedział nieco ciszej. Pochylił się, podając rękę Darylowi, ale ten jej nie przyjął. – Potrzebuję cię, Daryl. Potrzebuję cię, chłopcze. – Pochylił się nad nim na chwiejnych nogach. Spojrzał na syna, przypominając sobie młodego uroczego chłopca o wielkich błękitnych oczach i krzywym uśmiechu. *Powiedz mi, co mam zrobić, tato.*

Kiedy odzyskał wzrok, ujrzał przed sobą jedynie dużego, przysadzistego mężczyznę dźwigającego się wolno na nogi.

– Potrzebuję cię, chłopcze – powtórzył, ponownie wyciągając rękę. – Proszę.

Daryl precyzyjnie przesunął się obok niego.

– Skończmy, co trzeba – powiedział, ocierając krew z twarzy brudną dłonią. – Im szybciej to zrobimy, tym lepiej. Później stąd spadam.

Quarry otworzył drzwi i wszedł do izby. Słabe światło lampy stojącej na stole powodowało, że nie mógł jej zobaczyć. Nie mógł zobaczyć, ale czuł jej obecność.

– Nie chciałam jej oddać – powiedziała Diane Wohl, wynurzając się z cienia.

Quarry wszedł w krąg światła.

– Ty krwawisz – zauważyła Diane.

– To nic – odrzekł Quarry, siadając przy stole i przesuwał dłonią po gęstych spoconych włosach. Nadal

dyszał po walce z synem.

Pieprzone papierosy.

Diane usiadła naprzeciw niego.

– Nie chciałam jej oddać.

Quarry wziął długi głęboki oddech i spojrzał na nią spod krzaczastych brwi.

– Rozumiem.

– Potwornie mnie przestraszyłeś. Wszystko w tobie mnie przeraża.

– Też się ciebie boję – odpowiedział.

Diane spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

– Dlaczego?

– Istnieje wiele rodzajów lęku. Fizyczny i ten, który siedzi w głowie. Boję się ciebie na oba sposoby.

– Czemu?

Quarry splótł dłonie i pochylił się ku niej, zwieszając wielką głowę nad stołem, tak że krew z pękniętej wargi zaczęła kapać na drewno.

– Przez ciebie boję się, że ten stary świat już nigdy nie będzie dobry dla żadnego z nas.

Odsunęła się, jakby jego słowa ją ukłuły.

– Jestem dobrym człowiekiem! Nikogo nie skrzywdziłam!

– Skrzywdziłaś tę dziewczynkę, nawet jeśli mała o tym nie wie.

– Oddałam ją, żeby miała lepsze życie.

– Brednie. Oddałaś ją, żeby nie musieć się nią zajmować.

Uderzyła go w twarz, a później cofnęła się z przerażeniem w oczach. Spojrzała na własną rękę, jakby należała do kogoś innego.

– Przynajmniej zdobyłaś się na odwagę – powiedział Quarry, niewzruszony uderzeniem.

– Zniszczyłam cały ten świat?

– Nie, ale pozwoliłaś na to innym. Tacy ludzie jak ty pozwalają się deptać różnym gnojkom. Nawet jeśli te gnojki się mylą. Cięży na was wina, bo nie stajecie do walki w słusznej sprawie. Potulnie przyjmujecie to, co wam dają. Gówno, które podsuwają wam tamci. Przyjmujecie je z uśmiechem, mówiąc „dziękuję” i pytając „czy mogę dostać więcej?”.

Łza Diane spadła na stół, mieszając się z krwią Quarry'ego.

– Nie znasz mnie.

– Znam. Znam ciebie i takich jak ty.

Otarła oczy.

– Co zamierzasz zrobić? Zabijesz mnie?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, co z tobą zrobię. – Podniósł się wolno, czując ból grzbietu w miejscu, gdzie uderzył o ścianę. – Chcesz zobaczyć się z Willą? Ostatni raz. Niebawem może dojść do przełomu.

W oczach Diane błysnęły łzy.

– Nie, nie dam rady. – Zaczęła kręcić głową z boku na bok, dygotać i zaciskać palce.

– Znowu się czołgasz, kobieto? Próbujesz się ukryć? Powiedziałaś, że się mnie boisz? Przed chwilą mnie

uderzyłaś. Pokazałaś, że masz kręgosłup. Potrafisz się postawić, jeśli chcesz. Potrafisz się postawić ludziom, którzy uważają się za silnych i wyglądają, jakby mieli wszystko. Potężnym i bogatym. Niczego od ciebie nie dostaną. Kiedy im się postawisz, uciekną, bo naprawdę wcale nie są silni i twardzi. Po prostu mają szmal. Bez powodu nadymają się z pychy. – Grzmotnął pięścią w stół tak mocno, że lampa się przewróciła i zgasła. – Zapytałem, czy chcesz się zobaczyć z córką? To jak będzie?

– Tak.

W klubie golfowym za miastem panowała cisza, a choć wieczór nie był chłodny, w dużym kamiennym kominku w głównej sali restauracji płonął ogień. Sean i Michelle siedzieli z jednej strony stołu, a Bobby i June Battle, chuda osiemdziesięciolatka o krótkich włosach barwy śniegu, naprzeciwko nich.

Przed chwilą zamówili jedzenie.

Michelle oddała pierwszy strzał.

– Cieszę się, że rozmawiała pani z Nancy Drummond. Naprawdę potrzebuję pomocy.

Zamiast odpowiedzieć, June zabrała się metodycznie do połykania tabletek, które wcześniej ułożyła na stole, popijając leki dużą szklanką wody.

Wyczuwając narastające zniecierpliwienie Michelle, Sean wsunął rękę pod stół, ścisnął jej udo i delikatnie pokręcił głową.

June popiła ostatnią pigułkę, a następnie podniosła głowę i na nich spojrzała.

– Nienawidzę lekarstw, ale chyba tylko one utrzymują mnie przy życiu. Dlatego je biorę.

– Wyprowadziła pani psa na spacer? Na ulicę, przy której mieszkają Maxwellowie? W wieczór, gdy zamordowano Sally Maxwell? – spytał zachęcająco Sean.

– Wtedy nie wiedziałam, że została zamordowana – zauważyła przytomnie June. – Po prostu wyprowadziłam Cedrica na spacer. Cedric to mój pies. Pekińczyk.

Pekińczyki są niewielkie. Kiedyś miałam dużego psa, ale teraz nie dałabym rady. Cedric jest mały, ale to dobry pies. Mój starszy brat miał na imię Cedric. Lubiłam go bardziej od reszty rodzeństwa, dlatego nadałam psu to imię.

Michelle głośno odchrząknęła, a Sean mocniej zacisnął dłoń na jej udzie.

– Powiedziałem siostrze, że chce pani rozmawiać wyłącznie z nią – wtrącił Bobby.

– Nie lubię policji. – Poklepała dłoń Bobby'ego. – Nie zrozum nie źle. Zdaję sobie sprawę, że potrzebujemy policji i tak dalej. Wiesz, kiedy w pobliżu jest policja, to znaczy, że stało się coś złego.

– Na przykład, zamordowano moją matkę? – powiedziała Michelle, wbijając wzrok w June.

Mała staruszka w końcu na nią spojrzała.

– Przykro mi z powodu twojej straty, Michelle. Straciłam dwoje dzieci i jednego wnuka, ale z powodu choroby, nie przestępstwa.

– Widziała pani coś tamtej nocy? – spytał Sean.

– Mężczyznę.

Sean i Michelle pochyliłi się do przodu jednocześnie, jakby byli związani liną.

– Może go pani opisać? – zapytała Michelle.

– Było ciemno, a moje oczy nie są już takie dobre jak kiedyś. Mogę wam jednak powiedzieć, że był wysoki i szczupły. Nie nosił płaszcza. Był ubrany jedynie w spodnie i sweter.

- Stary czy młody?
- Starszy. Myślę, że miał siwe włosy, ale nie jestem tego pewna. Pamiętam, że była ciepła noc, dlatego zdziwiłam się, że włożył sweter.
- W domu obok urządzono przyjęcie nad basenem – przypomniał Sean.
- Nie wiedziałam o przyjęciu, ale przy ulicy stało dużo samochodów.
- Która była godzina?
- Wychodzę na spacer o ósmej wieczór. Do tego miejsca docieramy zwykle około ósmej dwadzieścia, chyba że Cedric się załatwi i muszę posprzątać. Wtedy tego nie zrobił. To znaczy nie zrobił kupy.
- Zatem była ósma dwadzieścia – skonstatował Sean. Sean, Michelle i Bobby wymienili spojrzenia.
- Lekarz sądowy stwierdził, że śmierć nastąpiła między ósmą i dziewiątą – powiedział Bobby.
- To oznacza, że facet znalazł się tam w optymalnym czasie – zauważyła Michelle.
- W optymalnym czasie? – spytała June, spoglądając ze zdumieniem na Michelle.
- W dogodnej chwili – wyjaśnił Sean. – Facet tam był. Co robił?
- Szedł. Oddalał się ode mnie. Nie wiem, czy mnie zauważył. Na ulicy było ciemno. Miałam ze sobą latarkę, ale świecił księżyc, więc nie musiałam jej włączać. Szliśmy z Cedrikiem całkiem wolno. Oboje cierpimy na zapalenie stawów.

– Zatem oddalał się od pani. Czy zauważyła pani coś jeszcze? Skąd wyszedł? – dopytywała się Michelle.

– Spomiędzy dwóch domów. Tego, przed którym stały samochody, i następnego z prawej.

– To dom moich rodziców – zauważyła Michelle.

– Chyba tak, tylko że ich nie znałam.

– Coś jeszcze? – spytał Sean.

– Zauważyłam coś dziwnego – zaczęła June.

– Dziwnego? – zapytał Bobby.

– Tak. Byłam po drugiej stronie, ale to dostrzegłam.

– Co takiego? – zapytała Michelle lekko drżącym głosem.

– Jakieś dziwne błyski.

– Błyski? – pytali jak na komendę Sean i Michelle.

– Tak. Mężczyzna szedł ulicą, przystając przy każdym z zaparkowanych samochodów. Zatrzymywał się, a później unosił dłoń i pojawiał się słaby błysk.

– Stawał z boku samochodów, kiedy tak robił? Z przodu? Z tyłu?

– Z tyłu. Za każdym razem lekko się pochylał. Jak powiedziałam, był wysoki.

Michelle spojrzała na Seana.

– Fotografował tablice rejestracyjne samochodów.

– Światło, które pani widziała, było błyskiem flesza aparatu – wyjaśnił Sean, a Bobby skinął głową.

– Robił to przy każdym z samochodów? – zapytała Michelle.

June przytaknęła.

– Na to wyglądało.

– Czemu morderca miałby fotografować tablice samochodów? – zdziwił się Bobby.

Twarz June wyjaśniała.

– Sprawca?

– Słyszałam to słowo. Oglądam każdy odcinek *Prawa i porządku*. Uwielbiam Jerry'ego Orbacha, niech Bóg się zmiłuje nad jego duszą. Jego i Sama Waterstona. Wiecie, tego, który grał Lincolna.

– Zauważyła pani coś jeszcze?

– Tak. Kiedy skończył z samochodami, zawrócił i ruszył w moim kierunku, drugą stroną ulicy. Rozglądał się dookoła, żeby się upewnić, że nikt go nie widzi. Wątpię, czy zauważył mnie i Cedrica. Ukryliśmy się za dużymi krzakami, bo Cedricowi zachciało się siusiu, a jest zakłopotany, kiedy ludzie wtedy na niego patrzą. Później ten mężczyzna skręcił na podjazd i wszedł do domu.

Michelle spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Do domu? Którego?

– Do domu obok tego, przy którym stały samochody. Wszedł do środka frontowymi drzwiami.

Michelle, Bobby i Sean spojrzeli na siebie.

Wysokim mężczyzną, który robił zdjęcia, musiał być Frank Maxwell.

Kiedy skończyli obiad, trzeba było odwieźć June Battle na posterunek policji, żeby złożyła zeznanie.

– Zajmiecie się nią? – spytała Michelle.

– Co? – Sean spojrział na nią zaskoczony.

– Potrzebuję chwili samotności – odrzekła. – Spotkamy się w domu mojego ojca.

– Nie lubię się z tobą rozstawać.

– Zajmę się panią Battle – zapewnił Bobby. – Nie ma problemu.

– Sean, jedź z Bobbym. Zobaczymy się u taty.

– Jesteś pewna?

Skinęła głową.

– Absolutnie.

Kiedy odchodzili, Sean obejrzał się za nią, ale Michelle na niego nie patrzyła.

Po dziesięciu minutach powoli wstała, rozpięła żakiet i spojrzała na tkwiącego w kaburze siga.

Musiał wiedzieć, że jego żona leży martwa w garażu. Wiedział o tym i wyszedł na dwór, żeby fotografować tablice rejestracyjne samochodów? Cóż za bezduszny drań! Co właściwie robił? Chciał kogoś zrobić w morderstwo, które popełnił? Mógł bez trudu zadać cios lewą ręką, by zmylić gliny. Był silnym mężczyzną. Gdyby było inaczej, Sally Maxwell nadal by żyła.

A teraz dokądś pojechał. Jej ojciec był w mieście i miał pistolet.

Wstała i ruszyła zdecydowanym krokiem w kierunku wyjścia. Po drodze minęła gablotę z golfowymi trofeami członków klubu. Przelotnie rzuciła na nią okiem, ale jedno spojrzenie wystarczyło. Odwróciła głowę i podbiegła do szklanej szafki. Gablota była pełna lśniących pucharów, pamiątkowych plakietek i innych rzeczy wręczanych zwycięzcom. Zaintrygowały ją dwa przedmioty, choć nie grywała w golfa.

Pierwszym była fotografia przedstawiająca trzy kobiety. Pani stojąca pośrodku trzymała puchar. Michelle rozpoznała szeroko uśmiechniętą Donnę Rothwell. Spojrzała na napis wygrawerowany na plakietce.

„Donna Rothwell, mistrzyni amatorskich rozgrywek klubowych”, przeczytała. Nagrodę przyznano w tym roku. Wynik, który osiągnęła, wypisano na laminowanej karteczce obok fotografii. Michelle nie miała pojęcia o golfie, ale domyśliła się, że był imponujący.

Druga fotografia przedstawiała Rothwell zabierającą się do uderzenia piłeczki. Dama wyglądała na taką, która doskonale wie, co robi.

Gdy Michelle tak stała, podszedł do niej brodaty mężczyzna w spodniach khaki i koszulce golfowej.

– Interesują panią miejscowe legendy golfa? – spytał z uśmiechem.

Michelle wskazała dwa zdjęcia.

– Szczególnie ta.

Mężczyzna spojrział na fotografię.

– Donna Rothwell, wszystko jasne. Jeden z

największych naturalnych talentów, jakie widziałem.

– Naprawdę jest taka dobra?

– Dobra? Jest najlepszą pięćdziesięcioletnią golfistką w hrabstwie, może nawet w całym stanie. Zdołałaby pokonać kilka całkiem niezłych trzydziesto- i czterdziestolatek. Była sportsmenką w college'u. Tenis, golf, lekkoatletyka. Uprawiała te wszystkie dyscypliny. Nadal jest w znakomitej formie.

– Ma wysoki handicap?

– Niemal zerowy. Czemu pani pyta?

– Nie miałyby problemu z zakwalifikowaniem się do turnieju? Wie pan, z powodu handicapu.

Facet się roześmiał.

– Kłopot z zakwalifikowaniem się do turnieju? Do czorta, od kiedy pamiętam, Donna zwyciężyła w każdym turnieju, w którym brała udział.

– Znał pan Sally Maxwell?

Skinął głową.

– Piękna kobieta. To straszne, co ją spotkało. Pani ją przypomina.

– Była dobrą golfistką?

– Jasne. Ładnie grała. Lepiej szło jej z krótkimi piłkami niż w alei.

– Ale nie zaliczała się do tej samej ligi co Donna?

– Było jej do niej daleko. – Uśmiechnął się. – Czemu pani pyta? Chce pani rzucić Donnie wyzwanie, pozbyć się rywalki? Chociaż jest pani znacznie młodsza od niej, idę o zakład, że byłaby dla pani sporym wyzwaniem.

– Mogłabym rzucić jej rękawicę, ale nie na polu golfowym. – Michelle odeszła, odprowadzona zdumionym wzrokiem nieznanego.

Wróciła na parking i ruszyła w kierunku swojego SUV-a.

Odwróciła głowę, bo odniosła wrażenie, że coś usłyszała. Kciukiem odpięła skórzany pasek kabury. Ujęła kolbę i zacisnęła palce, gotowa wyciągnąć broń, ale bezpiecznie dotarła do samochodu i wsiadła do środka.

Pół godziny później była przy domu. Przejechała obok, zaparkowała w bocznej uliczce i wysiadła. Rezydencja Donny Rothwell stała w pewnym oddaleniu od ulicy. Prowadziła do niej brama i kręty podjazd z parkingiem dla samochodów. Ruszyła ulicą i po chwili znalazła przejście między żywopłotami. W domu panował mrok, a przynajmniej w pokojach od ulicy. Z drugiej strony dom był wystarczająco rozległy, aby światła w tylnych pokojach nie były widoczne z miejsca, w którym się znajdowała.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta wieczór.

Czemu Rothwell skłamała w tak banalnej sprawie? Czemu powiedziała jej i Seanowi, że Sally Maxwell zagrała z Dougiem Reaganem w amatorskim turnieju na cele charytatywne, bo jej handicap był zbyt wysoki i nie zakwalifikowałyby się do zawodów? Bez wątpienia była lepsza od matki Michelle. Idiotyczne kłamstwo. Pewnie liczyła na to, że Michelle, która nie znała Nashville, nigdy nie dowie się prawdy.

Dlaczego skłamała? A jeśli jej matka faktycznie miała romans z Dougiem?

Zatrzymała się. Usłyszała odgłos kroków. Klaskanie metalu o skórę. Metalowego pistoletu. Postąpiła głupio. Nie włamie się do domu Donny Rothwell, bo za to zostałaby aresztowana. Nie zostanie tu, czekając, aż ktoś na nią doniesie.

Wróciła do SUV-a i zadzwoniła do Seana, a następnie powtórzyła wszystko, czego się dowiedziała o Rothwell.

– Bobby i ja spotkamy się z tobą u taty – powiedział.
– Pojedź tam i nic nie rób.

Wróciła do domu ojca i zaparkowała od frontu. Spojrzała na drzwi garażu. Taty nadal nie było w domu. Użyła zapasowego klucza, żeby wejść do środka.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, od razu to wyczuła. Wyciągnęła pistolet o sekundę za późno. Coś uderzyło ją w ramię. Sig wystrzelił, a pocisk zrykoszetował od kamiennej posadzki. Michelle chwyciła się za bolące ramię i rzuciła w bok. Gdy leżała, coś twardego uderzyło obok niej.

Później usłyszała brzęk obok głowy. Skoczyła na nogi i kopnęła, ale trafiła w próżnię. Ktoś krzyknął, a Michelle poczuła kolejne bolesne uderzenie w nogę. Zaklęła, pobiegła do salonu i schowała się za kanapą. Przynajmniej znała rozkład domu.

Kiedy tamten ponownie zaatakował, była przygotowana. Uchyliła się przed ciosem, skoczyła i kopnęła napastnika w brzuch, a następnie wymierzyła

prosty cios w głowę. Usłyszała głośnie stęknięcie, jakby z płuc napastnika uszło powietrze. Coś runęło na podłogę. Michelle skoczyła naprzód, żeby to wykorzystać, kiedy broń tamtego uniosła się i uderzyła Michelle w brodę. Poczowała metal. W ustach miała krew. Uskoczyła w lewo, potykając się o niski stolik i padając na podłogę. Poczowała tępy ból ramienia i nogi, tępe rwanie szczęki. Usiadła.

Czuła go nad sobą. Czuła ciepłą woń. *Cholera, to mój pistolet. Ma moją broń.*

Zanurkowała za stolik, przewidując, że zaraz padnie strzał.

Huknęło, ale Michelle niczego nie poczuła. Usłyszała krzyk. Cienki przerażony pisk. Coś upadło z brzękiem na podłogę, a później tamten osunął się obok niej.

Ktoś zapalił światło.

Usiadła, mrugając oczami.

Wtedy go zobaczyła. Doug Reagan leżał na podłodze z raną postrzałową piersi.

Obok niej klęczała Donna Rothwell, trzymając zakrwawioną rękę i jęcząc z bólu. Za Donna leżał pistolet. Michelle szybko go chwyciła.

Wtedy zamarła.

Ojciec stał w drzwiach naprzeciw Reagana. Z wyciągniętego pistoletu unosiła się smużka dymu.

Frank Maxwell podszedł i wyciągnął dłoń, żeby pomóc córce wstać.

– Nic ci nie jest, kochanie? – spytał zaniepokojony.

- Sfotografowałem tablice rejestracyjne, bo wiedziałem, że w domu obok jest przyjęcie. Zdobyłem listę gości i porównałem ją z listą właścicieli wozów zaparkowanych na ulicy.

Frank Maxwell odstawił kubek z kawą i usiadł.

Następnego ranka zjawili się na posterunku policji. Donna Rothwell została aresztowana pod zarzutem zamordowania Sally i usiłowania zabójstwa Michelle Maxwell. W szpitalu opatrzono jej rękę, w którą postrzelił ją Frank Maxwell. Doug Reagan też znajdował się w szpitalu. Jego stan był stabilny; miał ranę postrzałową piersi, bo trafił go pocisk z pistoletu, który wypuściła Michelle. Lekarze sądzili, że wróci do zdrowia choćby po to, aby zostać oskarżonym razem z Donna.

– Jak zdobyłeś dane samochodów? – zapytał Bobby Maxwell.

– Mam kumpla w drogówce.

– Znalazłeś ciało mamy w garażu i od tak wyszedłeś, żeby zrobić zdjęcia? – spytała z niedowierzaniem Michelle.

Frank Maxwell spojrział na swoje najmłodsze dziecko.

– Nie żyła. Brak pulsu, źrenice nie reagowały. Nie mogłem jej pomóc. Ciało było jeszcze ciepłe. Wiedziałem, że zabójca nadal jest w okolicy. Nie brałem prysznicza. Byłem w salonie. Usłyszałem głosy w garażu, a

później dźwięk zatraskiwanych drzwi.

– Nie powiedziałaś o tym policji – przypomniał Bobby. – Do licha, tato! Nie powiedziałaś o tym nawet mnie!

– Miałem powody, synu. Mogłem wezwać gliny, usiąść obok ciała i zacząć płakać, ale wiedziałem, jak ważne jest szybkie zbadanie miejsca zbrodni. Nie chciałem tracić ani sekundy. Wybiegłem z garażu bocznymi drzwiami. Nie zobaczyłem ani nie usłyszałem nikogo. Przebiegłem ulicę w jedną i drugą stronę, bez skutku. Nie usłyszałem ruszającego samochodu, więc pomyślałem, że sprawca przyszedł pieszo lub jeszcze nie odjechał. Z sąsiedniego domu dobiegały dźwięki przyjęcia nad basenem. Zastanawiałem się, czy powinienem tam pójść i powiedzieć im, co się stało. Sprawdzić, czy wśród gości nie ma kogoś obcego, ale wybrałem inne rozwiązanie. Wiedziałem, że mam mało czasu. Wróciłem do domu i złapałem aparat. Zrobiłem zdjęcia tablic rejestracyjnych. Później poszedłem do domu i wezwałem gliniarzy. Zajęło mi to jakieś dwie minuty. Potem wybiegłem ponownie, żeby sprawdzić, czy kogoś nie zobaczę, ale tak się nie stało. Wtedy wróciłem do garażu, żeby być z Sally... – Ostatnie zdanie wypowiedział cicho, opuszczając głowę.

– Jesteś pewien, że nikogo nie widziałeś? – zapytał Sean, który siedział naprzeciw Franka.

– Gdybym zobaczył, na pewno bym zareagował. Kiedy mój przyjaciel sprawdził tablice zaparkowanych

samochodów, okazało się, że na końcu ulicy stał wóz Douga Reagana. Nie uwierzyłem, że został zaproszony na przyjęcie nastolatki. Zestawiłem to z listą zaproszonych gości. Był tylko jeden wóz, który się nie zgadzał. Inne należały do ludzi, którzy byli na przyjęciu lub mieszkali w okolicy.

– Niezły kawał policyjnej roboty – zauważył Sean. – Czemu nie powiedziałaś o tym glinom?

– Właśnie, tato – dodał Bobby. – Czemu nie zawiadomiłaś policji?

Michelle spojrzała na ojca z mieszaniną gniewu i współczucia. W końcu to drugie wzięło górę.

– Pewnie chciał się upewnić, że ma rację. Nie chciał marnować ich czasu – powiedziała.

Frank spojrzał na córkę. Michelle dostrzegła iskrę wdzięczności w jego oczach.

– Uznałeś, że Reagan był w to zamieszany. A Rothwell? – zapytała.

– Nigdy jej nie lubiłem. Było w niej coś dziwnego. Gliniarze mają instynkt. Po zamordowaniu Sally zacząłem ich sprawdzać. Okazało się, że dwadzieścia lat temu w Ohio działała para podobna do Rothwell i Reagana, ale tamci posługiwali się innymi nazwiskami. Dzięki zdobytemu pełnomocnictwu wyłudzili miliony dolarów od emerytowanego dyrektora. Gdy dzieci zaczęły coś podejrzewać, znaleziono staruszkę martwego w wannie. Tamta para wyjechała z miasta i więcej o nich nie słyszano. Nie sądzę, aby zrobili to tylko jeden raz.

Słyszałem o podobnych przypadkach, w które mogli być zamieszani, choć pewnie nikt nie zdoła tego udowodnić. Ludzie ich pokroju zarabiają w ten sposób na życie. Pies nie zmienia swoich nawyków.

– Wymyśliła bajeczkę o mężu emerytowanym dyrektorze, z którym przeżyła szczęśliwe życie? – spytała Michelle.

– Łatwo sfabrykować przeszłość – dodał Sean. – Przyjechała do Nashville jako bogata wdowa, która zjeździła pół świata i zaczęła zapraszać gości. Kto mógłby dowieść, że było inaczej?

– Zatem stały partner Donny, Doug Reagan, był jej długoletnim wspólnikiem? Polowali na starych, zamożnych ludzi – powiedział Bobby.

– Tak sobie pomyślałem – przyznał jego ojciec – ale nie miałem dowodów.

– Czemu zainteresowali się mamą? – spytała Michelle. – Przecież nic nie wskazywało, że tarzacie się w forsie.

Frank Maxwell zrobił zmieszaną minę, zaciskając dłoń na styropianowym kubku.

– Nie sądzę, żeby sobie nas upatrzyli. Myślę... myślę, że twoja matka lubiła towarzystwo Douga Reagana. – Zamilkł, a nikt z obecnych w pokoju nie miał zamiaru przerwać ciszy. – Facet wszędzie bywał – ciągnął Frank. – Wszystko robił, wszystkich znał, a przynajmniej tak twierdził. Sally nigdy wcześniej tego nie doświadczyła. Był przystojny, bogaty, poruszał się w pewnych kręgach.

Czarujący gość. Miał w sobie coś wyjątkowego, a ja byłem zwykłym gliną. Nie mogłem z nim rywalizować. Do licha, rozumiem, czemu tak ją intrygował. – Wzruszył ramionami, ale Michelle wiedziała, że ojciec nie potrafi pojąć tego zadurzenia.

– Rothwell dowiedziała się o wszystkim? – zapytał Sean.

– Donna Rothwell to osoba, której lepiej nie wchodzić w drogę – odparł krótko Frank. – Chociaż nie znałem jej zbyt dobrze, doskonale znam ludzi jej pokroju. Dostrzegam rzeczy, których inni ludzie nie zauważają. Mam oko gliniarza. Widziałem, jaką miała minę, gdy nie znajdowała się w centrum uwagi lub gdy jej facet zwracał uwagę na inną. Była obsesyjna i apodyktyczna. Nie przyznałaby nikomu, a tym bardziej sobie, że nie panuje nad sytuacją. To czyniło ją niebezpieczną. Nawet na polu golfowym miała nadmierną skłonność do rywalizacji. Wkurzała się, kiedy zaczynała przegrywać.

– Pewnie dlatego skłamała, że pozwoliła Reaganowi wystąpić z mamą w turnieju golfa. Nie chciała się przyznać, że zrobił to bez jej zgody.

– I czemu tak stanowczo twierdziła, że twoja matka nie spotykała się z innym mężczyzną – dodał Sean.

– Postanowiła zamordować mamę, bo zadawała się z Reaganem. Umówiła się z nią na obiad, wiedząc o przyjęciu odbywającym się w do mu obok i panującym zgiełku. Wślizgnęła się do garażu i na nią zaczęła... – Michelle urwała na chwilę. – Jakiego narzędzia użyła?

Czym ją zabiła? – spytała Bobby'ego, który patrzył na nią ze łzami w oczach.

Brat Michelle wziął głęboki oddech.

– Kijem golfowym. Putterem. To wyjaśnia dziwny kształt rany głowy. Policja znalazła go w bagażniku jej samochodu. Nadal były na nim ślady krwi. Ostatniej nocy zaatakowała kijem golfowym także ciebie, ale tym razem użyła drivera.

Michelle potarła ramię i nogę, na których widniały duże siniaki.

– Miała naturalny talent do golfa – zauważyła oschłym tonem. – Czemu mnie napadła?

– Reagan był w klubie golfowym tamtego wieczoru. Wiem, bo ja również tam byłem. Śledziłem go. Widział, jak oglądasz gablotę z nagrodami. Podśluchał twoją rozmowę z tym facetem o Donnie. Pewnie dodał dwa do dwóch. Zauważyłaś to na fotografii w gablocie?

– Że Donna była leworęczna? Taak.

– Wyślizgnął się niepostrzeżenie, zadzwonił do Rothwell i czmychnął.

– Do twojego domu?

– Nie miałem pewności, bo przestałem go śledzić i zacząłem jechać za tobą. Ale skończyło się u mnie, bo właśnie tam zastawili na ciebie pułapkę.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo byłaś zbyt blisko prawdy.

– Czemu zacząłeś mnie śledzić?

– Bo się o ciebie martwiłem. Bo nie chciałem

pozwolić, żeby te łotry zrobiły ci krzywdę. Zawiodłem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Ocaliłeś mi życie, tato. Gdyby nie ty, leżałabym teraz w kostnicy.

Jej słowa wywarły na nim silne wrażenie. Ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać. Dzieci wstały i uklekły przy nim.

Sean też się podniósł, ale do nich nie dołączył. Wyszedł z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

Quarry siedział w bibliotece Atlee, licząc pieniądze, które mu pozostały. Dwa lata temu zrobił coś, o co nigdy by siebie nie posądzał. Sprzedał niektóre rodzinne pamiątki antykwariuszowi, żeby sfinansować tę operację. Nie otrzymał sumy równej ich prawdziwej wartości, ale nie mógł wybrzydzać. Odłożył gotówkę na bok, wyciągnął maszynę do pisania, nałożył rękawiczki, wsunął papier i przystąpił do wystukiwania ostatniego listu, który miał napisać na tej maszynie. Podobnie jak przy poprzednich listach, starannie przemyślał każde słowo.

Ten list będzie już ostatni. Później będzie się komunikował w bardziej bezpośredni sposób. Kiedy skończył, wezwał do siebie Carlosa. Żyłasty, niski mężczyzna nocował w Atlee, kiedy Daryl pełnił obowiązki strażnika w kopalni. Miał dla niego zadanie. Po bójce z Darylem postanowił mieć syna na oku.

Carlos też miał rękawiczki, zgodnie z poleceniem Quarry'ego. Miał pojechać jedną z furgonetek na północ, opuścić stan i nadać list. Carlos nie zadawał pytań. Wiedział, czego może się spodziewać. Quarry dał mu pieniądze na podróż oraz zaklejoną kopertę.

Kiedy Carlos odszedł, Quarry zamknął drzwi do biblioteki, rozpałił ogień w kominku, sięgnął po pogrzebacz i wsunął go w płomienie. Widząc, że żelazo się rozgrzało, podciągnął rękaw i dodał trzecią linię do

znaku na swoim ramieniu. Była to ukośna kreska prostopadła do długiej blizny, umieszczona z lewej strony. Kiedy skóra zaskwierczała i poczerwieniała pod wpływem rozpalonego do czerwoności metalu, Quarry opadł na stary fotel stojący przy biurku. Nie zagryzł warg, bo były spuchnięte i zaklejone plastrem po bójce z Darylem. Otworzył butelkę jima beama i skrzywił się boleśnie, polewając ranę whiskey. Patrzył, jak spieczona skóra pęcznieje, a języki ognia unoszą się i opadają, tańcząc w kominku.

Do wypalenia pozostała jedna kreska. Tylko jedna.

Wyszedł z biblioteki i ruszył chwiejnym krokiem w stronę pokoju Tippi. Otworzył drzwi i spojrzał w ciemność. Leżała na łóżku. A gdzie, u czorta, miałyby być, pomyślał.

Ruth Ann szybko nauczyła się, czego potrzebuje Tippi, i przystąpiła do wykonywania rutynowych czynności, pomagając Quarry'emu w opiece nad córką. Przez chwilę zastanawiał się, czy wejść i jej poczytać, ale był zmęczony i miał obolałe usta.

– Chce pan, żebym jej poczytał, panie Sam?

Odwrócił się wolno i ujrzał Gabriela stojącego na podeście schodów. Chłopak oparł małą dłoń na drewnianej poręczy, którą kilka wieków temu polecił wykonać człowiek będący właścicielem setek niewolników. Quarry pomyślał, że drewno pewnie już spróchniało, jak ten, który zrobił poręcz, a raczej zmusił niewolników, by to za niego zrobili. Widok małej czarnej

dłoni na starym drewnianym sprzęcie, który zaczął butwieć, nie wiedzieć czemu przyniósł Quarry'emu ulgę.

– Dziękuję ci – powiedział, wolno poruszając zranionymi ustami.

– Mama powiedziała, że pan się przewrócił i rozciął sobie wargę.

– Robię się za stary na pracę na roli.

– Chce pan, żebym przeczytał jej jakąś konkretną część?

– Rozdział piąty.

Gabriel spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Czemu akurat ten?

– Nie mam pojęcia, ale właśnie ten przyszedł mi do głowy.

– Może panienka Tippi chciałaby, żebym jej poczytał inną książkę, panie Sam?

Quarry spojrział na leżącą bez ruchu córkę.

– Nie, synu. Jedna książka wystarczy.

– To już zacznę czytać.

Gabriel przeszedł obok i zapalił górne światło. Nagły blask sprawił, że Quarry się odwrócił, bo zaboląły go oczy.

Stałem się nocnym stworzeniem, pomyślał.

Nie zauważył, że Gabriel na niego patrzy, dopóki mały chłopiec nie zapytał:

– Nic panu nie jest, panie Sam? Może chciałby pan o czymś pomówić?

Quarry utkwiał wzrok w Gabrielu, który usiadł obok

Tippi z drogocenną powieścią Austen w dłoniach.

– Chciałbym pogadać o wielu sprawach, chłopcze, ale nie sądzę, żebyś był nimi zainteresowany.

– Może pana zaskoczę.

– Może – przytaknął Quarry.

– To naprawdę piękne, co pan zrobił. Zostawił pan mamie ten dom.

– Twojej mamie i tobie, Gabrielu. Tobie również.

– Dziękuję.

– Czytaj już. Rozdział piąty.

Gabriel zabrał się do czytania. Quarry słuchał chwilę, a następnie zszedł po schodach, stąpając ciężko. Usiadł na werandzie, rozkoszując się tak rzadką na Południu rześką nocą.

Minutę później jechał swoją starą furgonetką, kołysząc się i podskakując na wyboistej gruntowej drodze. W końcu dotarł na miejsce, zatrzymał się i wysiadł. Ruszył przed siebie długim krokiem, by stanąć przed małym domkiem, który zbudował. Przykucnął dziesięć jardów przed drzwiami.

Dwieście dwadzieścia stóp kwadratowych doskonałości na kompletnym zadupiu. Kiedy nogi się zmęczyły, usiadł na ziemi, nie odrywając wzroku od domu. Wyciągnął papierosa, wsunął go między wargi, ale nie zapalił. Papieros dyndał mu u warg jak słomka. Od strony drzew dolatywały pohukiwania sowy. Na niebie dostrzegł samolot szybujący w przestworzach. Nikt tam w górze nie mógłby go wyśledzić w Alabamie. Pewnie leciał

na Florydę lub do Atlanty. Samoloty nigdy tu nie lądowały. Quarry wiedział, że nie byłoby po co. Mimo to uniósł dłoń i wolno pomachał pasażerom, choć wątpił, by wyglądali przez okno.

Po chwili wstał i poszedł w miejsce, które wskazał Carlosowi. Spojrzał w kierunku drogi, sprawdzając trajektorię. Po raz tysięczny. Nie zmieniła się nawet o milimetr. Była tam kamera, która miała przekazywać obraz Carlosowi, urządzenie do zdalnego sterowania i telefon satelitarny, przez który mężczyzna miał się połączyć z przebywającym w kopalni Quarrym. Dynamit. Willa. Jej naturalna matka. Daryl. Kurt leżał już martwy w południowym szybie. Jego patriot został wstydliwie zakopany.

Ruth Ann.

Gabriel.

Na koniec Tippi.

To była najtrudniejsza część. Tippi.

Zszedł z pagórka i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę domu. Tym razem nie zatrzymał się, ale wszedł na werandę. Nie otworzył drzwi. Usiadł na deskach, opierając się plecami o filar i wbijając wzrok w drzwi.

Tak, to była najtrudniejsza część.

Wciągnął rześkie powietrze i splunął, jakby jego płuca nie tolerowały czystego powietrza. Zakaszłał. Zauważył u siebie suchy kaszel, przypominający kaszel Freda.

Kilka sekund zastanawiał się nad czymś, co

wydawało się niemożliwe. Czy nie zrezygnować z tego wszystkiego? List został już nadany, ale nie musiał wykonywać kolejnych kroków. Mógł polecieć jutro do kopalni, zabrać Wohl i Willę, a następnie podwieźć je w bezpieczne miejsce, gdzie zostaną odnalezione. I posiedzieć z Tippi.

Wrócił do furgonetki i pojechał szybko do Atlee. Pobiegnął do biblioteki, zamknął za sobą drzwi i sięgnął po whiskey old grand dad, ignorując jima beama. Siedział za biurkiem, wpatrując się w pusty kominek i czując opuchniętą skórę na przedramieniu.

– Co ja robię?! – krzyknął. Wstał i pochylił się głęboko, szybko dysząc. Nerwy mu puściły. Wyskoczył z biblioteki i zbiegł po schodach. Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Dotarł do piwnicy, przebiegł korytarz i wpadł do pokoju. Włączył światło i spojrzał na ściany. Na swoje ściany. Na swoje życie. Spojrzał na stare nazwiska, miejsca, wydarzenia i krzyżujące się nitki, za którymi kryły się lata potu i mozolnych uporczywych badań, mających na celu dotarcie do prawdy.

Po chwili jego oddech stał się regularny, a nerwy się uspokoiły. Zapalił papierosa i wypuścił wolno kłęb dymu. Utkwił wzrok w fotografii Tippi na końcu przeciwległej ściany, w miejscu gdzie wszystko się zaczęło.

Ściany wygrały. Postanowił, że doprowadzi sprawę do końca. Zgasił światło, pogrążając je w ciemności, bo wykonały swoją rolę. Zamknął drzwi i ruszył na górę.

Gabriel skończył czytać Tippi i poszedł spać. Quarry

zajrzał do pokoju chłopca, mijając go po drodze. Lekko uchylił drzwi i usłyszał cichy oddech Gabriela, dostrzegł wznoszący się i opadający koc, którym był przykryty.

Dobry chłopak. Pewnie wyrośnie na porządnego człowieka. Rozpocznie nowe życie daleko stąd. Tak powinno być. To nie miejsce dla niego. Gabriel nie należał do Atlee, inaczej niż Sam Quarry.

Każdy musiał wybrać własną drogę. Gabriel nadal stał przed decyzją, ale Quarry już wybrał. Z autostrady, którą pędził, nie było zjazdu. Mknął przed siebie z prędkością miliona mil na godzinę.

Ruszył schodami do swojej sypialni, spoglądając na zegarek. Carlos nada list za kilka godzin. Za dzień, dwa, maksimum trzy przesyłka dotrze do adresata. Domyślał się, jaką decyzję podejmą. Z drugiej strony z tymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Czasami nie można było przewidzieć, jak się zachowają. Dotarł do sypialni na górze i zdał sobie sprawę, że sam jest dowodem na to, że nie można przeniknąć człowieka.

Nie zapalił światła. Ściągnął buty i skarpety, rozpiął pasek, zdjął spodnie i zostawił rzeczy na podłodze. Podszedł do kanapy, sięgnął po w butelkę z płynem uśmierzającym ból i nagle spojrzał na łóżko.

Co u licha? Położył się na nim, odstawił butelkę i zaczął marzyć o starych lepszych czasach.

Bo tylko to mu pozostało. Marzenia.

Michelle i Sean patrzyli, jak Frank Maxwell kładzie bukiet kwiatów na świeżym grobie żony, pochyła głowę i mamrocze kilka słów. Po chwili wstał, odwrócił się i spojrzał w dal.

– Myślisz, że się pozbiera? – szepnął Sean.

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy sama sobie poradzę.

– Jak twoja noga i ramię?

– W porządku. Miałam na myśli co innego.

– Wiem – odrzekł cicho.

Odwróciła się do niego.

– Masz problemy rodzinne?

– Każda rodzina ma problemy. Czemu pytasz?

– Tak sobie pomyślałam.

Zamilkli, widząc, że Frank idzie w ich stronę.

Michelle położyła dłoń na ramieniu ojca.

– Wszystko w porządku?

Wzruszył ramionami, ale przytaknął. Kiedy ruszyli do SUV-a Michelle, powiedział:

– Może nie powinienem był zostawić Sally, żeby bawić się w śledztwo. Może trzeba było przy niej zostać.

– Gdybyś to zrobił, moglibyśmy nie schwytać Rothwell i Reagana – przypomniał mu Sean.

Gdy wrócili do domu, Michelle zaparzyła kawę, a Sean przygotował kanapki na lunch. Oboje podnieśli głowy na dźwięk słów dolatujących z małego telewizora

stojącego na kuchennym blacie.

Chwilę później na ekranie ukazało się zdjęcie Willi. Telewizyjne wiadomości nie przyniosły nowych informacji. Powiedziano to samo co zwykle. FBI prowadzi śledztwo, pierwsza para jest głęboko zaniepokojona. Cały kraj zastanawia się, gdzie jest mała dziewczynka. Już to wszystko wiedzieli, ale widok dziecka zahipnotyzował ich oboje, jeszcze bardziej przynaglając do działania.

Sean wyszedł na zewnątrz, żeby wykonać kilka telefonów. Kiedy wrócił, Michelle spojrzała na niego pytająco.

- Zadzwoń do Chucka Watersa i pierwszej damy.
- Coś nowego?
- Nic. Zostawiłem kolejną wiadomość mojemu dwugwiazdkowemu kumplowi.
- Czy Waters zdołał coś ustalić w sprawie Koasati?
- Wysłał ludzi do ich miasta w Luizjanie. Do tej pory niczego nie znaleźli. Wszyscy szukają.

Zamilkli. Stało się jasne, że po wyjaśnieniu zagadki śmierci Sally Maxwell odnalezienie Willi stało się priorytetową sprawą. Żywej. Mimo to potrzebowali chwili wytchnienia. Krótkiej przerwy.

Podczas lunchu, który jedli w kuchni, Frank otarł usta chusteczką i odchrząknął.

- Byłem zaskoczony, że wróciłaś – powiedział.
- Dokąd? – spytała.
- Przecież wiesz.

- Też byłam zaskoczona, gdy cię tam ujrzałam.
 - Nigdy nie byliśmy szczęśliwi w tym domu, sama wiesz. Ja i twoja matka.
 - Najwyraźniej.
 - Ile zapamiętałaś z tamtego okresu? – spytał ostrożnie. – Byłaś taka mała. Miałaś nie więcej niż dwa lata.
 - Mylisz się, tato. Miałam sześć lat, ale niewiele pamiętam.
 - Jednak wiedziałaś, jak tam trafić.
 - Dzięki GPS-owi – skłamała.
- Sean zaczął się bawić frytką na talerzu, unikając spoglądania na ojca i córkę.
- Zaraz wrócę – powiedział, wstając i wychodząc, zanim zdążyli zareagować.
 - To porządny facet – powiedział Frank.
- Michelle skinęła głową.
- Nie zasługuję na takiego.
 - Jesteście ze sobą? – Spojrzał na córkę.
- Zaczęła manipulować przy uchu kubka z kawą.
- Jesteśmy współnikami – odparła.
- Frank wyjrzał przez okno.
- W tamtym okresie ciężko pracowałem. Mama spędzała dużo czasu sama. Było jej trudno, dzisiaj to rozumiem. Praca w policji była całym moim życiem. Twoi bracia potrafią lepiej połączyć życie prywatne z zawodowym.
 - Nigdy nie czułam się zaniedbywana, tato. Ani

żaden z chłopaków, o ile wiem. Podziwiali ciebie i mamę.

– A ty?

Spojrzenie ojca było tak błagalne, że oddech uwiązł jej w krtani.

– Co?

– Czy nas podziwiałaś?

– Bardzo kocham was oboje. Zawsze kochałam.

– W porządku. – Wrócił do lunchu, metodycznie żując kanapkę i popijając kawę. Na jego mocnych dłoniach ukazały się żyły. Więcej na nią nie spojrzął.

Kiedy razem z Seanem zmywali po posiłku, ktoś zapukał do drzwi. Poszła otworzyć i minutę później wróciła z dużym kartonowym pudłem.

Sean włożył ostatni kubek do zmywarki, zamknął drzwiczki i odwrócił się w jej stronę.

– Co to? Dla twojego taty?

– Nie, dla ciebie.

– Dla mnie?!

Postawiła pudełko na stole i przeczytała adres zwrotny.

– „Generał Tom Holloway. Departament Obrony”.

– To mój dwugwiazdkowy kumpel. Wygląda, że zdobył listę dezertków.

– Jak cię tu namierzył?

– Wysłałem mu e-mail, kiedy jechaliśmy do Tennessee, i zostawiłem ten adres, na wypadek gdyby coś znalazł, a ja nadal bym tu przebywał. Otwórz ją. Szybko.

Michelle rozcięła karton nożyczkami. W środku

znajdowały się trzy tuziny plastikowych segregatorów. Wyciągnęła kilka kartek. Okazały się kopiami raportów z oficjalnych dochodzeń.

– Wiem, że jest twoim kumplem, ale czemu armia miałaby udostępnić cywilowi takie materiały?

Sean rzucił okiem na segregatory i zaczął je przeglądać.

– Sean? Zadałam ci pytanie.

Podniósł głowę.

– Oprócz wspomnienia o biletach na mecz mogłem nadmienić, że za naszym dochodzeniem stoi Biały Dom, a współdziałanie może zostać osobiście docenione przez prezydenta i pierwszą damę. Bez wątpienia Holloway to sprawdził i przekonał się, że mówię prawdę. Pierwsza zasada obowiązująca w armii mówi, by nie robić niczego, co mogłoby wkurzyć dowódcę.

– Jestem pod wrażeniem.

– Najwyraźniej po to żyję, by cię zaskakiwać.

– Przejrzymy te papiery?

– Strona po stronie, linijka po linijce. Miejmy nadzieję, że dobry Bóg dostarczy nam przełomu, którego tak potrzebujemy.

Trzasnęły drzwi. Michelle wstała i wyjrzała przez okno w samą porę, by zobaczyć, jak ojciec wsiada do samochodu i odjeżdża.

– Dokąd pojechał? – zapytał Sean.

Michelle usiadła.

– Skąd mam wiedzieć? Nie jestem jego stróżem.

- Ten człowiek ocalił ci życie.
 - Podziękowałam mu za to, prawda?
 - Czyżbym dotarł do punktu, w którym zwykle posyłasz mnie do diabła?
 - Jesteś niebezpiecznie blisko.
 - Tak sobie pomyślałem. – Wrócił do przeglądania segregatora.
 - Kocham ojca i kochałam moją matkę.
 - Nie wątpię. Wiem, że takie sprawy bywają paskudnie skomplikowane.
 - Myślę, że na podstawie dziejów mojej rodziny można by napisać całą książkę na ten temat.
 - Twoi bracia wydają się całkiem normalni.
 - Za to ja mam wszelkie możliwe problemy.
 - Czemu pojechałaś do waszego starego domu?
 - Powiedziałam ci, że nie wiem.
 - Nigdy nie zauważyłem, żebyś wybierała się w podróż bez wyraźnego powodu.
 - Zawsze jest pierwszy raz.
 - Chcesz tak to zostawić z ojcem?
- Spojrzała na niego wymownie.
- Jak?
 - Bez rozstrzygnięcia.
 - Sean, moja mama została zamordowana, a wcześniej zdradziła tatę. Kobieta, która ją zabiła, omal i mnie nie załatwiła. Ojciec ocalił mi życie, ale oprócz tego są inne sprawy, rozumiesz? Przez pewien czas sądziłam, że to on ją zamordował. Wybacz, ale jestem wewnętrznie

rozdarta.

– Przepraszam, Michelle. Masz rację.

Odłożyła segregator i ujęła twarz w dłonie.

– Nie, może to ty masz rację, ale zupełnie nie wiem, jak to zrobić. Naprawdę.

– Może po prostu zacznij od pogadania z facetem. Sam na sam, gdy nie będzie nikogo w pobliżu.

– To brzmi absolutnie przerażająco.

– Zdaję sobie sprawę. Nie musisz tego robić.

– Muszę, jeśli chcę to mieć za sobą. – Wstała. – Możesz sam to przejrzeć? Spróbuję odnaleźć tatę.

– Domyślasz się, dokąd pojechał?

– Tak mi się zdaje.

Jane Cox jechała limuzyną, wracając z punktu Mail Boxes Etc. Nie wiedziała, że agenci FBI sprawdzili skrytkę pocztową, do której codziennie zaglądała. Niczego się nie dowiedzieli. Fałszywe nazwisko, skrytka opłacona gotówką za sześć miesięcy z góry, żadnych śladów w postaci dokumentów. Urządzili menedżerowi awanturę za to, że nie przestrzega przepisów.

– Od tego zaczął się jedenasty września, kretynie! – warknął agent Chuck Waters do gościa w średnim wieku stojącego za ladą. – Pozwoliliście komórce terrorystów założyć skrytkę pocztową bez żadnych dokumentów. Pomagaliście wrogom kraju nas zaatakować. Czy chcesz, żeby tak was zapamiętano? Jako tych, którzy pomogli Osامية bin Ladenowi?

Mężczyzna był tak przerażony reprymendą, że w jego oczach błysnęły łzy, ale Waters już tego nie widział, bo wypadł ze sklepu.

Jane dotarła do Białego Domu i wysiadła z samochodu. Ostatnio rzadko występowała publicznie, co nie było takie złe, bo wyglądała na zmęczoną i postarzałą. Kamery wysokiej rozdzielczości nie byłyby dla niej zbyt łaskawe. Nawet prezydent to zauważył.

– Nic ci nie jest, kochanie? – zapytał podczas krótkiej przerwy w kampanii, przed wygłoszeniem mowy do grupy weteranów i spotkaniem z kobietą drużyną koszykówki, która zdobyła akademicki puchar kraju. Jane

udała się do prywatnej części rezydencji i zastała męża pochylonego nad jakimiś raportami.

– Nie, Danny. Wszyscy mnie o to pytają. Niebawem zacznę myśleć, że faktycznie dzieje się coś złego.

– FBI poinformowało mnie o twoich wizytach w punkcie ze skrytkami pocztowymi.

– Czemu nie zrobiła tego Secret Service? – spytała szybko. – Czyżby wśród nas był szpieg?

Westchnął.

– Wykonują swoją robotę, Jane. Jesteśmy składnikiem majątku narodowego. Bogactwem tego kraju. Przynajmniej ty – dodał z uśmiechem, który zwykle poprawiał jej nastrój.

Zwykle, ale nie dziś.

– Skarbem jesteś ty, Danny, ja jestem tylko ciężarem.

– Jane, nie...

– Nie mamy czasu na droczenie się. Porywacze przesłali mi list. Był w nim adres skrytki pocztowej i klucz. Powiedzieli, że otrzymam kolejną wiadomość i że mam codziennie sprawdzać skrytkę. Do dziś nic nie nadeszło.

– Czemu napisali do ciebie? Czemu nie do Tucka?

– Właśnie, czemu nie do Tucka? Nie mam pojęcia, Danny. Pewnie dlatego, że nie umiem myśleć jak porywacz.

– Jasne, jasne. Nie o to mi chodziło. Pewnie czegoś chcą za wypuszczenie Willi. Nie może chodzić o pieniądze, bo twój brat ma ich więcej ode mnie. Do licha,

nie możemy nawet zapłacić rachunku w spożywczym. To musi mieć jakiś związek z prezydenturą.

– A wówczas wszystko staje się problematyczne. Osłabia ten urząd, chyba tak to ująłeś.

– Jane, zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale są pewne granice.

– Sądziłam, że Gabinet Ovalny jest ich pozbawiony. Widać się myliłam.

– Zrobimy wszystko, żeby ją odzyskać.

– A jeśli to nie wystarczy? – zapytała gniewnie.

Spojrzał na nią z wyrazem bezradności w oczach.

Najpotężniejszy człowiek na świecie, pomyślała. Ale słaby.

Jej gniew opadł równie szybko, jak się pojawił.

– Przytul mnie, Danny. Tylko mnie przytul.

Przycisnął ją do piersi.

– Ty drzysz. Czy coś się stało? Schudłaś.

Odsunęła się.

– Musisz już iść. Za chwilę masz wygłosić mowę.

Odruchowo spojrzął na zegarek.

– Zadzwoń, kiedy przyjdzie pora.

Chciał ją ponownie przytulić, ale się odsunęła. Usiadła i spojrzała w dal.

– Jane, jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych. Mam pewne wpływy. Mogę pomóc.

– Tak ci się zdaje, prawda?

Zadzwoił telefon. Cox podniósł słuchawkę.

– Tak, wiem. Zejdę za minutę.

Pochylił się i ucałował żonę w policzek.

– Wrócę i sprawdzę, jak się miewasz.

– Po spotkaniu z kobiecą drużyną koszykówki.

– Zawsze marzyłem, żeby znaleźć się wśród nich –
zażartował. – W gromadzie długonogich babek wyższych
ode mnie.

– Mam kilka spotkań.

– Powiem Cindy, żeby je odwołała. Musisz odpocząć.

– Ale...

– Odpocznij.

Kiedy ruszył do drzwi, powiedziała:

– Potrzebuję cię. Będziesz przy mnie?

Uklęknął obok niej, obejmując ją ramieniem.

– Zawsze będę przy tobie, tak jak ty przy mnie.

Odpocznij. Poproszę, żeby przynieśli ci kawę i coś do
zjedzenia. Nie podoba mi się, że chudniesz. – Pocałował
ją i wyszedł.

Zawsze stałam przy tobie, Danny. Zawsze.

Michelle zaparkowała samochód i wysiadła. Kiedy jej buty dotknęły twardej ziemi, spojrzała na stary dom, usychające drzewo, murszejącą huśtawkę z opony i szkielet furgonetki stojący na klockach.

Później przesunęła wzrok na drugą stronę ulicy, na dom, w którym kiedyś mieszkała starsza pani, Hazel Rose. Jej dom i ogród znajdowały się zawsze w nieskazitelnym stanie. Teraz budynek był niemal w kompletnej ruinie. Choć niewiele brakowało, żeby się zawalił, najwyraźniej ktoś w nim mieszkał. Na przednim dziedzińcu leżały rozrzucone zabawki. Dostrzegła ubrania suszące się na sznurze z boku domu. Mimo to widok był przygnębiający. Przeszłość Michelle ulegała erozji, jak skała na wierzchołku góry.

Hazel Rose była zawsze miła dla Michelle. Nawet gdy mała dziewczynka przestała przychodzić na herbatki, które urządzała dla dzieci z sąsiedztwa. Michelle nie miała pojęcia, czemu akurat teraz sobie o tym przypomniała. Wróciła do domu, wiedząc, co musi zrobić, choć nie miała na to ochoty.

Przeczucie jej nie myliło. Zatrzymała samochód za toyotą ojca. Drzwi wejściowe były otwarte. Minęła jego wóz i karłowate szczątki żywopłotu z krzaków róż.

Przypomniała sobie o nich. O różanym żywopłocie. Czemu przyszło jej to do głowy? Później pomyślała o liliach na trumnie matki i słowach, które powiedziała

Seanowi, że Sally wołała róże. Poczuła, jakby coś ukuło ją w dłoń, jakby zahaczyła ręką o kolec. Jednak kolców nie było, bo róże zwiędły dawno temu. Tak, nie było żadnych róż.

Szła przed siebie, zastanawiając się, co mu powie.

Nie musiała długo myśleć.

– Tu jestem! – zawołał. Podniosła głowę, osłaniając oczy przed promieniami słońca. Stał w otwartym oknie na drugim piętrze.

Przestąpiła siatkowe drzwi leżące na werandzie i weszła do środka, do miejsca, które przez krótki okres dzieciństwa nazywała swoim domem. W pewnym sensie czuła się tak, jakby odbywała podróż w czasie. Z każdym krokiem stawała się młodsza, mniej pewna siebie i mniej kompetentna. W powietrzu rozplynęły się późniejsze lata jej życia – studia w college'u, służba w Secret Service i partnerowanie Seanowi. Znowu miała sześć lat, znowu wlokła za sobą sfatygowany plastikowy kij do baseballu, szukając kogoś, kto chciałby się z nią pobawić.

Spojrzała na stare schody. Kiedy była dzieckiem, zjeżdżała po nich na kawałku kartonowego pudełka. Jej matka tego nie znosiła, ale ojciec śmiał się i chwycił dziewczynkę, która pędziła w dół prosto w jego ramiona.

– Mój najmłodszy syn – mawiał czasami, bo była taką dzielną chłopczycą.

Ruszyła w górę. Ojciec powitał ją na podeście.

– Pomyślałem, że przyjedziesz – powiedział.

– Dlaczego?

– Nie dokończyliśmy pewnej sprawy.

Otworzyła drzwi swojego starego pokoju, podeszła do okna i usiadła na krawędzi parapetu, opierając się plecami o brudne szyby.

Ojciec stanął przy ścianie, wsuwając dłonie do kieszeni i bezmyślnie naciskając czubkiem buta drewniane deski podłogi.

– Zachowałeś stąd dużo wspomnień? – spytał ze wzrokiem utkwionym w bucie.

– Kiedy szłam do domu, przypomniałam sobie różany żywopłot. Zasadziłeś go na waszą rocznicę ślubu, prawda?

– Nie, na urodziny twojej matki.

– Później ktoś zniszczył krzaki w nocy.

– Tak, to prawda.

Michelle odwróciła głowę i wyjrzała przez okno.

– Nigdy nie udało się znaleźć sprawcy.

– Brakuje mi jej... Naprawdę brakuje.

Odwróciła się i zauważyła, że ojciec ją obserwuje.

– Wiem. Nie pamiętam, żebyś płakał z wyjątkiem tamtego ranka.

– Płakałem, bo omal cię nie straciliśmy.

Jego odpowiedź ją zdumiała. Ciekawe dlaczego.

– Wiem, że mama cię kochała, tato. Nawet jeśli... nawet jeśli nie zawsze postępowała właściwie.

– Wyjdźmy na zewnątrz, robi się tu duszno.

Ruszyli wzdłuż granicy tylnego podwórka.

– Twoja matka i ja chodziliśmy ze sobą jeszcze w

szkole. Czekala na mnie, kiedy walczyłem w Wietnamie. Pobraliśmy się, a później na świat zaczęły przychodzić dzieci.

– Czterej chłopcy w ciągu czterech lat. Co tu mówić o królikach.

– Później urodziła się mała dziewczynka.

Uśmiechnęła się i szturchnęła go w ramię.

– Można powiedzieć, że był to wypadek przy pracy?

– Nie, Michelle, to nie był wypadek przy pracy. Zaplanowaliśmy ciebie.

Spojrzała na niego pytająco.

– Nigdy was o to nie pytałam, bo zawsze sądziłam, że byłam dla was zaskoczeniem. Czy staraliście się o dziewczynkę?

Frank przystanął.

– Chcieliśmy kogoś...

– Kogoś, kto was ze sobą połączy? – zapytała wolno.

Ojciec ruszył dalej, ale Michelle pozostała na miejscu. Po chwili zatrzymał się i odwrócił.

– Zastanawiałeś się nad rozwodem, tato?

– Nasze pokolenie nie podchodziło lekko do takich spraw.

– Rozwód nie zawsze jest złą decyzją. Jeśli nie byliście ze sobą szczęśliwi...

Frank uniósł dłoń.

– Twoja mama nie była. Ja... cóż... próbowałem pracować nad naszym związkiem. Z drugiej strony muszę przyznać, że spędzałem za dużo czasu w robocie, z dala

od niej. Wychowywała dzieciaki i była w tym naprawdę wspaniała, ale robiła to bez większego wsparcia z mojej strony.

- Takie jest życie gliniarza.
- Tego gliniarza.
- Wiedziałaś o Dougu Reagane, prawda?
- Zauważyłem, że czuje do niego pociąg.

Michelle zadała pytanie, które w jej głowie pojawiło się niespodziewanie.

- Czy zabolałoby cię, gdyby ze sobą sypiali?
- Nadal byłem jej mężem. Oczywiście, że zabolałoby mnie. Głęboko.

- Próbowalbyś położyć temu kres?

- Przypuszczalnie skatowałbym Reagana do nieprzytomności.

- A mamę?

- W przeszłości raniłem ją na wiele sposobów. To nie była jej wina.

- Bo spędzałeś z nią za mało czasu?

- Pod pewnymi względami to gorsze od zdrady.

- Tak uważasz?

- Czym jest przelotny romans w porównaniu z dziesiątkami lat obojętności?

- Przecież nie zawsze byłeś poza domem, tato.

- Nie było cię na świecie, kiedy chłopcy byli mali.

Uwierz mi, mimo najlepszych chęci i priorytetów twoja matka w zasadzie wychowywała ich samodzielnie. Nie można odzyskać utraconego czasu, zawiedzionego

zaufania, a przynajmniej mnie się to nigdy nie udało.

– Czy też za nią płakałeś?

Podał jej rękę, a Michelle ją uścisnęła.

– Ty płaczesz, kochanie. Zawsze płakałaś.

– Mam dość tego miejsca.

Ruszyła w kierunku SUV-a, ale po chwili zawróciła i pobiegła w stronę domu.

– Michelle! – krzyknął ojciec.

Wpadła do starego budynku i popędziła schodami. Usłyszała za plecami dudnienie jego kroków. Sadziła po dwa stopnie, ciężko dysząc, jakby przebiegła kilka mil zamiast jardów.

Dotarła na górę. Drzwi jej sypialni były zamknięte, ale nie one były jej celem. Pobiegła do drzwi na końcu korytarza i otworzyła je kopnięciem.

– Michelle! Nie! – krzyknął za nią ojciec.

Spojrzała do środka, sięgając machinalnie po pistolet. Odpięła pasek, wyciągnęła siga i wycelowwała go przed siebie.

– Michelle! – Dudnienie jego kroków stawało się coraz bliższe.

– Zostaw moją mamę! – wrzasnęła.

Oczyma wyobraźni ujrzała matkę, która odwraca się i spogląda na nią przerażona. Klęczała w podartej sukience. Michelle widziała stanik mamy i głęboki rowek między piersiami. Ten widok ją przeraził.

– Kochanie, zejź na dół! – krzyknęła Sally Maxwell. Jej matka była młoda, młoda i pełna życia. Miejsce

długich jasnych włosów zastąpiły miękkie ciemne kosmyki. Była piękna. Doskonała, z wyjątkiem podartej sukienki i przerażenia na twarzy. Nad nią stał mężczyzna w wojskowych spodniach polowych.

– Odejdź od niej! Przestań ją krzywdzić! – wrzasnęła Michelle głosem, którego używała tylko wówczas, gdy chciała kogoś aresztować.

– Kochanie, proszę. Nic się nie stało – powiedziała matka. – Zejdź na dół.

Palec Michelle ześlizgnął się na spust.

– Przestań! Natychmiast przestań!

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią. Pewnie by się do niej uśmiechnął, jak to robił w inne wieczory, ale mierzyła do niego z jego pistoletu, który przez nieuwagę zostawił w kaburze na krześle. Człowiek się nie uśmiecha, gdy celują do niego z pistoletu. Nawet jeśli robi to sześćioletnie dziecko.

Ruszył ku niej.

Podobnie jak tamtego wieczoru, Michelle oddała jeden strzał. Pocisk przeszył powietrze i utkwiał w przeciwległej ścianie.

Wielkie łapsko chwyciło pistolet i wyrwało jej z dłoni. Puściła go. Był tak ciężki, że nie mogła go dłużej utrzymać. Matka zaczęła krzyczeć. Krzyczała z powodu tego, co zrobiła Michelle. Krzyczała, bo na podłodze leżał martwy człowiek.

Poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciła się, że zobaczyć kto to.

– Tata? – powiedziała dziwnym głosem.

– Już dobrze, kochanie – odrzekł ojciec. – Jestem przy tobie.

Michelle wskazała pokój.

– Zrobiłam to.

– Wiem. Broniłaś swojej mamy. To wszystko.

Ścisnęła jego ramię.

– Musimy go wynieść, ale nie zostawiaj mnie w samochodzie, tato. Nie tym razem. Widzę jego twarz. Musisz zasłonić mu twarz.

– Michelle!

– Musisz zasłonić mu twarz. Jeśli ją zobaczę... – Zaczęła szybko dyszeć. Wciągała spazmatycznie powietrze.

Ojciec odłożył broń i mocno ją przytulił, dopóki jej oddech się nie uspokoił. Dopóki Michelle nie rozejrzała się wokół i nie spostrzegła, że w pokoju nie ma nikogo.

Był pusty.

– Zastrzeliłam go, tato. Zabiłam człowieka.

Cofnął się odrobinę i spojrzał na nią uważnie. Odpowiedziała mu przytomnym, skupionym wzrokiem.

– Nie zrobiłaś nic złego. Byłaś dzieckiem. Przerażonym małym dzieckiem. Broniłaś swojej matki.

– Ale ona... on przyszedł wcześniej. Był z nią, tato.

– Jeśli musisz kogoś obwiniać, obwiń mnie. To moja wina. Wyłącznie moja. – Dostrzegła łzy na jego policzkach i poczuła wilgoć na własnej skórze.

– Nigdy tego nie zrobię. Nigdy nie będę cię o to

winić.

Chwycił jej dłoń i poprowadził w kierunku schodów.

– Musimy opuścić to miejsce, Michelle. Musimy je opuścić i nigdy tu nie wracać. To przeszłość, nie da się niczego cofnąć. Trzeba iść naprzód, Michelle. Takie jest życie. W przeciwnym razie zniszczysz nas oboje.

Kiedy wyszli na zewnątrz, otworzył jej drzwi samochodu. Wsiadła do środka.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? – spytał, zanim zamknął drzwi.

Wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

– Nadal nie wiem dokładnie, co tu się wydarzyło.

– Myślę, że wiesz wszystko, co powinnaś. Pora zapomnieć.

Obejrzała się przez ramię.

– To ty zniszczyłeś krzaki róż, prawda?

Podążył za jej wzrokiem, by po chwili ponownie spojrzeć na Michelle.

– Twoja matka je kochała. Nie powinienem był jej ich zabierać.

– Pewnie miałeś powód.

– Ojcowie nie są doskonali, Michelle. Nie zrobiłem wielu rzeczy, które powinienem.

Spojrzała na ich stary dom.

– Już nigdy tu nie wrócę.

– Nie masz powodu.

Przesunęła wzrok na ojca.

– Między nami musi się zmienić, tato. Potrzebuję

tego.

Uściskał jej dłoń i zamknął drzwi.

Kiedy szedł do swojego wozu, Michelle jeszcze raz spojrzała na dom, odliczając okna, aż dotarła do tego pokoju.

– Tak mi przykro, mamó. Tak mi przykro, że odeszłaś. Nigdy nie chciałam niczego żałować, ale teraz czuję się tak, jakby nic więcej mi nie pozostało. – Oparła czoło na kierownicy i zaszlochała. Jej pierś dygotała z regularnością serca uderzającego dzwonu.

Podniosła głowę w samą porę, by zobaczyć, jak ojciec ociera łzy i wsiada do camry.

– Żegnaj, mamó... nie obchodzi mnie, co zrobiłaś. Zawsze będę cię kochała.

Sean przeglądał segregatory, kiedy zadzwonił telefon. Na linii był Aaron Betack.

– Pamiętaj, że nie dowiedziałeś się tego ode mnie – zaczął agent Secret Service.

– Znalazłeś list?

– Miałeś dobry pomysł, Sean. Taak. Był w jej biurku. Szczerze mówiąc, dotarłem do niego jakiś czas temu. Przepraszam, że zbierałem się tak długo, by ci o tym powiedzieć. Gdyby ktoś się dowiedział, co zrobiłem, moja kariera byłaby skończona. Pewnie trafiłbym do pudła.

– Nikomu nie powiem, obiecuję.

– Nie powiedziałem o tym nawet kolegom z FBI. Nie mam pojęcia, jak mógłbym im wyjaśnić fakt wejścia w jego posiadanie.

– Rozumiem. Napisano go na maszynie, jak pierwszy?

– Tak.

– Co było w środku?

– Niewiele. Autor był oszczędny w słowach, ale te, które napisał, wystarczyły.

– To znaczy?

– Coś już wiemy. Wiemy, że regularnie sprawdza skrytkę pocztową. Jeździ tam codziennie. Waters ją sprawdził. To ślepa uliczka. Planujemy, że gdy list nadejdzie, FBI go odbierze.

– Siłą? Pierwszej damie?

– Wiem. Wyobrażam sobie starcie FBI z Secret Service. To trudna sprawa, ale wszystko zostanie rozegrane za kulisami. Wolfman nie pozwoli, żeby ta sprawa zaprzepaściła jego szansę na reelekcję, choćby była nie wiem jak nieprzyjemna.

– Co jest w liście?

– Właśnie to jest najbardziej niepokojące.

– Niepokojące? W jakim sensie? – spytał znużonym głosem Sean.

– Nie jestem pewien, czy ta sprawa ma w ogóle związek z Duttonami. Może chodzi o pierwszą damę.

– Porywacze chcą czegoś od prezydenta?

– Nie. Napisali, że pierwsza dama dowie się wszystkiego z kolejnego listu. Autor ostrzega, że jeśli pozwoli, aby ktoś je przeczytał, będzie załatwiona. Ona i wszyscy, których kocha. Że nie będzie dla niej ratunku. Że jedyną szansą jest zachowanie listu w sekrecie przed wszystkimi.

– Tak napisał?

– Nie dosłownie, ale intencje są oczywiste. Sean, znasz ją od dawna. Ja ochraniam ją dopiero w tej kadencji. O co może im chodzić? O coś z przeszłości Jane Cox?

Sean cofnął się myślami do chwili, gdy poznał Jane Cox, niezgrabnie wnosząc świeżo upieczonego senatora, a jednocześnie pijanego małżonka do ich skromnego domu. Nie przyszło mu nic do głowy.

– Sean?

– Taak. Zastanawiałem się. Jestem w kropce,

Aaronie.

Betack westchnął ciężko.

– Czyżbym zaryzykował karierę dla niczego?

– Nie sędzę. Ten list wszystko zmienia. Nie wiem tylko w jaki sposób.

– Cóż, jeśli sprawa ma związek z pierwszą damą i głównie wpadnie w wentylator w samym środku kampanii prezydenckiej, wolałbym znajdować się tysiąc mil stąd.

– Możemy nie mieć wyboru.

– Masz coś jeszcze?

– Badamy pewne wątki z Watersem.

– Co słyhać u Maxwell? Słyszałem, że jej matka umarła.

– W porządku. Radzi sobie.

– Z tego, czego się dowiedziałem, wynika, że zostaliście skrzywdzeni przez Secret Service.

– Dzięki za zrozumienie.

Aaron skończył rozmowę, a Sean wrócił do przeglądania segregatorów, by po kilku minutach bezowocnych poszukiwań zacząć rozmyślać o tych elementach przeszłości Jane Cox, które mogłyby wyjaśnić obecną sytuację.

Kilka minut później drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Michelle.

– Znalazłaś tatę? – zapytał, wstając od stołu.

– Tak. Był tam, gdzie myślałam.

– W domu na farmie?

Posłała mu mroczne spojrzenie.

– Jestem detektywem – odrzekł dzielnie. – To moja robota.

– Czasami żałuję, że jesteś taki dobry, szczególnie w sprawach, które dotyczą mojej osoby.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Płakałaś?

– Czasami łzy są dobre. Niedawno to odkryłam.

– Wyjaśniliście wszystkie sprawy?

– Taak, w dużym stopniu.

– Ojciec wrócił z tobą?

– Nie, pojechał do Bobby'ego.

Spojrzała na stertę segregatorów.

– Przepraszam, że zostawiłam cię z tym wszystkim. Znalazłeś coś?

– Jeszcze nie. Przeglądałem dokumenty kilka godzin, ale w końcu utkwilem. Sądząc po liczbie spraw, armia musi mieć poważny problem z dezerterami. Odezwał się Betack. – Sean streścił jej przebieg rozmowy.

Michelle zaparzyła świeżej kawy i nalała obojgu po kubku. Usiedli przy kuchennym stole.

– To był tłumaczyło, czemu pierwsza dama wydaje się taka spięta. Czemu nic nie ujawnia.

– Masz na myśli utrudnianie śledztwa?

– To również.

Wyciągnęła dłoń.

– Podaj mi segregator i znajdziemy tego dzieciaka.

Dwie godziny później nadal byli w kuchni.

– Zostało jeszcze sześć – powiedział Sean,

przeciągając się i podając Michelle jedną z teczek.

Kartkowali je powoli, szukając wskazówek, które pozwoliłyby im podjąć konkretne działania. Byli tak skupieni, jakby pisali egzamin końcowy w college'u. Wiedzieli, że nie mogą popełnić błędu. Jeśli w tych materiałach kryła się jakaś wskazówka, musiała być niezwykle subtelna, a oni nie mogli sobie pozwolić na to, by ją przeoczyć.

– Co powiesz na obiad? – spytał w końcu Sean. – Ja stawiam. Będziemy mogli dalej przeglądać teczki.

Pojechali do miejscowej restauracji.

– Naprawdę załatwiłaś sprawę z ojcem?

Skinęła głową.

– Tak sądzę. Oboje nad tym pracujemy. Nie byłam najbardziej kochającą i czułą córką na świecie.

– Ani siostrą – dodał.

– Dzięki, że mi przypomniałeś.

Kiedy jedli, rzucała mu niepewne spojrzenia.

– To, co zdarzyło się w domu mojego ojca...

– Co?

– To się więcej nie powtórzy.

– Gdyby się zdarzyło, będę przy tobie, rozumiesz? W życiu jest niewiele pewnych rzeczy, ale na tę możesz liczyć.

– Zrobię to samo dla ciebie. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Po to są partnerzy, nie? Jeśli pojawią się jakieś drobne problemy, wspólnie je pokonamy. W porządku?

Razem?

– Tak.

Przysunął jej kolejną teczkę.

– Wróćmy do pracy.

Zanim pochyliła się nad kartkami, przysunęła się i pocałowała go w policzek.

– A to za co? – spytał.

– Za to, że tak dobrze radzisz sobie z drobnymi problemami. I że nie wykorzystujesz kobiety, kiedy nadarza się okazja.

- Czy mogłabym zobaczyć słońce?

Quarry przyleciał swoją cessedną do kopalni i teraz wpatrywał się w Willę siedzącą po drugiej stronie stołu.

– Czemu tego chcesz?

– Bo nie widziałam go od jakiegoś czasu. Brakuje mi światła. Jestem słoneczną osobą.

– Nie zdołasz uciec. Nikt cię nie usłyszy, nawet jeśli będziesz krzyczeć.

– Dlatego nie ma powodu, żebyś mi na to nie pozwolił – zauważyła przytomnie.

– O czym rozmawialiście wczoraj z Diane?

– O różnych rzeczach. Lubię ją.

– Nigdy jej wcześniej nie widziałaś, prawda?

– A czemu miałabym ją widzieć? – zdziwiła się Willa, spoglądając na Quarry'ego ogromnymi oczami.

– Zgoda. Wyjdiesz na słońce. Chodźmy.

– Teraz?

– Dlaczego mielibyśmy czekać?

Wyszła za nim na zewnątrz.

– Czy Diane może pójść z nami? – spytała, kiedy szli długim korytarzem

– Chyba tak.

Poszli po Diane i obie ruszyły za Quarrym w kierunku wyjścia. Willa spoglądała w lewo i prawo, odnotowując wszystkie szczegóły, a Diane wlokła się z tyłu ze wzrokiem utkwionym w plecach Quarry'ego. Na

końcu kroczył Daryl z twarzą posiniaczoną po bójce z ojcem. Jego nastrój pasował do żałosnego wyglądu.

Jedną z rzeczy, które zwróciły uwagę Willi, były kable ułożone w korytarzach. Wcześniej ich tam nie było. Nie miała pojęcia, do czego mogłyby służyć, ale intuicyjnie wyczuwała, że nie oznaczają nic dobrego.

Kiedy Quarry otworzył drzwi, wyszli na zewnątrz, mrugając oczami, by przyzwyczaić się do światła.

– Ładny dzień – zauważył, wyprowadzając małą gromadkę na zewnątrz.

Na jasnoblękitnym niebie nie widać było ani jednego obłoku. Od zachodu wiał delikatny wiatr. Usiedli na wielkim gładzie i rozejrzeli się dokoła. Willa była zaciekawiona, Diane Wohl obojętna, a Daryl marszczył brwi, spoglądając na nich z oddali.

– Gdzie nauczyłeś się latać? – spytała Willa, wskazując małą cęsnę stojącą na trawiastym pasie startowym.

– W Wietnamie. Nigdzie nie nauczysz się latać tak dobrze jak na wojnie. Jeśli nie robisz tego wystarczająco dobrze i nie wrócisz na czas, pomyślą, że w ogóle nie przylecisz.

– Leciałam samolotem – pochwaliła się Willa. – Ostatniego lata byliśmy w Europie. Całą rodziną. Raz poleciałam do Kalifornii. Leciałaś samolotem? – zapytała Diane.

– Taak – odpowiedziała nerwowo Wohl. – Dużo podróżuję w robocie, ale nie takimi samolotami jak ten –

dodała, wskazując cęssną Quarry'ego. – Dużymi.

– Jaką masz pracę? – spytała Willa.

– Posłuchaj, Willa, nie jestem dziś w nastroju do rozmowy – burknęła, spoglądając nieufnie na Quarry'ego.

– Mogłabym tam pójść? – spytała niespeszona dziewczynka, wskazując trawiasty pas.

Quarry spojrział na Daryla i skinął głową Diane.

– Jasne. Chodźmy.

Zacząli iść krótkim zboczem. Quarry ujął dłoń Willi, a kiedy znaleźli się na płaskim terenie, puścił ją i szli obok siebie.

– To twoja góra? – zapytała, wskazując za siebie.

– To bardziej wzgórze niż góra. Tak, jest moja, a przynajmniej należała do mego dziadka, który mi ją zapisał.

– Naprawdę zawiadomiłeś moją rodzinę, że nic mi nie grozi?

– Tak. Czemu pytasz?

– Diane nie sądzi, byś skontaktował się z jej matką i powiedział, że jest cała.

– To prawda? – Quarry spojrział na Diane, która siedziała na skale i wyglądała tak paskudnie, jak się czuła.

– Nie gniewaj się na nią – poprosiła szybko Willa. – Trochę rozmawiałyśmy. – Zawahała się. – Zadzwoń do jej matki?

Quarry nie odpowiedział. Po prostu szedł. Willa musiała podbiec, by dotrzymać mu kroku.

– Jak się czuje twoja córka?

Quarry stanął.

– Po co te wszystkie pytania, dziewczynko? – spytał ponuro.

– A czemu nie?

– To kolejne przekłete pytanie. Odpowiedz na moje.

– Nie mam nic innego do roboty – odrzekła Willa. – Prawie cały czas jestem sama. Przeczytałam wszystkie książki, które mi przyniosłeś, a Diane nie jest zbyt rozmowna. Nic tylko płacze i mnie przytula. Tęsknię za rodziną i od próby ucieczki pierwszy raz widzę słońce. Staram się wytrzymać. Wolałbyś, żebym wrzeszczała, biadoliła i wypłakiwała sobie oczy? Mogę to zrobić, jeśli chcesz.

Quarry ruszył ponownie, a ona za nim.

– Mam dwie córki. Są znacznie starsze od ciebie. To dorosłe kobiety.

– Chodziło mi o tę, która już nie czyta. Jak się czuje?

– Nieszczególnie.

– Czy mogę jeszcze o coś spytać? Nie wściekniesz się?

Quarry stanął, podniósł z ziemi kawałek skały i cisnął na odległość dwudziestu stóp.

– Pytaj.

– Jest poważnie chora?

– Słyszałaś o komie?

– Tak.

– Od ponad trzynastu lat jest w śpiączce. Dłużej niż żyjesz na tym świecie.

- Przykro mi.
- Mnie również.
- Co jej się stało?
- Ktoś ją skrzywdził.
- Dlaczego?
- Dobre pytanie, choć niektórym ludziom jest to zupełnie obojętne.
- Złapali go?
- Nie.
- Jak ma na imię twoja córka?
- Tippi.
- A ty?
- Sam.
- Wiem, że nie możesz mi zdradzić swojego nazwiska, Sam.
- Quarry. Nazywam się Sam Quarry.
- Przed chwilą powiedziałeś mi, jak się nazywasz – powiedziała drżącym głosem.
- Co z tego? Przecież zapytałaś.
- Powiedziałeś mi, jak się nazywasz, a jeśli nas wypuścisz, będę mogła powiedzieć o tym policji. To znaczy, że nie masz takiego zamiaru. – Ostatnie zdanie wypowiedziała przyciszonym głosem.
- Zastanów się. Istnieje inna możliwość. Jesteś bystra, znajdź ją.
- Spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy.
- Może jest ci obojętne, czy powiem policji, jak się nazywasz.

– Do licha! Spodziewam się, że niedługo wielu facetów pozna moje nazwisko.

– Dlaczego?

– Po prostu się dowiedzą. Skoro mowa o imionach, mieszka ze mną mały czarny chłopiec, Gabriel. Ma prawie tyle lat co ty i jest równie bystry. To naprawdę dobry chłopak. Najmilszy, jaki może się trafić.

– Mogę go poznać? – spytała szybko.

– Nie, jeszcze nie. Widzisz, on nie wie o tej sprawie i chciałbym, żeby tak zostało. Dopilnuj, aby ludzie dowiedzieli się, że on i jego mama, Ruth Ann, nie mieli o niczym pojęcia. Zupełnie. Zrobisz to dla mnie, Willo?

– Jasne.

– Dzięki, to dla mnie bardzo ważne.

– Czy on jest pana synem? – zapytała, spoglądając na Daryla.

– Czemu tak pomyślałaś?

– Macie podobne oczy.

Quarry podniósł głowę i zmierzył Daryla wzrokiem.

– Tak, to mój chłopak.

– Pobiliście się czy co? Słyszałam hałas w kopalni. On ma pokiereszowaną twarz, a pan rozciętą wargę.

Quarry dotknął zranionej twarzy.

– Czasami ludzie są odmiennego zdania, a mimo to się kochają. Tak jak ja kocham Tippi.

– Jest pan bardzo niezwykłym porywaczem, panie Quarry – stwierdziła odważnie.

– Mów mi panie Sam, jak Gabriel.

– Czy to długo potrwa? To wszystko?

Quarry głęboko wciągnął powietrze i zatrzymał je w płucach, by po chwili wypuścić.

– Nie, już niedługo.

– Chyba jest panu przykro, że musi to zrobić.

– W pewien sensie tak, w innym nie. Nie miałem wyboru.

– Musimy już wracać, panie Sam?

– Jeszcze nie. Wkrótce, ale jeszcze nie teraz.

Siedzieli na ziemi, ciesząc się ciepłem promieni słonecznych.

Kiedy wrócili do kopalni, Quarry pozwolił Willi i Diane spędzić trochę czasu w pokoju tej ostatniej.

– Czemu jesteś dla niego taka miła? – zapytała Diane, kiedy Quarry zamknął za sobą drzwi i odszedł.

– Jest w nim coś dziwnego.

– Jasne, przecież to psychopata.

– Nie, nie sędzę. Jestem miła dla pana Sama, bo próbuję się skoncentrować na jego dobrych stronach.

– Sądysz, że ma takie? Boże, ale bym chętnie zapaliła.

– Papierosy mogą cię zabić.

– Wolałabym zginąć z własnej ręki. – Wskazała drzwi. – Zamiast z jego! – krzyknęła.

– Przerażasz mnie – wyjąkała Willa, cofając się o krok.

Diane uspokoiła się i usiadła przy stole.

– Przepraszam, Willo. Wybacz. Wszyscy

doświadczamy silnego stresu. Ty tęsknisz za swoją rodziną, ja za swoją.

– Jak to możliwe? Powiedziałaś, że nie masz własnej?

Diane spojrzała na nią dziwnym wzrokiem.

– Chciałam mieć męża i dzieci, ale mi nie wyszło.

– Nadal jesteś młoda.

– Mam trzydzieści dwa lata.

– Masz jeszcze dużo czasu. Nadal możesz założyć rodzinę.

– Kto powiedział, że chcę ją mieć teraz? – burknęła z goryczą Diane.

Willa zamilkła, patrząc, jak Diane nerwowo pociera dłonie i wbija wzrok w blat stołu.

– Nigdy stąd nie wyjdziemy. Wiesz o tym, prawda? – spytała Wohl.

– Myślę, że wyjdziemy, jeśli sprawy ułożą się po myśli pana Sama.

Diane skoczyła na równe nogi.

– Przestań go tak nazywać! Facet nie jest czułym dziadkiem, ale zwariowanym popaprańcem.

– Dobrze – wyjąkała ze strachem Willa. – Już dobrze... przestanę.

Diane opadła na krzesło.

– Tęsknisz za mamą? – spytała cicho.

Willa przytaknęła.

– Za wszystkimi. Nawet za młodszym bratem.

– Czy powiedział ci, że twojej rodzinie nic się nie stało?

– Tak. On... – Willa przerwała i spojrzała na nią przenikliwie. – Czemu o to zapytałaś? Czy coś ci powiedział?

Diane spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Nie... no wiesz, nie rozmawialiśmy o tym. On i ja... o niczym nie wiem.

Willa wstała, przypatrując się badawczo twarzy Wohl, bez trudu przenikając cienką warstwę kłamstw.

– Coś ci powiedział – rzuciła oskarżycielskim tonem.

– Nie, skądże.

– Czy mojej rodzinie coś się stało? Tak czy nie?

– Willa, nie wiem... ja... on... słuchaj, nie można wierzyć we wszystko, co mówi ten człowiek.

– Zatem coś ci powiedział. Co?

– Willa, nie mogę.

– Powiedz! Powiedz mi natychmiast! – Podbiegła do Diane i zaczęła ją okładać pięściami. – Powiedz! Powiedz mi!

W korytarzu rozległy się kroki. Usłyszały zgrzyt klucza w zamku. Drzwi się otworzyły. Quarry wbiegł do izby i podniósł Willę. Dziewczynka odwróciła się i uderzyła go w twarz.

– Powiedz, że mojej rodzinie nic się nie stało! Powiedz! – krzyknęła do Quarry'ego.

Quarry spojrzał na Diane, która skuliła się przy ścianie.

– Willa... przestań – powiedział.

Uderzyła go w zranione usta. Uderzyła i nie

przestawała okładać, jakby straciła nad sobą panowanie.

– Daryl! – ryknął Quarry.

Jego syn wbiegł do izby ze strzykawką. Zdjął osłonkę i wbił igłę w ramię Willi. Kilka sekund później mała opadła w ramionach Quarry'ego, a ten oddał ją synowi.

– Zanieś Willę do jej pokoju.

Kiedy zostali sami, zwrócił się do Diane:

– Co jej, u czorta, powiedziałaś?

– Nic. Przysięgam. Pytała o swoją rodzinę.

– Powiedziałaś, że jesteś jej matką?

– Nie, nigdy tego nie zrobię.

– W takim razie co się, do diabła, stało?

– Zabiłeś jej matkę.

– Nie zrobiłem tego.

– Powiedziałaś, że nie żyje. Żyje czy nie?

Quarry spojrział na drzwi, a później ponownie utkwiał wzrok w Wohl.

– To był wypadek.

– Oczywiście – rzuciła sarkastycznie.

– Powiedziałaś, że jej matka nie żyje? – zapytał, czując, że narasta w nim gniew.

– Nie, ale to bystre dziecko. Powiedziałam jedynie, że nie można ci ufać. Dodała dwa do dwóch. Jeśli nas wypuścisz, prędzej czy później się dowie.

Quarry rzucił jej gniewne spojrzenie spod krzaczastych brwi.

– Nie powinnaś tego mówić.

– Taak, a ty nie powinienesz zabijać jej matki, przez

przypadek czy nie. Zaczniemy od tego, że nie powinieneś nas porywać. Mam gdzieś, czy mnie zabijesz. Idź do piekła, panie Sam.

– Już jestem w piekle, paniusiu. Od wielu lat.
Wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi.

Jane Cox wzięła szybki oddech i zajrzała do skrytki. Aż do dziś była pusta, lecz teraz w środku leżała biała koperta. Rozejrzała się wokół, przysunęła torebkę do skrytki i wsunęła kopertę do środka.

Usłyszała pukanie w szybę chwilę po tym, jak wsiadła do limuzyny. Spojrzała na szefa swojej ochrony.

– Jedźmy.

Zamiast ruszyć, drzwi limuzyny się otworzyły i jej oczom ukazał się agent FBI Chuck Waters.

– Poproszę o list, pani Cox.

– Co? Kim pan jest?

Waters pokazał odznakę.

– FBI. Proszę oddać mi list – powtórzył.

– Jaki list?

– Ten, który przed chwilą wyjęła pani ze skrytki. – Obejrzał się przez ramię, wskazując głową punkt Mail Boxes Etc.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Proszę odejść. – Spojrzała na szefa ochrony. – Drew, powiedz mu, żeby sobie poszedł.

Drew Fuller, weteran Secret Service, spojrział na nią nerwowo.

– Pani Cox, FBI obserwuje panią od pierwszego dnia.

– Co?! – krzyknęła. Ze zrezygnowanego spojrzenia Fullera wynikało, że zdaje sobie sprawę z rychłego przeniesienia na inne, mniej pożądane stanowisko.

– Oto nakaz – poinformował ją Waters, wyciągając kartkę papieru. – Nakaz przeszukania pani torebki i przeprowadzenia rewizji osobistej.

– Nie może pan tego zrobić. Nie jestem przestępcą.

– Jeśli jest pani w posiadaniu ważnych dowodów w sprawie porwania i świadomie je zataja, jest pani przestępcą.

– Nie wierzę własnym uszom!

– Daję pani godne wyjście z niezręcznej sytuacji. Zakładam, że pani tego pragnie.

– Jak śmiesz!

Waters spojrzał na Fullera.

– Możemy to załatwić delikatnie albo stanowczo. Wszystko zależy od niej.

– Pani Cox, Secret Service wiedziała o działaniach FBI. Zgodnie z oficjalnym stanowiskiem nie możemy ich powstrzymać w tej sprawie. To śledztwo federalne. Prawnicy Białego Domu są zgodni w tej kwestii.

– Widzę, że wszyscy działają w porozumieniu. Wszyscy knują za moimi plecami. Czy mój mąż o tym wiedział?

– Nie mogę tego potwierdzić – odrzekł pośpiesznie Fuller.

– A ja mogę. Zrobię to, kiedy wrócę do Białego Domu.

– To jedno z pani praw, pani Cox.

– Zamienię je w swoją misję!

– A list, pani Cox? Przypominam, że w tej sprawie

liczy się czas.

Wolno otworzyła torebkę i wsunęła dłoń do środka.

– Jeśli pani pozwoli, sam go wyjmę.

Spojrzała na niego wzrokiem, który miał zapamiętać do końca życia.

– Najpierw nakaz.

Podał jej kartkę. Wolno przeczytała, a następnie otworzyła torebkę.

– Mam tam również szminkę, jeśli ma pan ochotę.

Przejrzał zawartość torebki.

– Zadowolę się listem, proszę pani.

Wyciągnął kopertę i zamknął torebkę, niemal przycinając sobie palce.

– W zamian zatrzymam pańską odznakę – warknęła, rzucając wściekłe spojrzenie Fullerowi. – Czy teraz możemy ruszać?

Odwrócił się do kierowcy i burknął:

– Jedź!

Kiedy wrócili na Pennsylvania Avenue 1600, Jane udała się niezwłocznie do prywatnej części rezydencji. Zdjęła płaszcz, ściągnęła buty, poszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Otworzyła torebkę i wsunęła dłoń za niewidoczne rozcięcie w podszewce. Wyciągnęła list. Był zaadresowany na jej nazwisko i nosił numer skrytki pocztowej. Wszystko napisano na maszynie. Rozerwała kopertę. W środku znajdowała się tylko jedna kartka papieru pokryta pismem maszynowym.

Wiedziała, że FBI ją śledzi. Kiedy otworzyła skrytkę i

zobaczyła, że w środku jest list, przysunęła torebkę i wsunęła kopertę za podszewkę, udając, że wkłada go do środka. List, który pozwoliła zabrać Watersowi, napisała na maszynie, którą wyszperała w magazynie Białego Domu. Umieściła go w torebce, zanim wyszła, by sprawdzić skrytkę pocztową. Jaki facet pomyślałby o sprawdzeniu za podszewką, skoro inny list spoczywał między kosmetykami? Przezornie wsunęła nawet do środka lek na dolegliwości związane z menopauzą, aby agent nie ośmielił się dokładnie sprawdzić torebki.

Koperta, którą otrzymała za pośrednictwem pracownicy kuchni Białego Domu, była biała, więc założyła, że kolejna też będzie taka. Wiedziała, że obserwujący ją agenci zauważą jedynie fragment koperty, gdy będzie ją przenosiła ze skrytki do torebki.

Wiedziała również, że zostanie zatrzymana, kiedy odbierze list. Miała swoich informatorów w Białym Domu i podobnie jak Secret Service wiedziała o wszystkim, co się działo w rezydencji prezydenta. Nie zaskoczyła jej wiadomość o inwigilacji prowadzonej przez FBI i nakazie przeszukania. Przed chwilą wyprowadziła w pole osławioną agencję.

Poczucie triumfu okazało się jednak krótkotrwałe. Drżącymi dłońmi rozłożyła kartkę i zaczęła czytać. Był tam dzień i godzina, o której miała zadzwonić pod wskazany numer. Numer, którego zdaniem autora listu nie można było namierzyć. Podkreślił, że jeśli ktoś podsłucha ich rozmowę, prawda wyjdzie na jaw. Wówczas nie tylko

straci Willę, ale ich życie zostanie zniszczone „nieodwracalnie”.

Zwróciła uwagę na słowo „nieodwracalnie”. Zostało użyte w osobliwy sposób i umieszczone na końcu zdania. Czyżby była w tym zawarta jakaś ukryta wiadomość? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

Zapisała numer telefonu na skrawku papieru, pobiegła do ubikacji, podarła list i spuściła wodę. Przez krótką chwilę wyobraziła sobie agentów federalnych ukrytych w czeluściach Białego Domu i sprawdzających wodę spływającą z jej toalety, a następnie rekonstruujących list. Uznała, że to niemożliwe. Nie żyła w świecie Orwellovskiego *Roku 1984*, choć pod pewnymi względami mieszkanie w Białym Domu przypominało „faszyzm doskonały”, którego większość Amerykanów nie zdołałaby sobie nawet wyobrazić.

Dla pewności jeszcze raz spuściła wodę i wyszła z łazienki. Zadzwoiła do asystentki i odwołała wszystkie dzisiejsze spotkania. W ciągu trzech lat pobytu w Białym Domu jako pierwsza dama nie opuściła ani jednego spotkania, nawet całkiem błahego i trywialnego. Jednak od czasu porwania Willi odwoływała je ze zdumiewającą regularnością. Bez cienia żalu. Podarowała im spory kawałek swojego życia. Dobrze służyła krajowi. Uporczywe zabieganie męża o kolejną kadencję powodowało, że dostawała mdłości.

Nagle ogarnęła ją fala zimna, więc przygotowała gorącą kąpiel i zdjęła ubranie. Zanim weszła do wody,

spojrzała na swoje nagie odbicie w dużym łazienkowym lustrze. Wyraźnie schudła. Chciała stracić kilka funtów, ale nie w taki sposób. Mimo zrzucenia paru funtów nie wyglądała lepiej. Sprawiała wrażenie słabszej i postarzałej. Doszła do wniosku, że nie był to przyjemny widok. Skóra wydawała się zwiotczała, a kości wystawały tam, gdzie nie powinny. Zgasiła światło i zanurzyła się w ciepłej wodzie.

Leżąc bez ruchu, myślała o czymś, o co nie musiałby się martwić żaden z Amerykanów, może z wyjątkiem jej męża. Jane Cox musiała znaleźć sposób odbycia zwykłej prywatnej rozmowy telefonicznej, tak by nikogo nie było w pobliżu. Nie mogła zadzwonić z Białego Domu. Jeśli FBI dostało nakaz przeszukania jej torebki, przypuszczalnie miało również nakaz podsłuchiwania rozmów, a przynajmniej tych, które prowadziła pierwsza dama. Domyślała się, że wszystkie rozmowy telefoniczne wychodzące z Białego Domu były przez kogoś monitorowane, najpewniej kogoś z NSA. Ci podsłuchiwali każdego, kogo chcieli.

Zadzwonienie z prezydenckiej rezydencji nie wchodziło w grę, a nigdzie prócz Białego Domu nie byłaby sama. Nie było to możliwe w samolocie, helikopterze, limuzynie, podczas posiłków, gdy pracowała w gabinecie, organizowała herbatki, przecinała wstęgi w nowym szpitalu dziecięcym, nadawała imię statkowi czy odwiedzała rannych żołnierzy w szpitalu wojskowym imienia Waltera Reeda.

Za wygraną w wyścigu do Białego Domu trzeba było słono zapłacić. Mimo wszystko znajdzie sposób. Coś jej przyjdzie do głowy. Wykiwała FBI fałszywym listem. Włożyła rękawiczki, więc nie znajdą żadnych odcisków palców. Użyła mglistego języka, dając do zrozumienia, że porywacze chcą dziesięciu milionów dolarów za uwolnienie Willi i skontaktują się z nią listownie. W ten sposób zyska choć trochę na czasie. Miała zadzwonić pod wskazany numer jutro wieczorem. Zostało niewiele czasu.

Zamknęła oczy i ponownie pomyślała o słowie „nieodwracalnie”. Nagle otworzyła oczy, przypominając sobie słowa, które je poprzedzały: „wasze życie zostanie zniszczone nieodwracalnie”.

Nie twoje, ale wasze.

Niestety domyślała się, kogo mogą dotyczyć.

Na szczęście znalazła sposób. Pojechała do Georgetown, żeby zjeść obiad w swojej ulubionej francuskiej restauracji przy skrzyżowaniu M Street z Wisconsin Avenue. Umówiła się na niego z Tuckiem i dwoma przyjaciółmi, rzecz jasna towarzyszyła jej obstawa Secret Service. Grupa przygotowawcza sprawdziła każdy cal restauracji, a później na miejscu zjawiał się zespół osłaniający, żeby mieć lokal na oku do czasu przybycia pierwszej damy i jej gości. Musieli mieć pewność, że żadni terroryści, szaleńcy ani miejscowi zamachowcy uzbrojeni w bomby domowej roboty nie zagnieżdżą się gdzieś w pobliżu, czekając na przybycie obiektu.

Pomysł wspólnego posiłku pojawił się zupełnie nieoczekiwanie, właściwie pierwsza dama zdecydowała o tym w ostatniej chwili. Agenci Secret Service musieli się naprawdę sprężyć, by wykonać swoją robotę, ale byli do tego przyzwyczajeni. Ostatnio Jane Cox stwarzała im sporo takich okazji, bo od czasu porwania bratanicy trudno było przewidzieć jej posunięcia.

Podczas posiłku i spełnianych winem toastów Jane spoglądała ukradkiem na zegarek. Tuck nie zwrócił na to uwagi. Był zbyt zajęty własnymi sprawami, żeby dostrzec cokolwiek innego. Jane wybrała dwóch pozostałych gości, kierując się wyłącznie ich niezdolnością do dostrzeżenia czegokolwiek, co znajdowało się poza zasięgiem ich politycznych wpływów. Po zdawkowej wymianie zdań o

tym, co spotkało rodzinę Tucka, zaczęli bezmyślnie plotkować o pewnym senatorze i członkini Kongresu, o kampanii wyborczej i wynikach ostatnich sondaży. Jane cały czas kiwała głową, wtrącając się tylko w takim stopniu, by podtrzymać rozmowę.

Wtrącała kilka słów i spoglądała na zegarek.

Nie wybrała tej restauracji wyłącznie z powodu doskonałego jedzenia i karty win. Miała inny powód.

Pięć minut po jedenastej przywołała szefa ochrony, który siedział przy stoliku w kącie sali. Ten szepnął coś do mikrofonu na nadgarstku i jedna z agentek pobiegła do damskiej ubikacji. Sprawdziła pomieszczenie, dała znak, że wszystko jest w porządku, a następnie stanęła w drzwiach, zagradzając drogę innym paniom niezależnie od tego, jak pilnie musiały tam wejść.

Pierwsza dama weszła do ubikacji dla pań dwie minuty przed jedenastą, poszła na koniec pomieszczenia i rozejrzała się wokół.

Tylko dlatego tu przyszła. Była to jedyna restauracja, która miała płatny telefon w damskiej toalecie.

Przygotowała opłaconą z góry kartę telefoniczną, bo nie chciała obciążać karty kredytowej tą rozmową. Wprowadziła numer z pamięci.

Zadzwoił raz. Dwa razy. Później ktoś podniósł słuchawkę. Wzięła się w garść.

– Słucham? – odezwał się męski głos.

– Mówi Jane Cox – powiedziała tak wyraźnie, jak mogła.

Sam Quarry siedział w bibliotece Atlee, obserwując ogień płonący w kominku. Postanowił, że dziś wieczór porządnie rozgrzeje cholerny pogrzebacz. Używał sklonowanej komórki, którą Daryl kupił od faceta specjalizującego się w takich nielegalnych i niedających się namierzyć urządzeniach.

Przełknął łyk ulubionego miejscowego samogonu. Przed sobą miał zdjęcia Tippi i żony. Wszystko było przygotowane. Planował to od lat, a teraz upragniona chwila nadeszła.

– Wiem – odrzekł powoli. – Jest pani punktualna.

– Czego pan chce? – spytała ostrym głosem. – Jeśli skrzywdzi pan Willę...

– Wiem, że miliony ludzi zastanawiają się, co pani robi, więc proszę pozwolić, że to ja będę mówić – uciał szorstko. – Powiem i będziemy to mieli za sobą.

– Zgoda.

– Pani bratanica jest wspaniałą dziewczynką. Mam też jej matkę...

– Jej matka nie żyje – przerwała mu ostro Jane. – Pan ją zamordował.

– Miałem na myśli jej prawdziwą matkę. Zna ją pani jako Diane Wright. Naprawdę nazywa się Diane Wohl. Wyszła za męża, przeprowadziła się i zaczęła nowe życie. Nie sądziłem, że pani o tym nie wie. Z drugiej strony mogło być pani wszystko jedno.

Jane stała w damskiej ubikacji, ściskając w rękę

słuchawkę telefonu i czując, jakby ktoś strzelił jej w głowę. Oparła się dłonią o pokrytą kafelkami ścianę, żeby nie upaść.

– Nie wiem, o czym...

Przerwał jej ponownie.

– Powiem pani, co pani musi zrobić, jeśli chce ujrzyć Willę zamiast kolejnych zwłok.

– Skąd mam wiedzieć, że jest w pana rękach?

– Niech pani posłucha.

Quarry włączył magnetofon, przykładając go do mikrofonu. Kiedy odwiedzał Willę i Diane, miał przy sobie magnetofon i potajemnie je nagrywał.

– Najpierw Willa – powiedział. Na linii rozległ się głos Willi pytającej Quarry'ego, czemu ją porwał.

– A teraz Diane. Pomyślałem, że chciałaby pani posłuchać naszej rozmowy o oddaniu córki.

W słuchawce rozległ się głos Diane, a po nim głos Quarry'ego wyjaśniającego wyniki testów DNA.

Wyłączył magnetofon i podniósł słuchawkę.

– Zadowolona?

– Czemu pan to robi? – spytała smutno Jane.

– Żeby wymierzyć sprawiedliwość.

– Sprawiedliwość? Komu zaszkodziło to, że Willa została adoptowana? Wyświadczyliśmy jej przysługę. Ta kobieta jej nie chciała, a ja znałam kogoś, kto pragnął mieć dziecko.

– Nic mnie nie obchodzi Diane Wohl ani uszczęśliwienie pani brata i jego żony małą dziewczynką,

którą mogliby nazwać swoją. Potrzebowałem jej i Willi, żeby zwrócić pani uwagę.

– Dlaczego? – spytała, podnosząc głos.

– Pani Cox? – Zza drzwi doleciał głos agentki. – Czy wszystko w porządku?

– Rozmawiam z kimś – odpowiedziała. – Przez telefon – dodała pośpiesznie.

Ponownie przytknęła słuchawkę do ucha w samą porę, by usłyszeć szept Quarry'ego:

– Czy imię Tippi coś pani mówi? A może wymazała je pani z pamięci?

– Tippi?

– Tippi Quarry. Atlanta – dodał nieco głośniej, spoglądając na fotografię córki.

Jedna, dwie, trzy sekundy.

– Mój Boże!

– Właśnie, droga pani.

– Proszę posłuchać...

– Nie, to ty posłuchaj. Wiem wszystko. Znam daty, nazwiska, miejsca, całą sprawę. Za chwilę podam pani nazwę lotniska, na które musi pani przylecieć, a po nim dokładne współrzędne miejsca, w które się pani uda. Proszę je przekazać swoim federalnym chłoptasiom. Będą wiedzieli, co z nimi zrobić. Będą to głównie cyfry, więc przyda się papier i coś do pisania. Proszę słuchać uważnie, by nie popełnić błędu.

Jane zaczęła grzebać w torebce, szukając długopisu i papieru.

– W porządku – powiedziała drżącym głosem.
Podał jej nazwę lotniska i współrzędne.

– Mam tam polecieć?

– Do licha, nie! Macie przylecieć oboje!

– Oboje? Kiedy?

Quarry spojrział na zegarek.

– Za dziewięć godzin od tej chwili. Punktualnie. Ani minuty wcześniej lub później, jeśli chcecie, żeby mała żyła.

Jane spojrzała na zegarek.

– To niemożliwe. Męża nie ma w mieście, a jutro rano wylatuje do Nowego Jorku, żeby wygłosić przemówienie na forum ONZ.

– Mam to gdzieś, nawet gdyby się umówił na spotkanie z Bogiem. Jeśli nie znajdziecie się tam dokładnie za dziewięć godzin, gdy następnym razem zobaczysz Willę, ona nie będzie mogła zobaczyć ciebie, a wyniki testów DNA trafią do mediów. Mam na wszystko dowody. Przez wiele lat nie robiłem nic innego. Zniszczyłaś nam życie i odeszłaś jakby nigdy nic. Nadeszła chwila zapłaty. Nadszedł czas Tippi. Mój pieprzony czas!

– Proszę! Jeśli może nam pan dać...

– Za chwilę przekażę pani szczegółowe instrukcje, co macie robić, kiedy znajdziecie się na miejscu. Wypełnijcie je co do joty, bo jeśli tego nie zrobicie albo wezwiecie FBI, dowiem się o tym. Wtedy Willa umrze, a prawda wyjdzie na jaw. Danny nie dostanie kolejnej szansy.

Gwarantuję to pani!

Jane poczuła łzy na policzkach.

Płakał także Quarry, spoglądając na dwie najważniejsze kobiety w swoim życiu, które odeszły na zawsze. Z powodu tej, z którą teraz rozmawiał. Przez nią i przez niego.

– Słucha mnie pani? – zapytał cicho.

– Tak – wybełkotała.

Podał jej dalsze instrukcje.

– Czy wypuści pan Willę, jeśli to zrobimy? – wymamrotała. – I nikomu... nikomu pan nie powie?

– Obiecuję.

– To wszystko? Jak mogę panu zaufać? Nawet pana nie znam.

– Znam mnie pani.

– Jak to? – zapytała niepewnie.

– Do licha, zna mnie pani. Jestem najgorszym z pani koszmarów. Chce pani wiedzieć dlaczego? – Jane nie odpowiedziała. – Bo oboje zamieniliście w koszmar moje życie.

– Jest pan jej ojcem? – spytała pustym głosem.

– Czas zaczął płynąć – odrzekł Quarry. – Do roboty. Nie możecie wskoczyć ot tak do taksówki. Wykorzystajcie swoje wpływy. Do roboty. – Skończył rozmowę, cisnął telefon o ścianę i opadł wyczerpany na fotel. Później sięgnął po pogrzebacz, poruszył końcem w ogniu, podwinął rękaw i wypalił ostatnią kreskę na ramieniu. Znak był gotów. Czuł potworny ból, który nie

słabł, ale nasilał się z każdym kolejnym razem. Mimo to nie wydał z siebie żadnego dźwięku, nie skrzywił się ani nie zapłakał. Po prostu patrzył na zdjęcie Tippi, kiedy to robił.

Patrzył i nic nie czuł, jak jego mała dziewczynka. Nie czuł niczego. Przez nich.

Szybko wyszedł z pokoju, zostawiając płonący kominek. Miał dużo do zrobienia przed ich przyjazdem. Adrenalina zaczęła płynąć.

W Georgetown Jane rzuciła słuchawkę na widełki i wybiegła z damskiej toalety.

Zegar zaczął tykać.

Sean i Michelle spakowali rzeczy do SUV-a, a następnie pożegnali się z jej ojcem i bratem.

Michelle objęła obu.

– Wkrótce zadzwonię, tato – obiecała. – Przyjadę i zamieszkać z tobą. Będziemy mogli...

– Poznać się na nowo?

– Taak.

Kiedy szli do drzwi, Frank powiedział:

– Prawie zapomniałem. Rano przyszła paczka dla Seana. Jest w salonie.

– Pewnie od mojego dwugwiazdkowego kumpla! – zawołał Sean, kiedy ją zobaczył. – Kolejne segregatory z aktami dezercerów.

– Raportami dotyczącymi dezercji? – zapytał Bobby.

– To do śledztwa, które prowadzimy – wyjaśniła Michelle.

Gdy szli do samochodu, powiedziała:

– Przejrzę je, kiedy będziesz prowadził, Sean. Zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu. Nie mamy go zbyt wiele.

– Dziękuję, Michelle – odparł. – To miło z twojej strony.

– Nie o to chodzi. Wiem, że masz mdłości, kiedy czytasz podczas jazdy. Nie chcę, żebyś zwymiotował w moim wozie.

– Wypisz wymaluj moja mała siostrzyczka – z

uśmiechem zauważył Bobby.

Odjechali sprzed domu i minęli miasto, kierując się w stronę autostrady. Michelle otworzyła pudełko i wyjęła pierwszy segregator.

– Dobrze, że twój brat mieszka niedaleko. Może dotrzymywać ojcu towarzystwa.

– Ja również mam taki zamiar. To doświadczenie nauczyło mnie, że nie wolno przyjmować niczego za oczywiste. Ludzie dzisiaj z nami są, a jutro ich nie ma.

– Zatrzymam się na kawę, zanim wjadę na autostradę międzystanową – powiedział Sean. – Odnoszę wrażenie, że zawsze rozpoczynamy podróż późnym wieczorem.

– Zamów mi podwójną.

Sean kupił kawę i ruszyli na północ.

Michelle przejrzała pięć segregatorów i rozprostowała ręce.

– Chcesz, żebym cię zastąpił? Zapanuję nad mdłościami – obiecał Sean.

– Nie, prowadź. Co zrobimy, jeśli niczego tu nie znajdziemy?

– Módl się, żeby było inaczej, bo nie widzę alternatywy.

Sean spojrział na zegarek na desce rozdzielczej, a następnie wyjął komórkę i wprowadził numer.

– Do kogo dzwonisz?

– Do Chucka Watersa. Chciałbym się dowiedzieć najświeższych wiadomości. Może wpadł na jakiś trop i zechce się z nami podzielić.

– Słusznie, a ja spróbuję zdążyć na *Taniec z gwiazdami*.

Agent FBI odebrał po drugim dzwonku. Kilka minut później Sean się rozłączył.

– Coś nowego? – spytała Michelle.

– Jane odebrała list ze skrytki pocztowej, a Waters go skonfiskował.

– Co w nim było?

– Coś o dziesięciomilionowym okupie. Waters sądzi, że ich wykiwała. Że dostali sfałszowany list.

– Dlaczego tak sądzi?

– Pewne rzeczy nie pasują do listu, w którym przesłano łyżkę i miseczkę. Na przykład maszyna do pisania. Wspomniał też, że było coś nie tak ze znaczkiem.

– Czemu miałyby zamienić listy?

– Jest głęboko zaangażowana w śledztwo, Michelle. Z tego, co Betack znalazł w drugim liście, wynika, że to dla niej bardzo osobista sprawa. Jane Cox nie chciała, żeby ktokolwiek prócz niej go przeczytał.

– Chyba nie sądzisz, że Willa jest jej dzieckiem? Może zdradziła Coxa, zanim został prezydentem? Zaszła w ciążę, a później oddała dziecko bratu i jego żonie?

– Można by tak pomyśleć, ale dwanaście lat temu często widywałem Jane Cox i nie była w ciąży.

– Widywałeś?

– Spotykaliśmy się często w tym okresie. Nie mogła być mamą Willi, chyba że podała nieprawdziwy wiek dziewczynki.

Michelle pokręciła głową i ponownie pogрузыła się w lekturze. Pół godziny później krzyknęła:

– Zawracaj!

Sean omal nie wjechał na barierę dzielącą przeciwne strony jezdni.

– Co się stało?

– Zawracaj!

– Czemu?

– Musimy jechać na południe.

Sean włączył kierunkowskaz i zaczął zjeżdżać na prawy pas.

– Dlaczego na południe?

Rzuciła okiem na strony segregatora, który trzymała na kolanach.

– Mam tu trzech dezertków pochodzących z tego samego miejsca w Alabamie. Mają różne nazwiska. Kurt Stevens, Carlos Rivera i Daryl Quarry. Mieli wrócić do bazy i polecieć do Iraku, ale się nie zgłosili. Żandarmeria rozpoczęła poszukiwania. Byli w Atlee, na jakiejś starej plantacji. Właścicielem jest Sam Quarry, weteran z Wietnamu. Żandarmi nie znaleźli po nich ani śladu.

– W porządku. Wszyscy są dezertkami i pochodzą z jednego ze stanów, który wskazały wyniki badań izotopowych, ale co z tego wynika, Michelle?

– Żandarmeria przesłuchała Sam Quarry'ego, Ruth Ann Macon i jej syna. Rozmawiali też z facetem o imieniu Eugene.

– I co z tego?

– Kocham skrupulatność wojskowych śledczych. W raporcie napisano, że Eugene przedstawił się żandarmom jako członek indiańskiego plemienia Koasati.

Sean ostro zahamował, wywołując ryk klaksonów, i skręcił w następny zjazd. Dwie minuty później pruli w kierunku Alabamy.

Na całym świecie nie ma chyba bardziej sformalizowanej i zaplanowanej przestrzeni spotkań od Gabinetu Ovalnego. Decydowanie, kto zostanie wpuszczony do tego pokoju, od premiera drugorzędnej kraju po hojnego darczyńcę łożącego na kampanię prezydenta, może trwać kilka dni, a nawet tygodni wypełnionych zakulisowymi pertraktacjami. Zdobycie zaproszenia do Gabinetu Ovalnego przez ludzi, którzy nie są bliskimi współpracownikami prezydenta, wymaga uporczywych zabiegów i delikatności. Kiedy człowiek zostanie już wpuszczony do tego czcigodnego pomieszczenia, wszystko zależy od szczegółów, takich jak uścisk dłoni, poklepanie po plecach czy podpis złożony na fotografii. Od szczegółów i negocjacji. Gabinet Ovalny nie jest miejscem sprzyjającym spontaniczności. Agenci Secret Service odnoszą się niechętnie do wszystkiego, co przypomina spontaniczne zachowanie.

Mimo wczesnej pory Dan Cox miał odbyć kilka obowiązkowych spotkań przed wyjazdem do gmachu ONZ, gdzie miał wygłosić poranną mowę. Powiedziano mu w skrócie, kim są jego goście – głównie najważniejsi darczyńcy kampanii prezydenckiej, którzy otworzyli przed nim swoje książeczki czekowe, a co ważniejsze, skłonili wielu bogatych przyjaciół, by postąpili podobnie.

Wchodzili kolejno, a prezydent witał ich w utarty, niemal automatyczny sposób. Uścisk dłoni, uśmiech,

poklepanie po plecach, kilka słów i przyjęcie służalczego podziękowania. W przypadku niektórych szczególnie ważnych graczy, wskazanych przez zespół asystentów krążących w pobliżu niczym opiekuńcze sępy, prezydent wyjmował z biurka jeden z narodowych skarbów i opowiadał o nim. Nieliczni szczęśliwcy dostawali drobną pamiątkę. Wybrańcy losu wychodzili w przekonaniu, że nawiązali osobistą więź z wielkim człowiekiem. Że ich błyskotliwe słowa poruszyły przywódcę świata, bo w zamian podarował im jeden z kijów golfowych z monogramami prezydenta, prezydenckie spinki do mankietów lub długopis z pieczęcią Stanów Zjednoczonych, których całe tony trzymano w piwnicach Białego Domu na takie okazje.

Starannie zainscenizowany rytuał został brutalnie przerwany, gdy drzwi Gabinetu Owального otwarły się na oścież, co z uwagi na ich ciężar nie było wcale takie proste.

Dan Cox podniósł głowę i ujrzał żonę stojącą w drzwiach, a właściwie chwiejącą się na wysokich obcasach, w eleganckiej sukni i płaszczu, który włókł się za nią. Wzrok miała dziki i rozkojarzony, zwykle idealnie uczesane włosy znajdowały się w nieładzie. Obok stali dwaj wyraźnie zaniepokojeni agenci Secret Service. Ich miny zdradzały silny konflikt wewnętrzny. Mimo nieoficjalnej zasady pozwalającej pierwszej damie wchodzić do Gabinetu Owального zawsze, gdy miała na to ochotę, nie wiedzieli, czy ją wpuścić, czy zatrzymać na

zewnątrz.

– Jane? – Prezydent odłożył kij golfowy, który zamierzał przekazać deweloperowi z Ohio, gdyż ten zebrał górę forsy na jego kampanię.

– Dan! – zawołała bez tchu. Faktycznie straciła oddech, bo biegła przez całą drogę od miejsca, w którym wysiadła z limuzyny, a Biały Dom był całkiem rozległy.

– Na Boga, co się stało? Jesteś chora?

Zrobiła krok w jego stronę, a agenci ruszyli w ślad za nią, delikatnie wysuwając się naprzód. Mogli sobie pomyśleć, że faktycznie zachorowała albo została odurzona jakąś trującą substancją, a zgodnie z regulaminem nie można było dopuścić, by osoby chore zainfekowały przywódcę wolnego świata.

– Musimy pomówić! Natychmiast!

– Za chwilę skończę. – Spojrzał na mężczyznę, sięgając po piłkę golfową z podłogi. – Mieliśmy długi dzień – powiedział z uśmiechem Cox. – Proszę pozwolić, że ją panu podpiszę, panie... – Choć zwykle miał doskonałą pamięć do nazwisk, Jane wytrąciła go z równowagi i zupełnie stracił głowę.

Osobisty ochroniarz Jay przyszedł mu z odsieczą.

– Panie prezydencie, mówiliśmy o tym, że pan Wally Garrett zebrał najwięcej pieniędzy w Cincinnati na pańską kampanię...

– Naprawdę jestem ci bardzo zobowiązany, Wally...

Nigdy nie dowiedzieli się za co, bo Jane podbiegła, wyrwała piłeczkę golfową z rąk męża i cisnęła nią przez

pokój, trafiając w portret Thomasa Jeffersona. Poczciwy Tom, jeden z bohaterów Dana Coxa, stracił oko.

Agenci Secret Service podbiegli ku niej, ale Dan uniósł rękę, by ich powstrzymać. Skinął głową asystentom, którzy wyprowadzili z pokoju Garretta bez upragnionej piłeczki golfowej. Ponieważ żaden polityk, który zaszedł tak wysoko jak Dan Cox, nie pozostawiał niczego szczęśliwemu zbiegowi okoliczności ani nie pozwalał, by hojny darczyńca odszedł niezadowolony, gość z Ohio otrzymał podpisaną fotografię prezydenta, bilety dla VIP-ów na najbliższy wiec oraz pouczenie, że nie powinien ujawnić tego, czego był przed chwilą świadkiem.

Dan Cox wyciągnął rękę w kierunku żony.

– Jane, co się stało?

– Nie tutaj. Na górze. Nie mam zaufania do tego pokoju.

Rzuciła gniewne spojrzenie agentom i asystentom prezydenta, a następnie wyszła z gabinetu tak szybko, jak się w nim znalazła. Ludzie przesunęli wzrok z Jane Cox na prezydenta, gdy tylko zatrzęsnęła za sobą ciężkie drzwi. Nikt nie ośmielił się pisnąć. Żaden nie miał ochoty wyjawić szefowi tego, co myśli na temat sceny, której był przed chwilą świadkiem.

Cox stał kilka sekund bez ruchu. Polityk, który zaszedł tak wysoko, widział już w życiu wszystko. Widział i dawał sobie radę. Jednak nawet dla starego weterana, jakim był Dan Cox, była to zupełnie nowa

sytuacja.

– Chyba powinienem się dowiedzieć, czego chce – mruknął w końcu. Morze ciał rozstąpiło się przed nim, gdy ruszył w kierunku drzwi.

Larry Foster, szef osobistej ochrony prezydenta, którego zdążono już wezwać, stanął u jego boku i powiedział:

– Panie prezydencie, chce pan, żebym mu towarzyszył...? – Na twarzy starego agenta malowało się napięcie, bo nie wiedział, jak dokończyć myśl w najbardziej roztropny sposób. – Przez całą drogę...

Oznaczało to wejście do prywatnej części rezydencji, która stanowiła tabu dla członków ochrony, chyba że zostali o to poproszeni.

Cox zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

– Nie, to nie będzie konieczne, Larry. – Wyszedł z gabinetu, rzucając przez ramię: – Ale bądź w pobliżu, na wypadek gdyby Jane czegoś potrzebowała.

– Tak, panie prezydencie. Zjawimy się w kilka sekund.

Cox ruszył na górę, by porozmawiać z żoną, a kilku agentów Secret Service podążyło jego śladem, zatrzymując się przed wejściem do prywatnej części Białego Domu i nasłuchując wszelkich dźwięków, które mogłyby wskazywać, że prezydent znalazł się w niebezpieczeństwie. Nic dziwnego, że wszyscy myśleli o tym samym. Mieli obowiązek chronić prezydenta przed każdym niebezpieczeństwem. Uczono ich poświęcenia

własnego życia, by ocalić życie przywódcy.

Jednak nie byli przygotowani na to, co mogło się za chwilę wydarzyć. Jak powinni postąpić, jeśli zagrożenie nadejdzie ze strony małżonki prezydenta?

Czy jeśli zajdzie konieczność, będą mogli użyć siły? Czy będą mogli ją zabić, żeby ocalić prezydenta? Takiej sytuacji nie opisano w podręczniku Secret Service, ale każdy z agentów był przekonany, że odpowiedź byłaby twierdząca.

Podobna sytuacja zdarzyła się tylko raz, jeśli wierzyć plotkom krążącym w Białym Domu. Kiedy Warren G. Harding był prezydentem, pani Harding przyłapała go z kochanką. Kiedy ze strachu ukryli się w szafie, rozwścieczona pierwsza dama próbowała sforsować drzwi toporkiem strażackim. Agenci Secret Service musieli jej zabrać broń. Harding przeżyła, ale jej mąż zginął później w tajemniczych okolicznościach w pokoju hotelowym w San Francisco, w okresie swojej prezydentury. Niektórzy podejrzewali, że jego stara w końcu się zemściła i zaserwowała mężulkowi zatrute danie. Nie dowiedziono tego jednak, bo pani Harding nie zgodziła się na sekcję zwłok i poleciła, by ciało męża zostało jak najszybciej zabalsamowane. Był to doskonały przykład zbieżności woli oszukanej małżonki z pragnieniem całego narodu.

Od tamtej pory w Białym Domu nie ma toporków strażackich. Chociaż w prywatnej części Białego Domu znajdowała się mała kuchnia, pierwsza dama rzadko jej

używała, a nawet jeśli z niej korzystała, było niemal pewne, że żaden z prezydentów, który wiedział, jak zginął Harding, nigdy tam nie jadał.

Larry Foster zastanawiał się gorączkowo, czy w prywatnej części Białego Domu są jakieś noże do listów, których można by użyć jako broni. Czy Jane Cox mogłaby zmiażdżyć czaszkę prezydenta ciężką lampą? Albo tragicznie przerwać pogrzebaczem najważniejsze z ludzkich istnień i to na jego zmianie? Stojąc w korytarzu i rozmyślając o końcu swojej kariery, Foster poczuł, jak w jego żołądku tworzy się wrzód. Choć w Białym Domu nie było ciepło, czuł pot pod pachami i na czole. Razem ze swoimi ludźmi przysunął się do drzwi, czując, jak w piersiach wali im jedno zbiorowe serce.

Każdy z agentów wyobrażał sobie nagłówki jutrzejszych gazet wydrukowane czcionką wysokości sześciu cali:

**SECRET SERVICE ZABIJA PIERWSZĄ DAME,
ŻEBY OCALIĆ PREZYDENTA.**

W holu przyczało się pół tuzina uzbrojonych po zęby facetów gotowych do natychmiastowego działania.

Dwadzieścia dramatycznych minut później odezwał się telefon Larry'ego.

– Tak, panie prezydencie? – powiedział szybko.

Słuchał uważnie, przybierając coraz bardziej zaskoczoną minę. Ponieważ rozmawiał z prezydentem, mógł odrzec tylko jedno.

– Natychmiast, panie prezydencie.

Zakończył rozmowę i spojrział na swojego zastępcę.

– Bruce, zadzwoń do bazy Andrews. Niech przygotują ptaszka.

– Air Force One?

– Każdy samolot, którym leci prezydent, jest Air Force One.

– Ale...

– Wiem – prychnął Foster. – Wiem, o co ci chodziło. Nie, nie polecimy siedem cztery siedem. Dowiedz się, czy któryś z zapasowych samolotów jest dostępny. Może siedem pięć siedem. Bez prezydenckich insygniów.

– Wolfman chce lecieć nieoznaczonym siedem pięć siedem do Nowego Jorku? – wybełkotał zdumiony Bruce.

– Dokądś polecimy, ale nie sądzę, żeby chodziło o Nowy Jork – odrzekł ponuro Foster.

– Nie wysłaliśmy zespołu przygotowawczego.

– Polecimy w tajemnicy, jak do Iraku i Afganistanu.

– Zawsze wysyłamy swoich wcześniej. Trzeba tygodnia przygotowań logistycznych, żeby szef mógł się wybrać w podróż.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem, Bruce. Sęk w tym, że nie mamy tygodnia. Zostało zaledwie kilka godzin, a ja nie mam zielonego pojęcia, co się święci. Skontaktuj się z bazą Andrews i załatw maszynę. Ja pogadam z dyrektorem i zapytam, jak mam to, u licha, rozegrać. Chociaż spędziłem w Białym Domu wiele lat, to dla mnie coś nowego.

Quarry sprawdził aparaturę podtrzymującą Tippi przy życiu. Wszystkie urządzenia działały prawidłowo, zasilane przez generator. Na zewnątrz było ciemno. Słońce miało wzejść dopiero za kilka godzin.

Dotknął twarzy córki, myśląc o rozmowie z Jane Cox. Nigdy wcześniej nie gadał z pierwszą damą. Goście tacy jak on zwykle nie mieli takiej okazji. Oczywiście czytał o niej i od lat śledził karierę polityczną jej męża. Spodziewał się więcej po tej rozmowie – po wykształconej, wyrafinowanej, a jednocześnie zaprawionej w bojach kobiecie, jaką była Jane Cox. Rozczarowała go. Po drugiej stronie wyczuł człowieka. Przerażoną babkę. Damę mieszkającą bezpiecznie w wysokiej wieży i niemającą pojęcia, jakie gówniane jest życie na dole. Cóż, w końcu się dowiedziała, a niebawem będzie mogła mu się przyjrzeć jeszcze dokładniej.

Odetchnął głęboko. To wszystko działo się naprawdę. Jeszcze wczoraj mógł wszystko odwołać. Niemal to zrobił, ale ściany piwnicy go od tego odwiodły. Wyciągnął z kieszeni *Dumę i uprzedzenie*, by przy świetle latarki dziadka przeczytać Tippi ostatni rozdział. Ostatni, jaki jej kiedykolwiek przeczyta.

Zamknął książkę i położył ją delikatnie na piersi córki. Ujął jedną z jej dłoni i uścisnął. Robił tak od lat, mając nadzieję, że odwzajemni uścisk, ale nigdy tego nie zrobiła. Dawno temu porzucił nadzieję, że poczuje, jak

palce Tippi oplatają się wokół jego palców. Nie zrobiły tego także teraz. Odłożył jej dłoń i wsunął pod kołdrę.

Wyjął z kieszeni mały magnetofon, postawił na łóżku i włączył. Przez kilka minut razem z córką słuchali ostatnich słów, które Cameron Quarry wypowiedziała na tej ziemi. Quarry jak zawsze powtórzył ostatnie zdanie razem ze zmarłą żoną.

– Kocham cię, Tippi. Moja kochana. Mama kocha cię z całego serca. Nie mogę się doczekać, by cię ponownie przytulić, maleńka. W ramionach Jezusa obie będziemy piękne i zdrowe.

Wyłączył urządzenie i wsunął je do kieszeni.

Wspomnienia ogarnęły go długimi, łagodnymi falami. Pomyśleć, że wszystko mogło pójść inaczej. Mogło i powinno. Pochylił się i ucałował córkę ostatni raz.

Zostawił otwarte drzwi, a później odwrócił się i ponownie zajrzał do pokoju. Mimo ciemności widział postać Tippi w świetle aparatury medycznej, która była jedyną rzeczą, jaka utrzymywała ją przy życiu przez te wszystkie lata.

Lekarze wielokrotnie próbowali namówić Quarry'ego do jej odłączenia.

Ciągły stan wegetatywny. Brak aktywności mózgu. Powiedzieli mu, że doszło do śmierci mózgowej, używając medycznego żargonu, który zdaniem Quarry'ego miał onieśmielać i wywoływać konsternację. Po wysłuchaniu elokwentnej przemowy o ostatecznym losie

córki Quarry zadawał każdemu z lekarzy proste pytanie: Czy gdyby była pana dzieckiem, pozwoliliby pan jej umrzeć?

Pozbawione wyrazu twarze i milczenie były całą odpowiedzią, jakiej potrzebował.

Z jednej strony nie chciał zostawić dziecka, z drugiej – zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Zszedł na podest i spojrzał w kierunku linii drzew. W małym bunkrze wykopanym i wzmocnionym drewnianymi belkami przez Quarry'ego siedział Carlos z urządzeniem zdalnego sterowania w dłoni. Jeden z przewodów łączył się z aparaturą podtrzymującą życie Tippi, drugi znajdował się w ścianie małego domku. Bunkier został przysypany ziemią i pokryty trawą. Jego wnętrze było wyłożone ołowiem, aby zablokować wszelkiego rodzaju promieniowanie. Wiedząc, że federalni przywiozą specjalistyczny sprzęt, Quarry wykonał ołowianą osłonę ze starych fartuchów rentgenowskich, które kupił od przychodni dentystycznej.

Nawet gdyby przyglądali się bunkrowi z odległości kilku stóp, nie zdołaliby stwierdzić, że w środku jest człowiek, który ich obserwuje. Ołowiane ekrany zablokują niemal każdy sprzęt federalnych. Kolejny kabel poprowadził do drzewa, a później, pod ziemią, do bunkra, gdzie był podłączony do małego telewizyjnego monitora, w który bez wątpienia wpatrywał się teraz Carlos. Dzięki temu widział obraz z kamery umieszczonej na drzewie. Carlos miał zostać w bunkrze, dopóki sytuacja się nie

wyjaśni. Pomieszczenie było wentylowane, wyposażone w zapas wody i pożywienia. Po zakończeniu operacji ucieknie do Meksyku, a później dalej na południe. Quarry miał nadzieję, że mu się uda.

Stanął w takim miejscu, żeby Carlos mógł go zobaczyć na monitorze. Uniósł kciuk w geście pozdrowienia i zasalutował. Później pojechał do domu.

Napisał list pożegnalny i zostawił go w pomieszczeniu w piwnicy. Nie był zaadresowany do Ruth Ann i Gabriela, choć ich dotyczył. Chciał, żeby ludzie, którzy się tu zjawia, poznali prawdę. To była jego robota i nikogo innego. Zostawił tam również swój testament.

Wszedł na górę i zajrzał do pokoju Ruth Ann, która spała głęboko. Później udał się do pokoju Gabriela i przez chwilę obserwował jego spokojny sen. Wyciągnął z kieszeni srebrnego dolara i położył go na stoliku przy łóżku.

– Pójdiesz do college'u, Gabrielu – mruknął pod nosem. – Rozpoczniesz własne życie i zapomnisz, że mnie znałeś. Jeśli jednak czasem mnie wspomnisz, mam nadzieję, że uznasz, że nie byłem do reszty zły. Zwyczajnie dostałem kiepskie karty i nie wiedziałem, co z nimi zrobić, choć starałem się z całych sił.

Poszedł do biblioteki. Ogień w kominku już zgasł, zalany wiadrem wody. Zgiął ramię w miejscu, gdzie znajdowały się blizny po oparzeniach – tam gdzie zakończył znak. Zapalił światło i przez chwilę patrzył na ścianę z książkami, a następnie zgasił je i ostatni raz

zamknął drzwi.

Po półgodzinie zaparkował furgonetkę obok cessny. Dwadzieścia minut później maszyna oderwała się od ziemi. Rozejrzał się wokół, szukając małego domku. Nie pomachał ręką, nie skinął głową ani nie dał do zrozumienia, że wie o jego obecności. Od tej chwili musiał być maksymalnie skupiony. Przeszłość należała do przeszłości. Od tej pory musiał spoglądać wyłącznie przed siebie.

Daryl oświetlił mu pas startowy, używając zapalonych pochodni umieszczonych w odstępach dziesięciu stóp. Wylądował z mocnym szarpnięciem z powodu silnego wiatru, podkołował na miejsce, wysiadł i zablokował koła.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, on i Daryl polecą do Teksasu. Wszystko razem nie powinno zająć więcej niż kilka godzin. Z Teksasu zamierzali przejść na meksykańską stronę. Łatwiej było podążyć na południe wzdłuż granicy, niż ją przekroczyć, idąc na północ. Znalazłszy się w Meksyku, Quarry zamierzał użyć skradzionej komórki, by zadzwonić do FBI i podać dokładne położenie kopalni. Dzięki temu będą mogli uratować Willę i Wohl. Nie powinno ich spotkać nic złego, bo miały dość pożywienia i wody.

Plan był dobry, ale zawsze coś mogło pójść nie tak.

Sięgnął po plecak i ruszył w kierunku wejścia do kopalni.

Cóż, za kilka godzin wszystko się rozstrzygnie.

Słońce zaczęło świtać na wschodnim horyzoncie, kiedy Sean i Michelle skręcili w gruntową drogę prowadzącą do Atlee.

– Upiorne miejsce – powiedziała Michelle, spoglądając na ponurą krętą drogę. – Zostawiłeś wiadomość Watersowi?

– Taak, ale nie mam pojęcia, kiedy się tu zjawi. Tak czy owak, może się okazać, że gonimy za wiatrem.

– Instynkt podpowiada mi co innego.

– Mnie również – przyznał.

– Jak chcesz to rozegrać?

– Rozejrzemy się po okolicy. Zobaczymy, co da się zrobić. Może cudem zdołamy odnaleźć Willę.

Michelle wskazała głową.

– To może być Atlee. – Zza zakrętu wyłonił się dom. Wielkie południowe sosny długoigielne rosły po obu stronach podjazdu prowadzącego do starej rezydencji z okresu wojny secesyjnej. Drzewa powodowały, że cienie były jeszcze głębsze.

– Nie widzę żadnych samochodów – powiedziała Michelle, wyciągając pistolet.

Drgnęli na dźwięk telefonu.

W słuchawce rozległ się głos Aarona Betacka. Sean słuchał go kilka minut, a później się rozłączył i spojrzał na partnerkę.

– Wielka heca w Białym Domu. Jane Cox wróciła z

obiadu i wpadła do Gabinetu Owального jak burza. Poszli z prezydentem do prywatnej części rezydencji, odbyli rozmowę, a później pierwsza para wyruszyła w podróż lotniczą nieoznakowanym samolotem, kierując się w nieznane miejsce.

– Co się, u licha, dzieje?

– Najwyraźniej skontaktowali się z nią podczas obiadu.

– Czemu nieoznakowany samolot?

– Pewnie chcą zachować wszystko w tajemnicy. Nie życzą sobie, żeby sprawa przedostała się do mediów.

– Ci z Secret Service muszą być wściekli, nie mogli wysłać zespołu przygotowawczego.

– Dokładnie. Starają się, jak mogą, ale co można zrobić, kiedy człowiek nie wie nawet, dokąd leci?

– Powiedziałeś mu, czego się dowiedzieliśmy?

– Był zbyt zajęty, a ten trop może się okazać ślepą uliczką. Jeśli dowiemy się czegoś, co ma związek z prezydentem, powiadomimy go niezwłocznie.

– Zgaś reflektory i wyłącz silnik! – szepnęła Michelle.

SUV zamilkł, ginąc w mroku.

– Co się stało?

– Ktoś wyszedł z domu. – Wskazała głową. – Resztę drogi przejdziemy.

Wysiedli z wozu i podkradli się do ciemnego budynku.

Michelle uniosła dłoń, jakby dostrzegła coś, czego on

nie zobaczył. Sean wiedział, że Maxwell świetnie widzi w ciemności.

– Gdzie? – szepnął jej do ucha.

– Na frontowej werandzie.

Spojrzał we wskazaną stronę i ujrzał małą postać siedzącą na schodach.

– Myślę, że to Gabriel, mały chłopiec, o którym wspomniano w raporcie żandarmerii – powiedziała cicho.

– Miał wtedy dziewięć lat. Dziś miałby dziesięć albo jedenaście.

Czekali, aż ktoś do niego dołączy, ale mrok zaczął szybko ustępować. Z oddali doleciało pianie koguta.

– Dawno tego nie słyszałem – wyznał Sean.

– Trzeba coś zrobić – powiedziała Michelle. – Stracimy osłonę ciemności, chłopak może dostrzec SUV-a.

– Zajdź go z lewej, ja pójdę z prawej.

Rozdzielili się. Minutę później podpełzli z obu stron do kształtu, który w świetle wschodzącego słońca okazał się postacią małego chłopca.

Małego chłopca, który płakał tak głośno, że nie zauważył Michelle, która stanęła obok niego. Gdy dotknęła jego ramienia, omal nie spadł z werandy. Sean wynurzył się z drugiej strony, więc zdążył go złapać za ramię, zanim zdążył uciec.

– Coście za jedni? – wybełkotał Gabriel, spoglądając na nich wystraszony oczami mokrymi od łez.

– Gabriel? – spytała Michelle, kładąc rękę na jego

drugim ramieniu.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – przestraszył się.

– Nie zrobimy ci krzywdy – powiedział Sean. – Szukamy kogoś. Małej dziewczynki o imieniu Willa.

– Jesteście z policji?

– Dlaczego tak pomyślałeś? – spytała Michelle, nieco mocniej zaciskając dłoń na ramieniu chłopca.

Gabriel sapnął przez nos i spuścił głowę, gapiąc się na swoje gołe stopy.

– Sam nie wiem.

– Wiesz, gdzie jest Willa?

– Nie znam nikogo o takim imieniu.

– Nie pytałem cię o to – powiedział Sean. – Pytałem, czy wiesz, gdzie jest.

– Nie, nie wiem! Rozumiecie?!

– Ale o niej słyszałeś? – naciskała Michelle.

Gabriel spojrzał na nią zapłakanymi oczami, robiąc żalostną minę.

– Nie zrobiłem nic złego. Ani moja mama.

– Nikt nie powiedział, że zrobiłeś coś złego. Gdzie jest twoja mama? – spytała Michelle.

– Śpi.

– Czy w domu jest ktoś jeszcze?

– Myślę że pan Sam wyjechał.

– Sam Quarry? – zapytał Sean.

– Znasz go?

– Słyszałem o nim. Czemu sądzisz, że go nie ma?

– Furgonetka zniknęła – odparł chłopak.

– Czemu płakałeś?

– Bo... bo płaczę i już...

– Musiałeś mieć jakiś powód – rzekła delikatnie Michelle.

– Zawsze masz powód, kiedy płaczesz? – spytał buntowniczo Gabriel.

– Tak.

– A ja nie. Czasami płaczę od tak, bez powodu.

– Zatem pan Sam wyjechał, a twoja mama śpi. Czy w środku jest ktoś jeszcze?

Gabriel chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

– To naprawdę bardzo ważne. Musimy wiedzieć, kto tam jest.

– Jesteście z policji czy co?

Michelle pokazała mu legitymację prywatnego detektywa.

– Współpracujemy z FBI i Secret Service w sprawie porwania Willi Dutton. Czy w okolicy mieszka Indianin Koasati imieniem Eugene?

– Nie, ale jest tu taki jeden. Na imię ma Fred.

– Jest w domu?

– Nie, mieszka w przyczepie kempingowej na terenie posiadłości. O tam. – Wskazał na zachód.

– Kto oprócz was jest w domu?

– Była tu Tippi, ale już jej nie ma.

– Tippi?

– Córka pana Sama. Niedawno przywiózł ją z kliniki.

– Co jej jest?

– Zachorowała dawno temu. Podłączyli ją do aparatury, żeby mogła oddychać i wszystko inne. Była w szpitalu wiele lat. Czytaliśmy jej książki razem z pana Samem. *Dumę i uprzedzenie* Jane Austen. Czytałaś to?

– Czemu przywiózł ją do domu? – zaciekała się Michelle.

– Nie wiem. Po prostu przywiózł.

– Ale teraz jej nie ma?

– Tippi nie ma w jej sypialni. Sprawdziłem.

– Dlatego płaczesz? Myślisz, że coś jej się stało?

Gabriel spojrzał na Michelle.

– Proszę pani, pan Sam jest dobrym człowiekiem. Przyjął do siebie mnie i mamę, gdy nie mieliśmy gdzie się podziąć. Pomaga ludziom, wielu ludziom. Nie pozwoliliby, żeby Tippi spotkało coś złego. Robił dla niej wszystko.

– Mimo to płaczesz. Musi być jakiś powód.

– Czemu miałbym wam powiedzieć?

– Bo chcemy pomóc – odparła.

– Może tylko tak mówisz.

– Jesteś bystrym młodzieńcem – zauważył Sean.

– Pan Sam powiedział, żeby nikomu nie ufać, dopóki ten ktoś nie da nam do tego powodu.

– Co tu robicie? – usłyszeli ostry głos.

Odwrócili się i ujrzeli Ruth Ann w starym szlafroku. Nie dostrzegali go jednak, bo skupili całą uwagę na strzelbie, którą w nich wycelowała.

Dostali boeinga 757, którym latał sekretarz stanu, zanim przesiadł się do szerokokadłubowej maszyny 767 300. Samolot czekał w bazie amerykańskich sił powietrznych Andrews razem z resztą prezydenckiej floty. Wszystkie oznaczenia państwowe zostały wcześniej usunięte, bo maszyny używano głównie do przewożenia agentów, asystentów i przedstawicieli mediów oraz niezbędnego sprzętu.

Sekretarz stanu miał prywatny gabinet i sypialnię na pokładzie, a układ samolotu nie uległ zmianie. To właśnie w gabinecie siedział prezydent i pierwsza dama, gdy koła maszyny odrywały się od pasa startowego w Andrews kilka godzin po tym, jak Jane Cox wpadła niczym burza do Gabinetu Owalnego i piłeczką golfową wybiła lewe oko portretowi Thomasa Jeffersona. W pozostałej części samolotu zgromadziła się pośpiesznie zebrana ekipa agentów Secret Service, zdumionych tym, co się dzieje.

Prezydent spoglądał na żonę, która skuliła się w fotelu, utkwivszy wzrok w podłódze. Kiedy osiągnęli pułap przelotowy, prezydent odpiął pas i rozejrzał się po kabinie.

– Miły gabinet. Nie tak duży jak w Air Force One, ale przyjemnie urządzone.

– Przepraszam, Dan. Przepraszam, że nie mogłeś się przelecieć swoją ulubioną wielką zabaweczką. – Założyła ręce na piersi i spojrzała na niego wzrokiem wyrażającym

lęk i poczucie beznadziejności.

– Uważasz, że to wszystko zabawki?

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co myśleć.

Sięgnęliśmy dna, Dan.

Cox zdjął buty i rozmasował stopy, a następnie zaczął krążyć po kabinie.

– Nie jestem pewny, czy to pamiętam.

– Wiem, że nie pamiętasz, ale ja pamiętam.

– Zmieniłem się.

– Rozumiem.

– Naprawdę, Jane. Do licha, przecież wiesz.

– Zgoda, zmieniłeś się, ale nie pomoże nam to w obecnej sytuacji.

Westchnął i usiadł obok niej, masując jej barki.

– Wiem. Wiem, że to dla ciebie było piekło.

Odwróciła się wolno i spojrzała na niego.

– Dlatego porwał Willę.

– Tak mi powiedziałaś. Nie, raczej wykrzyczałaś.

– Powiedziałaś, że nie możesz narazić wygranej w wyborach, żeby ją odzyskać.

– Nie zaprzeczam, Jane. Nie mogę. Nie mógłbym, nawet gdyby całe to zamieszanie nie było zawinione przeze mnie.

– To nasz obowiązek.

– Jane...

Ujęła jego dłoń.

– Nasz – powtórzyła cicho.

– Nie wiem, czemu ze mną zostałaś. Naprawdę nie

wiem.

– Kocham cię. Czasami nie wiem dlaczego, ale to prawda. Związałam z tobą swój los, Dan. Razem poszybowaaliśmy w niebo.

– Równie szybko możemy spaść na ziemię.

– Fakt.

– Mogę przegrać te wybory. Od jakiegoś czasu żadnych nie przegrałem. – Spojrzał na nią, gdy nic nie odpowiedziała. – Sądysz, że dotrzyma słowa? Jeśli zrobimy to, o co poprosi?

– Nie mam pojęcia. Nie znam go. Wiem tylko, że mówił tak, jakby starannie sobie wszystko zaplanował. Ten człowiek dobrze wie, czego chce.

– Secret Service jest bardzo zdenerwowana tą sytuacją.

Jane spojrzała na niego, jakby chciała się roześmiać.

– Też jestem zdenerwowana. Tylko że oni, niezależnie od tego, jak wszystko się potoczy, nie stracą pracy. Nie mogę powiedzieć tego o tobie.

– O nas – przypomniał jej.

– Pomyśleć, że wystarczyłaby odrobina samokontroli. Nic więcej.

– To było jak choroba. Sama wiesz. Powiem szczerze, jestem zaskoczony, że nie wyszło to wcześniej na jaw.

– Zaskoczony? Naprawdę? Przecież cały czas za tobą chodziłam, zacierając ślady! A ty mówisz, że jesteś zaskoczony?!

– Nie to miałem na myśli.
– A o cóż innego mogłoby chodzić?
– Nie pora na kłótnie, Jane. Jeśli mamy przetrwać, musimy razem stawić czoło wyzwaniu.
– Będziemy mieli całą emeryturę na kłótnie.
– Jak sobie życzysz – odrzekł oschle.
– Wolałabym, żeby nasz samolot tam nie leciał.
– Jaki ci się wydał przez telefon?
– Zdeterminowany. Pełen gniewu i nienawiści. Czy można go o to winić?

– Sądzisz, że był z tobą szczery? Wiesz, jego prośba wydaje się drobna w porównaniu z tym... no wiesz...

– Wolałbyś, żeby zabił Willę? – spytała ponuro.

– Nie to miałem na myśli! Niczego mi nie imputuj.

Sprzeczkę prezydenckiej pary przerwało pukanie do drzwi.

Do gabinetu zajrzał Larry Foster, szef prezydenckiej ochrony.

– Panie prezydencie, pierwszy pilot informuje, że za półtorej godziny wylądujemy w Huntsville. Na szczęście oddali do użytku nowy pas, na którym zdoła wylądować samolot tej wielkości.

– Znakomicie.

– Później będziemy musieli pojechać w inne miejsce.

– Dostałeś współrzędne?

– Tak, panie prezydencie. Mamy je.

– Zatem w czym problem?

– Panie prezydencie, czy mogę mówić otwarcie?

Cox spojrział na żonę, by po chwili ponownie zwrócić się do Foster'a.

– Słucham – rzucił krótko.

– Ta sytuacja stanowi poważne wyzwanie. Nie mamy pojęcia, dokąd jedziemy ani z czym przyjdzie się nam zmierzyć. Nie mamy nawet jednej czwartej ludzi i sprzętu. Zdecydowanie zalecam powrót do Waszyngtonu.

– To wykluczone.

– Panie prezydencie, bardzo stanowczo radzę, abyśmy tego nie robili.

– To ja jestem prezydentem. Chcę się wybrać w niezaplanowaną podróż. To nic wielkiego.

Foster odchrząknął. Zaciśnięte pięści wskazywały, że z całej siły tłumiał narastający gniew.

– Kolejną kwestią jest brak kawalkady pojazdów, panie prezydencie. Punkt docelowy znajduje się około osiemdziesięciu mil na południowy wschód od lotniska w Huntsville.

– Musimy się tam znaleźć dokładnie za... – Cox spojrział na zegarek – za cztery godziny i siedem minut.

– Poleciałem, aby samolot transportowy poleciał przed nami z dwoma helikopterami na pokładzie. Ich wyładowanie i przygotowanie do drogi zajmie trochę czasu.

– Znasz rozkład. Nie możemy się spóźnić.

– Panie prezydencie, czy mógłby mi pan powiedzieć, o co chodzi? Wiem, że dyrektor z panem rozmawiał. Popiera moje stanowisko, ale...

Cox wskazał na niego palcem.

– Dyrektor wykonuje moje polecenia. Jutro mogę go zastąpić kimś innym. Zrobię to, jeśli będzie stwarzał kolejne problemy. Chcę, żebyś zrobił to, co ci kazałem. Ja tu dowodzę. Jeśli tego nie zrobisz, poproszę wojsko. Oni nie będą kwestionowali mojej władzy.

Foster się wyprostował.

– Panie prezydencie, zgodnie z prawem federalnym jesteśmy odpowiedzialni za pańskie bezpieczeństwo. – Spojrzał na Jane. – Za bezpieczeństwo państwa obojga. To, co się teraz dzieje, nie ma precedensu i może się okazać bardzo niebezpieczne. Nie możemy sprawdzić miejsca, w które pan się udaje. Nie możemy przeprowadzić rekonesansu, dokonać oceny zagrożenia...

– Posłuchaj, Larry – przerwał mu nieco spokojniejszym głosem Cox. – Wiem, że to wszystko dziwnie wygląda. Też nie mam ochoty tego robić. – Wskazał żonę. – Ani pierwsza dama, ale tak już musi być.

– Czy to ma jakiś związek z pani bratanicą? – Larry skierował to pytanie do Jane Cox. – Jeśli tak, trzeba poinformować FBI.

– To niemożliwe.

– Ale...

Cox położył mu dłoń ramieniu.

– Wierzę, że zdołasz nam zapewnić bezpieczeństwo, Larry. Będziesz miał czas, żeby wszystko sprawdzić. Tyle czasu, ile zdołam ci dać. Nie jestem ryzykantem. Nie wpakuję się w niebezpieczną sytuację, a tym bardziej nie

zrobię tego żonie. Wszystko będzie dobrze.

– Tak jest, panie prezydencie, ale jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli, wkroczę do akcji. Upoważnia mnie do tego prawo federalne.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Kiedy Foster ich zostawił, Jane zapytała:

– A jeśli Larry nie pozwoli ci zrobić tego, co musisz?

– To niemożliwe, Jane.

– Czemu?

– Nadal jestem prezydentem. Oprócz tego nigdy nie opuszczało mnie szczęście. Jeszcze się ode mnie nie odwróciło. Nigdy.

Jane spojrzała w bok.

– Nie bądź taki pewny – powiedziała.

Rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Po której jesteś stronie?

– Myślałam o tym całą noc i jeszcze nie podjęłam decyzji – odrzekła i wyszła z kabiny.

Prezydent usiadł za biurkiem i zmówił modlitwę, żeby i tym razem mu się upiekło.

- Jesteś Ruth Ann? – spytała Michelle, przesuwając wzrok ze strzelby na kobietę.

– Skąd wiesz, jak się nazywam?

– Mamusiu, oni współpracują z federalnymi. Pytali o pana Sama...

– Nic im nie mów o panu Samie, synku.

– Niech pani posłucha, Ruth Ann – powiedział Sean.

– Nie chcemy, żeby komukolwiek stała się krzywda, ale sądzymy, że pan Sam porwał małą dziewczynkę, Willę Dutton.

– Nie zrobił tego! – krzyknęła, zaciskając palec na spuście.

– Mamusiu, widziałem jej nazwisko w piwnicy. I zdjęcie. Oglądaliśmy je w telewizji.

– Zamilknij, chłopcze! Więcej tego nie powtórzę!

– Grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo – powiedziała Michelle. – Jest niewiele starsza od Gabriela.

– Pan Sam nikogo nie skrzywdzi. Nie jest taki.

– Panienska Tippi zniknęła, mamusiu – powiedział Gabriel.

Ruth Ann otworzyła zdumiona usta.

– Co?!

– Nie ma jej w pokoju. Pan Sam ją zabrał.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Ruth Ann, pozwól nam rozejrzeć się po domu. Jeśli

nie znajdziemy niczego, odjedziemy – powiedział Sean. – Chcemy jedynie odnaleźć Willę i zabrać ją bezpiecznie do rodziny.

– Tę małą dziewczynkę, której mamę zabito? – spytała Ruth Ann, zwalniając palec na spuście.

– Tak.

– Co pan Sam ma z tym wspólnego? Możecie mi powiedzieć?

– Być może nic. Jeśli tak jest, nie spotka go nic złego. To proste. Jeśli uważa pani, że nie jest zamieszany w tę sprawę, proszę nam pozwolić się rozejrzeć – powiedziała Michelle.

– Proszę, mamusiu. Pozwól im.

– Czemu tak ci na tym zależy, Gabrielu?

– Bo tak trzeba. Pan Sam powiedziałby to samo, gdyby tu był.

Ruth Ann przyglądała się synowi dłuższą chwilę, a następnie opuściła strzelbę i wycofała się do środka.

Sean i Michelle wpadli do holu Atlee i rozejrzeli się wokół.

Michelle odwróciła się do kobiety, która za nimi dreptała.

– Ruth Ann, wolałabym, żebyś to odłożyła i cofnęła się. Natychmiast – powiedziała stanowczo, kładąc dłoń na kolbie pistoletu.

– Posłuchaj jej, mamo! – zawołał Gabriel ze łzami w oczach.

Ruth Ann odłożyła broń, a Michelle sięgnęła po nią i

wyrzuciła naboje.

– Gabrielu, gdzie jest pokój, o którym wspomniałeś?
– zapytał Sean.

Zeszli schodami do masywnych drzwi.

– Cofnijcie się – poleciała Michelle, a następnie oddała dwa strzały po obu stronach zamka. Później wsunęła pistolet do kabury, skoczyła naprzód i kopnęła w miejsce, gdzie zamek łączył się z futryną. Drzwi otworzyły się z hukiem, a Gabriel spojrział na Michelle wytrzeszczonymi oczami. Obejrzał się na Seana, który z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Zawsze lubiła się popisywać – powiedział.

Wbiegli do piwnicy, a Gabriel włączył światło. Sean i Michelle otworzyli usta ze zdumienia, gdy ujrzeli ściany. Zdjęcia, kartoteki, notatki sporządzone kredą na tablicy, pineski i nitki łączące poszczególne części.

– Wiecie, o co w tym wszystkim chodzi? – spytał Gabriela i Ruth Ann.

– Nie, proszę pana – odrzekła Murzynka.

– Kto mógł to zrobić? – zapytał.

– Pan Sam – odparł Gabriel. – Zszedłem tu którejś nocy, gdy nie było go w pobliżu. Wtedy zobaczyłem zdjęcie tej dziewczynki. O tutaj.

Wskazał fragment muru. Sean i Michelle spojrzeli na fotografię Willi.

Sean zaczął się rozglądać po ścianach, by nagle znieruchomieć.

– Ruth Ann i Gabrielu, czy moglibyście poczekać na

zewnątrz?

– Co? – zapytał Gabriel. – Dlaczego?

– Natychmiast za drzwi!

Wyprowadził ich na zewnątrz i zamknął, ponownie skupiając wzrok na zdjęciu kobiety.

– Kto to, Sean?

– Pamiętasz, w jakich okolicznościach poznałem Jane Cox?

– Taak. Przywiozłeś do domu jej pijanego męża senatora, którego znalazłeś w samochodzie z jakąś prostytutką.

Sean wskazał zdjęcie.

– To ona.

Zdjęcie przedstawiało młodą Diane Wohl.

Michelle przyjrzała się jej uważnie.

– To ona była z Coxem?

Sean skinął głową.

– Pod zdjęciem umieszczono nazwisko Diane Wohl, ale wtedy nazywała się inaczej. Miała na imię Diane, ale nosiła inne nazwisko.

– Mogła je zmienić albo wyjść za mąż. – Michelle spojrzała w inne miejsce połączone nitką z kartką katalogową Wohl.

– Diane Wright? – przeczytała. – Czy to brzmi bardziej znajomo?

– Tak! To ona!

Sean wskazał świeży wycinek z gazety przypięty obok fotografii. Wycinek z artykułem o zniknięciu, a

właściwie domniemanym porwaniu Diane Wohl z Georgii.

– Uprowadził także Diane Wright – powiedział Sean, wskazując ściany. – To cała historia, Michelle. Quarry poskładał wszystkie fragmenty układanki.

Michelle wskazała lewą ścianę.

– Myślę, że tutaj się to zaczęło.

Na początku znajdowała się data sprzed niemal czternastu lat.

Michelle przeczytała cztery słowa, które zapisano obok niej. „On mnie zgwałcił, tatusiu”.

– Za chwilę dostanę mdłości, Sean.

– Wytrzymaj, Michelle. Musimy wytrzymać.

Zacząli śledzić opowieść przedstawioną na ścianach piwnicy Atlee.

Kiedy obejrzelili jedną ścianę, Michelle powiedziała cicho:

– Cox ją zgwałcił. Później zmusili ją do przeprowadzenia nielegalnej aborcji. Pierwsza dama była w to zamieszana.

– Biedna dziewczyna niemal wykrwawiła się na śmierć i skończyła w stanie śpiączki – dodał Sean pustym głosem.

– Skoro Cox ją zgwałcił, czemu nie powiadomiła policji? – zapytał Sean.

– Może ktoś ją przekonał, żeby tego nie robiła? Jane Cox? Ta kobieta umie manipulować ludźmi.

– Jaki to ma związek z Willą?

Dotarli do miejsca, w którym umieszczono fotografię Willi. Poczuli się nieswojo, widząc zdjęcie uśmiechniętej dziewczynki w pomieszczeniu, gdzie na tablicach i kartach katalogowych utrwalono koszmarną opowieść.

Podążając za liniami śledztwa Quarry'ego, Michelle zapytała:

– Jak dawno temu miał miejsce twój epizod z Coxem, Sean?

Policzył w głowie.

– Jakież trzynaście lat temu.

– Willa skończyła niedawno dwanaście lat. Dodaj do tego dziewięć miesięcy ciąży. Willa jest córką prezydenta, Sean. Współżyli ze sobą i ta kobieta zaszła w ciążę.

– Pewnie tym razem uznali, że adoptowanie dziecka przez brata Jane będzie lepszym rozwiązaniem od nielegalnej aborcji i śpiączki.

– Jesteś pewna, że nie wymusił tego na Diane Wohl?

– Odnoszę wrażenie, że robili to za obopólną zgodą.

– Jeśli Dan Cox napastował seksualnie Tippi Quarry, a ta zapadła w śpiączkę po nieudanej aborcji, Sam Quarry się mści.

Sean spojrział na nią ze zdumieniem.

– Porywając Willę? Zabijając jej matkę? To nie ma sensu!

– Może chciał zyskać przewagę.

– Jaką przewagę?

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Sądzisz, że ma to związek z miejscem, do którego leci prezydent z

małżonką? – Michelle rozejrzała się po ścianach. – Jak on to wszystko wykombinował? Musiało mu to zająć wiele lat.

– Kochał córkę. Nie poddał się.

– To morderca. Porwał Wille, a my chcemy ją odzyskać.

– Ciągłe wozisz aparat w samochodzie?

Michelle wybiegła z piwnicy i kilka minut później wróciła ze swoim nikonem. Zrobiła zdjęcia ścian, a następnie zbliżenia wszystkich napisów i fotografii. Sean z kolei przeszukał szafki i wyjął garść teczek, które zabrał ze sobą. Wtedy zobaczył list, który Quarry zostawił na stole wraz z testamentem. Otworzył i przeczytał oba dokumenty, zanim wsunął je do kieszeni.

On i Michelle złamali niemal każdą zasadę postępowania w miejscu popełnienia przestępstwa, ale okoliczności były niezwykle, więc Sean nie miał oporów. Nie był pewny, jak potoczą się wypadki, choć doskonale wiedział, jakiego zakończenia pragnął.

– Gotowe – powiedziała Michelle, wykonawszy ostatnie zdjęcie.

Sean podał jej kilka teczek, aby pomogła przenieść je do samochodu.

– Czemu zabrał Tippi ze szpitala, a później przeniósł ją w inne miejsce?

– Nie mam pojęcia. To wszystko nie ma sensu.

Kiedy Michelle mówiła, Sean sprawdził pozostałą część piwnicy. Odwrócił się w rogu, zajrzał za starą

ściankę działową.

– Co to jest, u licha?! – zawołał.

Michelle podbiegła do niego, gdy pochylił się nad metalowymi cylindrami ustawionymi za przegrodą.

Zamiast odpowiedzieć, Sean ruszył do drzwi i otworzył je na oścież, a następnie zaprowadził Gabriela i Ruth Ann do cylindrów.

Spojrzeni na nie ze zdumieniem i pokręcili głowami, kiedy spytał, czy wiedzą, dlaczego Quarry je tu umieścił. Później dostrzegł inne sprzęty leżące na stole roboczym. Fragmenty rozebranej wideokamery, stare piloty, przewody elektryczne i rolki metalowego poszycia.

– Do czego to wszystko? – zapytał.

Gabriel potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia, ale wiem, że pan Sam potrafi zbudować wszystko, co zechce. Umie naprawić każde urządzenie. Zna się na elektronice i jest zręcznym cieślą.

– Ma tęgą głowę – przytaknęła Ruth Ann. – Nie ma niczego, czego ten człowiek nie umiałby naprawić albo zbudować.

– Dokąd mógł pojechać? Powiedziałaś, że nie ma furgonetki?

– Taak, ale pan Sam ma jeszcze samolot – odpowiedział Gabriel.

– Jaki? – spytała szybko Michelle.

– Małą jednosilnikową cessnę.

– Na co mu samolot?

– Był pilotem w Wietnamie – odpowiedziała Ruth

Ann. – Czasami lata do starej kopalni. Dlatego go potrzebuje.

– Do starej kopalni?

Gabriel wyjaśnił, o jaką kopalnię chodzi.

– Kiedyś było tam więzienie dla konfederatów. Pan Sam mi powiedział.

– Więzienie... – powtórzył Sean, spoglądając z zaniepokojeniem na Michelle. – Myślisz, że mógł tam polecieć?

– Jeśli brakuje samolotu, to pewnie tak. Nigdzie indziej nie lata.

– Myślisz, że zawiózł tam Tippi?

– Nie sądzę. Urządzenia medyczne nie zmieściłyby się do samolotu. Jest bardzo mały.

– To gdzie ona jest?

Gabriel zastanowił się nad pytaniem.

– Pan Sam zbudował mały jednopokojowy domek kawałek drogi stąd, na ziemi należącej do jego rodziny. Niczego tam nie ma. Nie ma elektryczności ani niczego innego, więc nie sądzę, żeby panienka Tippi tam była.

– Czemu w takim razie go zbudował? – zapytała Michelle.

Gabriel pokręcił głową.

– Nie wiem. Sam wszystko zrobił. Zajęło mu to dużo czasu.

Sean spojrział nerwowo na Michelle, a następnie odwrócił się do Gabriela.

– Potrafisz nam pokazać, gdzie jest kopalnia?

- Tak, jeśli z wami pojedę.
- Gabrielu! – krzyknęła matka.
- Nie wiem, jak mam im to wytłumaczyć, ale tam trafię.

Ruth Ann spojrzała nerwowo na Seana.

– Pan Sam był dla nas bardzo dobry. Jeśli zrobił coś złego, musiał mieć ważny powód. Możecie być tego pewni...

– Zostawił nam ten dom i ziemię – dodał Gabriel.

– I dał Fredowi tysiąc dolarów w gotówce. Fred sam mi powiedział – dokończyła Ruth Ann.

– Myślał, że niebawem stąd odejdzie? – zapytał Sean.

– Kto wie, jak długo przyjdzie mu żyć na ziemi? – odpowiedziała pytaniem Ruth Ann. – Jutro każdy z nas może być martwy. Wola boska.

– Kto waszym zdaniem może przebywać w kopalni oprócz niego? – zapytał Sean.

– Jego syn Daryl albo Carlos – odrzekł Gabriel.

– Znacie Kurta Stevensa?

– Pan Sam powiedział, że Kurt wyjechał z miasta – wyjaśnił Gabriel.

– Mają broń w kopalni? – zapytała Michelle.

– Pan Sam lubi broń. Daryl też. Obaj mogliby odstrzelić skrzydełko pszczole.

– Wspaniale – powiedział Sean. – Gabrielu, czy mógłbyś pojechać z nami tam, gdzie stoi samolot? Czy jeśli się okaże, że go nie ma, pokażesz nam drogę do kopalni?

Gabriel spojrział pytająco na matkę, która oparła opiekuńczo dłoń na jego ramieniu.

– Muszę to zrobić, mamusiu.

– Dlaczego, chłopcze? Dlaczego? To nie twoja sprawa.

– Pan Sam nie jest złym człowiekiem. Sama powiedziałaś. Znam go niemal całe życie. Jeśli z nimi pojedę, może zdołam mu pomóc wszystko naprawić. Chcę tego. Muszę to zrobić.

Po twarzy Ruth Ann spłynęła łza.

– Zaopiekujemy się nim, Ruth Ann – obiecał Sean. – Przywieziemy go z powrotem. Przyrzekam.

Ruth Ann zwróciła zaczerwienione oczy na Seana.

– Niech pan się o to zatroszczy, bo oprócz niego nie mam nikogo na świecie.

Dwa helikoptery uniosły się nad ziemię i skierowały na południowy wschód. W jednym był prezydent z małżonką i agentami Secret Service oraz taką ilością sprzętu, jaką zdołali zgromadzić w krótkim czasie. Druga maszyna wiozła kolejnych ludzi Secret Service, dwa najlepsze psy tropiące wyszkolone do znajdowania ładunków wybuchowych oraz Chucka Watersa, którego Larry Foster sprowadził bez wiedzy pierwszej pary. Obok niego siedział Aaron Betack, który jak Waters dołączył do nich bez wiedzy prezydenta. Z każdą minutą niebo stawało się coraz jaśniejsze. Na małej wysokości wiał łagodny wiatr, a wschodzące słońce rozwiewało chłód poranka.

Telefon Betacka zadzwonił.

– Słucham?

– Aaron, tu Sean King. Musimy pogadać.

– Nie mam teraz czasu.

– Jestem w Alabamie.

– Co?! My również!

– Jacy my?

Betack spojrział na Watersa i rzekł do mikrofonu:

– Już ci powiedziałem, że Wolfman i Lynx wybrali się w podróż. – Agenci Secret Service nazywali tak Dana i Jane Coxów. – Co robisz w Alabamie?

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że podążamy tym samym tropem co wy. Dokąd zmierzacie?

– Nie mamy pojęcia, Sean. Już ci mówiłem.

– Wiem, ale sądziłem, że sytuacja uległa zmianie. Zatem jesteście z prezydentem i nie wiecie, dokąd zmierzacie?

– Wszystko jest popieprzone. Lecimy na ślepo. Łamiemy wszelkie zasady i procedury z podręcznika Secret Service. Szefem ochrony jest Larry Foster. Jeszcze chwila, a facet dostanie zawału. Wiemy, że doszło do sceny w Gabinetce Owalnym, że jesteśmy w Alabamie i lecimy helikopterem do punktu wskazanego przez współrzędne.

– To jakiś obłąd, Aaron. Możecie pakować się prosto w pułapkę.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem. Myślisz, że Secret Service jest szczęśliwa z tego powodu? Sęk w tym, że facet jest prezydentem.

– Chcesz powiedzieć, że szef Secret Service na to pozwolił? Że zgodzili się wyżsi doradcy prezydenta lub wiceprezydent?

– Wszyscy balansujemy na krawędzi. On jest szefem, my jego podwładnymi. Zrobiliśmy swoje za kulisami, poprosiliśmy o wsparcie wojsko i FBI. Sądzę, że jak na tak parszywą sytuację mamy całkiem przyzwoitą ochronę.

Waters spojrzał na niego i skinął Betackowi, żeby podał mu telefon.

– King? Tu Chuck Waters.

– Cześć, Chuck. Zostawiłem ci wiadomość.

– Co, u diabła, robicie?

– Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział. Aaron poinformował mnie, co się u was dzieje. Możecie lecieć prosto w zasadzkę.

– Taak, ale prezydent nie wie, że wysłaliśmy dwa dodatkowe helikoptery z zespołem do odbijania zakładników. Zanim wylądujemy i prezydent postawi stopę na ziemi, przeczeszemy teren i otoczmy okolicę. Nawet mysz się nie prześlizgnie. Jeśli mimo to sytuacja nam się nie spodoba, opuścimy okolicę, za zgodą prezydenta lub bez niej.

– A jeśli was zestrzelą?

– Zatrośczyliśmy się i o to. Każda z maszyn jest wyposażona w najnowocześniejszą ochronę przed raketami powietrze-powietrze i ziemia-powietrze. Dodam, że kilka apache'ów przeczesuje teren, szukając potencjalnego zagrożenia, począwszy od punktu zero, którego współrzędne dostaliśmy.

– W porządku. Słuchaj, znaleźliśmy coś, o czym powinieneś wiedzieć. Może się to okazać waszą piętą achillesową. – Sean powiedział mu o metalowych cylindrach.

– Gdzie je znaleźliście?

– Później ci wyjaśnię. Mam nadzieję, że znajdziecie sposób, żeby się przed tym obronić.

– Rozejrzę się. Gdzie jesteście?

– Z małym Gabrielem jadę do porzuconej kopalni.

– Gabriel? Kopalnia?

– Sądzymy, że może tam przetrzymywać małą

dziewczynkę.

– Willę?

– Mamy taką nadzieję, Chuck. Będziemy w kontakcie. Powodzenia.

Sam Quarry wpatrywał się w telefon satelitarny własnej roboty z takim napięciem, jakby trzymał w dłoni jadowego węża. Czas na wiadomość od Carlosa jeszcze nie nadszedł, ale jakaś cząstka Quarry'ego pragnęła, żeby to już nastąpiło. Chciał mieć to wszystko za sobą.

Zajrzał do Daryla, a następnie udał się do izby Willi. Kiedy wszedł, ona i Diane siedziały skulone przy stole. Quarry postanowił, że ostatniego dnia powinny być razem. Podniosły głowy, kiedy wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Oparł się o ścianę i zapalił papierosa.

– Co się stało? – zapytała Willa drżącym głosem. Zmieniła się od czasu, gdy dowiedziała się, że jej rodzinę mogło spotkać coś złego.

– Niebawem wszystko się skończy – odrzekł Quarry.
– A przynajmniej mam taką nadzieję.

– Masz nadzieję? – spytała Diane zmęczonym głosem, zwracając ku niemu wymizerowaną twarz.

– Taak, mam nadzieję – powtórzył Quarry. – Modłę się o to.

– A jeśli twoje nadzieje się nie spełnią? – zapytała Willa.

– Taak. Powiedz nam, co wtedy zrobisz, panie Sam – dodała chłodno Diane. – Co wtedy?

Zignorował ją i spojrzał na Willę.

– Przywiozłem moją córkę do domu. Tę chorą.

– Czemu to zrobiłeś?

Wzruszył ramionami.

– Przyszedł czas. Żeby się pożegnać i tak dalej. To dobrze.

– Pożegnać się? – zapytała Willa z lękiem w głosie.

– Bo widzisz, niezależnie od tego, jak potoczą się wypadki, dla mnie wszystko jest skończone. Wszystko. Nikogo już więcej nie zobaczę.

– Chcesz się zabić? – spytała Diane z nadzieją w głosie.

Usta Quarry'ego wykrzywiły się w uśmiechu.

– Nie można zabić kogoś, kto nie żyje.

Diane odwróciła głowę, ale Willa zapytała:

– Kto się zaopiekuje twoją córką?

Diane spojrzała na Quarry'ego z zaciekawieniem.

Wzruszył ramionami.

– Nic jej nie będzie.

– Ale...

Podszedł do drzwi.

– Trzymajcie się razem – powiedział i wyszedł.

Diane przysunęła się do Willi.

– Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Willa spojrzała na drzwi.

– Słyszałaś, Willa?

Najwyraźniej nie usłyszała. Wpatrywała się w drzwi.

Nie znaleźli samolotu, więc Michelle jechała tak szybko, jak się dało. Gabriel siedział obok niej, pokazując

drogę, a Sean z tylnego siedzenia obserwował niebo, wypatrując helikoptera wiozącego prezydenta i pierwszą damę, do której miał dużo pytań.

– W lewo – powiedział Gabriel.

Michelle ostro skręciła, a Seana rzuciło w drugą stronę.

– Kiedy dojedziemy na miejsce, nie będę się do niczego nadawał – zauważył, prostując się i zapinając pasy.

– Daleko jeszcze, Gabrielu? – zapytała Michelle.

– Godzinę – odrzekł. – Pan Sam może dostać się tam znacznie szybciej samolotem. Nigdy nie leciałem samolotem, a ty?

Michelle obserwowała drogę. Na każdym prostym odcinku wciskała gaz do dechy, ale gdy wjechali na górzisty teren, proste odcinki się skończyły.

– Taak, leciałam samolotem. – Wskazała głową Seana. – On leciał Air Force One razem z prezydentem.

Gabriel spojrział z podziwem na Seana.

– Poznałeś prezydenta?

Sean skinął głową.

– Pamiętaj, że wkłada spodnie tak samo jak ty. Tylko że jak już włoży swoje, może nacisnąć guzik i wysadzić świat.

Michelle odwróciła się do niego i spojrzała pytająco.

– Jeśli kiedyś będziesz chciał się przelecieć, Gabrielu, możemy ci to załatwić – powiedziała.

– Byłoby super. Teraz skręć w prawo. W tę drogę.

– Jaką drogę? – zapytał Sean, gdy samochód gwałtownie podskoczył, niemal wyrzucając go w powietrze. – Mówisz o tym torze przeszkód, którym jedziemy przez ostatnie dziesięć mil?

Kiedy Michelle skrzyła, droga stała się jeszcze bardziej stroma. Włączyła napęd na cztery koła, gdy podskakiwali, wspinając się pod górę.

– Opowiedz nam o kopalni, Gabrielu – poprosiła Michelle.

– Co chcesz wiedzieć?

– Ma jedno wejście czy więcej?

– Wiem tylko o jednym. Pan Sam zbudował trawiasty pas startowy. Czasem przyjeżdżałem tam razem z nim furgonetką i kosiliśmy trawę.

– Mów dalej – powiedziała zachęcająco Michelle. – Im więcej nam powiesz, tym lepiej będziemy przygotowani.

Gabriel opowiedział im o szybach i pomieszczeniach, które Quarry zbudował w środku.

– W jakim celu to zrobił? – zapytał Sean.

– Mówił, że jeśli nastanie koniec świata, zejdziemy pod ziemię i będziemy bezpieczni. Ukrył tam prowiant, wodę, lampy i inne rzeczy.

– I karabiny – dodała Michelle.

– Tak, karabiny – przytaknął Gabriel. – Dużo karabinów.

Sean wyciągnął swoją spluwę i dwa dodatkowe magazynki, które zawsze nosił przy sobie.

Dwa gnaty i kilka zapasowych magazynków, mały chłopiec, być może dwóch zakładników i perspektywa wkroczenia do mrocznej kopalni, gdzie czekał uzbrojony po zęby wróg znający teren od podszewki. Podchwycił spojrzenie Michelle w lusterku wstecznym.

Najwyraźniej myślała o tym samym, bo poruszyła bezdźwięcznie ustami, mówiąc:

– Wiem.

Wyjrzał przez boczną szybę. Teren stawał się coraz bardziej stromy. Chociaż wzeszło słońce, wokół panował chłód i mrok. Wrócił myślami do piwnicy Atlee. Do opowieści na ścianach, której poskładanie musiało zająć Samowi Quarry'emu długie lata. Później cofnął się do tamtej nocy w Georgii, kiedy idąc ulicą, ujrzał młodą kobietę siedzącą na kolanach przyszłego prezydenta. Wypadła z samochodu z majtkami zsuniętymi do kostek. Cox miał piękną, mądrą żonę i rodzinę. Został niedawno mianowany senatorem i zabawiał się w aucie z dwudziestolatką?

Później pomyślał o innej kobiecie. O Tippi Quarry.

On mnie zgwałcił, tatusiu.

Cholerna aborcja.

I ciągnąca się latami śpiączka.

Ciągły stan wegetatywny, napisał na jednej ze ścian Quarry, podkreślając trzykrotnie każde słowo.

Sean nie miał dzieci. Co by zrobił, gdyby coś takiego spotkało jego córkę? Jak daleko byłby gotów się posunąć? Jaką opowieść wyrysowałby na ścianach? Ilu ludzi

mógłby zabić?

Był pewien, że znajdą Sama Quarry'ego w tej kopalni. Odnajdą Willę i tę kobietę, Diane. Nie był tylko pewien, czy będą wówczas żyły.

Pozostawało pytanie, co on i Michelle powinni zrobić w tej sprawie.

Nie miał pojęcia.

Godzinę przed wylądowaniem helikopterów z prezydentem i jego obstawą dwa duże śmigłowce z kilkunastoma członkami HRT⁷ i dużą ilością sprzętu usiadły na ziemi w odległości stu jardów od małego domku Quarry'ego. Mężczyźni zeskoczyli na ziemię i rozbiegli się promieniście z bronią gotową do strzału. Później wylądowano i rozstawiono sprzęt. Przeczესali okolice, ale niczego nie znaleźli.

Siedzący w wyłożonym ołowiem bunkrze Carlos usłyszał nadlatujący helikopter i przykucnął poniżej linii pochyłości, nie odrywając wzroku od telewizyjnego monitora. Przeżegnał się i zmówił krótką modlitwę.

Połowa tamtych otoczyła teren, a reszta przystąpiła do wylądowywania sprzętu z drugiej maszyny.

Najważniejsze były dwa samobieżne roboty.

Postawili je na ziemi i uruchomili, a następnie jeden z ludzi wysłał do akcji pierwszego, posługując się bardzo nowoczesnym joystickiem. Robot objechał teren wokół domu, zbliżając się do niego z każdym okrążeniem, by w końcu zajrzeć do środka. Gdyby znajdowały się tam miny, fugasy lub inne materiały wybuchowe, zostałyby wykryte przez spektrometr ruchliwości jonów, a wtedy rozbroiliby je saperzy.

Robot nie wykrył żadnych materiałów wybuchowych, więc wysłali drugiego, jeszcze nowocześniejszego. Nazywali go Psem Gamma. Robot był przeznaczony do

wykrywania śladów radiologicznych, biologicznych i chemicznych. Agent sterował maszyną wprawną ręką, zataczając kręgi, a nawet wjeżdżając na werandę domu. Pies Gamma ani razu nie „zaszczekał”. Miejsce było czyste.

Dopiero wtedy członkowie HRT zbliżyli się do domu i weszli do środka. To, co znaleźli, zdumiało nawet najbardziej doświadczonych członków grupy.

Dowódca sięgnął po krótkofalówkę i zameldował:

– Mamy tu nieprzytomną kobietę rasy kaukaskiej. Trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Leży na szpitalnym łóżku, podłączona do czegoś, co wygląda na zasilaną z generatora aparaturę do podtrzymywania życia. Sprawdziliśmy wewnątrz pod kątem obecności broni i innych zagrożeń. Niczego nie znaleźliśmy. Oprócz niej w środku nie ma nikogo.

Czekający na zewnątrz dowódca wysłuchał meldunku i krzyknął:

– Co powiedziałaś?!

Kiedy tamten powtórzył, dowódca przekazał informację do prezydenckiego helikoptera przez radio.

Jeden z ludzi spojrział pytająco.

– Co robimy?

– Przeczyszemy dokładnie dom. Odgradzimy okolicę. Chcę, żeby w promieniu tysiąca jardów jedyną żywą osobą była ta kobieta w śpiączce.

– Co za jedna?

– Nie mam pojęcia. I nic mnie to nie obchodzi.

Wiemy tylko, że prezydent tu leci i że na mojej zmianie nikt nie może zrobić mu krzywdy! Ruszaj!

Ponownie przeszukali teren. Ludzie z HRT chodzili po bunkrze, w którym siedział ukryty Carlos. Nie znaleźli kamery na drzewie, bo Quarry, jak zwykle niezwykle skrupulatny, wyciął otwór w pniu dębu, umieścił w środku kamerę, a następnie zakleił go korą tak, że wystawał jedynie obiektyw. Urządzenie znajdowało się tak wysoko i było osłonięte od dołu tak gęstymi liśćmi, oprócz pola, które miało rejestrować, że równie dobrze mogłoby być niewidzialne.

Kilku agentów wróciło do domu i łomem podważyło jedną z desek podłogowych. Pod spodem była typowa płyta ze sklejk grubości jednego cala. Jeden z nich uderzył w nią pięścią.

– Twarde jak skała. Pod spodem musi być betonowy fundament.

Przynieśli wiertarkę i przewiercili sklejkę. Po chwili wiertło natrafiło na coś twardego i nie mogło się przebić.

– Głębiej nie da rady.

– W porządku, wystarczy.

Umieścili deskę na miejscu, a następnie w podobny sposób zbadali każdą z czterech ścian. Te również okazało się twarde jak gład.

Ludzie z HRT sprawdzili teren, a gdy nie znaleźli żadnych zagrożeń, otoczyli go kordonem i czekali na przybycie prezydenta. Nie mieli pojęcia, co robi, kiedy dotrze na miejsce. Wiedzieli jedynie, że zlikwidują każde

zagrożenie, jakie się pojawi, bo dysponowali taką siłą ognia, że mogliby wysłać do nieba batalion wojska.

Zaparkowali SUV-a i wysiedli. Nie mieli wyboru, bo drogę zagrażały olbrzymie głazy.

– Wcześniej ich tu nie było – powiedział Gabriel. – Można było podejść pod same drzwi.

– Pewnie i tak nie byłoby to możliwe – powiedział Sean.

Ruszyli za Gabrielem w kierunku kopalni. Musieli się gramolić po skałach i śliskim gruncie. Sean potknął się i z trudem utrzymał równowagę.

– Wiek daje znać o sobie – stwierdził z zakłopotaniem na twarzy.

– Słuchaj, kiedy ostatni raz byłeś na strzeleckim kursie doszkalającym?

– Nie martw się. Jeśli zauważymy jakiś cel i tak trafisz go pierwsza.

– Kurczę! Muszę to sobie zapamiętać.

Szli dalej.

– Nie mam klucza do drzwi kopalni – przypomniał sobie Gabriel.

– To nie problem – odrzekła Michelle. – Tylko nas do nich zaprowadź.

Kilka minut później wyszli spomiędzy skał i ujrzeli trawiasty pas startowy.

– To jego samolot? – zapytał Sean, wskazując małą ceczną.

– Tak.

Nagle chłopak wskazał w prawo.

– Pan Sam – wyszeptał.

Spojrzeli we wskazanym kierunku.

Sam Quarry wyszedł z kopalni, niosąc coś przypominającego małe czarne pudełko. Michelle wycelowała z pistoletu, ale z tej odległości nie mogła oddać pewnego strzału. Popatrzyła na Seana i pokręciła głową.

– Jest starszy, niż sądziłam – szepnęła do Seana, przypatrując się wysokiemu siwowłosemu mężczyźnie.

– Pan Sam jest silny jak byk – powiedział Gabriel. – Widziałem, jak powalił młodego mężczyznę większego od siebie, bo wyraził się brzydko o mojej mamie. Umie się bić.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał się o tym przekonać – odparł oschle Sean.

– Przecież przyszliśmy tu, żeby nikomu nic się nie stało. Tej dziewczynce i panu Samowi, prawda?

Sean i Michelle spojrzeli na siebie.

– To prawda, ale wszystko zależy od niego. Jeśli coś zrobi, będziemy musieli zareagować, rozumiesz, Gabrielu?

– Pomówię z nim. Wszystko będzie dobrze. Nikogo nie skrzywdzi. Znam pana Sama.

Michelle popatrzyła badawczo na Seana. Żadne z nich nie miało takiej pewności.

Dwa helikoptery usiadły miękko na ziemi.

Prezydent wyjrzał przez okno z rumieńcem na twarzy.

– Co tu się dzieje? Co to za ludzie? – zapytał, wskazując ludzi z HRT.

Zanim ktoś zdążył odpowiedzieć, Chuck Waters zapukał w szybę. Jeden z agentów otworzył drzwi i rozłożył drabinę.

– Co to za jedni? – powtórzył pytanie Cox.

– Zespół do uwalniania zakładników, panie prezydencie – odparł Waters. – Przylecieli przed nami, żeby sprawdzić teren.

– Nie wyraziłem na to zgody.

– To prawda, panie prezydencie. Rozkaz wydał dyrektor FBI.

Cox nie był z tego rad, ale nie mógł zwolnić dyrektora FBI, którego mianowano na stałą kadencję i który pozostawał na stanowisku niezależnie od zmian w Białym Domu.

Patrzyli, jak dwa psy tropiące wyskakują z maszyny i ciągną przewodników w kierunku domku. Chociaż roboty przeszukały teren, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo prezydenta, zawsze podejmowano dodatkowe środki ostrożności. Psy sprawdziły okolicę, a następnie wbiegły do domu. Kilka minut później wypadły na dwór, a przewodnicy dali znak, że teren jest czysty.

– Dyrektorowi doradził to szef Secret Service – ciągnął Waters w helikopterze. – Uznał, że tak będzie najlepiej, skoro pan prezydent nalegał, żeby tu przylecieć.

– Jesteście bardzo troskliwi. Miejmy nadzieję, że moja bratanica nie zginie z tego powodu.

– Czy dlatego tu jesteśmy? – spytał Larry Foster. – Z powodu żądań porwaczy?

Wszyscy spojrzeli na Jane Cox.

– Wiemy, że list, który pani odebraliśmy, nie był prawdziwy, pani Cox. Czy zażądali, abyście tu przylecieli?

– Nie, w liście był jedynie numer telefonu. Zadzwoiłam. Wtedy powiedziano mi, żebym przyleciała tu z prezydentem, jeśli chcę odzyskać bratanicę.

– Agenci HRT znaleźli w środku kobietę. Leży na łóżku, podłączona do aparatury podtrzymującej życie. Co to za jedna?

– Nie mam pojęcia – odparła zdecydowanie Jane. – Przyleciałam tu, żeby odzyskać bratanicę.

– Nie zna jej pani? – spytał z powątpiewaniem Waters. – Jest pani pewna?

– Skąd mam wiedzieć? Przecież nawet jej nie widziałam! – prychnęła Jane.

Foster zrobił skonsternowaną minę.

– Rozumiem. Co mieliście zrobić po dotarciu na miejsce? Z relacji agentów wynika, że ta kobieta jest nieprzytomna.

Jane i prezydent popatrzyli na siebie.

– Mogę jedynie powiedzieć, że kazano nam wejść do środka i jej się przyjrzeć. To wszystko.

– Mamy to zrobić sami – wtrącił prezydent. – Tak przynajmniej powiedziano Jane – dodał pośpiesznie.

Waters i Foster wymienili nerwowe spojrzenia.

– Mam poważne obawy, panie prezydencie. – Foster westchnął. – Ściągnięto pana tutaj, żeby zrobić panu krzywdę. Nie widzę innego powodu. Mogliby równie dobrze wymalować krzyżyk na dachu tego domu. Zdecydowanie sugeruję, abyśmy wrócili helikopterem do Huntsville, a stamtąd udali się do domu. Bez chwili zwłoki.

– Wtedy moja bratanica umrze! – krzyknął prezydent.
– Naprawdę sądzi pan, że odlecę i na to pozwolę?

– Rozumiem, przez co pan przechodzi, ale nie ma pan wyboru. Ja również. Jest pan prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nie możemy narażać pańskiego bezpieczeństwa. Dla Secret Service nie ma życia, które byłoby ważniejsze od pańskiego. Nie jest nim nawet życie pańskiej bratanicy. – Spojrzał na Jane. – Ani nawet pańskiej żony. Takie jest prawo. Muszę go przestrzegać. Mam zamiar wykonać swoją misję.

– Mam gdzieś prawo i twoją misję, Foster! Mówimy o życiu małej dziewczynki! Nie wrócę!

– Panie prezydencie, nie chciałbym tego robić, ale mam prawo zmusić pana do powrotu i jestem gotów z niego skorzystać.

– Czy wasi ludzie nie sprawdzili tego miejsca? Czy

nie zrobili tego agenci HRT? Czy znaleźli jakieś zagrożenie? Czy ta kobieta zeskoczy z łóżka i mnie zabije?

– Jest podłączona do aparatury podtrzymującej życie
– odpowiedział Foster.

– W takim razie nie stanowi dla mnie zagrożenia. Przywieźliście psy wyszkolone do znajdowania ładunków wybuchowych. Nie znalazły niczego podejrzanego. Powiedział mi pan, że nad nami krążą helikoptery i samolot zwiadowczy. Tylko czołg, samolot albo pocisk z ruchomej lub stacjonarnej wyrzutni mógłby uderzyć w ten dom z dużej odległości, a nie sądzę, by w wielkim stanie Alabama znajdowały się pociski, które nie są naszą własnością. Jesteśmy tu sami. Co mi zagraża? Pytam, co?!

– Panie prezydencie, gdybym wiedział, na czym polega zagrożenie, przestałoby nim być.

– Niewiadoma! – burknął prezydent. – Pozwól, że przypomnę ci, co wiemy na pewno, Larry. Jeśli wrócę do helikoptera i odlecę do domu, pozwalając, by moja bratanica umarła, choć mogłem ją ocalić, a świat się o tym dowiem, przegram wybory. To proste. Rozumiesz to, przyjacielu?

Foster, Waters i inni agenci siedzący w helikopterze spojrzeli po sobie, jakby nie wierzyli własnym uszom.

– Rozumiem – powtórzył wolno Foster. – Przegra pan wybory.

– Prezydent chciał powiedzieć co innego – wtrąciła szybko Jane, widząc, że wyraz ich twarzy nie uległ

zmianie, choć mina prezydenta lekko zrzędła. – Prezydent i ja jesteśmy bardzo przygnębieni zaistniałą sytuacją. Martwimy się o naszą bratanicę. Mąż ciężko pracował dla kraju. Nie chcemy dopuścić, żeby jakiś psychopata lub terrorysta wyrządził szkodę mojej bratanicy. Żeby zmienić bieg historii poprzez uniemożliwienie mężowi pełnienia urzędu przez kolejną kadencję. Życie mojej bratanicy jest bardzo ważne, ale są również inne czynniki. Wiele czynników, panowie. Nie chodzi jedynie o dzieci.

– Przepraszam, pani Cox – odrzekł Foster, kręcąc głową. – Mimo wszystko nie pozwolę, aby któreś z państwa tam weszło. – Rzucił do pilota przez mikrofon: – Jim, przygotuj się do startu...

Foster nie zdążył dokończyć zdania, bo Dan Cox wyrwał pistolet z rąk agenta siedzącego obok niego, rozpiął pas bezpieczeństwa i wycelował pistolet we własną skroń.

– Jezu Chryste! – krzyknął Foster.

– Panie prezydencie, proszę!... – zawołał Waters.

– Zamknij się! Do cholery, zamknijcie się obaj! – ryknął Cox. – Jeśli któryś spróbuje mnie powstrzymać, będzie musiał eskortować moje ciało i wytłumaczyć wszystkim, w jaki sposób swoją opiekuńczością doprowadził mnie do takiego obłędu, że palnąłem sobie w łeb!

Dał znak pierwszej damie.

– Wysiadaaj, Jane. – Spojrzał na Fostera. – Pójdę z żoną. Będziemy tam najwyżej kilka minut. Nie chcę, żeby

w środku był jakikolwiek sprzęt wywiadowczy lub podsłuchowy. Porywacz wyraził się jasno. Kiedy skończymy, opuścimy to miejsce. Wsiądziemy do helikoptera i odlecimy. Miejmy nadzieję, że wówczas moja bratanica zostanie uwolniona i wszyscy zapomnimy, co się tu wydarzyło. Czy wyrażam się jasno?

Nikt się nie odezwał. Wszyscy patrzyli na prezydenta siedzącego z pistoletem przyłożonym do skroni.

Milczenie przerwał Waters.

– Panie prezydencie, skoro pan nalega, musi pan wyrazić zgodę na jedno.

– Ja wydaję tu rozkazy, nie FBI!

Waters spojrział na Jane.

– Sean King powiedział nam o czymś, proszę pani. Coś odkrył. Ma pani do niego zaufanie, prawda?

Wolno skinęła głową.

– W takim razie proszę zrobić dokładnie to, co powiem. Zgoda?

– Tak, jeśli będziemy mogli tam pójść i załatwić sprawę! – odpowiedział prezydent.

Kilka minut później prezydent i Jane otulona długim płaszczem wysiedli. Kiedy agenci HRT ujrzeli prezydenta z pistoletem w dłoni, zrobili coś, czego zwykle nie robią. Zamarli bez ruchu.

– Panie prezydencie? – wyjąkał zdezorientowany dowódca oddziału.

– Z drogi! – krzyknął Cox.

Dowódca, weteran dwóch wojen i niezliczonych

potyczek z pozbawionymi skrupułów handlarzami narkotyków i szaleńcami uzbrojonymi w ciężką broń, omal się nie przewrócił. Kiedy droga do domu była wolna, Cox ujął żonę za rękę i ruszyli. Stanęli na małej werandzie, spojrzeli na siebie i weszli do środka.

Pierwsza para stała nad Tippi Quarry podłączoną do aparatury podtrzymującej życie. Na monitorze widać było pracę serca i innych ważnych narządów.

– Nie wiedziałam, że od trzynastu lat jest w takim stanie. – Jane westchnęła.

Prezydent przyjrzał się leżącej kobiecie.

– Nie pamiętam jej, kochanie. Przysięgam. Ma śliczną twarz.

Jane odsunęła się od niego, ale on zdawał się tego nie zauważać.

– Tippi Quarry? – spytał zaintrygowany.

– Tak.

– Z Atlanty?

– Tak. Pracowała w agencji PR, która obsługiwała twoją kampanię do Senatu. Była ochotniczką. Świeżą absolwentką college'u.

– Skąd wiesz?

– Zadałam sobie trud, żeby to ustalić. Zadałam sobie trud, żeby poznać wszystkie panie, którymi byłeś wówczas zainteresowany.

– Musiałaś przejść istne piekło. – Ponownie spojrzął na Tippi. – Naprawdę nie pamiętam, żebyśmy się poznali.

– Chyba dlatego nikt was ze sobą nie skojarzył. Zapewniam cię, że ją znałeś. Nawet ja byłam tym zaskoczona. Zastałam was oboje w naszym hotelowym pokoju. Krzyczała, żebyś ją puścił, ale było za późno. Już

skończyłeś. Potrzebowałam wielu godzin, żeby ją uspokoić, kiedy leżałeś odurzony zbyt dużą dawką dżinu z tonikiem.

– Czemu nie wezwano policji? Jesteś pewna, że się opierała?

– Nie zadzwoniła na policję, bo zdołałam ją przekonać, że ujawnienie tej sprawy wywołałoby ogromne zamieszanie. Że na dowód będzie miała jedynie własne słowa przeciw naszym. Że była w naszym pokoju, a ja nie mogę zeznawać przeciwko mężowi. Byłeś w drodze do Senatu i prezydentury. Ona była młodą kobietą, która miała przed sobą przyszłość. Przyszłość, która byłaby zrujnowana, gdyby ta sprawa wyszła na jaw. Ludzie mogliby pomyśleć, że cię sprowokowała. Że chciała cię wykorzystać. Że próbowała cię usidlić. Byłam bardzo przekonująca. Powiedziałam jej nawet, że zachowałeś się tak z powodu choroby, na którą cierpisz. Przedstawiłam jej bardzo korzystny obraz.

– Dzięki, Jane. Ocaliłaś mnie. Ponownie.

– Nienawidziłam cię – odrzekła lodowatym głosem. – Nienawidziłam za to, co zrobiłaś jej i mnie.

– Byłem chory, sama powiedziałaś. Zmieniłem się. Przewyciężyłem to. Przecież wiesz. To się więcej nie zdarzyło, prawda?

– Tylko raz.

– Ale wtedy się nie narzucałem. Później był koniec. Ciężko nad tym pracowałem, Jane. Zmieniłem swoje nawyki.

– Nawyki? Dan, tu nie chodzi o zostawianie gaci na podłodze. Zgwałciłeś tę biedną kobietę.

– Nie zrobiłem tego nigdy więcej. To miałem na myśli. Zmieniłem się. Ruszyłem dalej.

– Ona nie otrzymała takiej szansy.

Nagle prezydent rozejrzał się nerwowo po pokoju.

– Chyba nie zainstalował tu podsłuchu, co?

– Myślę, że Quarry ma wszystko, czego potrzebuje. Nawet bez pomocy tej nieszczęsnej kobiety.

– Co masz na myśli?

– Willę.

– Jak to?

– Willa jest twoją córką, a on o tym wie.

Prezydent zbladł, odwracając się wolno do żony.

– Willa jest moją córką?!

– Nie udawaj głupiego, Dan. Myślałeś, że Diane Wright po prostu odejdzie, kiedy zaszła w ciążę?

Cox oparł się dłonią o ścianę.

– Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś?

– Co by to zmieniło?

– Ja... wiesz...

– Tak, to nic niezwykłego. Zjawiłam się i posprzątałam po tobie kolejny raz.

– Czemu nie usunęła ciąży?

– I nie skończyła jak ona? – zapytała Jane, wskazując Tippi. – To nie takie proste, jak ci się zdaje, Danny. Skontaktowałam się z nią i powiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Że rozumiem, co się stało, i nie chowam

do niej urazy.

– Jak to się stało?

– Najwyraźniej ją poderwałeś. Pewnie w barze. Musiałeś być niezwykle czarujący, by tak szybko zgodziła się na seks. A może chodzi o klasę kobiet, do których czułeś fizyczny pociąg.

Położył dłoń na czole.

– Niczego nie pamiętam. Przysięgam.

– Nie pamiętasz, jak Sean King przywiózł cię do domu?

– King? Sean King? Czy on wie?

– Zobaczył cię w samochodzie razem z nią. Nie wspomniał o tym nikomu.

– Dlatego się z nim zaprzyjaźniłaś?

– Między innymi.

Spojrzał na nią ostro.

– A inne powody?

– Jak śmiesz o to pytać!

– Przepraszam, Jane. Wybacz.

– Wright zadzwoniła do mnie miesiąc później. Nie miała okresu. Później upewniła się, że jest w ciąży. Była przekonana, że jesteś ojcem dziecka. Nie współżyła z nikim innym. Wyznała mi, że byłeś jej pierwszym mężczyzną. Uwierzyłam jej. Nie chciała pieniędzy ani niczego. Była po prostu przerażona, nie wiedziała, co robić. Jak Tippi Quarry. Tuck i Pam mieszkali wówczas we Włoszech. Pam zaszła w ciążę i poroniła. Nie powiedziała o tym nikomu z wyjątkiem mnie i Tucka.

Poza tym dziecko było twoje, choć nie urodziła go twoja żona. Nie mogłam pozwolić, by adoptował je ktoś obcy, bo wiedziałam, że Wright go nie zatrzyma. Dziecko miało w żyłach twoją krew. Umówiłam się z Wright, która osiem miesięcy później pojechała do Włoch. Tam się spotkałyśmy. Kiedy dziewczynka przyszła na świat, przekazałam ją Pam i Tuckowi. Gdy później Pam wróciła do kraju, wszyscy uznali, że dziecko jest jej.

– Ukryłaś to przede mną?

– To niewiele w porównaniu z tym, co przede mną ukrywałeś przez te wszystkie lata.

– Ale czemu...

– Czemu adoptowaliśmy dziecko, które zrobiłeś innej kobiecie? Powtórzę, miała w żyłach twoją krew. Była twoim dzieckiem, Dan. Jedno z nas musiało wziąć za nią odpowiedzialność. Tym kimś byłam ja. Zawsze ja!

– I nigdy im nie powiedziałaś? Nawet Tuckowi i Pam? Nie powiedziałaś, że Willa jest moja?

– Jak bym mogła? Miałam pójść do niego i powiedzieć: braciszku, ta dziewczynka to bękart Dana? Chcesz je przygarnąć? Diane Wright nigdy nie poznała Pam i Tucka. Sądziła, że znalazłam kogoś, kto adoptuje dziecko. Z oczywistych powodów nie chciałam, by poznała nową tożsamość Willi, ale Sean King odkrył, że Pam urodziła tylko dwójkę dzieci. Dlatego musiałam ukryć listy porywacza i podjąć próbę zatuszowania sprawy.

– Nie rozumiem.

– Gdyby wyszło na jaw, że Willa została adoptowana, ludzie zaczęliby węszyć. Twoi polityczni wrogowie, Dan. Mogliby odnaleźć Diane Wright i wszystkiego się domyślić. Odkryć, że miałeś z nią romans i że załatwiłam sprawę tak, by dziecko, twoje dziecko, trafiło do mojego brata. Nietrudno to wykombinować. Twoja polityczna kariera byłaby wówczas skończona.

– Rozumiem. Jestem bardzo dumny z Willi – powiedział prezydent. – Zawsze byłem. Może wyczuwałem łączący nas związek.

– Jest bystra, dobra i urocza. Zrobiłabym wszystko, żeby ją odzyskać.

Prezydent spojrzał na Tippi.

– To nie nasza wina, że skończyła w takim stanie.

Jane otarła łzy chusteczką.

– Ja jestem winna. Zadzwoiła do mnie przerażona, kiedy odkryła, że jest w ciąży. Wyznała, że nie może powiedzieć tego rodzicom. Że nie zrozumieliby. Nie chciała tego zrobić. Nie mogłam jej winić, skoro zmusiłeś ją do seksu. W grę wchodziła jedynie aborcja. Nie mogłam jej wysłać do szpitala albo lekarza z dyplomem, bo wszystko mogłoby się wydać. Mogliby się skontaktować z jej rodzicami. Trzeba było zrobić to szybko i po cichu. Sama zawiozłam ją na miejsce i zostawiłam. Zapłaciłam za zabieg i dałam na taksówkę do domu, ale ten kretyń schrzanił robotę. Nie wiedziałam... nie wiedziałam, że znalazła się w śpiączce. Nigdy nie interesował mnie jej los. Pewnie nie chciałam wiedzieć.

Pragnęłam o wszystkim zapomnieć.

– Tragedia, od początku do końca. – Prezydent westchnął głucho, nie odrywając oczu od Tippi.

– Powinniśmy to zrobić – powiedziała Jane. – A później opuścić to miejsce i odzyskać Willę.

– Kochanie, jeśli to, co powiedział nam Waters, jest prawdą, nie odzyskamy Willi.

– Dlaczego?

– On chce nas zabić... Ten Quarry. Może próbować to zrobić, gdy opuścimy to miejsce.

– Jak? Jesteśmy otoczeni przez wojsko. Jak zawsze...

– Nie mam pojęcia. A jeśli od początku miał taki zamiar? Z pewnością podejmie próbę.

– Co sugerujesz?

– Musimy skoncentrować się na tym, by przeżyć. Jeśli próba zamachu się nie powiedzie, zabije Willę, jeśli jeszcze tego nie zrobił. Później będzie próbował ujawnić fakty. Musimy być na to przygotowani. Musimy wymyślić jakąś odpowiedź. Niezależnie od tego, jakie ma dowody, moi ludzie zdołają je obalić. Quarry jest tylko człowiekiem, a ja mam na swoje usługi cały sztab speców od PR.

– Może jest tylko człowiekiem, ale spójrz, czego dokonał do tej pory.

– To bez znaczenia. Liczy się jedynie zakończenie. Teraz zróbmy to, co nam kazał i wynośmy się.

Stanęli przed łóżkiem i podali sobie ręce.

Pierwsza przemówiła Jane.

– Przepraszam, Tippi. Nie chciałam, żeby to się stało. Naprawdę żałuję.

Prezydent odchrząknął.

– Mam nadzieję, że zdołasz mi przebaczyć to, co ci zrobiłem... wiem, że nie wystarczy powiedzieć, że nic nie pamiętam albo że nie byłem wtedy sobą. To moja wina. Będę musiał dźwigać to brzemie do końca życia. Bardzo żałuję, Tippi. Naprawdę bardzo żałuję.

Jane dotknęła lekko dłoni Tippi. Prezydent chciał zrobić to samo, ale nagle się zawahał i uznał, że lepiej tego nie robić.

Odwrócili się do drzwi.

Agenci HRT stali kilka stóp od nich. Za nimi zamarli Foster, Waters i funkcjonariusze Secret Service gotowi w każdej chwili wkroczyć do akcji.

Ukryty w bunkrze Carlos widział prezydenta i pierwszą damę na monitorze.

Wcisnął przycisk urządzenia zdalnego sterowania, uruchamiając jednocześnie dwa procesy.

Lewa strona ościeży pękła, gdy z wnęki wysunęły się ukryte metalowe drzwi grubości dwóch cali poruszane hydraulicznym napędem schowanym za ołowianą płytą. Pierwsza para znalazła się w pułapce.

Prezydent i jego żona usłyszeli cichy syk. W metalowej płycie pod podłogą pokoju wywiercono otwory. Właśnie w tę płytę, a nie w beton uderzyło wiertło, gdy ludzie HRT sprawdzali dom. Między podłogą

a fundamentem znajdowała się ukryta przestrzeń, a w niej kilka metalowych cylindrów z azotem. Wszystkie były podłączone do przewodu rozdzielającego i rurek PCW prowadzących do pokoju na górze. Kiedy Carlos otworzył zawory za pomocą pilota, gaz zaczął się przedostawać do środka otworami w metalowej płycie i wąskimi szparami między deskami podłogi. Gaz umieszczony w metalowych zbiornikach był pod wysokim ciśnieniem, więc wydobywał się z wielką siłą. Wkrótce mała przestrzeń wypełni się azotem.

Azot występuje w przyrodzie, ale w pewnych warunkach może być zabójczy. Ludzie wystawieni na działanie groźnego stężenia gazu nie odczuwają żadnego bólu. Szybko tracą przytomność, nie mając pojęcia, co się dzieje. Nie są świadomi, że w kilka minut się uduszą, kiedy tlen się skończy. Właśnie dlatego kraje myślące o przywróceniu kary śmierci zamierzają używać azotu w komorach gazowych, bo działa szybko i bezboleśnie.

Mogliby przestudiować model Sama Quarry'ego, bo farmer z Alabamy w niepozornej chatce zbudował doskonałą komorę gazową.

W skład urządzeń podtrzymujących procesy życiowe Tippi wchodził konwerter tlenowy i butla, która dostarczała czystego tlenu zmieszanego z powietrzem do tuby umieszczonej w tchawicy, a następnie do płuc. Ilość czystego tlenu z butli nie wystarczyła. Tippi była tak słaba, że zgasła niemal natychmiast. Monitor pisnął, wyświetlając linię prostą. Jej piekło na ziemi dobiegło

końca.

Znajdujący się na zewnątrz agencji HRT i Secret Service sięgali rozpaczliwie po wszelkie środki, które mieli pod ręką, by otworzyć drzwi. Nie mogli jednak użyć broni palnej i ładunków wybuchowych, bo mogliby zabić znajdującą się w środku pierwszą parę. Zaatakowali metalowe drzwi i ściany, ale okazało się, że pod zewnętrzną warstwą znajdują się zespawane metalowe płyty. Mężczyźni w garniturach i mundurach z kamuflażem wgramolili się na dach z siekierami i piłami łańcuchowymi, ale ich wysiłki udaremniły twarde gonty i metalowe płyty wkręczone w grube drewno. Mały dom wydawał się niezdobyty.

Jednak nie zrezygnowali z ataku. Osiem minut później, używając potężnych pił, młotów i hydraulicznego tarana oraz mięśni, zdołali sforsować metalowe drzwi. Pięciu agentów wbiegło do środka.

Wyszli kilka sekund później. Carlos obserwujący wszystko na ekranie monitora zaklął siarczyście. Prezydent i pierwsza dama zdjęli maski tlenowe podłączone do małych butli z tlenem, które Jane ukryła pod płaszczem. Dostali je od agenta Watersa, kiedy Sean powiedział mu, że w piwnicy Quarry'ego znalazł butle z azotem i domyślił się, do czego ten może ich użyć.

Foster i jego ludzie podbiegli do pierwszej pary i tak szybko przeprowadzili ich do helikoptera, że stopy prezydenckiej pary wydawały się nie dotykać ziemi.

– Wszystko w porządku, panie prezydencie? – spytał

z zaniepokojeniem Foster, kiedy znaleźli się bezpiecznie we wnętrzu maszyny. – Musimy natychmiast zbadać pana i pierwszą damę.

– Nic mi nie jest. Nic nam się nie stało. – Prezydent spojrział na Chucka Watersa. – Dobra robota. Założyliśmy maski, kiedy usłyszeliśmy wydobywający się gaz.

– To zasługa Seana Kinga, nie moja, panie prezydencie. Nie sądziliśmy, że wypełnią to pomieszczenie azotem. Myśleliśmy, że w środku jest bezpiecznie.

– Cóż, będę musiał podziękować panu Kingowi. – Spojrział na żonę. – Po raz kolejny.

Blady jak kreda Foster dodał:

– Gdybym choć przez sekundę podejrzewał, że to pułapka, nie pozwoliłbym panu wejść do środka, panie prezydencie.

Cox wyciągnął pistolet z za pasa i oddał go Fosterowi.

– Cóż, nie miałem wyboru, prawda? Ten, kto to zrobił, był niezwykle pomysłowy. Misterny plan wskazuje, że kryje się za tym dobrze zorganizowana siatka terrorystów. Moje wygłupy sprawiły, że znalazłeś się między młotem i kowadłem, Larry. Wybacz.

Foster poczerwieniał. Prezydent rzadko kogokolwiek przeproszał, a tym bardziej agenta Secret Service.

– Przyjmuję przeprosiny, panie prezydencie.

Kiedy drzwi helikoptera się zatrzasnęły, prezydent oznajmił:

– Musimy jak najszybciej wrócić do Waszyngtonu.

– Całkowicie się z panem zgadzam, panie prezydencie – odparł z ulgą Foster.

– A pańska bratanica? – zapytał Waters.

– Po tym, co się stało, jest nikła nadzieja, że jeszcze żyje. Skoro próbowali mnie zabić, pewnie nigdy nie mieli zamiaru jej uwolnić.

Jane Cox wydała cichy szloch i zasłoniła twarz. Prezydent otoczył ją ramieniem.

– Nadal będziemy robili wszystko, co w naszej mocy.
– Rozejrzał się po ludziach na pokładzie helikoptera. – Nie wolno nam tracić nadziei, ale musimy się przygotować na najgorsze. Ci dranie próbowali zabić mnie i moją żonę, lecz im się nie udało. Ameryka nigdy się nie ugnie przed takim złem. Nigdy. Mogą czyhać na moje życie, ale nie pozwolę im zwyciężyć. Nie za mojej kadencji.

Agenci spojrzeli z dumą na Dana Coxa, zapominając, że kilka minut wcześniej szalał jak obłąkany z pistoletem przyłożonym do skroni, bardziej zmartwiony tym, że może nie zostać wybrany na kolejną kadencję, niż odzyskaniem bratanicy. Później, żeby ją ocalić, dzielnie wszedł do domku, który okazał się śmiertelną pułapką. Na koniec, ledwie uszedłszy z życiem, wspierał małżonkę i dodawał odwagi swoim ludziom. Zyskał w ten sposób ich głęboki podziw, którym zwykle nie obdarzali amerykańskich prezydentów.

Przed startem uznali, że w obecnych okolicznościach Coxowie nie powinni podróżować razem. Jane została

odprowadzona do drugiej maszyny przez sześciu agentów i kilku ludzi z HRT, a większość sił i agent Chuck Waters pozostali z prezydentem. Dwaj agenci pozostali na miejscu, aby zająć się miejscową policją i ciałem Tippi Quarry.

Quarry cisnął telefon satelitarny i z okrzykiem wściekłości wbiegł do kopalni.

– Nie wygląda na uszczęśliwionego – powiedział Sean, obserwując go z ukrycia.

– Pewnie się dowiedział, że tamten przeżył.

– O kim mówicie? – zapytał przysłuchujący się im Gabriel. – Kto przeżył?

– Dobrze znasz kopalnię, Gabrielu?

– Nie, Sean! – przerwała mu Michelle.

– Nie możemy tam wejść na ślepo.

– Przecież to dziecko.

– W środku może być drugie.

– Pójdę z wami – odezwał się Gabriel. – Znam korytarze. Mogę pomówić z panem Samem.

– Chce pójść – powtórzył Sean.

Michelle spojrzała na Seana, a później na błagalny wyraz twarzy Gabriela.

– Mamy mało czasu, Michelle. Widziałaś, w jakim stanie się znajdował.

Wgramolili się na skały i popędzili w kierunku wejścia. Drzwi nie stanowiły problemu, bo Quarry nie zadał sobie trudu, żeby je zamknąć.

Wpadli do środka z wyciągniętymi pistoletami i latarkami.

Kilka sekund później zniknęli w ciemności.

– Daryl! – krzyknął Quarry. – Daryl!

Jego syn wyłonił się z mroku.

– Co się stało?

Quarry ledwie mówił. Ledwie był w stanie myśleć.

Oparł potężną dłoń na ramieniu syna.

– Zadzwoniał Carlos. Nie udało się. Wydostali się.

– Cholera! Schrzaniliśmy robotę!

– Mieli maski tlenowe – wymamrotał Quarry.

Daryl spojrział gniewnie na ojca.

– Co teraz zrobimy, tato?

Quarry odwrócił się i pognał w głąb korytarza. Daryl ruszył za nim. Quarry otworzył na oścież drzwi pokoju Willi.

Diane Wohl cofnęła się, widząc wściekłość na jego twarzy.

– Nie! Błagam! Nie rób tego! – krzyknęła.

Willa spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Co się stało?

– Nie zabijaj nas! – pisnęła Diane.

Willa wstała i zaczęła się cofać. Quarry i Daryl ruszyli ku nim.

Quarry ciężko dyszał.

– Przeżyli! Cholera, przeżyli!

– Kto? – zawołała Willa.

Quarry przewrócił stół i odsunął krzesła na bok. Willa podbiegła do skulonej w kącie Diane.

Krzyknęły, gdy Quarry je chwycił i zaczął ciągnąć do drzwi.

– Szybciej! – ryknął. – Daryl!

Daryl podniósł Willę.

– Proszę, panie Sam! Proszę! – Willa płakała tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

Diane utykała, więc skończyło się na tym, że Quarry zaczął ją wlec po podłodze. Kiedy wyszli na korytarz, stanął i zaczął nasłuchiwać.

Diane ciągle krzyczała, więc rzucił gniewnie:

– Zamknij się, kobieto! Ale już!

Nie posłuchała.

Wyciągnął pistolet zza paska i przytknął jej do skroni.

– Ale już! – powtórzył stanowczo.

Diane zamilkła.

Willa tkwiła nadal w ramionach Daryla. Kiedy Quarry podniósł głowę, zauważył, że na niego patrzy. Na niego i pistolet.

– Słyszałeś to, Daryl? – zapytał.

– Co?

– To.

Od ścian odbijało się echo kroków.

– Policja – powiedział Quarry. – Są tu. Pewnie cała cholerna armia.

Daryl spojrzał na ojca lodowato.

– Co zamierzasz zrobić?

– Będę walczyć. Zabiorę ze sobą tylu, ilu się da.

– W takim razie pójdę po broń.

Daryl przekazał Willę Quarry'emu. Zanim syn pobiegł w dół bocznego korytarza, Quarry chwycił go za

ramię i powiedział:

– Przynieś detonator.

Daryl uśmiechnął się złośliwie.

– Zabierzemy ich ze sobą, tato.

– Idź po niego i oddaj mnie.

– Ciagle wydajesz rozkazy, co? Nie wyjdziemy stąd żywi. Skończymy jak poczciwy Kurt. Nie zostanie z nas nic oprócz kości.

– O czym wy mówicie?! – krzyknęła Willa.

– Idź już! – prychnął do syna Quarry.

– Dobrze już, dobrze. Niebawem wrócę. Ale zrobię to po mojemu, staruszk. Ten jeden raz. Ostatni. Po mojemu.

– Daryl!

Ale jego syn już zniknął w ciemności.

Usłyszeli zbliżające się kroki.

– Kim jesteś?! – ryknął Quarry. – Mam zakładników!

– Panie Sam! – odezwał się głos.

– Gabriel?! – Quarry skamieniał.

Michelle nie zdążyła powstrzymać Gabriela przed zawołaniem Quarry'ego. Teraz położyła dłoń na jego ustach i pokręciła głową.

– Gabrielu! – krzyknął Quarry. – Co tu robisz?! – Cisza. – Kto z tobą jest?!

Wiedział, że chłopak nie zdołałby sam tu dotrzeć. Mieli go. Prezydent i pierwsza dama zdołali uciec. Tippi nie żyła, a tamci mieli Gabriela. Mieli go i sądzili, że trzymają w garści Sama Quarry'ego. Cóż, mylili się. Poczul, jak narasta w nim gniew. Wściekłość, którą tłumił

przez te wszystkie lata. Tyle pracy poszło na marne.

– Kim jesteście? – spytała drżącym głosem Willa.

– Ucisz się.

– Czy to chłopak, o którym mi opowiadałeś? Gabriel?

– Taak, ale ktoś z nim jest.

Quarry dźwignął Diane na nogi.

– Wstawaj, szybko.

Wohl się podniosła, a Quarry chwycił ją mocno za ramię i poprowadził korytarzem, skręcając za róg.

– Błagam, puść nas! – wyjęczała Diane. – Proszę.

– Zamknij się, kobieto, bo...

– Nie rób jej krzywdy, jest wystraszona – powiedziała Willa.

– Wszyscy jesteśmy. Nie powinni przyprowadzać tu Gabriela.

– Panie Quarry!

Zamarli, słysząc nowy głos.

– Panie Quarry! Nazywam się Sean King. Jestem tu z moją partnerką, Michelle Maxwell! Słyszysz mnie pan?!

Quarry nie odpowiedział, przyciskając lufę do boku Diane.

– Słyszysz mnie pan?! Zostaliśmy wynajęci, żeby odnaleźć Willę Dutton! To wszystko! Nie jesteśmy z policji! Jesteśmy prywatnymi detektywami! Jeśli ma pan Willę, proszę puścić ją wolno, a odejdziemy!

Quarry nadal milczał.

– Panie Quarry?!

– Słyszałem cię! – zawołał w końcu. – Odejdziecie,

jeśli ją oddam? Czemu mam przeczucie, że na zewnątrz roi się od policji?!

– Na zewnątrz nie ma nikogo.

– Taak, a ty nie masz powodu, żeby mnie okłamywać? – Quarry pociągnął Diane w głąb korytarza.

– Chcemy tylko odzyskać Willę! Nic więcej!

Następne słowa Seana sprawiły, że starszy mężczyzna zamarł.

– Byliśmy w pańskim domu. Widzieliśmy piwnicę. Gabriel nam pokazał. Wiemy, co się stało z pana córką. Wiemy o wszystkim. Jeśli puści pan Willę, zrobimy wszystko, żeby prawda wyszła na jaw.

– Dlaczego chcecie to zrobić?! – krzyknął Quarry.

– Wyrządzono zło, panie Quarry. Wiemy o tym i chcemy panu pomóc, ale najpierw musimy odzyskać Willę.

– Nie możecie mi pomóc. Nic mi już nie zostało. Wiecie, co próbowałem zrobić. Nie udało się. Teraz po mnie przyjdą.

– Mimo to możemy pomóc.

Sean ściszył głos, aby Quarry nie wiedział, że się poruszają i są coraz bliżej.

– Nie chce pan skrzywdzić dziewczynki – ciągnął dalej Sean. – Wiem, że pan tego nie chce. Gdyby pan chciał, już by pan to zrobił.

Quarry myślał gorączkowo.

– Gdzie Gabriel? Chcę z nim porozmawiać!

Michelle skinęła głową chłopcu.

– To ja, panie Sam.

– Co tu robisz?

– Przyszedłem panu pomóc. Nie chcę, żeby stała się panu krzywda, panie Sam.

– Doceniam to, Gabrielu. Posłuchajcie mnie, Gabriel i jego mama nie mają nic wspólnego z tą sprawą. To moja robota.

– Znaleźliśmy pański list – powiedział Sean. – Wiemy. Nic im nie grozi.

– Panie Sam – przerwał mu Gabriel. – Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda. Panu ani tej dziewczynce. Nie może jej pan wypuścić? Nie możemy wrócić razem do domu? Nie moglibyśmy polecieć samolotem, jak pan obiecał?

Quarry wolno potrząsnął głową.

– Chciałbym, ale to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Chodzi o zasady, Gabrielu. Zasady. Sęk w tym, że zasady nie obowiązują wszystkich. Niektórzy ludzie mogą je gwałcić i... – Jego głos się załamał.

– Panie Quarry, proszę wypuścić Willę! Willę i Diane Wohl. Ją też pan ma, prawda? Wiem, że nie chce pan zrobić im krzywdy. Nie jest pan takim człowiekiem.

Byli bardzo blisko. Sean i Michelle to czuli. Dali znak Gabrielowi, aby schował się za ich plecami.

– Panie Quarry!

Quarry poczuł, że Willa zacisnęła mu ręce na szyi. Gdy na nią spojrział, nagle pomyślał, że widzi inną małą

dziewczynkę, którą kochał nad życie i którą pozostawił na śmierć w tamtym domu. Facet miał rację. Quarry nie był takim człowiekiem, a przynajmniej nie chciał nim być.

– Dobrze, wypuszczę je.

Postawił Willę na ziemi i uklęknął przed nią tak, by mogli spojrzeć sobie w oczy.

– Spójrz na mnie, Willo. Żałuję tego, co zrobiłem. Niestety nie mogę tego cofnąć. Straciłem własne dziecko przez pewnych ludzi. To mnie zżerało, sprawiło, że stałem się taki, jaki nigdy nie chciałem być. Potrafisz to zrozumieć?

Wolno skinęła głową.

– Chyba tak – odpowiedziała cicho. – Tak.

– Kiedy mocno kogoś kochasz, musisz być przygotowana na nienawiść. Czasami nienawiść zwycięża. Posłuchaj mnie uważnie, Willo. Możesz mieć słuszny powód, żeby kogoś nienawidzić, ale nie wolno ci ulegać nienawiści, bo jeśli ulegniesz, zniszczy twoje życie. Co gorsza, nie pozostawi miejsca na miłość.

Odwrócił ją, zanim zdążyła odpowiedzieć.

– Idzie do was! Sama! Idź, Willa. Idź w kierunku głosu.

– Tutaj, Willo! – zawołała Michelle.

Dziewczynka spojrzała na Quarry'ego.

– Idź, Willo. No idź. Nie odwracaj się. – Wiedział, że gdy mała dowie się o śmierci matki, cierpienie może całkowicie odmienić jej życie. Że będzie miała powód, by go znienawidzić. Miał nadzieję, że zrozumiała jego słowa

i nie pozwoli, by gorycz zniszczyła jej życie. Jak zniszczyła jego.

Pobiegła korytarzem.

– Jak mnie znaleźliście?! – zawołał Quarry. – Przez napisy na rękach tej kobiety? Przez język Indian Koasati?

– Tak – odpowiedział po chwili wahania Sean.

Quarry pokręcił głową.

– Cholera – zaklął cicho.

– Teraz Diane Wohl! – zawołał Sean, kiedy Willa dotarła do nich bezpiecznie.

Quarry spojrzał na kobietę i skinął głową.

– Idź.

– Nie strzelisz mi w plecy? – spytała drżącym głosem.

– Nie strzelam ludziom w plecy, ale mogę strzelić do nich z przodu, jeśli mnie zirytują. – Pchnął ją przed siebie.

– Idź!

Popędziła korytarzem, by nagle się odwrócić i krzyknąć:

– Ty draniu!

Jej głos stłumił inny krzyk przypominający okrzyk bojowy Johnny'ego Reba z czasów wojny secesyjnej.

– Uważaj! – krzyknęła Michelle.

– Daryl! – zawył Quarry, rozpoznając pierwszy głos.

– Nie! Nie strzelaj, chłopcze! Tam jest Gabriel!

Daryl biegł korytarzem, strzelając z MP5 trzymanego w jednym ręku.

– Na ziemię! – zawołała Michelle, chowając ze siebie

Wille i odpowiadając ogniem.

Sean zanurkował w dół, gdy nad jego głową przeleciały kule.

Znajdująca się między nimi Diane Wohl dostała serię z MP5. Pociski przecięły ją niemal na pół. Padając, spojrzała na Quarry'ego z otwartymi ustami i dziko wytrzeszczonymi oczami. Dzikim oskarżycielskim wzrokiem. Chwilę później osunęła się na twardą posadzkę w kałużę własnej krwi. Kopalnia stała się jej grobem.

– Sukinsyny! – ryknął Daryl, odrzucając pusty magazynek, wsuwając kolejny i zasypując korytarz ogniem. Kule odbijały się rykoszetem od ścian, sufitu i kamiennej podłogi. Mieli wrażenie, jakby znaleźli się w zabójczym automacie do flippera.

Quarry skoczył naprzód.

– Daryl! Przerwij ogień! Przestań! Gabriel...

Nawet jeśli Daryl go zrozumiał, nie zamierzał dłużej słuchać ojca. Najwyraźniej właśnie to miał na myśli, mówiąc, że chce to zrobić po swojemu.

Odrzucił rozgrzany MP5, wyciągnął dwa niklowane półautomatyczne pistolety i ruszył przed siebie, nie przerywając ognia. Kiedy wystrzelał wszystkie pociski, wsunął nowe magazynki i zaczął od początku. Gdy i te się skończyły, wyciągnął strzelbę z długiej skórzanej kabury na plecach, wycelował i zaczął ponownie strzelać. Potężna broń odrywała od ścian duże kawałki skał, posyłając w powietrze śmiertelne odłamki.

Kiedy chwilę później wstrzymał ogień, żeby

przeładować broń, Michelle podniosła się i posłała mu kulę w pierś.

– Cholera! – krzyknęła, widząc, że tylko zachwiał się na nogach, gdy kamizelka kuloodporna przyjęła impet pocisku. – Kiedy się nauczę celować w głowę?!

Sean przyłączył się do kanonady, próbując zmusić Daryla do padnięcia na ziemię, ale ten zachowywał się tak, jakby nie bał się śmierci. Przeładował i zaczął strzelać raz po raz ze strzelby, śmiejąc się i przeklinając.

– Tego ci było trzeba, tato? Co?! Twój chłopak przybywa z odsieczą!

Zrozumiawszy, że nie poradzą sobie z taką siłą ognia, Michelle wskazała za siebie i krzyknęła:

– Gabriel! Willa! Uciekajcie! Tamtędy!

– Chodź! – powiedział Gabriel, chwytając Willę za rękę.

Zaczęli biec.

– Cholera! – syknął chwilę później Sean.

Michelle, która przeładowywała broń, podniosła głowę i ujrzała, że jej partner obejmuje ramię zranione kawałkiem skały.

– Nic mi nie jest – odpowiedział z grymasem na twarzy.

Chociaż nie widzieli go w ciemności, Daryl trzymał w rękach coś znacznie bardziej przerażającego od MP5. Była to mała skrzyneczka z dwustabilnym przełącznikiem.

– Hej! Fedzie! Chodźmy zobaczyć Jezusa! –

zarechotał.

– Nie! – Quarry wpadł na syna w chwili, gdy ten przesunął przełącznik. Daryl runął na ziemię. Siła rozpędu sprawiła, że Quarry przeleciał nad synem i stertą kamieni.

Po chwili ciszy doszło do pierwszej eksplozji. Impet wybuchu sunął ciasnym tunelem jak pociąg, który wyrwał się spod kontroli, pchając przed sobą duszący obłok dymu i gruzu.

Daryl podniósł się w takim momencie, że przyjął główną siłę uderzenia. Duży odłamek skały dosłownie ściał mu głowę. Quarry'ego osłoniła sterta kamieni, za którą upadł. Po chwili wstał i pobiegł w dół korytarza. Odnalazł Seana i Michelle odrzuconych przez podmuch eksplozji i pomógł im wstać.

– Uciekajcie! – krzyknął. – Kolejny wybuch nastąpi dziesięć stóp dalej!

Biegli z całych sił. Kiedy eksplodował drugi ładunek, sufit korytarza zawalił się tuż za nimi. Wstrząs spowodował, że ponownie runęli na ziemię. Michelle próbowała się podnieść, ale krzyknęła z bólu, chwytając się za kostkę. Quarry nad nią przykucnął. Dzięki ogromnej sile podniósł wysoką kobietę i zarzucił sobie na ramię jednym ruchem. Chwilę później duży kawałek skały upadł w miejsce, gdzie leżała.

– Szybko! Szybko! – wrzasnął do Seana, który był przed nimi, obejmując zranione ramię. – Zaraz będzie kolejny!

Gramoląc się na stertę gruzu w obłoku kurzu, nie

dostrzegli Gabriela i Willi skulonych w bocznym korytarzu, do którego się schronili i w którym zostali niemal uwięzieni przez zwałony strop.

Parę sekund później doszło do trzeciego wybuchu i góra ponownie zadrżała. Kolejne fragmenty skalnego stropu chrupnęły i osunęły się w dół.

W końcu dotarli do wyjścia i wyczołgali na zewnątrz. Quarry posadził Michelle na ziemi i pochylił się nad nią, dysząc jak maratończyk.

Michelle obejmowała kostkę i patrzyła na niego. Był pokryty kurzem i pyłem węglowym. Z potarganymi siwymi włosami i twarzą spaloną słońcem wyglądał jak ktoś, komu udało się przeżyć jakiś holokaust.

– Ocaliłeś mi życie... – wyszeptała.

Quarry spojrzał na Seana i dostrzegł krew spływającą po ramieniu. Oderwał jeden z rękawów i założył prowizoryczną opaskę uciskową. Sean dostrzegł linie wypalone na jego ramieniu. Spojrzał pytająco na Michelle. Ona również je widziała.

Nagle Sean skamieniał.

– Gdzie są dzieci?!

Quarry i Michelle rozejrzeli się wokół.

– Willa? Gabriel?! – zawołała.

Quarry spojrzał w kierunku wejścia do kopalni.

– Zostały w środku! – Odwrócił się i skoczył do wnętrza szybu, gdy kopalnią wstrząsnął kolejny wybuch.

Sean zerwał się, by pobiec za nim.

– Sean, nie! – krzyknęła Michelle, chwytając go za

ramię. – Za chwilę cała góra się zawali!

Wyrwał jej rękę.

– Wpakowałem w to Gabriela. Obiecałem Ruth Ann, że wróci bezpiecznie do domu.

Na brudnej twarzy Michelle błysnęły łzy. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Odwrócił się i ruszył w kierunku wejścia.

Zerwała się na nogi, próbując za nimi pobiec, ale upadła, łapiąc się za skrzyżowaną kostkę.

Quarry pędził przed Seanem, przynaglany panicznym strachem. Kiedy biegli korytarzem, eksplozja wstrząsnęła kolejną częścią kopalni. Wszystko skrzypiało i jęczało, gdy pękały kolejne skały. Nawet bez wybuchu wszystko mogło w każdej chwili się zawalić.

Znaleźli dzieci skulone obok zwałonego stropu. Sean podniósł Willę, a Quarry chwycił Gabriela za rękę i popędzili w kierunku wyjścia.

Kolejna eksplozja w odległości nie większej niż pięćdziesiąt stóp zwała ich na ziemię. Usiedli, charcząc i plując pyłem, oghuszeni hukami. Byli tak poobijani, że wydawali się bliscy zasłabnięcia. Jakimś cudem wstali i powlekli się dalej. W oddali ujrzeli wyjście i snop dziennego światła. Sean przyspieszył kroku, przyciskając Willę do piersi. Czuł, jakby za chwilę miało pęknąć mu serce.

Gdy przeszli przez drzwi, Sean postawił Willę na ziemi i krzyknął:

– Biegnij! Biegnij do Michelle!

Mała dziewczynka ruszyła ku Maxwell, która zdołała się podnieść, trzymając głazu.

W kopalni osłabiony Quarry potknął się o skałę i upadł. Gabriel zatrzymał się i odwrócił.

– Uciekaj, Gabrielu! Uciekaj!

Chłopak ani drgnął. Wrócił i pomógł mu wstać.

Obaj zaczęli biec do drzwi. W kierunku słońca. Niebo nad Alabamą było piękne, słońce stało wysoko, ogrzewając ziemię ciepłymi promieniami.

Sean popędził do wejścia. Zobaczył ich.

– Szybko! – krzyknął. – Pospieszcie się! – Chwyć rękę chłopca i przyciągnął do siebie.

Michelle i Willa przyglądały się temu z oddali. W mrocznym szybie widzieli dwóch mężczyzn pędzących resztkami sił.

– Biegnijcie! – krzyknęła Willa.

– Biegnij, Sean! – przyłączyła się Michelle.

Jeszcze dwie stopy.

Jeszcze jedna.

Kiedy Sean ukazał się w drzwiach, z wnętrza góry buchnął obłok pyłu i dymu. Szyb całkowicie się zawalił.

Gdy kurz opadł, Sean King leżał rozciągnięty na plecach, przysypany pyłem i odłamkami skał.

Na nim leżał Gabriel, nadal oddychając.

Nie dostrzegli jednak ani śladu Sama Quarry'ego. Pozostał w kopalni pod tonami skał.

Dan Cox uczęszczał do najlepszych szkół w kraju. Odnosił sukcesy niemal we wszystkim, czego się tknął. Jako prezydent znał się równie dobrze na sprawach zagranicznych jak wewnętrznych. W jego intelektualnej zbroi było niewiele dziur. Mimo to ludzie, którzy znali dobrze pierwszą parę, przyznaliby prywatnie, że Jane Cox była mądrzejsza od męża, a przynajmniej bardziej przebiegła.

Lecąc helikopterem nad wiejskimi rejonami Alabamy, dowiodła raz jeszcze prawdziwości tego sądu. Zdecydowała, że plan Dana Coxa nie wypali. Nie będą mogli przedstawić sprawy w innym świetle i zwalić winy na terrorystów. Były pewne rzeczy, o których nie wiedzieli. Musieli je poznać, żeby podjąć rozsądną decyzję.

Spojrzała na duży dom w dole. Właściwie cały czas wyglądała przez okno. Był to pierwszy dom, który minęli. Pomyślała, że jego właściciel był również właścicielem domku, w którym omal nie zginęła. Wskazała rezydencję.

– Do kogo należy ta posiadłość?

Młody agent spojrzał ponad jej ramieniem.

– Nie wiem, proszę pani.

Jane zręcznie wszystko zaaranżowała. Larry Foster i Chuck Waters lecieli z jej mężem. Zapędziła do niego także starego weterana, Aarona Betacka. Wystarczyło jedno groźne spojrzenie, by facet ukrył się w bezpiecznej

kabinie Marine One. Równie łatwo poszło jej z agentem Watersem. Lecieli z nią stosunkowo młodzi agenci obstawy, a dwóch ludzi z oddziału HRT było prostymi agentami. Wiedziała, jak sobie z nimi poradzić.

- Chcę wstąpić do tego domu.
- Co?! – spytał zdumiony agent.
- Powiedz pilotowi, żeby wylądował przed domem.
- Ale...

– Przed chwilą przeszłam piekło. Omal mnie nie zabito. Źle się czuję. Muszę wysiąść z helikoptera, bo zwymiotuję. Czy wyrażam się jasno? Jeśli nie posłuchacie, poinformuję o tym prezydenta, kiedy wrócimy do Waszyngtonu. Nie mam wątpliwości, co powie waszym przełożonym.

Chłopcy z HRT spojrzeli na siebie bez słowa, ukryci za ogromnymi karabinami. Pozostali agenci skupieni wokół pierwszej damy utkwili wzrok w podłódze, unikając kontaktu wzrokowego.

Agent siedzący obok Jane powiedział:

- Walt, wyląduj przed domem.

Minutę później maszyna usiadła na ziemi. Jane wysiadła z helikoptera i ruszyła w kierunku Atlee.

Młody agent wyprzedził ją i zapytał:

- Mogę spytać, co chce pani zrobić?
- Wejdę do domu, poproszę o wodę i chwilę poleżę.

Macie z tym problem?

- Nie, proszę pani, ale powinniśmy najpierw sprawdzić teren.

Spojrzała na niego z pogardą.

– Naprawdę sądzisz, że w tym starym domu ukrywają się przestępcy lub terroryści?

– Musimy postępować zgodnie z procedurą, proszę pani. Proszę mi pozwolić się rozejrzeć.

Jane przeszła obok niego, zmuszając zespół agentów i snajperów HRT, by pognali przodem, tworząc wokół niej prowizoryczną bańkę ochronną.

Chwilę później drzwi rezydencji się otworzyły i stanęła w nich Ruth Ann w fartuchu. Kiedy zorientowała się, kto nacisnął dzwonek, otworzyła usta ze zdumienia.

– Mogłabym dostać szklanek wody i chwilę poleżeć, pani... – zaczęła Jane.

– Nazywam się Ruth Ann – odparła matka Gabriel, gdy odzyskała głos. – Proszę wejść, proszę pani. Zapraszam. Za chwilę przyniosę wodę.

Po przyniesieniu szklanki Ruth Ann ruszyła do wyjścia, ale Jane skinęła, żeby pozostała w małym pokoiku.

Ruth Ann usiadła naprzeciw niej, tak zdenerwowana, jakby za chwilę miała stracić przytomność.

– Możesz poczekać w korytarzu? – spytała dowódcę ochrony pierwsza dama. – Twoja obecność ją denerwuje.

– Proszę pani... – zaczął agent.

– Dziękuję – powiedziała, odwracając się w drugą stronę.

– Mieszkasz tu sama? – zapytała, kiedy mężczyzna wycofał się na korytarz.

– Nie, proszę pani. Mieszkam z synem i panem Samem. To jego dom.

– Panem Samem?

– Samem Quarrym.

– Słyszałam to nazwisko. Ma córkę, prawda? Tippi?

– Tak, proszę pani. Nie ma jej tu. Nie wiem, co się z nią stało. – Ruth Ann spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby chciała wybiec z pokoju, ale nadal siedziała, miętosząc fartuch w brudnych palcach stwardniałych od pracy.

– Czy ktoś was niedawno odwiedził?

Ruth Ann spuściła głowę.

– Ja...

Jane wyciągnęła dłoń i delikatnie dotknęła kościstego ramienia kobiety.

– Nie przyjechałam tu przypadkiem, Ruth Ann. Jak widzisz, wiem o tym i owym. Wiem o panu Samie. Przyjechałam tu, żeby pomóc. Tobie i twojemu synowi. Czy twój syn tu jest?

Ruth Ann pokręciła głową.

– Pojechał z tymi ludźmi.

– Z kim? Z jakimi ludźmi?

– Z mężczyzną i kobietą.

– Znasz ich?

– Nie, przyjechali wczesnym rankiem.

– Pozwoliłaś synowi pojechać z nieznajomymi?

– Ja... syn chciał im pomóc. Oni powiedzieli, że współpracują z władzami, z policją. Gabriel chciał pomóc

panu Samowi wydostać się z tarapatów. Jeśli pan Sam zrobił coś złego, nic o tym nie wiem. Gabriel też nie wie...

– Na poplamiony fartuch kapnęła łza.

– Nie wątpię, Ruth Ann. Nie wątpię. Zatem przyjechali tu jacyś ludzie. Powiedzieli, jak się nazywają?

– Ten mężczyzna się przedstawił... powiedział, że nazywa się King... Tak, King.

– Wysoki, przystojny facet? Była z nim wysoka brunetka?

– Zna ich pani?

– To moi przyjaciele. Czego szukali?

– Pani bratanicy. Powiedziałam, że nic o niej nie wiem. Przysięgam na Boga, że nic nie wiem.

– Wierzę ci – odpowiedziała łagodnie Jane. – Pewnie, że nie wiesz.

– Później Gabriel powiedział im o tym pokoju.

– Jakim pokoju?

– W piwnicy. Pan Sam trzyma tam swoje rzeczy. Na ścianach wiszą różne zdjęcia i notatki. Dużo notatek. Było tam zdjęcie pani bratanicy, Gabriel mi pokazał. Ładna dziewczynka.

– Czy King i jego przyjaciółka widzieli ten pokój?

– Tak, byli tam bardzo długo. Wydawali się poruszeni.

– Możesz mi go pokazać?

– Słucham?

Jane wstała.

– Chciałabym go zobaczyć.

Zeszły na dół, ignorując protesty ochrony. Gdy dotarły do izby, okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Szef obstawy nalegał, aby sprawdzili, czy nikt nie czai się w środku.

– Ograniczcie się do sprawdzenia – odrzekła surowym głosem. – Nie zapalajcie światła i niezwłocznie wyjdźcie.

Sprawdzenie pokoju zajęło im kilka sekund.

Jane odwróciła się do Ruth Ann.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli wejde sama?

– Bardzo proszę, proszę pani. Nie chcę tam zaglądać.

Jane zamknęła za sobą drzwi, zapaliła światło i rozejrzała się wokół.

Zaczęła od końca pokoju i czytała. Z każdym zdjęciem, z każdą zapisaną liniijką, nazwiskiem, datą i opisem wydarzenia ogarniała ją fala wspomnień, potwornych wspomnień.

„On mnie zgwałcił, tatusiu”, przeczytała, wracając do początku historii zapisanej na ścianach. Zaciągnęła krzesło na środek pokoju, usiadła i zaczęła się w nią wpatrywać. We własną historię.

Zajrzała do szafek na dokumenty, ale okazało się, że były puste.

Zapłakała tylko raz, gdy ujrzała Willę patrzącą na nią ze zdjęcia. Nie była do końca szczerą z mężem w tej sprawie. Chciała, żeby Willa pozostała w rodzinie z powodu, który miał na zawsze pozostać tajemnicą dla

Dana Coxa. Jej mąż nie był złym człowiekiem, tylko nieprzewidywalnym. Wiedziała, że gdy opuścą Biały Dom, taki argument stanie się bardzo użyteczny. Upajała się myślą, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie jest potężniejszy od swojej małżonki. Z upływem lat pokochała Willę i zaczęła się o nią troszczyć. Pragnęła ją odzyskać.

Czuła podziw dla talentu i uporczywości Sama Quarry'ego. Dokonał zdumiewającej rzeczy. Oczywiście w sprawie ostatnich wydarzeń zostanie przeprowadzone śledztwo. Był to poważny problem, ale da się go rozwiązać.

Jej mąż pozostanie czarującym człowiekiem. Jane dokładnie wiedziała, co zrobić. Zgodnie ze swoją praktyczną naturą, metodycznie przystąpi do pracy. Była to kolejna sytuacja, w której musiała po nim posprzątać. Kolejna z wielu.

Dan nie zostanie zapamiętany w taki sposób. Spojrzała na ściany. Zmienił się. Nie zasługiwał na to.

Ona również.

Kiedy człowiek osiągał taką pozycję jak Coxowie, tracił indywidualność. Przestawał być nim lub nią. Stawał się nimi.

Pięć minut później wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Spojrzała na agenta dowodzącego.

– Chcę niezwłocznie wrócić do Waszyngtonu. – Odwróciła się do Ruth Ann. – Dziękuję za pani gościnność.

- Bardzo proszę. Dziękuję, proszę pani.
- Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.

Wbiegli na górę i opuścili rezydencję Atlee.

Helikopter wystartował kilka sekund później. Kiedy maszyna wykonała zwrot na północny zachód, pilot otworzył przepustnicę. Wkrótce zniknęli z oczu.

Ruth Ann zamknęła drzwi i wróciła do pracy w kuchni. Kilka minut później wyczuła w powietrzu dziwny zapach. Ruszyła z pokoju do pokoju, próbując ustalić jego źródło. W końcu zeszła na dół i pospieszyła korytarzem, docierając do drzwi pokoju w piwnicy. Kiedy dotknęła gałki drzwi, okazało się, że jest ciepła. Zdumiona otworzyła.

W tej samej chwili buchnął ogień zaprószony przez Jane Cox i podsycany przez rozcieńczalnik do farb. Ruth Ann nie zdążyła nawet krzyknąć.

Kiedy dostrzeżono pożar i wezwano pomoc, było już za późno. Oddział ochotniczej straży pożarnej zastał na miejscu jedynie dymiące zgliszcza Atlee.

Później na długim podejździe ukazał się SUV z Seanem i Michelle oraz Willą i Gabrielem. Kiedy ujrzeli, co się dzieje, Gabriel wyskoczył z jadącego samochodu i przebiegł resztę drogi.

- Mamo! Mamusiu!

Sean dodał gazu i samochód przyspieszył. Gabriel biegł tak szybko, że niemal równocześnie dotarli do zgliszcz. Kiedy wyskoczyli z SUV-a, mały chłopiec przedarł się przez kordon strażaków i biegał wśród

dymiących ruin.

Sean popędził za nim.

– Gabrielu!

Michelle podeszła do jednego ze strażaków i pokazała legitymację.

– Znaleźliście kogoś? Ciemnoskórą kobietę?

Mężczyzna spojrział na nią poważnym wzrokiem.

– Odnależliśmy... szczątki. – Spojrział na Gabriela, który wdrapywał się na zgliszcza, szukając matki.

Michelle odwróciła się i zaczęła kuśtykać w jego stronę na zdrowej nodze. Zatrzymała się, kiedy Gabriel usiadł na ziemi, szlochając i tuląc coś w rękach. Podeszła bliżej i ujrzała kawałek spalonej tkaniny. Zbliżyła się jeszcze bardziej i zrozumiała, że były to resztki fartucha.

Sean i Michelle próbowali pocieszyć małego chłopca, a Willa stąpała ostrożnie między stertami wilgotnych dymiących zgliszcz, by w końcu usiąść na ziemi obok Gabriela i objąć go ramionami.

Spojrział na nią.

– Tam... tam była moja mama.

– Tak mi przykro, Gabrielu – powiedziała cicho. – Tak mi przykro.

Utkwił w niej zbolące spojrzenie i ponownie zaczął szlochać. Willa przytuliła go mocniej.

Sean spojrział na Michelle.

– Nie wiedziałem, że jego matce coś zagraża – wyszeptał.

– Nie mogliśmy wiedzieć. Myślisz, że to robota

Quarry'ego? Że chciał zatrzeć wszystkie ślady?

– Nie mam pojęcia.

Wstali, obserwując dwoje dzieci, które siedziały na ziemi, dodając sobie otuchy. Wyraz ich twarzy wskazywał, że oboje pomyśleli o tym samym.

Willa nie wiedziała, że wkrótce doświadczy podobnego bólu. Żadne nie miało jednak serca ani odwagi, by jej o tym powiedzieć.

Zanim ostatnie polano runęło w dymiące zgliszcza, a stara rezydencja Quarry'ego przestała istnieć, Jane i Dan Cox wylądowali w bazie sił powietrznych Andrews.

Jane powiedziała mężowi, co zrobiła. Pochwalił ją za przytomność umysłu i pocałował. Pierwsza para wróciła do Białego Domu w nastroju znacznie lepszym od tego, w jakim go opuszczała, chociaż przypuszczalnie bratanica Jane Cox nie żyła.

Przetrwali, jeszcze raz im się udało.

Cały kraj cieszył się z bezpiecznego powrotu Willi Dutton, choć śmierć jej matki zaprawiła to wydarzenie przejmującą goryczą. Willa stała się młodą bohaterką Ameryki, choć rzadko ją widywano, bo rodzina chroniła przed mediami pogrążone w smutku dziecko.

Dan i Jane Coxowie, którym wyraźnie ulżyło, wielokrotnie wspominali o tym wydarzeniu podczas kampanii, prosząc opinię publiczną i media o uszanowanie bólu osieroconej dziewczynki.

Jeśli historią numer jeden był szczęśliwy powrót Willi, drugą stała się nieudana próba zamachu na Dana Coxa dokonana przez grupę anonimowych osób. Chociaż śledztwo nadal trwało, a prezydent nie był w tej sprawie zbyt rozmowny, jego współpracownicy dopilnowali, by opinia publiczna dowiedziała się o męstwie pierwszej pary, która narażała życie, żeby odzyskać bratanicę i udaremnić spisek terrorystów pragnących zamordować prezydenta.

Cox tak znacznie prowadził w sondażach, że nawet jego polityczni przeciwnicy otwarcie przyznawali, że wygrana w nadchodzących wyborach nie jest możliwa. Jane nigdy nie cieszyła się większą popularnością. Ci, którzy dobrze ją znali, zauważyli jednak, że choć nie zmieniła się fizycznie i nadal wyglądała olśniewająco, pojawiło się w niej coś nowego. Jej oczy straciły dawny blask.

Także Sean King i Michelle Maxwell znaleźli się w świetle reflektorów, choć wbrew własnej woli. Kiedy prezydent i agent Waters ujawnili, jak wielki wkład wnieśli w pokrzyżowanie intrygi zmierzającej do zamordowania prezydenta, dziennikarze nie dawali im spokoju do tego stopnia, że obydwójce musieli się przeprowadzić i zamieszkać w nieznanym miejscu.

Opowiedzieli Watersowi, co wydarzyło się w kopalni. Wspomnieli również o Diane Wohl, która cały czas się tam znajdowała oprócz Daryla i Sama Quarrych. Choć podjęto próbę dostania się do zawalonej kopalni, szybko stało się jasne, że wszystkie dowody, które mogły się w niej znajdować, pozostaną tam na zawsze.

Kiedy Waters spytał ich o motywy postępowania Quarry'ego, zasłonili się niewiedzą.

Rany Seana się zagoiły, a kontuzjowana kostka Michelle niemal odzyskała dawną sprawność. Cudownym zrządzeniem losu Gabriel nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń, choć utrata matki i domu potężnie nim wstrząsnęła.

Sean i Michelle zastanawiali się, co z nim zrobić.

– Nie możemy go umieścić w sierocińcu – powiedziała Michelle.

– Jestem podobnego zdania. Chciałabym mu znaleźć wspinały dom i przybraną rodzinę.

– Sądzę, że przez dłuższy nic nie będzie dla niego wspinałe – zauważyła Michelle. – Niezależnie od rodziny, do której trafi.

– Myślisz, że moglibyśmy się nim zaopiekować jakiś czas? – zasugerował w końcu.

– My? Przecież mieszkamy oddzielnie. Nie jesteśmy małżeństwem. Sąd nie powierzy nam opieki nad dzieckiem z powodu wykonywanego zawodu i tego, że połowę czasu spędzamy poza domem.

– Możemy spróbować.

Pomyślała chwilę, by w końcu z uśmiechem uścisnąć mu dłoń.

– Tak, możemy spróbować. Przynajmniej przez jakiś czas.

Dzięki pomocy FBI i Białego Domu Sean i Michelle otrzymali tymczasową opiekę nad Gabrielem Maconem, gdy ustalono, że nie ma żadnych krewnych.

Sean i Michelle pojechali do Atlee jeszcze raz kilka dni po objęciu opieki nad Gabrielem. Nie zabrali ze sobą chłopca, bo nic tam dla niego nie zostało. Gabriel zamieszkał u Michelle i Seana w miejskim domu wynajętym przez Secret Service.

FBI było ciągle na miejscu, badając marne szczątki, które pozostały po wiejskiej rezydencji, oraz domek, w którym omal nie zginęła pierwsza para i gdzie umarła Tippi Quarry.

Prywatnie agenci nie kryli podziwu dla umiejętności i pomysłowości, z jaką Sam Quarry przeprowadził swój morderczy plan. Sean i Michelle dowiedzieli się o znalezieniu ziemnego schronu niedaleko domku, w którym mogła umrzeć pierwsza para. W środku bunkra

znajdował się monitor, lornetka i pilot oraz inny sprzęt i prowiant. Jeśli ktoś był w środku, zniknął dawno temu.

Sean i Michelle podejrzewali, że był to Carlos Rivera lub Kurt Stevens, ale nie mieli na to dowodów.

– Zbudował komorę gazową dla Dana i Jane Coxów – powiedział Sean, gdy przypatrywali się małemu domkowi.

– I zabił w nim własną córkę.

– Bardziej przypominało to eutanazję – odparł Sean.

– Po tylu latach...

Jednak najważniejsze pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Nadal nie wiedzieli, co zrobić z tym, co ujrzeli w piwnicy Atlee.

– Wszyscy nie żyją – powiedział Sean. – Quarry. Tippi. Ruth Ann.

– Może powinniśmy o tym zapomnieć – powiedziała Michelle. – Jeśli ujawnimy fakty, Willa i Gabriel zostaną w to ponownie wciągnięci.

– W kraju dojdzie do ostrego podziału – dodał Sean.

– Ale wtedy Coxom się upiecze.

– Wiem. Może uda nam się znaleźć lepsze rozwiązanie.

Kiedy wrócili do zgliszcz Atlee, podszedł do nich jeden z członków zespołu HRT zabezpieczającego teren.

– Czytałem o was w gazecie – powiedział. – Chciałem wam podziękować za to, co zrobiliście dla prezydenta.

– Nie ma sprawy – odparł bez większego entuzjazmu Sean, a Michelle w ogóle nie zareagowała. Mieli inne

zdanie o prezydencie Stanów Zjednoczonych, choć nie zdecydowali się na ujawnienie faktów.

Mężczyzna skinął głową w stronę ruin.

– Kiedyś ten dom wyglądał zupełnie inaczej.

– Byłeś tu wcześniej? – zdziwiła się Michelle.

– Leciłem w helikopterze z pierwszą damą, zanim wybuchł pożar – odpowiedział, przytakując głową. – Kazała nam wylądować. Powiedziała, że źle się czuje. Weszła do środka i spotkała się z jakąś Murzynką. Pewnie służącą. Rozmawiały jakiś czas, a później zeszła do pomieszczenia w piwnicy. Uparła się, by nikt nie wchodził do środka. Po godzinie wyszła i odlecieliśmy do domu.

Sean i Michelle spojrzeli na ruiny.

A później Atlee spłonęło.

Zaproszenie nadeszło dwa dni po ich powrocie z Alabamy.

Biały Dom wyglądał wspaniale w miękkim świetle letniego wieczoru. Zjedli obiad w prywatnej części rezydencji zajmowanej przez pierwszą parę. Prezydenta nie było. Zaprosiła ich Jane. Po posiłku usiedli w salonie przy kawie przyniesionej przez kamerdynera. Milczeli kilka minut. Sean i Michelle siedzieli w napięciu, a Jane unikała ich wzroku.

– Przebyliśmy długą drogę – powiedziała w końcu pierwsza dama.

– Jak to? – zapytał Sean.

– Odzyskaliśmy Willę, opanowaliśmy sytuację. Jestem ci niewymownie wdzięczna za to, co zrobiłeś. Gdyby nie ty, prezydent i ja bylibyśmy martwi. Podobnie Willa.

– Sam Quarry nie żyje. Nie żyje jego syn. Tippi Quarry umarła. Wiedziałaś o tym. Mały chłopiec, Gabriel, stracił matkę. A Diane Wohl? Zналиśmy ją jako Diane Wright. Była kobietą, z którą przyłapałem twego męża w samochodzie w Atlancie. Pamiętasz, prawda?

– Proszę, nie bądź prostacki, Sean. Nie ma takiej potrzeby.

– Willa straciła obie matki. To prawdziwa tragedia.

– Nie masz dowodu, że Pam nie była jej matką.

Wyciągnął z kieszeni papiery.

– Mylisz się. To wyniki badań DNA. Potwierdzają, że Diane Wohl była matką Willi.

Jane odstawiła filiżankę, otarła wargi lnianą serwetką i spojrzała na niego.

– Zaprosiłam was tutaj, aby złożyć propozycję, a nie grzebać w przeszłości.

– Dlaczego uznałaś, że będzie to potrzebne? – zapytał Sean, a Michelle spojrzała na nią w milczeniu.

– Bo wiem, że byłeś w tym domu. Wiem, że widziałeś pokój.

– Masz na myśli Atlee? Rezydencję, która po twoim odlocie spłonęła do szczytu? Chodzi ci o pożar, w którym zginęła Ruth Ann?

– Byłam głęboko wstrząśnięta, kiedy się o tym dowiedziałam.

– Spotkałaś się z Ruth Ann, prawda?

– Tak, przelotnie. Wydawała się sympatyczna. Jestem rada, że mogłam wam pomóc w uzyskaniu tymczasowej opieki nad jej synem.

– Nie mogłaś wymyślić innego sposobu zniszczenia dowodów? Innego niż spalenie domu i zabicie tej kobiety?

Jane spojrzała na niego obojętnie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Kiedy opuszczałam Atlee, dom znajdował się w doskonałym stanie. Ona również. Możesz zapytać tych, którzy ze mną byli. Zbliżasz się niebezpiecznie do granicy, Sean.

– Czy to groźba? Nawet groźby pod adresem zwykłych ludzi są karalne.

– Chcecie poznać moją ofertę?
– Czemu nie? Przejechaliśmy kawał drogi.
– To, co się stało, jest godne ubolewania. Od początku do końca. Bez wdawania się w szczegóły powiem, że było to bardzo trudne i skomplikowane. Dla mnie i prezydenta.

– Taak. Na szczęście dla Quarrych sprawa była prosta. Z powodu twojego męża cierpieli do końca życia.

Zignorowała jego uwagę.

– Dla dobra tego kraju proszę, abyś nie ujawniał spraw, które mogłyby postawić prezydenta w kłopotliwym świetle. To porządny człowiek. Dobrze służył swojemu krajowi. Był wspaniałym ojcem.

– Czemu mielibyśmy to zrobić?

– W zamian dopilnuję, aby nie podjęto wobec ciebie żadnych kroków za włamanie się do biura mojego brata i kradzież dokumentów. Tajnych dokumentów, które, jak mniemam, mają związek z bezpieczeństwem narodowym. To bardzo poważne zarzuty.

– Pracowałem nad sprawą. Na twoją prośbę.

– Sąd to rozstrzygnie, ale nigdy nie kazałam ci łamać prawa. Ustaliłam również, że groziłeś Cassandrze Mallory. Szantażowałeś ją. Składałeś też niestosowne propozycje seksualne w jej domu, do którego się wdarłeś pod fałszywym pretekstem, gdy nie była ubrana.

– Nie boję się panny Cassandry, Jane.

– Ustaliłam również, że Aaron Betack włamał się do mojego gabinetu i zabrał coś z biurka. Wszystko

wskazuje, że zrobił to pod wpływem twojej sugestii. Kariera agenta Betacka będzie skończona, a cała wasza trójka trafi do więzienia.

– Jeśli możesz tego dowieść, śmiało. Wracając do listy imponujących dokonań twojego męża, myślę, że o czymś zapomniałaś.

– O czym? – spytała chłodno.

– Że był cudzołożnikiem. O tym jakoś nie wspomniałaś.

– A co pani powie, jeśli dodam, że także gwałcicielem? – wtrąciła Michelle.

Jane wstała.

– Nie macie dowodów. Stanowczo sugeruję, abyście zatrzymali dla siebie te nedorzeczne brednie, jeśli nie chcecie się znaleźć w poważnych tarapatach. Mój mąż jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Okażcie trochę cholernego szacunku.

– Za co?

– Nie obchodzą mnie kłamstwa, które widziałeś na ścianach piwnicy, nie masz prawa...

Sean jej przerwał.

– To, co tam widzieliśmy, jest prawdą. Wiedziałaś o tym, dlatego podpaliłaś dom. Mamy wszelkie prawa, Jane.

– Pierwsza damo – poprawiła go, wstając.

Sean poszedł za jej przykładem.

– Kiedy przestało ci zależeć na prawdzie, Jane? Kiedy prawda przestała mieć dla ciebie znaczenie? Po pierwszym zatuszowaniu jego wpadki? Po drugim? A

może przekonałaś samą siebie, że zawsze winien jest ktoś inny? Albo że pewnego dnia zażyje jakieś pigułki i mu się poprawi? Że można wymazać przeszłość i cierpienie? Że człowiek pokroju Sama Quarry'ego przejdzie nad czymś takim do porządku dziennego? Jak pozostali? Bo twój mąż był wschodzącą gwiazdą? Bo miał zostać wspaniałym prezydentem?

– Nie masz pojęcia, jak tu się żyje... w tym domu. Gdy cały czas musisz się pilnować, gdy nawet na chwilę nie możesz osłabić czujności. Gdy wiesz, że najdrobniejsze potknięcie zostanie rozgłoszone na cały świat...

– Nikt go do tego nie zmuszał... ani ciebie.

– Ciężko pracowaliśmy... – Urwała, ocierając oczy chusteczką.

Sean spojrział na nią.

– Sądziłem, że cię znam. Sądziłem, że cię szanuję. Sądziłem, że jesteś szczerą. Wszystko to było kłamstwem, prawda? Dymem i lustrami, jak w całym tym mieście. Za zasłoną nie było niczego.

– Myślę, że pora, abyście opuścili mój dom.

Michelle stanęła obok Seana.

– Dobrze, ale pamiętaj o jednym, Jane. Ten dom nie należy do ciebie, ale do narodu amerykańskiego. Ty i twój mążulek jedynie go wynajmujecie.

- Robota dziennikarza jest do dupy, co Marty? – zapytał głośno Sean. – Nikt nie chce już kupować gazet. Wszystko można znaleźć w Internecie. Nawet jeśli zostało zmyślane.

Była północ. Sean i Michelle stali obok kolumny w podziemnym garażu w centrum Waszyngtonu. Kiedy stanęli w kręgu światła, idący ku nim mężczyzna zachichotał.

Sean podał rękę Martinowi Determannowi i przedstawił Michelle.

– Co nie jest dziś do dupy? – spytał Determann, niski facet o gęstych siwiejących czarnych włosach i donośnym głosie. Za cienkimi okularami lśniły patrzące przenikliwie oczy. – Co powiesz o proszeniu ludzi, żeby poświęcili swój czas na przejrzenie jakichś materiałów? Boże uchronaj.

Sean odpowiedział uśmiechem.

– Nikt nie lubi malkontentów, Marty.

– Po co ta cała tajemnica? – Determann rozejrzał się po pustym garażu. – Czuję się jak na planie *Wszystkich ludzi prezydenta*.

– Miałeś nadzieję, że poufny informator pomoże wam zwiększyć nakład o kilka egzemplarzy?

– Wolałbym nagrodę Pulitzera – zarechotał Determann – ale staram się zachować otwarty umysł. Słuchaj, może napiszę twoją autobiografię jako murzyn.

Po ilości farby drukarskiej, jaką wam ostatnio poświęcono, mógłbym bez trudu znaleźć wydawcę, który wyłoży parę milionów.

– Nie żartowałem, mówiąc o poufnym informatorze.

Determann spoważniał.

– Miałem taką nadzieję. Co masz?

– Chodź z nami. To zajmie trochę czasu.

Pojechali do motelu leżącego na północ od historycznej części Alexandrii, gdzie Sean wynajął pokój.

– Jak się poznaliście? – zapytała Michelle, gdy jechali aleją Jerzego Waszyngtona wzdłuż brzegu Potomacu.

Determann poklepał Seana po plecach.

– Ten pan reprezentował moje interesy podczas sprawy rozwodowej. Moja była okazała się kokainistką, która przepuściła wszystkie nasze oszczędności, zdradzała mnie z kierowcą UPS, a nawet miała czelność otruć moją złotą rybkę. Mimo to chciała połowy wszystkiego, co mam, gdy ją wykopałem ze swojego życia. Kiedy Sean skończył z poczciwą Ursulą, nie dostała niczego. Nawet własnego psa. Może to i dobrze, bo zwierzak zawsze wolał mnie.

– Myślę, że Marty nieco przejaskrawił moje dokonania. Choć czasem ociera się o prawdę, jest znakomitym reporterem.

– Mimo to nadal nie dostałem pierwszego Pulitzera. – Rzucił okiem na pękatą teczkę leżącą na fotelu obok Seana. – Co jest w środku?

– Niebawem się dowiesz.

Kiedy znaleźli się w pokoju, Sean zamknął drzwi, zdjął płaszcz i oznajmił:

– Do roboty.

Metodycznie przejrzeni zdjęcia, które Michelle wykonała w Atlee, szczegółowo zapoznając Determanna ze wszystkim, czego się dowiedzieli – od raportu w sprawie dezercji po historię, którą Quarry wypisał na ścianach piwnicy, i ich dramatyczną ucieczkę z kopalni.

Kiedy doszli do tego, jak pierwsza dama podpaliła dom i zamordowała Ruth Ann, Determann krzyknął:

– Robisz mnie w konia?!

– Chciałbym, żeby tak było.

Sean pokazał mu wszystkie dokumenty zabrane z Atlee i materiały źródłowe zgromadzone przez Quarry'ego podczas zabiegania o sprawiedliwość.

Determann sporządzał obszerne notatki i zadawał wiele pytań. Po kilku godzinach wyszli na kawę. Po wschodzie słońca zjedli śniadanie i zafundowali sobie kolejną porcję kofeiny w restauracji w centrum starego miasta. Jedząc, rozmawiali o sprawie i spoglądali na łagodne fale Potomacu oraz samoloty startujące z pobliskiego lotniska. Wróciwszy do pokoju, wdychali dym z papierosów wypalanych przez Determanna i przedzierałi się zarówno przez to, co ustalili, jak i przez to, co jedynie podejrzewali. Kiedy skończyli, słońce stało wysoko na niebie i minęła pora lunchu.

Determann wyciągnął się na krześle i rozprostował kości.

– Wiesz, to najbardziej popieprzona historia, jaką w życiu słyszałem.

– Nie podlizuj się – odparł żartobliwym tonem Sean.

– Nie żartuję. Przy tej historii Watergate i Monicagate przypominają obwieszanie podwórka papierem toaletowym po meczu piłki w ogólniaku.

– Zatem nam uwierzyłeś? – spytała Michelle.

– Czy wam uwierzyłem? Czy ktoś zdołałby wymyślić taką historię? – Wskazał ręką zdjęcia i kartki z notatkami rozłożone na stole. – W dodatku macie dowody.

Zapalił kolejnego papierosa.

– Nadal jednak nie rozumiem, czemu porwali Willę? Przecież była tylko jego bratanicą. Skąd wiedzieli, że chwyci przynętę? W końcu mała nie była jego dzieckiem. Nikt nie mógłby go obwiniać, gdyby sobie odpuścił.

Sean wyciągnął kolejną teczkę z archiwum Quarry'ego. Celowo zataił tę część opowieści, czekając na pytanie reportera.

– To wyniki badań DNA przeprowadzonych na prośbę Quarry'ego. Wykonano je na podstawie próbek krwi Pam i Willi Dutton. A to wyniki Diane Wohl. Quarry zapisał ołówkiem imiona obok wyniku każdego testu.

– Diane Wright alias Diane Wohl – powiedział Determann, który szybko się uczył i znał już główny zarys opowieści oraz głównych aktorów.

– Tak.

– Czemu zrobił test DNA?

– Wyniki pokazują, że to Diane, a nie Pam była

matką Willi.

Determann wziął kartki i uważnie je przestudiował.

– Nazwij mnie głupcem, ale za tobą nie nadążam, Sean.

Sean wyjaśnił mu, co się wydarzyło w bocznej alejce w Georgii niemal trzynaście lat temu. Pierwszy raz opowiedział o tym komuś oprócz Michelle. Lojalność wobec Jane Cox kazała mu zachować milczenie, jednak w tym wypadku przekroczone wszelkie granice. W kopalni obiecał Samowi Quarry'emu, że pomoże w ujawnieniu prawdy, jeśli wypuści Willę. Quarry dotrzymał umowy, a choć Sean początkowo zamierzał zachować milczenie, po odkryciu, co pierwsza dama zrobiła w Atlee, postanowił dotrzymać słowa danego zmarłemu.

Determann rozparł się na krześle i zdjął okulary.

– Senator Cox zabawiał się z Diane Wohl? Dziewięć miesięcy później urodziła się Willa? Jest jego dzieckiem? Jezu. A wcześniej zrobił to samo Tippi Quarry? Co za kutas!

– Wydaje się, że właśnie nad tą częścią ciała nie umiał zapanować – zauważyła Michelle.

Sean podniósł zdjęcie zgorzkniałego czterdziestokilkuletniego mężczyzny.

– Quarry ustalił, że Jane Cox знаła rzeźnika, który przeprowadził zabieg aborcji na Tippi – zabieg, który zakończył się uszkodzeniem tętnicy. Policja znalazła ją w piwnicy porzuconego domu, tam gdzie ten męć ją zostawił, kiedy zdał sobie sprawę, co zrobił. Stracił prawo

do wykonywania zawodu lekarza, bo miał problemy z narkotykami i alkoholem, ale w dalszym ciągu świadczył usługi dawnym przyjaciołom.

– Nie zawieźli jej do lekarza albo do szpitala, żeby Tippi nie powiedziała, co się stało? Bo ludzie mogliby im zadać niewygodne pytania?

– Właśnie.

Determann pochylił się naprzód i spojrzał na papiery.

– Ale nikt nie sprawdził DNA prezydenta?

– Zapewniam cię, że gdyby to zrobiono, wyniki idealnie by pasowały.

– Cóż, nie mają wyników jego DNA. Może ta historia skłoni ich do przeprowadzenia jeszcze jednego testu. – Zaczął notować, ale przestał, gdy Sean położył dłoń na jego dłoni. Spojrzał na niego pytająco.

– Mogę cię prosić o przysługę, Marty?

– Po przekazaniu historii stulecia? Taak. Myślę, że jestem ci ją winien.

– Chcę, żebyś pominął tę część historii. O Willi.

– Jak to?

– Willa straciła matkę – wyjaśniła Michelle. – Jej naturalna matka też nie żyje. To byłoby dla niej zbyt wiele. Nie powinniśmy jej tym obciążać.

– I bez tego masz mnóstwo sensacyjnych materiałów – dodał Sean. – Między innymi bardzo przekonujące dowody poszlakowe, że pierwsza dama podpaliła Atlee i zabiła niewinną kobietę, żeby zatuszować występki męża. Jesteś reporterem, to twój zawód. Nie będziemy nalegali,

abyś to zataił.

Determann spojrział na nich z wyraźnym skrepowaniem.

– Sądzicie, że podpalając rezydencję, Jane Cox chciała, żeby Ruth Ann zginęła?

– Mam nadzieję, że nie, ale wie o tym tylko ona. Wiem też, że Willa dość już przeżyła.

Determann skinął głową i wyciągnął rękę do Seana.

– Umowa stoi.

– Dzięki, Marty.

– To wspaniała historia, Sean. Rozumiem, czemu zdecydowaliście się ujawnić prawdę, ale...

– Ale? – spytał ze znużeniem Sean.

– Ta wiadomość wstrząśnie całym krajem.

– Czasami nie ma innego wyjścia, Marty. Czasami to konieczne.

Willa siedziała naprzeciw Seana, Michelle i Gabriela ze spuszczoną głową i dłońmi splecionymi na kolanach. Byli w domu wynajętym przez Tucka, który znajdował się w odległości mili od starego wystawionego na sprzedaż. Tuck siedział obok córki, obejmując ją opiekuńczo ramieniem.

– Przykro mi, że twoja mama umarła – powiedział Gabriel, nie patrząc na Willę. Miał na sobie nową białą koszulkę polo, niebieskie dżinsy i trzymał w rękach bejsbolówkę Atlanta Falcons, którą kupił mu Sean, kiedy w pożarze stracił starą. Trzymał dłoń w kieszeni, ściskając w palcach jedyną rzecz, która ocalała z pożaru – monetę Lady Liberty, którą Sam Quarry położył na stoliku nocnym przy łóżku, gdy opuszczał Atlee.

– A mnie przykro z powodu twojej mamy – odpowiedziała Willa. – Byłeś bardzo dzielny w kopalni. Gdyby nie ty, pewnie już bym nie żyła.

Gabriel spojrział kątem oka na Seana.

– On mnie wyciągnął. Nie dałbym rady bez pana Seana.

Willa rozejrzała się po swoim tymczasowym domu, by ponownie skupić wzrok na Gabrielu.

– On miał córkę. Nazywała się Tippi.

– Taak. Była poważnie chora. Pan Sam pozwalał, abym jej czytał.

– Książkę Jane Austen. Wspominał mi o tym.

– Wiele ci o niej mówił? – zapytał Willę Sean.

– Niewiele, ale wiem, że dużo o niej myślał. Po prostu wiem. – Spojrzała na ojca. – Raz próbowałam uciec. Niemal spadłam w przepaść. Uratował mnie. Pan Sam w ostatniej chwili chwycił mnie za rękę.

Tuck zaczął się niecierpliwie wiercić na krześle.

– To już przeszłość, Willo. Nie musisz do tego wracać, kochanie. Ta sprawa się skończyła.

Zaczęła bawić się własnymi palcami.

– Wiem, tato, ale to część mnie... – Pochyliła się naprzód. – On stracił córkę, prawda? Stracił Tippi?

Michelle i Sean wymienili szybkie spojrzenia.

– Taak – odpowiedział Sean. – To prawda, ale twój tata ma rację. Nie powinnaś o tym rozmyślać.

Tuck zmierzył wzrokiem Gabriela. Najwyraźniej nie czuł się swobodnie, wiedząc, że w jego domu, tak blisko Willi, siedzi ktoś związany z Samem Quarrym, nawet jeśli był nim niewinny mały chłopiec.

– Wiem, że Gabriel z wami zamieszkał. Jak wam się układa? – zapytał takim tonem, jakby sugerował, że kiepsko im idzie.

– Wspaniale – odpowiedziała zdecydowanie Michelle. – Zapisaliśmy go do szkoły w okolicy na nowy rok. Zaliczyli mu algebrę, chociaż chodzi dopiero do siódmej klasy, a z języków obcych nie mieści się w skali ocen – oznajmiła dumnie.

– Gabriel uczy się hiszpańskiego i indiańskiego – dodał Sean.

– To wspaniale – skwitował sztucznie Tuck.

– Tak, to wspaniale – powtórzyła Willa, spoglądając na Gabriela. – Musisz być bardzo inteligentny.

Gabriel wzruszył ramionami.

– Jestem niezły, ale muszę się wiele nauczyć, wszystko tutaj jest takie...

– Inne? – zapytała Willa. – Mogę ci pomóc.

Tuck zaśmiał się pustym śmiechem.

– Nie tak szybko, kochanie. Masz dość roboty. Jestem pewien, że pan King potrafi się o niego zatroszczyć.

Michelle spojrzała na Willę.

– Dziękuję za propozycję, Willo. To bardzo uprzejmie z twojej strony. – Spojrzała na jej ojca. – Kto wie, może mogliby się zaprzyjaźnić.

Później Tuck wziął Seana i Michelle na bok, kiedy Willa pokazywała Gabrielowi swój pokój.

– Nie potrafię wyrazić, jaki jestem wam wdzięczny za to, co zrobiliście. Ta historia mogła się zakończyć, jak powiedziała Willa. Boże, to cud, że ona żyje. Że wszyscy żyjecie.

– Pewnie wolałbyś tego nie wiedzieć, ale to Sam Quarry wrócił do kopalni i uratował Willę. Gdyby tego nie zrobił, nie byłoby jej teraz wśród nas.

Twarz Tucka poczerwieniała.

– Taak. Gdyby drań jej nie porwał, Willa nigdy nie znalazłaby się w kopalni, a Pam nadal by żyła.

– Masz rację. Rozmawiałeś z siostrą?

Tuck zmarszczył brwi.

– Niewiele. Dan chciał zabrać ze sobą Willę w podróż wyborczą, ale...

– Ale uznałeś, że byłoby to nadmierne wykorzystywanie małej? – zapytała Michelle.

– Taak, coś w tym rodzaju.

– Dzieciaki naprawdę cię teraz potrzebują, Tuck. Mógłbyś poprosić wspólnika, żeby przez jakiś czas sam zarządzał firmą... – Przerwał na chwilę. – Tylko trzymaj się z daleka od jego żony.

Zanim zdumiony Tuck zdążył odpowiedzieć, Sean położył mu dłoń na ramieniu.

– A jeśli zbliżysz się do Cassandry Mallory, obiecuję, że wyrwę ci jaja, draniu.

Tuck zachichotał, zanim zdał sobie sprawę, że Sean nie żartuje.

Kiedy wracali do samochodu, Willa wybiegła z domu i dołączyła do nich. Trzymała w ręku trzy koperty.

– Co to takiego? – zapytała Michelle.

– To listy z podziękowaniami za to, co dla mnie zrobiliście.

– Kochanie, nie musiałaś tego robić.

– Mama mówiła, żebym nigdy o tym nie zapomniała. Poza tym sama chciałam.

Gabriel odebrał swoją kopertę, jakby była najcenniejszą rzeczą, jaką w życiu otrzymał.

– To naprawdę miłe, Willo. Dziękuję.

Spojrzała na nich wielkimi oczami, które wydawały się zajmować niemal całą twarz.

– Nienawidzę tego, co pan Sam zrobił mojej mamie.

Gabriel spuścił wzrok i cofnął się o krok.

– Wiem, kochanie – odrzekła Michelle. – Nie sędzę, żeby chciał ją skrzywdzić, ale to go nie usprawiedliwia.

– Zanim mnie puścił, powiedział, że jeśli kogoś kochasz, musisz być przygotowany na nienawiść. Pewnie chodziło mu o to, że gdy ktoś zrani twoją ukochaną osobę, możesz go znienawidzić. To zrozumiałe.

– Tak – odparł ostrożnie Sean, nie wiedząc, do czego zmierza.

– Myślę, że pan Sam kochał swoją córkę.

– Ja też tak sędzę – przytaknęła cicho Michelle, pocierając lewe oko.

– Kochał ją – wtrącił Gabriel. – Na pewno.

– Później powiedział, że trzeba porzucić nienawiść, bo w przeciwnym razie cię zniszczy i już nigdy nie będziesz umiał kochać. – Wypowiadając te słowa, spojrzała na Gabriela. Dzieci obserwowały się kilka długich chwil.

– Myślę, że pan Sam miał rację, Willo. – Na nowej koszuli Gabriela pojawiła się wilgotna kropelka, a w oczach Willi błysnęły łzy.

– Postanowiłam, że nie będę go nienawidzić.

Wyraźnie wzruszona Michelle zrobiła krok do tyłu, próbując się schować za plecami swego partnera.

– To dobry pomysł, Willo – rzekł chropawym głosem Sean.

Na koniec dziewczynka przytuliła całą trójkę i

pobiegła do domu.

Sean, Michelle i Gabriel stali chwilę bez ruchu.

W końcu Gabriel powiedział:

– Dobrze mieć takiego przyjaciela.

– To prawda – przytaknęła Michelle. – Willa to wspaniały przyjaciel.

W dniu wyborów Dan Cox przechwalał się swoją odwagą i wspominał o dramatycznym powrocie ukochanej bratanicy. Drugi raz z rzędu zwyciężył w wyścigu do Białego Domu, zyskując największe poparcie w amerykańskich wyborach prezydenckich.

Dwa miesiące po zaprzysiężeniu Martin Determann, który dniami i nocami pracował nad podsuniętą mu przez Seana historią, opublikował na łamach „Washington Post” dziewięciostronicowy artykuł na prawach wyłączności. Determann mądrze wykorzystał owoce wieloletnich poszukiwań Sama Quarry'ego i przedstawił je z kunsztem zawodowego dziennikarza śledczego, wspierając wszystko solidnymi dowodami. Jego historia została oparta na faktach i tak starannie zebranych i skatalogowanych źródłach, że wszystkie media na świecie natychmiast ją podchwyciły i przeprowadziły własne dochodzenie, odkrywając inne sekrety z przeszłości Dana Coxa.

Determanna nominowano do nagrody Pulitzera.

Jego artykuł spowodował, że przez cały kraj przeszła fala wściekłości skierowana przeciw Danowi i Jane

Coxom. Pewnego ponurego kwietniowego dnia skompromitowany i upokorzony Cox przemówił do Amerykanów z Gabinetu Owального, ogłaszając, że w południe następnego dnia zrezygnuje z urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Zrobił, jak powiedział.

Miesiąc po rezygnacji Coxów Sean i Michelle ponownie odwiedzili Atlee.

Tippi Quarry pochowano obok matki na przykościelnym cmentarzu. Na podstawie zeznań Seana i Michelle w sprawie czasu śmierci Sama Quarry'ego jego posiadłość zgodnie z zapisem w testamencie, który Sean znalazł w piwnicy, przeszła na rzecz Ruth Ann Macon, choć Quarry zginął zaledwie godzinę przed nią.

Oznaczało to, że Gabriel, jedyny żyjący krewny Ruth Ann, stał się właścicielem posiadłości Quarrych. Sean załatwił wszystkie formalności z prawnikiem mającym licencję w Alabamie. Postanowili sprzedać liczącą dwieście akrów ziemię deweloperowi, który zgodził się zapłacić tyle, by po opłaceniu college'u Gabrielowi pozostała jeszcze pewna sumka.

Kiedy skończyli spotkanie z prawnikiem i przedstawicielami dewelopera i ruszyli do wynajętego samochodu, doleciał ich głos:

– Witajcie!

Odwrócili się i ujrzeli mężczyznę o brązowej skórze i białych włosach sięgających ramion, w słomkowym kapeluszu z rondem i o twarzy poranej głębokimi zmarszczkami.

– Witaj – odpowiedział Sean, podchodząc ku niemu.

– Jesteś Fred? – zapytała Michelle.

Indianin skinął głową.

– Nazywam się Michelle, a to mój współnik, Sean.

Uścisnęli sobie dłonie, a później rozejrzeli się po terenie dawnej plantacji.

– Znaliście Sama? – spytał Fred.

– Trochę. Pewnie znałeś go znacznie lepiej.

– Był porządnym człowiekiem. Pozwolił mi mieszkać na swojej ziemi. Przywoził papierosy i jima beama. Będzie mi go brakowało. Odkąd Gabriel się wyprowadził, tylko ja tu zostałem. Mieszkało ze mną dwóch Indian, ale się wynieśli.

– Koasati? – spytała Michelle.

– Zaginiony lud, tak. Skąd wiesz?

– Zgadłam.

– Słyszałem, że sprzedano Atlee. Braliście w tym udział? Widziałem was z tymi facetami.

– Tak. Gabriel powiedział nam o tobie, więc dodaliśmy klauzulę, że nadal będziesz mógł tu mieszkać w swoim airstreamie.

Fred uśmiechnął się ponuro.

– Nie sądzę, aby miało to jakieś znaczenie.

– Dlaczego?

Zakaszła głęboko.

– Lekarze mówią, że zostało mi kilka miesięcy życia. Coś z płucami.

– Przykro mi, to smutne – powiedział Sean.

– Proszę się nie smucić. Tak miało być. – Położył małą dłoń na rękawie Michelle. – Wpadniecie do mojej przyczepy na piwo? To niedaleko stąd. Mój airstream nie

ogładał jeszcze kogoś tak pięknego jak ty, młoda damo.

Michelle się uśmiechnęła.

– Czy dziewczyna mogłaby odrzucić taką propozycję?

Siedzieli w przyczepie, popijając piwo z butelki i słuchając opowieści Freda o Samie, Gabrielu i życiu w Atlee.

– Zawsze czułem, że Sam jest nieszczęśliwy. Próbowałem tego nie okazywać, ale był nieszczęśliwym człowiekiem.

Seana pociągnął łyk piwa i skinął głową.

– Myślę, że masz rację.

– Sam miał duży szacunek dla naszej kultury. Zadawał wiele pytań na jej temat. Pytał o nasze symbole i obrzędy.

Sean się wyprostował.

– Widziałem znak wypalony na ramieniu Sama. – Narysował go na chybotliwym zakurzonej stoliku w przyczepie, jednocześnie tłumacząc: – Cztery linie. Jedna długa z dwiema poprzecznymi na końcu i krótką linią pośrodku.

Fred skinął głową, zanim skończył.

– To ja mu o nim powiedziałem. To symbol duchowej opieki i ochrony w kulturze rdzennych mieszkańców Ameryki. Nie jest w języku koasati, ale w narzeczu innego plemienia. Nie jestem pewien którego. W każdym razie linia z lewej to *winyan*, czyli kobieta. Ta z prawej to *wicasa*, mężczyzna. Długa linia pośrodku

oznacza *wakanyeza*, niewinne dzieci.

– Co to oznacza? – zapytał Sean.

– Że rodzic ma obowiązek chronić swoje dziecko.

Sean spojrział na Michelle.

– Dziękuję, Fred. To bardzo wiele tłumaczy.

W drodze powrotnej na lotnisko Michelle powiedziała:

– Jak to możliwe, żeby ludzie pokroju Jane i Dana Coxów zaszli tak wysoko?

– Są silni i twardzi, nie wahają się przed niczym. Cox potrafił skłonić ludzi, by trzymali za niego kciuki. Mam na myśli prostych ludzi.

– Tylko tego trzeba? Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– Za zwycięstwo trzeba słono zapłacić, Michelle.

– Naprawdę? – zapytała sceptycznie.

– Świadomością, że pewnego dnia wszystko z hukiem się rozleci.

– Przepraszam, ale nie sędzę, by była to sprawiedliwa cena.

– Zaufaj mi, że rezygnacja z prezydentury to zaledwie początek. Czeka ich kilkadziesiąt lat procesów i składania zeznań pod przysięgą. Będą mieli wielkie szczęście, jeśli nie skończą w więzieniu.

– Mam nadzieję, że im nie dopisze.

Kilka mil dalej Sean sięgnął na tylne siedzenie i wyciągnął coś z teczki. Michelle spojrzała na folder zza kółka.

– Co to?

– Teczka, którą wrzuciłaś do pojemnika na śmieci tamtej nocy, gdy włamałaś się do gabinetu Horatio Barnes'a.

– Co?! Jak ją znalazłeś?

– Wyszedłem z za rogu w samą porę, aby zobaczyć, jak ją wyrzucasz. Wyciągnąłem teczkę i wysuszyłem. Nie czytałem jej, Michelle. Nigdy bym tego nie zrobił, ale pomyślałem, że możesz chcieć ją zachować.

Spojrzała na plik papierów.

– Dzięki, ale już tego nie potrzebuję. Rozwiązaliśmy z tatą ten problem.

– Wiesz, co jest w środku?

– Wiem tyle, ile trzeba, Sean. Wystarczy.

Po wylądowaniu w Waszyngtonie Michelle wyjechała SUV-em z parkingu przy lotnisku. Trzydzieści minut później zatrzymali się przed mieszkaniem Michelle. Postanowili, że Gabriel zamieszka u niej, choć Sean był równoprawnym opiekunem chłopca.

Tego wieczoru Gabriel spał w domu Chucka Watersa. Agent FBI miał sześcioro dzieci, z czego trójka była w podobnym wieku jak Gabriel. Okazało się, że doświadczony agent o ponurej twarzy ma wielkie serce dla dzieci i szybko dogadał się z Gabrielem. Mieszkał z rodziną w Manassas, a w ciągu ostatnich miesięcy Gabriel zaprzyjaźnił się z jego dziećmi. Sean podejrzewał, że Chuck chce namówić bystrego chłopaka do pracy w FBI, kiedy ten skończy college, więc postawił sprawę jasno.

– Powinieneś mierzyć wyżej niż FBI – powiedział, gdy pewnego wieczoru wyszli razem z Michelle na obiad.

– Jak to?

– Pomyśl o Secret Service – odpowiedziała.

Rzuciła kluczyki od samochodu na kuchenny blat.

– Poczęstuj się piwem. Wezmę szybki prysznic i włożę czyste ubranie.

– Zadzwoń do Watersa i spytam o Gabriela. – Uśmiechnął się. – Bycie ojcem nie jest takie złe.

– Mówisz tak, bo ominęły cię bezsenne noce i zmienianie pieluch.

Sean otworzył puszkę z napojem, usiadł na kanapie i zadzwonił do Watersa. Agent powiedział mu, że u Gabriela wszystko w porządku. Kiedy Sean poprosił chłopca do telefonu, radość w jego głosie to potwierdziła. Odłożył telefon i usłyszał szum prysznica dochodzący z łazienki przy pokoju Michelle. Próbował oglądać telewizję, ale intryga kryminału okazała się tak nudna i nieciekawa w porównaniu z tym, co przeżył, że wyłączył odbiornik. Siedział z zamkniętymi oczami, próbując przynajmniej na kilka sekund zapomnieć o tym, co wydarzyło się w ostatnich miesiącach.

Kiedy otworzył oczy, zauważył, że Michelle nie wróciła. Spojrzał na zegarek. Minęło piętnaście minut. Z sypialni nie dochodziły żadne dźwięki.

– Michelle?

Brak odpowiedzi.

– Michelle!

Zaklął pod nosem, wstał i rozejrzał się po mieszkaniu. Kto wie, co mogło się wydarzyć po zwariowanej sprawie, w którą się wpakowali? Wyciągnął pistolet i wolno wszedł do krótkiego korytarza. Zapalił światło łokciem.

– Michelle!

Uchylił drzwi do sypialni.

Z łazienki przylegającej do pokoju dolatywało słabe światło.

– Michelle? Nic ci nie jest? Jesteś chora?

Usłyszał dźwięk włączanej suszarki i odetchnął z ulgą. Odwrócił się, żeby odejść, ale tego nie zrobił. Stał bez ruchu, wpatrując się w smugę światła pod drzwiami.

Kilka minut później suszarka ucichła, a Michelle wyszła z łazienki w grubym szlafroku. Jej włosy były wilgotne, ale szlafrok nie miał tak kusych rozmiarów jak podomka Cassandry Mallory. Michelle była całkowicie zasłonięta. Chociaż nie miała makijażu na twarzy, dla Seana nie było między nimi żadnego porównania. Kobieta, na którą patrzył, była najpiękniejsza na świecie.

– Sean? – spytała ze zdumieniem. – Wszystko w porządku?

– Przyszedłem sprawdzić, czy nic ci nie jest. Zmartwiłem się. – Spuścił oczy z zakłopotaniem. – Widzę, że wszystko w porządku. Wyglądasz... wyglądasz wspaniale.

Odwrócił się, żeby odejść.

– Będę w salonie. Może pójdziemy na obiad...

Dogoniła go, zanim doszedł do drzwi. Ujęła jego dłoń w swoje i zaciągnęła do pokoju.

– Michelle?

Wyjęła mu pistolet i położyła na komodzie.

– Chodź.

Podeszli do łóżka i usiedli obok siebie. Rozsunęła szlafrok i zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli, a on delikatnie przesunął dłonią po jej nagim biodrze.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – zapytał.

Przestała rozpinąć jego koszulę.

– A ty?

Położył dłoń na jej wargach i delikatnie przesunął po nich palcem wskazującym.

– Szczerze mówiąc, jestem tego pewny od dłuższego czasu.

– Ja również.

Michelle położyła się na łóżku i przyciągnęła go do siebie.

Podziękowania

Michelle, pierwszej wśród równych w naszej rodzinie.

Mitchowi Hoffmanowi. Jesteś nadal moim redaktorem, więc musisz mnie naprawdę lubić! A teraz poważnie, dziękuję za wspaniałą pracę nad tą książką.

Davidowi Youngowi, Jamie Raab, Emi Battaglia, Jennifer Romanello, Tomowi Maciagowi, Marcie Otis i wszystkim pracownikom Grand Central Publishing, dzięki którym wznoszę się na nowe wyżyny.

Aaronowi i Arlene Priest, Lucy Childs, Lisie Erbach Vance, Nicole Kenealy i Johnowi Richmondowi za wszystko, co zrobili, bym mógł rozsądnie żyć.

Marii Rejt i Katie James z Pan Macmillan za sprawne pokierowanie moimi sprawami po drugiej stronie Atlantyku.

Grace McQuade i Lynn Goldberg za to, jak zrećcznie przekonały ludzi, że nie jestem Johnem Grishamem.

Spencerowi i Collin, których kocham nad wszystko.

Doktor Catherine Broome i doktorom Alli i Anshu Guleria za pomoc w kwestiach medycznych.

„Nazwiskom”, które zwyciężyły w aukcji charytatywnej: Pameli Dutton, Diane Wohl, David Hilalowi i Lori Magoulas. Mam nadzieję, że książka się wam spodoba. Przepraszam tych, którym nie udało się przeżyć do końca, ale występowanie w dreszczowcu to niebezpieczna sprawa.

Mojemu kumplowi, Chuckowi Betackowi, za odruchowe wykorzystanie jego nazwiska. Proszę, abyś zwrócił uwagę, że uczyniłem cię wyższym, niż jesteś w rzeczywistości, i nie wziąłem za to ani centa.

Steve'owi Jenningsowi za fachową radę w kwestii kontraktów rządowych.

Lucy Sittle i Karen Schiff z FBI za pomoc techniczną.

Mojemu przyjacielowi Bobowi Schule za cenne rady w kwestiach politycznych i gramatycznych. Błędy, które pozostały, są wyłącznie moją zasługą.

Lynette, Deborah i Natashy za dbałość o to, by wszystkie korporacyjne i filantropijne żagle były rozwinięte, pełne wiatru i zwrócone we właściwą stronę.

O autorze

David Baldacci jest autorem siedemnastu powieści zajmujących pierwsze miejsca na listach bestsellerów „New York Timesa”. Jego książki wydane w ponad czterdziestu językach, w osiemdziesięciu krajach, w nakładzie przekraczającym dziewięćdziesiąt milionów egzemplarzy czynią go jednym z najbardziej poczytnych autorów na świecie. Wspólnie z żoną David Baldacci jest współzałożycielem Wish You Well Foundation – organizacji charytatywnej wspierającej umiejętność czytania i pisania w Ameryce. Choć autor nadal mieszka w rodzinnej Wirginii, zaprasza do odwiedzenia www.davidbaldacci.com oraz strony internetowej fundacji www.wishyouwell.org, a także www.feedingbodyandmind.com, gdzie można się dowiedzieć więcej o programie upowszechniania książek.

[1] Ośrodek Pomocniczy Marynarki Wojennej w Thurmont.

[2] Ang. Works Progress Administration, dawna amerykańska agencja do walki z bezrobociem.

[3] Ang. American Automobile Association – Amerykański Związek Motorowy.

[4] Inaczej glosolalia. Wierzący uznają, że jest to dar języków dany przez Boga. Teksty wypowiedane przez osobę w tym stanie nie mają żadnego sensu w żadnym języku i nie tworzą zdań.

[5] Department of Homeland Security.

[6] *Duma i uprzedzenie*, przekł. Magdalena Gawlik-Małkowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005

[7] Hostage Rescue Team – zespół do uwalniania zakładników.